

RUTA CZAPLIŃSKA

Z ARCHIWUM PAMIĘCI 3653 WIĘZIENNE DNI

RELACJE I WSPOMNIENIA



WROCŁAW 2003

Z ARCHIWUM PAMIĘCI

*Żywą pamięć zawartą we wspomnieniach dedykuję:
Lechosławowi Roszkowskiemu, Tadeuszowi Zawadzkińskiemu i Janowi Morawcowi – moim bohaterskim
Kolegom, którzy świadomi swego losu (zostali straceni
w mokotowskim więzieniu), pozostali wierni złożonej
przysiędze oraz swoim kosztem bronili współoskarżo-
nych, a mnie w szczególności, celowo pomniejszając
moją rolę i działalność w KG NZW.*

*Pamięć tę poświęcam również Tadeuszowi Łabędzkie-
mu, który został zamordowany w pierwszych dniach
śledztwa w MBP. Jego głos i ostatnie zapewne słowo
usłyszałam w samotnej celi tegoż więzienia.*

*Nie mogę także pominąć Kolegów i Koleżanek: Jana
Golki, Tadeusza Zielińskiego, Marii Nachtman i Wali
Jeremicz, zmarłych po odbyciu wyroku.*

Ruta Czaplińska

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

RUTA CZAPLIŃSKA
Z ARCHIWUM PAMIĘCI...
3653 WIĘZIENNE DNI

pod redakcją
Krzysztofa Szwagrzyka i Jacka Żygadły



WROCLAW 2003

Projekt serii i okładki
Krzysztof Findziński

Redakcja i łamanie
Wydawnictwo GAJT, Wrocław
ul. Kuźnicza 11/13

Korekta
Joanna Głowińska

Indeks
Jacek Żygadło

Skanowanie i opis fotografii
Wojciech Trębacz

Fotografie i dokumenty ze zbiorów Ruty Czaplińskiej
i Oddziału IPN we Wrocławiu

Zdjęcie na okładce
ze zbiorów autorki

© Copyright by Ruta Czaplińska i Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Folskiemu

Seria „Relacje i wspomnienia”: tom 4

ISBN 978-83-8376-829-8

Zapraszamy
ipn.gov.pl
ksiegarniaipn.pl

Spis treści

Spis treści	5
List do przyszłego Czytelnika	7
Zamiast wstępu	10
Głos historyka	12
Głos psychologa	15
Głos polonisty	25
Z ARCHIWUM PAMIĘCI	26
1. Z uśmiechem w przeszłość	26
2. Śmierć Domu	28
3. Działalność w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym	43
4. Aresztowanie (5 kwietnia 1946 r.)	50
5. Śledztwo w MBP	52
6. X Pawilon	58
7. Ściana	76
8. Pamięci „Muchy”	79
9. Pawilon	87
10. Stanisław Kasznica	89
11. Więzienne sny	91
12. Proces	92
13. Mokotów – ogólniak (4 listopada 1947 – 30 września 1948)	110
14. Głodówka Basi Sadowskiej	125
15. Listy z Mokotowa	125
16. Bunt na Mokotowie (wrzesień 1948)	127
17. Więzienie w Fordonie. Transport. Pobyt w małych celkach. Praca (30 września 1948 – 2 marca 1950)	131
18. Suterena (2 marca 1950 – 28 sierpnia 1952)	141
19. Listy z Fordonu	153
20. Więzienie w Inowrocławiu (18 sierpnia 1952 – 18 marca 1955) ..	172
21. Listy z Inowrocławia	197
22. Jeden z 3653 dni	210

23. Powrót do Fordonu (18 marca 1955 – 5 kwietnia 1956)	217
24. Listy znowu z Fordonu	218
25. Święta w więzieniu	225
26. Modlitwa i nadzieja	230
27. Wyjście na wolność	232
28. Te, co odeszły	236
29. Ukraińki	278
30. Autochtonki	283
31. Barwne postacie wśród pospolitych	286
32. Trudna wolność	290
33. List do Seweryny Szmaglewskiej	292
34. Poznański Czerwiec 1956	301
35. List od Jerzego Zawieyskiego	302
36. Po dziesięciu latach	303
37. Na bocznym torze	309
38. Film o bezpiece	312
39. Wystawy „Więźniowie polityczni...”	314
40. O <i>Przesłuchaniu</i> Bugajskiego	315
41. Krzyczę do telewizora	318
42. Inowrocław przyjazny	321
43. Inna wolność	326
44. Ankieta	337
45. Cum tacet clamant	361
46. Pamięć i niepamięć w jednym stoją domu	363
47. Mortui sunt ut liberi vivamus	367
48. Wystawy szczególne	368
49. Uzależnienie – summa experimentiae	371
50. Świadectwa rodzeństwa	374
Nota biograficzna	399
Wykaz skrótów	401
Indeks nazw geograficznych	403
Indeks osobowy	406

List do przyszłego Czytelnika

Archiwum – to zbiór dokumentów mierzony długością półek zajmowanych przez odpowiednie teczki, wyrażaną często w kilometrach. Moje archiwum jest znacznie skromniejsze: powstało z zapisanych w pamięci faktów i zdarzeń, uzupełnionych listami do mojej Matki, pieczołowicie przez Nią zachowanymi, oraz oryginalnymi dokumentami, które w ciągu wielu lat przebywania na wolności udało mi się zgromadzić. Szczególną wdzięczność pragnę wyrazić panu doktorowi Krzysztofowi Szwagrzykowi, który udostępnił mi moje akta więzienne. Z archiwum pamięci, obejmującego moje dość długie życie, wyjmuję jedynie „teczki” dotyczące dziesięcioletniego pobytu w więzieniach PRL. Zawartość poszczególnych „teczek”, zdarzeń w różnej kolejności, utrwalanych na piśmie, udostępniałam Panu Tomaszowi Ochowskiemu, który zachęcał mnie do poszerzenia zakresu wspomnień, aby ich całość wydać w formie książkowej.

Z wielotysięcznej, dotąd niepoliczonych rzeszy byłych więźniarek politycznych okresu stalinowskiego coraz więcej przebywa już po drugiej stronie, a z pozostałych zaś coraz mniej ma tak obfity i zróżnicowany „dorobek” więzienny. Stałam się więc jednym z nielicznych już świadków tego okresu historii. Jak świadek – a znam dobrze odpowiedzialność za słowo – mam „mówić prawdę i tylko prawdę”. Czasy się zmieniły. Jest wolność słowa, nie ma cenzury, ale niewiedza o tej pierwszej – po tak zwanym „wyzwoleniu” – dekadzie historii po latach przymusowego milczenia jej uczestników i perfidnej, a obficie stosowanej propagandzie kłamstwa – jeszcze się pogłębiła. Podziemie walczące z drugą okupacją o suwerenność Polski stało się *terra incognita*, czymś tak odległym w czasie, że nie warto sobie zaprzątać nim myśli. Pierwszym wyłomem w tym milczeniu były audycje radiowe przygotowywane przez Alicję Maciejowską, młodziutką wtedy Urszulę Żółtowską-Tomaszewską z I programu Polskiego Radia oraz Marię Woś z Regionalnego Radia Wrocław. Cykl reportaży utrwalających nasze przeżycia więzienne został wyemitowany w I programie Polskiego Radia w 1991 r. i uzyskał nagrodę Przewodniczącego Komitetu ds.

Radia i Telewizji. W ubiegłym dziesięcioleciu powstało także kilka filmów na ten temat, wyszło sporo książek, prowadzone są systematyczne prace dokumentacyjne i badawcze. Wszystko to nie zmieniło jednak świadomości społeczeństwa. Z tej prostej przyczyny mogła paść w mass mediach informacja, że – tu moje imię i nazwisko – została skazana na dziesięć lat więzienia za działalność antypolską! A mój gwałtowny sprzeciw, wzburzenie stało się całkowicie niezrozumiałą reakcją. – „O co chodzi? Przecież wszystko wynika z kontekstu” (przeczytałem dosłowne cytaty z mojej rozmowy). Nie pomogło też wyjaśnienie, że w słowach przypisujących mi działalność antypolską zniesławieni zostali wszyscy więźniowie polityczni lat stalinowskich, którzy walczyli o niepodległy byt Polski.

Wszystkie wspomnienia dotyczące poszczególnych więzień i warunków, w jakich przebywałam, starałam się zaopatrzyć w daty, zdaję sobie bowiem sprawę, że mogły się warunki te zmienić, nawet w tym samym więzieniu. Na przykład: represje w czasie śledztwa stosowane na Mokotowie zmieniały się i zaostrzały z biegiem lat. W okresie, o którym piszę, nie było m.in. stójek przy otwartym oknie ani lania wody do celi, a dominowało bicie i przysiady. Organizacja życia po wyrokach, na tak zwanym „ogólniaku”, zależała w dużej mierze od osobowości „lokatorów”. Jeszcze inne różnice istniały w Fordonie, gdzie w tym samym czasie przebywały więźniarki bez pracy, w małych celach czy w suterenie będącej oddziałem izolacyjnym, oraz zatrudnione w produkcji, gospodarstwie czy biurze. Nie mając z nimi kontaktu, pracujące koleżanki niewiele mogły wiedzieć o siedzących w suterenie. Tak więc dopiero po wyjściu na wolność podczas konfrontacji wspomnień można się było dowiedzieć, że nie wszędzie było tak samo. Posłużę się tutaj przykładem z Inowrocławia. Tam siedziało się w pojedynczych celach, w samotności. Myślałam, że wszystkie koleżanki doświadczyły tych samych udręk. Gdy powiedziano mi, że po celi mogą chodzić jedynie cicho, bo „mi się buty odbierze” – było to dla mnie czymś nie do przeżycia, bo chodzenie było tak niezbędne jak powietrze. Tymczasem – po latach – dowiedziałam się, że Nisia Janiszowska siedziała w celi o czarnych ścianach, tak wąskiej, że usiąść mogła tylko na kancie pryczy. Z trudem przedostawała się do okna, do meldowania się przy otwarciu drzwi, bo nie wolno było w jej celi przypiąć do ściany ani pryczy, ani stolika. Nie mogło być tam mowy o chodzeniu. Znałam tę celę, ponieważ zamykano mnie w niej na czas rewizji. Albo spacer. Gdy się wychodziło

na te parę okrażeń, to się szło w tym, co się miało na sobie. I znowu niespodziewanie po latach dowiedziałam się, że koleżanki z innych transportów wkładały kurtki, czekając w łazni na swoją kolej. Różnic jest z całą pewnością jeszcze więcej, bo dotyczą wszystkich więzień i aresztów, w których przebywały nasze koleżanki. Dlatego tak bardzo ważne są relacje, które pozwalają na odtworzenie pełnego obrazu, którego moje wspomnienia są tylko jednym, niedużym fragmentem.

Ruta Czaplińska

Zamiast wstępu

Potrzebuję ludzi i bez nich nie czuję się w pełni człowiekiem. Wymiana zdań, poglądów i wrażeń, wspólne przeżywanie – są mi wprost niezbędne do twórczego rozwoju mojej własnej osobowości. Odczuwam silnie potrzebę drugiego człowieka i tęsknię za nim. Interesują mnie jego sprawy, trudności i problemy, którymi żyje. Myślę, że uczucia te są integralnie związane z naturą ludzką, stworzoną do życia w społeczeństwie, nie wiem, czy z tej właśnie potrzeby wypływa u mnie wiara w ludzi i zaufanie, którym ich darzę, czy też dlatego, że tak bardzo wiele doznałam w życiu dobra od ludzi – stawiam na człowieka. Nigdy zło nie przysłoniło mi ogromu ludzkiej dobroci. Spotykając się z ludźmi, którzy na to miało nie zasługują, nie zapominałam o innych, tych dobrych, wrażliwych i życzliwych.

Przyjaźń jest dla mnie słowem wielkim. Kiedyś zadawałam sobie pytanie, czy spotkam w życiu prawdziwą przyjaźń. Dziś myślę, że tę idealną i wymarzoną można spotkać, ale znacznie częściej niż z przyjaźnią ma się do czynienia z przyjaznymi ludźmi, którzy nie są przyjaciółmi *par excellence*. Przez to jednak nie obniżam wartości przyjaźni. Wydaje mi się bowiem, że przyjaciół w tym sensie powinno się mieć jak najwięcej. Nie zgadzam się nigdy z wyłączością przyjaźni. Czasami obszar przyjaznego obcowania może się poszerzyć pojawieniem się w nim nowej osoby¹.

Dobroć i życzliwość ludzka pozwalają żyć i przetrwać najcięższe chwile w życiu. Nawet wtedy, gdy bliski mi człowiek nie może oddziaływać na mnie bezpośrednio swoją obecnością, wywiera swój wpływ już przez samo to, że jest, że tkwi we mnie.

Mam w sobie głęboką świadomość istnienia ludzi, którzy wplatając się w krąg mego życia, stali się bliskimi, niezbędnymi; stali się jednocześnie

¹ Fragment o przyjaźni pochodzi z mojej wypowiedzi pisemnej powstałej na zajęciach z psychologii, już na studiach. Przywołuję go tutaj, gdyż oddaje on moją postawę tuż po wyjściu z więzienia (przyp. autorki).

żywą afirmacją mojej wiary w człowieka. Doznałam tak wiele dobrego od ludzi, doświadczyłam tak wiele ludzkiej dobroci, sympatii i przyjaźni. Stąd tkwią we mnie olbrzymie zasoby wdzięczności, wdzięczności wobec Boga i ludzi.

Ruta Czaplińska

Głos historyka

W dość bogatej już literaturze historycznej na temat ponurej rzeczywistości Polski stalinowskiej stosunkowo niewielką grupę stanowią wspomnienia bezpośrednich uczestników tamtych zdarzeń. Za przyczynę takiego stanu dość powszechnie przyjmuje się zrozumiałą skądinąd niechęć osób skrzywdzonych w okresie terroru komunistycznego do powracania do bolesnych wspomnień związanych ze śledztwem czy też pobytom w więzieniach. Nieśmiało, choć już coraz liczniejsze, próby przełamania tych oporów przynoszą w efekcie prace, bez których zrozumienie istoty komunizmu w Polsce nie wydaje się możliwe. Stanowią one bezcenne źródło informacji, tym wartościowszych, że w wielu wypadkach jedynie one przeczą danym zawartym w archiwalnych dokumentach śledczych czy procesowych, na których podstawie komunistyczna historiografia przez dziesięciolecia tworzyła zafałszowany obraz minionej rzeczywistości. Za szczególnie ważne należy uznać wspomnienia osób, które zarówno ze względu na pełnione przez siebie funkcje w organizacjach niepodległościowych, znajomość struktur i ludzi, jak i pobyt w wielu więzieniach, posiadają rozległą wiedzę tak na temat polskiego podziemia, jak i represji wobec niego.

Do tego typu prac należą wspomnienia Ruty Czaplińskiej, pełniącej w latach 1945–1946 funkcję szefa łączności Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, skazanej na 10 lat pozbawienia wolności. Zanim w kwietniu 1956 r. wyszła na wolność, była więźniem Mokotowa, Fordonu i Inowrocławia. W okresie swojej działalności konspiracyjnej i w czasie pobytu w kolejnych więzieniach poznała wiele wybitnych postaci, m.in. Lechosława Roszkowskiego, Tadeusza Łabędzkiego, Tadeusza Zawadzkiego, Jana Morawca, Witolda Pileckiego, Stanisława Kasznicę czy Barbarę Sadowską, dzieląc z nimi więzienne losy.

We wspomnieniach autorki prześledzić możemy życiorys charakterystyczny dla wielu przedstawicieli pokolenia Polski Niepodległej: młodość spędzoną w rodzinie ziemiańskiej, tragiczne dzieje rodziny w okresie woj-

ny i okupacji, walkę w podziemnych strukturach narodowych, wieloletni pobyt w komunistycznych więzieniach, zmagania o możliwość uzyskania pracy i podjęcia nauki na wolności.

Do najważniejszych bodaj walorów wspomnień należą opisy przebiegu śledztwa, procesu i warunków życia w poszczególnych więzieniach, wzbogacone o bezcenne relacje na temat współwięźniów.

W pięćdziesięciu rozdziałach autorka nie ogranicza się tylko do wspomnień sprzed kilkudziesięciu lat. Ostatnie z nich mówią już o latach dziewięćdziesiątych i o wydarzeniach mających wówczas miejsce: procesie Adama Humera i innych funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, filmie *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego, wystawach: „Więźniowie polityczni PRL-u 1944–1956” i „Winni? – Niewinni? Prokuratorzy i sędziowie wojskowi na Dolnym Śląsku w latach 1946–1955”.

Z archiwum pamięci daje czytelnikowi rzadką możliwość, prawie bezpośredniej obserwacji dziejów kilkudziesięciu osób, przedstawionych w barwny, niekiedy pełen humoru sposób. Scharakteryzowane postaci nadają książce szerszy, nie tylko prywatny wymiar. Autorka uniknęła, z korzyścią dla wspomnień, dość powszechnego w literaturze pamiętnikarskiej koncentrowania się wyłącznie na osobistych losach, przedstawianych często patetycznie, z zabarwieniem martyrologicznym. We wspomnieniach Ruty Czaplińskiej dominuje szacunek dla drugiego człowieka, wiara w słuszność obranej drogi i nadzieja... nadzieja na otrzymanie listu z domu, na spotkanie z bliskimi, na wspólny pobyt w celi z zaprzyjaźnionymi osobami, na wyjście na wolność, na szybkie znalezienie pracy, na kontynuowanie przerwanej nauki. Opisy podejmowanych przez więźniarki polityczne działań, których ostatecznym celem miało być zachowanie godnej postawy w ekstremalnych warunkach więziennych, należą do najbardziej poruszających. Na progu XXI wieku wręcz trudno uwierzyć, że pięćdziesiąt lat wcześniej w komunistycznych więzieniach więźniowie polityczni sami prowadzili naukę języka angielskiego, przedstawiali w celach sztuki teatralne, urządzali „podwieczorki przy mikrofonie” i uroczyste czcili święta narodowe. Wszystko to odbywało się w warunkach absolutnego reżimu i głębokiej pogardy dla człowieka nie tylko ze strony władz więziennych, ale również władz politycznych zniewolonego kraju.

Dla czytelników młodszego pokolenia wspomnienia te będą doskonałym dokumentem, fragmentem wciąż jeszcze mało znanej historii komunizmu w Polsce. Dla starszych będą przypomnieniem, ale też i uzupełnieniem

niem własnych wspomnień. Dla wszystkich zaś – świadectwem wiary, nadziei i patriotyzmu.

Wrocław, 9 maja 2000 r.

Krzysztof Szwagrzyk

Głos psychologa²

Z archiwum pamięci ma znaczenie nie tylko jednostkowe, choć dotyczy wyłącznie jednego życia. W książce Ruty Czaplińskiej skupia się – niczym w soczewce – doświadczenie całego pokolenia, które nie znalazło dotychczas należnego miejsca w świadomości zbiorowej Polaków.

Więźniowie polityczni lat stalinowskich, po Październiku tylko częściowo zrehabilitowani, aż do 1989 r. oficjalnie skazani byli na zapomnienie. Dzisiaj wciąż – wbrew warunkom wolności (czy może raczej właśnie „dzięki” nim) – dotknięci są potoczną niepamięcią, którą przerywają od czasu do czasu głośne dyskusje, takie jak na przykład wokół procesu Adama Humera, wrocławskiej wystawy „Winni? – Niewinni?” lub prób ekstradykcji prokurator Heleny Wolińskiej.

Paradoksalnie, głównymi „bohaterami” wspomnianych, nieraz bardzo gorących polemik, stają się stalinowscy oprawcy. W publicystycznym zgiełku ginie doświadczenie więźniów politycznych. Tymczasem bez wzięcia pod uwagę przeżyć ludzi, którzy boleśnie zetknęli się z „ludową praworządnością”, trudno mówić o pełnym obrazie pierwszych lat Polski powojennej. Trudno też – ujmując rzecz w szerszej perspektywie – zbilansować wiedzę na temat kondycji człowieka, dostarczoną przez dzieje mijającego wieku. Najnowsza historia – zgodnie z trafnym określeniem Jerzego Stempowskiego – „spuszczona z łańcucha” wymusza na badaczach filozoficzną refleksję o istocie ludzkiej, daleko głębszą niż prosta rejestracja faktów, a przy tym niezbędną do ich zrozumienia. Konieczność stawiania pytań zasadniczych, można by powiedzieć ponadempirycznych, wyraźnie podkreślają naukowcy zgłębiający różnorodne dramaty ostatniego stulecia, takie jak

² Niniejszy tekst reasumuje najważniejsze wyniki mojej pracy doktorskiej pt. *Model analizy przeżyć więźniów politycznych na terenie Polski okresu stalinowskiego (1944–1956) w perspektywie psychohistorycznej*. KUL, Lublin 2000, mps. Pani Ruta Czaplińska była jednym z głównych „świadków kluczowych”, których wspomnienia (pisane i mówione) stanowiły podstawę do stworzenia modelu badań.

wojny totalne, holocaust, przesiedlenia i prześladowania. Niewątpliwie przeżycia więźniów politycznych lat 1944–1956 również zaliczyć należy do „**antropologicznych wyzwań**” dwudziestego wieku.

Świadczyć o tym może choćby oficjalna mowa stalinowskich publikacji, gazet czy audycji radiowych, pełnych treści dotyczących „walki o nowego człowieka”. Prace Michała Głowińskiego i innych badaczy, pozwalają z dużym prawdopodobieństwem zrekonstruować dziś idee, które proponują nazywać „**oficjalną antropologią stalinizmu**” bądź też „**stalinowskim dyskursem o istocie ludzkiej**”. Wzorzec nowego człowieka, szeroko propagowany poprzez prasę i literaturę tamtych lat, pokazywał istotę reaktywną (a nie podmiot własnych działań), w pełni podporządkowaną partii sprawującej władzę państwową. Dobro „ludowej ojczyzny”, służące przyszłemu szczęściu światowego proletariatu, powinno stać się jedynym punktem odniesienia i jedynym obiektem najszlachetniejszych uczuć jednostki. Rodzina przestawała być – w założeniach teoretyków „nowego porządku” – najważniejszym środowiskiem życia i rozwoju istoty ludzkiej. Wyznaczono jej rolę jedynie „podstawowej komórki społecznej”. Kościół miał zniknąć jako przeżytek czasów feudalnych. Na kontakty towarzyskie czy sąsiedzkie nie należało marnować zbyt dużo czasu. „Nowego człowieka”, skierowanego ku przyszłości i żyjącego wyłącznie dla idei komunizmu, nie powinny krępować żadne więzi emocjonalne poza „wspólnotą walki”. Ideologowie stalinizmu zakładali ponadto, iż jednostka ludzka jest w stu procentach plastyczna. Jej zachowanie zależy wyłącznie od wychowania. Cel behawioralny owego wychowania stanowiło absolutne i pełne entuzjazmu poświęcenie się „sprawie socjalizmu”, wzór osobowy zaś – funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa³.

Jednak – paradoksalnie – stalinowska myśl dopuszczała istnienie ludzi zupełnie niepodatnych na oddziaływanie „inżynierii dusz”. Byli to różnego rodzaju „wrogowie”.

„Człowiek był albo nasz, albo obcy, czyli znajdował się bądź po słusznej, bądź po niesłusznej stronie barykady. Kwalifikacja ta grała rolę dominującą. [...] ów kod [...] wykluczał w istocie wszelką ewolucję: wróg był wrogiem od urodzenia, szansa przemiany nie była mu dana. [...] Taka koncepcja wroga, wroga całkowitego, którego w żaden sposób nie należy ro-

³ To sugestywne sformułowanie zapożyczyłem z pracy M. Głowińskiego, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1990.

zumieć [...], ale w każdym momencie i w każdej sytuacji trzeba z nim walczyć i go potępiać, była szczególnym wytworem komunizmu w jego ostrej stalinowskiej wersji”⁴.

Istnienie wroga było niezbędnym usprawiedliwieniem istotnej cechy stalinizmu, totalnej militaryzacji rzeczywistości, ujmowania wszelkich działań w kategoriach wojennych, utrzymywania nieustannej atmosfery walki, co oczywiście ułatwiało władzy stosowanie różnorodnych socjotechnik zniewolenia społeczeństwa. Teoria Stalina „o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę umacniania się i rozwoju socjalizmu” nadawała konieczności tropienia i niszczenia wrogów charakter permanentny i wieczny.

Uosobieniem szczególnego stereotypu „wroga pokonanego” mieli być w systemach stalinowskich ludzie więzieni z przyczyn politycznych. Każdy, kto znalazł się za murami więzienia, stawał się automatycznie wspomnianym wyżej „wrogiem całkowitym”, z którym, pomimo iż jest pokonany, władza ludowa musi nadal walczyć. Walka ta odbywała się równocześnie na kilku płaszczyznach. W sensie najbardziej dosłownym i najbardziej dramatycznym oznaczała zadawanie śmierci. Ogólna liczba ofiar stalinizmu w różnych krajach szacowana jest na sto milionów⁵. Liczba ta obejmuje między innymi ogromne rzesze ludzi zmarłych podczas wielkich głodów na terenie ZSRR czy deportacji. Tragizmu wspomnianych ofiar nie zmniejsza fakt, że w Polsce Ludowej nie było masowego ludobójstwa, co być może wiązać należy także ze stosunkowo niewielkimi zasobami ludnościowymi kraju. Hannah Arendt formułuje interesującą hipotezę, iż „rządy totalitarne [...] w ogóle są możliwe tylko tam, gdzie istnieją ogromne masy ludzi zbędnych lub gdzie można się pozbawić ludzi nie powodując katastrofalnego wyludnienia”⁶. Skomentowanie tej sugestii wymaga dalszych analiz i dyskusji.

Filozofowie oraz filozofujący badacze, którzy zajmują się fenomenem stalinizmu, są zgodni co do tego, iż zarówno „za kratami”, jak i „z drugiej strony murów” atakowane były przede wszystkim zaufanie i międzyludzka solidarność. Walka o „nowego człowieka” okazywała się po prostu walką

⁴ *Ibidem*, s. 129.

⁵ Por. S. Courtois, N. Werth, J.-L. Panne, A. Paczkowski, K. Barosek i J.-L. Margolin, *Czarna Księga Komunizmu*, Warszawa 1999.

⁶ H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, t. 1, Warszawa 1989, s. 249.

z człowiekiem. Piszą o tym cytowana już Hannah Arendt oraz Barbara Skarga, Anna Pawełczyńska, Hanna Świda-Ziemba czy Józef Tischner⁷.

Warto również zwrócić uwagę, że sporą dozę refleksji o prześladowaniach politycznych, spostrzeżeń doskonale pasujących do rzeczywistości stalinowskiej, aczkolwiek ubranych w „kostium historyczny”, zawierają eseje Pawła Jasienicy i Zbigniewa Herberta. Odwołanie się przez tych pisarzy do faktów z odległej historii Polski i Europy z jednej strony umożliwiło oficjalne wydanie ich tekstów jeszcze w okresie działania komunistycznej cenzury, z drugiej – pozwoliło na umieszczenie przeżyć więźniów okresu stalinowskiego w szerokim kontekście doświadczeń ludzi prześladowanych za przekonania na przestrzeni dziejów cywilizacji europejskiej. Szczególnie istotne dla omawianej problematyki są książki *Rozważania o wojnie domowej* i *Polska anarchia* Jasienicy oraz szkice *O albigensach, inkwizytorach i trubadurach* czy *Obrona templariuszy* ze zbioru *Barbarzyńca w ogrodzie* Herberta. Obydwaj pisarze wypowiadali się także wprost o okresie stalinowskim. Jasienica uczynił to w napisanym podczas odwilży 1956, a opublikowanym dopiero dwadzieścia lat po śmierci autora, artykule *Główne punkty* (pierwodruk wspomnianego tekstu ukazał się na łamach tygodnika „Polityka” 1990, nr 25)⁸. Do charakterystyki działań osób odpowiedzialnych za represje stalinowskie w Polsce znany popularyzator wiedzy historycznej użył zwrotu „gangsterstwo ubrane w pozory prawa”. Na trafność tej kategorii zwrócił po latach uwagę Gustaw Herling-Grudziński⁹. Potwierdził to również zakończony 7 III 1996 r. przed warszawskim sądem rejonowym proces pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (Adama Humera i innych), oskarżonych o znęcanie się nad więźniami w latach stalinowskich. Ogłoszony wyrok, po raz pierwszy w dziejach sądownictwa nie tylko polskiego, ale także całej Europy Środkowej, określił okrucieństwa śledczych i strażników, jako nie ulegające przedawnieniu zbrodnie przeciw ludzkości. Podobnie Zbigniew Herbert był zwolennikiem używania ostrych,

⁷ Zob. np. B. Skarga, *Stalinizm* [w:] *Stalinizm*, red. J. Kurczewski, Warszawa 1991, s. 3–6.

A. Pawełczyńska, *Więzi społeczne w strukturach zła*, „Ethos” 1990, nr 1/2, s. 229–246; H. Świda-Ziemba, *Mechanizmy zniewalania społeczeństwa – refleksje u schyłku formacji*, Warszawa 1990; J. Tischner, *Etyka solidarności. Homo sovieticus*, Kraków 1992.

⁸ P. Jasienica, *Polska anarchia*, Warszawa 1993; *idem*, *Rozważania o wojnie domowej*, Warszawa 1993; *idem*, *Główne punkty* [w:] *Z tajnych archiwów*, red. A. Garlicki, Warszawa 1993; Z. Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*, Wrocław 1995.

⁹ G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą 1980–1983*, Warszawa 1996.

niosących jednoznaczne potępienie moralne kryteriów do opisu lat stalinowskich. W słynnym wywiadzie, którego udzielił Jackowi Trznadłowi do *Hańby domowej*, stwierdził on bez ogródek: „Dla mnie była to po prostu odmiana faszyzmu. Okropne słowo, ale mogę to udokumentować [...] metody w końcu były te same”¹⁰.

Wszystkie zarysowane wyżej czynniki miały oczywiście wpływ na sytuację i przeżycia więźniów politycznych. Znajdowali się oni przecież, jak paradoksalnie można określić (używając języka propagandy komunistycznej) – „na głównej linii frontu” wojny dyktatorskiego systemu z człowiekiem. Stalinizm okazał się więc specyficznym zjawiskiem (w sensie otoczenia społecznego i kulturowego) stawiającym jednostki ludzkie wobec skumulowanego zła. Do takiego właśnie ujęcia nawiązuje tytuł, jaki Barbara Otwinowska dała zredagowanemu przez siebie zbiorowi poezji więziennej: *Przeciwko złu*¹¹. Znamienne, iż podczas dyskusji promocyjnej nad tą książką jej współautorzy byli zgodni co tego, że chodzi zarówno o zło systemu, jak i o zło potencjalnie tkwiące w każdym człowieku, także tym cierpiącym za przekonania polityczne. Refleksja nad doświadczeniem stalinizmu nieuchronnie więc prowadzi do pytań z zakresu etyki, a szczególnie do pytań o rolę wartości w zachowaniach człowieka. O to, by przeżycia z więziennych kazamatów ujmować przede wszystkim w kategoriach walki o wartości, a szczególnie w kategoriach wierności (bądź niewierności) wartościom podstawowym, apelują liczni autorzy, jak na przykład autorka niniejszego zbioru Ruta Czaplińska, a także Zdzisław Najder, Stanisław Murzański, wspomniane już wcześniej Barbara Otwinowska i Anna Pawełczyńska oraz Wiesław Szymański¹².

Refleksja prowadzona w tej perspektywie interesująco koresponduje z teologią dziejów, jak znaczącą część myśli Jana Pawła II nazywają jego komentatorzy. Piszą o niej między innymi Maciej Zięba, Marian Marek

¹⁰ J. Trznadel, *Hańba domowa*, Warszawa 1994, s. 174.

¹¹ *Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956*, red. B. Otwinowska, Warszawa 1995.

¹² Zob. np. Z. Najder, *Bitwa o umysł*, cz. I, „Przegląd Powszechny” 1989, nr 11, s. 169–185; *idem*, *Bitwa o umysł*, cz. II, „Przegląd Powszechny” 1989, nr 12, s. 343–363; B. Otwinowska, *Zapowiedź [w:] Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956*, red. B. Otwinowska, Warszawa 1995, s. 7–38; A. Pawełczyńska, *Więzi społeczne...*; S. Murzański, *PRL – zbrodnia niedoskonała*, Warszawa 1996; W. P. Szymański, *Uroki dworu. Rzecz o zniewalaniu*, Kraków 1994.

Drozdowski i Wojciech Roszkowski¹³. Ostatni z wymienionych autorów podkreśla szczególną perspektywę papieskich rozważań. Otóż Jan Paweł II występuje jako współuczestnik i komentator najnowszej historii Polski. I tak na przykład podczas pielgrzymki do kraju w 1997 r. zaprezentował bez używania określeń agresywnych czy górnolotnych teologiczną i personalistyczną interpretację istoty PRL-u. W licznych przywołaniach dotyczących historii ostatnich pięćdziesięciu lat akcentował przede wszystkim różne formy zniewolenia człowieka przez komunistyczny system. Czas Polski Ludowej papież zaliczył do jednej z wielu dwudziestowiecznych prób, którym poddana została wiara i nadzieja Polaków. Szczególnie stanowczo mówił o okresie stalinowskim, 3 czerwca 1997 r. podczas spotkania z młodzieżą w Poznaniu powiedział:

„Zwycięska Armia Czerwona przyniosła Polsce nie tylko wyzwolenie od hitlerowskiej okupacji, ale także nowe zniewolenie. Tak jak w czasie okupacji ludzie ginęli na frontach wojennych, w obozach koncentracyjnych, w politycznym i militarnym podziemiu, którego ostatnim krzykiem było Powstanie Warszawskie, tak pierwsze lata nowej władzy były dalszym ciągiem znęcania się nad wielu Polakami. Nowi panujący uczynili wszystko, ażeby ujarzmić naród, podporządkować go sobie pod względem politycznym i ideologicznym”¹⁴.

Uderzająca jest zbieżność papieskiej refleksji z następującym wspomnieniem świadka historii: „A na koniec jeszcze jedno słowo prawdy, które usłyszałam z ust inspektora MBP w Inowrocławiu, odpowiadającego na moje zapytanie, dlaczego siedziałam dwa i pół roku w suterenie więzienia fordońskiego: »Bo nie było pewności, czy nie prowadzicie wrogiej propagandy«. I dodał, a był to rok 1953: »Chociaż Polska potrzebuje gwałtownie ludzi wykształconych, profesorów, inteligencji – to lepiej, żeby siedzieli wszyscy niewinnie, aniżeli choćby jeden „szkodnik” pozostawał na wolności«. Taka była ich maksyma, tym się kierowali. Trzeba bowiem wiedzieć, że poza rzeczywistością zaangażowanymi w pracę podziemną, w konspirację,

¹³ M. Zięba, *Niezwykły pontyfikat*, Kraków 1997; M. M. Drozdowski, *Refleksje Jana Pawła II o historii Polski naszego wieku*, „Ethos” 1994, nr 7, s. 167–179; W. Roszkowski, *Co wynika z ostatniej pielgrzymki Jana Pawła II*, „Znak” 1997, nr 506, s. 113–115.

¹⁴ *Jezus Chrystus wczoraj, dziś i na wieki. Przemówienia z Pielgrzymki Apostolskiej Ojca Świętego do Polski w 1997*, Ząbki 1997, s. 75.

więzienia były wypełnione takimi »potencjalnymi« przestępcami...” (wspomnienie Ruty Czaplińskiej *Trudna wolność*, zamieszczone w niniejszym zbiorze).

Komplementarność teologii dziejów rozwijanej przez Jana Pawła II i doświadczenia więźniów lat stalinowskich okazuje się jeszcze głębsza z perspektywy poruszanej już wcześniej problematyki wartości. Kwestia ich ochrony oraz przekazu zajmuje wyraźnie centralne miejsce w całości przeżyć ludzi prześladowanych przez stalinowski reżim. Przy tym szczególnie ważna rola przypada wartościom moralnym. Chilijscy psychologowie Rosarimo Dominguez i Eugenia Weinstein¹⁵ zaproponowali przed kilkunastu laty, aby sytuacje więźnia politycznego ujmować między innymi w kategoriach swoistej „pułapki”. Osoba represjonowana musi wybierać między integralnością fizyczną i moralną. Jak wskazują różnorodne źródła, zachowania i wybory więźniów politycznych lat 1944–1956 w Polsce były generalnie opowiedzeniem się – bez niepotrzebnej brawury – po stronie integralności moralnej. Stanowi to ważne przesłanie tamtego pokolenia, a także jest istotnym impulsem do dalszych badań na temat roli, jaką mogą pełnić wartości w życiu człowieka. Nie zmieniają tego wniosku przypadki załamywania się niektórych więźniów, „sypania” czy pójścia na współpracę z reżimem w czasie odbywania kary lub po wyjściu na wolność. Wspomniane fragmenty wymagają oczywiście oddzielnych analiz, w tym również psychologicznych.

Opierając się na myśli historyzoficznej Konstantego Michalskiego, uważam, że najgłębszy sens doświadczeń więziennych ujawnia się przede wszystkim poprzez dążenia ludzi, którzy nie ulegli naciskowi¹⁶. Na ich przykładzie uchwycić można etos pokolenia represjonowanych, rozumiany za Anną Sucheni-Grabowską jako apel o wartości¹⁷. Dokumenty archiwalne i relacje świadków historii zdają się jeszcze poszerzać znaczenie cytowanego wcześniej spostrzeżenia Domigueza i Weinstein. Sens przeżyć więźniów politycznych okresu stalinowskiego najwyraźniej ujawnił się w dra-

¹⁵ R. Dominguez, E. Weinstein, *Aiding victims of political repression in Chile: A psychological and psychotherapeutic approach*, „Tidsskrift for norsk psykologforening” 1987, nr 24, s. 75–81.

¹⁶ Zob. T. Ochiniowski, „I kazał Panu powiedzieć, że najważniejsza jest pamięć” [w:] *Świadek two drogi*, red. J. Płaza, Warszawa 1998, s. 272–291.

¹⁷ A. Sucheni-Grabowska, „Ten papież, który nosi w swojej duszy szczególnie wyrazisty zapis dziejów własnego narodu...” [w:] *W kręgu nauczania Jana Pawła II*, Warszawa 1985 (Studium Kultury Chrześcijańskiej. Kościół Św. Trójcy w Warszawie: seria: Nasze dziedzictwo, nr 2), s. 23–43.

matycznej walce o prawo człowieka do postępowania zgodnego z odpowiednią hierarchią wartości. Przy czym „odpowiedniość” wspomnianej hierarchii nie tyle wynikała z norm kulturowych czy środowiskowych, ile z podstawowych praw uniwersalnych, trwale występujących w dziejach myśli ludzkiej. Zdaniem Jana Pawła II (encyklika *Fides et ratio*¹⁸), ten zbiór pryncypiów tworzą filozoficzne reguły niesprzeczności, celowości i przyczynowości, powszechnie uznawane zasady moralne, a także koncepcja człowieka jako osoby wolnej i rozumnej, będącej podmiotem, posiadającej zdolność do poznawania prawdy i dobra. Wspomnienia więźniów politycznych okresu stalinowskiego zdają się według mnie wskazywać, że doświadczenie represjonowanych było właśnie swoistym wołaniem o szacunek dla zasad podstawowych, a także o możliwość budowania wynikającej z tych zasad głęboko rozumianej **normalności**. „Kwestia antropologiczna” jawi się więc jako bardzo istotny element przeżyć więźniów politycznych stalinizmu. Opierając się na dotychczasowych ustaleniach, zaryzykuję wręcz przypuszczenie, że o ile przeżycia związane z masową zagładą (obozы koncentracyjne, holocaust, wybuch bomby atomowej) stawiały przed ofiarami problem przetrwania, kontynuacji, nieśmiertelności, jak pokazał to amerykański psychiatra Robert Jay Lifton¹⁹, o tyle stalinowskie zakłady karne, w których nie występowało bezpośrednio doświadczane na co dzień ludobójstwo, były szczególnie miejscem **sporu o koncepcję człowieka**. O prawo do respektowania wartości związanych z godnością istoty ludzkiej. „Kwestia antropologiczna” na poziomie teoretycznym „rozgrywana” przez władze za pomocą zmasowanej propagandy, co w odniesieniu do Polski opisał wspomniany już wielokrotnie Głowiński, miała swój praktyczny, wręcz eksperymentalny wymiar właśnie „za kratami”.

Reasumując, warto podjąć ogólniejszą, interdyscyplinarną refleksję nad tym, na ile różne przejawy dramatycznej historii ostatniego stulecia stanowiły

¹⁸ Jan Paweł II, *Encyklika „Fides et ratio” Ojca Św. Jana Pawła II do Biskupów Kościoła Katolickiego o relacjach między wiarą a rozumem*, Tarnów 1998. Zdaje sobie sprawę, iż powoływanie się na dokumenty kościelne w tekście z pogranicza psychologii i historii może wzbudzić kontrowersje. Jednak poza wykorzystywaną tu przeze mnie encykliką Jana Pawła II *Fides et Ratio* nie znam innego tekstu współczesnej kultury, który by tak wyraźnie traktował o zasadach podstawowych przyjmowanych powszechnie i nie ograniczonych do jednej tylko perspektywy filozoficznej.

¹⁹ Np. R. J. Lifton, *From Hiroshima to the Nazi Doctors. The Evolution of Psychoformative Approaches to Understanding Traumatic Stress Syndromes* [w:] *International Handbook of Traumatic Stress Syndromes*, red. J. P. Wilson, B. Raphael, New York 1993, s. 11–23.

swoiste „laboratorium”, ukazując istotę ludzką w jej ważnych, być może bardziej podstawowych niż codzienne zachowania, aspektach. Raz jeszcze pozwałam sobie wrócić do problematyki wartości moralnych. Jak już sygnalizowałem, nie wyczerpują one zagadnień antropologicznych związanych z doświadczeniem stalinowskich prześladowań, niemniej jednak stanowią jego część centralną. Można wręcz mówić o swoistej „moralizacji” życia „za kratami”. Na przykład respektowanie zasady niesprzeczności w warunkach przesłuchania, bez niepotrzebnej brawury, stawało się kwestią tyleż strategiczną, co etyczną. Stosunek do tych, którzy się załamali, boleśnie ukazywał praktyczny wymiar pytań o godność człowieka. Możliwość poznania dobra, prawdy, Boga czasami bywała przedmiotem nie planowanych przez władze rozmów oprawców z więźniami. Przykłady tego typu można by mnożyć niemal w nieskończoność. Znaczenie perspektywy moralnej łączy sytuację więźniów okresu stalinowskiego w Polsce z doświadczeniem osób dotkniętych przez inne tragedie dziejowe naszego stulecia. W tym miejscu szczególnie zbiegają się ustalenia badaczy przeżyć świadków historii z myślą antropologiczną Karola Wojtyły. Według cytowanych już Liftona, Domingueza i Weinstein nie można wyjaśnić doświadczeń ludzi uwikłanych w skrajnie trudne doświadczenia z przeszłości bez odwołania się do problematyki moralnej. Z kolei zdaniem krakowskiego filozofa, a obecnie papieża, moralność stanowi w ogóle węzłowy problem antropologii, jest ściśle związana z istotą człowieka (ten aspekt myśli Wojtyły podkreślają różni komentatorzy). Takie porównanie wspomnianych perspektyw teoretycznych pozwala sprecyzować zgłoszoną wcześniej sugestię dalszych interdyscyplinarnych rozważań nad sensem przeżyć więźniów politycznych okresu stalinowskiego.

Postulowane analizy uwzględnić powinny jeszcze jeden istotny aspekt. Jako centralny wymiar doświadczenia osób represjonowanych w Polsce (a także, jak myślę, w innych krajach doświadczonych przez stalinizm bądź podobne mu systemy) jawi się wielorako rozumiana samotność. **Więźniowie, samotni w obliczu śledczych, podczas odbywania kary „pojedynki”, a także w „zwykłych” celach, gdzie obowiązywała dyskrekcja spowodowana choćby (ale nie tylko) działaniem „kapusiów”, okazują się w pewien sposób skazani na samotność również obecnie. Jest to samotność dziedzictwa nieporównywalnych – nawet z innymi osobami represjonowanymi – sytuacji, doświadczeń czy powięziennych dróg życiowych.**

Niewykluczone, że postawa wobec samotności stanowi w ogóle bardzo istotny problem natury ludzkiej, specyficznie odkrywającej swe tajemnice

w warunkach stalinowskich kazamatów²⁰. Jeśli tak jest, to trudno przecenić rolę świadectw indywidualnych biografii, szczególnie tych ludzi, którzy się nie poddali.

Dawanie świadectwa prawdzie, tak ważne dla pokolenia więźniów politycznych lat stalinowskich, przebija z każdej strony *Z archiwum pamięci*. Jednakże pomimo niezwyklej drobiazgowości Autorka pominęła dwa, na pewno nie najważniejsze, ale warte przypomnienia fakty ze swojej biografii. Otóż otwartość, energia i przenikliwość Pani Ruty Czaplińskiej walnie przyczyniły się do powstania przynajmniej dwóch prac doktorskich: jednej z historii i jednej z psychologii. Prace te napisali autorzy *Głosu historyka* i *Głosu psychologa* zamieszczonych w niniejszej książce.

Warszawa, 19 maja 2000 r.

Tomasz Ochowski

²⁰ Tę sugestię zawdzięczam A. Tarnowskiemu z Wydziału Psychologii UW.

Głos polonisty

Pani Rucie Czaplińskiej

młody ksiądz mówi o śmierci
zamykając ogniki głosek
w kształtnych zniczach ust
każe nam nosić ciężar bólu
a uśmiech nie znika z jego twarzy
grabarze sypią mokrą ziemię
która odbija się od desek trumny
echem życia

Tomasz Przedpełski



Z ARCHIWUM PAMIĘCI

1. Z uśmiechem w przeszłość

Miałam wtedy dziesięć lub jedenaście lat. Rodzice oddali nas, to jest mnie i starszą siostrę Bognę²¹, do gimnazjum sanatoryjnego pod wezwaniem św. Teresy w Rabce. Gimnazjum to było prowadzone przez Irenę, Zofię i Krystynę Szczuka oraz ich matkę Marię Sroczyńską. Mieściło się wtedy w dzierżawionej prywatnej willi „Jaworzyna”, położonej niedaleko Słonki i u podnóża góry Bania. W czasie rekreacji chodziło się do lasu na tę Banię i tam nasze bardzo młode oczy wypatrywały różnych „niebezpiecznych” śladów, uważając, że jacyś bandyci szykują napad na naszą szkołę. Pełniłyśmy nocne – dobrowolne, a całkowicie zakazane – dyżury w obronie naszego zakładu. A potem założyłyśmy już własną organizację pod nazwą Tajne Koła Młodzieży Polskiej. I założenia, i hasła były bardzo szczytne. Miałymy bronić wartości religijnych i patriotycznych. Od dziecka wiedziałyśmy, że nasza babcia – mama ojca – prowadziła tajne nauczanie, za które już w wolnej Polsce została odznaczona orderem Polonia Restituta. Siostra naszej matki była bardzo zaangażowana politycznie, przewoziła „bibułę”, zajmowała się organizowaniem młodzieży, aresztowana przez władze rosyjskie po wyjściu z więzienia miała zakaz opuszczania Warszawy. Zakaz ten stale łamała, jeżdżąc nie tylko do rodzinnego domu, ale po całym obszarze Krakowa, a także za „kordon”.

Podobny stosunek do Ojczyzny miały i nasze rówieśniczki. Toteż, gdy okazało się, że jedna z nas ma możliwości wydrukowania ulotki, zapaliłyśmy

²¹ Rodzeństwo Ruty Czaplińskiej – siostry: Bogna, ur. w 1917 r. i Maria, ur. w 1921 r. oraz bracia: Szymon, ur. w 1915 r. – poległ 11 IX 1939 r., Wojciech, ur. w 1923 r. – rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. i Kazimierz, ur. w 1923 r.

się natychmiast do tego pomysłu. I... w czasie wakacji, gdy cała rodzina siedziała przy stole, przywieziono pocztę z Janowca. Ojciec wyjął gazety, a Matka listy. I nagle słyszymy przerażony głos Mamusi: „Tadziu! Spójrz, co to jest? Trzeba chyba dać znać na policję”. A to była właśnie nasza ulotka, która się szczęśliwie zachowała u naszej koleżanki – pomysłodawczyni. I ten podpis: „Tajne Koła Młodzieży Polskiej”. Więc na to obie z siostrą powiedziałyśmy, że to my, że to nasza ulotka. I wtedy nastąpiła ogromna reprimenda ze strony Matki. – „Jak to? W wolnej Polsce tajne koła? Jak mogliście coś podobnego wymyślić? Po tylu latach niewoli jesteśmy w wolnej Ojczyźnie, a wy chcecie uprawiać tajną działalność?” Mamusia nie mogła zrozumieć naszego tłumaczenia, że przecież to wszystko, czym byliśmy karmieni – to była tajna, niebezpieczna praca dla Ojczyzny. Czy można było wtedy pomyśleć (rok 1928 czy 1929), że kiedyś przyjdzie czas, w którym tajna działalność będzie podejmowana właśnie w obronie Ojczyzny?

Mój Ojciec, Tadeusz Czapliński, urodzony w 1897 r. w Sycynie, po działach majątkowych dostał folwark Waclawów. Był z zawodu i z zamiłowania rolnikiem, ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego Matka – Janina – była prawdziwą społeczniką i patriotką. Prowadziła nauczanie dzieci wiejskich i dorosłych nie tylko u siebie w domu w Sycynie, ale (po związaniu się z Polską Macierzą Szkolną²²) zakładała i hospitaowała liczne szkoły w obrębie kilkudziesięciu kilometrów. Ojciec ożenił się z moją Matką – Józefą w 1913 r. Ojciec Matki – Józef Marcinowski był emisariuszem w powstaniu styczniowym, za udział w którym został zesłany na Sybir, a jego majątek Sory, sąsiadujący z Zułowem Piłsudskich, musiał zostać sprzedany. Dziadek – chrestny ojciec Marszałka – kupił w 1891 r. majątek Janowice²³ dla zabezpieczenia bytu rodzinie i najmłodszej córecz-

²² Polska Macierz Szkolna powstała w Warszawie w 1905 r. Do jej zadań należało organizowanie i wspieranie szkół polskich różnych stopni, przede wszystkim ludowych oraz szerzenie czytelnictwa przez organizowanie sieci bibliotek stałych i wędrownych. W 1907 r. władze rosyjskie zakazały jej działania. Wznowiła swoją działalność ponownie w roku 1916 i kontynuowała ją po odzyskaniu niepodległości, skupiając się na walce z analfabetyzmem oraz rozwoju szkół powszechnych i średnich.

²³ Janowice to majątek położony nad Wisłą – kilometr od domu, którego już nie ma, a 3 km od najbliższego miasteczka Janowca nad Wisłą. Po komasacji wsi Janowiec powstała Kolonia Janowicka, oddalona od rodzinnej wsi o około dwa kilometry. Waclawów leży w odległości 21 km od Janowic. Kroczów, należący do moich wujostwa Rutkowskich, jest oddalony 5 km od Waclawowa (przyp. autorki).

ce (mojej Matce), która była o dwadzieścia lat młodsza od najstarszej córki Marii. Ta ostatnia, po utracie wzroku przez moją Babunię, stała się drugą matką dla swojej siostry, a po naszym urodzeniu, na Jej prośbę, naszą Babunią Młodszą dla odróżnienia od Babuni Starszej. Babunia Młodsza współpracowała w czasie wojny z Aleksandrą Piłsudską, razem prowadziły herbaciarnię dla legionistów w Kozienicach i Dęblinie. Babunia Marcinowska (Starsza) założyła ochronkę dla dzieci oraz starała się krzewić kulturę i miłość Ojczyzny. Po śmierci ukochanego męża i utracie wzroku nawiązała kontakt z matką Różą Czacką²⁴, twórczynią Dzieła Lasek i przepisywała dla niewidomych książki pismem Braille’a.

2. Śmierć Domu

Zimą roku 1944 otrzymałam z domu wiadomość o chorobie Ojca. Matka napisała, żebym się zwolniła z pracy i wróciła do domu, aby się zająć gospodarstwem. Byłam wówczas powiatową instruktorką hodowli drobiu w powiatach Łowicz i Skierniewice. Nie była to dla mnie łatwa decyzja. Zażyłam już samodzielności, lubiłam swoją pracę, bo przynosiła korzyści hodowcom, a więc i naszej gospodarce. Miałam dobre stosunki w pracy i wśród ludzi, dla których pracowałam. Byli wśród nich właściciele ziemscy i gospodarze. Miałam tam też bliskich przyjaciół: Hanię, koleżankę jeszcze z czasów rabczańskich, jej męża oraz rodziców, mieszkających w majątku Czerniew, gdzie byłam traktowana jak domownik. Miałam tam nawet swoje miejsce przy stole. Z mężem Hani, Włodkiem Thunem, jeździliśmy razem rowerami na weekend, a matka Hanki zawsze mnie zaopatrywała w jakieś wiktuały, tak jak i zięcia. Hanka od wiosny do późnej jesieni była u rodziców w Czerniewie.

Musiałam pozatławić wszystkie formalności i w marcu pojechałam do Janowic. Ojciec mój zachorował początkowo na grypę. Matka obawiała się

²⁴ Róża Czacka – imię zakonne Elżbieta (1876–1961), organizatorka opieki nad niewidomymi w Polsce, franciszkanka. Utraciła wzrok w 22 roku życia. W 1910 r. założyła istniejące do czasów obecnych Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, które zajęło się organizowaniem placówek opiekuńczo-wychowawczych, zakładów kształcenia zawodowego i różnych form opieki otwartej nad niewidomymi. Od 1916 r. w zakonie franciszkańskim, w 1918 założyła zgromadzenie Franciszkanek Służebnic Krzyża, którego głównym zadaniem jest praca wśród niewidomych. W 1922 r. rozpoczęła w Laskach pod Warszawą budowę nowoczesnego ośrodka kształcenia niewidomych, którym kierowała do 1950 r.

u niego wszelkich infekcji i gorączki ze względu na bardzo poważną wadę serca. Grypa niby się skończyła, ale choroba trwała nadal. Ojciec miał stałą gorączkę, był bardzo słaby i leżał. Lekarze nie umieli postawić diagnozy. Dr Perzyna, który znał organizm Ojca, na podstawie badań osłuchowych nie stwierdził żadnych niekorzystnych zmian w sercu. W tym czasie w domu poza Rodzicami była jeszcze Babunia Młodsza, Zulka Kruszevska, Marysia z Bolkiem²⁵ i dziećmi oraz ja. Był jeszcze początkowo rządca – pan Bagiński. My z Bolkiem mieliśmy się zająć gospodarstwem. Ojciec słuchał naszych sprawozdań i wydawał odpowiednie dyspozycje. Gdy się chciałam dowiedzieć, jaki był przedplon na danym polu, to informacje otrzymywałam od pracowników, karbowego czy fernali. W tym naszym gospodarowaniu zdarzały się też zabawne incydenty. Mieliśmy wysiać groch na Powiślu, dyrygował tym Bolek. Składa Ojcu sprawozdanie, który go pyta o rozstawę. Okazuje się, że była za duża i Ojciec kazał, żeby wysiewać dalej, ale ściśle według jego wskazówek. Bolek – inżynier – potraktował pole jak stół kreślarski, kazał zabronować część, na której groch był już wysiany, i wysiać ponownie. Bardzo zabawnie wyglądał ten kawałek pola z podwójnymi rzędami grochu.

Ojciec czuł się coraz gorzej. Do lekarza było daleko i trudno go było sprowadzić na czas. Przyjeżdżał dr Perzyna ze Zwolenia i dr Pakowski z Puław. Pewnego wieczora, gdy właśnie był u nas dr Pakowski, wtargnęła grupa „partyzantów” spod znaku BCh, idących ramię w ramię z AL. Z domu zabierali, co im pod rękę wpadło; jeden z nich, nie pamiętam już jego imienia czy pseudonimu, rośły, potężnie zbudowany mężczyzna domagał się ode mnie i Matki czegoś, czego już w domu nie było, groził, wycelował lufę karabinu we mnie i w Matkę. Twierdziłyśmy, że żądań nie spełnimy, bo nie mamy tego (pieniądze, krowy, świnie? – nie pamiętam). Mężczyzna zaczął wchodzić na górę, twierdząc, że wymusi to od naszego Ojca. A wtedy ukazała się postać dr. Pakowskiego. Stał przed drzwiami i powiedział, że jest lekarzem i że ich do chorego nie wpuści. I rzeczywiście nie wpuścił. Bandyta zrejterował, kazał się zaprowadzić do spiżarni i tam jeszcze nabrał, co było do wzięcia. A było tego coraz mniej. Z domu znikwały wszelkie zapasy żywności, gotówka, ubrania, a z gospodarstwa inwentarz. O pieniądze było zresztą coraz trudniej, bo nie było co sprzedawać. Po spaleniu wielkiej sto-

²⁵ Szwagier Bolesław Knabe.

doły wraz ze zbiorami, maszynami i narzędziami przez „partyzantów” z GL lub AL, którzy ją podpalili i nie pozwolili nic ratować. Ojciec zbudował niedużą stodołę, a ostatnim jego zakupem była nowa młockarnia. Nie wyobrażał sobie gospodarowania bez koniecznych inwestycji. Pamiętam, jak Bolek namawiał go na sprzedaż żrebaków i Ojciec nie chciał się na to zgodzić, żeby nie dewastować gospodarstwa. W kwietniu 1944 r. – o ile pamiętam – Mamusia zdecydowała się pojechać z Ojcem do sąsiedztwa, położonego blisko Zwolenia, i do lekarza. Był to majątek Strykowice, należący do pp. Karczewskich. Ten wyjazd bardzo głęboko przeżyliśmy wszyscy. Było to pożegnanie domu. Ojciec taki słaby wsiadał do karety; wrócił, ale już tylko na cmentarz.

Pamiętam, że tuż przed wyjazdem Rodziców pojawili się u nas Zosia Faszczówna (Wolska) i Leszek Roszkowski²⁶ – mój późniejszy szef z konspiracji. Przyjechali oboje z Wałowic, należących do Hemplów. Jechali do Warszawy i wstąpili do nas. Byli świadkami odjazdu Rodziców. Na drugi dzień odwoziłam ich do Klikawy do pp. Lipskich, skąd pojechali do Warszawy. Zosia miała przy sobie „spluwę”, mówiła, że chociaż jednego Niemca musi ubić. Aresztowana w 1940 r., uciekła z Szucha, ukrywała się jakiś czas u nas, potem w Boiskach, a w końcu w Wałowicach. Wyszła szczęśliwie z Powstania, spotkała się z Matką na rynku w Grodzisku i przepadła bez wieści w czasie frontu, jadąc z Radomia do Częstochowy, gdzie była wtedy jej matka.

Do Strykowic dojeżdżałam co jakiś czas, dając sprawozdanie z wykonanych robót i otrzymując od Ojca wskazówki. Pobyt Rodziców w Strykowicach nie trwał długo. Stan Ojca się nie poprawiał, choroby nie można było zdiagnozować.

Matka postanowiła jechać z Ojcem do Warszawy. Zamieszkali początkowo u cioci Kryni Faszczowej, ale wkrótce Ojciec został oddany do szpitala

²⁶ Lechosław Roszkowski – „Tomasz” (1916–1948), oficer NSZ, NZW, prawnik. Początkowo w NOW, następnie (do 1942 r.) NSZ. Uczestnik Powstania Warszawskiego w kompanii kpt. Kazimierza Leskiego („Bradla”). Po upadku powstania zbiegł z transportu do obozu jenieckiego, od 1945 do 1946 r. w NSZ i NZW, gdzie był szefem kolportażu przy Oddziale Propagandy KG NSZ-AK (następnie NZW). Kolejno pełnił funkcje szefa łączności i kierownika personalnego wydziału organizacyjnego KG NZW. Od 1945 r. zastępca szefa, następnie szef I Oddziału (Organizacyjnego) KG NZW. Od lutego 1946 r. był członkiem komisji wojskowej przy prezydium SN. Aresztowany 6 IV 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 XI 1947 r. skazany na karę śmierci. Stracony 15 I 1948 r.

Dzieciątka Jezus. Był tam pod opieką prof. Orłowskiego, którego diagnoza brzmiała: zapalenie wsierdza. Aby móc tę diagnozę potwierdzić, trzeba było wykluczyć inne schorzenia. Badania były bardzo męczące, usunięto Ojcu wszystkie zęby. Robiono różne, dostępne wówczas analizy, które potwierdziły tę wstępną diagnozę i właściwie wyrok, bo nie było wtedy antybiotyków, którymi można by chorobę zwalczyć. Do Warszawy przyjeżdżałam od czasu do czasu. Pamiętam, jak byłam ostatni raz. Ojciec powiedział: „Nie mogę ci, córeczko, już nic poradzić”. To było takie straszliwie smutne.

A w domu? W tym opustoszałym domu trzeba było żyć i pracować. Spadło na mnie wiele obowiązków. Najpierw wyjechała Marysia z Małgosią do Opyp, do Bogny, która wynajęła chałupę dla siebie i dzieci, bo z racji napadów bała się przyjechać do Janowic, ponadto łatwo jej było dojechać z dziećmi w razie choroby do lekarza. Bolek początkowo jeszcze został, ale potem zaczęli na niego robić zakusy, że go złapią do partyzantki aelowskiej, więc też musiał wyjechać. Trzeba było zająć się domem, ogrodem i gospodarstwem. Miałam 25 lat, a nie miałam żadnego doświadczenia, ani w kierowaniu ludźmi, ani w prowadzeniu gospodarstwa rolnego.

Zanim wyjechała Marysia z małą Małgosią i byliśmy razem, było inaczej, chociaż dręczył dodatkowy lęk o nią (była w drugiej ciąży, z Krysią). Były różne dobre chwile, czasem nawet zabawne, a także i bardzo, bardzo dramatyczne. Z tych zabawnych momentów jeden utkwił w pamięci. Byłyśmy obie w kuchni, Marysia coś gotowała dla Małgosi w małym garnuszku, a ja siedziałam sobie na stole kuchennym z Małgosią na kolanach. Nie było nikogo ze służby, ani Mani, ani Janki Kopaniówny. Wtedy do kuchni weszła kobieta – obca – i zaczęła opowiadać, że bardzo potrzebuje czarnej rzodkwi, bo doktor powiedział, że to dobre na głupotę dla jej męża. Mówiła dosyć nieskładnie, ale wystarczająco, by zrozumieć, że tej rzodkwi potrzebuje. Wstałam ze stołu, oddałam Małgosię Marysi i powiedziałam, że pójdę do piwnicy po tę rzodkiew. Gdy wróciłam i dałam kobiecie, ta podziękowała i poszła, ale zobaczyłam, że Marysia jest czymś bardzo ubawiona. Okazało się, że wywiązała się między nimi w czasie mojej nieobecności krótka rozmowa: „A gdzie pani dziedziczka?” – pyta. Na to Marysia „Właśnie poszła”. „Taka młoda i już ma dziecko?” „To nie jej, to moje”. „A co mi tu pani opowiada, a gdzie by to pani dziedziczka pańskie dziecko bawiła?” „A kiedy to moja siostra!”

Razem też przeżywałyśmy pacyfikację Janowca. Było to chyba w maju. Janowiec był obstawiony, zjechała tam żandarmeria, zapędzono wszystkich

mężczyzn na cmentarz kościelny, kilkudziesięciu aresztowano i wywieziono. Kilkunastu zostało potem rozstrzelanych w Zwoleniu, innych wywieziono do Oświęcimia. Był to straszliwy pogrom. Pierwszą konkretną wiadomość otrzymaliśmy od p. Stanisławy Szypułówny, która w Janowcu była i opowiedziała, co się wydarzyło. Zaaresztowano tam wtedy i naszego proboszcza. Został wikary ks. Wąsik. Innym razem przeżywałyśmy napad grupy AL, pod dowództwem „Brzozy”, był w niej też jeden sowiecki żołnierz. Pamiętam, jak wtargnęli do pokoju Babuni, a tam były schowane lekarstwa na potrzeby sanitariatu AK. Zachowywali się niesłychanie brutalnie, Marysi zrobiło się słabo. Na moją uwagę, że jest w ciąży, usłyszałam, że teraz nie pora na rodzenie dzieci. Już nie pamiętam, co zabrali, ale nasze napięcie było ogromne. Zresztą tak było przy wszystkich napadach, w oczekiwaniu na walenie do drzwi i okiennic (ich nadejście było zawsze anonsowane przez psy, coraz głośniejsze szczekanie doprowadzające bandziorów do samego domu). Pamiętam taki moment, kiedy (jeszcze Ojciec był zdrow) jedliśmy kolację i usłyszeliśmy narastające szczekanie psów – wszystkim nam widelce zawisły w powietrzu. Wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu. Któregoś dnia, bardzo wcześnie, zostałyśmy z Marysią obudzone nadejściem „desantów”, jak nazywano potocznie wszystkie obce grupy. Tym razem okazało się, że jest to grupa akowców, którzy przyjechali do nas z Janowca, całkiem otwarcie, wozem strażackim i zażyczyli sobie śniadania. Byli bardzo rozkoszni, śpiewali „partyzanckie tango” itp., nie zdając sobie zupełnie sprawy z głupoty swego postępowania, z tego, że cała służba, wszyscy ich dobrze znają, że narażają nie tylko siebie, ale i nas. Kompletna beztroska. Ta „wizyta” nie pozostawiła na nas dobrego wrażenia i nie wróżyła nic dobrego. No i – niestety – koniec był tragiczny.

Bolkowie wyjechali chyba w samą porę. Po pamiętnej pacyfikacji Janowca posterunek policji granatowej został rozbity, poczta zlikwidowana. Listy dostawało się przez jakąś okazję, do najbliższego telefonu trzeba było jechać do Puław, Zwolenia czy jeszcze dalej. Front się zbliżał. Ludzie byli skłóceni politycznie. Jedni należeli do AK, inni do NSZ, jeszcze inni do BCh (na tym terenie raczej do odłamu idącego razem z AL) i wreszcie inni należeli lub raczej sympatyzowali z komunistami i AL. Byli skłóceni, mieli między sobą jakieś porachunki i żywili do siebie wzajemne pretensje. Z tymi właśnie pretensjami zgłaszali się do mnie, a ja musiałam przedstawić im swoje zdanie. Nie mogłam powiedzieć, że sobie rozważę, pomyślę i odpowiem. To było zawsze bardzo ciężkie przeżycie dla mnie, rozwiązać

dany problem, starać się nie jętrzyć, ale pogodzić zwaśnione strony. Jedni donosili na drugich itd.

Pamiętam, jak raz, gdy byłam daleko na stawach, spotkałam jakiegoś człowieka, zapytałam, co tutaj robi. W odpowiedzi obrzucił mnie takim stekiem wyzwisk, że oniemiałam. Był blisko, po drugiej stronie rzeczki, wystarczyło zrobić parę kroków przez płyciutką wodę, a ja byłam sama, zupełnie sama. Nie mogłam wprost uciekać, przecież to byłoby poniżej mojej godności. Nie pamiętam już, czy i co mu wtedy powiedziałam, a jedynie, że po jakimś czasie bardzo spokojnie zawróciłam w stronę domu. Innym razem, a to było już po śmierci Ojca i była już Mamusia, przybiegli do nas z podwórza, że „desanty” idą i żebyśmy obie z Mamą schowały się szybko w budzie Rybaka, kobiety w ogrodzie mają motyki i łopaty, a i mężczyźni też coś mają pod ręką i nie dopuszczają, żeby „te desanty” znów zabrali nam cukier, czy inne produkty przeznaczone do wydania, jako część ich płacy. Okazało się wtedy, że zażądali jedynie podwody, pojechał któryś z fernali i wrócił. Innym razem zabrali rano Błaszczyńskiego z końmi, gdzieś mu kazali jechać. Wrócił tak roztrzęsiony, że od tego czasu starannie się ukrywał, żeby go powtórnie nie wzięli. Ja w domu miałam tylko praktycznie to, co na sobie. Ubrania, bieliznę na zmianę, wszystko miałam na wsi u Mani, która mi przynosiła w razie potrzeby. Gdy wracałam do domu, burkę zdejmowałam na podwórzu, zabierał ją Błaszczyński do swego domu i nie zajeżdżał już przed ganek.

Ktoregoś dnia siedziałam na ganku i czytałam listy, akurat ktoś przywiózł pocztę. Jak dziś pamiętam, czytałam właśnie list z Kociszewa od wujostwa Hłasków, gdy usłyszałam tętent bryczki, czy innego „szlachetnego” pojazdu, a nie wozu. Zobaczyłam, że ktoś wjeżdża przez bramę. Była bryczka i konie z Łagowa, a na niej siedziało trzech czy czterech ludzi. Wysiedli i od razu do mnie, co czytam, wyrwali mi listy z ręki. Przedstawili się, że są żandarmerią AL, jeden z nich „Serce”, a drugi „Ryszard” – tych zapamiętałam. Byli okropni, nie pamiętam, co zabrali, czym grozili, ale zostawili po sobie jakiś przejmujący lęk. Potem okazało się, że to oni ściągnęli jadących bryczką Jana Pieniążka i jego siostrzeńca Zygmunta Osieckiego, zamordowali i płytko zakopali w lesie. Znalezione ciała po iluś tam tygodniach. Ich pogrzeb odbył się już po śmierci naszego Ojca. Atmosfera była straszna. Cała rodzina Osieckich mieszkająca w Łagowie wyjechała. Byli całkiem odosobnieni. Nie byłam sama na pogrzebie, ale była Mamusia i wuj

Adam Rutkowski. Ten pogrzeb jakże kontrastował z pogrzebem naszego Ojca, do którego jeszcze wrócę.

Po wyjeździe Bolków zostałyśmy tylko trzy: Babunia Młodsza, Zulka Kruszevska i ja. Zula towarzyszyła mi w najcięższych momentach, to znaczy, gdy „desanci” walili do okna i drzwi. Była przy mnie, gdy otwierałam im drzwi wejściowe, co było dla mnie dużym wsparciem. Nigdy nie wiedziałam, czym się taka wizyta skończy, bo zaczynała się stereotypowo: „Kto jest obcy w domu?!” Chciałam zawsze odpowiedzieć: „to wy”, ale mi na to brakło odwagi. Potem były takie i inne żądania, penetrowanie domu i spiżarni, zabieranie tego, co się tylko im nadawało, żądanie inwentarza, który z dnia na dzień, a raczej z nocy na noc topniał. Dochodziły do nas różne wiadomości o gwałtach i morderstwach przez nich popełnianych. Słyszało się o takich pseudonimach budzących grozę, jak „Cień” i „Brzoza” – tego ostatniego zdążyłyśmy z Marysią poznać. Zrozumiałe, że będąc sama i młoda, nie mogłam sobie pozwolić na normalny sen – spałam na dole w pokoju rodziców – i położenie się do łóżka. Zасыpiałam nerwowym snem w ubraniu, a dopiero gdzieś około drugiej w nocy kładłam się do łóżka na parę krótkich godzin, bo trzeba było się zrywać na dzwonek i biec na podwórze, żeby wydać dyspozycje ludziom. Potem do domu, wydać dyspozycję na obiad, jeszcze do ogrodu, zobaczyć, co tam się robi. A potem znów gdzieś w pole. Nigdy nie udawałam mądrzejszej, niż jestem. Zawsze otwarcie mówiłam, że się nie znam, że nie wiem, i pytałam się bardziej doświadczonych fernali. Przede wszystkim o to, co było siane w poprzednim roku na danym polu. Bagiński mówił mi głupstwa, a ja po skończeniu kursów hodowli drobiu w Julinie, gdzie miałyśmy trochę wykładów z uprawy i hodowli, miałam słabą orientację co do płodozmianów. Front się zbliżał.

Któregoś dnia przyszli Sołtykowie²⁷ z wiadomością, że wyjeżdżają z Brześć²⁸ i radzą nam też to zrobić. Mamusia już wtedy była. Stanowczo odmówiliśmy wyjazdu, ale chodziło nam o Babunię. Pamiętam, jak bardzo ją prosiłyśmy, żeby zgodziła się wyjechać, aby być bezpieczna. Babunia cierpiała na stwardnienie rozsiane i poruszała się po domu przy pomocy laski, do ogrodu chodziła o dwóch laskach, ale to była niewielka przestrzeń do pokonania, o dalszej drodze pieszko nie można było marzyć. Babunia ze łzami błagała, żeby mogła zostać z nami. Czyż można było odmówić? Pewnego

²⁷ Tadeusz i Witold Sołtykowie.

²⁸ Brzeście – wieś na pograniczu powiatu puławskiego i zwoleńskiego, 2 km od Janowic.

dnia przyszedł do mnie pracownik Stefan Kostka – komunista. Powiedział, że nie mam nigdzie wyjeżdżać, że on mi da znać, gdyby to było konieczne. Jemu zależy na tym, żeby gospodarstwo nie poszło w rozsypkę – czy coś w tym rodzaju. Później – już w czasie frontowych działań, gdy byliśmy w kolonii janowickiej – powiedział mi, że ma u siebie naszego konia, ale odda, gdy się działania skończą. Ciszek – nasz gajowy – przychodził do nas z tym, żeby nie wyjeżdżać i zostać w domu. W razie czego, żebym przyszła do nich do domu i mogę tam być jego córką czy siostrą, ale żeby nie opuszczać majątku. Takie było nastawienie ludzi. Chociaż było też i inne. Donoszono mi, że ludzie z Janowca przyjeżdżają i wycinają ze stert siano, wycinają drzewo z lasu – na to nic nie można było poradzić. Nasi ludzie sami ich się bali.

Któregoś dnia Mania – kucharka, córka naszego ogrodnika – bardzo zaniepokojona wzywa mnie: „Panienko, ludzie od rzeczki po wypłatę”. Wyszłam do nich przed kuchnię. Ojciec prowadził regulację naszej rzeczki. Oni przyszli po wypłatę, która im się należała, a ja w kasie nie miałam żadnych pieniędzy. Nie ma nic do sprzedania, jest przednówek, czekam na zbiory rzepaku. Jakies za coś uzyskane pieniądze muszę przecież przekazać do Warszawy dla Rodziców. Wyglądają groźnie, mają łopaty na ramionach. Domagają się pieniędzy. Mówię do nich, że wiem, że im się należą. Rozumiem, że są im potrzebne, ale ja naprawdę ich nie mam, że szukam możliwości sprzedania czegoś, że sami wiedzą, jak nam wszystko zabierają, że ostatnio nawet sami nie mogliśmy zładować z wozu cukru przeznaczonego na ordynarię i wypłatę, bo został zabrany przez „desantów”. Już teraz nie pamiętam, co jeszcze miałam na myśli, mówiąc o zdobyciu gotówki, poza rzepakiem, którego zbiory zapowiadały się bardzo dobrze. Pamiętam jedynie, że po tej całej do nich przemowie (także o tym, że Ojciec choruje w Warszawie), jakoś się rozluźnili, zmienili i ton głosu, i postawę, i usłyszałam: „Niech panienka nadal nami rządzi, ale jeżeli będzie coś nie tak, to pojedziemy do Warszawy i przywieziemy tu Pana Dziedzica, żeby nami rządził”. Może to nie jest zupełnie dosłownie, ale tak to jakoś brzmiało. Wiem, jak bardzo odetchnęłam z ulgą i jak ucieszona była Mania²⁹.

²⁹ Mani oddałam na przechowanie swój pierścionek (przetopiony znajduje się obecnie w obręczach Krzysia i Danusi) – oddała go po wojnie Mamusi razem z jakąś – też przeze mnie zostawioną – letnią sukienką. To taka dygresja, dająca świadectwo o naszej Mani Chmielowskiej (przyp. autorki).

W końcu czerwca był następny napad. Zabrano nam żrebaki trzylatki. W Wysokim Kole był targ. Powiedziałam Błaszczyńskiemu, że pojedziemy tam, bo może znajdziemy nasze żrebaki, a ja zadzwonię do Warszawy. Ten targ był naprawdę pretekstem do wyjazdu i do zatelefonowania do Warszawy. Była to jedyna możliwość, bo przecież w tych warunkach nie mogłam sobie pozwolić na wyjazd z domu. Pojechaliśmy. Oczywiście, żrebaków ani śladu. Idę na pocztę, telefonuję do teściowej Bogny, pani Konstancji Grabowskiej, pytam o Ojca i słyszę, że właśnie umarł... Wracamy do domu. Po drodze mówię o tym Błaszczyńskiemu i wstępuję do Janowca, żeby powiadomić księdza i ustalić pogrzeb. Wchodzę do domu, idę na górę do Babuni. Pyta mnie, a ja nie mam siły odpowiedzieć. Rozumie i tuli mnie do serca.

Idę na podwórze i proszę Stelmacha o przygotowanie bryczki, żeby powieźć trumnę z Tatusiem na cmentarz. To była duża bryka, specjalnie obstalowana przez Tatusia na nasze wyjazdy do szkoły, miała dwa szerokie siedzenia i miejsca na walizki. Pan Bagiński nazywał ją chyba „szaraban” czy coś w tym rodzaju. Po zdjęciu siedzeń służyła jako karawan, pierwszy raz przy pogrzebie Szymona, a potem Babci Jani Czaplińskiej. Tak miało być i tym razem. Prosiłam, żeby dziewczyny zrobiły girlandy z choiny. Cała prawie wieś z dziećmi zebrała się na błoniach przed cmentarzem janowieckim z kwiatami, jedliną, na przywitanie Ojca.

Na drugi dzień, w dniu pogrzebu, idę na podwórko i widzę, że bryka stoi nieruszona. Pytam Stelmacha o to, a on: „A bośmy uradzili, panienko, że my sami poniesiemy Pana Dziedzica na ramionach”. I tak było. Przez całą drogę od kościoła na cmentarz – około kilometra chyba – nieśli trumnę, zmieniali się, w jakimś wielkim porządku i skupieniu, byli razem z nami. W tym pogrzebie wszyscy byli uczestnikami, nie było widzów i gapiów.

Wszyscy przeżywali i odczuwali brak Ojca. Mamusia nie chciała nigdzie wyjechać, chciała zostać w domu, być razem ze mną. Przez jakiś czas był wujek Adaś Rutkowski – mój chrzestny ojciec, właściciel Kroczewa. Nigdy przedtem nie był mi tak bliski. Prawdę mówiąc, przyjaźnił się i przyjechał do Ojca, dla nas – dzieci – to był wujek Adaś, Adalo i tyle. Ale teraz przyjechał, żeby mi pomóc. Chodziliśmy razem w pole, udzielił mi wielu rad. I wtedy stał mi się tak bardzo bliski i bardzo się z nim zżyłam. Gdy już po opuszczeniu Janowic – przychodziliśmy z Mamusią z Wincentowa do Kroczewa, to nasze wzajemne stosunki opierały się już na zupełnie innych podstawach. Pamiętam, jak widziałam go po raz ostatni. Był chory, leżał

w łóżku i żegnałam się z nim z bólem, wiedząc, że odchodzi. Ale uprzedzam fakty.

Dni były pełne napięcia. Front zbliżał się wielkimi krokami. Na wsi też odczuwało się napięcie i podział. Pojawiły się ulotki o tworzeniu się rad folwarcznych, jednocześnie miały miejsce także inne wydarzenia. Jeszcze chyba przed wyjazdem Bolka poszedł do aelowskiej partyzantki młody Kostka, nie pamiętam jego imienia. Poszedł, ale po paru tygodniach biedny i wynędzniały wrócił i poprosił o przyjęcie do pracy. Oczywiście, został przyjęty. Opowiadał, że nie mógł już zdzierżyć tego, że oni szli na piechotę i na głodnego, i bez broni, a Ruscy jechali końmi, byli uzbrojeni i dobrze nakarmieni. To wyleczyło tego chłopca z komunizmu. Nie wiem, czy na całe życie, bo potem już o nim nie słyszałam.

Stefan Kostka przynosił mi wiadomości. Któregoś dnia powiedział: „Bolszewicy są już w Piaskach Luterskich, ale pani może siedzieć spokojnie. Gdyby coś było, to dam znać”. Wydaje mi się, że w promieniu wielu kilometrów byliśmy jedynymi, które nie opuściły domu. Gdy już robiło się bardzo „gorąco”, fornale (Skierzyński i jeszcze któryś – nie pamiętam) poprosili o umożliwienie im wywiezienia swoich rodzin do Wacławowa. Huki dział słychać było coraz to bliżej. Aż się zaczęło. Najpierw pojawili się u nas ksiądz i jeszcze parę osób z Janowca – że tutaj będzie bezpieczniej niż w miasteczku. Pamiętam kogoś chowającego się pod fortepian, gdy zaczął się ostrzał naszego brzegu Wisły. Fornale, którzy pojechali wywieźć swoje rodziny do Wacławowa, nie wrócili, a wraz z nimi nie wróciły konie i wozy. Tymczasem trzeba było robić żniwa rzepaku, który pięknie dojrzał. Wuj Adaś orzekł, że już czas. Pamiętam, że była wtedy u nas tylko jedna para koni, bo „desanty” ciągle nam zabierali resztki inwentarza. Pożyczyliśmy więc konie ze wsi. Wozy wyścieliło się płachtami. Robota zaczęła się bardzo wcześnie. Pamiętam, że trzeba było tak manewrować końmi, żeby można było obsłużyć i żniwiarkę, i przywóz rzepaku do spichlerza. Ludzie się zmieniali, ale ja nie miałam zmiennika i byłam na nogach cały dzień i całą noc. Kiedy rano następnego dnia poszłam do domu, umyłam się i dobiegłam na podwórze na dzwonek ranny wydać dyspozycję do pracy. Byłam bardzo zmęczona, ale wewnętrznie zadowolona i właściwie szczęśliwa, że sobie poradziłam.

W końcu lipca front zbliżał się do Wisły. Oglądaliśmy ostrzeliwanie Kazimierza. Chyba 30 lipca zaczął się ostrzał naszego brzegu i naszego domu. Zgromadziliśmy się wszyscy najpierw w pokoju rodziców, gdzie wspólnie modliliśmy się do Miłosierdzia Bożego, ale gdy pierwszy pocisk

trafił mury domu, przeszliśmy do przedpokoju. Gdy nastąpiła przerwa, poszliśmy do piwnicy w ogrodzie. Była ona podzielona na dwie części nie łączące się ze sobą. Od strony ogrodu była nasza część, a od drogi – służby folwarcznej, Ludwika i może Rybaka, już tego nie pamiętam. Wiem tylko, że tę pierwszą noc Babunia, Mamusia, Zulka i Irka Pawłowicz (koleżanka z Julina, która była instruktorką hodowli drobiu na powiat Radom i przyjechała do nas, ponieważ mieliśmy małą sztuczną wylęgarkę) spędziły w naszej części piwnicy, a Urszulka i ja byliśmy po drugiej stronie. Jakieś produkty wzięliśmy z domu, ale oczywiście szybko się skończyły, bo byli jeszcze uciekinierzy z Janowca. Pamiętam, że od Mamusi wzięłam rano chleb i dałam Uli. Ona zaczęła jeść ten chleb, leżąc na jakiś tobołkach, a wtedy Ludwikowa zawołała: „O, jaki to gzych, na leżący chlib jeść!” (ona miała szczególny sposób mówienia, trudno ją było zrozumieć, ale nie sposób opisać tej intonacji). Korzystając z przerwy w ostrzale, poszłam do domu, żeby coś przynieść. Ludzie z Janowca zdecydowali się wrócić do siebie. Nas na to też namawiali. Pamiętam, że było późne popołudnie, tzw. przedwieczerek, kiedy wyszliśmy z piwnicy i aleją „lipową” doszliśmy z Babunią do bramy na podwórze i potem jeszcze kawałek „akacją”. Gdzieś nad Janowcem widać było i słyszał pociski. Konia już nie było żadnego. Zdecydowałyśmy się wrócić do naszej piwnicy i tam spędziłyśmy już razem następną noc. Drugiego dnia stanął na progu jakiś niemiecki żołnierz – chyba oficer. W rękę trzymał pistolet, którym kręcił dookoła. Zaczął pytać, co my tu jeszcze robimy, i czy wiemy, że bolszewicy są już w Brześćcach, i że wejdą tu lada chwila i każą nam doły kopać na nasze groby. Wypytywał, jakie mamy kontakty z Ameryką. Domyśliliśmy się, że splądrowali już kantorek Babuni i znaleźli listy pisane przez Chrzestną ze Stanów. Sytuacja zaczynała być groźna: stał nad nami (dzieliło nas parę stopni w dół) i wymachiwał tą spluwą. Spojrzałyśmy z Mamusią na siebie i jednocześnie chyba powiedziałyśmy, że nie nie wiemy o przejściu Wisły przez bolszewików i że natychmiast wyjedziemy z Janowic. Chyba tylko taka szybka decyzja nas uratowała. Odszedł, a myśmy wyszły, prowadząc Babunię, z plecakami, które zdążyłyśmy poszyć, i z jakimiś walizkami, doszliśmy na podwórze. Na szczęście zobaczyłyśmy furmankę chłopską. Skąd ona się wzięła, nie wiem – ale to chyba Opatrzność nad nami czuwała. Babunia weszła na wóz, położyła trochę rzeczy, a z resztą ruszyliśmy na Kolonię Janowicką.

Babunia, Zulka i Irka Pawłowicz zostały przyjęte przez Cholewów, a Mamusia, Urszulka i ja zamieszkałyśmy u Burdynów. Dzieliła nas odległość

około 300 metrów i oczywiście byliśmy w stałym kontakcie z Babunią. Kilkakrotnie chodziłam z kobietami do Janowic. One uważały, że „z panienką będzie im ładniej”. Byłam tam zresztą za tłumacza, nie wiem jak, ale sobie jakoś radziłam. Pamiętam, jak ostatni raz byłam w domu, stacjonował tam sztab niemiecki. Wzięłam coś z pościeli i miałam wielką ochotę zabrać z jadalnego pokoju cukierniczkę, którą wszyscy bardzo lubiliśmy, ale to było już niemożliwe. W jadalnym siedzieli oficerowie niemieccy i nie miałam tam wstępu. Burdynowie pozwolili nam kopać kartofle i zrywać wiśnie. Były wspaniałe, dojrzałe. Nauczyli nas gotować z nich barszcz, który z kartoflami był świetny. Któregoś dnia Niemcy przynieśli gęś, żądając oskubania jej i ugotowania. Zrobiłyśmy to, ale cały rosół, do którego dorośliśmy kluski, z wielki apetytem zjadłyśmy razem z Burdynami, a Niemcom nalałyśmy drugi raz wody.

Irka Pawłowicz zdecydowała się wracać do Radomia, Babunia została z Zulą. Którejś nocy po silnym ostrzale artyleryjskim Niemcy kazali nam wyjść. Poszliśmy do Mszadli, a nazajutrz rano do Babuni. Obejście u Burdynów przedstawiało żałosny widok. Pamiętam, że leżał zabity paw. Burdyn zaprzęgał konia do wozu i ładował meble i inny dobytek. Błagałam go, prawie ze łzami, żeby zabrał Babunię, lecz nie chciał się zgodzić. Powiedział, że przyjedzie po raz drugi i wtedy Babunię zabierze. Ale Niemcy nikomu już nie pozwalali wracać. Myśmy jednak codziennie chodziły, tłumacząc, że idziemy do „Alte Frau”, i jakoś się udawało. Szłyśmy przez las. Grzybów była wtedy wielka obfitość. Nigdy takiej ich ilości nie widziałam w naszych lasach, ale wtedy nikt poza nami ich nie zbierał, a normalnie zawsze ktoś ze wsi nas wyprzedzał. Zbierałyśmy po drodze te grzyby. Obcinałyśmy trzony, żeby więcej zmieścić, i suszyłyśmy na słońcu. Zebrał się tego spory worek. Kiedyś znalazłyśmy leżący przy drodze koc wojskowy. Był marny, ale był. Zabrałyśmy go oczywiście i potem ufarbowałyśmy na ciemnowiśniowy kolor. Kawałek tego koca służy mi do tej pory za podkład do prasowania.

Nasz pobyt w Mszadli nie trwał długo. Któregoś ranka – Mamusia właśnie wybierała się z Urszulką do Babuni, a ja miałam zostać – Niemcy kazali nam opuścić także Mszadłę. Mężczyźni, do tej pory dobrze zadekowani, wychynęli ze swoich kryjówek, żeby przysposobić wozy, i wtedy Niemcy zabrali ich wszystkich do obozu. Spotkałam ich potem za drutami w Zwoleniu, zanim wywieźli ich do Niemiec, ale to dalsza historia. My z Urszulką z plecakami powędrowałyśmy do Ludwikowa, do pań-

stwa Jagminów. Po drodze Urszulka zasłabła, więc niosłam dwa plecaki, jeden na plecach, a drugi z przodu. Przy tej okazji paskudnie obtarłam sobie nogi. Państwo Jagminowie przyjęli nas bardzo serdecznie, twierdząc, że już od dawna na nas czekali. Stacjonował tam jakiś oddział niemiecki i Mamusia zwróciła się z prośbą o zezwolenie na pójście do Janowic, żeby odszukać Babunię. Był to teren przyfrontowy, a jednak Niemcy zgodzili się, żeby Mamusia z Urszulką poszły z nimi. Ja zostałam, bo nogi miałam całkiem do niczego. Bardzo się wtedy niepokoiłam o nie, i słusznie, bo to była niebezpieczna wyprawa. Okazało się jednak, że nie można dotrzeć na samo miejsce. Niemcy powiedzieli, że dalej iść nie można i że tam już albo nikogo nie ma, albo tylko same trupy. Obydwie wróciły nad ranem bardzo zmęczone.

Front znowu zaczął się do nas zbliżać. Państwo Jagminowie mieli załadowany wóz, namawiałam, żeby nie czekali dłużej, ale wyjechali, póki jeszcze można, oni jednak nie chcieli się zdecydować. My wyszliśmy razem ze znajomą państwa Jagminów i jej dziećmi wtedy, gdy przed dom upadł wielki odłamek pocisku. Wtedy powiedziałyśmy sobie z Mamusią, że to już dość. Zanim jednak wyszliśmy z Ludwikowa, namówiłam pana Jagmina na zebranie żyta, leżącego w pokosach. Pod jego kierunkiem znosiłyśmy snopy i budowałyśmy stertkę. Była mała i nieco krzywa. Naocznie się wówczas przekonałam, jaka to sztuka zbudowanie dobrej i stabilnej sterty.

Poszłyśmy z Mamusią do Zwolenia. Urszulka już wcześniej zdecydowała się wrócić do Krocze. W Zwoleniu mieliśmy wynajęty pokój, dokąd Bolek z Marysią zwiózł trochę mebli i rzeczy. Zastałyśmy wszystko w opłakanym stanie. Rzeczy leżały zbite na kupę na środku pokoju, a na nich odchody ludzkie. (Ten sam widok zobaczyłam kilka miesięcy później w Warszawie w mieszkaniu pani Tyrawskiej, gdzie też mieliśmy wynajęty pokój. Widać taki jest wojenny zwyczaj). Wtedy spotkałam za drutami naszych ludzi. Był Błaszczynski, stelmach, kowal i inni. Prosili: „Panienko, niech nas panienka ratuje”. A cóż ja mogłam wtedy zrobić? Byłyśmy kompletnie ubogie, nie miałyśmy nic. Jedno, co mogłam zrobić, to dać im papier przebitkowy, który znalazłam w naszym pokoju, na skręty do papierosów. Stałyśmy się wysiedleńcami, bez żadnego znaczenia.

Z tej sterty rzeczy powyciągałam trochę fotografii i już nie pamiętam, co jeszcze. Odnalazłyśmy ciotkę Czesię, drugą żonę stryja Czaplińskiego, która mieszkała w Zwoleniu z synem Stasiem. Obdarowała nas kołdrą i poduszką, a to był dla nas wielki skarb. Zamieszkałyśmy w Wincentowie, nie-

daleko Waławowa – u gospodyni Pałczyny, która była sama i mówiła o sobie, że „jo to jestem gospodarz, i gospodyni, i dziwka, i parobek”. Ubikacja, na podwórzu, zastawiona snopem słomy, była – jak nam powiedziała – od urzędu. „Nie trza tam chodzić, ale do obory, pod krowy”. No i trzeba było jej słuchać. Ludzie z Waławowa przynosili nam jakieś wiktuały, kartofle, chyba także drzewo pod kuchnię – już nie pamiętam. W każdym razie bardzo nam pomogli. Chodziłyśmy wtedy do Kroczewa – około pięciu kilometrów. Któregoś dnia Mamusia pojechała jakąś okazją do Radomia i przywiozła dla mnie kurtkę z takiego kocowego materiału. Miałśmy też – już nie pamiętam, czy ze Zwolenia czy Radomia – jakiś materialik granatowy i ciocia Marynia uszyła nam spódniczki na szelkach. Zawsze też dostawaliśmy od niej bochenek chleba.

Nic nie wiedziałyśmy o losie Babuni i Zulki, ale któreś nocy miałam bardzo wyraźny sen. Śniła mi się Zulka, która opowiadała mi, co się z nimi działo: że chałupa im się spaliła, że one zostały same i siedziały pod wisienką i gotowały, że Babunia zginęła. Już nie pamiętam szczegółów i mieszałam mi się z prawdziwymi relacjami Zuli, które usłyszałam od niej parę miesięcy później w Lublinie, ale to wiedziałam na pewno, że Babunia nie żyje. Rano opowiedziałam ten sen Mamusi. Sen potwierdził mi się prawie dosłownie, gdy dotarłam w styczniu czy w lutym 1945 r. do Lublina i odnalazłam Zulę w szpitalu wojskowym, gdzie jako prosty żołnierz była właściwie posługaczką. Wtedy mi wszystko powiedziała dokładnie, a ja słuchając stwierdziłam, że to mi się właśnie wyśniło. Tylko drobne szczegóły różniły mój sen od prawdziwej relacji. Okazało się, że tam, gdzie one były, był *no-man's land*, ziemia niczyja. Weszli Sowietci i powiedzieli im, że są „szpionami”, bo dymem dają znaki Niemcom. Kazali Zulce pójść do Janowic do komendantury, twierdząc, że oczywiście zaraz wróci. Zula nawet nie włożyła butów i na bosaka poszła, i już nie wróciła, tylko razem z ludźmi, którzy zostali w Janowicach, musiała iść za Wisłę. Trafiła do nowych rządców u jej rodziców w Borchowie, też Czaplińskich. Skontaktowała się z panem Kryńskim, który był wtedy dyrektorem Izby Przemysłowo-Handlowej, prosząc go o posadę. Ale on nic dla niej nie miał. Trzeba zaś wiedzieć, że rodzice Zulki, po urodzeniu wyczekiwanego pierwszego syna, Józia, wzięli na wychowanie i traktowanie jak rodzonego syna – brata tegoż pana, Wiktora Kryńskiego z Babina. Było tam dużo dzieci i trudne warunki materialne. Wiktor był zawsze uważany przez Józia, Stacha i Zulę za najbliższego brata.

Zula nie miała innego wyjścia, poszła do wojska.

Po wojnie Mamusia pojechała do Janowic i od ludzi dowiedziała się trochę szczegółów. Po odejściu Zuli Babunia, samotna, została ranna. Opatrzona przez jakieś sanitariuszki, zmarła. Pochowano ją prowizorycznie na miejscu śmierci. Mamusia przeprowadziła ekshumację Babuni. Była obandażowana, miała przy sobie swoją laskę, którą Mamusia zabrała. Na prośbę cioci Jasi Trepczyny wypożyczyła ją babci Hani Dołęgowskiej, pani Jadwidze Paculinie. Niestety, nie udało nam się tej laski odzyskać także wtedy, gdy była już potrzebna naszej Matce, a jednocześnie stanowiła dla nas drogą pamiątkę.

W czasie, gdy chodziliśmy z Mszadli odwiedzać naszą Babunię i dostarczać jakieś produkty, dowiedzieliśmy się od żołnierzy niemieckich, że w Warszawie wybuchło powstanie. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o naszych bliskich. To był ciągły niepokój o nich i o losy naszej ojczyzny. Jakąż wielką ulgą i niespodzianką był dla nas przyjazd Bogny do Wincentowa i jej relacje o niej, o dzieciach i o rodzinie. Miało to miejsce już jesienią. Kiedy przyjechała po raz drugi, zlikwidowaliśmy Wincentów. Odzyskałyśmy jedną kłaczkę, Baškę, przechowywaną u gospodarza na Pcinolesie, i połowę wozu – brakło tylnej części. Udałyśmy się po nią z Bogną do Ranachowa, do pp. Boskich, którzy jeszcze byli na miejscu. Muszę przyznać, że niełatwo nam poszło, ale w efekcie wóz został jakoś złożony i mogliśmy odjechać. Niestety, okazało się, że był on niekolejny i jazda była niesłychanie uciążliwa. Nasza biedna Baška była słabiotka, bałyśmy się, żeby nie dostała kolki. Mamusię wyprawiliśmy *via* Radom jakąś okazją, już tego nie pamiętam. Same dotarłyśmy najpierw do Zwolenia, gdzie poratował naszą kobyłę dr Ramocki, a potem już do Radomia. Bogna powoziła, ja siedziałam tyłem i pilnowałam, żeby nic nie spadło. Z trudem dojechałyśmy na miejsce, do sióstr Magdalenek. Tam udało nam się zamienić nasz wóz na mniejszy, jednokonny i kolejny. W Radomiu był Skierzyński, którego odnalazłyśmy i który pomógł nam załadować worek cukru, żyta i jeszcze jakieś rzeczy przechowywane u Magdalenek, i ruszyłyśmy do Opyp, zatrzymując się na noc w Kociszewie u wujostwa Hłasków. Kiedy wreszcie tam dotarłyśmy, Mamusia już tam była. Skończył się pewien etap naszego życia. Dom, Janowice, pozostały tylko we wspomnieniach.

Od chwili wyjścia z domu przez cały czas naszej tułaczki bardzo ciężko przeżywałam fakt, że jesteśmy uzależnione od kogoś, że same nic już nie mamy i nic nie znaczymy. Mimo że od dzieciństwa byłam przyzwyczajona do tego, że jest ciężko, że nie ma pieniędzy i że nie można sobie po-

zwolić na wiele rzeczy, to jednak zawsze miałam to poczucie, że można się dzielić z innymi i innym dawać, i pomagać. Tak było zawsze. A teraz człowiek musiał się nauczyć brać. I wtedy odkryłam to prawo, że, aby umieć dawać, trzeba się nauczyć brać, i że dając, trzeba zawsze szanować cudzą godność. Nie chcieć brać – a jedynie dawać – to jest po prostu nieuświadomiona pycha. Będąc już w Opypach i dźwigając ciężki plecak z „handlem”, spotykałam nieraz na drodze właścicieli Książenic czy innych, istniejących jeszcze majątków, jadących wygodnie bryczką czy powozem i obojętnie mijających przechodniów. Myślałam sobie wtedy o swoim stosunku do ludzi. O tym, że owszem, często zabieraliśmy po drodze jakąś babinę czy kogoś innego idącego piechotą, ale nie wczuwalismy się jednak tak zupełnie w ich dolę i w ich poczucie godności. Ta nauka wyniesiona z okresu naszego wysiedlenia bardzo mi się przydała w późniejszym życiu, a zwłaszcza w więzieniu i potem już po wyjściu, gdy tak wielu ludzi okazywało mi pomoc, a ja mogłam jedynie przyjmować ją z wdzięcznością. Czasem to uczucie wdzięczności wobec ludzi, tych, co pomagali mi przez dziesięć lat, znanych, a zwłaszcza nieznanych, po prostu mnie przygniatało. Miałam świadomość, że nigdy w życiu nie potrafię się im odplacić poza pamięcią w modlitwie. Dzisiaj wiem, że zawsze można w jakiś sposób zrealizować tę wdzięczność, pomagając innym.

3. Działalność w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym³⁰

Był to koniec marca 1945 r. Po trzydniowej podróży odkrytym wagonem towarowym z Grodziska do Łodzi, szczęśliwie dotarliśmy na miejsce.

³⁰ Narodowe Zjednoczenie Wojskowe – ukształtowało się w okresie do lutego do czerwca 1945 r. Jego powstanie było reakcją Stronnictwa Narodowego na przebieg akcji „Burza” w kraju, której podobnie jak inne ugrupowania narodowe było przeciwne. Przewidując nadejście drugiej okupacji, tym razem sowieckiej, dążyło do stworzenia organizacji wojskowej zdolnej do kontynuowania walki w nowych warunkach. NZW podlegało bezpośrednio Wydziałowi Wojskowemu SN. Na czele NZW stała Komenda Główna, której komendantami byli: płk Tadeusz Danilewicz – „Kuba”, Kossak”, „Doman”, do grudnia 1945 r. i płk Bronisław Banasik do stycznia 1948 r. KG NZW podlegało 16 okręgów organizacji, obejmujących cały kraj, zgrupowanych w pięciu obszarach. Oprócz działalności zbrojnej organizacja prowadziła szeroką akcję propagandową. Wydawano m.in.: „Walkę”, „Tekę”, „Oko” i „Wszechpolaka”. Od marca 1946 r. SN i NZW weszły w skład Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej (KPOPP). W marcu i kwietniu 1946 r. liczne aresztowania doprowadziły do rozbicia KG NZW i niektórych okręgów. Ostatnie komendy powiatowe NZW i ich oddziały partyzanckie przetrwały i kontynuowały walkę do 1953–1954 r.

Było to w Wielką Sobotę. Zamieszkaliśmy u Leszka Roszkowskiego. Mieszkanie było puste, bo jego rodzice jeszcze nie wrócili z wojennej tułaczki i on sam rezydował w kilku pokojach. Pierwsze święto spędziliśmy razem, a drugiego dnia Leszek poszedł do swoich znajomych i... przepadł. Nie mogliśmy się o nim niczego dowiedzieć. Kiedy wrócił do domu 3 maja, okazało się, że wpadł w „kocioł”. Wierzył, że Matka Boska go uwolni.

Już wtedy był zaangażowany w działania podziemne, ale na szczęście nie został rozpoznany. Niedługo po powrocie zaproponował mi współpracę, na co wkrótce chętnie się zgodziłam. Zajął się łącznością na terenie Łodzi. Leszek proponował mi zrezygnowanie z dotychczasowej działalności zarobkowej, która i tak dawała coraz gorsze wyniki. Oczekiwał ode mnie pełnej dyspozycyjności w organizacji, w zamian oferując pokrycie kosztów utrzymania. Wahałam się jednak, ale gdy 23 maja dowiedziałam się, że Sowieci zastrzelili mego szwagra – zdecydowałam się. W początkach czerwca 1945 r. złożyłam przysięgę na ręce „Henryka” – Jana Morawca³¹, który był szefem Pogotowia Akcji Specjalnej przy Komendzie Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Leszek Roszkowski, ps. „Tomasz” – jako szef Wydziału I (Organizacyjnego) – był moim bezpośrednim przełożonym. Wkrótce zostałam mianowana szefem łączności KG NZW. Działalam przede wszystkim w samej Łodzi, gdzie zakładałam lub przejmowałam punkty kontaktowe, „skrzynki”. Utrzymywałam osobiście lub przez łączniczki kontakt między „skrzynkami”, spotykałam się z pozostałymi członkami KG, udostępniałam swoje mieszkanie przyjeżdżnym członkom organizacji oraz komendantowi KG, a także organizowałam u siebie ich spotkania. Jeździłam również w „teren” do różnych miast Polski, najczęściej do Warszawy.

Kiedyś jedną z podróży odbyłam razem z Leszkiem Roszkowskim. Rano dojechaliśmy do Częstochowy, gdzie udało nam się być na odsłonięciu

³¹ Jan Morawiec – „Henryk”, „Remisz”, „Błazej”, „Paweł”, „Mieczysław”, „Tajfun”, „Rębacz” (1915–1948), kpt. NSZ. Przed wojną działał w SN. W początkowym okresie okupacji związany z oddziałem mjr. Henryka Dobrzańskiego („Hubala”), od 1940 r. w NOW, komendant Powiatu Tomaszów. Od 1942 r. oficer do specjalnych zleceń Dowództwa NSZ, w 1944 r. szef I Oddziału (organizacyjnego) w Komendzie Okręgu Lublin NSZ-AK, później szef Kedywu Okręgu AK Lublin. Od lutego 1945 r. był wiceprezesem (następnie prezesem) Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej Ziem Wschodnich, a w lipcu 1945 r. szefem (wcześniej zastępcą szefa) III Wydziału Pogotowia Akcji Specjalnej w KG NZW. Aresztowany 22 III 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z 3 XI 1947 r. skazany na karę śmierci. Stracony 15 I 1948 r. w Warszawie.

obrazu jasnogórskiego. Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy do Bytomia, gdzie każde z nas załatwiała osobno swoje sprawy, i nad ranem dojechaliśmy do Warszawy. Pamiętam, że byliśmy bardzo zmęczeni i senni. Jechaliśmy na stojąco, oparci o przeciwległe ściany korytarza. Zasypialiśmy w tych pozycjach i wtedy nasze nosy stykały się na chwilę, co nas na moment budziło. Rano dotarliśmy do zrujnowanego kościoła św. Krzyża, gdzie walcząc ze snem, mogliśmy uczestniczyć we mszy świętej, odprawianej w leżącej po lewej stronie kościoła kaplicy Matki Boskiej. Innym razem, już w Warszawie, wracaliśmy razem z Leszkiem z jakiegoś punktu kontaktowego. Szliśmy Alejami Jerozolimskimi, gdy nagle zerwała się potężna burza. Padał deszcz i wiał porywisty wiatr. Ze zrujnowanych domów z hukiem spadały kawałki blach i „deszcz” lejących resztek szyb. Zdołaliśmy dobiec i schronić się w barze na rogu Chałubińskiego, gdzie, ku naszemu zdziwieniu i radości, spotkaliśmy Tadzia Zawadzińskiego³² (szefa Wydziału II), który schronił się tu wcześniej. W dobrych nastrojach przeczekaliśmy burzę i ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

Jeździło się także autobusami, czyli ciężarówkami, na których zamontowane były drewniane ławki. Często droga wiodła przez Łowicz, gdzie był zawsze postój i można było zjeść bardzo dobry obiad. Za to w Warszawie były ogromne trudności ze znalezieniem prozaicznych, a bardzo potrzebnych miejsc wiadomego przeznaczenia. Dlatego Leszek dał mi kiedyś adresy bram, gdzie byli dozorczy, u których można było dostać klucze od toalety. Były to bardzo cenne informacje.

Najdłuższą trasę pokonałam w grudniu 1945 r. Byłam wtedy w Bytomiu, Bydgoszczy i w Gdyni, podróżując cały czas w warunkach, o których pisałam. Na szczęście nauczyłam się jeździć z plecakiem. W podróży mogłam go położyć na podłodze i spokojnie na nim usiąść.

Kiedyś potwornie zmęczona i śpiąca wracałam z Gdyni do Łodzi w przedziale pierwszej klasy: okna były wybite, potwornie wiało, a z siedzeń pozostały tylko gołe sprężyny. Cała zdrętwiała dotarłam do Łodzi czwarte-

³² Tadeusz Zawadziński – „Woynowski”, „Wojciech” (1918–1948), kpt. NSZ. Początkowo działał w Narodowo-Ludowej Organizacji Wojskowej, od 1942 r. oficer do zadań specjalnych Dowództwa NSZ. Od maja 1944 r. inspektor KG NSZ-AK. Jeden ze współtwórców NZW. Od czerwca 1945 r. zastępca szefa Wydziału II (Wywiadowczego) KG NZW, od jesieni szef p.o. Aresztowany 6 VI 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 XI 1947 r. skazany na karę śmierci. Stracony 15 I 1948 r. w Warszawie.

go grudnia, gdzie trafiłam bezpośrednio na imieniny Basi Pilacińskiej – żony „Lecha”³³.

Nie pamiętam już, kiedy wyprowadziliśmy się od Leszka Roszkowskiego. Początkowo zamieszkałam tylko z bratem Kazikiem, który o kulach przyjechał do Łodzi. Mamusia ulokowała się u Marysi. Chyba w lecie przenieśliśmy się do „kołchozowego” mieszkania, bo akurat zwolnił się tam pokoik służbowy. W mieszkaniu tym była już Jadwiga³⁴ i dwie panie z Warszawy. Tam właśnie możliwe stało się urządzenie spotkań organizacyjnych i przyjmowanie gości. Poprzednie mieszkanie było zbyt ciasne, a ponadto bardzo interesował się nami dozorca – na pewno ubek. Pieniądze, które otrzymywałam, wystarczały na skromne utrzymanie nas dwojga.

Chyba w końcu 1945 r. dostałam nominację na podporucznika czasu wojny, co było dla mnie wielką radością i zaszczytem. W samej Łodzi miałam zawsze dużo pracy. Dysponowałam służbową maszyną, na której pisałam pod dyktando lub przepisywałam różne dostarczone mi materiały organizacyjne. Powielałam też nasze konspiracyjne czasopisma „Wszepolak” i „Tekę”. Miałam zawsze mnóstwo bieżących spraw do załatwienia. Z łódzkich kontaktów – poza członkami KG NZW – najlepiej pamiętam moją łączniczkę „Jolantę” – Hannę Dobrowolską-Wisniewską³⁵, oraz Zebcię Kedyńską³⁶ i Romana Nierychło³⁷, u których były niezawodne „skrzynki kontaktowe”. Z warszawskich kontaktów pamiętam „Agatę”³⁸, „Dusię”³⁹

³³ Jerzy Pilaciński – „Lech”, kpt. NSZ. Od 1941 r. w NOW, następnie NSZ. Po scaleniu NSZ z AK zastępca szefa Służby Oświatowo-Wychowawczej KG NSZ-AK. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Redaktor pisma niepodległościowego „Wielka Polska”. Do chwili wyjazdu za granicę w grudniu 1945 r. pełnił funkcję zastępcy szefa IV Wydziału (Propagandy), a następnie szefa tegoż wydziału KG NZW. Autor książki „NSZ”.

³⁴ Jadwiga Nekanda-Trepka – siostra cioteczna Ruty Czaplińskiej.

³⁵ Hanna Dobrowolska-Wisniewska – „Jolanta”, łączniczka NZW, skazana w 1947 r. na 2 lata więzienia.

³⁶ Zenobia Kedyńska, skazana w 1947 r. za współpracę z NZW.

³⁷ Roman Nierychło, skazany w 1947 r. za współpracę z NZW.

³⁸ Maria Nachtman – „Agata” (ur. 1924), żołnierz NZW. Od 1941 r. w konspiracji, początkowo w organizacjach OW – Wilki i Związek Jaszczurczy, następnie w NSZ. Od stycznia 1946 r. do dnia aresztowania, łączniczka szefa Oddziału I KG NZW Lechosława Roszkowskiego. Aresztowana 8 IV 1946, wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 XI 1947 r. skazana na 6 lat więzienia (po zastosowaniu amnestii karę obniżono do 3 lat).

³⁹ Wanda Ceraska – „Dusia” (ur. 1918), żołnierz NZW. Od sierpnia 1945 r. do kwietnia 1946 r. łączniczka KG NZW. Aresztowana 7 kwietnia 1947 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z 3 XI 1947 r. skazana na karę 4 lat więzienia, darowaną na mocy amnestii.

i „Walę”⁴⁰, z którymi potem byłam sądzona w jednym procesie Komendy NZW. Kontaktowałam się wówczas również z „Wara” – Stanisławem Borodcziczem⁴¹, obecnym prezesem Oddziału Warszawskiego Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, z Michałem Galejem⁴², a także innymi członkami organizacji, których dziś już nie pamiętam.

W ramach moich służbowych podróży jeździłam także do Krakowa. Stąd też moja znajomość z Wiesławem Chrzanowskim⁴³, Leonem Mireckim⁴⁴ i innymi.

Jesienią 1945 r. zaczęłam się czuć źle. Dokuczały mi silne bóle w okolicy serca, a miałam jechać między innymi do Lublina. Dostałam się jakoś do wagonu pocztowego, ale w drodze myślałam, że już nigdy tam nie dotrę. Nie lubiłam się leczyć, więc nie chciałam iść do lekarza, ale dostałam rozkaz i po powrocie poszłam. Okazało się, że właśnie kończę chorować na półpasiec. Dostałam jeszcze jakieś leki i szczęśliwie mi przeszło.

⁴⁰ Walentyna Jeremicz – „Wala” (ur. 1919), żołnierz NZW. Od grudnia 1945 r. do kwietnia 1946 r. w NZW. Zajmowała się m.in. utrzymywaniem łączności pomiędzy członkami kierownictwa KG NZW. Wyrokiem WSR w Warszawie z 3 XI 1947 r. skazana na karę 3 lat więzienia, którą w wyniku zastosowania amnestii darowano w całości.

⁴¹ Stanisław Borodczicz – „Wara”, szef sztabu II (Warszawskiego) Okręgu NSZ.

⁴² Michał Galej – „Żuraw”, oficer AK i NSZ. Przed wojną oficer zawodowy WP, uczestnik kampanii wrześniowej. W czasie wojny oficer III Wileńskiej Brygady AK, od 1945 r. pełnił funkcję zastępcy komendanta Obszaru I (Warszawa) NZW. Aresztowany 13 IV 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z 10 XII 1946 r. skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na karę dożywotniego więzienia.

⁴³ Wiesław Marian Chrzanowski (ur. 1923), polityk, prawnik. W czasie II wojny światowej żołnierz AK i działacz Młodzieży Wszechpolskiej. Po wojnie działacz Stronnictwa Pracy, założyciel (1946 r.) i prezes Chrześcijańskiego Związku Młodzieży „Odra” przy SP. W latach 1947–1948 redaktor „Tygodnika Warszawskiego”. W latach 1948–1954 więziony, zrehabilitowany w 1956 r. Od stycznia do września 1991 r. minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. W latach 1991–1993 marszałek sejmu.

⁴⁴ Leon Mirecki (1905–2000), prawnik, działacz SN. Przed wojną związany ze środowiskami Młodzieży Wszechpolskiej i SN, kierował ogniwem Obozu Wielkiej Polski w Zawierciu. Od 1939 r. w konspiracji, komendant powiatowy NOW w Ostrowi Mazowieckiej, od 1940 r. inspektor NOW Warszawa – Wschód, następnie zastępca kierownika Centralnego Wydziału Organizacyjnego SN. Po scaleniu NOW z AK (1942 r.) był inspektorem Komendy Białystok AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Aresztowany przez Niemców zbiegł z obozu w Pruszkowie. W listopadzie 1944 r. wszedł do ZG SN, od kwietnia do sierpnia 1945 r. członek Prezydium Stronnictwa Narodowego, aresztowany w sierpniu 1945 r. 19 VII 1949 r. skazany na 7 lat pozbawienia wolności. Więzienie opuścił 18 V 1954 r. W sierpniu 1960 r. został aresztowany pod zarzutem organizowania spotkań konspiracyjnych z udziałem młodzieży akademickiej w ramach nielegalnego SN na Polskę. Członek SN reaktywowanego w Polsce po roku 1989.

Z tego okresu szczególnie pamiętam jedną podróż do Chełma czy Kraśnika (jeździłam do obu tych miejscowości). Chcąc wrócić do Lublina, jak zwykle wyszłam na szosę, aby łąpać jakiś pojazd. Spotkałam tam kobietę, jadącą w tym samym kierunku, i zgodnie postanowiłyśmy, że nie wsiądziemy do samochodu sowieckiego. Tymczasem długo nic nie jechało. Nagle zatrzymała się ciężarówka, niestety, Sowiet. W szoferce kierownicy był sam. Zdecydowałyśmy się jechać. Gdy weszłyśmy pod plandekę, ku naszemu przerażeniu okazało się, że siedzi tam chyba pięciu lub sześciu żołnierzy, ale samochód już ruszył i było za późno, by opuścić pojazd. Siedziałyśmy obok siebie jak trusie. Żołnierze nas nie zaczepiali. Jednakże moja towarzysza podróży wysiadła na długo przed Lublinem. Zostałam sama. Modliłam się w duchu, bo bałam się straszliwie, zarówno o siebie samą w otoczeniu sowieckich żołnierzy, jak i materiały organizacyjne, które ze sobą wiozłam. Uspokoiłam się dopiero w Piaskach Luterskich, gdy wsiadło kilku pasażerów. W Lubelskie jeździłam jeszcze kilkakrotnie. Po latach nie przypominam już sobie jednak szczegółów tych podróży.

W mojej pamięci zachował się też nieco odmienny od innych wyjazd do Warszawy. Było to latem 1945 r., po wyjściu na wolność Bolesława Piaseckiego⁴⁵. Nasz szef Włodzimierz Marszewski „Gorczyca”⁴⁶ chciał się z nim spotkać i zasięgnąć jakichś informacji. Dostałam adres. Przed wyjazdem musiałam zostawić wszystkie dokumenty, wszystko, co mogłoby posłużyć do ustalenia mojej tożsamości. Na miejscu miałam się pytać o dr. Haggmajera⁴⁷.

⁴⁵ Bolesław Piasecki (1915–1979), działacz przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego oraz Ruchu Narodowo-Radykalnego. W okresie okupacji komendant główny Konfederacji Narodu i Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. 12 XI 1944 r. aresztowany przez NKWD. Wkrótce potem zwolniony, podjął współpracę z władzą ludową. Od 1945 r. rozpoczął wydawanie tygodnika „Dziś i Jutro”. Nieznany jest cel ani przebieg spotkania pomiędzy Marszewskim a Piaseckim odbytego latem 1945 r.

⁴⁶ Włodzimierz Marszewski – „Gorczyca”, „Graba” (1891–1948), ideolog i działacz Związku Zawodowego „Praca Polska”, publicysta, wydawca, redaktor tygodnika „Głos Pracy Polskiej” (1926–1930). Od października 1939 r. przebywał we Francji jako emisariusz gen. Władysława Sikorskiego, w listopadzie 1939 r. powrócił do Polski. W konspiracji od 1939 r., pośredniczył w kontaktach NOW z NSZ oraz SN z AK. W latach 1944–1945 szef wywiadu KG NSZ-AK. Do października 1945 r. pełnił obowiązki Delegata Rządu z ramienia Rządu RP na Wychódźstwie. Od grudnia 1945 r. p.o. komendant główny NZW. Współorganizator i przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej (KPOPP). Aresztowany w styczniu 1947 r. Wyrokiem z 22 XII 1947 r. skazany na karę śmierci. Stracony 10 III 1948 r.

⁴⁷ Jerzy Haggmajer (1913–1998) lekarz, działacz polityczny. W latach 1935–1939 działał w ONR „Falanga”. W 1952 r. był współzałożycielem Stowarzyszenia PAX.

Dotarłam do willi z ogródkiem położonej na przedmieściach Warszawy. Zadzwoiłam do drzwi. Otworzono mi. Powiedziałam, że chcę się widzieć z doktorem Hagmajerem. Na co usłyszałam: „z którym? starszym czy młodszym?” Zdębiałam. Nie powiedziano mi tego. Gorączkowo w myślach szukałam odpowiedzi i w końcu wypaliłam, że ze starszym. Na to wyszedł starszy, ale nie stary pan i po przywitaniu się ze mną powiedział, że to musi chodzić o jego syna, który wtedy był nieobecny. Wiem, że obaj panowie, „Gorczyca” i Hagmajer, jakoś się spotkali, ale już bez mojego bezpośredniego udziału.

Po przeprowadzce na ul. Kilińskiego poczuliśmy się z Kazikiem już lepiej. Kazik zaczął chodzić do gimnazjum, miał już swoje towarzystwo i innymi oczami patrzył na świat. Przestał chodzić o kulach. Ja zapisałam się na SGH. Była to jedyna uczelnia, na którą mogłam się zapisać i która dawała mi jakiś status. Nigdy nie myślałam, żeby wybrać taki kierunek studiów. Była to jednak konieczność i gdyby mnie nie aresztowano, z pewnością zostałąbym ekonomistką z przypadku.

Aby się jakoś utrzymać, w tym czasie handlowałam między innymi mlekiem. Jeździłam na wieś, kupowałam mleko, a następnie sprzedawałam je w Łodzi. Z tego okresu pamiętam Tadeusza, Witka i Jadzię Sołtyków. Tadeusz był pracownikiem Lotniczych Zakładów Doświadczalnych i jednocześnie konstruktorem prototypu samolotu „Szpak”.

W tej samej co my oficynie domu przy ul. Kilińskiego w Łodzi mieszkał Tadeusz Łabędzki⁴⁸ z siostrą, jej dziećmi i bratem Kazimierzem, dotkniętym chorobą Heinego-Medina. Kazimierz poruszał się zwykle na czworakach. To on zazwyczaj otwierał drzwi, wspinając się do klamki. Zajmował się trójką małych bratanków Tadeusza. Zawsze miał niesłychanie miły i ujmujący uśmiech. Pamiętam, kiedyś zostałam uprzedzona, że w moim mieszkaniu może być „kocioł”. Był wieczór. Gorączkowo myślałam, co robić. Przyszedł mi na myśl Kazik Łabędzki. Poszłam do niego i poprosiłam, czy mógłby pójść do mojego mieszkania i sprawdzić sytuację, a ja w tym czasie poczekam u nich. Wiedziałam, że jeśli w moim mieszkaniu rzeczywiście będzie

⁴⁸ Tadeusz Łabędzki (1917–1946), przed wojną członek Stronnictwa Narodowego i Prezydium Młodzieży Wszechpolskiej. W czasie wojny kierował pismem „Wszechpolak” oraz był współpracownikiem Narodowo-Ludowej Organizacji Wojskowej – części Stronnictwa Narodowego. Po wojnie członek NZW. Aresztowany 7 IV 1946 r. w „kotle” w Łodzi. Zmarł w wyniku brutalnego śledztwa w MBP 9 VI 1946 r. Miejsce pochówku pozostaje nieznane.

„kocioł”, to Kazika przetrzymają, ale nie aresztują. Czekałam w napięciu, aż zjawił się uśmiechnięty. Nigdy mu tego nie zapomnę. Miał w sobie jakąś niezmierną dobroć.

Jak się wkrótce okazało, moje obawy przed aresztowaniem były całkowicie uzasadnione.

4. Aresztowanie (5 kwietnia 1946 r.)

Mieszkalam przy ul. Kilińskiego 86 m. 17 w Łodzi, z bratem, siostrą cioteczną i dwiema paniami z Warszawy. Pokoje, z wyjątkiem najmniejszego, który zajmowałam z bratem, były w amfiladzie. Był już wieczór, gdy 4 kwietnia 1946 r. wróciłam do domu. Ledwo się zjawiłam, brat Kazimierz powiedział, że był jakiś nieznajomy mężczyzna, który pytał o mnie. Zarówno Kazik, jak i moja siostra cioteczna Jadwinia, uznali, że jest to ktoś od mego kolegi „Henryka”. Kazik dodał, że był jednak jakiś niesympatyczny. Zaniepokoiłam się i zapytałam, czy może to ktoś z UB? „Nie, na pewno nie” powiedzieli i dodali, że ów niesympatyczny osobnik ma przyjść nazajutrz rano. Nie pozostało mi nic innego, jak iść do mojego szefa Leszka i zapytać, czy miał ktoś do mnie przyjść. Zastałam Leszka, „Lecha” i Tadeusza Zawadzińskiego. Wszyscy ustalili, że nie dawali nikomu mego adresu i na pewno jest to ktoś od „Henryka”, od którego dawno nie mieliśmy wiadomości. Dostałam instrukcję, żeby przy spotkaniu, które miało się odbyć przed bramą mojego domu następnego dnia, zorientować się, czy nie stoi gdzieś w pobliżu jakieś auto, czy nie ma jakiegoś drugiego mężczyzny. Pożegnaliśmy się, mówiąc: „do jutra”, bo nazajutrz, w piątek, mieliśmy się spotkać wszyscy o 6 rano na mszy św. odprawianej w naszej intencji.

W kościele byłam jednak tylko ja. Poczułam się bardzo dziwnie. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego chłopcy nie przyszli. Bezpośrednio po mszy poszłam do mieszkania Leszka. Jego mama powiedziała, że musiał gdzieś wyjechać i przekazała mi od niego grubą kopertę. Leszek pisał, że niespodziewanie musiał wyjechać, zostawił mi wiele poleceń, a także paczkę z pieniędzmi, które miałam komuś przekazać. Podkreślał jeszcze raz, że- bym bardzo uważała przed spotkaniem. Włożyłam kopertę do kieszeni blazera i poszłam na ul. Kilińskiego, gdzie czekała już na mnie siostra Jadwinia. Na spotkanie musiałyśmy iść obie, bo ja przecież nie znałam tego osobnika. Czekaliśmy niedługo, gdy przy bramie pojawił się mężczyzna,

którego Jadwinia rozpoznała. Rozejrzałam się wokoło. Niczego podejrzanego nie zauważyłam. Przeszłam na drugą stronę ulicy. Podeszłam do niego. On zapytał: „Ewa”? Potwierdziłam i powiedziałam: „Idziemy”. Gdy weszliśmy do mieszkania, zaraz zapytał, patrząc na nasz pokój: „To pani pokoik?” Coś mi podszeptało, aby odpowiedzieć – nie! i poprowadziłam go do pierwszego dużego pokoju w amfiladzie. Tam zapytałam: „Słucham pana?” A on wyjął małą legitymację z górnej kieszeni i powiedział: „Pani jest aresztowana”.

Tego uczucia nie zapomnę nigdy. Stałam w dużym pokoju pełnym powietrza, załanym słońcem, czułam się jednak jak w dusznej, zamkniętej klatce bez powietrza. Opanowałam się szybko i powiedziałam, że chcę pójść do kuchni, bo jeszcze nie jadłam śniadania. Ubek zgodził się. Poszliśmy do kuchni. Wstawiłam wodę na herbatę. Nie byłam głodna, ale musiałam coś robić. W kieszeni oprócz dużego listu od Leszka miałam jeszcze drobne „trefne” karteluszk. Myślałam, jak się ich pozbyć. Siadłam przy stole, zapaliłam papierosa... W kieszeni skręcałam z tych karteluszek małe kuleczki i niepostrzeżenie wyrzucałam je do skrzyni z węglem, stojącej blisko stołu. Nie pamiętam, żebym przełknęła choć kawałek chleba, wypijałam tylko trochę herbaty.

Przeszliśmy do pierwszego pokoju, gdy zadzwonił dzwonek. Ubek poszedł otworzyć, a ja błyskawicznie pobiegłam do trzeciego pokoju i jednym ruchem szurnęłam kopertę pod szafę. Zdążyłam wrócić, gdy okazało się, że to Jadwinia, która przysłała po bieliznę do prania, której ze sobą nie wzięła. Przysłała i już została. Zaczął się „kocioł”. Rzuciłam się Jadwini na szyję i zdążyłam szepnąć o kopercie i o kartkach w pudełku w moim pokoju, które trzeba zniszczyć. Ubek spojrzał podejrzliwie, ale mu powiedziałam, że całuję kuzynkę z radości, że się z nią zobaczyłam. Jadwinia zapytała ubeka, czy może iść do drugiego pokoju. Pozwolił jej. Wtedy zabrała karteczki z mego pokoju i przy pierwszej okazji spuściła w łazienkę z wodą. Szczęściem był tylko jeden ubek i siłą rzeczy nie mógł być wszędzie. Dlatego też Jadwini udało się. W samą porę, bo wkrótce zjawili się drugi. Jakiś czas pobyli razem, a potem ten drugi został, a pierwszy zaprowadził mnie na piechotę do siedziby UB na ul. Anstadta. Nigdzie mnie nie zamknęli. Siedziałam na jakimś krześle przez kilka godzin, czekając, nie wiedziałam na co. Nikt się mną nie zajmował, nikt o nic nie pytał. W pewnej chwili kazali mi wstać i iść ze sobą. Wychodząc z domu wzięłam szczoteczkę do zębów, włożyłam na siebie ciepły płaszcz zimo-

wy, bo pamiętałam, jak Zosia Małynicz⁴⁹, gdy była aresztowana przez Niemców za sprawę Igo Syma⁵⁰, opowiadała, jak bardzo przydał jej się w więzieniu zimowy płaszcz i szczoteczka do zębów. Nic innego nie miałam. Wsiadliśmy do samochodu. Obok szofera siedział jeden ubek, na tylnym siedzeniu pośrodku siedziałam ja, a obok ubecy uzbrojeni w pepesze. Tak ruszyliśmy do Warszawy⁵¹.

5. Śledztwo w MBP

Okazało się, że nie znali Warszawy i nie wiedzieli, jak jechać na ul. Koszykową do siedziby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Kilkakrotnie zatrzymywali samochód i pytali przechodniów, a mimo to długo błędzili. Trzymałam język za zębami. Myślałam – niech sobie błędzą, ja im nie pomogę. Wreszcie stanęliśmy na placyku przed wejściem od ulicy św. Teresy. Znałam to miejsce dobrze z czasów okupacji, bo tam mieszkał mój brat cioteczny i często tam bywałam. Okazało się jednak, że przepustka jest tylko dla jednego ubeka, więc wszyscy, poza kierowcą, zmuszeni byli wysiąść, żeby dostać przepustki. Siedziałam w samochodzie. Był to już koniec dnia pracy. Widziałam wylewający się przez bramę MBP tłum ludzi. Mężczyźni, kobiety, młodszy, starsi, o różnym wyglądzie, robiący wrażenie urzędników i robotników. Każdy z nich pokazywał jakąś legitymację czy przepustkę – tego nie mogłam widzieć – i rozplýwał się w tłumie przechodniów. Wtedy ogarnęła mnie zgroza. Ja to wszystko widziałam i byłam całkowicie bezsilna. Chciałam wołać na cały głos: – Ludzie! Uważajcie! To wszystko szpicle! Wy nie wiecie, kto idzie obok was, z kim rozmawiacie! Ale nie mogłam wydobyć z siebie żadnego głosu. Ten okropny stan odczuwam za każdym razem, gdy wracam myślą do tego dnia.

⁴⁹ Zofia Małynicz (1905–1988), cioteczna siostra Ruty Czaplińskiej. W 1946 r. aktorka Teatru Wojska Polskiego w Łodzi, następnie w Warszawie (role m.in. w *Gzecu* S. Żeromskiego i *Trojanach* Eurypidesa. Prof. warszawskiej PWST.

⁵⁰ Igo Sym (właśc. Karol Julian Sym), reżyser, aktor. W czasie okupacji volksdeutsch, dyrygent Theater der Stadt Warschau i zarządca kina „Hegoland”, dawne „Palladium”. Zastrzelony 25 V 1944 r. na podstawie wyroku śmierci wydane go przez podziemny wymiar sprawiedliwości. Po jego śmierci Niemcy aresztowali wiele osób.

⁵¹ O aresztowaniu Ruty Czaplińskiej i represjach w stosunku do jej najbliższych piszą: Kazimierz Czapliński (zob. *W kotle*) i Maria Czaplińska-Knabe (*Aresztowanie Ruty*) oraz Bogna Czaplińska-Grabowska (zob. *Udało mi się uciec...*)

Wreszcie doczekałam się powrotu moich „opiekunów”. Poszli ze mną wszyscy, chyba aż na czwarte piętro. Dzień był piękny. Zostałam na chwilę sama, stojąc w jasno oświetlonym słońcem pokoju. Okno było otwarte. I wtedy przyszła mi do głowy pierwsza myśl – rzucić się w dół, zginąć póki czas z własnej woli, a nie z ich ręki. Byłam przekonana, że aresztowanie musi się skończyć moją śmiercią. Nic nie wiedziałam o śledztwie, jego metodach. Nie znałam jeszcze ich mentalności. Myśl zdążyła tylko przemknąć przez głowę, gdy zjawił się ktoś i poprowadzono mnie dalej, na pierwszą rozmowę. Do dziś nie mogę przypomnieć sobie nazwiska majora, który mnie pierwszy wstępnie przesłuchiwał. Coś mi się kołatze po głowie, że był to major Dominiak czy może Dominik? Pytania były niewinne: co robię, z czego żyję itp. Powiedziałam, że handluję. Po to też jeżdżę do Warszawy, przywożę towar i sprzedaję w Łodzi. Ale gdy doszło do konkretów – utknęłam. Oczywiście, niczym nie handlowałam. Była to prawda, ale sprzed wielu miesięcy, zanim zaczęłam pracować w organizacji. Bąkałam coś o podróżach, których celem było orientowanie się w aktualnych cenach, o poszukiwaniu towaru, na którym udałoby mi się zarobić. Trwały te moje wyjaśnienia czas jakiś. Zrobiło się ciemno. Zadzwoił telefon. Mój rozmówca powiedział: „Tak, jest tu u mnie Ruta. Rozmawiamy. Ona bardzo chce się z tobą zobaczyć. **Ona marzy, żeby się z tobą zobaczyć!**” Nie wiedziałam, co oznaczają te dziwne słowa, ale ciarki przebiegły mi po grzbiecie. Niedługo potem zaprowadzono mnie na dół, do gabinetu – jak się później dowiedziałam – majora Różańskiego⁵². Okazało się, że słowa: „marzy, żeby się z tobą zobaczyć”, oznaczały, że trzeba się będzie mną zająć. I tak się stało. Po serii pytań, na które nie dawałam odpowiedzi, usłyszałam polecenie, by się położyć. Ponieważ nie usłuchałam, położono mnie siłą. Poza Różańskim w gabinecie było kilku innych oficerów i to oni właśnie mnie bili. Sam Różański stał nade mną i trzymaną w rękę linią szturchał mnie w żebra, abym wyprostowała ręce, które mi się mimowolnie przy bi-

⁵² Józef Różański (1907–1981), prawnik. W 1944 r. z LWP skierowany do MBP. Do listopada 1944 r. referent Sekcji 7 Resortu BP, następnie pełnił funkcję zastępcy kierownika Sekcji 7 Resortu BP. W styczniu 1945 r. został naczelnikiem wydziału śledczego (VIII) Departamentu I MBP, a od września 1945 r. kierownikiem Wydziału IV Samodzielnego MBP. Od lipca 1947 r. był dyrektorem Departamentu Śledczego MBP. Zwolniony ze służby 5 III 1954 r. został dyrektorem Państwowego Instytutu Wydawniczego, 11 XI 1957 r. skazany na karę 15 lat więzienia, zwolniony w latach sześćdziesiątych.

ciu zginały. Poza tymi, co mnie bili, w pokoju był jeszcze jeden świadek – doradca radziecki, cywil.

Nie wiem, jak długo to trwało. Była w każdym razie już noc, gdy poprowadzono mnie do celi w podziemiach. Szłam korytarzem, który do tej pory wydaje mi się strasznie długi. Po drodze osuwałam się zemdlnona na ziemię, wtedy polewano mnie wodą i szłam dalej. Idąc w ten sposób, doszłam wreszcie do schodów prowadzących do piwnic. Konwojujący mnie ubek zapukał do drzwi. Otworzyła się kłapa, z której wysunęła się jakaś ręka z kluczem i otworzyła drzwi. Znalazłam się w niewielkim hallu, w którym stał stolik i siedziało chyba dwóch strażników. Zapisano moje personalia, zabrano pierścionek z aleksandrytem, który dostałam od ciotki, zapisując w księdze więziennej, że jest to: „**pierścionek żułty z oczkiem**”.

Potem zamknięto mnie w celi. Od hallu odchodziło tylko kilka cel, oznaczonych literami – jak się dowiedziałam później, dlatego właśnie nazywano je literatkami. Po prawej stronie był korytarz prowadzący do dalszych cel i łaźni. Na razie o tym nie wiedziałam. Znalazłam się w małej dziupli wyposażonej jedynie w pryczę. Nie było w niej okna. Wąskie przejście pozwalało dojść do pryczy i się na niej położyć. Nakryłam się płaszczem i usiłowałam zasnąć. Bez skutku. Wizjer w drzwiach był ciągle w ruchu, obserwowano mnie. Strażnicy, repatriowani z Francji komuniści, mówili między sobą: „*Elle ne dort pas, elle ne dort pas*”⁵³. Nie mogłam spać. Byłam całkiem obolała. Nie mogłam także jeść. Leżałam na pryczy, bo nic innego nie można było w tych warunkach robić.

Po kilku dniach wezwał mnie do siebie Różański. Już mnie więcej nie bito. Wtedy właśnie miałam dziwną rozmowę z cywilem, który był przy tym pobiciu mnie pierwszego dnia. Do tej pory nie wiem, jak ja się z nim porozumiewałam, bo był Rosjaninem. Nie znałam rosyjskiego, a wiem, że go rozumiałam. Była dość długa rozmowa, z której zapamiętałam pytanie – dlaczego nie krzyczałam, kiedy mnie bito. Powiedziałam, że tak zostałam wychowana. Drugie pytanie dotyczyło wolności, a ja odpowiedziałam, że oczywiście jej chcę, ale nie za każdą cenę. Zapytana o przykład, odpowiedziałam, że nie mogłabym na przykład zaprzeczyć się swojej wiary. Potem Różański powiedział mi, że ów cywil jest przykładem pomocy, jaką nam okazuje Związek Radziecki – jest jakimś doradcą w Ministerstwie

⁵³ Ona nie śpi.

Bezpieczeństwa Publicznego. Nigdy potem nie widziałam już tego Rosjanina.

Jakieś cztery dni po moim aresztowaniu, gdy leżałam bezsennie na swojej pryczy, usłyszałam, że kogoś niosą na noszach. Słysząc było wyraźnie ciężkie kroki stąpających po schodach ludzi, potem stukanie do drzwi. Postawiono nosze na ziemi. Leżący na nich człowiek musiał być w bardzo ciężkim stanie. Słyszałam, jak charczał, rzeził. Oddziałowy zapytał go o nazwisko. Ku swojemu zdumieniu i przerażeniu usłyszałam wyraźnie wymówione nazwisko mojego kolegi: Tadeusz Łabędzki. Po chwili, prawdopodobnie po dopełnieniu wszystkich formalności, nosze poniesiono w głąb korytarza. W ciągu całego śledztwa, a także w trakcie miesiąc trwającej rozprawy sądowej nigdy nie padło nazwisko Tadeusza. Nigdy o niego nie pytano. Ten głos w korytarzu był jedynym dowodem jego aresztowania i świadectwem jego śmierci w więzieniu. Jakże okrutnie musiał być katowany... Tadeusz z natury był raczej wátłym mężczyzną i jego zdrowie nie wytrzymało...

Na jednym z pierwszych przesłuchań w gabinecie Różańskiego (w czasie mego pobytu w MBP byłam tam wzywana kilka razy) dowiedziałam się, że „Henryk” (Jan Morawiec) jest aresztowany i usiłował przesłać do mnie gryps, w którym prosił o zorganizowanie jego odbicia. Różański nie dał mi tego grypsu do przeczytania, a tylko o nim powiedział, sugerując jednocześnie rolę, którą miałam przy organizowaniu tego odbicia odegrać. Może dlatego otoczono mnie tak niezwykłą „opieką” przy przewożeniu do Warszawy – aż trzech uzbrojonych ludzi i ja jedna – że obawiano się, że z kolei mnie ktoś może odbić? Zrozumiałam, że będę oskarżona o udział w PAS-ie⁵⁴, kierowanym przez „Henryka”, a za podejrzenie o dokonanie zbrojnej akcji groziła kara śmierci. Dlatego w śledztwie całą moją uwagę skierowałam na obronę przed tym oskarżeniem, zwłaszcza że było ono rzeczywiście bezpodstawne. Przeżyłam chwilę grozy, gdy ujawniono fakt przewożenia przeze mnie rewolweru i amunicji z Łodzi do Warszawy, właśnie dla „Henryka”. Pamiętam tę noc śledztwa, gdy postawiono mi ten zarzut, a mnie pozostało tylko jego potwierdzenie. Obrona przed przynależnością do PAS-u doprowadziła do tego, że nie liczyłam się zupełnie z oskarżeniem mnie o szpiegostwo, które także było totalną bzdurą, a zaowocowało wyrokiem 10 lat z artykułu, który nie podlegał amnestii. Moje „szpiegostwo”

⁵⁴ Pogotowie Akcji Specjalnej NZW.

polegało na przekazywaniu poczty (zawsze w niezaklejonych kopertach) do i od szefa Wydziału II naszej organizacji, Tadeusza Zawadzkiego. Śledczy nie mogli pojąć, jak list niezaklejony może nie być przeczytany przez osobę go doręczającą, więc twierdziłam że były zaklejone.

W czasie tamtego śledztwa Różański pokazał mi jeszcze inny „dokument”. Była to rozpowszechniona wtedy piosenka o Gomułce, śpiewana na melodię *Serca w plecaku*. Zaczynała się tak: „Gównu w trawie zapiszczało i tak sobie...”. Ja tej piosenki nie znałam. Znalaziono ją w pokoju, w którym mieszkaly nasze współlokatorki z Warszawy. Ale Różański oczywiście mnie obciążył tym wierszykiem, wykrzykując do mnie: „studenci! poziom!...” i tak dalej. A ja właśnie dopiero wtedy poznałam całą treść tej piosenki, odczytywanej wzburzonym głosem przez Różańskiego.

Wracając do grypsu od „Henryka”, aż do rozprawy nie wiedziałam, czy był on rzeczywiście jego autorem. Treść grypsu poznałam dopiero w latach dziewięćdziesiątych dzięki historykowi Marcinowi Zaborskiemu: „Dla Ruty. Jestem aresztowany. Mam postrzeloną nogę powyżej uda. Czuję się kiepsko. O nas mało wiedz. Aresztowani są – Magister⁵⁵ sypie. Wujek – nie wiem. Sochaczew niebezpieczny. Mjr Józef też. Sypać nie będę. Jest możliwość odbicia. Trzeba ludzi zdeterminowanych. Oddawca kartki może wyjaśnić dowódcy takiej grupy. Wiem, co mnie czeka. Gdyby nie noga, to sam próbowałbym... Oddawcy kartki dopłacać miesięcznie 2–3 tys. zł. Prócz tego PAS ograniczyć w ekspropriacji. Proszę mi przysłać dwie trutki stanowczo. Może mi się uda pewien manewr. Bić mnie na razie nie biją. Ścisłam dłoń. Henryk R.

Omówienie akcji z oddawcą niniejszej kartki. Pa!”

I jeszcze dopisek zrobiony jego ręką podczas śledztwa: „Odpis niniejszy jest zgodny z wysłanym przeze mnie treścią grypsu. J. Morawiec”.

Nie muszę dodawać, że grypsu tego nigdy nie otrzymałam. Przypominam sobie, jak przez mgłę, że „Henryk” tłumaczył wysłanie go do mnie właśnie tym, że nie chciał zdekonspirować kolegów z Komendy Głównej. Bardzo trudno było nam porozumiewać się ze sobą w czasie procesu, stąd bardzo skąpe moje informacje dotyczące losów kolegów.

⁵⁵ „Magister” – prawdopodobnie Antoni Kularski, szef PAS Okręgu Łódź.

Zastanawiam się do dzisiaj, jak mogli zastawić taką pułapkę, że dał się na nią złapać. On, taki sprytny, inteligentny. Jak do tego doszło? Kogo mu podstawili? Tego już się nigdy nie dowiem. I jak najdalsza jestem od obwiniania go.

Dziwne, ale jest to jedyny prawdziwy gryps znajdujący się w moich aktach. Oczywiście, nigdy się nie wydostał poza mury więzienia. Ciekawa jestem, kim posłużył się „Henryk”? Czy to był jakiś funkcjonariusz, czy też współwięzień? Wydaje mi się, że to musiał być jednak funkcjonariusz MBP, bo chyba stamtąd gryps pochodził. Może „Henryk” liczył na to, że repatrianci z Francji, zatrudnieni w UB, zrobią to za pieniądze? Nigdy się tego nie dowiemy. Tak, jak nie dowiem się, jakiemu celowi miały służyć spreparowane grypsy, pisane niby przeze mnie.

Już wtedy, gdy znoszono go na noszach, Tadeusz Łabędzki musiał być umierający. Myślę, że zmarł jeszcze tej samej nocy. Jego bliscy nie zostali o tym poinformowani. Najpierw powiedziano, że uciekł, potem nie dawano żadnych informacji. Rodzina gubiła się w domysłach, nie ustawała jednak w poszukiwaniach. Długo skrywana prawda została wreszcie odkryta, ale bezpośredni sprawca tej zbrodni, stojący dziś przed sądem, nie przyznaje się do niej. Adam Humer⁵⁶, bo o nim mówię, twierdzi, że asystował tylko przy przewożeniu zwłok Tadeusza, ale już nawet nie był w miejscu, gdzie go pochowano. A ja przez te wszystkie lata przechowywałam w pamięci odgłos kroków, odgłos stawianych na ziemi noszy, ciężki oddech, rżenie Tadeusza i jego głos wyraźnie wypowiadający nazwisko: Łabędzki.

Siedziałam w celi. Był półmrok. Słabiutka żarówka, umieszczona we wnęce nad drzwiami, dawała mdłe światło. Dzień i noc nie różniły się niczym. Tak samo leżałam na swojej pryczy i tak samo zagłądano do mnie przez wizjer. Byłam zdana na swoje myśli, na całkowitą niewiedzę o tym, co mnie czeka, na niepokój i tęsknotę do najbliższych, do Matki. Któregoś dnia, gdy mnie odprowadzano po przesłuchaniu u Różańskiego, zobaczy-

⁵⁶ Adam Humer (1917–2001) funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa. W UB od 1944 r., początkowo na stanowisku kierownika sekcji śledczej WUBP w Lublinie, następnie od 1945 r. zastępca kierownika Wydziału VIII Departamentu I MBP, następnie zastępca kierownika Wydziału IV. Od 1947 r. wicedyrektor Departamentu Śledczego MBP i jednocześnie naczelnik Wydziału II. Od 1949 r. wicedyrektor Departamentu Śledczego MBP. Zwolniony ze służby 31 XII 1954 r. Wyrokiem Sądu Rejonowego w Warszawie z dnia 8 III 1996 r. skazany na 9 lat pozbawienia wolności za stosowanie przymusu fizycznego i psychicznego wobec aresztowanych.

łam, że oddziałowy czyta jakąś książkę. Zebrałam się na odwagę i zapytałam, czy może mi pożyczyć coś do czytania. Pytałam po francusku. Oni polskiego chyba nie znali. O dziwo, przyniósł mi do celi francuską powieść. Zaczęłam czytać, ale z powodu panującego mroku bardzo ciężko mi to szło. Jednak po jakimś tygodniu przeniesiono mnie do innej celi, z normalnym oknem, i mogłam już czytać swobodnie. Cella była znacznie większa, można było nawet chodzić. Rano usłyszałam rozmowę przez okno. Po mojej lewej stronie siedziała jakaś kobieta, chyba młoda, bo miała bardzo miły, dźwięczny głos, a po mojej prawej mężczyzna. Rozmawiali po węgiersku. Zapamiętałam zwrot „juonapot” (*jó napot*) – dzień dobry! Po jakimś czasie nawiązałam kontakt z tą dziewczyną. Miała na imię Ewa. Nie wiem, za co była aresztowana i co się z nią stało. Nigdy potem się z nią nie spotkałam ani o niej nie słyszałam.

W tej celi spędziłam około tygodnia i pierwsze moje więzienne święta Wielkiejnocy. Któregoś dnia drzwi otworzyły się i kazano mi zabrać moje rzeczy, których praktycznie nie miałam. Wzięłam francuską książkę z myślą, że po drodze oddam ją właścicielowi. Nie zastałam go jednak i książka powędrowała ze mną do więzienia na Mokotów, gdzie zaraz trafiła do depozytu.

6. X Pawilon

Pamiętam moje wejście do nowej celi. Był piękny, wiosenny dzień. W celi było słońce. Powitały mnie uśmiechnięte twarze nowych towarzyszek niedoli. Była tam „Mucha” Tłuchowska⁵⁷ i Ziutka Majewska⁵⁸. Otoczyły mnie wielką serdecznością. Poczułam się jak wśród najbliższych.

⁵⁷ Maria Tłuchowska vel Marta Gürtler lub Maria vel Marta Büchler – „Mucha” (1921–1946), w czasie wojny była agentem wywiadu ZWZ-AK, Intelligence Service, sowieckiej „razwiedki” i niemieckiej komórki wywiadu wojskowego „III F”. Wyrokiem Specjalnego Sądu Karnego, na sesji wyjazdowej w Łodzi 11 V 1946 r. skazana na karę śmierci. Stracona 25 I 1946 r. w więzieniu przy ul. 11 Listopada w Warszawie.

⁵⁸ Józefa Majewska-Słowińska – „Ziutka”, „Dora” (ur. 1924), żołnierz AK i WiN. Od 1942 r. w ZWZ-AK pełniła funkcję kierownika punktu sanitarnego, brała udział w Powstaniu Warszawskim. Od 1945 r. w WiN, współpracownica komórki kontrwywiadu krypt. „Cyryk” (działała w MBP) w ramach sieci wywiadu II Korpusu PSZ krypt. „Liceum”. Aresztowana 8 III 1946 r., wyrokiem WSR w Warszawie z 23 VIII 1946 r. skazana została na 6 lat pozbawienia wolności. Zwolniona po odbyciu całości kary 8 III 1952 r.

Potem dano do celi Hanke Dobrowolską. Od niej dowiedziałam się wielu istotnych dla mnie rzeczy. Leszek został aresztowany w kotle, w moim mieszkaniu. Jurek Pilaciński zdołał uciec razem z żoną Basią i ich małym synkiem. Był bezpieczny. Hance, sporo młodszej ode mnie, mogłam doradzić, co i jak ma zeznawać w swojej sprawie.

Kilka dni potem dostałam paczkę z domu. Była w niej żywność i zmiana bielizny. Ten znak z domu był dla mnie wielkim przeżyciem. Od tej pory, przez cały czas śledztwa, paczka była takim znakiem z domu, a wszelki jej brak, czy też opóźnienia stawały się przyczyną pasma udręki i niepokoju o najbliższych.

Cela, w porównaniu z tymi, w których siedziałam w murach MBP, wydała mi się wprost komfortowa. Był stolik, przyczepiany do ściany i tak samo umieszczony taboret. Była normalna ubikacja i miednica. Dawano wodę do celi. Nareszcie można się było porządnie umyć i uprać bieliznę. Najgorsze było to, że wszystkie czynności wykonywało się na oczach koleżanek, a także często i na oczach oddziałowych, gdy niespodziewanie otwierali drzwi. Trudno się było do tego przyzwyczaić. Spałyśmy na siennikach rozłożonych na betonie. Przed wojną były to cele przeznaczone na jednego więźnia, więc wyposażono je tylko w jedną prycę. Miałyśmy po jednym kocu. Jeden przeznaczaliśmy na „prześcieradło”, a resztą zgodnie przykrywałyśmy się. Pod głowę kładło się swoje ubrania. Mężczyźni wystawiali na noc buty, kobiety nie. Gdy szłam korytarzem na śledztwo, widziałam rzędy butów, wystawionych przed cele, jak do czyszczenia. Aresztowano mnie w chwili, gdy miałam na sobie zamszowe pantofle na cienkiej skórzanej podeszwie. Martwiłam się, że na więziennym betonie zółwki zaraz się zedrą. Poratowała mnie „Mucha”, która była już doświadczonym więźniem. Poprosiła oddziałowego o igłę i z kawałków niemieckiego munduru, służącego za ścierkę do podłogi, uszyła mi kapcie. Nie były ładne, bo nie było nożyczek, żeby je porządnie wykroić. „Mucha” zrobiła to kawałkiem blaszki z puszki po konserwach. Te kapcie, wielokrotnie przeze mnie potem „zelowane” przeróżnymi kawałkami ścierek, służyły mi do końca mojego pobytu na Mokotowie.

Chodziłam wtedy na intensywne śledztwo, zarówno w dzień, jak i w nocy. Na przesłuchanie nigdy nie brano zaraz po apelu. Robiono to dopiero po pewnym czasie, gdy byłyśmy już rozebrane i leżałyśmy lub spałyśmy. Wówczas otwierały się drzwi. Oddziałowy wskazywał zwaną osobę. Trzeba było się ubrać i z bijącym sercem iść. Szło się długim korytarzem.

Oddziałowy pozostawał zawsze z tyłu. Co jakiś czas dzwonił kluczami, uderzając nimi o balustradę. Był to znak, że prowadzony jest więzień, i w tym czasie nie można było wyprowadzać innego. Na drzwiach do celi, od strony korytarza, wisiała kartka z naszymi nazwiskami, zawsze odwrócona na drugą stronę. Przed wejściem do celi oddziałowy zdejmował kartkę, żeby upewnić się, czy dany więzień rzeczywiście mieszka w tej celi. Ten złowrogi szelest kartki za drzwiami był zawsze sygnałem, że chodzi o kogoś z nas. Tak było zawsze, gdy wzywano na śledztwo lub gdy zabierano do innej celi. I w jednym, i w drugim wypadku było to silne przeżycie. Człowiek bardzo szybko się przyzwyczaja i żyje ze swymi towarzyszami. Każde rozstanie, chyba że chodziło o ewidentnego kapusia czy kogoś wyjątkowo nieznośnego, było zawsze bardzo bolesne. Miało się świadomość, że można się już nigdy nie spotkać.

Na jednej ze ścian celi, w widocznym miejscu, wisiał regulamin więzienny. Jedyna rzecz do czytania. Można się było z niego dowiedzieć o wszystkich zakazach; czego więźniowi nie wolno i jaka go może spotkać kara za niepodporządkowanie się regulaminowi. Pamiętam, że jedną z nich było przesunięcie więźnia do niższej kategorii, co było dla nas zupełną abstrakcją, bo nie wiedziałyśmy nawet, do jakiej same należymy. Istnym paradoksem było wymienianie praw przysługujących więźniowi śledczemu. Zapamiętałam: pisanie listów raz na tydzień, posiadanie książek i prasy. Ale te dwa ostatnie prawa nie były tak istotne, jak możliwość korespondencji z domem. W praktyce bowiem żaden więzień śledczy nie mógł napisać do rodziny nawet paru słów. Takie zezwolenie otrzymywało się po sprawie i po zatwierdzeniu wyroku, a więc po przejściu z oddziału śledczego na ogólny. Zapamiętałam także, że więzień mógł posiadać imbryk do herbaty! Te i tym podobne przepisy budziły w nas tylko śmiech.

Cele śledczych w czasie, o którym piszę, różniły się tylko wyposażeniem w biurko i krzesło dla przesłuchującego. Czasem znajdował się też taboret dla więźnia, ale na ogół siadywało się na sedesie. Gdy chciano specjalnie mocno świecić w oczy (lampa zawsze była skierowana na więźnia), to sadzało się go po drugiej stronie biurka i światło lampy całkowicie go oślepiało.

O śledztwie, jego metodach i wszystkich torturach, które stosowano wobec więźniów, sporo już napisano. Na ogół w swoich wspomnieniach więźniowie poświęcają śledztwu dużo uwagi, bo i były to metody straszliwe, nieludzkie, połączone z szantażami psychicznymi. Ja tego na sobie nie

doświadczyłam. Nie byłam więcej bita. Przez wiele tygodni zabierano mi z paczki papierosy. Bardzo się denerwowałam, otrzymując jakąś mizerną ich ilość albo nie otrzymując ich wcale. Nie wiedziałam, co to znaczy. Pytałam, czy papierosy tak podrożały na wolności, czy też nie można ich dostać. Mój śledczy zorientował się, że to mnie denerwuje. Wreszcie zrozumiałam, że papierosy po prostu mi konfiskują (paczkę dostawało się po jej rozpakowaniu, więc nie znało się jej prawdziwej zawartości). I wtedy na zapytanie śledczego, czy nadal nie otrzymuję papierosów, powiedziałam spokojnie: „Wiem, że mam wstrzymane, ale mnie to wcale nie obchodzi”. Pomimo gorących zapewnień, że nie wstrzymuje się nikomu papierosów w śledztwie, twardo obstawałam przy swoim i przy tym, że mnie to nic a nic nie obchodzi. W następnej paczce już była dozwolona przepisami liczba papierosów – pięćdziesiąt sztuk.

Przez cały okres śledztwa oczywiście mowy nie było o żadnej korespondencji. Jedynym znakiem życia były paczki z domu i na nie tak bardzo się czekało. Każde opóźnienie albo wręcz ich brak budził najczarniejsze myśli oraz ten żrący niepokój, którego nie dawało się niczym ułagodzić. Ten niepokój o najbliższych, a zwłaszcza o Matkę, był moim nieodstępnym towarzyszem przez całe dziesięć lat i to była najboleśniejsza kara. W czasie śledztwa otrzymałam jednak, chyba trzy razy, wiadomość, parę słów napisanych we szwie woreczka z cukrem. Tak się umówiłam z rodziną, gdy byłam w sądzie jako świadek. Pamiętam ten różowy woreczek, który zawierał słowa napisane przez moją siostrę. „Mam mieszkanie i posadę, jeden pokój czeka na ciebie. Jestem z dziećmi i Mamusią, niech Bóg was błogosławi. Bogna”. Boże! Jaka byłam wtedy szczęśliwa. Świadomość, że Bogna, siostra, która się ukrywała, jest z dziećmi i Mamusią i pracuje oraz że czekają na mnie, że mam jakieś miejsce dla siebie – to było szczęście, którego się nie da opisać. Króciutkie wiadomości tą samą drogą otrzymałam jeszcze chyba dwa razy, a może tylko raz, gdyż udało mi się dać znać przez Cezarego⁵⁹, że dziękuję za woreczki, bo tylko cudem dając mi paczkę oddziaływo-
wy nie zauważył, że woreczek zamókł i litery lekko przeświecały.

Mój pobyt w pierwszej celi nie trwał długo, chyba znowu około dwóch tygodni. W tym czasie zachorowała Ziutka Majewska. Miała chyba jakieś

⁵⁹ Cezary Plater (ur. 1914 r.), aresztowany w 1946 r. w sprawie „Białego Kapitana”. Wyszedł w 1947 r. po umorzeniu śledztwa w wyniku amnestii. Po 1956 r. wyjechał z kraju.

kłopoty trawienne. Wezwaliśmy lekarza. Był nim więzień, Niemiec Rade-macher. Przyszedł, zapisał jakieś lekarstwo, Ziułka nie miała jednak pieniędzy w depozycie. Zapytałam, czy mogę ja to lekarstwo wykupić. Pozwolo-no mi napisać w tej sprawie raport do Różańskiego i prawie natychmiast przeniesiono mnie do innej celi.

Była tam Urszulka Pogorzelska⁶⁰ i Mira Russek. Ta ostatnia była kapu-siem, o czym Urszulka mnie natychmiast uprzedziła, korzystając z jej nie-obecności. Wychodziła ona z celi na cały dzień, twierdząc, że jest zajęta pi-saniem na maszynie tylko nagłówków „przesłuchanie podejrzanego”. Nic ponoć więcej nie pisała ani niczym innym się nie zajmowała. Przed wyjściem z celi Mira wyjmowała połówkę okna i przeglądała się w nim jak w lustrze, wdzięcząc się i poprawiając sobie włosy. Urszulka chodziła na śledztwo, wsadzano ją do „karca”. Mira bardzo troskliwie wypytywała ją o różne rze-czy, ale Urszulka była bardzo sprytna i nie pozwalała się „podejść” Mirze. Pochodziła ze wsi. Miała ukończoną szkołę powszechną. Z natury była bar-dzo inteligentna. Mirze przyznała się do skończenia tylko dwóch klas. Aresz-towano ją w związku z narzeczonym, majorem „Lisem”⁶¹ z mojej organiza-cji. Któregoś dnia na pytanie Miry Urszulka powiedziała: „Wiesz, Mirecz-ko, pytali mnie o jakieś mo-nar-chium, jakieś takie cudzoziemskie słowo, co go wcale nie rozumiem”. Na to Mira: „A może archiwum?” – „A wiesz, może to jakieś ar-chi-wum, ale co to jest, ja nie wiem, powiedz mi, bo ty tyle wiesz”. Innym razem Urszula mówi do mnie: „Wiesz, mam dosyć tego śledz-twa i „karca”, muszę sobie trochę odpocząć. Daj mi papierosa”. Ona nie paliła, ale go zjadła. Reakcja organizmu była szybka. Dostała natychmiast gorączki, źle się poczuła. Gdy śledczy Szymański⁶² wezwał ją na śledztwo, zwrócił uwagę na jej wygląd. Zapytał, co jej jest, czy jadła śniadanie. Odpo-wiedziała przecząco. A obiad? Znow zaprzeczyła. „To co, nie smakują wam

⁶⁰ Urszula Pogorzelska – więźniarka polityczna, skazana za przynależność do NZW, narzeczona Jana Szklarka.

⁶¹ Jan Szklarek *vel* Florian Lewicki – „Lis”, „Kotwicz”, „Roja” (1897–1947), mjr AK, NZW. Od 1941 r. w konspiracji, początkowo w ZWZ i AK, od kwietnia 1943 r. w NOW w sztabie Okręgu Białystok. Od kwietnia do września 1945 r. szef sztabu Komendy Okręgu NZW Białystok. W okresie wrzesień 1945 – marzec 1946 r. pełnił funkcję komendanta Okręgu NZW Białystok. Aresztowany 28 III 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 10 XII 1946 r. skazany na karę śmierci, został stracony 18 II 1947 r. w Warszawie.

⁶² Bronisław Szymański – oficer śledczy i kierownik sekcji III Departamentu Śledczego MBP (1947–1950).

obiady?” Urszulka na to: „Nie, wprost przeciwnie, panie poruczniku, zachwycona jestem obiadami, ale nie mogę jeść”. Złitował się i odesłał ją do celi. Innym razem mówi do niej: „Majora ci się zachciało?” A ona na to: „Jak spaść z konia, to z dobrego, panie poruczniku”. Mogłyśmy ze sobą dużo rozmawiać dzięki ciągłej nieobecności Miry w naszej celi. Później już dowiedziałam się, że Urszulka otrzymała mały wyrok i szybko wyszła na wolność, ale jej narzeczony „Lis” został stracony.

Po kilku dniach pobytu w tej celi przyszedł oficer inspekcyjny i powiadomił mnie, że mam zezwolenie od Różańskiego na wydanie pieniędzy z depozytu. Zakup lekarstw stał się już nieaktualny, bo Ziutka zdążyła wyzdrowieć bez nich. Poprosiłam więc o papierosy. Po jakimś czasie przyniesiono mi dwie paczki – marki „Bałtyk” i „Wolność” – obie otwarte i niepełne. Zapytałam, czy papierosy zdrożały, że nie starczyło na pełne paczki, ale nie odpowiadzano mi. Wyjęłam papierosa, poczęstowałam Mirę. Mój nie chciał się palić. Byłam pewna, że to wina jakiejś grubej łodygi w nim tkwiącej, i chciałam ją wyjąć. Ku memu zdziwieniu wyjęłam grafit od ołówka. Straszliwie mnie to zdenerwowało. W innych papierosach znalazłam chyba jeszcze dwie igły. Zrozumiałam, że w ten sposób podjęto próbę skłonięcia mnie do pisania grypsów. Oczywiście, nigdy tego nie zrobiłam, a nuczka przydała mi się, bo okazało się, że papierosy stanowią doskonałą skrytkę, do czasu, gdy zaczęli przełamywać papierosy na pół.

Dość szybko przeniesiono mnie do następnej celi. Było to bardzo sprytne posunięcie, bo znalazłam się tam z koleżanką „Muchy”, Janiną Enderle⁶³ („Ewą”). Z „Muchą” szybko się zaprzyjaźniłam, opowiadała nam o swoich przygodach okupacyjnych i późniejszych. Obie były w wywiadzie niemieckim infiltrowanym przez sowiecką „razwiedkę” (więcej o tym w rozdz. 8 *Pamięci „Muchy”*). „Mucha” nie mówiła mi wtedy, że pracowała dla wywiadu AK i że „Ewa” nic o tym nie wiedziała ani o tym, że „Ewa” mogła pójść na współpracę z UB. Natomiast zawsze mówiła o niej bardzo żywo i serdecznie. To sprawiło, że po wyjściu z celi, w której był kapuś, byłam szczęśliwa, że znalazłam się z przyjaciółką „Muchy”. Miałam do niej pełne zaufanie. „Ewa” w tym czasie twierdziła, że jeździ na sprawę, a po powrocie do celi opowiadała mi, co się działo. To by się zga-

⁶³ Janina Enderle – „Ewa”, aresztowana i skazana w jednej sprawie z Martą Tłuchowską *vel* Marią Gürtler – „Muchą”. Brak innych danych.

dzało, bo „Mucha” czekała właśnie na rozprawę. Któregoś dnia z moich okularów wyleciało szkło i „Ewa” wzięła je, twierdząc, że przekaże je do naprawy i przywiezie mi następnym razem. Ale już nigdy tych okularów nie odzyskałam, a bez nich było mi bardzo źle: nie widziałam wizjerki⁶⁴.

Opowiedziałam „Ewie” o swojej rodzinie, a ona bardzo sprytnie wyciągnęła ode mnie jeszcze trochę informacji w mojej sprawie. Potem posłużyło jej to do sfingowania moich grypsów. Dowiedziałam się o nich całkiem niedawno. Były w moich aktach. To ciekawa historia. Jeden komplet grypsów pokazał mi Stefan Niesiołowski. Były pisane obcą ręką na czterech stronnicach papieru podaniowego, adresowane do różnych osób z mojej organizacji. Informowały o moim aresztowaniu i sytuacji w więzieniu. Grypsy te musiały być dziełem „Ewy”. Nigdy nie ujrzały światła dziennego, nikt ich nigdy nie otrzymał ani nikt mi ich nie zarzucał w czasie śledztwa. Drugi komplet grypsów był pisany do mojej rodziny i był również jej autorstwa. W jednym z nich „pisałam”, że rozmawiałam przez ścianę z Tadzkiem Ł., że go bili (mnie też), ale że jestem dobrej myśli. Rozmawiałam też jakoby z Leszkiem. Tadzio Ł. już dawno nie żył i nigdy z nim oczywiście rozmawiać nie mogłam. Z Leszkiem też nie rozmawiałam przez ścianę. Nigdy nie siedziałam w jego pobliżu. Do jakiegoś celu miały jednak te grypsy służyć. Zostały ujawnione przy okazji przesłuchania mnie jako świadka w procesie Humera⁶⁵. Kserokopię tego ostatniego kompletu grypsów mam dzięki uprzejmości przesłuchującego mnie we Wrocławiu prokuratora. Jak bardzo takie grypsy są dowodem braku wiarygodności akt śledczych i więziennych! „Ewa” mogła mi znacznie bardziej zaszkodzić. Dzięki Bogu, z jakichś względów nie zrobiła tego⁶⁶. Nigdy się już z nią nie spotkałam, chociaż była w Fordonie, ale trafiła tam wcześniej, przede mną.

Po jakimś czasie z celi, gdzie byłam z „Ewą”, przeniesiono mnie znów do „Muchy”. Wtedy była już po wyroku. Dostała karę śmierci. Jakiś czas siedziała sama, potem dali do niej „Zulę” Magnuszewską⁶⁷, a jeszcze potem mnie. Ogromnie się ucieszyłam widząc „Muchę”, bo nie spodziewa-

⁶⁴ Wizjerka – inaczej judasz. Otwór w drzwiach celi służący do kontrolowania więźniów.

⁶⁵ Proces przeciwko Adamowi Humerowi i innym funkcjonariuszom MBP toczył się w latach 1993–1996. Wyrok w sprawie ogłoszono 8 III 1996 r.

⁶⁶ Jednak zaszkodziła. W aktach mojej sprawy znalazłam jej donos (przyp. autorki).

⁶⁷ Władysława Magnuszewska – „Zula”, uczestniczka powstania warszawskiego, skazana w grudniu 1944 r. na 10 lat więzienia.

łam się, że kiedyś się jeszcze spotkamy. 24 czerwca 1946 r. wieczorem zabrano ją z celi. Przewieziono do więzienia przy ul. 11 Listopada i tam stracono. Było to dla mnie i „Zuli” bardzo bolesne i głębokie przeżycie.

Obie z „Zulką” pozostałyśmy jeszcze w tej celi. Czas wypełniałyśmy produkcją różnych wyrobów z chleba. „Zulka” miała wyjść na wolność i przygotowywałyśmy prezenty dla naszych bliskich. Były więc różańce i krzyżyki, były broszki z kwiatami, popielniczki i cygarniczki. Były także karty do gry, maleńkie jak paznokcie, ale to już na nasz wewnętrzny użytek. Któregoś dnia przy okazji rewizji zabrano nam nasze skarby, a my zaczęłyśmy je tworzyć od nowa.

Po pewnym czasie przeniesiono nas do celi na górze. Tam zastałyśmy starszą panią. Nazywała się Kincel. Mówiłyśmy na nią „mamunia”. Szczęśliwie, że nas nie rozdzielono, wzięłyśmy się z Zulą pod ręce i w płasach wyśpiewałyśmy piosenkę o Mokotowie, przerobioną na nasz użytek z reklamówki bibułki papierosów „Morwitan”. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Mokotów służy ci najlepiej, bo w Mokotowie fajno przecież. Jest tani tak, i urok ma, i chroni nerwy od wszelkiego zła... I jest upojny jak haszysze, do snu przodownik cię kołysze...”. Nagle śpiew nam zamarł w gardle, otworzyły się drzwi i do celi wkroczyła oddziałowa Sabina, która kazała nam pójść do „karca”. Tam, pod schodami, spędziłyśmy 24 godziny, rozebrane do naga. By przetrwać, rozgrzewałyśmy się wzajemnie, rozcierając plecy jedna drugiej. Był to nasz pierwszy pobyt w „karcu”. Po wyjściu z niego od razu nawiązałyśmy kontakt z sąsiadami z celi, która była piętro niżej, pod nami. Okazało się, że siedzi tam kolega z mojej sprawy Janek Golka⁶⁸, utalentowany poeta i plastyk. Zaczęła się ożywiona korespondencja. Miałyśmy jakiś ogryzek ołówka. Janek przysłał nam swoje wiersze, których uczyłyśmy się natychmiast na pamięć. Były one przeważnie poświęcone narzeczonej Jasia, Li, ale były i pisane do koleżanek przez ścianę, a jeden był specjalnie dla nas:

MACIEJKI (lipiec 1946)

Pachną zmierzchy wieczorami
Liliowieją maciejkami...

⁶⁸ Jan Golka – „Klemens”, „Łukasz” (ur. 1918), por. NZW, architekt, poeta. Zastępca szefa Wydziału IV (Propagandowego) KG NZW. Aresztowany 8 IV 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 XI 1947 r. skazany na karę 12 lat więzienia, zamienioną na mocy amnestii na 8 lat więzienia.

Bez księżycy i bez sowy
Noc nade mną się nachyla.
Pachnie wieczór maciejkowy.

W sen od głowy na ramieniu
się zanurzam, jak w strumieniu.
Czekam nocy, co dzień, co zmierzch.

.....

Spójrz, topola daje znać!
Opowieści o drzewach...
Jakiś deszcz o słońcu z szumem się rozśpiewał.

Powiadacie, że kraty?
Mówicie, że mury?
Dla was pachną maciejki
Miłe córki z góry!
I te sny jak strumienie
I poranków znak dłoni –
Przyjdzie dzień jak muzyka
Czekanego spodziewaj –
Włosy w pukiel zbierz ze skroni...
Słyszysz ?... tupnij! Zaśpiewaj!

Mokotów, X, lato 1946 r.

„Zulka”, obdarzona miłym, ładnym głosem, śpiewała, za co dostawała liczne brawa. Znała dużo piosenek partyzanckich i innych. Wtedy stukaliśmy już alfabetem Morse’a. Znałam go jeszcze sprzed wojny – odbierałam na słuch, musiałam tylko przetransponować to na stukanie. Krótkiemu dźwiękowi (kropka w alfabecie) odpowiadało pojedyncze uderzenie, a kresce – szybkie podwójne. Każdą nadaną literę odstukiwało się na znak, że się ją przyjęło. Gdy słowo było zrozumiałe przed jego zakończeniem, to na ścianie skreślało się je, żeby nie tracić czasu. Stąd też wynikały różne nieporozumienia. Opowiadano mi, że jedna z koleżanek chciała powiedzieć: „mąż ma garbarnię”. Ale nie mogła tego zrobić, bo jak dochodziła do „garb...” – jej rozmówca natychmiast słowo skreślał. I musiała zostać przy garbatym mężu.

Dzięki kontaktom z Jankiem czas mijał szybko i nie myślało się ciągle o śledztwie, na które wciąż chodziłam. Wydaje mi się, że Janek był mniej wzywany.

Któregoś dnia, chyba pierwszego sierpnia, w rocznicę powstania, postanowiłam, że i ja coś z siebie muszę dać, aby uczcić ten dzień. „Zulka” miała śpiewać, a ja miałam recytować wiersze. Stanęłyśmy obie przy oknie, a ja na cały głos mówiłam różne wiersze patriotyczne ze swego dość bogatego repertuaru. Reakcja więzionych była wstrząsająca. Ściany zatrzęśły się od uderzeń, stuknięć i oklasków. Takich braw nigdy przedtem ani potem nie dostałam. Występ skończył się oczywiście „karcem”. Znowu siedziałyśmy tam 24 godziny i znowu za „sztuki piękne”. Po powrocie z „karca” nie zastałyśmy już Jasia. Przeniesiono go do innej celi. Niedługo potem zabrano i „Zulę”.

Zaczął się nowy okres, tym razem długi, przebywania w tej celi z nowymi koleżankami. Zjawiła się „Halszka” Dunin⁶⁹, potem „Chickie” – Joanna Kwiekówna⁷⁰. Halszkę uwięziono w sprawie Basi Sadowskiej⁷¹, z jakiej sprawy była „Chickie” – nie wiem. Jej śledztwo zostało umorzone w wyniku amnestii w 1947 r. Za ścianą siedziała „Marcysia” – Malessa⁷² i „Dusia”

⁶⁹ Helena Dunin – „Halszka”, „Wiśniewska”, „Zielińska” (1912–1987), żołnierz AK, WiN. Od 1939 r. działała w ZWZ-AK, utrzymywała kontakty ze Związkiem Jaszczurczym, należała również do organizacji „Ojczyzna”. Członek BIP-u KG AK, następnie pracowała w siatce wywiadowczej WiN o krypt. „Liceum”. Aresztowana 14 V 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie 18 VII 1947 r. skazana na 6 lat więzienia. Zwolniona warunkowo w 1949 r.

⁷⁰ Joanna Kwiekówna – „Chickie”, 18-letnia więźniarka polityczna, zwolniona z aresztu bez procesu, na mocy amnestii.

⁷¹ Barbara Sadowska – „Czarnecka”, „Robert” (1921–1991), oficer AK, WiN. Od 1942 r. w ZWZ. W 1943 r. pracowała w Wywiadzie Wschód przy KG AK, krypt. „Pralnia”. Od marca 1945 r. wyszła wraz z grupą do „Pralni II” – ekspozytury WiN. Kierowała grupą „Liceum” powstałą z „Pralni II”, a zorganizowaną jako ekspozytura wywiadu na rzecz II Korpusu. Aresztowana 13 III 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie ogłoszonym w lipcu 1947 r. skazana na 9 lat więzienia. W więzieniu podjęła kilkakrotnie głodówki na rzecz aresztowanych ludzi z „Liceum”, dla których domagała się dotrzymania umowy przez MBP, w wyniku której władze bezpieczeństwa zobowiązały się m.in. do zwolnienia ujawnionych wcześniej osób i niewymierzania aresztowanym kar śmierci.

⁷² Emilia Marcelina Malessa – „Marcysia”, „Maniuta”, „Miłasha” (1909–1949), kapitan AK. Brała udział w kampanii wrześniowej, od października 1939 r. w konspiracji. Działała w SZP, ZWZ-AK. Kierowniczką Wydziału Łączności Zagranicznej KG AK do stycznia 1945, następnie kierowniczką łączności zagranicznej w sztabie Delegatury Sił Zbrojnych i WiN. Aresztowana 31 X 1945 r. Na podstawie wyroku WSR w Warszawie z dnia 4 II 1947 r. skazana na 2 lata więzienia. W wyniku umowy z MBP, które zobowiązywało się, że żadna z ujawnionych przez E. Malessę osób nie zostanie aresztowana i sądzona, „Marcysia” podjęła z więzienia akcję ujawniania. Wkrótce na podstawie decyzji B. Bieruta została ułaskawiona. Po wycofaniu się przez MBP z umowy E. Malessa podejmowała głodówki w sprawie zwolnienia ujawnionych wcześniej, a jednak aresztowanych osób. W wyniku nieskuteczności podjętych przez nią działań w dniu 5 VI 1949 r. popełniła samobójstwo.

z mojej sprawy. Z „Dusią” rozmawialiśmy przez ścianę, ale tylko w pewnych godzinach i nie o sprawie. Być może było to zastrzeżenie „Marcysi”, które przekazała mi Dusia. Pod nami siedziało trzech panów: Witold Bayer⁷³, Cezary Plater i Zygmunt⁷⁴ (nie pamiętam jego nazwiska). Rozpoczęły się moje długie rozmowy z Cezarym i ożywione kontakty między naszymi celami. Posyłało się wzajemnie różne drobne prezenty, coś do jedzenia z paczki itp. Raz zrobiłam płaskorzeźbę. Wyrzeźbiłam swój portret z profilu, przy korektach moich towarzyszek, bo przecież wszystko było z pamięci. Chyba musiał być dosyć udany, bo odebrałam go, bojąc się, że przy rewizji odkryją nasz kontakt. Całe godziny, głównie nocne, spędzałam na rozmowach z Cezarym. Doszłam do ogromnej wprawy w przekazywaniu i odbieraniu wiadomości. Zwykle kończyliśmy gdzieś o północy, gdy oficerowie śledczy szli do domów, a na parterze więzienia ustawiano karabin maszynowy.

7 grudnia 1946 r. przyszła do nas czwarta towarzyszka – Anna Grocholska⁷⁵, i w tym składzie przesiedzialiśmy sporo miesięcy. „Halszka” była uzdolnioną poetką, „Chickie” także pisała wiersze, ale o bardziej lirycznym zabarwieniu. Twórczość kwitła. Powstała wtedy, znana później na całej „dziesiątce”, piosenka o mokotowskich śledczych na melodię *Chłopców z Albatrosa* i piosenka o naszych sąsiadach z dołu. Autorstwo należało głównie do „Halszki”, która wyśmiała w niej nasze flirty przez ścianę. W lutym postanowiłam urządzić swoje „lipne” imieniny, bo nie wiedziałam, jak długo będziemy jeszcze razem. Z tej okazji od „Halszki” i „Chickie” dostałam piękne wiersze. Ten od „Halszki” był dowcipny, a od „Chickie” liryczny. Zapiisałam je na chustce do nosa, którą wszyłam do swego płaszcza zimowego, i w nim po latach zostały wyniesione na zewnątrz i w ten sposób uratowane od zapomnienia:

WIERSZ OD „CHICKIE”:

Dni będą coraz dłuższe, coraz bardziej złote,
pod rozjaśnionym niebem zaśmieje się wiatr,

⁷³ Witold Bayer – adwokat, skazany za działalność w Komitecie Politycznym Organizacji Polskiej przez WSR w Warszawie 16 VI 1947 r. na 6 lat pozbawienia wolności.

⁷⁴ Prawdopodobnie Zygmunt Lachert.

⁷⁵ Anna Grocholska (1892–1977), aresztowana i dwukrotnie uniewinniona w związku ze sprawą jej brata Ksawerego Grocholskiego (ze sprawy Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej).

wędrowiec niestrudzony i wolną tęsknotę
dróg odległych, nieznanych wyszepce zza krat.

Dni będą coraz dłuższe. Pod mur Mokotowa
Przyjdzie słoneczna wiosna, swobodna jak ptak.
Garść słonecznego pyłu wrzuci nam do celi,
Aż rozjaśni się oczy. Wiesz – to będzie znak.

Ten dzień przyjdzie na pewno, weźmie cię za rękę,
Wyprowadzi bramą żelazną na świat.
Zostawisz po tej stronie minioną udrękę
Marzeniem wydeptany powiedzie cię ślad.

Zima długo się wlecze. Jest dopiero luty.
Z zamrożonego okna spływa łzami lód...
Lecz przyjdzie dzień ostatni, dzień jak złoty cud.

Rozpływa się powoli w cowieczornym cieniu
Krokami wzdłuż celi wymierzany czas...
...Promienna litość Boża chodzi po więzieniu,
spogląda w każdą celę, błogosławi nas...

Tak rzadko, Ruto, wspominasz o domu
I w najsmutniejszych chwilach potrafisz się śmiać,
Ani bicia na śledztwie, ni grozy Fordonu,
ni ciemnej nocy karca nie umiesz się bać.

Łaskawa Dłoń Wszechmocy pisze znaki święte
Na wolnej drodze twoich bliskich lat...
Ruto, już wnet się skończą drzwi na klucz zamknięte!
Życie rozwinie skrzydła! Świat będzie bez krat.

Mokotów, X, 8 II 1947 r.

WIERSZ OD „HALSZKI” DUNIN

Na „lipne imieniny”

Od dni dziesięciu męczy mnie zmore,
Spokoju nie mam ani godziny,
Myślę od rana aż do wieczora,
Jak by tu uczcić Twoje imieniny.

Wiersz miał być długi, wzniosły, natchniony,
O bohaterstwie i o bezpiecie,
Lecz co go zaczęę, wnet snem zmorzona
Uderzę w „kimo”, wiesz, tam pod piecem.

Ząb mi dokucza i boli głowa,
W nocie bezsenne, duszne i ciasne,
Lecz co uchwycę wiersza osnowę,
Boleć przestaje i zaraz zasnę.

Zostały tylko chęci najszczerze,
Dusza nie znosi murów i kraty,
Więc daruj, Ruto, te skromne wiersze
Na cześć Twojego patrona z Matty⁷⁶.

Niech zawsze, Ruto, dobrze Ci będzie,
W dom triumfalnie wjedź na motorze,
Spocznij na laurach w ojczystej grzędzie
I hoduj kury nad polskim morzem.

Wiem, że te wiersze nie są Cię godne,
Marne, ubogie i niedowcipne,
Ale je przyjmij z sercem pogodnym,
Jak imieniny Twoje są „lipne”.

Mokotów, X, 8 II 1947 r.

Wiele rozmawiałyśmy. Poznawałyśmy nasze rodziny, przyjaciół, bliskich. Duży wpływ na nasze dyskusje na tematy religijne miała osobowość Anny. W tej celi prowadziłam ożywione życie towarzyskie przez ścianę. Z Cezarym utrzymywałam kontakt do jego wyjścia na wolność. Jego sprawę umorzono na mocy amnestii, a siedział za chęć przedostania się do Anglii, do swojej matki. Był w grupie tzw. Białego Kapitana⁷⁷, który był bratem Józefa Rybickiego, a okazał się, niestety, kapusiem. Po jed-

⁷⁶ Mam na drugie imię Janina (przyp. autorki).

⁷⁷ Stefan Rybicki – „Biały Kapitan”, kpt. Francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Brat ppłk. Józefa Rybickiego – „Maciej” – Komendanta Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych. Organizował siatkę przerzutową osób za granicę. W ostatniej grupie znajdowali się m.in. Andrzej i Maria Potoccy z Krzeszowic.

nej stronie celi rozmawiałam z „Dusią”. „Marcysia” sama nigdy nie stukała. Po drugiej stronie ze zmieniającymi się sąsiadami. Był tam Stanisław Roskosz⁷⁸, był Muzyczka⁷⁹, krótko był także Staszek Kasznica⁸⁰, z którym potem siedziałam już dłużej przez ścianę na „jedenastce”, był również Witold Pilecki⁸¹. W trzeciej celi za Pileckim jakiś czas siedział Tadeusz Zawadzński z mojej sprawy, a pod nim „Henryk” – Janek Morawiec, też z mojej sprawy. Z Tadeuszem ucinaliśmy czasem rozmowy przez okno oraz przerzucaliśmy paczuski dla „Henryka”, które Tadeusz już do niego spuszczał bezpośrednio. Dwukrotnie słyszano nasze rozmowy, ale nigdy się do nich nie przyznałam. Kiedyś – a był mróz i przez zamrożone okno rozmawiałam przez lufcik – uratował nas oddziałowy, gdy zobaczył, że okna nie można otworzyć. Drugi raz oddziałowy zabrał do „karca” „Halszkę”, mimo tego, że żadna z nas, a ona tym bardziej, nie przyznała się do rozmowy. Ten „karc” „Halszki” bardzo boleśnie i mocno przeżyłam. Miało to być 48 godzin nago o chlebie i wodzie. Nic nie mogłam poradzić, bo przyznanie spowodowałoby tylko to, że do „karca” oprócz mnie poszedłby jeszcze Tadeusz. Nie mogłam zrobić nic innego, tylko solidar-

⁷⁸ Stanisław Roskosz – „Nowak”, działacz Stronnictwa Narodowego.

⁷⁹ Ludwik Muzyczka – „August”, „Augustyn”, „Benedykt”, „Jacek”, „Sułkowski” (1900–1977), ppłk AK. Od 1939 r. komisarz ds. walki cywilnej Organizacji Orła Białego (od II–III 1940 r. w ZWZ). Uczestnik Powstania Warszawskiego, następnie w niewoli niemieckiej. Po zakończeniu wojny sprawował funkcję Prezesa Obszaru Południowego WiN. Aresztowany 22 XII 1945 r. w Krakowie. Sądzony w procesie Jana Rzepeckiego. 3 IX 1947 r. skazany na 10 lat więzienia (po zastosowaniu amnestii karę obniżono do 6 lat). 23 XII 1948 r. zwolniony z więzienia.

⁸⁰ Stanisław Kasznica – „Przepona”, „Wąsowski” (1908–1948), ppłk NSZ, adwokat. Członek Obozu Wielkiej Polski, do 1934 działacz ONR-„ABC”. W konspiracji od 1939 r. działał w ramach Organizacji Wojskowej Związek Jaszczurczy, następnie w NSZ. Od września 1944 r. komendant Okręgu VIII (Częstochowa) NSZ. Od sierpnia 1945 r. p.o. dowódca NSZ-ONR. Aresztowany 15 II 1947 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 2 III 1948 r. skazany na karę śmierci. Stracony 12 V 1948 r. w Warszawie.

⁸¹ Witold Pilecki – „Druh”, „Witold”, „Romek”, „Tomek” (1901–1948), rotmistrz (1943 r.). W podziemiu od października 1939 r. Celem zbadania warunków panujących w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu dobrowolnie dołączył się do grupy zatrzymanych osób na Żoliborzu. 21 IX 1940 r. został przewieziony do Oświęcimia, gdzie zorganizował siatkę konspiracyjną. W nocy z 26 na 27 IV 1943 r. zdołał zbiec z obozu. Dzięki niemu KG AK, a poprzez nią i Rząd Polski na Uchodźstwie mieli możliwość poznania prawdy o Oświęcimiu. W latach 1943–44 działał w II oddziale Kedywu KG AK. W latach 1944–1945 znalazł się w niewoli niemieckiej, następnie w 2 Korpusie Polskim we Włoszech. Do kraju wrócił w 1945 r., a 5 V 1947 r. został aresztowany pod fałszywym zarzutem pełnienia funkcji „szefa wywiadu Andersa na Polskę”. Wyrokiem WSR w Warszawie z 15 III 1948 r. został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 25 V 1948 r. w Warszawie.

nie pościć. Na szczęście „Halszka” w „karcu” była krócej (dobę), w ubra-
niu i dostawała normalne posiłki. Wyszła jakaś zadowolona, twierdząc, że
ten samotny pobyt zrobił jej bardzo dobrze. Mogła tam spokojnie przemy-
śleć wiele rzeczy. Było to jej – jak mówiła – bardzo potrzebne.

Z tej celi zabrano mnie także na robienie przysiadów. O ile pamiętam,
chodziło również o przyznanie się do jakiegoś kontaktu z więźniem z są-
siedniej celi. Ponieważ się nie przyznałam, musiałam robić przysiady z rę-
kami podniesionymi do góry i trzymając w tych rękach ołówkę, który mi
do tego celu dali. Robiłam je bardzo długo i oczywiście nie mogłam utrzy-
mać równowagi, waliłam się na beton, podnosiłam się i znów robiłam przy-
siady. Wróciłam cała obolała i poobijana. Koleżanki robiły mi okłady. Do-
stałam wówczas na rękach uczulenia, które w różnym natężeniu powtarza
się do dzisiaj.

Zbliżała się Wielkanoc. „Dusia” powiedziała mi, że „Marcysia” załatwiła
pójście do łaźni. One były tam już kilkakrotnie. My w tym czasie nie wy-
chodziłyśmy nigdzie, przez cały czas pozostawałyśmy w celi. „Dusia” uprze-
dziła mnie, że przy obsłudze będą sami mężczyźni i w związku z tym trze-
ba się bardzo szybko rozebrać i wskoczyć pod prysznic. Tak też zrobiłam.
Byłam z „Dusią” w jednej kabinie. W kłębach pary nie było nas absolutnie
widać. Dopiero tam mogłyśmy ustalić wiele rzeczy dotyczących naszej
sprawy i zeznań. Tego dnia z „dziesiątki” zabrano więcej osób do łaźni,
między nimi był Cezary, który opowiadał mi potem, że memu sąsiadowi zza
ściany, Staszewi Kasznicy, mył plecy, które pokryte były czarnymi pręga-
mi od bicia.

„Marcysi” zawdzięczam to, że ułatwiła ujawnienie się mojej siostry, która
ukrywała się pod zmienionym nazwiskiem po ucieczce spod łap bezpieki.
Także dzięki niej przyjęto dla mnie koc, który przysłała matka Cezarego
z Anglii. Ogromny, ciepły, czysto wełniany koc. Było to coś wspaniałego!
„Marcysia” po wyjściu na wolność mogła odwiedzać „Dusię” i Basię Sa-
dowską na „dziesiątce”. Wpuszczano ją do ich celi, tej samej, w której ona
siedziała z nimi.

Wielkim wydarzeniem była niespodziewanie dana nam do celi książka
Kamienie na szaniec. Potem była jeszcze biografia Ojca Kolbego napisana
przez Marię Winowską, ale były to sporadyczne i niecodzienne wydarze-
nia. Brak książek zastępowałyśmy dyskusjami i opowiadaniem o naszych
bliskich. W dyskusjach poruszałyśmy różne tematy – polityczne i religijne.
Oczywiście stawiało się też kabałę.

Sięgając pamięcią do tak już odległej przeszłości, uświadomiłam sobie, że okres śledztwa trwający około półtora roku (od 5 IV 1946 r. do października 1947) opisywany przeze mnie wygląda prawie idyllicznie. Poza pierwszą nocą w gabinecie Różańskiego nikt mnie nie bił, nie stosowano wymyślnych presji fizycznych: stójek, siedzenia na nodze stołka itp., które w późniejszym okresie stanowiły codzienny repertuar ubeckich metod śledczych. Miałam więc pewno więcej szczęścia już przez sam fakt, że byłam aresztowana wcześniej. Zdaję sobie sprawę, że „karce”, przysiady, zabieranie papierosów czy też całkowite pozbawianie paczek na różne okresy tylko pozornie nie miały nic wspólnego ze śledztwem – były jego integralną częścią. Idąc na przesłuchanie, nigdy nie wiedziałam, co mnie czeka, kto będzie przesłuchiwał, o co będą pytać. Gdy tak siedziałam w kącie celi przesłuchań na sedesie, mając skierowane w oczy światło żarówki, starałam się zawsze trzymać ręce na kolanach, żeby ukryć ich drżenie, żeby nie pokazać, że się boję, że się denerwuję. Każdy zgrzyt klucza w zamku, poprzedzany szelestem zdejmowanej kartki z naszymi nazwiskami, wywoływał skurcz serca. To po mnie!

Szybkie, nerwowe ubieranie się, gdy było to po wieczornym apelu, a potem droga do celi śledczej. Pierwsza, najważniejsza myśl: nie okazać strachu. Sprawa, w której mnie przesłuchiowano, została zakończona procesem Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Byłam jedną z dziesięciu skazanych. Oprócz naszego procesu było dużo procesów odpryskowych. Aresztowano członków NZW w terenie, z którymi kontaktowali się moi koledzy lub ja. Dlatego zakres pytań w śledztwie stale się poszerzał wraz z nowymi informacjami uzyskiwanymi przez bezpiekę. Ktoś na górze łączył – pozornie oderwane strzępki informacji – w misterną siatkę, oplatającą upatrzoną ofiarę. Nie zawsze, na szczęście, to im się udawało. Pamiętam, kiedyś wmawiano we mnie, że była u mnie w mieszkaniu kobieta. Miałam tylko opowiedzieć, o czym była rozmowa. Trwało to wiele godzin nocnych. Byłam u kresu wytrzymałości. Doszłam do stanu, w którym prawie gotowa byłam uwierzyć w te odwiedziny – tak sugestywnie były we mnie wmawiane. Wreszcie dano mi spokój, ale psychicznie wymęczyło mnie to ogromnie.

Przeżyłam kiedyś śledztwo bardzo tajemnicze. Do dzisiaj nie wiem, co to naprawdę było. Wezwano mnie w nocy. Wprowadzono do celi. Był w niej zupełnie nie znany „śledź”, który od razu wyróżnił się swoim strojem, a potem i zachowaniem. Nie był w normalnym mundurze, noszonym wtedy przez wojskowych, ale w battle-dresie. Od razu rzucił mi się w oczy krawat. Nie

pamiętam stopnia, ale był chyba jakimś młodszym oficerem. Kazał mi usiąść na krześle, następnie podszedł do drzwi i zamknął je, mówiąc: „tak będzie lepiej”. Zadrżałam. Co to ma znaczyć? A on powiedział, że chce porozmawiać z inteligentną osobą, bo dawno już z taką nie miał do czynienia. Oburzyłam się i powiedziałam, że przez te długie miesiące śledztwa cała moja inteligencja – jeśli ją kiedykolwiek miałam – na pewno wyparowała. Nie dał za wygraną i rozpoczęliśmy rozmowę o polityce. Nie było to śledztwo, a raczej jakaś wymiana poglądów. Utkwiło mi w pamięci jedno jego zdanie: „Ma pani (mówił *per* pani) rację. Każdy imperializm musi się skończyć i ten czerwony imperializm też się kiedyś skończy”. Odprowadzono mnie do celi. Opowiedziałam o tym incydencie moim koleżankom. Nigdy więcej „krawacika” – jak go ochrzciłyśmy – nie spotkałam ani nie słyszałam o nim od żadnej koleżanki. Kim był? Pozostanie to dla mnie zagadką.

Nie pamiętam nazwisk moich „śledzi”. Było ich kilku. Zmieniali się. Zapamiętałam Bronisława Szymańskiego, którego Serkowski⁸² nazywał pieszczotliwie „Bronką”. Kiedyś Serkowski zaszedł do celi, było już późno i zapytał swoim śpiewnym akcentem: „Bronka, długo jeszcze będziesz siedział?”.

Kiedyś, a było to w początkach mego śledztwa, siedziałam z Urszulką Pogorzelską i Mirą Russek, przyszedł do naszej celi Serkowski, był zastępcą Różańskiego, w towarzystwie jakiegoś ważnego funkcjonariusza z MBP. Pytali Urszulkę i Mirę, za co siedzą, a potem zwracając się do mnie Serkowski powiedział: „to Komenda Główna”. Pytano mnie o stosunek do mojej działalności, na co odpowiadałam, że jest on pozytywny. Wtedy padło pytanie: „A wykonywanie wyroków śmierci?” Przez chwilę nie wiedziałam, co odpowiedzieć, nie brałam w nich przecież żadnego udziału ani nie miałam na ten temat informacji. Serkowski powiedział wówczas: „To było podyktowane wyższą koniecznością”. Powtórzyłam za nim natychmiast: „Tak, to było podyktowane wyższą koniecznością”.

⁸² Ludwik Serkowski (ur. 1919) funkcjonariusz UB. Od września 1944 r. był oficerem Sekcji Śledczej Resortu BP. Następnie od września 1945 sprawował funkcję kierownika Sekcji 2 Wydziału IV Samodzielnego MBP. Od lipca 1947 r. pełnił funkcję zastępcy naczelnika, a następnie naczelnika Wydziału II Departamentu Śledczego MBP. Od września 1951 r. naczelnik Wydziału III Departamentu Śledczego MBP, a od listopada 1952 r. sprawował funkcję zastępcy szefa WUBP w Katowicach. Od 1955 r. naczelnik Wydziału I Oddziału III KGMO, następnie naczelnik Wydziału III Oddziału III KGMO i starszy inspektor Grupy Inspektorów ds. Specjalnych Oddziału III KGMO. Zwolniony ze służby 31 V 1956 r.

W miarę upływu czasu intensywność śledztwa malała. Nigdy jednak nie wiedziałam, kiedy mogą mnie znowu wezwać na przesłuchanie. Stale musiałam być czujna. Każde przesłuchanie było dla mnie zawsze bardzo silnym przeżyciem. Do tego nie można się przyzwyczaić.

Zmieniali się sąsiedzi. Gdzieś w lecie 1947 r. przyszedł Witold Pilecki. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze o jego bohaterskiej przeszłości. Wiedziałam tylko od niego, że był kontuzjowany i źle słyszy. Dlatego stukał w ścianę drewnianą łyżką, a ja – spinką do włosów. Uprzedziłam go, że w razie niebezpieczeństwa skrobie się w ścianę i urywa kontakt. Nasze rozmowy były bardziej wymianą bieżących informacji, natomiast zupełnie inne prowadził z sąsiadem siedzącym pod nim, Zbyszkim Nowosadem⁸³. Przysłuchiwałam się ich rozmowom. Usłyszałam kiedyś rzecz najważniejszą, która mną do głębi wstrząsnęła. Witold powiedział do Zbyszka, że aby mieć atut do obrony, udostępnił swoje archiwum oświęcimskie, przebieg całej swojej działalności w obozie. I okazało się, że wszystko to przywłaszczył i przypisał sobie Cyrankiewicz⁸⁴. Pamiętam, jak wzburzony Witold – stan ducha doskonale uzewnętrzniał się w sposobie stukania – mówił, że przez to on musi zginąć. Tą informacją podzieliłam się z „Halszką” i Anną w wielkim sekrecie, a potem przez długie lata, już na wolności, nosiłam w sobie, mogąc się wreszcie podzielić nią z córką Pileckiego, a potem z Józefem Garlińskim⁸⁵. To, co Witold powiedział Nowosadowi, było ogniwiem łączącym fakt przesłania jego kartki z prośbą o wydanie archiwum skierowane do

⁸³ Zbigniew Nowosad – „Pękala” (ur. 1907), działacz SN. Sekretarz Generalny i Kierownik Organizacyjny Komitetu Ziemi Wschodnich Stronnictwa Narodowego. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 1 X 1947 r. skazany na karę śmierci, zamienioną na mocy amnestii na karę 15 lat więzienia.

⁸⁴ Józef Cyrankiewicz (1911–1989), działacz socjalistyczny i komunistyczny, polityk, prawnik. Od 1930 r. w PPS. W czasie okupacji związany z PPS-WRN, aresztowany w kwietniu 1941 r. przez Niemców, został wywieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Po wojnie od 1 VII 1945 r. sekr. generalny i czł. Rady Naczelnej PPS. Współautor tzw. „zjednoczenia” PPS i PPR. Od 1948 r. członek PZPR, do 1954 r. sekretarz i członek Biura Organizacyjnego KC. W latach 1948–1971 członek Biura Politycznego KC. W latach 1947–1952 i 1954–1970 pełnił funkcje premiera.

⁸⁵ Józef Garliński (ur. 1913) historyk, pamiętnikarz, prozaik. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r., potem w konspiracji ZWZ-AK, oficer KG AK i szef wywiadu, szef bezpieczeństwa KG (1939–43), aresztowany przez gestapo, więziony w Auschwitz i Neuengamme. Po wojnie na emigracji w Wielkiej Brytanii. W latach 1947–1962 członek Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”. Od 1976 r. prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, a od 1984 r. prof. Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

p. Ostrowskiej⁸⁶, z faktem nieskorzystania z łaski i nieuwzględnienia jego oświecimskiego bohaterstwa w procesie.

„Halszka” przed swoją sprawą była w bardzo złej formie. Bałam się o nią. Popadła w rodzaj depresji, z której się szczęśliwie wydobyła. Z tego jednak okresu datuje się jej bardzo przejmujący i głęboki wiersz, który muszę tutaj przytoczyć. Leżał on przez lata gdzieś na dnie mojej pamięci i nagle, niespodziewanie ożył przy końcu lat osiemdziesiątych:

Dusza moja jak więzień doczesności kluczem
zamknięta i bezradna w swej samotnej celi,
czasem sercem o żebra znaki Morse’a tłucze,
czasem przez oczu okno wyrzeć się ośmieli.

Jakże przed sądem wyznam ogrom swoich zbrodni,
jakiego adwokata zdążę się poradzić,
kiedy celę otworzy śmierć – starszy przodownik
i na sprawę mnie poprowadzi.

Mokotów, XI, 1947 r.

7. Ściana

Los nam serca zwiódł
Kochanie,

los nam serca splótł
przez ścianę,
czekam chwili tej
gdy się spotkamy.

(fragment piosenki z mokotowskiej „dziesiątki”)

Ściana w więzieniu, w którą się stuka, to nie mur, który dzieli, lecz życzyliwy przyjaciel, który łączy. Można stukać do sąsiadów obok, z dołu i z góry. Można też w taki sam sposób odbierać i cudze rozmowy. Czasem takie przejęte rozmowy były źródłem niesłychanie cennych informacji. Przez

⁸⁶ Elżbieta Ostrowska – krewna Witolda Pileckiego, u której w Warszawie ukrywał się i gdzie został aresztowany.

ścianę zawierało się znajomości, przyjaźnie, nawiązywały się przelotne flirty, a także i głęboka miłość. Przez ścianę także udawało się czasem nawet porozumieć się z kimś z tej samej sprawy.

My, kobiety, używałyśmy do tego zwykle spinki do włosów. Było to bardzo wygodne narzędzie, dawało bowiem dźwięk cichy a wyraźny. Świetnie się nią skreślało końce słów, skracając w ten sposób czas nadawania, podkreślało się koniec zdania, a w razie niebezpieczeństwa dawało ostrzeżenie drapaniem. Czego używali mężczyźni – nie wiem. Ściana była cierpliwa. Znosiła nasze wielogodzinne rozmowy wystukiwane z różnym napięciem, w zależności od nastroju i sytuacji, stając się często niemym powiernikiem naszych myśli i uczuć. Nie buntowała się także, gdy waliło się w nią, wyrażając wzajemną solidarność czy też uznanie.

W celi na pierwszej piętrze, której numeru już nie pamiętam, siedziałam bardzo długo. Przywędrowałam tam razem z „Zulką” Magnuszewską z parteru. Szczególnie ożywiony kontakt przez ścianę utrzymywałyśmy, jak już pisałam, z całą Cezarego Platera. Stukałam ją, zwykle już po apelu, aż do północy, do momentu, kiedy „śledzie” wypływali ławą z „dziesiątki”. Stukałam wtedy leżąc na lewym boku, przytulona do ściany, osłaniana przez „Chickie” i „Halszkę”. Prowadziłam długie „rozmowy” z Cezarym, o dużym zabarwieniu uczuciowym. Ściana była wiernym przekąźnikiem naszych uczuć i nastrojów. Nie musiało się ich uzewnętrzniać w słowach, wystarczyło się wsłuchać w samo stukanie i już się wiedziało, wyczuwało dokładnie, jakie uczucia towarzyszą wystukiwanym zdaniom. Byliśmy tak zgrani, że już po pierwszych wystukanych literach znało się dane słowo. Technika stukania polegała na tym, że wystukiwało się daną literę, a partner pojedynczym stuknięciem potwierdzał odbiór. Po skończonym słowie kreśliło się wyraz na ścianie i zaczynało wystukiwać drugie słowo. Przy dobrej wprawie można się było porozumiewać bardzo szybko. Któregoś dnia „Halszka” zaproponowała, żeby sąsiadom zrobić kawą. Udać, że nas zabrali z celi. Przestałam odpowiadać na stukanie Cezarego, a „Halszka” zaczęła chodzić po celi, ciężko stukając. Trwało to niedługo, ale wystarczyło, aby usłyszeć jakieś stukanie na drugiej ścianie. Przytknęłam ucho i usłyszałam, że Cezary stuka ze swoją sąsiadką z drugiej strony ściany i że znajomość ta jest już bardzo zaawansowana. Wtedy zaczęłam stukać, a biedny Cezary miotał się między nami dwiema. Byłam w tej lepszej sytuacji, że mogłam podsłuchiwać ich rozmowy, a partnerka Cezarego nie, ponieważ ja stukałam w inną ścianę.

Nasz kontakt z celą Cezarego nie kończył się na stukaniu. Było także przysyłanie różnych paczuszek i upominków. Odbywało się to przez okno. Zdejmowało się pręt od spuszczenia wody, wiązało się sznurek, na nim zawieszało się paczuszkę i po uprzedzeniu sąsiadów spuszczało się na dół. Na sygnał dany od nich spuszczałyśmy pusty sznurek do nich, a oni zawieszali swoją paczuszkę dla nas. To był tak zwany „koń”. Funkcjonował bardzo dobrze. Trzeba było tylko wypatrzeć odpowiednią chwilę, żeby nie być zauważonym przez oddziałowego na zwyczaj⁸⁷. Takie „konie” posyłałyśmy za pośrednictwem sąsiada nawet do dalszej celi na parterze. Siedział w niej „Henryk”, pozbawiony kompletnie paczek. Nad nim siedział drugi kolega „Wojtek” (Tadeusz Zawadziński). Zarzucałyśmy wtedy naszą paczuszką poziomo do celi „Wojtka”, poprzez bezpośredniego sąsiada, a „Wojtek” spuszczał tę paczuszkę do „Henryka”.

Sprawa Cezarego została wkrótce umorzona i mój więzienny sąsiad wyszedł na podstawie amnestii. Był w kontakcie z moją Matką i przyjeżdżał parokrotnie na widzenia do Fordonu, jako – oczywiście – mój „kuzyn”. Jego matka mieszkająca w Anglii przysyłała mi tam co jakiś czas paczki.

Kiedyś rozmawiałam z Witoldem Pileckim. Jako więzień o dłuższym stażu udzielał mi różnych informacji. Któregoś dnia rozmawiałam z nim właśnie nieco dłużej, siedząc w kucki za pryczą, niewidoczna z wizjerki. W tym czasie Anna Grocholska spacerowała po celi. W pewnym momencie szepnęła: „*Joseph est a la porte*”⁸⁸, co oznaczało, że obserwują nas. Przestałam natychmiast stukać i zaczęłam drapać w ścianę na znak niebezpieczeństwa. Pilecki nie zwrócił na to uwagi, tylko stukał dalej tą swoją drewnianą łyżką. Anna powtórzyła swoje ostrzeżenie. Siedziałam jak na rozżarzonych węglach. Czekałam tylko na moment, w którym usłyszę szelest zdejmowanej z drzwi kartki, na której odwrocie wypisany jest skład celi, bo wtedy oddziałowy zobaczy, że ma być nas cztery, a widzi tylko trzy. Ile to czasu trwało – nie wiem, dla mnie była to cała wieczność. Wreszcie usłyszałyśmy kroki. Oddziałowy podszedł do celi Witolda, zastał go przy ścianie stukającego łyżką, ale bez odzewu z mojej strony. Zabrał Witolda do „karca”. Bardzo się tym zmartwiłam, ale nic na to nie mogłam poradzić.

⁸⁷ Zwyczaj – punkt obserwacyjny, zwykle umieszczony na murze ogradzającym więzienie (przyp. autorki).

⁸⁸ Józef jest przy drzwiach.

Na „ogólniaku” już nie stukaliśmy. Nie było takiej potrzeby ani możliwości. Byliśmy wszystkie w jednej celi, a mężczyźni siedzieli po drugiej stronie korytarza. Z naszymi kolegami miałyśmy nikły kontakt przez okno. Ich cele na „dziesiątce” były usytuowane pod kątem prostym w stosunku do naszego bloku. Wychylając się przez okno, mogłyśmy gestem przekazać im naszą o nich pamięć i wiarę. Nie pamiętam już, czy udało nam się coś zawołać, ale chyba tak, bo ktoś doniósł o tych kontaktach i obie z „Agatą” zostałyśmy ukarane pozbawieniem spacerów przez miesiąc. Byłyśmy bardzo pilnowane i już więcej nie mogłyśmy ich widywać.

8. Pamięci „Muchy”

Poznałam ją w połowie kwietnia 1946 r. na Mokotowie. Był piękny, słoneczny dzień. W celi przywitała mnie przystojna, wysoka, niebieskooka blondynka. Przedstawiłyśmy się sobie. Podała swoje imię i nazwisko: Marta Tłuchowska, i zaraz dodała: „Ale to nie jest moje prawdziwe nazwisko, jestem jeszcze przed sprawą i nie powiem wam, jak się naprawdę nazywam”. W celi była jeszcze potem Hanka Dobrowolska (z mojej organizacji) i Ziułka Majewska. Wszystkie były dla mnie bardzo serdeczne. Po dwutygodniowej samotności w piwnicznych celach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i po pierwszym ciężkim przesłuchaniu – w nowej celi na Mokotowie odżyłam.

„Mucha” – bo tak na jej prośbę nazywałyśmy Martę – była najstarsza z nas stażem więźniarką, o dużym doświadczeniu życiowym. Mówiła nam, że w czasie wojny związana była z różnymi wywiadami, a między innymi z niemieckim „III F”, skierowana tam przez rezydenta sowieckiej „razwiedki”, dr. Noska, mieszkającego w Warszawie. Cały prawie czas okupacji niemieckiej „Mucha” wraz ze swoją koleżanką Janiną Enderle „Ewą” przebywała poza Polską na terenie okupowanej Europy. Najwięcej czasu spędzały w Czechach, ale docierały też aż do Francji. W końcowej fazie wojny gestapo nabrało podejrzeń co do ich działalności. Obie zostały aresztowane i skazane na karę śmierci. Na wykonanie wyroku czekały w Pradze czeskiej, w więzieniu w tzw. Karlaku. Więzienie pustoszało, mniejsze wyroki wypuszczano na wolność. One „ducharzyły”⁸⁹. W czasie

⁸⁹ Wywoływały duchy – zwrot zapożyczony z języka czeskiego. Tego terminu używały w praskim więzieniu (przyp. autorki).

tych seansów powtarzała się ciągle data: 5 maja, 5 maja. Gdy 5 maja 1945 r. wybuchło w Pradze powstanie, otwarto cele więzienne i obie znalazły się na wolności. Pierwsze swoje kroki skierowały do administracji więzienia, gdzie odnalazły listę więźniów skazanych na śmierć, i przy swoich nazwiskach postawiły krzyżyki, oznaczające, że wyroki zostały wykonane; po czym natychmiast włączyły się do powstania. „Mucha” służyła swoim doświadczeniem, wyniesionym z krótkiego pobytu w powstaniu warszawskim, gdzie skierował ją wywiad AK (o czym nam jeszcze wtedy nie powiedziała), z którym była związana. Opowiadała, z jakimi trudnościami musiała się przedostawać najpierw przez linię niemiecką, a potem przez polską. W obu wypadkach posługiwała się papierami niemieckimi i polskimi w zależności od sytuacji i w obu mogła zostać rozstrzelana jako szpieg jednej lub drugiej strony. Opowiadała, że za ten udział w powstaniu praskim otrzymała jakieś odznaczenie od generała Svobody⁹⁰, ale nie przywiązywała do tego większej wagi.

Opowiadała nam o różnych związanych ze swoją działalnością w „III F” wydarzeniach. Przytaczała wiele – czasem zabawnych, a czasem budzących zgrozę szczegółów. Pamiętam jakąś historię ze strzelaniem po pijanemu do portretu Hitlera oraz opowieść, nazwaną przez nią „zemsta nietopercza”. Było to jakieś bardzo pikantne wydarzenie, w której ona sama, czy też razem z „Ewą” zrobiła potężny kawał swoim towarzyszom – niemieckim żołnierzom.

Z tego, co opowiadała nam „Mucha”, wynikało, że „III F” był wojskowym wywiadem niemieckim całkowicie infiltrowanym przez wywiad sowiecki. Szpiedzy wysyłani przez Niemców na drugą stronę, poza linię frontu, przywozili informacje, które były preparowane przez stronę sowiecką i wprowadzały oczywiście dowództwo niemieckie w błąd.

„Mucha” i „Ewa” zamieszkały spokojnie w Pradze. Miały tam swoje prywatne mieszkanie. Idylla nie trwała jednak długo, bo pewnego razu zostały obie znów aresztowane, ale tym razem przez Sowietów. Osadzono

⁹⁰ Ludwik Svoboda (1895–1979) czechosłowacki generał i polityk. Początkowo w armii austriackiej, w 1915 r. przeszedł na stronę rosyjską. Od 1922 r. w armii czechosłowackiej, po zajęciu w 1939 r. Czech przez Niemcy dowódca Legionu Czechów i Słowaków w Polsce. Po 1941 r. dowódca Korpusu Czechosłowackiego w ZSRR. Od 1948 r. członek KPCz, w latach 1945–1950 min. obrony narodowej, następnie 1950–1951 r. wicepremier. W stanie spoczynku od 1959 r., w latach 1968–1975 sprawował funkcję prezydenta.

je w oddzielnych celach, znów w „Karlaku”. Po jakimś czasie oznajmiono „Musze”, że będzie na niej wykonany wyrok, i zapytano, jaką ma ostatnią prośbę. Zażyła sobie wówczas podwójnej porcji kolacji. Dostała dwie miski zupy, którą z apetytem zjadła, a następnie wyprowadzono ją na podwórze więzienne, gdzie czekał pluton egzekucyjny. W ostatniej chwili rozkaz został wstrzymany. Była to oczywiście próba, z której „Mucha” wyszła zwycięsko. Dowódca plutonu był pełen podziwu dla jej postawy. Zapytano ją, co chciałaby otrzymać w zamian za okazaną odwagę. Wtedy powiedziała: „Albo wam już powiedziałam wszystko i nie mam nic do dodania, albo nie powiedziałam, a to znaczy, że nic więcej wam nie powiem, dajcie mnie więc do celi razem z »Ewą«”.

Prośba została spełniona. Z czasem zwolniono je z więzienia. Mieszkały prywatnie, ale pod nadzorem. Wychodziły na miasto, ale stale w towarzystwie pilnującego ich enkawudzysty; czasem specjalnie długo kluczyły, żeby zmęczyć swego opiekuna. Po kilku miesiącach zostały przewiezione do Polski i osadzone w więzieniu mokotowskim. Cekały na rozprawę.

„Mucha” była świetną towarzyszką. Zawsze pogodna i uśmiechnięta, pełna życzliwości dla koleżanek, umiała stworzyć w celi dobry nastrój. Któregoś dnia – pamiętam – Ziutka, biorąc miskę z zupą obiadową, zaczęła narzekać: „i znowu ta kasza, i taka na »czystej wodzie«”. A na to „Mucha”: „A co, chciałabyś, żeby była na brudnych skarpetkach?”, rozbijając Ziutkę całkowicie. „Mucha” była moją pierwszą mistrzynią wyrobów z chleba. Podziwiałam wykonane przez nią małe słoniki czy też krasnoludki. Nauczyłam się także odpowiednio przygotowywać chleb do lepienia i bardzo szybko zaczęłam wykonywać różne przedmioty samodzielnie. Lepienie z chleba ma długą tradycję. W mojej rodzinie przechowywany jest różaniec zrobiony przez mego dziadka, zesłanego na Syberię za udział w powstaniu w 1863 r. Które to już z rzędu pokolenie więźniów politycznych wyrabiających różańce z chleba?

Zbliżał się dzień 1 maja. „Mucha” powiedziała, że musimy jakoś ten dzień „uczcić”. Miała piżamę koloru buraczkowego i 1 maja wywiesiła na okiennej kracie swoje spodnie. W celi z „Muchą” siedziałam około dwóch tygodni. Od niej zabrano mnie do kapusia, ale zostałam natychmiast ostrzeżona przez Urszulkę, która zdążyła ją już rozszyfrować. Po jakimś czasie przerzucono mnie znów do innej celi, w której zastałam „Ewę” Enderle, koleżankę „Muchy”. Byłam uszczęśliwiona, że zabrano mnie od kapusia, a posadzono z „Ewą”, bo wydawało mi się, że jestem znowu z kimś bli-

skim, bo bliskim „Musze”, z którą zdążyłam się zaprzyjaźnić i której doświadczenie bardzo mi pomogło. „Mucha” nie przypuszczała, że mogę się znaleźć w celi „Ewy”, i nie uprzedziła mnie, żebym się miała przed nią na bacności, bo przewidywała, czy też dowiedziała się, że „Ewa” poszła na współpracę. Nie mówiła, że będąc razem w „III F” nie wtajemniczyła „Ewy” w to, że jest związana z AK. O tym wszystkim dowiedziałam się już poniewczasie – niestety – gdy spotkałam się po raz drugi z „Muchą”.

Był to już czerwiec, gdy zabrano mnie od „Ewy” i dano do celi, w której znowu zastałam „Muchę” oraz „Zulę” Magnuszewską. „Mucha” była już po sprawie, skazana na karę śmierci. Początkowo siedziała sama i nie mając nadziei, że dostanie jakąś towarzyszkę, krwią pisała najważniejsze dane o sobie. Przede wszystkim, że nie jest szpiegiem niemieckim, tylko żołnierzem AK (została skazana za szpiegostwo na rzecz Niemiec), że ma w dorobku organizowanie przerzutów oficerów polskich na Węgry oraz że rozpracowała „pancerfaust”. Napisała również, że nazywa się Marta lub Maria Gürtler (nie pamiętam).

To ponowne spotkanie z „Muchą” było dla mnie wielką radością. „Mucha” opowiadała teraz znacznie więcej o sobie, jakkolwiek nie wszystko. Zastrzegła, że za dużo wie i nie będzie mówić, żeby nas nie narażać. Z tej racji pewno nie zostanie ułaskawiona, bo dla niej istnieją tylko dwa rozwiązania: albo zwolnienie z wysokimi odznaczeniami, albo śmierć. Nie może zostać tak po prostu zwolniona. W czasie śledztwa wzywano ją bardzo często jak eksperta w sprawach niemieckich (aresztowano wtedy bardzo dużo Niemców). O sobie i swojej rodzinie mówiła niewiele. Z jej opowiadań wynikało, że rodzice mieli majątek na Polesiu, ojciec i brat byli prawdopodobnie w armii Andersa⁹¹, nie miała o nich żadnej wiadomości, nie wiedziała także, co się dzieje z matką. Była zupełnie sama, nie otrzymywała żadnych paczek.

⁹¹ Władysław Anders (1892–1970), generał, polityk. Brał udział w kampanii wrześniowej, 29 IX internowany przez wojska sowieckie. W latach 1939–1940 więziony we Lwowie, od II 1941 r. w centralnym więzieniu NKWD na Łubiance w Moskwie. W wyniku układu polsko-sowieckiego 30 VII 1941 r. zwolniony i mianowany dowódcą Armii Polskiej w ZSRR. Po ewakuacji do Iranu dowódca Armii Polskiej na Wschodzie i Drugiego Korpusu Polskiego. Między lutym a majem 1945 r. wódz naczelny, a od IX 1946 r. do VII 1954 r. sprawował funkcję naczelnego wodza i generalnego inspektora PSZ. Po wojnie na uchodźstwie w Londynie. Od 1949 r. przewodniczący Komisji Głównej Skarbu Narodowego, od 1953 r. prezes Pol. Macierzy Szkolnej, w latach 1953–1964 przewodniczący Polskiej Fundacji Kultury.

„Zula” Magnuszewska była już po wyroku. Dostała 10 lat. Zdążyła już poznać więzienie na Zamku Lubelskim, skąd została przewieziona do Wronek (na krótko), a stamtąd do Fordonu. W Fordonie przeżyła zgolenie włosów do gołej skóry. Z odrastającymi pięknie włosami została przewieziona na Mokotów, na ponowienie sprawy, po której miała wyjść, jak się spodziewała, na wolność. Do niej więc kierowała „Mucha” swoje prośby, bo na moje wczesne wyjście nie mogła liczyć. Z opowiadań „Muchy” wynikało, że generał Rola-Żymierski⁹² ma zobowiązania wobec jej ojca, który mu pierwszy podał rękę, gdy ten wyszedł z więzienia skazany za głośną przed wojną aferę z maskami. Uważała, że Żymierski powinien interweniować w jej sprawie. Pamiętam, jak mówiła do Zulki: „Musiś się dostać do niego i pamiętaj, że o to prosi „Mucha” z Polesia, to on będzie wiedział”. W ten sam sposób miała Zulka rozmawiać z mecenasem Lamprechtem, znajomym jej rodziny.

„Mucha” opowiadała, że była członkiem AK, a przedtem ZWZ, że pracowała w wywiadzie i została przez ten wywiad skierowana do dr. Noska, rezydenta sowieckiej „razwiedki”, a ten z kolei przekazał ją do niemieckiego wywiadu wojskowego (III F), infiltrowanego przez tę „razwiedkę”. Janinę Enderle „Ewę” znała jeszcze z czasów szkolnych. Obie uczyły się w sąsiadujących ze sobą szkołach: „Mucha” w gimnazjum im. Cecylii Plater przy ul. Pięknej w Warszawie, a „Ewa” u Kowalczykównej, i przy okazji gry w piłkę poznały się. W czasie wojny dowiedziała się, że „Ewa” związała się z gestapo, i chcąc ją uratować, wciągnęła ją do dr. Noska. Nigdy jednak nie powiedziała „Ewie”, że sama jest członkiem AK i pracuje dla Polski.

W czasie rozprawy nie przyznała się do przynależności do AK, żeby nikogo nie sypać. Powołała się jedynie na dr. Noska. Nie przyznała się także do współpracy z Intelligent Service. Powiedziano jej, że dr. Nosek jest poszukiwany przez władze polskie. Zaprzeczono zeznaniom „Muchy”, w których określała dr. Noska jako agenta wywiadu sowieckiego. W takich okolicznościach „Mucha” została skazana za działalność na rzecz Niemiec.

⁹² Michał Żymierski, właśc. Michał Łyżwiński, ps. Rola (1890–1989), marszałek LWP. Zawodowy oficer, od 1921 r. do 1923 r. przebywał na szkoleniu we Francji, następnie awansowany został na generała brygady i mianowany II zastępcą szefa administracji armii. W 1927 r. oskarżono go o przyjęcie łapówek od firmy „Protekta”, producenta masek przeciwgazowych. Został uznany winnym, skazany na degradację, wydalenie z wojska i 5 lat ciężkiego więzienia.

Przed ogłoszeniem wyroku, gdy zeznawał jakiś świadek, „Mucha” zorientowała się, że jej dowództwo jest aresztowane czy też ujawnione. Zwróciła się więc do sędziego, ujawniając swoją przynależność do AK. Usłyszała jednak, że wyrok już zapadł i jest za późno. „Ewę” skazano na dziesięć lat więzienia, „Mucha” zaś z wyrokiem śmierci została osadzona na pojedyńce. Tam napisała parę zdań, mające dać świadectwo prawdzie. Szczęśliwie jednak nie była sama, bo najpierw dano do niej „Zulkę”, a potem mnie.

Pewnego dnia usłyszałyśmy kroki w celi nad nami. „Mucha” wspięła się na okno i zaczęła rozmowę. Zapytała więźnia o nazwisko. Głos męski odpowiedział jej: Leski⁹³. Usłyszawszy to „Mucha” ogromnie się zdenerwowała i ucieszyła zarazem, bo – jak nam powiedziała – wszystkie jej raporty szły do Leskiego. Chciała koniecznie doprowadzić do konfrontacji z nim. Nadaremnie jednak stukała i waliła do drzwi z prośbą o zameldowanie do śledczego. Dopiero, gdy wezwano mnie na śledztwo, powiedziałam, że koleżanka ma bardzo ważną sprawę do zakomunikowania. Wtedy ją wezwano. Nie było jej w celi dość długo. Wróciła rozpromieniona. Powiedziała, że w czasie konfrontacji Leski wszystko potwierdził. Byłyśmy dobrej myśli i czekałyśmy na efekt tej konfrontacji.

Zbliżała się druga dekada czerwca. „Mucha” okazywała wyraźne zdenerwowanie. Opowiedziała nam fragment swojego życia. W jej domu była tradycja, że przy jakichś okazjach pojawiała się pani (duch) i ona takie spotkanie miała jako dziewczynka, jeszcze przed wojną. Pani ta zapytała ją, jakie ma marzenia. „Mucha” powiedziała wtedy, że chciałaby mieć bardzo ciekawe życie, jak najwięcej widzieć i jak najwięcej wiedzieć, poznać. Na to padło pytanie: co w zamian? „Mucha” wtedy powiedziała, że mogłaby umrzeć, mając 25 lat. „Mucha” urodziła się 21 czerwca 1921 r., czekała więc z napięciem na dzień urodzin. I tego właśnie dnia zobaczyła przez okno – siedziałyśmy na parterze od strony podwórka – wychodzącą z depozytu na wolność kobietę. Ten widok wstrząsnął „Muchą” głęboko i pamiętam, z jaką goryczą wykrzyknęła: „Tak, to k... niemieckie wychodzą na wolność, kapusie dostają niskie wyroki, a ja karę śmierci i muszę ginąć!!!” Powiedziała nam wtedy, że była to jakaś kobieta zadająca się z Niemcami i dołączona do jej sprawy, a miała też na myśli „Ewę” („Ewa” przysłużyła się nie

⁹³ „Leski” – prawdopodobnie Lech Stefan Rodkiewicz, oficer AK, m.in. komendant Okręgu AK Warszawa – Praga.

tylko mnie, ale i wielu innym koleżankom, a przede wszystkim Stefie Bro-niewskiej, która po odsiedzeniu wyroku miała ponowną sprawę i dostała 10 lat za „wrogą propagandę”).

Miałyśmy z „Muchą” umówiony sygnał gwizdem. Była to piosenka wy-niesiona przez „Muchę” z więzienia w Karlaku, o niezbyt przyzwoitych cze-skich słowach. Tym sygnałem miałyśmy dawać znać o sobie, gdy nas roz-dziela. Późnym popołudniem, a raczej wczesnym wieczorem, 24 czerwca weszła do naszej celi oddziałowa i kazała „Musze” zabrać rzeczy i wypro-wadziła ją z celi. Byłyśmy tak wstrząśnięte, że z trudem zdobyłam się na jakieś słowa. Prosiłam tylko – jak pamiętam – „«Mucha» gwizdź, «Mucha» gwizdź”. Ale żadnego gwizdu już nigdy nie usłyszałyśmy. Następnego dnia chciałyśmy przekazać „Musze” jakiś drobiazg zostawiony przez nią, ale oddziałowa nie chciała nic przyjąć i powiedziała tylko, że „tam, gdzie ona jest, nic przekazywać nie można”. Pamiętam, że powiedziałam do „Zuli”: „Ona mi się na pewno wyśni”, bo miałam już takie doświadczenie za sobą: gdy nie było wiadomo, co się dzieje z siostrą mojej Matki, wszystko mi się wyśniło tak dokładnie, że gdy usłyszałam prawdziwą relację, to różniła się ona tylko w paru szczegółach od mego snu. I tym razem tak było. Minęło parę dni i śni mi się „Mucha”. Opowiada, że zabrano ją z Mokotowa i prze-wieziono prawdopodobnie na ul. Szopena 20, że po drodze rzucała kartki z informacją o sobie i że wyrok został wykonany rankiem 25 czerwca. Po obudzeniu się powiedziałam „Zulce”, że „Mucha” nie żyje i że teraz będzie-my się modlić za jej duszę. Skąd się wzięła ta Szopena 20? Ale faktem jest – jak się dowiedziałam później, ale jeszcze w więzieniu – że „Mucha” została przewieziona na 11 Listopada i że tam został wykonany wyrok rankiem 25 czerwca. Czyli w cztery dni po jej urodzinach. „Zulka” nie wyszła wte-dy na wolność. Spędziła w więzieniu cały zasądzony wyrok dziesięciu lat.

Ja też znalazłam się na wolności po odsiedzeniu swego wyroku dziesię-ciu lat. Bardzo mnie nękała myśl, że sprawa „Muchy” nie została wyjaśnio-na. W więzieniu stykałam się z koleżankami, które uczyły się w gimnazjum im. Cecylii Plater. Była też nauczycielka polskiego, pani Janina Złotnic-ka-Kurcewiczowa⁹⁴. Żadna z nich nigdy nie spotkała się z „Muchą”, żadna

⁹⁴ Janina Złotnicka-Kurcewiczowa – „Elżbieta” (1907), łączniczka AK i WiN. Aresztowana 16 IX 1946 r., a w 15 IX 1947 r. została skazana wyrokiem WSR w Krakowie na 8 lat więzienia. Na wolność wyszła w 1954 r.

nie znała takiego nazwiska ani nie pamiętała takiej dziewczyny. Kilka lat temu kupiłam monografię tej szkoły. Podano w niej nazwiska wszystkich uczennic i absolwentek, według roczników ukończenia szkoły i pełny indeks nazwisk. Wymieniono wszystkie, które zginęły w czasie wojny, poległy w powstaniu etc. Nie znalazłam nic, co pozwoliłoby mi zidentyfikować „Muchę”, nawet pod innym nazwiskiem. W jakiś sposób tajemnicę tę wzięła ze sobą do grobu. O tym, że w rzeczywistości musiała nosić inne nazwisko, przemawia także to, iż „Zulce” wciąż powtarzała, że ma się powoływać na «Muchę» z Polesia – „to on będzie wiedział”, a nigdy przy tym nie dodawała nazwiska Gürtler. Wtedy nie przychodziło mi do głowy, że „Mucha” mogła do końca zataić swoje prawdziwe nazwisko. Na pewno natomiast w domu nazywano ją „Muchą”. Nie sądzę, żeby to był także jej pseudonim.

Z „Zulą” Magnuszewską nie spotykałam się przez wiele lat. Często o niej myślałam, co się z nią dzieje i jak się potoczyły jej losy. Po raz pierwszy zobaczyłyśmy się na mszy świętej za nasze zmarłe koleżanki, ale wtedy nie było czasu na rozmowę. Dopiero w Zarządzie Głównym Więźniów Politycznych (na Starym Mieście) mogłam z nią porozmawiać; chodziło mi najbardziej o „Muchę”, bo mi ta sprawa tak bardzo leżała i leży na sercu. Dowiedziałam się wtedy, że zaszyte w futerku grypsy „Muchy” zostały znalezione przy jakiejś rewizji i oczywiście skonfiskowane. Dowiedziałam się również, że ówczesny p.o. prezes naszego Związku, p. Tadeusz Kostewicz zajmuje się identyfikacją grobów na cmentarzu bródnowskim, gdyż tam chowano więźniów traconych na 11 Listopada. Zwróciłam się do niego ze sprawą „Muchy”. Obiecał, że się tym zajmie, i przy następnym spotkaniu powiedział, że ma to nazwisko w ewidencji. Wtedy odbyłam z nim długą rozmowę, przekazując wszystko, co sama zapamiętałam, oraz podając adres Hanki Dobrowolskiej-Wiśniewskiej.

W dalszym jednak ciągu postać i osoba „Muchy” są okryte tajemnicą. Przez długi czas byłam przekonana, że LESKI to pseudonim szefa „Muchy”. Potem dowiedziałam się, że Leski – to prawdziwe nazwisko i o jego działalności dowiedziałam się z napisanej przez niego książki. Kazimierz Leski nie mógł znać „Muchy”, jej raporty nie mogły być przekazywane do niego, jako Leskiego. To oczywiste. Wydaje mi się jednak, że tę zagadkę da się rozwiązać. Wyszła bowiem w 1991 r. książka naszej nieżyjącej koleżanki Anny Rószkowicz-Litwinowiczowej. Pierwsza część jej wspomnień jest raportem z jej pracy w kontrwywiadzie w czasie okupacji. Tam

znalazłam pseudonim LESKI (N.N., oficer kontrwywiadu Obwodu Pra-
ga Okręgu Warszawa AK, s. 12 i 40 książki pt. *Trudne decyzje*, Warsza-
wa 1991). Gdyby się udało rozszyfrować ten pseudonim, to uzyskałoby
się jakieś informacje o „Musze” i jej działalności. Drugim źródłem infor-
macji mogłyby być raporty dotyczące pancerfausta, kierowane przez „Mu-
chę”.

Może, ponadto, są jeszcze ludzie, którzy znali „Muchę” prywatnie lub
mieli z nią jakiś kontakt i mogliby uzupełnić ten, z konieczności bardzo
skromny jej życiorys i przywrócić jej prawdziwe nazwisko

9. Pawilon

Na „jedenastkę” przeniesiono mnie jeszcze przed zakończeniem śledz-
twa. Położona była piętro wyżej, oddzielona odrębną kratą od „dziesiątki”.
Różniła się od niej pod każdym względem. Cele tam były o połowę węż-
sze, nie skanalizowane. W naszej celi był nieduży „kibelek”⁹⁵, ale miały-
śmy i tak szczęście, bo mężczyznom dawano puszki. W ciągu dnia moż-
na było obserwować strugi nieczystości wylewanych przez okna. Zresztą
w niektórych celach kobiecych też nie było „kibli”, tylko puszki po kon-
serwach. Do ubikacji wypuszczano nas dwa razy dziennie, i to za każdym
razem o innej porze. Każdego dnia zaczynało z innego końca korytarza:
raz szło się rano po apelu oraz wcześniej po obiedzie, a następnego dnia –
koło obiadu i przed apelem wieczornym. Narzucenie żołądkowi takiego
braku regularności było bardzo trudne. Ubikacja była też miejscem kon-
taktowym. Zostawiało się tam jakieś upominki, grypsy i wiadomości.
Trzeba więc było zdążyć coś ukryć i obszukać skrytki. Były tam i różne
zabawne napisy: Janek Golka napisał na oknie mydłem „kupię wialnię”.
Ścianki działowe w celach na „jedenastce” były tak cienkie, że wychyliw-
szy ręce za okno można było wzajemnie coś sobie podać, a nawet uści-
snąć sobie dłonie.

Moimi sąsiadami na „jedenastce” byli z jednej strony „Biały Kapitan”
– Rybicki, a z drugiej Staszek Kasznica i Jurek Wojciechowski. „Biały
Kapitan” okazał się bardzo rozmowny i uczynny. Siedział sam. Opowiadał
historie o swoich wyczynach, o odbiciu jakiegoś generała francuskiego,

⁹⁵ Kibel – zbiornik na nieczystości (przyp. autorki).

dzięki czemu miał ogromne możliwości przerzutów na Zachód żon polskich oficerów i innych ludzi tam się udających. Wpadł przy organizowaniu ogromnego przerzutu między innymi małżeństwa Potockich z Krzeszowic wraz z należącymi do nich dziełami sztuki. „Halszka” olśniona jego wypowiedziami napisała do niego karteczkę, którą przesunęła przez dziurkę przy kaloryferze. Napisała mu: „*On vous adore la Barbe bleu*”⁹⁶.

Ożywione kontakty utrzymywałyśmy też z drugą ciałą męską, podając im przez okno papierosy. Kiedyś postanowili się nam „osobiście” przedstawić. Wyjęli drut z pryczy i wiercili nim dziurę w ścianie. Trwało to długo i było dość niebezpieczne, bo rozlegał się hałas, jakby stado szczurów gryzło mur. Ale dopięli swego. Otwór był nieduży. Żeby podać skręta, zwijaliśmy tytoń w cienki rulonik. Dziurka była zasłonięta watą przysypaną popiołem z papierosa. Na tle odrapanych ścian nie wyróżniała się niczym. Gdy nasi sąsiedzi chcieli papierosa, stukali do nas w ścianę, a my wyjmowałyśmy watę i wsuwałyśmy ten cienki skręt. Ale pierwszą czynnością było to przedstawienie się, czyli pokazanie własnych fizjonomii. Staszek miał głowę ogoloną na zero, ze względu na śledztwo, w czasie którego wrywano mu włosy. Nie pamiętam już wyglądu Jurka. Przez długi czas utrzymywałam z nim kontakt przez ścianę. Staszek się wtedy nie odzywał.

Niedługo po kartce napisanej przez „Halszkę” do „Białego Kapitana” wpadli do nas oddziałowi, szukając ołówka. Oczywiście ołówek był schowany w papierosie, ale na szczęście nie został przez nich odkryty. Pamiętam błąd „Halszki” i jej bezgłośną modlitwę. Stałyśmy przy ścianie od strony naszych sąsiadów i czekałyśmy w napięciu, czy mimo drapania w ścianę nie usłyszymy stukania i nie zobaczymy wsuwanego do naszej celi drutu. Była cisza. Chłopcy domyślili się, że u nas coś się dzieje. Drugi raz, w czasie gdy byliśmy w ubikacji, przyszli korytarzowi i nasza dziurka została zamurowana. Została odkryta u naszych sąsiadów. Nie przyznawałyśmy się do niej. Twierdziłyśmy uparcie, że w ogóle jej nie zauważyłyśmy.

Niedługo potem zabrano „Białego Kapitana”. Będąc już na ogólniaku, dowiedziałam się, że poszedł na współpracę i to on „wykapował” nasz oło-

⁹⁶ Jesteś uwielbiany Sinobrody.

wek. A tak się do nas wdzięczył, zwłaszcza do Anny. Obiecywał, że poda jej poduszkę, bo on wszystko ma, z racji swoich powiązań z ambasadą francuską ma szczególne przywileje, może na przykład leżeć w dzień na łóżku. Przywileje rzeczywiście miał, ale nie z racji kontaktów z ambasadą. Przykre było to, że „Biały Kapitan” był rodzonym bratem „Macieja” – Józefa Rybickiego.

Po „Białym Kapitanie” w celi obok umieszczono Niemców z Wehrmachtu. Nie chcieliśmy kontaktów z nimi, ale oni stale się ich domagali. Prosilili o chleb, jeśli nam zbywało. Mialiśmy rzeczywiście dosyć chleba, bo dostawaliśmy paczki. Staszek i Jurek twierdzili, że też mają go dosyć. Zdecydowałyśmy się, że będziemy im zostawiać chleb w ubikacji. Niemcy potwierdzali jego odbiór stuknięciem w ścianę. Po paru tygodniach znów się odezwali. Przełamałyśmy się i dowiedziałyśmy się, że gdzieś ich wywożą i że chcą nam serdecznie podziękować za pomoc.

Wkrótce pożegnałyśmy Halszkę, którą po sprawie przeniesiono na ogólniak. Zostałam z Anną. Było nam bardzo dobrze. Nowy sąsiad, którego umieszczono obok – nie pamiętam, jak się nazywał – przysłał mi amerykańskie papierosy i bardzo cenny dar – chustkę do nosa. Bardzo dużo rozmawiałam wtedy z Jurkiem Wojciechowskim. Były to dziwne rozmowy. Ciągłe namawiał mnie, żebym się więcej modliła. Opowiadał, że sam doświadcza pokus szatańskich, że słyszy głosy, jakieś groźby. Czasem w trakcie stukania przerywał mówiąc: „znów mi grożą!”, a mnie ciarki przechodziły po plecach. Było to niesamowite. Jurek twierdził, że tylko modlitwą broni się przed tymi ucieleśnionymi, szatańskimi pokusami. Doszło do tego, że praktycznie nie przestawał się modlić i pewnego dnia zabrano biedaka do Tworek. Wtedy dopiero mogłam nawiązać kontakt ze Staszkiem.

10. Stanisław Kasznica

Po raz pierwszy zetknęłam się z nim jeszcze w marcu 1947 r., a potem już na „jedenastce”. To dzięki niemu dowiedziałam się o stanie psychicznym Jurka Wojciechowskiego. Powiedział, że nie chciał mnie wcześniej o tym informować, bo bał się, że przestanę z nim rozmawiać, a ten kontakt był dla Jurka bardzo ważny. Była to schizofrenia, o której nie miałam zielonego pojęcia, bo nigdy się z nią nie zetknęłam. Staszekowi dano umyślnie chorego Jurka, a potem kogoś z podejrzeniem o przestępstwa

gospodarcze. Chodziło o to, żeby nie mógł mieć kontaktu z kimś, z kim mógłby wymieniać poglądy. Staszek doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji. Wiedział, że zostanie karę śmierci. Miewał różne rozmowy z Różańskim, który chciał od niego coś uzyskać, Staszek nie dał się jednak złamać ani kupić. Rozmowy ze Staszkiem były cudowne. Po pierwsze dlatego, że był on moim dalekim krewnym. W czasie okupacji zetknęłam się z całą jego rodziną, gdyż mieszkali w Kroczewie u moich wujostwa. Mogliśmy więc opowiadać sobie o swoich najbliższych. Były długie okresy, w których nie otrzymywał paczek – a paczka to zawsze jakiś sygnał z domu. Opowiadał o swojej córeczce Zosi, bardzo się o nią martwił. Dowiedziałam się też, że jego brat – Andrzej – wstąpił do zakonu dominikanów. Staszek bardzo dużo pomagał mi przed moją rozprawą i w czasie rozprawy. Po powrocie do celi zdawałam mu dokładną relację z jej przebiegu.

Gdy siedziałam samotnie przez dwa tygodnie, nie byłam jednak sama. Mogłam rozmawiać ze Staszkiem, a on stukał do mnie, gdy chciał mi coś podać. Wskakiwałam wtedy na stołek i na ślepo wyciągałam rękę. Nie widziałam ani wizjerki, ani czy oddziałowy nie patrzy ze zwyżki, ponieważ nie miałam wtedy okularów. Prawie nic nie widziałam, byłam zdana na Staszka. Pewnego razu znów zastukał. Gdy wyciągnęłam rękę, zamiast paczuszki poczułam jego dłoń i usłyszałam: „chciałem się z tobą przywitać”. Od Staszka dostałam piękne, wykonane z chleba pudełko, z jego inicjałami S.K., co było jednocześnie skrótem „siostrze kochanej”. Staszek zrobił też bardzo piękny krucyfiks. Te przedmioty i jeszcze jakieś drobiazgi nosiłam stale w kieszeni blezera, spodziewając się wizyty adwokata. Tak też się stało. Byłam z nim sama, ale drzwi pozostały otwarte, a przy nich siedział śledczy. Rozmowa była nijaka. Adwokat spytał, czy chcę, żeby na rozprawie zrobił ze mnie „słodką idiotkę”. Powiedziałam, że nie godzę się, ani na słodką, ani na idiotkę. Szepnęłam, że mam coś do przekazania. Otworzył teczkę, a ja szybko wsunęłam mu pudełko i krucyfiks. Na tym widzenie skończyło się. Po wyjściu na wolność stwierdziłam, że wszystko oddał Mamusi. Parę lat później krucyfiks oddałam o. Krzysztofowi – Andrzejowi Kasznicy, bratu Staszka.

Staszek przeżywał mój proces, udzielał mi różnych rad, których dziś już nie pamiętam. Sam wiedział, że czeka go wyrok śmierci, i był na nią przygotowany. Nie wierzył w ułaskawienie. A ja tak bardzo chciałam, żeby żył, żebyśmy się mogli spotykać na wolności. Niestety!...

11. Więzienne sny

Częste wyjazdy na sprawę, a zwłaszcza powroty, musiały znaleźć odbicie w moich więziennych snach. Bardzo często śniło mi się, że wyszłam na jakąś przepustkę. Wiedziałam, że muszę wrócić przed godziną siódmą, przed zamknięciem więzienia. Bardzo się śpieszyłam, brałam dorożkę, żeby się tylko nie spóźnić!

Na wolności nigdy nie przywiązywałam wagi do snów. Dopiero w więzieniu poznałam ich wytłumaczenie, swoisty sennik więzienny. Moje towarzyszkę częstokroć znały różne znaczenia snów i wzbogacały je interpretacjami snów więziennych. Były i sny „prorocze”, których sama doświadczałam jeszcze na wolności. Często rano, po apelu, rozpoczynał się od wymiany swoich snów i ich tłumaczenia. Z początku bardzo mnie to dziwiło i bawiło, ale potem przywykłam i stwierdziłam nawet, że ilekroć mojej towarzyszce śniły się sienniki i porozrzucana słoma, to zawsze wkrótce następowała rewizja. Snom towarzyszyło wróżenie z kart – kabała. Tym zajmowały się specjalistki, chociaż ja także się jej nauczyłam przez obserwację, ale nie przywiązywałam do tego większej wagi, z wyjątkiem sytuacji, gdy wychodziła mi zwłoka w otrzymaniu paczki, bo to się zwykle sprawdzało.

Kilka ważnych, bo „proroczych” snów zostało mi w pamięci do dziś. Pierwszy miałam po zabranii „Muchy” z naszej z celi. Drugi „proroczy” sen miałam jeszcze przed sprawą Hanki⁹⁷. Byłam bardzo niespokojna o siostrę Bognę, nie wiedziałam, co się z nią dzieje. I wtedy we śnie usłyszałam od Matki, że jest bezpieczna, ale że (tu dosłownie) „Mrzezina nie dało się utrzymać”. W Mrzeżynie Bogna miała gospodarstwo, z którego uciekła, gdy przyjechało po nią UB. Po pewnym czasie w trakcie odwiedzin Mamusia zapytana przeze mnie odpowiedziała tymi samymi słowami: „Mrzezina nie dało się utrzymać”.

Potem był sen, w którym wyśniłam zarządzenie, że odtąd lekarstwa będzie przynosił do celi lekarz więzienny Rademacher. Następnego dnia ujrzałam scenę dosłownie taką samą, jak ją widziałam we śnie. Rademacher w białym fartuchu wszedł do naszej celi, trzymając w obu rękach tacę z lekarstwami, i powiedział, że odtąd on będzie nam te lekarstwa wydawał. Potem, już w Fordonie, zginął mi krzyżyk zrobiony ze szczoteczki do zębów, który był dla mnie cenną pamiątką; szukałyśmy go długo, wszędzie bez skutku. Powiedziałam, że na pewno mi się wyśni. I rzeczywiście. We śnie

⁹⁷ Hanny Dobrowolskiej.

zobaczyłam krzyżyk leżący w szparze od podłogi. Zaraz po obudzeniu się powiedziałam o tym koleżankom. Zajrzałam do szpary, w to wysnione miejsce, i... krzyżyk leżał w szparze.

W więzieniu sny były bardzo ważne. Czasami były one ważniejsze od jawy. W snach byłam z moimi najbliższymi, i żyjącymi, i już zmarłymi. To było wspaniałe obcowanie z ukochanymi, które brutalnie przerywał dźwięk więziennego gongu.

SNY

Jesteśmy razem, Ojcze, prawie każdej nocy.
Wiesz, jak często we dnie szukam Twojej pomocy,
jak często głowa myśleniem znużona
tęskni, by się oprzeć o Twoje ramiona
i jak myśli rozpierzchnęły w fantazji gonitwie
skupiają się przy Tobie w codziennej modlitwie.
– A przychodzisz, Tatuśku, do mnie rozmaicie.
Jak w kalejdoskop patrzę w swoje własne życie:
Kolorowe chwile, raz kiedyś przeżyte
mnożą się w nieskończoność w lustrach snu odbite.
Różne wycinki zdarzeń, niepełne, porwane
tworzą przedziwną całość, z sobą poskładane.
Jakiś silniejszy fragment w pamięci zostanie...
Takie – na pozór zwykłe – ot, we drzwiach spotkanie,
a ja myślę o nim ciągle jeszcze żyję:
zarzuciłam Ci ręce, Tatuśku, na szyję,
a skryte dotąd w sercu myśli i tęsknoty
wytrysnęły ze mnie jak snop iskier złoty...
W sen mój zgrzytem się wdzierając ostry świst pociągu.
Noc skończona, już słyszeć trzykrotny dźwięk gongu.
Otwieram oczy i serce ściska się boleśnie,
że już z Tobą być mogę, Ojcze, tylko we śnie...

Inowrocław 1953 r.

12. Proces

Po dwóch tygodniach spędzonych na pojedynce dostałam do celi nową towarzyszkę niedoli. Była ona związana ze sprawą Pileckiego, ale wtedy się

o tym nie mówiło. Było nam dobrze, ale już bez tego zżycia i tego silnego kontaktu, jaki mnie łączył z Anną Grocholską. Pani Helena Sieradzka⁹⁸ była aresztowana chyba rok po mnie, więc miałam od niej sporo wiadomości o tym, co się w tym czasie działo na wolności. Nie pamiętam, czy chodziła wtedy na śledztwo. W tym czasie od iluś już dni czytałam swoje akta śledcze.

3 XI 1947 r. – ta data pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Był to dzień ogłoszenia wyroku w procesie Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, w którym byłam jedną z oskarżonych. Proces rozpoczął się 6 października, a odbywał się na terenie więzienia mokotowskiego, w dawnej kaplicy. Zanim jednak doszło do tego procesu, który miał być „głośny” („będziesz sławna, Ruta” – obiecywał mi Różański po wstępnej „obróbce” w swoim gabinecie), a toczył się po cichutku – było ciągnące się półtora roku śledztwo, mające na celu odtworzenie naszej „zbrodniczej działalności”, trwającej w sumie około jednego roku.

Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW), przemianowane później na Narodowy Związek Zbrojny (NZZ), powstało ze scalenia NSZ z tą częścią Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW), która w 1942 r. przeszła do AK. Komenda Główna NZW, której siedzibą stała się Łódź, gdyż tam mieszkała większość jej członków, podlegała Wydziałowi Wojskowemu Stronnictwa Narodowego, kierowanego przez prezesa – Włodzimierza Marszewskiego „Gorczycę”. Nazwa NZZ w terenie na ogół się nie przyjęła i nadal stosowano dawny termin NZW, zwłaszcza że cały aparat propagandy i sądownictwa PRL też go używały. Na wiosnę 1946 r. aresztowano kilkadziesiąt osób, a wśród nich także komendantów terenowych NZW. Nie uniknęli aresztowania członkowie Komendy Głównej z wyjątkiem Komendanta Głównego płk. Bronisława Banasika⁹⁹ „Stefana” i szefa wydziału informacji kpt. Jerzego Pilacińskiego „Lecha”, którym udało się zbiec za granicę. W rezultacie aresztowani zostali:

⁹⁸ Helena Sieradzka-Sobczyńska – „Julianna” (1901–1998), łączniczka AK. W 1947 r. w mieszkaniu państwa Sieradzkich ukrywał się rotmistrz Witold Pilecki (patrz przypis nr 57), a w maju 1947 r. została aresztowana wraz z mężem Makarym Sieradzkim. 24 IX 1947 r. została skazana na 7, a po rewizji na 6 lat pozbawienia wolności.

⁹⁹ Bronisław Banasik – „Stefan” (1894–1978), major WP, płk NZW. Szef Wydziału Uzbrojenia w KG NOW, następnie pełnił funkcję szefa Wydziału Organizacyjnego. Jako szef sztabu 10 DP AK brał udział w Powstaniu Warszawskim, po jego upadku więziony w oflagu w Murnau. Od 1946 do 1948 r. pełnił funkcję komendanta głównego NZW. W styczniu 1948 r. aresztowany i skazany trzykrotnie na karę śmierci, zmienioną na karę więzienia. W 1957 r. zwolniony.

- por. Lechosław Roszkowski „Tomasz” – szef wydziału organizacyjnego,
- kpt. Tadeusz Zawadziński „Wojciech” – szef wywiadu,
- kpt. Jan Morawiec „Henryk”, „Remisz” – szef Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS),
- por. Jan Golka „Klemens”, „Łukasz” – zastępca szefa wydziału propagandy,
- Tadeusz Łabędzki „Jacek Białynia” – szef Młodzieży Wszechpolskiej i redaktor pisma „Wszechpolak”, ściśle współpracujący z Komendą Główną,
- ppłk Tadeusz Zieliński¹⁰⁰ „Wujek” – komendant Okręgu Lubelskiego NSZ-NZW i II Obszaru NZW,
- por. Jerzy Hass¹⁰¹ „Robert” – komendant Okręgu Krakowskiego NSZ,
- ppor. Ruta Czaplińska „Ewa” – szef łączności KG NZW,
- sierż. Maria Nachtman „Agata”,
- Wanda Ceraska „Dusia” oraz Walentyna Jeremicz „Wala” – łączniczki Komendy Głównej.

Jednym z pierwszych aresztowanych i sądzonych w tym procesie był „Wujek”, UB pojmało go już 18 marca. Następnie 22 marca w kotle został zatrzymany „Henryk”. Ten niesłychanie dzielny człowiek zdołał 13 marca wyrwać się z kotła zastawionego przez UB w Łodzi, po aresztowaniu jednego z członków NZW. Widziałam „Henryka” po tej ucieczce. Pamiętam, jak opowiadał, że kiedy wszedł do mieszkania, zapytano go o dokumenty, a on w odpowiedzi uśmiechnął się, „ale gorzki to był uśmiech”, wyciągnął rewolwer, zranił dwóch funkcjonariuszy UB i uciekł. Świetnie wysportowany, biegł długo, dotarł do dworca Łódź Fabryczna i tam w pobliskich krzakach usiadł. I wtedy nogi odmówiły mu całkowite posłuszeństwa. Przez jakiś czas nie mógł się w ogóle poruszyć, tak silne było napięcie nerwowe i reakcja po nim. Na jego ślad UB wpadło po-

¹⁰⁰ Tadeusz Zieliński – „Wujek”, „Dyzma”, „Stanisław Uherski” (ur. 1918), oficer służby stałej WP, ppłk NSZ. W konspiracji od 1939 r. m.in. w Armii Narodowej i Związku Walki Zbrojnej. Do 1942 w NSZ, sprawował funkcję komendanta Powiatu Chełm. W 1944 r. komendant Okręgu NSZ-AK. Od lipca 1945 r. do chwili aresztowania 18 III 1946 r., Komendant Obszaru II (Lublin) NZW. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 XI 1947 r. skazany na karę śmierci, zamienioną po zastosowaniu amnestii na 15 lat więzienia.

¹⁰¹ Jerzy Hass – „Robert”, por. NSZ, dr medycyny. W konspiracji w wywiadzie NOW Okręgu Lwowskiego. Komendant Okręgu Krakowskiego NZW od końca 1945 r. do 1946 r. Aresztowany w kwietniu 1946 r. Skazany na 8 lat więzienia (po zastosowaniu amnestii na 6 lat).

nownie już 22 marca w Warszawie. Udało mu się wyrwać z kotła przy ul. Dynasy, ale tego samego dnia ujęto go w mieszkaniu przy ul. Wolskiej, gdzie przy próbie ucieczki został ranny w nogę. Jak wszyscy aresztowani później, pierwsze tygodnie śledztwa spędził w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Koszykowej. Udało mu się stamtąd wysłać grypsy do będących jeszcze w kraju „Stefana” i „Lecha”, w których poinformował ich o swoim aresztowaniu i o tym, że jest ranny w nogę i ma zapalenie płuc. Inny gryps skierował do mnie. Niestety, nie dotarł on do moich rąk, a znalazł się na biurku Różańskiego, który nie kryjąc zadowolenia z szyderstwem mi go odczytał.

Mnie aresztowano 5 kwietnia w moim mieszkaniu. Do zastawionego tam kotła następnego dnia wpadł Leszek Roszkowski, a potem w swoim mieszkaniu Tadeusz Łabędzki. Mieszkaliśmy w tej samej oficynie. Tadeusz, przewieziony na Koszykową, po pierwszym dniu strasznego śledztwa zmarł. Tadeusz Zawadziński został aresztowany 8 kwietnia w Warszawie i tego samego dnia Janek Golka. „Agata”, „Dusia” i „Wala” również zostały aresztowane w Warszawie w dniach 6, 7 i 8 kwietnia.

Zanim jednak przejdę do samego procesu, muszę powiedzieć, kim byli główni oskarżeni, nakreślić ich sylwetki, przywołać pamięć tych wspaniałych ludzi, serdecznych i bliskich kolegów, o nieskazitelnym prawdziwym autorytecie moralnym.

Tadeusz Zawadziński „Wojciech” – kolega i przyjaciel mego starszego brata Szymona, podporucznika rezerwy, poległego 11 IX 1939 r., i szwagra, Jerzego Grabowskiego, rozstrzelanego 18 III 1942 r. Wszyscy trzej ukończyli Gimnazjum Księża Marianów na Bielanach w 1935 r. Tadeusz przyjaźnił się także z moim drugim szwagrem, Bolesławem Knabe i w 1945 r. u niego był zameldowany. Od czasów gimnazjalnych był zaangażowanym członkiem Młodzieży Wszechpolskiej, a w czasie wojny żołnierzem Narodowej Organizacji Wojskowej. Studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej. Cechowała go wielka inteligencja, szybkość orientacji i podejmowania decyzji, odwaga, wierność i przyjaźń. Sam zagrożony aresztowaniem, potrafił jeszcze ostrzec moją siostrę, wysyłając do niej kogoś z organizacji, kto dotarł do niej na Wybrzeże, gdzie mieszkała. Zrobił to w ostatniej chwili – w jej domu byli już ubecy, aby ją aresztować. W ten sposób moja siostra uniknęła aresztowania, a w konsekwencji i więzienia, bo była łączniczką na Okręg Morski i Pomorski NZW.

Tadeusz był zupełnie niekonfliktowy i uczynny w życiu domowym. W czasie wojny często bywał w domu moich Rodziców na wsi. Jego dziełem była instalacja elektryczna, wytwarzająca prąd przy pomocy wiatraczka umieszczonego na dachu. Światło było wprawdzie słabe, ale było. Później, już w Łodzi, w wolnych chwilach potrafił wspaniale bawić się z trzyletnią, najstarszą córką mojej młodszej siostry. Wszyscy żyliśmy wtedy bardzo skromnie, a mój szwagier oszczędzał jak mógł na sobie, żeby żona i dzieci nie zaznały głodu. Tadeusz potrafił sprowokować go do wzięcia masła, twierdząc, że jeśli nie chce posmarować sobie chleba, to on tę część weźmie dla siebie. Jego ogromne poczucie humoru sprawiało wrażenie, że jest człowiekiem beztroskim. Gdy jednak poznało się go trochę bliżej, ujawniał się jego poważny stosunek do życia, wielka mądrość i rozwaga. Podam przykład z czasów okupacji, opowiedziany mi przez moją siostrę. Na jakimś spotkaniu konspiracyjnym znalazł się konfident. Nie zapamiętałam, skąd Tadeusz wiedział, kim jest ten człowiek, ale pod jakimś pretekstem przeszedł do kuchni, gdzie znalazł ciężką popielniczkę, którą po powrocie do pokoju ogłuszył konfidenta. Gdy ten upadł na podłogę, Tadeusz polecił zebranim uciec szybko tylnymi schodami, bo za chwilę może zjawić się gestapo. Ta przytomność umysłu ocaliła wtedy życie obecnym na zebraniu.

Lechosław Roszkowski „Tomasz” ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Od czasów gimnazjalnych był związany ze Stronnictwem Narodowym, a w czasie studiów działał w nim aktywnie. W czasie wojny żołnierz NOW, a następnie po scaleniu NOW z AK w Narodowych Siłach Zbrojnych. W 1939 r. ożenił się, a w 1942 r. urodził mu się synek – Krzysztof. Gdy w 1943 r. zmarła żona Leszka, jego syn wychowywał się u dziadków. Leszek pracował wtedy jako buchalter w majątku Wałowice (woj. lubelskie). Poznałam go w marcu 1944 r., gdy z tychże Wałowic jechał do Warszawy razem z moją kuzynką Zosią Faszczówną, która po ucieczce z gestapo z alei Szucha ukrywała się najpierw u moich Rodziców, a później w Wałowicach. Wtedy właśnie wstąpili do nas. Odwoziłam ich potem na stację w Puławach. W czasie powstania Leszek został ciężko ranny w głowę. Odłamek utkwiał mu w czaszce i nie było możliwości usunięcia go. Z tej przyczyny Leszek cierpiał na silne bóle głowy.

Jak pamiętam, zaraz po powrocie do domu zaczął kontynuować przerwana działalność podziemną. Zaangażował mnie do pomocy, najpierw jako „wolnego strzelca”, ale już w czerwcu 1944 r. zostałam zaprzysiężona.

Przysięgę składałam na ręce „Henryka”. Pozostałam przy swoim okupacyjnym pseudonimie „Ewa”. Leszek jako szef Wydziału I Organizacyjnego KG NZW był moim bezpośrednim przełożonym i to on wydawał mi wszystkie polecenia służbowe. Wiązała nas bardzo ścisła współpraca. Gdy po paru miesiącach wyprowadziliśmy się z Gdańskiej i zamieszkałam z bratem na Kilińskiego, a do mieszkania Leszka sprowadzili się jego rodzice z małym Krzysiem i bratem Mirosławem – byłam tam bardzo częstym gościem. Nie raz do późna siedzieliśmy nad jakimiś dokumentami, więc zostawałam na noc. Leszek oddawał mi wtedy swój pokój, a sam układał się gdzieś w przedpokoju czy na korytarzu, żeby nie budzić nikogo z domowników. Miał wielkie poczucie odpowiedzialności, nie tylko za wykonywaną przez siebie pracę, ale i za podległych mu ludzi, łącznie z ich zdrowiem.

Leszek był głęboko wierzący, żył na co dzień Ewangelią i tego samego oczekiwał od nas, swoich podkomendnych. Na zniszczonym już przez lata tomiku Pisma Świętego Nowego Testamentu napisał mi: „O Panie Jezu, bądź Panem moim i miłością moją na wieki. Amen”.

Nie pamiętam już kiedy, ale chyba niedługo przed naszym aresztowaniem Leszek otrzymał rozkaz wykonania wyroku na jednym z przywódców białostockiej partyzantki za niepodporządkowanie się rozkazom i działanie na szkodę organizacji. Świadomość, że musi pozbawić kogoś życia, była dla niego strasliwym ciężarem. Prosił mnie o modlitwę w tej intencji. Misja ta była jednocześnie bardzo niebezpieczna dla niego samego. Szalało tam wtedy UB i w każdej chwili mógł zostać aresztowany. Rozumiałam doskonale, czym była dla niego konieczność wykonania tego rozkazu, i oczywiście modliłam się w jego intencji, żyjąc przez cały czas jego nieobecności w ogromnym napięciu. Oczywiście, nie mogłam się z nikim podzielić swymi obawami. Po kilku dniach wrócił. Uniknął wykonania wyroku – władze bezpieczeństwa uprzedziły go i aresztowały tego człowieka. Dla Leszka była to wielka ulga. Ostatni raz widziałam Leszka na wolności w przeddzień jego aresztowania.

Jan Morawiec „Henryk”, „Remisz”. „Henryka” – pod takim pseudonimem go poznałam i takim dla mnie pozostał – nie znałam wcześniej. Nie wiedziałam nic o jego życiu osobistym. Widywałam go bardzo często, gdy przyjeżdżał do Łodzi. Bywał w moim mieszkaniu, a kiedyś przewoziłam mu do Warszawy pozostawioną przez niego w Łodzi broń i amunicję. W więzieniu mokotowskim siedział jakiś czas piętro niżej pod całą Tadeusza. Wiem, że w śledztwie „Henryk” trzymał się doskonale, podobnie

zresztą jak Leszek, Tadeusz i inni oskarżeni. „Brał na siebie wszystko, co mogło obciążyć podwładnych, wiedząc, że jest dla nich jakaś szansa ratunku”¹⁰².

Tadeusz Zieliński „Wujek”. Gdy przyjeżdżał do Łodzi, bywał zwykle u mnie w mieszkaniu. Kontaktowałam go z innymi członkami Komendy Głównej. Wiem, że miał piękną przeszłość konspiracyjną w czasie wojny i potem, najpierw w NSZ, a potem już w NZW. Był komendantem Obszaru II, a jednocześnie Okręgu IV (Lublin). Z racji swego stanowiska pozostawał w częstym kontakcie z Komendą Główną i pewno z tego powodu był sądzony w tym procesie.

Jerzy Hass „Robert”, dowódca Okręgu VII (Kraków), był – o ile dobrze pamiętam – świeżo mianowany na to stanowisko i nie zdążył jeszcze rozpocząć jakiegś znaczącej działalności. Zobaczyłam go dopiero na procesie, wnoszonego na noszach. Miał uszkodzony w śledztwie kręgosłup. Po paru dniach został wyłączony z naszego procesu i sądzony oddzielnie. Dostał 6 lat, a po zastosowaniu amnestii 3 lata. Jego losy nie są mi znane. Wiem tylko, że nie żyje.

Jan Golka „Klemens”, „Łukasz”. W 1939 r. po ukończeniu podchorążówki zaczął studiować architekturę na Politechnice Warszawskiej. W czasie okupacji był czynnym członkiem NOW, NSZ, a potem AK, gdzie zajmował się propagandą. W lutym 1945 r., uprzedzony o możliwości aresztowania, wyjechał do Poznania, gdzie jednak został zatrzymany przez NKWD i – chociaż nierozpoznany – wywieziony na Ural, gdzie pracował przy wyrębie lasu. Do kraju powrócił w październiku 1945 r. Przyjechał do Łodzi i wtedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Wyglądał przeraźliwie. Wychudzony, z obandażowaną szyją ze względu na owrzodzenie węzłów chłonnych. Wtedy otrzymałam od Leszka polecenie wyjazdu do Kielc i powiadomienia rodziny o powrocie Janka. W domu zastałam jego ojca i siostry. Dotąd mam w pamięci łzy ojca, spływające po jego twarzy i taką ogromną radość wszystkich obecnych. Dla mnie było to także wielkie szczęście, że mogłam być zwiastunem tak dobrych wieści, bo to w życiu nie zdarza się często. Janek od stycznia 1946 r., jako członek Komendy Głównej, był zastępcą „Lecha”, szefa propagandy. Pisał materiały propagandowe i artykuły, po-

¹⁰² L. Żebrowski, *Sylwetki: Jan Morawiec, „Remisz” – legenda polskiego podziemia*, „Zeszyty Historyczne” 1990, nr 1.

wielane w zapoczątkowanych przez niego pismach konspiracyjnych „Oku” i „Tece”. Pamiętam, że napisał też wspomnienia ze swego pobytu na „nie-ludzkiej ziemi”, zatytułowane *I tam też byłem*.

Po aresztowaniu Janek wędrował po różnych celach i wszędzie nawiązywał żywe kontakty z sąsiadkami, dla których tworzył wiersze. Zarówno te, jak i inne, które pisał dla swojej narzeczonej Li, stały się znane na całym Mokotowie, a sam Janek złamał serce niejednej z naszych więziennych koleżanek. Muszę dodać, że był nie tylko utalentowanym poetą, ale także uzdolnionym plastykiem. Niestety, jego wyroby z chleba nie przechowywały się. Nie przechował się również jego autoportret narysowany ołówkiem atramentowym na wkładce do butów i ofiarowany „Agacie”, z którą flirtował przez ścianę. „Agata” była uszczęśliwiona, ale jej radość nie trwała długo. Ostra rewizja na całym oddziale, poczynawszy od osobistej i wyrzucania słomy z sienników, spowodowała, że „Agata” – nie chcąc zdradzić kontaktów z Jankiem – zjadła beczenny dar. I tylko fioletowe strużki w ubikacji były przez kilka dni pamiątką po utraconym prezencie.

Maria Nachtman „Agata” – studentka medycyny. Kontaktowałam się z nią w Warszawie. Była to osoba bardzo żywa, wesoła i ofiarna, zawsze gotowa do spełnienia wszystkich poleceń organizacyjnych. Początkowo pełniła rolę skrzynki kontaktowej i łączniczki, a od stycznia 1946 r. działała jako kurierka Komendy Głównej, utrzymując łączność z okręgiem rzeszowskim i śląsko-dąbrowskim.

Wanda Cerska (obecnie Jędrzejkowska) „Dusia” – studentka III roku farmacji – była łączniczką Komendy Głównej NZW, utrzymując kontakty z poszczególnymi jej członkami. Współpracowała zwłaszcza z Jankiem Golką. W czasie okupacji „Dusia” była członkiem NSZ i od tego czasu datowała się jej znajomość z „Lechem” (Jerzym Pilacińskim). Gdy ją poznałam, była w bardzo trudnej sytuacji osobistej, spowodowanej ciężką chorobą matki. Leszek uważał, że zaangażowanie się w pracę konspiracyjną pozwoli jej wyrwać się z zapaści psychicznej. „Dusia” pracowała bardzo ofiarnie, ale jej myśli – co zrozumiałe – były stale przy matce, która zmarła wkrótce po aresztowaniu „Dusi”. Na „dziesiątce” przez parę miesięcy siedzieliśmy w sąsiednich celach, ale nasze kontakty były utrudnione, gdyż „Dusia” siedziała w celi „Marcysi” – Malessy, była więc pod stałą kontrolą władz więziennych, z którymi „Marcysia” wyklócała się o zwolnienie ujawnionych, zagwarantowane „oficerskim słowem honoru” danym jej przez Różańskiego.

Walentyna Jeremicz „Wala” była studentką IV roku medycyny. Od grudnia 1945 r. do dnia aresztowania pełniła rolę „skrzynki kontaktowej” Komendy Obszaru I. Ponadto utrzymywała łączność z członkami Komendy Głównej oraz ze mną. W więzieniu nigdy nie spotkałyśmy się ani bezpośrednio, ani przez ścianę. Stało się to dopiero na sali sądowej.

Proces Komendy Głównej NZW był rutynowo poprzedzony czytaniem zeznań, co stanowiło już oficjalne zakończenie śledztwa. Podczas lektury akt, co zajęło mi sporo czasu, stwierdziłam, że prokurator podpisał wszystkie moje dotychczasowe sankcje, przedłużające aresztowanie o kolejne trzy miesiące, dopiero na koniec śledztwa. Zrobił to więc wstecznie. Pamiętam też dobrze, że gdy przewróciłam ostatnią kartę protokołów przesłuchań, zobaczyłam coś zupełnie nowego, a mianowicie akt oskarżenia. Oczywiście, chciałam go przeczytać, ale śledczy się zorientował, wrzasnął: „to nie dla was!” i wyrwał mi ten tom z ręki. Wtedy naocznie przekonałam się o tym, że akty oskarżenia są przygotowywane w śledztwie łącznie z wyrokami.

Proces rozpoczął się rano 6 października. Po rewizji osobistej poprowadzono nas wszystkich razem na rozprawę. Szliśmy długim korytarzem, było trochę luzu. „Henryk” podpierał się jakimś kosturem, utykał, najwidoczniej zadana mu rana postrzałowa uszkodziła kość. Mimo to był w świetnym humorze. Wyciągnął nawet przemitycony kawałek lusterka, pytając: „dziewczynki chcecie się przejrzeć?”

Salą sądową była – jak już wspomniałam – zamieniona na ten cel dawna kaplica więzienna. Było to widać po całym układzie sali, bo oczywiście nie było żadnych emblematów religijnych; na ścianach wisiały jakieś obrazy o treściach batalistycznych. Ławy przeznaczone dla nas mieściły się pod oknami, naprzeciwko drzwi wejściowych. Obrońcy siedzieli przed nami, tak że mogliśmy oglądać ich plecy. Na salę mógł wejść tylko jeden członek rodziny – siedzieli po stronie wejściowej. Wysoki sąd zasiadł w głębi, po prawej stronie od nas, w prezbiterialnej części dawnej kaplicy. „Publiczność” – na ogół nieliczna, bo poza grupą strażników i milicji składała się jedynie z nieznanym nam, a z pewnością ważnych osób – zasiadała w ławach naprzeciwko zespołu sędziowskiego.

Pamiętam, że zabierano nas rano po śniadaniu, a posiedzenia sądu trwały długo i zwykle kończyły się już po naszym obiedzie. Za każdym razem obecne na sprawie rodziny musiały prosić o pozwolenie na podanie kanapek. Nie zawsze się to udawało, pomimo gorących prośb. Siedzieliśmy więc głodni, nie mogąc kontaktować się nawet z naszymi adwokatami. Czasem

tylko udawało im się poczęstować nas papierosem. Któregoś dnia wybuchła wielka awantura, gdy w bułce podanej Jankowi przez jego siostrę Basię, oddziałowy znalazł igłę czy też szpilkę. Bułkę natychmiast zabrano. Basia tłumaczyła, że to jakiś przypadek, ale to nic nie pomogło i tego dnia nikt nie dostał nic do jedzenia.

Moim obrońcą miał być mecenas Rettinger¹⁰³, ale nie wiem, dlaczego – podobno ze względu na stan zdrowia – przekazał moją sprawę mecenasowi Polatyńskiemu¹⁰⁴. O jedynej mojej rozmowie z nim opowiedziałam w rozdziale poświęconym Staszce Kasznicy, ponieważ to właśnie Polatyński odebrał ode mnie i wyniósł z więzienia Staszkowe pamiątki.

Z kolei adwokat Maślanko¹⁰⁵, którego do obrony Leszka Roszkowskiego zaangażowali jego rodzice, uchodził za takiego, który wybrania skazanych na karę śmierci. W ostatniej chwili prawnik scedował tę obronę na mec. Grabowską¹⁰⁶. Na wolności nie wiadano, że Maślanko miał dobre kontakty z Różańskim i innymi dygnitarzami MBP, więc bronił tylko w sprawach, w których wyroki śmierci nie miały być wykonywane. W jego zrzeczeniu się obrony Leszka nie było więc nic dziwnego – wiedział, że jego wyrok nie będzie objęty amnestią, a Bierut¹⁰⁷, kierując się opinią sądu, nie skorzysta z prawa łaski.

Innymi naszymi obrońcami w procesie byli adwokaci: Sobczyński, Kolański, Pintarowa i Wagner.

Odczytywanie aktu oskarżenia zajęło chyba dwa czy trzy dni. A potem były zeznania oskarżonych w ustalonej kolejności. Pierwszy zeznawał Leszek. Trwało to trzy dni. Brał wszystko na siebie. Szczególnie chciał bronić nas, kobiet, które „szepem podczas rozprawy zobowiązał do ukończe-

¹⁰³ Mec. Edward Rettinger.

¹⁰⁴ Mec. Jan Polatyński.

¹⁰⁵ Mec. Mieczysław Maślanko.

¹⁰⁶ Mec. Antonina Grabowska.

¹⁰⁷ Bolesław Bierut – „Janowski”, „Iwaniuk”, „Tomasz” (1892–1956), działacz komunistyczny, polityk, prezydent RP. Przed 1939 r. członek PPS-Lewicy, KPRP (od 1925 r. KPP). Podczas II wojny świat. 1939–1941 przebywał w ZSRR. Od 1943 r., w Warszawie, został dokooptowany do KC PPR. W 1944 r. przewodniczący, od 1944 r. do 1947 r. prez. KRN. W latach 1947–1952 prez. RP i przewodniczący Rady Państwa. W 1948 r. sekr. generalny KC PPR, a od 1948 r. do 1954 r. przewodniczący KC, a następnie do śmierci I sekr. KC PZPR. W latach 1952–1954 prezes Rady Ministrów, a 1949–1956 r. przewodniczący Komisji Biura Polit. do spraw Bezpieczeństwa Publicznego. Był osobiście odpowiedzialny za politykę masowego terroru oraz sowietyzację polskiej kultury, nauki i gospodarki.

nia studiów po wyjściu z więzienia”¹⁰⁸. Jeżeli chodzi o mnie, w czasie krótkich przerw w rozprawie podkreślał, abym zeznawała, że wszystko wykonywałam na jego polecenie i nie przyznawała się, że byłam szefem łączności. Mnie nie zobowiązywał do ukończenia studiów, gdyż mój staż studencki był najkrótszy, a przewidywany okres uwięzienia dużo dłuższy. Przed wojną ukończyłam zaledwie pierwszy rok fizyki, w czasie okupacji nie miałam warunków do podjęcia studiów, chociaż się do nich przymierzałam, a jesienią 1945 r. zapisałam się na SGH, bo wtedy była to dla mnie jedyna możliwość kontynuowania nauki.

W akcie oskarżenia zarzucano nam współpracę z Niemcami. Stosowano ten zarzut nagminnie we wszystkich procesach owego czasu. I tu muszę przywołać zeznania Tadeusza Zawadzińskiego. Oczywiście, zupełnie nie pamiętam jego konkretnych argumentów, w każdym bądź razie przytaczając mnóstwo faktów, udokumentował w sposób nie do obalenia absolutny brak współpracy z okupantem. W efekcie jego wystąpienia zostaliśmy całkowicie oczyszczeni z tego zarzutu! Nawet w dokumentach nie pozostał po nim żaden ślad.

Proces, który według obietnic Różańskiego miał być nagłośniony, toczył się w obecności dziennikarzy i zawierać odpowiednią ilość „opłuwania”, odbywał się przy drzwiach zamkniętych. Najpierw bowiem – już na samym wstępie – zamordowano w śledztwie Tadeusza Łabędzkiego. Zarówno w śledztwie, jak i podczas całej rozprawy, nazwisko Tadeusza nie zostało nigdy wymówione. Jakby go nie było. Pisałam już o tym, jak rodzinie, na zapytania, odpowiadało najpierw, że uciekł, a potem, że umarł śmiercią naturalną. Osobę jego otaczała zmowa milczenia. Gdyby nasz proces był otwarty dla publiczności, to nazwisko Tadeusza musiałyby na nim zostać wymienione, a do tego przecież nie można było dopuścić. Dopiero proces Humera, pięćdziesiąt lat później, oskarżonego między innymi o spowodowanie śmierci Tadeusza sprawił, że przyczyna jego zgonu została publicznie ujawniona. Morderca jednak pozostał nadal nieznany, gdyż Humer gwałtownie zaprzeczył oskarżeniu, a dostatecznych dowodów nie było.

Drugi oskarżony Jerzy Hass został wyłączony z naszego procesu, bo był dla UB również niewygodny, gdyż nasze rodziny i my oskarżeni byliśmy świadkami jego kalectwa, spowodowanego nieludzkimi metodami śledztwa.

¹⁰⁸ M. Zaborski, *Porucznik „Tomasz” – Lechosław Roszkowski (1916–1948)*, „Palestra” 1994, nr 12.

Podczas procesu były takie chwile, w których sąd i „publiczność” opuszczali salę i można było kontaktować się ze sobą. Wtedy to Leszek przekazał nam wspomniane polecenia, wtedy też koledzy przekazali „Agacie” – licząc na jej szybsze wyjście z więzienia – treść odezwy-testamentu, skierowanego do byłego Komendanta NZW, płk. Tadeusza Danilewicza, ps. „Kuba”¹⁰⁹. Odezwa ta została zredagowana przez Janka Golkę. „Agata” ją zapamiętała i po wyjściu przesłała do Londynu. Przytaczam ją za Marcinem Zaborskim¹¹⁰:

„Bogu posłuszeństwo, Narodowi wierność, a Polsce – synowskie oddanie. Czwarte pokolenie ruchu narodowego roznieci brzask w światło nowego dnia, wówczas polski nacjonalizm zdejmie brzemień miecza walki i stanie się twórczym wkładem w życie zbratanych narodów wolnego świata”.

W końcowej fazie procesu, bo 28 października (był to dzień imienin Tadeusza Zielińskiego „Wujka” i dlatego tę datę zapamiętałam), nastąpił fakt jedyny chyba w historii procesów owego czasu. Tego bowiem dnia wszyscy mężczyźni z naszego procesu przyjęli komunię świętą. Zacytuję fragment wspomnianego już artykułu Marcina Zaborskiego¹¹¹:

„Przebieg procesu niedwuznacznie wskazywał, że wszyscy mężczyźni dostaną karę śmierci, dlatego też postanowili oni wspólnie, że przyjmą sakramenty pokuty i komunii świętej. Ppłk T[adeusz] Zieliński wypowiadał się u księdza-współwięźnia, natomiast pozostali mężczyźni sakrament pokuty otrzymali warunkowo. Umówiony ksiądz-więzień o określonej porze patrzył przez okno na dziedziniec i udzielał rozgrzeszenia, natomiast por. L[echosław] Roszkowski, kpt. T[adeusz] Zawadziński, kpt. J[an] Morawiec i por. J[an] Golka w tym samym czasie, patrząc na dziedziniec z okien swoich cel, szeptem wyznawali grzechy. 28 października, gdy sąd zarzą-

¹⁰⁹ Tadeusz Danilewicz – „Kuba”, „Kossak”, „Doman”, ppłk NSZ. Od 1939 r. należał do Narodowo-Ludowej Organizacji Wojskowej, a od maja 1940 r. do NOW. Od lipca 1941 r. zastępca szefa Oddziału Organizacyjnego Komendy Głównej NOW. Od września 1942 r. był szefem Oddziału Ogólno-Organizacyjnego Dowództwa NSZ. Po scaleniu NSZ z AK pełnił funkcję szefa sztabu KG NSZ-AK. Później (do maja 1945 r.) był szefem sztabu NZW, a od 1 czerwca 1945 r. komendantem Głównym NZW. W grudniu 1945 r. przedostał się za granicę.

¹¹⁰ M. Zaborski, *Komenda Główna NZW przed sądem komunistycznym*, „Nowy Świat”, 18–19 I 1992 r.

¹¹¹ M. Zaborski, *Porucznik „Tomasz” – Lechosław Roszkowski (1916–1948)*, „Palestra” 1994, nr 12.

dził krótką przerwę w rozprawie i opuścił salę, mężczyźni przyjęli komunię świętą. Komunikanty przyniosła adwokat Antonina Grabowska w małym pudełeczku, które dyskretnie przekazała oskarżonym. Następnie podeszła do stojących nieco dalej strażników, dała im po paczce papierosów i wszczęła głośną rozmowę. W tym czasie każdy mężczyzna po kolei udzielał sobie sakramentu, podchodził do okna i patrząc na zewnątrz odmawiał krótką modlitwę”.

Ja szczególnie zapamiętałam Leszka, gdy w tak wielkim skupieniu przyjmował Najświętszy Sakrament i stał przed oknem, miał chyba schyloną głowę, cały pogrążony w modlitwie. Było to dla nas ogromne przeżycie, którego nie mogę zapomnieć. Leszek – podobnie zresztą jak Tadeusz i „Henryk” – był przekonany, że wyrok śmierci będzie na nim wykonany. Mówił mi o tym w jakiejś krótkiej rozmowie, uważając jednocześnie, że jego rola już się jakoś skończyła. Gorąco starałam się go wtedy przekonać o tym, jak bardzo jest potrzebny nam wszystkim i potrzebny swemu synkowi. Mówiliśmy też o przyjaźni, która nas łączyła i za tę jego przyjaźń dziękowałam mu. Była to nasza ostatnia rozmowa – zakończenie naszej współpracy.

Z przemówienia prokuratora¹¹² oskarżającego mnie zapamiętałam bardzo znamienne dla mnie zdanie: „Wprawdzie oskarżona Czaplińska otwiera serię kobiet, ale z racji jej przestępstw należałoby ją zaliczyć do mężczyzn. Bowiem oskarżona Czaplińska wypełniała wszystkie polecenia przełożonych – i tu wymienił wszystkie moje „przestępstwa” bardzo szczegółowo – czym zasłużyła sobie na pełne uznanie ze strony swoich przełożonych i na dziesięć lat, które proponuję”. Zapamiętałam te słowa dosłownie, bo poczułam się nimi zaszczycona. W efekcie dostałam łączną karę dziesięciu lat za przynależność do nielegalnej organizacji (art. 86 kkWP), złagodzoną na mocy amnestii do pięciu lat, i z art. 8 Dekretu z 16 XI 1945 r. (szpiegostwo) na dziesięć lat. Wyrok ten sprawił, że całość odsiedziałam co do dnia, gdyż artykuł mówiący o szpiegostwie nie podlegał żadnej amnestii.

W roku naszego procesu dzień Wszystkich Świętych wypadał w sobotę. W poniedziałek 3 listopada 1947 r. po raz ostatni zaprowadzono nas na

¹¹² Oskarżycielem w procesie był mjr Zenon Rychlik (ur. 1912), prokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Warszawie, następnie wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej.

odczytanie wyroku. Wtedy po raz pierwszy sala była pełna. Obecne były też nasze rodziny. Wyrok odczytywano bardzo długo, bo najpierw wymieniano „przestępczą działalność” każdego oskarżonego, następnie – w tej samej kolejności – odczytywano wyroki, a wreszcie ich uzasadnienie. Razem bite 35 stron maszynopisu.

Na ogłoszenie wyroku przyjechała do Warszawy moja Matka razem z moją siostrą Marysią. Przechodząc koło Matki i siostry uśmiechnęłam się do nich – nic więcej. Siostrę moją, Marię Knabe, zobaczyłam dopiero po wyjściu na wolność, dziesięć lat później. Dzień ogłoszenia wyroku siostra wspominała słowami:

„...Zawiadomiła mnie Mama, żebym przyjechała do Warszawy na odczytanie wyroku [...]. Mama była bardzo spięta. Pamiętam, że szykowała dla Ruty bułki z masłem i miodem, bo może uda się jakoś Rucie podać. Wstyd powiedzieć, ale zazdrościłam Rucie tych bułek, bo był to wtedy dla nas nieosiągalny luksus. Pojechaliśmy czy poszliśmy z Mamą na Rakowiecką do więzienia. Sprawdzanie dokumentów, kraty, korytarze, kraty. W końcu jesteśmy na miejscu. Duża sala, ławki jak w kościele, okna z prawej strony, stół, za nim sędziowie w mundurach. Z boku nasi chłopcy, Ruta, jakaś kobieta i pełno milicji.

»Proszę wstać« – długo odczytywano sentencję wyroku. Kilkakrotnie powtarzanie »kara śmierci«: Tadeusz Zawadziński, Leszek Roszkowski, Jan Morawiec. O Tadeu Łabędzkim ani słowa. Twarze chłopców napięte. Bez drgnięcia. A w ławkach rodzice – pp. Roszkowscy, Zawadzińscy, siostra Morawca, nasza Mama. Ruta – dziesięć lat. Potem, jak ich wyprowadzali, Ruta uśmiechnęła się do nas... Wychodziłyśmy przybite. Znowu kraty, korytarze, straż z psami. W pewnym momencie, gdy Mama już przeszła, przede mną zapadła krata. Przerazenie Mamy i moje. Coś tam jednak sprawdzili. Krata się otworzyła. Przed więzieniem adwokaci rozmawiają. „To Maślan-ko”, mówi Mama, „a to pani mecenas Grabowska”. Pani mecenas wydawała mi się za bardzo wesoła, jak na to, że jej klient został skazany na śmierć. Po latach dowiedziałam się, że to pani mecenas Grabowskiej udało się podać chłopcom komunię św. Rutę zobaczyłam dopiero 6 kwietnia 1956 r.” [ze wspomnień siostry].

Utrzymane wyroki śmierci w stosunku do Leszka, Tadeusza i „Henryka” były wydane na mocy art. 8 Dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa z dnia 16 listopada 1945 r. Artykuł ten dotyczył zbrodni szpiegostwa i nie podlegał żadnej amnestii.

W późniejszych procesach powyższy dekret zastąpiony został przez inny, tzw. Mały Kodeks Karny, wydany w 1946 r. szpiegostwo zostało w nim objęte artykułem 7. Stąd na ogół każdy kojarzy szpiegostwo z „siódmką” a nie z „ósemką”.

W naszym procesie osobom skazanym za szpiegostwo z tego artykułu zarzucano, że materiały uznane przez sąd za wywiadowcze były przekazywane za granicę do Tadeusza Bieleckiego¹¹³ – ówczesnego prezesa Stronnictwa Narodowego. Pionem wojskowym Stronnictwa było właśnie Narodowe Zjednoczenie Wojskowe z jego Komendą Główną. Na tym polegał więc cały absurd oskarżenia i wyroków, w których moich trzech kolegów straciło życie, a ja odsiedziałam dziesięć pełnych lat.

W przytoczonych wyrokach nie uwzględniłam kar dodatkowych, a mianowicie przepadku mienia i utraty praw obywatelskich i honorowych. Przepadek mienia orzeczono w stosunku do wszystkich uczestników procesu, a okres utraty praw obywatelskich zróżnicowano w zależności od orzeczonych wyroków. Wszyscy z karą śmierci mieli utratę praw na zawsze, Janek Golka i ja – na 5 lat, Maria Nachtman na 2 lata, a Wanda Ceraska i Walentyna Jeremicz na 1 rok.

Po wyroku chłopcy skazani na śmierć otrzymali widzenia z rodziną, reszta – nie. Pamiętam, że w czasie widzenia Tadeusz Zawadzki pytał się o kogoś z rodziny i jego matka powiedziała, że popełnił samobójstwo. W każdym razie wybuchła straszna awantura i Tadeuszowi przerwano widzenie, chyba ostatnie. Nie wiem, czy mu potem jeszcze dano, gdy siedział czekając na wykonanie wyroku lub ułaskawienie. Wszyscy trzej nie spodziewali się ułaskawienia, byli niezwykle dzielni.

Po raz ostatni cała nasza grupa wracała razem na „dziesiątkę”. I tym razem, jak zwykle, ustawiono nas, kobiety, i kolegów po przeciwnych stronach korytarza, gdzie czekaliśmy na oddziałowych, którzy prowadzili nas do naszych cel. I tym razem, jak zwykle, „Henryk” stanął przy

¹¹³ Tadeusz Bielecki (1901–1982) polityk narodowodemokratyczny, publicysta. Od 1924 r. członek Ligi Narodowej, w latach 1926–1929 sekretarz osobisty Romana Dmowskiego, działacz OWP i SN. Poseł na sejm w latach 1930–1935. Od 1939 r. przebywał na emigracji, początkowo we Francji, a od 1941 r. w Wielkiej Brytanii, gdzie pozostał aż do śmierci. Powołał kierownictwo SN – Komitet Polityczny, do 1982 r. sprawował funkcję prezesa SN. W latach 1940–1941 wiceprezes Rady Narodowej RP. Był współtwórcą Rady Politycznej (1949 r.), w latach 1954–1972 przewodniczył Radzie Jedności Narodowej.

drzwiach celi ppłk. Lipińskiego¹¹⁴, z którym już kiedyś siedział, i morsem zdawał relację z przebiegu procesu. On nigdy nie tracił głowy ani czasu. I stojąc tak na korytarzu można było tylko na siebie patrzeć i w myśli przekazywać wszystko to, co się czuło, a czego nie można było wypowiedzieć.

Wkrótce przeniesiono nas na ogólniak, nasi trzej koledzy siedzieli koło siebie. Gdy wracałyśmy ze spaceru, wszyscy trzej stawali w oknach, a my starałyśmy się dać im znaki naszej wiary, nadziei i naszej pamięci o nich.

Wiem, że Leszek siedział z mężem Heleny Sieradzkiej, który był świadkiem jego ostatnich tygodni. Dzięki wspomnieniom pana Makarego Sieradzkiego, sądanego w sprawie Witolda Pileckiego, wiemy o ostatnich tygodniach życia Leszka:

„...Okazało się, że Leszek czeka na decyzję prezydenta o ulaskawienie, tj. zamianę kary śmierci na dożywocie, ale nie ma nadziei na decyzję pozytywną [...]. Nastrój w celi w obliczu majestatu śmierci był więc poważny. Wkrótce otworzyliśmy się nawzajem i wszelkie opory, normalne w więzieniach PRL-u, gdzie funkcjonowały sieci konfidentów i donosicieli, zniknęły. O czym rozmawialiśmy? Oto tematy: losy, historiozofia, aktualna sytuacja polityczno-społeczna i perspektywy Polski na tle losów Europy i świata – to był chyba temat główny – sens ofiar i cierpienia, filozofia człowieka, życie pozagrobowe, patriotyzm i kosmopolityzm, charakter narodowy, wpływ niewoli i walki o wolność na jego treść, rodzina, Kościół, szkoła, charakter i cele komunizmu rosyjskiego.

Leszek interesował się filozofią prawa (studiował prawo) i dawał temu wyraz. Był to także jeden z tematów naszych rozmów. Codziennie czytaliśmy i komentowaliśmy Nowy Testament. Leszek dużo czasu poświęcał cichej modlitwie, siedząc przy stoliku.

Uzgodniliśmy pewnik, że żadne niewinne cierpienie ludzkie nie przemija z wiatrem, że cierpiąc dla naszej sprawy, znosząc upokorzenia i udrę-

¹¹⁴ Wacław Lipiński – „Aleksander”, „Gwido” (1896–1949), podpułkownik, historyk. Oficer WP, w latach 1936–1939 dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego. Od 1942 r. współorganizator Konwentu organizacji Niepodległościowych, redaktor czasopisma „Myśl Państwowa”. Od 1946 r. założyciel i przywódca podziemnego Stronnictwa Niezawisłości Narodowej. W latach 1946–1947 był członkiem Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Polski Podziemnej. Aresztowany w 1947 r., został skazany w procesie III ZG WIN oraz KPOPP skazany na karę śmierci. Zmarł w więzieniu w niejasnych okolicznościach.

ki, uczestniczymy w walce o wolność Polski, której martyrologia wyda kiedyś obfite owoce. Nie wolno się załamywać, wątpić, wahać. Nasza sprawa jest czysta i święta. Trzeba wypracować w sobie postawę wolności, godności i niezależności ducha, a współczuć niewolnikom, którzy nas gnębią. Mieliśmy z Leszkiem taką postawę. Prosił mnie i zobowiązał, bym – o ile wyjdę z więzienia – przekazał rodzinie jego prośbę, by wszystkie modlitwy i nabożeństwa w jego intencji nie miały charakteru żałobnego, lecz dziękczynny. Czuł się bowiem czysty, niewinny, wyróżniony i zaszczycony przywilejem, że oddaje życie za Wielką Sprawę. A drugim jego pragnieniem było spocząć obok żony w jednej mogile.

Pewnego poniedziałku, około godziny 10-tej zabrano Leszka z celi. Wrócił wkrótce spokojny, jak zwykle, i mówił, że był na widzeniu z panią Grabowską – obrończynią. Powiedziała mu, że Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski i że w najbliższy czwartek będzie stracony. W celi zapanaowała cisza. Przez kilka godzin nie rozmawialiśmy. Także cały wtorek, środek i czwartek spędziliśmy w stanie niemal całkowitego modlitewnego milczenia. Leszek wszystkie te dni spędził na cichej, skupionej modlitwie, siedząc przy stoliku, gdy ja spacerowałem po celi. Modlił się także w nocy, od 18 do 6 rano. W czwartek, około godziny 17-tej wszedł oddziałowy [...] i powiedział: »Roszkowski! Pakować się!«. Leszek w tym momencie stracił spokój i zaczął się nerwowo pakować. Pożegnaliśmy się także jakoś nerwowo, gdy oddziałowy wkrótce otworzył drzwi i zawołał: »wychodzić!«.

[...] Leszek zostawił mi Nowy Testament z prośbą, bym go zostawił synowi. Szczęśliwy przypadek sprawił, że dr Seybold – Niemiec, więzień zatrudniony w ambulatorium więziennym – dowiedział się od jakichś dobrych duchów o naszym losie i spowodował dwukrotne spotkanie moje z żoną pod pozorem świadczenia nam pomocy lekarskiej. W czasie drugiego spotkania wręczyłem żonie Nowy Testament, a ona przekazała go pani Nachtman (siedziały w jednej celi), która miała go przekazać rodzinie Leszka. Czy przekazała?...¹¹⁵

Po trzech latach pobytu w więzieniu Maria Nachtman („Agata”) przekazała Nowy Testament matce Leszka. Nie wiem, z kim siedzieli Tadeusz

¹¹⁵ Z maszynopisu wspomnień o Lechosławie Roszkowskim, który Ruta Czaplińska dostała od Makarego Sieradzkiego.

i „Henryk”, dlatego też nie mam żadnych wiadomości o ich ostatnich tygodniach. Po kilkudziesięciu latach na sprawie o unieważnienie wyroku poznałam siostrę „Henryka”. Opowiedziała mi, że gdy wieczorem 15 I 1948 r. siedzieli wszyscy w domu, to ze ściany zsunęła się gablota z wieloma odznaczeniami sportowymi „Henryka”. Zrozumieli, że jest to znak od niego, i okazało się, że była to godzina wykonania wyroku.

W więzieniu zostałyśmy tylko dwie: Marysia Nachtman i ja; „Wala” i „Dusia” wyszły po sprawie. Myślałam naiwnie, że już tego samego dnia znalazły się na wolności, ale dopiero po latach dowiedziałam się, że „Dusię” jeszcze dwa tygodnie przetrzymano samotnie w celi śledczej, bez rzeczy osobistych, siennika, koca i bez jakiejkolwiek informacji. Te ostatnie dwa tygodnie były dla niej szczególnie ciężkie, zwłaszcza że w czasie procesu dowiedziała się o śmierci swojego ojca, który zmarł w rok po śmierci jej matki. „Dusia” miała więc bardzo trudną wolność, bo oprócz osobistych cierpień musiała znosić jeszcze ustawiczne śledzenie jej przez UB. Wielokrotnie wzywano ją na rozmowy. Przeżyła prawdziwą gehennę, która trwała 5 czy 6 lat. Kiedyś – jak mi powiedziała – zebrała się na odwagę i pojechała do Prokuratury Wojskowej w Warszawie. Tam powiedziała, że jak chcą, to niech ją zamkną, ale niech wreszcie przestaną ją dręczyć. W rezultacie kazano jej złożyć zażalenie na piśmie i podać rysopisy osób, które ją śledziły. Ona знаła z twarzy nawet tych, co stali pod bramą i patrzyli w okna, bez względu na pogodę!

W okresie śledztwa kilkakrotnie byłam też świadkiem w różnych procesach odpryskowych. Już teraz zupełnie nie pamiętam ani spraw, ani nazwisk, z wyjątkiem sprawy Hanki Dobrowolskiej, Zebci Kadyńskiej i Romana Nierychło. Hanka była łączniczką, a Zebcia i p. Roman byli tzw. skrzynkami w Łodzi. Taki wyjazd – bo sprawy odbywały się wtedy w sądzie przy ul. Górczewskiej – to był prawdziwy ewenement i zawsze całkowite zaskoczenie. Na sprawę Hanki jeździłam dwukrotnie. Pierwszy raz okazało się, że z jakichś powodów sprawa jest odłożona, a drugi raz zabrano nas w przeddzień rozprawy i nocowaliśmy na ul. Górczewskiej. Ojciec Hanki był bardzo operatywny, umiał załatwić wiele rzeczy. Jeszcze tego samego dnia przyszedł do nas i powiedział, że będzie moja Matka. To było dla mnie ogromne i niespodziewane szczęście. Mężczyzn zabrano od razu gdzieś do piwnicy, a nas trzy umieszczono w jakimś pokoiku biurowym sądu. Spałyśmy na podłodze, a właściwie niewiele było tego spania, bo więcej rozmów i przekazywania wzajemnych informacji. Rano zjawił się

ojciec Hanka z jakimś wspaniałym jedzeniem. Pamiętam, że były także gorące serdelki od Radzyńskiego, owoce i inne smakołyki, ale ja zupełnie nie mogłam jeść, miałam ściśnięte gardło, myślałam o spotkaniu z Matką. I stało się, że mogłam się do niej przytulić, całować jej ręce. Nikt nas nie pilnował – to już była całkowicie zasługa ojca Hani i jego pieniędzy. Pamiętam, że pytałam o moją siostrę Bognę, która uciekła, a Mama powiedziała, żebym nie pytała. Wołała, żebym nie wiedziała, gdzie jest, ale dała mi do zrozumienia, że jest bezpieczna. Widzenie nie trwało długo, ale mogłam nim żyć przez miesiące i lata całe.

Pamiętam, że wszyscy, którzy byli na tej sprawie, starali się wszelkimi siłami wyrazić mi swoją sympatię i pamięć. Każdy mi chciał coś dać, namawiał do jedzenia. Prosiłam o igły, które pracownicy wpinano mi do płaszcza i chyba także przewiozłam jakiś kawałek grafitu. Nie pamiętam, czy wtedy, czy też kiedy indziej, jechało kilku chłopców z innej sprawy. Mieli jakąś zakamuflowaną wódkę. Każdy z nas łyknął jej troszkę tylko, ale zrobiło się nam bardzo wesoło, a w jeszcze lepszy humor wpadliśmy, gdy do ciężarówki, którą nas wieźli, chcieli się dostać jacyś mężczyźni „na łebka”. Byli oburzeni odmową zabrania ich. Dopiero, gdy zawołaliśmy, że jedziemy na „Mokotów”, miny im zrzedły i szybko się oddalili.

Z tamtego okresu pamiętam też sędziego, który po moich zeznaniach mówił: „Świadek jest wolny, oczywiście nie tak, jak by sobie tego życzył”.

13. Mokotów – ogólniak (4 listopada 1947 – 30 września 1948)

4 listopada 1947 r., następnego dnia po ogłoszeniu wyroku, zostałyśmy z „Agatą” zabrane na oddział ogólny. Idąc korytarzem, cieszyłyśmy się, że nareszcie będziemy mogły porozmawiać, podzielić się przeżyciami i refleksjami – na procesie było to niemożliwe. Wprowadzono nas do jakiejś dużej celi na I piętrze. Przez kraty w drzwiach dostrzegły nas koleżanki z „dziesiątki” i „jedenastki”. Przywitały nas bardzo serdecznie. Z radością spotkałam się z Halszką Dunin, która z mojej celi była zabierana na proces.

Cela – przed wojną przeznaczona na dwadzieścia pięć osób – bo tyle było łóżek poprzipinanych do ściany – teraz mieściła dobrze ponad sto więźniarek. Panował tłok. Nas, politycznych, było wtedy osiemnaście (o ile dobrze pamiętam), ale liczba ta stale rosła, wciąż bowiem dochodzi-

ły nowe po sprawie. Poza nami były więźniarki skazane za współpracę z Niemcami i różne kryminalistki. Obsada celi co jakiś czas ulegała zmianie. Były w niej „stałe” lokatorki, jak Heńka Kęska, były także krótkoterminowe, głównie złodziejki i prostytutki. Była także „Belami”, była „Hrabina”, która nie chciała wyjść w zimie na mroź; przypominam sobie, jak ze wstrętem odrzuciła od siebie przeznaczoną dla niej ciepłą, więzienną bieliznę i uciekła pod kratę, aby wrócić do naszej celi.

Zgodnie z wewnętrznym zarządzeniem, na łóżkach miały spać więźniarki z wysokimi wyrokami, a że my do takich właśnie zaliczałyśmy się, więc spałyśmy na łóżkach – oczywiście po dwie. Były wąskie, jednoosobowe, słoma starta na sieczkę zsuwała się na środek łóżka i spało się jednym bokiem na żelaznym pręcie obramowania. Pozostałe więźniarki rozkładały na noc mizerne sienniki na betonowej podłodze, a także pod stołami, stojącymi pośrodku celi. W lewym rogu, pod oknem, za blaszaną zasłoną był „kibel”. Wyjątkowej uwagi i zręczności wymagało przejście do niego w nocy. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie nadepnąć na czyjąś głowę, nogi lub rękę. W dzień łóżka przypinało się do ścian, obok wieszając woreczki z podręcznymi rzeczami. Jakis skromny dobytek: bieliznę czy bluzkę przechowywało się w kartonach pod stołami. Sienniki składało się w wysokie przyzmy po lewej stronie od wejścia. My zajmowałyśmy prawą stronę. Miałyśmy tu wygodę, ponieważ jedno łóżko było uszkodzone i zostawało spuszczone na cały dzień – przy nim gromadziłyśmy się, urządzałyśmy nasze „podwieczorki przy mikrofonie”. Pod nim też, na jakimś papierze pakowym, mogły się położyć te, które chciały choć trochę odizolować się od tłumu, jego hałasów i zgiełku. Środkiem celi można było spacerować dookoła stołów, ale tylko wtedy, gdy kryminalne szły do pracy w kartoflarni i robiło się luźniej. Cała reszta siedziała oparta o łóżka, na drewniakach czy kawałkach papieru, oddzielających je od zimnej, betonowej podłogi.

Z wodą nie było jeszcze najgorzej, bo oddziałowe wlewały nam ją do misek przez kratę w drzwiach, można się więc było nieraz doprosić o dodatkowe porcje. W miarę możliwości osłaniałyśmy się wzajemnie przy myciu. W porze obiadowej cęła zapełniała się powracającymi z pracy więźniarkami. Siedzące pod ścianami zrywały się ze swoich miejsc, tworzyła się kolejka kobiet z miskami w rękach. Ten gwałtowny ruch przypominał mi zawsze stację kolejową w Koluszkach w czasie okupacji, gdzie tłum ludzi w podobny sposób zrywał się na wieść o nadchodzącym pociągu; alarm

często okazywał się fałszywy i powrotna fala ludzka znów zapępiała koszmarny dworzec.

Jedzenie było raczej marne. Dominowały zupy z suszonych jarzyn, zepsutych, gotowanych na równie nieświeżych płuckach końskich lub dorszach. Często zastanawialiśmy się, czy to, co śmierdzi na korytarzu, to wynoszone „kible” czy też przynoszona zupa. Były wśród naszych towarzyszek celi starsze kobiety siedzące za współpracę z Niemcami, które otrzymywały dietę. Prawdę mówiąc, na tej diecie nie można było wyżyć, bo składały się na nią suchary, zresztą bardzo smaczne, i rzadka kasza jęczmienna na wodzie, bez kropli tłuszczu. Czasem niektórym z nas udawało się wymienić zupę na tę kaszkę – to przynajmniej nadawało się do jedzenia. Ratowały nas paczki. Do chwili zatwierdzenia wyroku, czyli do otrzymania czerwonej „celkówki” otrzymywało się paczki co tydzień, a po zatwierdzeniu raz na dwa tygodnie. My, polityczne, prowadziłyśmy zawsze wspólne gospodarstwo. Otrzymałą paczkę przekazywało się dyżurnym, a one już gospodarowały naszymi zapasami. Przygotowywały nam kanapki na drugie śniadanie i podwieczorki, a poza tym na wszystkie nasze wewnętrzne uroczystości: imieniny czy też powitania nowych koleżanek. Z tych osiemnastu, które z „Agatą” zastałyśmy w celi nr 37, przypominam sobie dr Franio¹¹⁶ i osoby z jej sprawy, czyli „Kingę” – Wędrychowską¹¹⁷, Jankę Warzycką¹¹⁸, Dankę Bańkowską¹¹⁹ i „Alinę”

¹¹⁶ Zofia Franio – „Doktor”, „Pani Doktor” (1899–1978), major AK. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–1920. W 1927 r. ukończyła Wydział Lekarski UW. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. przewodnicząca komisji poborowej ochotniczego batalionu Pomocniczej Służby Kobiet we Lwowie. Od listopada 1939 r. w konspiracji. Organizowała podziemną służbę kobiet, kobiece patrole minerskie, kobiece oddziały o charakterze sabotażowo-dywersyjnym. W Powstaniu Warszawskim dowodziła żeńskim oddziałem saperów. Aresztowana 14 XI 1946 r. pod zarzutem pełnienia funkcji szefa łączności i kierowniczki kolportażu w Zarządzie Obszaru Centralnego WiN. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 31 VII 1947 r. skazana na 12 lat więzienia. Zwolniona 15 V 1956 r.

¹¹⁷ Maria Wędrychowska – „Jola”, „Kinga”, „Rysia”, „F-4” (1904–1989), żołnierz AK. Przed 1939 r. artystka Opery Warszawskiej. Od 1941 r. pracowała dla Szefostwa Biur Wojskowych „Teczka” ZWZ i Delegatury Rządu. Od 1943 r. w Kedywie, brała udział w Powstaniu Warszawskim. W latach 1945–1946 łączniczka komórki wywiadowczej WiN, krypt. „Stocznia”. Aresztowana 16 XI 1946 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 31 VII 1947 r. skazana na 7 lat więzienia. Zwolniona w 1953 r.

¹¹⁸ Janina Warzycka – 31 VII 1947 r. wyrokiem WSR w Warszawie skazana za pracę w ośrodku wywiadowczym WiN, krypt. „Stocznia”.

¹¹⁹ Danuta Bańkowska – „Duda” (ur. 1915). Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 31 VII 1947 r. skazana na 10 lat więzienia za pracę w ośrodku wywiadowczym WiN, krypt. „Stocznia”. Zwolniona 20 VI 1955 r.

Sieńko¹²⁰. Była również Basia Sadowska, Halszka Dunin, Marysia Hattowska¹²¹, Janka Konopacka¹²² i Basia Otwinowska¹²³. Pozostałych nie mogę sobie przypomnieć. Basia Otwinowska napisała wówczas dla mnie wiersz, który, wedle jej własnych słów¹²⁴, był podziękowaniem dla mnie za „Podwieczorki przy mikrofonie”, które regularnie organizowaliśmy na mokotowskim „ogólniaku”:

DLA RUTY

...W celi cicho. Po kątach łązi szary zmierzch
...Może gdzieś drzewa idą ku niebu we mgle...
Zdobywczy głos ucichłe serca bierze w rękę.
Zarys krat się rozplywa, mur więzienny pierzchł –
Karmisz serca jak ptaki swoich wierszy pięknem.
Pszenicznym ziarnem pada słowo Norwida,

¹²⁰ Stanisława Sieńko-Liniarska – „Iwona”, „Słodka”, „Alinka” (1920–1981). Brała udział w kampanii wrześniowej, od 1940 r. pracowała dla KG ZWZ. Od lipca 1941 r. kurierka i szyfrantka Sztabu Obszaru Północno-Wschodniego w Białymstoku, w maju 1944 r. włączona do Sztabu Okręgu Białostockiego AK. Od 1945 r. działała w WiN, w latach 1946–1947 łączniczka Obszaru Centralnego, zaangażowana w pracę w ośrodku wywiadowczym „Stocznia”. Aresztowana, wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 31 VII 1947 r. skazana na 6 lat więzienia. 4 I 1953 r. zwolniona.

¹²¹ Maria Hattowska – „Baba” (1910–1996), żołnierz AK. Uczestniczka kampanii wrześniowej 1939 r. Działała w Białostockim Okręgu AK na stanowiskach łączniczki komendanta obwodu, szyfrantki, referentki legalizacji i kierownika technicznego w BIP. Aresztowana 29 VI 1946 r. We wrześniu 1947 r. skazana przez WSR w Warszawie na karę 3 lat więzienia za „współpracę z wywiadem Andersa”. Zwolniona 29 VI 1949 r.

¹²² Janina Sabina Kisiel-Konopacka – „Janka”, „Pistolet” (1904–1986), por. NSZ, AK. W czasie okupacji pracowała w dziale opieki nad więźniami i służbach Łączności Okręgu Warszawskiego NSZ. Uczestniczka Powstania Warszawskiego (w komórce łączności KG NSZ). Po powstaniu uwięziona w oflagu Bergen-Belsen, po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie przeszła przeszkolenie wywiadowcze w Regensburgu. Dwukrotnie przedostawała się do kraju. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 6 VIII 1946 r. skazana na karę śmierci (po ulaskawieniu karę zamieniono na 15 lat więzienia). 17 I 1956 r. wyszła na wolność na mocy amnestii.

¹²³ Barbara Otwinowska – „Witek Błękitny” (ur. 1924), żołnierz AK. Od lutego 1943 r. w AK. Uczestniczka Powstania Warszawskiego. Wywieziona na roboty do Niemiec, wróciła wiosną 1945 r. Aresztowana 28 V 1947 r. w związku ze sprawą Witolda Pileckiego, za pomoc udzieloną kuzynowi Stanisławowi Kuczyńskiemu. Wyrokiem WSR 30 IX 1947 r. w Warszawie skazana na 3 lata więzienia. Zwolniona 7 VI 1950 r.

¹²⁴ Otwinowska B., *Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956*, Warszawa 1995, s. 205.

Fortepian boli, w sercu mam huk ten i trzask.
 Mochnacki, sam wśród tłumu, gra treść polskiego Cyda...
 Jeszcze raz wracam w „najsmutniejsze z miast”.
 Jasia wiersze, kwiatami kolorowe,
 Młodość i miłość, wspomnienia dawnych lat...
 – „Mater nostra Polonia” do krzyża tuli głowę –
 za straconego syna czym matce spłaci świat?
 – Zmierzch przysł. W wspomnieniach tamtych dni
 widzę twój uśmiech – „stu róż”
 i smutek rzęs opadłych nad ludzkim cierpieniem...
 I jeszcze jeden obraz w pamięci mojej tkwi:
 Różowa krynolina, obok czarny druż...
 Sypie się kwiat akacji w alejki blasku – cieniem.

Mokotów, Ogólniak, 1948 r.

Niedługo po naszym przyjściu rozpoczęła się nauka angielskiego. Prowadziła ją Basia Sadowska. Dla mnie lekcje te stanowiły prawdziwą męczarnię. Miałam już za sobą nikłe początki angielskiego i byłam przyzwyczajona do tego, że wszystko mi bardzo szybko wchodziło do głowy. Wystarczyło tylko trochę uwagi. A tu okazało się, że jestem do niczego. Całkowicie wyjałowiona, niezdolna do skupienia, straszliwie zmęczona. Bałam się, że całkowicie stępiałam, i że to mi już pozostanie do końca życia. Na szczęście nie trwało to zbyt długo i powróciłam do dawnej sprawności intelektualnej.

Gdzieś w styczniu 1948 r. do celi przyszła „Maniuta” Marynowska¹²⁵ i Halina Sosnowska¹²⁶. „Maniuta” objęła stanowisko nauczycielki, a Basia

¹²⁵ Maria Marynowska – „Maniuta” (1891–1956), współpracownica KPOPP. Od 1945 r. pełniła funkcję tłumacza w ambasadzie brytyjskiej. W 1946 r. nawiązała kontakt z Komitetem Porozumiewawczym Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej. Aresztowana 29 lub 30 I 1947 r., skazana została wyrokiem WSR w Warszawie 22 XII 1947 r. na 12 lat pozbawienia wolności w procesie III ZG WiN i KPOPP.

¹²⁶ Halina Sosnowska – „Halina”, „X”, „F-14”, „Luna” (1894–1973), żołnierz AK, WiN. Od 1918 r. czynna w POW i PCK i w Białym Krzyżu. Od 1925 r. związana z Polskim Towarzystwem Radio-technicznym, a następnie do 1939 r. z Polskim Radiem jako wicedyrektor do spraw programu. W czasie okupacji niemieckiej należała do ZWZ-AK. Następnie działała w WiN oraz KPOPP. Od lutego 1946 r. sprawowała funkcję szefa „Stoczni” – komórki wywiadu krajowego. Aresztowana w 19 XI 1946 r., skazana została w grupowym procesie KPOPP 3–27 XII 1947 r. na dożywotnie więzienie. Zwolniona 12 XI 1956 r.

Sadowska asystentki. Nie miałam już żadnych kłopotów z nauką. Lekcje z „Maniutą” były świetne. Każdego dnia poruszała inny temat. Basia z kolei zapisywała nowe słówka na ściennej lamperii „kredą” naszego wyrobu, czyli mieszaniną mydła, smalcu i węgla z sanitariatu, ugniecioną w coś na kształt szkolnej kredy. Lekcje odbywały się codziennie i za każdym razem któraś z nas musiała przygotować swoją własną *story*. Układając ją, prosiłyśmy „Maniutę” o brakujące słówka. Niezrównana była w tym Halina, która zawsze miała zapotrzebowanie na te najbardziej wymyślne i oryginalne. Nie zapomnę jej pytania, jak przetłumaczyć słowo „upojne” (była wtedy w trakcie pisania swojego wiersza o maciejkach kwitnących za oknami, o upojnym zapachu). „Maniuta”, mając ogromny zasób słów i wyrażań, zawsze, niewzruszenie pytała o kontekst, bo od tego zależała jej odpowiedź.

Była niesłychanie ciekawą i barwną postacią. Cóрка magnata, posiadacza ogromnej fortuny na Syberii, kopalń, fabryk, majątków ziemskich, wychowana w dobrobycie, od dziecka otaczana była guvernantkami – nauczycielką od niemieckiego, *miss* – od angielskiego i *mademoiselle* – od francuskiego, co przy ogromnych zdolnościach lingwistycznych „Maniuty” zaowocowało doskonałą znajomością tych języków, nie licząc ojczystego polskiego i oczywiście rosyjskiego. Te zdolności „Maniuty”, połączone z wielkimi umiejętnościami narracyjnymi i bogactwem zdarzeń z jej własnego życia, sprawiły, że była dla nas wielkim darem. Jej opowiadań można było słuchać godzinami – jak w czasie wojny wracała z dziećmi z ojcowskiej Syberii do Polski przez Japonię albo jak razem z mężem zwiedzała harem, gdzie miano ochotę ją zatrzymać. Ponadto wspaniale opowiadała książki i nowele. To był już prawdziwy majstersztyk. Słuchając, miało się wrażenie, że „Maniuta” po prostu pięknie czyta. Pamiętam, raz opowiadała nam nowelkę, pod której silnym wrażeniem pozostawała; rzecz w tym, że nie było tam żadnej akcji, tylko przeżycia człowieka, który właśnie zmarł. I „Maniuta” umiała nam to przekazać tak, że słuchało się jej z zapartym tchem. Któregoś dnia Halina z „Maniutą” dały nam popis mazura. Cela była pusta, bo nasze współlokatorki poszły do pracy. Zgrupowałyśmy się przy kracie i śpiewałyśmy mazura, a obie panie tańczyły. Halina po męsku, wykonując wszystkie hołbce, przyklęki etc., a „Maniuta” – z ogromnym wdziękiem – swoje damskie *pas*. Obie panie nagrodziłyśmy gromkimi brawami.

2 marca 1948 r. powitałyśmy w naszej celi Wandę Salską¹²⁷ i Dzidzię Żelazowską¹²⁸ ze sprawy Staszka Kasznicy. Obie „dziesięciolatki” weszły do nas w trakcie obchodzenia imienin pani Heleny Sieradzkiej i od razu poczuły się bardzo swojsko. Szybko zaprzyjaźniłam się z Wandą i stałyśmy się prawie nierozłączne. Miałymy zawsze mnóstwo tematów do obgadania, poznałyśmy z opowiadań naszych bliskich, przeżywałyśmy wspólnie troski i problemy każdej z nas. Dzidzia stała się „naczelnym psychologiem” celi. Gromadziły się wokół niej młodsze koleżanki, szukając rady i pomocy w rozwiązywaniu swoich problemów. Dzidzia była też dziewczyną cudownie roztargnioną, ale z ogromnym poczuciem humoru. Na jej cześć powstała piosenka, w której nie zabrakło pewnej złośliwości wyśmiewającej jej roztargnienie. A Dzidzia po jej wysłuchaniu ze śmiechem powiedziała: „całkiem mój portret”. Opowiadała, że cała jej rodzina jest roztargniona. Kiedyś oczekiwali jakichś bardzo ważnych gości i gdy ci zadzwonili do furtki willi, matka Dzidzi wybiegła do nich i na powitanie z ogromnym ładunkiem serdeczności zaczęła mówić: „Do widzenia szanownym państwu, jakże się cieszę, do widzenia”. A brat? Wybierał się z narzeczoną do teatru i ona mu powiedziała: „Wiesz, zmień kołnierzyk u koszuli, bo jest nieświeży”. On na to: „dobrze kochanie”, i zniknął w swoim pokoju. Kiedy jednak przez długi czas się nie pokazywał, zaniepokojona narieczona weszła do pokoju i zobaczyła, że leży w łóżku. Okazało się, że zdejmując koszulę zapomniał, po co to robi, rozebrał się i wszedł do łóżka. Roztargniona Dzidzia miała jednak dużo przytomności umysłu. Kiedyś, w czasie okupacji, gdy przód tramwaju przeznaczony był tradycyjnie dla Niemców, czekała na przystanku. Gdy nadjechał tramwaj, a tłum zaczął wdzierać się do środka, Dzidzia, która bardzo się spieszyła na umówione spotkanie, udała niewidomą, rozłożyła bezradnie ręce i... została wciągnięta do wagonu.

¹²⁷ Wanda Salska (1911–1993), działaczka ruchu narodowego. Przed wojną należała do Obozu Narodowo-Radykalnego. Działalność w podziemnych strukturach obozu narodowego prowadziła zarówno podczas okupacji, jak i po jej zakończeniu. Żona Tadeusza Salskiego – emisariusza NSZ do Londynu. Wyrokiem WSR w Warszawie z 2 III 1948 r. skazana na 10 lat więzienia. Zwolniona w 1955 r.

¹²⁸ Stefania Żelazowska – „Dzidzia”, „Dzidka” (1907–1992), porucznik AK, psycholog. Aresztowana 19 III 1947 r. w sprawie Stanisława Kasznicy (Organizacja Polska, NSZ). Wyrokiem WSR w Warszawie z 2 III 1948 r. skazana na 10 lat więzienia. Zwolniona w 1955 r.

Chyba gdzieś w maju zawitała do nas barwna postać. Była to Wiktoria Pośpieszyl¹²⁹, aresztowana prawdopodobnie za przynależność do partyzantki. Miała bielmo na jednym oku i ogromne poczucie humoru. Zaraz po przyjściu zaczęła nam opowiadać, jak te „czerwone będą wiatrować, aż się za nimi będzie kurzyło”. Z początku podejrzewaliśmy, że nas prowokuje, ale ona naprawdę taka była. Na widzeniu z synem powiedziała: „Syneczku, ja tu bezpieczna, pod kluczem, mnie już nic, o mnie się nie martw, o siebie się martw”. Nazywaliśmy ją czasem Zagłobą w spódnicy.

Cela, w której znalazłyśmy się, była od strony podwórka. Z okna widać było narożnik „dziesiątki” i okna parterowych cel, w których siedzieli moi i „Agaty” koledzy skazani na karę śmierci: Leszek Roszkowski, Tadeusz Zawadziński i Janek Morawiec. Wspinając się do okna, parokrotnie udawało nam się nawiązać kontakt z Tadeuszem. Nie pamiętam już, czy tylko wizualny, czy też zdołaliśmy mu coś przekazać. W czasie spacerów oni stawali w oknach, a my mogłyśmy ich dzięki temu widzieć. Pamiętam, że Tadeusz pokazywał ręką na własną szyję. Oznaczało to, że wyrok będzie wykonany, na co my kręciliśmy przecząco głowami. Ten kontakt nie trwał jednak długo. Ktoś nas zakapował. Obie z „Agatą” zostałyśmy ukarane odebraniem spacerów i już nie mogłyśmy ich widywać, ani w czasie spaceru, ani przez okno. W końcu, ale to już było po ich śmierci, o czym dowiedziałyśmy się znacznie później, przeniesiono całą naszą celę do innej, leżącej naprzeciwko.

O świątach Bożego Narodzenia, naszej szopce i o komunii świętej, którą przyjęłyśmy w czasie świąt, a którą przechowywała najpierw Jasia Konopacka, a potem ja, napiszę później. Przed tym w tej pierwszej celi miało miejsce wiele wydarzeń. Przeżyłyśmy bardzo silnie, ogromną, niespotykaną przedtem rewizję. Ustawiono nas w piątki, jak do apelu, i kolejno zabierano nasze worki z rzeczami na korytarz. Ja przechowywałam żółtą farbę do malowania ścian. Któraś z koleżanek przyniosła mi ją z sanitariatu – służyła mi do farbowania chleba, z którego masowo wyrabiałam pionki do szachów. Bałam się, że jak ją znajdą, będą dociekać skąd jest ta farba. Na to Agata do mnie: „chcesz, to zjem”, ale jej nie dałam. Jakoś to przeszło. Agata miała już wprawę w zjadaniu różnych nieprawdopodobnych rzeczy. Tym razem jednak była poważniejsza rzecz do ukrycia. Miałyśmy przepi-

¹²⁹ Wiktoria Pośpieszyl. Nie udało się ustalić formacji, do której należała. Brak innych danych.

sane wiersze na pakowym grubym papierze, jaki udało nam się zdobyć, a między nimi „Czerwoną zarazę”, którą przyniosła do celi chyba Halinka Głazewska¹³⁰. Trzeba było koniecznie pozbyć się tego *corpus delicti*. Na stole stała woda. „Alinka” Sieńko darła na kawały ten papier i dawała każdej z nas, myśmy żuły, popijając wodą. Ciężko szło, ale poszło. Aż tu w pewnym momencie wywołują „Alinkę” na korytarz. Coś tam u niej znaleźli, z czego miała się tłumaczyć. Tymczasem „Alinka” miała ołówek, który przedko włożyła do ust, ale zapytana o nazwisko, nie zdążyła go sobie wewnątrz ułożyć, więc go szybko połknęła, żeby móc odpowiedzieć na pytanie. Była niepoczyszona. Ołówek był zaostzony, miał długość pewno koło 6 cm. Doktor Franio bała się, żeby nie uszkodził jej przewodu pokarmowego, i zaraz zaczęła karmić „Alinkę” chlebem. Ona natomiast nie chciała się go pozbyć... I odzyskała, drewnienka zdążyły się już rozkleić, ale grafit był nadal do użytku. Podobny wypadek, ale z inną stratą miała „Kinga” Maria Wędrychowska. W czasie jedzenia połknęła swój mostek. Mówiła o tym ze śmiechem i łzami, ale go również odzyskała. Nie pamiętam już, ale chyba udało jej się dotrzeć do sanitariatu i tam ten mostek na nowo wstawić.

Z innych zdarzeń przypominam sobie postać Ireny Lisowej¹³¹, skazanej na karę śmierci za współpracę z gestapo. Pomimo tej kary była ważną figurą na naszym oddziale. Pracowała chyba przy wydawaniu paczek i pełniła jeszcze inne funkcje, ale tego nie pamiętam. Nigdy nie siedziała z nami. Pewnego wieczoru zobaczyłyśmy ją prowadzoną na wykonanie wyroku. Mówiono, że ten wyrok wykonywał oddziałowy Mucha. Zrobiło to na nas wielkie wrażenie.

Apelie wieczorne często się spóźniały. Wtedy nie wiedziałyśmy, że te spóźnienia oznaczają wykonywanie wyroków na naszych kolegach. Kiedyś apelu nie było bardzo długo. Stałyśmy w piątkach więcej niż godzinę, czekając na apel. Nie było nic słyszeć na oddziale i któraś (chyba celowa) zdecydowała, że pewno apelu tego dnia nie będzie. Szybko spuściłyśmy ze ścian nasze łóżka, rozesłałyśmy sienniki na podłogę, rozebrałyśmy się i położyły spać. W pewnej chwili przybiegła wystraszona Sabina (oddziałowa). Zobaczyła co się dzieje i wykrzyknęła: „Czyście powariowały? Apel będzie

¹³⁰ Halina Głazewska – łączniczka mjr. Hieronima Dekutowskiego – „Zapory” (1918–1949), dowódcy oddziałów leśnych w Inspektoracie WiN Lublin, skazanego 7 III 1949 r. na karę śmierci.

¹³¹ Irena Lisowa – konfidentka gestapo. Kochanka wysokiego oficera SS Alfreda Milke, warszawskiego urzędnika gestapo.

za pięć minut!” Jak zdążyliśmy doprowadzić celę do porządku, ubrać się i ustawić w piątki, jest do dziś dla mnie tajemnicą. Najgorsze zaś, że nie wiedziałyśmy, iż tego wieczoru musiano wykonywać jakieś grupowe wyroki, co im zajęło tyle czasu. A my sobie nie zdawałyśmy z tego sprawy. Moi koledzy zostali straceni 15 I 1948 r., ale o tej dacie dowiedziałam się wiele lat po wyjściu na wolność.

Wielkim przeżyciem było dla mnie napisanie pierwszego listu, a właściwie kartki, do Matki. Było to w grudniu, po zatwierdzeniu wyroku. Oddziałowa rozdawała kartki pocztowe, pióro, atrament i powiedziała: „Piszcie: jestem zdrowa i co wam potrzeba, i żeby nie było więcej niż pięćdziesiąt słów”. Wyliczone słowa! Sucha treść, w którą chciało się włożyć całe serce. Ale, mimo wszystko, była to pierwsza możliwość dania znać o sobie. A potem pierwsze widzenia. Nie miałam ich zbyt wiele (wolno było raz w miesiącu), bo Matka nie była w stanie tak często przyjeżdżać do mnie z Łodzi. Zresztą te widzenia sprowadzały się na ogół do oglądania swoich twarzy poprzez dwie grube kraty, między którymi spacerował oddziałowy, wśród wrzasków i krzyków. W grupie mających widzenie przeważali zwykle mężczyźni, przestępcy pospolici i oni darli się na cały głos. W tej wrzawie mogły się przebić tylko pojedyncze słowa, pytania i odpowiedzi. Był to właściwie koszmar. Kiedy mnie pierwszy raz poprowadzono na widzenie, byłam wprost przerażona, ogłupiała i ogłuszona tym wrzaskiem. Potem się do tego przyzwyczaiłam i zawsze udawało mi się przekazać jakąś wiadomość.

A życie kulturalne? Książek i gazet nie było. Karmiłyśmy się opowiadaniem „Maniuty” czy innych koleżanek. Były lekcje angielskiego, o których już pisałam, nauka piosenek, głównie partyzanckich i żołnierskich, przynoszonych przez koleżanki aresztowane później. Pamiętam *Karpacką brygadę*, *Jedną drogą dziś wszyscy idziemy* – te pieśni zawdzięczałyśmy Wiesi Grzeszczyk¹³², a *Czerwone maki* – Basi Sadowskiej. Modlitwą, którą zawsze śpiewałyśmy, była *O Panie, któryś jest na niebie*. Uczyłyśmy się wzajemnie zapamiętanych wierszy, komponowałyśmy też własne wiersze i piosenki, zwłaszcza na powitanie nowych koleżanek lub też przy okazji imienin lub ogólnych uroczystości. Była jeszcze jedna, bardzo popularna piosenka emigracyjna, *Wędrujesz po mieście*.

¹³² Wiesława Semenowicz, z d. Grzeszczyk.

Mówiła ona o ogromnej tęsknocie za Polską, porównując życie tam – na emigracji i tu – w Polsce. Ostatnia zwrotka kończyła się słowami, że mimo wszystkich różnic, serca i tu i tam biją tak samo. Różne „cywilne” piosenki śpiewała bardzo ładnie Wanda Salska; miała niski, przyjemny głos. Maria Wędrychowska dawała nam profesjonalne koncerty, bo była śpiewaczką operową. I tak zaczęły się nasze „Podwieczorki przy mikrofonie”, które stały się już tradycją dla następnych pokoleń koleżanek, przybywających do naszej celi po naszym transporcie do Fordonu. Zawsze bowiem zostawało kilka, które nie miały jeszcze zatwierdzonych wyroków. Nasze piosenki okolicznościowe znalazły się w zbiorze redagowanym przez Basię Otwinowską *Przeciwko złu*. Humor w nich zawarty, uchwycenie jakiejś sytuacji czy też śmiesznej cechy którejś koleżanki, był prawdziwą okrasą naszych więziennych dni. Muszę wrócić jeszcze do „Maniuty” Marynowskiej. Miała wspaniałe poczucie humoru. Ułożyła na siebie samą piosenkę, którą tutaj przytoczę ale najpierw kilka słów komentarza. Maniuta pracowała w ambasadzie angielskiej. W tym czasie ambasadorem był Victor Frederick William Cavendish-Bentinck¹³³. Piosenka „Maniuty” na melodię *W lasku Idy trzy boginie* brzmiała tak:

Cavendisha faworyta pokutuje tu za swój błąd,
ale možny jej protektor rychło ją uwolni stąd.
Więc przewrotna kurtyzana o kulturę ciała dba
i dlatego co dzień z rana do miednicy pierwsza gna...

Było dużo śmiechu z tej racji.

Gdzieś w lecie przeniesiono nas do innej celi, po drugiej stronie korytarza. Stały w niej normalne łóżka. Odstęp między nimi był tak wąski, że gdy któraś z „mieszkanek” chciała przejść, trzeba było chować nogi. Te przejścia – wąziutkie uliczki – otrzymały swoje nazwy. Spałyśmy po

¹³³ Victor Frederick William Cavendish-Bentinck (ur. 1897 r.) – dyplomata brytyjski i dyrektor koncernu Bayer Pharmaceuticals, Bayer Agrochem, Bayer Chemicals. W latach 1919–1922 był sekretarzem poselstwa w Warszawie. W latach 1923–1924 pełnił funkcję drugiego sekretarza w Paryżu, zaś w latach 1924–1925 w Hadze. W 1925 był przedstawicielem brytyjskim na konferencji w Locarno. Od 20 VIII 1945 r. sprawował funkcję ambasadora brytyjskiego w Warszawie. Ze stanowiska został odwołany w 1947 r.

dwie: ja z Wandą, a po przeciwnej stronie Wiesia Grzeszczyk z matką, wobec tego mieszkaliśmy na ulicy Familijnej. Była też uliczka Higieniczka, zamieszkała przez Halinę Sosnowską i Jasię Warzycką i inne. W celi nie było kanalizacji, tylko za skromnym przepierzeniem w rogu stały dwa „kible”: mniejszy i większy. Ten duży był przeznaczony na brudną wodę i wszelkie płyny. Oba „kible” bardzo szybko się zapelniały i cały kłopot był w tym, żeby oddziałowa zechciała otworzyć naszą celę i umożliwić ich wyniesienie. A czasem bywało naprawdę tragicznie. „Kible” były wypełnione po brzegi, a oddziałowej nie chciało się otworzyć drzwi. Z tego samego powodu były bardzo duże trudności z wodą. Trzeba było bardzo oszczędnie nią gospodarować. To należało do dyżurnych. Co drugi dzień dostawało się nieco więcej wody – na „lepsze” mycie, a co drugi kubek półlitrowy. W tej ciasnocie, gdy się szło na dyżur, brało się ze sobą wszystko, co było potrzebne na cały dzień, żeby nie utrudniać życia koleżankom siedzącym na łózkach przy przechodnich „ulicach”. W tej celi rozpoczęliśmy „wydawać” przedstawienia własnych sztuk teatralnych i skeczy. Nie pamiętam już treści, ale ich twórczynią była zwykle Basia Sadowska, a znakomitym scenografem, dekoratorką i wykonawczynią wszelkich kostiumów i rekwizytów Maryna Majgier¹³⁴. Z wykształcenia historyk sztuki, wojnę przeżyła na Węgrzech, gdzie otworzyła warsztat krawiecki. Wystarczyło tylko powiedzieć jej, czego potrzebujemy, a ona natychmiast rozglądała się po celi i już miała gotowy pomysł. W jakiejś scenie miałam parodiować Hanke Ordonównę¹³⁵. Maryna w jednej chwili zorganizowała mi odpowiedni strój: czarna spódnica od pani Heleny, bluzka od Waci, parę pierścionków na rękę – to ze staniolu od czekolady. Inne kostiumy robiła z prześcieradeł czy naszych ubrań, ale nic nie krajała, tylko coś tam zaszyła, coś podwinęła i kostium był gotowy. W jednej

¹³⁴ Maria Majgier (1917), łączniczka II Korpusu. Od 1940 r. przebywała na terenie Węgier, w 1945 r. ostatecznie powróciła do Polski, gdzie nawiązała współpracę z przedstawicielem Rządu RP na Uchodźstwie Zygmuntem Rosińskim („Apardem”), od 1946 r. była łączniczką Jana Łożańskiego („Czarnego”), kuriera Biura Planowania II Korpusu. Aresztowana 17 VII 1947 r., skazana została przez WSR w Warszawie 20 III 1948 r. na 8 lat więzienia. Została zwolniona warunkowo 2 III 1954 r.

¹³⁵ Hanka Ordonówna właśc. Maria Anna Pietruszyńska-Tyszkiewicz (1902–1950), piosenkarka, tancerka, aktorka. Występowała od 1916 r. głównie w Warszawie, także w Wilnie, Krakowie i Lwowie. Grała w operetkach, wodewilach, komediach, także w filmach, wykonawczyni wielu popularnych piosenek. W 1942 r. jako opiekunka dzieci polskich udała się za 2 Korpusem Pol. na Bliżni Wschód.

sztuce były nie tylko pierścionki, ale i zegarek i inne rekwizyty. Oddziałowa Sabina była namiętym widzem, ale w pewnej chwili nie wytrzymała i krzyknęła: „Skąd macie zegarek? A skąd te pierścionki? Przecież tego nie wolno wam mieć!”.

W tej celi obchodziliśmy uroczystości rocznicę Powstania Warszawskiego. Śpiewaliśmy „na cały regulator” pieśni okolicznościowe. Wpadła na to przerażona Sabina z wiadomością, że naczelnik gdzieś krąży i że mamy się natychmiast uciszyć. Nie bardzo chcieliśmy jej słuchać, ale jednak ściszyliśmy głosy. Zdawałyśmy sobie sprawę, że w więzieniu jesteśmy bardziej wolne od naszych na wolności, bo pozwalamy sobie na to, czego oni absolutnie nie mogą zrobić. Zanim, po naszym „buncie”, o którym napiszę dalej, doszło do transportu, miałyśmy jeszcze inne przeżycia. Po raz drugi w swoim więziennym życiu zetknęłam się z sytuacją zabierania kogoś z mojej celi na wykonanie wyroku. Po raz pierwszy, gdy na „dziesiątkę” zabrano „Muchę”. To przeżycie było dla mnie bardzo ciężkie i pozostawiło trwały ślad w mojej pamięci.

Tym razem do naszej celi dano nam któregoś dnia Luizę Buch¹³⁶, Niemkę, „ausierkę” z Oświęcimia. W czasie bombardowania straciła rękę, mimo to miała wyrok śmierci. Bardzo długo z tym wyrokiem przebywała na „ogólniaku”, siedząc w celi, gdzie była wśród bliskich sobie kobiet pracujących w pralni, które ją obsługiwały, a warunki tam były dużo lepsze. Luiza była spokojna. Właściwie nie było z nią żadnego kontaktu. Po prostu była, a myśmy jej nie zauważały. A jednak w jakiś gorący dzień kazano jej zostać w celi, gdy nas zabrano na spacer. Niczego jednak nie przypuszczałyśmy. Było już dobrze po apelu, gdyśmy się zabierały do snu, drzwi się otworzyły i oddziałowa wywołała Luizę. Od razu zrozumiłyśmy, o co chodzi. Zrobiło się cicho, jak makiem posiał. Luiza bardzo spokojna zabrała swoje rzeczy, powiedziała „dobranoc paniom” i wyszła. Ta cisza panowała nadal, żadna z nas się nie odezwała. Myślę – bo nigdy się o to nie pytałam – że każda z nas miała poczucie, że ktoś kończy swoje życie, że może właśnie wykonują wyrok na Luizie i że każda z nas modliła się za nią. To było bezpośrednie zetknięcie z realizacją wyroku śmierci.

¹³⁶ Luiza Buch (1913–1948), dozorczyńni w Ravensbrueck. Skazana 3 X 1947 r. na karę śmierci. Wyrok wykonano 3 VII 1948 r.

Nazajutrz miałyśmy wystawiać jakąś nową sztukę – już zupełnie nie pamiętam jaką. I rozgorzała wielka dyskusja. Cała cela podzieliła się spontanicznie na dwa obozy: jeden był za zawieszeniem przedstawienia, a drugi się na to nie zgadzał. Padały mocne argumenty z obu stron. Na pewno wszystkim było ciężko, ale – tłumaczył to obóz, do którego należałam – nasi koledzy, nasi bliscy giną; wyroki są wciąż wykonywane, a my nie obchodzimy żadnej żałoby, żyjemy normalnie, urządzamy przedstawienia, śmiejemy się. Nie możemy więc okrywać się żałobą z powodu wykonania wyroku na Luizie, chociaż każda z nas na pewno to bardzo mocno przeżyła i nadal przeżywa. Nie pamiętam już z jakich powodów przedstawienie się nie odbyło tego dnia. Właściwie wszystkim nam ulżyło.

Sprawa załatwiła się bowiem sama, bez naszego udziału. Nikt w tym sporze nie przegrał ani nie zwyciężył. W czasie tego roku, spędzonego przeze mnie w „ogólniaku” wykonano bardzo dużo wyroków na naszych kolegach. Z tych nam bliskich – poza kolegami z mojej sprawy (Leszkiem, Tadeuszem i Jankiem) – zostali straceni: Włodzimierz Marszewski, Staszek Kasznica, Lech Neyman¹³⁷ i Witold Pilecki.

Po naszym „buncie”, o którym piszę osobno, przyszła do celi Helena Abakanowicz¹³⁸. Zrobiła na mnie, a chyba i na nas wszystkich ogromne wrażenie opowiadaniem o metodach stosowanych wobec niej w czasie śledztwa. Sadzanie na nodze od stołka – o tym się już wiedziało. Całe tygodnie była trzymana nago w „karcu”, a była to zima. Marzyła wtedy o wezwaniu na śledztwo, na które szła trzymając w ręku buty, bo nie mogła ich włożyć na spuchnięte nogi. A potem śledztwo, w czasie którego dręczono ją nie tylko fizycznie, depcząc na przykład po bosych stopach,

¹³⁷ Lech Karol Neyman – „Domarat”, „Lech” (1908–1948), oficer NSZ. Przed wojną por. WP, związany z ONR. Od 1939 r. w Organizacji Wojskowej Związek Jaszczurczy – szef Inspektoratu Ziem Zachodnich, od 1942 r. do 1944 r. członek władz Służby Cywilnej Narodu. Od września 1944 do marca 1945 r. pełnił funkcję komendanta Okręgu VII (Kraków) NSZ-ONR. Od kwietnia 1945 do lutego 1947 komendant Okręgu I (Pomorskiego) i zastępca Inspektora Obszaru Zachód NSZ. Aresztowany 15 lutego 1947 r., skazany na śmierć (2 III 1947 r.), zamordowany w więzieniu mokotowskim 12 maja 1948 r.

¹³⁸ Helena Abakanowicz (1902–1981), pierwsza żona Piotra Abakanowicza, żołnierz WiN. Była osobistą sekretarką posła belgijskiego Harolda Eemana. Tłumaczyła teksty wywiadowcze wysyłane z kraju do ośrodków emigracyjnych. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 29 IX 1948 r. skazana na 10 lat więzienia.

ale poniewierano jej godność kobiecą. Ona to wszystko umiała przetrwać w piękny sposób, ale – jak nam mówiła – marzyła wtedy o powrocie do tego mroźnego „karca”. Pamiętam także, jak Helena często się litowała nad palaczkami i dawała nam tytoń na skręta.

Pomimo tylu różnorodnych charakterów i osobowości, ściśniętych w ciasnej celi, nie przypominam sobie żadnych poważniejszych zatargów. Czułyśmy się bardzo silnie z sobą związane. Panowała prawdziwa solidarność, chociaż się o niej nie mówiło. Dużą część dnia spędzało się na dyskusjach w większej lub mniejszej grupie. Zajmował nas wtedy bardzo problem właściwego **przeżycia** więzienia. Uważałyśmy, że więzienie to krótszy lub dłuższy fragment życia każdej z nas, który powinien być przeżyty w sposób twórczy, którego nie wolno nam zmarnować. Nie może więc być tylko wegetacją, ale prawdziwym życiem. Mówiło się o tym, jak bardzo można się, mimo izolacji, wewnątrznie wzbogacić i że tym dorobkiem powinnyśmy się dzielić z innymi, już na wolności. Wszystkie byłyśmy wierzącymi katoliczkami i ta wiara również nas cementowała. Dla każdej była jej wewnętrzną siłą. Modliłyśmy się wspólnie – na pewno w niedziele i święta – ale chyba także i w dni powszednie, tego już dokładnie nie pamiętam. Charakterystyczna dla wszystkich chyba więźniów, a na pewno dla kobiet siedzących w tym czasie, była dobrowolna, wymyślona przez siebie asceza. Asceza ta polegała, na przykład, na zaprzestaniu palenia papierosów przez jeden dzień w tygodniu, albo nawet w okresie całego Wielkiego Postu, na niejedzeniu żywności z paczek, czy też odmawianiu sobie jakichś przysmaków w czasie postu czy też w inne dni. Nikt jednak nie wnikał w intencje drugiej koleżanki, nie pytał, dlaczego pości czy nie pali, zawsze bowiem szanowało się jej postanowienie.

Współżyjąc dobrze ze wszystkimi, można było znaleźć i przyjaźń. Taka przyjaźń cementowała się z upływem miesięcy i lat, stając się nieślychanie cennym bogactwem. Do kręgu własnych bliskich włączyło się bliskich przyjaciółki i przeżywało wspólnie wszystkie radości, smutki i sprawy rodzinne. Taka przyjaźń łączyła mnie z Wandą Salską. Znałyśmy z opowiadań nasze rodziny, przyjaciół i najważniejsze wydarzenia z naszego życia. Te więzi serdeczne, które nas łączyły już w celach śledczych, a potem na „ogólniaku” oraz – znacznie później – w Fordonie i Inowrocławiu, przetrwały i były kontynuowane po wyjściu na wolność.

14. Głodówka Basi Sadowskiej

Z innych wydarzeń z celi pamiętam głodówkę Basi Sadowskiej. Był to już któryś z rzędu protest głodowy prowadzony przez Basię, która w ten sposób walczyła o uwolnienie ujawnionych przez nią członków „Liceum”. Basia nie jadła i nie piła. Głodówki nie zgłaszała, bo chciała się znaleźć na krawędzi życia i śmierci, żeby w ten sposób wymóc na UB realizację swoich żądań. Gdyby ją ujawniła, zostałaby natychmiast wzięta na sztuczne odżywianie, a przed tym nie można się było obronić. Karmiono sondą przez usta, wybijając przy tym zęby, gdy ktoś odruchowo je zaciskał. Gdy i to nie pomagało, karmiono przez nos. Osłaniałyśmy Basię przed okiem władz i współtowarzyszek z lewej strony celi. Po kilku dniach – już nie pamiętam, czy to był piąty, czy nawet szósty dzień głodówki – Basia była rozpalona, buchało od niej acetonem. Wtedy dopiero zgłosiła głodówkę. Zabrano ją natychmiast do szpitala. Uzyskała jakieś zapewnienie, kogoś zwolnili. Wróciła po pewnym czasie. Powitałyśmy ją z radością. Głodówkę taką Basia powtarzała jeszcze w Fordonie. Za każdym razem coś uzyskiwała. Za każdym razem jej życie wisiało jednak na włosku. Zawsze była to walka o kogoś z narażeniem własnego życia.

A dziś? Gdy w telewizji oglądam leżących w śpiworach ludzi, otoczonych troskliwą opieką lekarską, pojonnych witaminami i różnymi płynami, przenoszonych do szpitala przy każdym pogorszeniu zdrowia – mam w oczach Basię; słabą, rozgorączkowaną, ze spieczonymi ustami, niezwilżonymi choćby jedną kroplą wody, zwykłej wody, kryjącą się po kątach przed okiem oddziałowych. To nie wytrzymuje porównania, nie budzi współczucia.

15. Listy z Mokotowa

Mokotów, 14 XII 1947 r.

Kochana moja Matko!

Czekam bardzo na widzenie się z Tobą. Jestem zdrowa i całymi myślami z Wami. Proszę bardzo o przysłanie aspiryny i kogutków. Ręce Twoje, Matko, całuję i dla wszystkich kochanych i bliskich ucałowania i pozdrowienia przesyłam.

11 I 1948 r.

Matko moja!

Kartkę i list Twój kochany dostałam na święta, paczkę także. Myślę

o Was, a zwłaszcza o Boni i jej urodzinach. Czuję się dobrze. Proszę o sznurowadła, spinki do włosów i worek na rzeczy. Od 18 XII nie dostaję paczek, czy coś się zmieniło? Bardzo czekam listu i widzenia. Chciałabym, żeby mec. Polatyński był u mnie. Myślę was ogarniam i całuję mocno.

15 II 1948 r.

Moja Matko!

Piszę z myślą o Twoich i Kazika imieninach oraz o naszej wspólnej rocznicy. Myślę jestem z Wami. Jestem zdrowa. W paczce proszę o 50 papierosów, gumkę i karty pocztowe. Czy zobaczę się z Tobą przed Świętami? Mogę otrzymywać dwa listy miesięcznie. Cieszę się, że Cezary pisze do Ciebie. Całuję ręce i ogarniam myślą.

Warszawa, 21 III 1948 r.

Kochana moja Matko!

List otrzymałam. Teraz myślę o tym, kiedy Cię znów zobaczę. Piszcie dwa razy na miesiąc. Myślę jestem z Wami przy wielkanocnym stole. Czuję się dobrze. Na spacerzy chodzimy. Proszę o przesłanie nici i bawełny do cerowania oraz spinki. Jak się czujecie? Ucieszyłam się, że Wituś i Zazia już piszą. Może Bogna do mnie napisze?

Ręce Twoje, Matko, całuję. Rodzeństwo i Dzieci z całego serca całuję. Pozdrów Cezarego.

Warszawa, 18 IV 1948 r.

Matko kochana,

Paczkę dostałam. Za wszystko bardzo, bardzo dziękuję. Proszę o papier listowy lub kartki pocztowe. Czekam bardzo widzenia i listów. Jestem zdrowa i czuję się dobrze. Jak egzaminy Kazika? Myślę jestem z Wami i całym sercem. Ręce Twoje, Matko, całuję. Rodzeństwo i dzieci całuję.

Warszawa, 23 V 1948 r.

Kochana Siostrzyczko!

Za paczkę bardzo dziękuję. Proszę Cię o: karty pocztowe, tytoń 10 dkg (może być fajkowy amerykański), witaminy, ser żółty i nici. Niepokoję się brakiem wiadomości od Was. Czekam bardzo na widzenie. Czy jesteście zdrowi? Ciągle o Was myślę. Dzieci pewno bym nie poznała, tak wyrosły.

Czuję się dobrze (chodzimy na spacer). Z całego serca wszystkich Was całuję. Poślij list Mamusi

Warszawa, 20 VI 1948 r.

Kochana moja Matko!

Paczkę podawaną dostałam, ale pocztowa dotąd nie nadeszła. Warto by reklamować na poczcie w Łodzi. Czy przyjedziesz na widzenie? Może będziesz mogła przyjechać dzień wcześniej? W paczce proszę o witaminy i moją czerwoną miskę blaszaną. Czy jesteście wszyscy zdrowi? Myślę [jestem] ciągle z Wami. Jak Marysia? O naszej rocznicy 26 bm. pamiętam. Ręce Twoje całuję. Bolków, dzieci i wszystkich bliskich z serca całuję.

16. Bunt na Mokotowie (wrzesień 1948)

W lecie przeniesiono nas do nowej celi. Po przeciwnej stronie korytarza. Było nas tam mniej, ale za to wciąż przybywały nowe. Zgromadzono tutaj głównie więźniarki skazane przez sąd wojskowy, co nie oznacza, że były tam tylko same polityczne, chociaż te ostatnie zdecydowanie dominowały. Cella była znacznie mniejsza, nieskanalizowana. W kącie, za zasłoną, stały dwa „kible”. Mniejszy pełnił funkcję ubikacji, a większy służył do wylewania wody. W celi były normalne łóżka, żelazne, z siennikami. Ustawione bardzo blisko siebie tworzyły wąziutkie przejścia, przez które z trudem można było się przecisnąć. „Uliczki” te nazywałyśmy nazwami charakteryzującymi jego mieszkanki. Spałyśmy oczywiście po dwie. Całymi dniami siedziało się na tych łózkach, podnosząc tylko nogi, gdy któraś chciała się dostać do wnętrza celi. Gospodarstwo było wspólne. Dyżurne przygotowywały posiłki i rozdzielały wodę, której nam stale brakowało. Zawsze były problemy z wynoszeniem „kibli”, co musiało odbywać się z niebywałą ostrożnością, żeby nie porozlewać ich zawartości; ponadto trudno się było dostukać i dopytać oddziałową o otwarcie drzwi. Myć się, mniej więcej normalnie, można było co drugi dzień. Wtedy dostawało się litrowy kubek, który musiał wystarczyć do wszystkich koniecznych ablucji. Lato było upalne i mimo wciąż otwartych okien było duszno i gorąco. Brakowało po prostu powietrza, a do naszej celi wciąż przybywały nowe. Wkrótce na noc rozkładało się na podłodze sienniki, na których również spały po dwie koleżanki, coraz trudniej więc było przedostawać się w nocy do „kibla”, żeby nie podeptać śpiących. Spacerowały były krótkie i nieregularne.

Aż któregoś dnia przyszły dwie nowe współwięźniarki, dla których nie było już siennika. Na próżno prosiłyśmy oddziałowe o wydanie nowego. Zbyła nas krótko: sienników już nie ma, bo magazyn zamknięty! Było to wierutne kłamstwo, bo w celi naprzeciwko siedziało tylko kilka Niemek pracujących w drukarni i było tam dużo pustych sienników. Tej nocy zbuntowałyśmy się po raz pierwszy. Postanowiłyśmy, że solidarnie nie położymy się i nie będziemy spać całą noc. I tak było. Nie pomogły żadne nawoływania i namowy oddziałowych. Nie spałyśmy. Czas umilałyśmy sobie opowiadaniem i rozmowami. Światło paliło się cały czas, więc można było czytać, ale nie pamiętam, czy były jakieś książki, które z rzadka tylko dochodziły do naszej celi. Silniejsze siedziały z frontu, a słabsze gdzieś po kątach, żeby się mogły nieco zdrzemnąć. Na drugi dzień dostałyśmy siennik.

Warunki jednak pogarszały się ciągle. I któregoś dnia, był to chyba początek września, swoją obecnością na apelu „zaszczycił” nas sam naczelnik Grabicki¹³⁹. Znany był z tego, że demonstrował wściekły antyfeminizm. W imieniu nas wszystkich zabrała głos Halina Sosnowska. Przedstawiła bardzo trudne warunki życia w celi, prosząc o spiętrowanie łóżek, regularne spacery, książki i gazety... Prośby te Grabicki skwitował krótkim: „po-wieście się!”

Jak się okazało, była to tylko jego wstępna wizyta. W parę dni później, 9 września, zjawiał się ponownie, jak zwykle w asyście przodownika i oddziałowych. Po apelu Halina Sosnowska wystąpiła ponownie z tymi samymi prośbami, motywując je znacznie szerzej. Powołała się na nasze – więźniów politycznych – prawa oraz na prawa człowieka, będące przedmiotem obrad Kongresu Intelktualistów, odbywającego się właśnie we Wrocławiu. Wystąpienie Haliny wywołało już widoczną wściekłość naczelnika. Bardzo ostro powiedział, że nie jesteśmy żadnymi więźniami politycznymi – bo takich obecnie w Polsce nie ma – ale więźniami antypaństwowymi. Mówiąc to irytował się coraz bardziej, zaczął wprost wykrzykiwać: „Jesteście gorsze od gestapowców, z którymi spijałyście kiel-

¹³⁹ Alojzy Grabicki, (ur. 1906). W latach 1930–1938 członek Komunistycznej Partii Polski. W UB od 6 V 1945 r. Od początku pracy skierowany do pracy w więziennictwie. Naczelnik więzienia na Mokotowie w latach 1947–1954.

chy szampana!” Ta inwektywa poruszyła nas do żywego. Zareagowała na nią natychmiast Maria Grzeszczykowa, matka Wiesi¹⁴⁰, mówiąc, że naczelnik nie ma prawa do nas w ten sposób mówić, bo jej mąż i syn zginęli w Oświęcimiu. Na to Grabicki, całkiem już rozwścieczony, zaczął krzyczeć, że on życzy nam, abyśmy do końca wyroków siedzieli w więzieniu, żebyśmy w nim zgnęli, żeby nas nigdy żadna amnestia nie objęła. Już nie pamiętam całej wiązanki życzeń, ale te przytoczone na pewno miały miejsce. W jednej chwili padła odpowiedź: „nawzajem” – dwugłos „Alinki” Sieńko i Wiesi Grzeszczyk. Na powtórzone dwukrotnie pytanie: „kto to powiedział?” – szeregi milczały. Za trzecim razem Grabicki zadzwonił: „Co, nie macie odwagi się przyznać?” Wtedy kilka głosów odezwało się: „ja”. Były to na pewno „Alinka” Sieńko, a prawdopodobnie Wiesia Grzeszczyk i jej mama oraz doktor Franio. Grabicki powiedział wówczas, że za to pójdą do „karca”. Na jego słowa spontanicznie wykrzyknęliśmy, że my wszystkie myślałyśmy tak samo i wszystkie pójdziemy do „karca”, po czym ruszyłyśmy w stronę drzwi. Na to naczelnik ze swoją świtą rozciągnęli ręce, tworząc kordon, przez który przedostała się piątka. Były to: „Alinka Sieńko”, Marysia Hattowska, Wanda Salska, „Agata” Nachtmanówna i ja. Reszta szturmujących koleżanek została zatrzymana. Naczelnik oświadczył, że wszystkie pozostałe będą zsyłane do „karca” kolejnymi piątkami.

Na korytarzu oddziałowe kazały nam wyjąć zapinki do włosów i wyciągnąć z butów sznurowadła. Zaprowadzono nas na dół. Tego wieczoru wszystkie byłyśmy już przygotowane do apelu i miałyśmy poskładane nasze wierzchnie okrycia, tak że wszystkie chyba, a ja na pewno, byłyśmy tylko w cienkich bluzkach. Było to we wrześniu i noce były już chłodne, a w „karcu” temperatura zawsze nieco niższa, bo była to piwnica z niedużym oknem. Wewnątrz stała chyba jakaś prycza, na której usiadłyśmy, jak kury na grzędzie. Nie wiedziałyśmy, ile czasu tam siedziałyśmy. Ten dzień zapamiętam na zawsze, gdyż właśnie wtedy, w „karcu”, obchodziłam swoje urodziny... Noc przeszła oczywiście bezsennie. Rano dano nam chyba do celi jakąś kawę i chleb. Usłyszałyśmy głosy i kroki naszych koleżanek, które wysłano na spacer. Dowiedziałyśmy się od nich, że zarządzono

¹⁴⁰ Wiesława Grzeszczyk, aresztowana i skazana razem z matką Marią Grzeszczyk (1900–1961) pod zarzutem współpracy z Januszem Kasińskim, pracującym na rzecz wywiadu USA. Wyrokiem WSR w Warszawie w 1948 r. skazana na 4 lata więzienia.

ogromną rewizję, że powyrzucano nasze „skarby” i różne pamiątki. Dowiedziałyśmy się również, że zostałyśmy ukarane pozbawieniem nas wszystkiego, poza więziennym jedzeniem, a więc: paczek, widzeń, chodzenia do sanitariatu i dentysty, pisania i otrzymywania korespondencji, pisania podań i spacerów. Natomiast możemy się indywidualnie zwracać do naczelnika, pisząc o sobie „więzień antypaństwowy” i prosząc o darowanie nam wymierzonych kar i przeprasząc za swoje zachowanie.

Po 24 godzinach pobytu w „karcu” zaprowadzono naszą piątkę do celi, gdzie zostałyśmy radośnie przywitane przez nasze koleżanki. Nie zdążyłam jeszcze włożyć na siebie mego ciepłego blezera, umyłam tylko nieco ręce i ugryzłam kilka kęsów chleba, które nam dyżurne włożyły do rąk, gdy drzwi się otworzyły i oddziałowa wywołała nas znowu na korytarz. Poszłyśmy na następne, jak się okazało, 24 godziny do „karca”. W dzień zaprowadzono nas do lekarza, zmierzono nam temperaturę i stwierdzono, że możemy tam przebywać. Tego dnia spiętrowano wszystkie łóżka w naszej celi. Nie wstawiono ławek i nie pozwalano siadać na łózkach, z wyjątkiem posiłków. Wróciłyśmy wieczorem do jakże zmienionej celi. Następną piątką, już w kolejności alfabetycznej, ciepło ubrana, zajęła nasze miejsca. I tak dzień po dniu, do wyczerpania wszystkich biorących udział w „buncie”. Następne siedziały jednak już tylko po 24 godziny i, dzięki Bogu, nie marzły, ciepło ubrane.

Władze szalały. Chciały koniecznie nas złamać. Wzywano naszą celową, Halinę Pliszkową¹⁴¹ – była ona powiązana ze sprawą „Białego Kapitana” – i za jej pośrednictwem próbowano wpłynąć na nasze zbiorowe postanowienie. Wzywano poszczególne koleżanki – bez rezultatu. Nasze zasoby paczkowe oczywiście się skończyły. Byłyśmy na więziennym wikcie, nie miałyśmy tytoniu ani papierosów, nie chodziłyśmy na spacer. Co jakiś czas słyhać było głosy wzywające którąś z nas na widzenie, a za chwilę, że widzenie wstrzymywano. Była to ciężka kara dla naszych rodzin, kompletnie nieorientujących się w sytuacji, pozbawionych także wszelkiego kontaktu z nami. Mimo tego czułyśmy się dobrze, zadowolone, że jesteśmy razem, solidarne, że żadna z nas się nie wyłamała. Przychodziły nowe koleżanki po sprawie. Od razu uświadamiałyśmy im, że nie mamy paczek i żeby się nie krępowały i normalnie używały swoich paczek – najwyżej, jeśli się zechcą podzielić, to z koleżankami zagrożo-

¹⁴¹ Halina Pliszkowa – aresztowana w sprawie „Białego Kapitana”, prawdopodobnie nie należała do żadnej organizacji politycznej.

nymi gruźlicą. Zaliczała się do nich między innymi Dzidzia Żelazowska. Wiedziałyśmy, że kiedyś kary nam cofną i wrócimy do normalnego, wspólnego więziennego życia i wspólnego gospodarstwa. Ale póki co, trzeba się było oddzielić. My palaczki grzebałyśmy w okrucach tytoniowych, żeby zrobić jakiegoś skręta, który wspólnie wypalałyśmy „na sztachy”. Pamiętam, że czasem zwracałam się do Heleny Abakanowicz z prośbą o ogień, a ona w odpowiedzi podawała woreczek z tytoniem. Wracałam wtedy do moich koleżanek z triumfem – i papierosem. Ten stan napięcia nie mógł trwać zbyt długo. Władze więzienne nie miały wyjścia. Po fiasku wszystkich prób przełamania naszej solidarności, wywieziono nas do Fordonu. Było to 30 września 1948 r. Pojechaliśmy ze stemplem „zbuntowanych”.

17. Więzienie w Fordonie. Transport. Pobyt w małych celkach. Praca (30 września 1948 – 2 marca 1950)

29 września 1948 r. wywołano naszą grupę do transportu. Nie pamiętam, ile nas było. W każdym razie zmieściłyśmy się, dobrze upchane, do jednej ciężarówki. Było ciasno i duszno. Nie można było nic zobaczyć. Samochód pojechał gdzieś daleko za dworzec kolejowy, tam nas wyładowano. Do wagonu-więźniarki wchodziłyśmy pojedynczo. Siedziałyśmy po cztery w jednym przedziałiku. W drzwiach była kłapa, przez którą można było doprosić się o wypuszczenie do toalety. Rankiem znalazłyśmy się w Fordonie. Z tobołkami różnego kształtu, koloru i wielkości, dźwiganymi na plecach, ruszyłyśmy czwórkami do więzienia. Chciałyśmy pokazać mieszkańcom Fordonu, że konwój żołnierzy nie prowadzi Niemek, ani gestapówek, ani współpracujących z Niemcami, ale więźniarki polityczne. Zapytałyśmy, czy możemy śpiewać. Po uzyskaniu pozwolenia ryknęłyśmy wielkim głosem: „Armia Krajowa rozkaz ma...”. Ale śpiew nasz urwał się zagłuszony nagłym wrzaskiem: „milczeć natychmiast!” Musiałyśmy przerwać, ale cel osiągnęłyśmy. Ludzie dowiedzieli się, kogo prowadzą. Już w Fordonie powstał mój wiersz, opisujący nasz transport:

Zatrzęsnięto za nami drzwiczki samochodu,
Powietrza było mało, za to dużo smrodu.
Jednej robi się słabo, ta dostaje mdłości,
a każda chce zobaczyć choć skrawek wolności.

Wanda heroicznie wyteża swe siły,
by wybić kilka desek – lecz te nie puściły.
Tak więc droga przebiegała w zupełnym spokoju
pod troskliwą opieką żołnierzy z konwoju.

Na odległym torze stał wagon gotowy,
by w całości przewieźć nasze cenne głowy.
Po skończonej jeździe, ustawione w czwórki
zostałyśmy zapakowane w oddzielne komórki.

Komórki były małe, z otworem na głowę.
Rucie przypominały gniazda zatraskowe.
Pociąg gwizdnął i stanął. Ruch w całym wagonie.
Widać napis na stacji. Jesteśmy w Fordonie.

Po wyjściu z wagonu stajemy w gromadzie,
jedna drugiej na plecy ciężki tobół kładzie.
Na twarzach się maluje widoczne zmęczenie
i ciekawość jak przyjmie nas nowe więzienie.

Czy to jakaś zła wróżka czy też inna siła
eleganckie damy w dziadówki zmieniła,
gdy po długim czekaniu, głodne i zziębnięte
zostałyśmy nareszcie pod celą zamknięte...

Fordon, jesień 1948 r.

Dźwigając nasze tobołki z rzeczami, wkroczyłyśmy wreszcie w mury więzienia w Fordonie. Nie pamiętam już, gdzie nas umieszczono na samym początku, dość długo czekałyśmy na jakieś rozlokowanie. Ale najpierw zaprowadzono nas do łaźni. Nasze rzeczy zostały od razu zabrane do depozytu, my zaś stłoczone po trzy pod jednym prysznicem – dokonywałyśmy ablucji. Znowu oczekiwanie nago w przejmującym chłodziu. Wreszcie dano nam więzienne ubrania. To było dla nas straszne. Dostałyśmy – jak się potem okazało – ciuchy przeznaczone do tak zwanego „wysortu”, czyli na szmaty do podłogi i tym podobne: stare, połatane sukienki, jeszcze poniemieckie, z żółtymi opaskami, krótkie, wyblakłe lub wyrudziałe. Były też czarno-żółte pasiaki. W takim właśnie pasiaku paradowała „Agata” (Marysia Nachtm-

nówna). Żałosny widok przedstawiały nasze starsze panie. „Maniuta” Marynowska miała na sobie krótką, niegdyś granatową sukienczynę z dużą żółtą opaską wszytą na lewym rękawie. Halina Sosnowska też w króciutkiej sukience, spod której wystawały przydługie barchanowe majtasy. I tak wszystkie po kolei. Patrząc na siebie, nie mogłyśmy się powstrzymać od śmiechu. Wyglądałyśmy na gromadę przebiezańców. Jakoś trudno było nam uwierzyć, że będzie to dla nas strój na długie tygodnie, a nawet miesiące. Odróżniałyśmy się bardzo niekorzystnie od starych więźniarek, a zwłaszcza funkcyjnych, ubranych w dwuczęściowe ciemnoszare mundurki, ozdobione białym kołnierzykiem.

Do tych naszych ubrań wspaniale pasowały ogromne drewniaki – klapatyny, o wiele numerów za duże. W ogóle nie umiałyśmy się w nich poruszać. A już zupełną klęskę poniosłyśmy, gdy prowadzono nas po schodach na górę. Musiałyśmy ściągnąć to obuwie i wejść na bosaka.

Zapakowano nas wszystkie do jednej wspólnej celi z piętrowymi łózkami. Wprowadzający przodownik oznajmił nam, że pościel była „niedawno zmieniana”. Nie rozumiałyśmy wtedy, co to znaczy. Okazało się bowiem, że w Fordonie pościel jest przywiązana do łóżka, a nie do osoby i zmienia się ją nie częściej niż trzy razy w roku i że przy każdej zmianie celi trzeba wchodzić w cudzą, używaną już przez inne koleżanki. To, co zastałyśmy w naszych łózkach, wzbudziło w nas wstręt i przerażenie. Zresztą z więzienną bielizną pościelową zetknęłyśmy się w ogóle po raz pierwszy, bo takowej na Mokotowie nie było wcale. Tutaj były prześcieradła, poszwy oraz zagłówki wypchane słomą. Wszystko w niebieską kratkę na białym niegdyś tle – teraz jednolicie szare i poplamione przez poprzednie użytkowniczeki. Spałyśmy po dwie na łóżku. Ja – oczywiście z Wandą Salską. To spanie w brudnej pościeli było najtrudniejszą decyzją, której w żaden sposób nie można było uniknąć ani nic zaradzić, bo nawet wywrócenie poszwy na drugą stronę nic nie pomagało.

Do tego dochodził jeszcze problem mycia. Przodownik oznajmił nam, że łaźnia jest co tydzień i że wobec tego nie ma potrzeby codziennego mycia. Dostawałyśmy więc minimalną ilość wody. Mokotowskim zwyczajem ustaliłyśmy zaraz dyżury i gospodarowałyśmy wodą sprawiedliwie. Troszkę solidniej mogłyśmy się myć co drugi dzień, a wtedy reszta celi musiała się zadowolić jednym półlitrowym kubkiem wody. Z konieczności te nasze ablucje trwały dość długo i wykraczały poza wyznaczony na tę czynność czas. „I znowu było wbrew zakazom

myte” – oświadczał co jakiś czas nasz przodownik, nie mogąc zrozumieć tej naszej potrzeby.

To jednak nie był kres udręki. Przed transportem do Fordonu dano nam do celi kilkanaście więźniarek z więzienia przy ul. 11 Listopada. Okazało się, że nie miały one badań WR i zrobiono to dopiero w Fordonie. Wyszło wtedy na jaw, że spora grupa tych „koleżanek” ma dodatnie, i to trójkrzyżkowe wyniki. Wiele kobiet wpadło w popłoch, zwłaszcza tych, które dzieliły łóża z weneryczkami. Ale inne też się bały i przybiegały ze swoimi niepokojami do Wandy. Wanda miała za sobą niedokończone studia medyczne, ale pracowała w przychodni analitycznej swego ojca – doktora Jastrzębskiego, i była „na bieżąco” w tych sprawach. Szczęśliwie jednak żadna z nas nie uległa zakażeniu, a wszystkie chore niebawem zostały od nas zabrane.

Po paru tygodniach kwarantanny rozmieszczono nas w małych celach. Od razu umówiliśmy się z Wandą, że chcemy być w jednej celi z „Maniutą” Marynowską, żeby kontynuować naukę angielskiego, zapoczątkowaną na ogólniaku. I tak się stało. Dostałyśmy się do narożnej celi. Było nas siedem, a łóżek sześć. Oprócz „Maniuty” i nas były jeszcze Halina Sosnowska, której bardzo zależało na angielskim, dwie Marie (jedna Łopuszańska, nazwiska drugiej nie pamiętam) i pani Anastazja, zwana przez nas Naścią – raczej prosta, sympatyczna kobieta, której nazwiska też nie pamiętam. Halina Sosnowska zajęła łóżko po prawej stronie na tzw. „trzeciaku”, pod nią ulokowałyśmy się my obie, pod nami pani Maria Łopuszańska. Po drugiej stronie na parterze rezydowała „Maniuta”, a nad nią p. Maria i p. Naścia.

W celi był stolik, dwa stołki pod piecem i wiadro z wodą, miednica i ubikacja. Jeden taboret mieścił się też między stołem a łóżkiem „Maniuty” i na nim królowała zawsze „Maniuta”. Stołek pod piecem zajmowała Halina, drugi na zmianę okupowała reszta, która musiała się zadowolić deską na parterowym łóżku, odsłoniętą po przesunięciu siennika. Siedziało się zawsze ze schyloną głową i ta pozycja nie była zbyt wygodna. Jedna z nas mogła wtedy spacerować po celi od drzwi do okna wzdłuż tych łóżek.

Była już jesień, w celach było zimno. Gdzieś chyba w listopadzie rozpoczęło się palenie w piecach, ale paliło się tylko raz w tygodniu. Wtedy w celi robiło się ciepło, a nawet gorąco, ale na krótko, bo Halinie robiło się duszno i wymagała otwarcia okna. Ciepło szybko więc wywiewało. Poza tym piec i tak stygł i trzeba było nadal marznąć, marząc o następnym tygodniu. Rozpoczęły się nasze lekcje angielskiego. „Maniuta” była praw-

dziwą skarbnicą wiedzy. Miała nie tylko ogromny zasób słów i terminów, ale zawsze chodziło jej o dobranie odpowiedniego do danej treści znaczenia. Dlatego nigdy nie chciała podać znaczenia pojedynczego słowa, a zawsze prosiła o całe zdanie. Wyjaśniała, jak w zależności od kontekstu można używać różnych terminów. Wprowadzała nas w świat idiomów, z których utkwilo mi w pamięci nieprzetłumaczalne słowo *respite* umieszczone na wieńcu złożonym przy trumnie Józefa Piłsudskiego przez ambasadę angielską. Było to zdanie „*In honour of respite*”. W tym okresie mego pobytu w celi z „Maniutą” uzyskaliśmy zezwolenie na książki w językach obcych, otrzymywanych z domu. Przy najbliższym widzeniu poprosiłam Matkę o jakąś powieść angielską. Wkrótce otrzymałam kryminał Agaty Christie i natychmiast zabrałam się do czytania – było to moje pierwsze zetknięcie z drukowanym słowem angielskim. Ledwo jednak zaczęłam czytać, „Maniuta” zachorowała i wzięto ją na izbę chorych. Zostałam więc zdana tylko na siebie, ale się zawzięłam i czytałam. Słownika oczywiście nie miałam. Nieraz jedno zdanie czytałam po kilkanaście razy, żeby się wreszcie stało dla mnie zrozumiałe. Gdy „Maniuta” wróciła, pozostały mi tylko pytania dotyczące idiomów lub bardzo szczególnych terminów, które utrudniały mi zrozumienie akcji. I tak nabrałam zwyczaju czytania bez słownika. Ta dobra passa na książki wkrótce się skończyła i już nigdy więcej nie otrzymałam żadnej angielskiej książki.

Któregoś dnia przyniesiono nam do celi wełnę z króliczej angory i druty. Zabrałyśmy się natychmiast do roboty, z wyjątkiem Haliny Sosnowskiej. Uważała ona, że więzień polityczny nie powinien pracować i konsekwentnie trwała w swoim postanowieniu. „Maniuta” i Halina – to były dwa przeciwieństwa. „Maniuta” wprost rwała się do pracy. Była niesłychanie żywa i spontaniczna. Do tej pory pamiętam jej pełne wyrazu oczy. Bardzo cierpiała, gdy nas zabrano do pracy, a ona pozostała tylko z Haliną. Przy przypadkowych spotkaniach wznosiła oczy w górę, narzekając na „biały terror”, bo Halina zawsze torpedowała jej starania o pójście do pracy.

Te parę miesięcy w małej celi w Fordonie wspominam bardzo dobrze. Atmosfera była pogodna, spokojna, nie było żadnych kłótni czy sprzeczek. Wszystkie stosowałyśmy się do wymagań Haliny, odpowiedzialnej za utrzymanie celi, chociaż zimno dawało się nam mocno we znaki, szczególnie mnie. Zawsze byłam zmarzluchem. Sweter zrobiony jeszcze na „ogólniaku” przez Marysię Hattowską na patykach z miotły słabo grzał, bo nie był z czystej wełny. W nocy najbardziej cierpiała Wanda, która spała głową do

okna. Gospodarstwo prowadziłyśmy oczywiście wspólnie. W sprawach jedzeniowych Halina była zawsze bardzo koleżeńska. Dostawała paczki z punktualnością zegarka, a jej mężowi zwykle udawało się przemycić coś więcej ponad dozwolone trzy kilogramy. Halina wypatrywała go przez okno z trzeciego piętra łóżka. Bardzo się denerwowała, gdy jego przyjazd na widzenie opóźniał się, nigdy zresztą nie więcej niż o tydzień. Starła się zawsze dobrze wyglądać, włożyć do kieszonki bluzy czystą chusteczkę, przygładzić włosy itd., czym doprowadzała do szału oddziałowych wzywających ją na widzenie.

Chyba w marcu 1949 r. wzięto nas do pracy. W celi została „Maniuta” i Halina. Do celi dla pracujących przenosiłyśmy się już z własną pościelą. To był wtedy duży luksus. Czystą pościel dostaliśmy w okolicach Bożego Narodzenia i od tego czasu była ona zawsze związana z użytkownikiem, a nie łóżkiem.

Spotkałyśmy tu stare, dobre znajome z „ogólniaka”. Pamiętam Jasię Warzycką, Wiesię Grzeszczyk i jej matkę, Wacię Wolańską¹⁴² i inne. Było nas tam kilkanaście.

Wieczorami, dopóki paliło się światło, mogłam czytać swoim koleżankom. Pamiętam, jak kiedyś dostałam *Puszcę Gołubiewa*, a potem *Szło nowe*. Była to cudowna lektura. Przenosiła nas w inny świat, pulsujący życiem, pełen zapachów różnorodnych ziół, śpiewu ptaków, poszumu ogromnych puszczańskich drzew i różnych ludzkich spraw. Wszystko podane wspaniałym, niepowtarzalnym językiem autora. Pamiętam też lekturę nowelek Czechowa, zwłaszcza jedną, która zawierała opisy wybornych przysmaków. Pamiętam, że gdy tak umyślnie podkreślałam jeszcze intonacją smakowitość wyrobów sztuki kulinarnej, kruchość pieczeni, zapach wędlin, rozplywające się w ustach ciasteczka – koleżanki krzyczały na mnie: „Przestań! przestań! Znęcasz się nad nami”.

Któregoś dnia Mamunia i Wacia zgłosiły się do sanitariatu. Jedna z bólem gardła, druga z dolegliwościami z racji hemoroidów. Królował tam wtedy sanitariusz nazwany przez nas „Maharadzą”, a lekarstwa przynosiła do celi oddziałowa. Tym razem także Stasieczka otworzyła celę i jednej dała czopki, a drugiej jakieś pastylki. Okazało się, że pomyliła adresatki; czopki dostała koleżanka na chore gardło. Śmiechu było co niemiara i odtąd Stasieczka zawsze wołała na nas „czopki”.

¹⁴² Wacława Wolańska – aresztowana w związku ze sprawą Witolda Pileckiego.

Wychodziło się rano, przed siódmą. Po wyjściu ze swoich cel pracujące ustawiały się na korytarzu w długim szeregu – nie pamiętam, czy parami, czy czwórkami. Zaczynało się liczenie i sprawdzanie. Trwało to zwykle dość długo. Nasi „zwierzchnicy” nie byli bardzo biegli ani w liczeniu, ani w używaniu języka polskiego. Co chwila byliśmy strofowane: „Ustańcie! Co, nie możecie ustoić?”

Pracownia mieściła się w Szarym Gmachu, na pierwszym piętrze. Jedna sala była przeznaczona wtedy na trykotarnię, a w drugiej wykonywało się różne inne roboty. W trykotarni większość stanowiły Niemki. Wiele z nich w ogóle nie umiało mówić po polsku i władze nie żądały od nich przyswojenia sobie naszego języka. Niemki pełniły też różne funkcje, ich status był o wiele lepszy od naszego. Wtedy też po raz pierwszy zetknęłam się z Ukrainkami, masowo aresztowanymi po zabójstwie Świerczewskiego¹⁴³. Wandę i mnie przydzielono do pracy przy koszyczkach ze sznurka. Sznurek przędła na kołowrotku Ziutka Jampol, a my z tego sznurka plotłyśmy długie pasy, z których robiło się koszyczki. Często jednak sznurka brakowało i trzeba było markować robotę, splatając i rozplatając w kółko to samo, co doprowadzało nas do pasji. Taka bezużyteczna praca. Wtedy Wanda, która była bardzo uzdolniona manualnie, wzięła sprawy w swoje ręce, opanowała sztukę przędzenia i zasiadła do kołowrotka. Od tej pory miałyśmy zawsze wystarczającą ilość materiału do pracy.

Praca to także poznawanie nowych koleżanek, nowe kontakty. W pracowni nie wolno było palić, więc wychodziło się do ubikacji, na dany nam sygnał. Pamiętam, że nieraz odpalałam jednego papierosa od drugiego, aby być tam dłużej i móc porozmawiać z koleżanką siedzącą daleko ode mnie.

Pamiętam Jankę Oszast¹⁴⁴ – uroczą, pełną uśmiechu i życzliwości, ota-

¹⁴³ Karol Świerczewski – „Walter” (1897–1947), gen. LWP. Zginął w marcu 1947 r., w zasadzce na szosie Baligród – Cisna.

¹⁴⁴ Janina Celina Oszast – „Jula”, „Janina” (1908–1986), kpt. AK, WiN. W czasie okupacji hitlerowskiej pełniła funkcję kierownika działu I w BiP Okręgu ZWZ-AK Kraków. W styczniu 1945 r. przeszła do DSZ, gdzie była zastępcą szefa wydziału propagandy Okręgu Krakowskiego. Aresztowana w lipcu 1945 r., zwolniona została w październiku 1945 r. Od grudnia 1945 r. pełniła rolę łączniczki prezesa II Zarządu WiN płk. Franciszka Niepokólczyckiego. Aresztowana 17 X 1946 r. i wyrokiem WSR w Krakowie skazana została 23 X 1947 r. na 6 lat pozbawienia wolności. 17 X 1949 r. została zwolniona w wyniku amnestii. 27 XII 1952 r. została ponownie aresztowana w wyniku prowokacji tzw. „V komendy WiN”. 30 VI 1954 r. WSR w Warszawie skazał ją na 4 lata pozbawienia wolności, łagodząc wyrok na podstawie amnestii do 2 lat i 8 miesięcy. Warunkowo zwolniona 11 XII 1954 r.

czającą opieką młodsze koleżanki, dla których była wielkim autorytetem. Przyjaźniła się z Wandą Kraszewską.

Była też Irena Tomalakowa¹⁴⁵, zawsze w gronie młodszych koleżanek – pełna dowcipu i humoru, poetka o niesłychanej wrażliwości, doskonale oddająca nasze nastroje i uczucia, a także wspaniała kronikarka wydarzeń, utrwalonych przez nią w poezji.

Była Lusia Kasprzycka, Lidia Struzikiewicz i Irenka Trzeplówna¹⁴⁶. Ta trójka trzymała się zawsze razem, bo i razem przebywały w poprzednich więzieniach, związane jedną sprawą. Chyba w czerwcu 1949 r. Lusia wychodziła na wolność. Wtedy skomponowałam dla niej wierszyk *Dobre rady*, który tu przytaczam, bo stał się bardzo popularny w Fordonie.

DOBRE RADY (*dla Lusi Kasprzyckiej*)

Aby uniknąć ciotek i babek zgorszenia,
Że się nie umiesz znaleźć po wyjściu z więzienia,
Przewidując z góry wszystkie Twoje gafy,
Całość rad ujmuję w krótkie paragrafy.

Jeśli Cię zechce ktokolwiek odwiedzić,
Musisz się o nim wszystkiego dowiedzieć,
Począwszy od dowodów i legitymacji,
Że nigdy nie był czynny w żadnej konspiracji,

¹⁴⁵ Irena Tomalakowa – „Soldau”, „Słowik”, „Maria” (1895–1971), mjr AK, WiN. Od 1914 należała do Związku Strzeleckiego, żołnierz Legionów i POW. W 1920 r. komendantka (ppor.) poznańskiego Batalionu Ochotniczej Legii Kobiet. W lipcu 1922 r. jako jedna z czterech kobiet w kraju otrzymała weryfikację stopnia oficerskiego kończąc specjalistyczny kurs łączności. Uczestniczka kampanii wrześniowej 1939 r., od 15 X 1939 r. w SZ. Od roku 1940 pełniła funkcję kierowniczkę służby kurierskiej SG SZP, następnie ZWZ. W V Oddziale KG AK sprawowała funkcję instruktora w komórce szkoleniowej łączności „Gniazdko”. Od 1942 r. była kierownikiem łączności na Kraj (kryp. „Poradnia”). Brała udział w Powstaniu Warszawskim w Oddziale V Sztabu KG AK, następnie w Batalionie „Kiliński”. Od 1944 r. w NIE, od stycznia 1945 r. pełniła funkcję Szefa Łączności Delegatury Sił Zbrojnych. Aresztowana 21 IV 1946 r. na terenie Czechosłowacji, skazana została przez WSR w 1946 r. na 15 lat więzienia. Zwolniona 7 maja 1956 r.

¹⁴⁶ Zdzisława Kasprzycka (wyrok 6 lat), Lidia Struzikiewicz (wyrok 10 lat) i Irena Trzeplówna (wyrok 10 lat) – skazane zostały na podstawie wyroku WSR we Wrocławiu z dnia 15 XI 1946 r. za przynależność do organizacji Inspektorat „Afryka” ROAK.

Na krótkim ukończywszy wreszcie zaświadczeniu,
Kiedy, jak długo i za co przebywał w więzieniu.

Ukończywszy to wszystko, prosisz gościa siadać
I możecie ze sobą ostrożnie pogadać.
A że w rozmowie łatwo zejść na śliskie tory,
Zakazanych tematów podaję Ci wzory.

Jeżeli przypadkiem poznasz elektryka.
Rozmów o elektryczności jak ognia unikaj,
Bo za niby niewinne „wtyczki” i „kontakty”
Można się przesiedzieć – świadczą o tym fakty.

Jeżeli list napiszesz, powód oczywisty,
By zanieść korespondencję do skrzyni na listy.
Do „skrzyni”, nie do „skrzynki”, bo za to zdrobnienie
Niejedna setka ludzi zwiedziła więzienie.

Po pożarze w domu, jeśli żyć Ci miło,
Nie mów, że ci się mieszkanie spaliło,
Bo zwykle „spalonych” mieszkań właściciele
Jako lokal zastępczy otrzymują celę.

Gdybyś chciała zażyć godziwej rozrywki,
Gier się zakazanych wyucz na wrywki,
bo „zepsuty telefon” i „cenzurowane”
Za tak zwaną „szeptankę” będą poczytane.

Gdybyś miała być sławną – udzielam Ci rady,
Nie pozwól się nigdy prosić o wywiady!
Bo za „wywiad”, rzecz jasna, nie ulega kwestii,
Siedzi się bardzo długo i to bez amnestii.

A idąc w ślubnym stroju po stopniach ołtarza,
Niechaj Twe wielkie szczęście świadomość pomnaża,
Że najlepsze myśli, najszczerze życzenia,
Płyną od towarzyszek niedoli z więzienia.

Fordon 1949 r.

W tej celi powstał też mój drugi wierszyk. Amnestia była niekończącym się tematem naszych rozmów, wróżyło się ją ze snów oraz z kabały.

Z tych oczekiwań wyrosła więc moja *Amnestia*:

AMNESTIA, CZYLI „DOKOŁA WOJTEK”

Wiaterek znad Wisły przywiał wieść radosną:
Amnestia w tym roku będzie wczesną wiosną!

Mija wiosna, lato, więc się spodziewamy,
Że przecież jesienią otworzą się bramy.

W końcu listopada pisz do prezydenta,
A może Cię zwolnią na samiutkie święta.

Prezydent zawodzi,
Wolność nie nadchodzi.

To ciągle czekanie czas tak bardzo skraca,
Że nim się opatrzysz, jak wiosna powraca.

A z podmuchem ciepła pieścisz myśl radosną:
Amnestia w tym roku będzie wczesną wiosną.

Fordon 1949 r.

Spotkałam tam też swoją mokotowską kumpelkę, „Zulę” Magnuszewską. Gdzieś, chyba na początku września, władze oznajmiły nam, że te, które nie ukończyły szkoły podstawowej, będą mogły kontynuować naukę na miejscu, że zorganizuje się wykłady, a także, że będzie można kontynuować naukę na poziomie liceum. Była to bardzo dobra wiadomość i dużo dziewcząt zapisało się do szkoły. Dzięki temu „Maniuta” została wzięta do pracy nauczycielskiej i znalazła się wśród nas. Dla młodych dziewcząt stała się „wujem” Marynowską. Ja dostałam propozycję od Teresy Płachcińskiej (kapusia), żebym uczyła matematyki w klasach licealnych. Nie zgodziłam się na to z dwóch powodów. Nie czułam się na siłach, żeby podjąć to zadanie, ale przede wszystkim chodziło nam o wyciągnięcie z celi Rysi Szelągowskiej¹⁴⁷. I tak się stało.

¹⁴⁷ Maria Magdalena Szelągowska – „Rysia” (ur. 1905), od sierpnia 1945 r. współpracowała z I Oddziałem II Korpusu wraz z Witoldem Pileckim 22 XI 1945 r. powróciła do kraju. Aresztowana 9 V 1947 r., skazana została przez WSR w Warszawie 15 III 1948 r. na karę śmierci. Decyzją B. Bieruta zmieniono ją 20 V 1948 r. na karę dożywotniego więzienia. Zwolniona na skutek zawieszenia kary 4 VI 1956 r.

Rysia mogła pójść do pracy, a ja starałam się pomagać młodszym koleżankom uczącym się w zakresie szkoły podstawowej. Pomagałam w różnych przedmiotach, ale najczęściej w polskim i w matematyce, a zwłaszcza w podstawach geometrii, wynajdując różne praktyczne przykłady przybliżające rozumienie podstaw owych pojęć. W polskim chodziło mi głównie o wpojenie im logicznego myślenia, układania dyspozycji przed napisaniem wypracowania. Pomoc ta odbywała się w czasie przerwy obiadowej. Zostawałam wtedy z daną grupką w pracowni, gdzie dostawałyśmy obiad i można było spokojnie pracować. Ponieważ sala była wtedy zamknięta na klucz, paliłyśmy na miejscu. Któregoś dnia nastąpiła wpadka: przyłapano nas na paleniu. Nie pomogły tłumaczenia. Zostałyśmy przeniesione do jednej celi, mieszczącej się naprzeciwko dyżurki, oraz pozbawiono nas na czas nieokreślony paczek z domu.

Pobyt w tej celi wspominam bardzo dobrze. Miała tę ogromną zaletę, że była w niej bieżąca woda. Fama głosiła, że przed wojną siedziała tu słynna Gorgonowa¹⁴⁸. Wspomagały nas koleżanki, miałyśmy świetne humory i wcale nie marzyłyśmy o powrocie do naszych cel. Niespodziewanie w samą Wigilię odwiedził nas naczelnik i zawiesił karę pozbawienia paczek. Do stałyśmy więc, chociaż na samym końcu, nasze świąteczne paczki z domu. Była to wielka radość.

Wkrótce potem Wandę i mnie przeniesiono do tzw. „pracowni artystycznej”, gdzie między innymi produkowało się laurki dla oddziałowych z okazji imienin, urodzin itp.

2 marca, w drugą rocznicę naszej znajomości z Wandą, zabrano mnie z pracy i umieszczono w suterenie. Rozstanie z Wandą trwało pięć lat, bo po dwuipółrocznym pobycie w suterenie wywieziono mnie wraz z koleżankami do Inowrocławia, z którego powróciłam też po dwu i pół roku.

18. Suterena (2 marca 1950 – 28 sierpnia 1952)

Drugiego marca 1950 r. zostałam nieoczekiwanie zabrana z pracy (w pracowni artystycznej) i sprowadzona do sutereny w Gmachu Czerwonym. Przedtem siedziały w niej małodlatki i weneryczki i oddział ten był

¹⁴⁸ Proces Margerity Gorgonowej oskarżonej o zabójstwo córki inżyniera Zaremby był sensacją w połowie lat trzydziestych.

oddzielony od reszty bloku dodatkowo żelazną kratą. Znalazłam się w celi nr 2 razem z dr Franio, Danką Bańkowską¹⁴⁹ i „mamunią” Grzeszczyk. Okazało się, że tego właśnie dnia utworzono oddział specjalny dla wybranych według pewnego klucza więźniarek. Ale według jakiego? Ten dobór, podobnie jak wiele innych posunięć władz, był dla nas zawsze zagadką. Naszą trójkę łączyły: wysokość wyroku, zaangażowanie w konspiracji i pochodzenie społeczne. Ale dlaczego jest z nami „mamunia”, obdarzona wyrokiem siedmiu lat za „złe” wychowanie młodocianej córki, Wiesi Grzeszczyk? I na takich właśnie przykładach miałyśmy się ciągle potykać. Początkowo sądziłyśmy, że suterena jest tylko „przejściówką” i że stąd wywiozą nas gdzie indziej. Obawiałyśmy się, oczywiście, najgorszego – wyjazdu na wschód. Ale na całe szczęście do tego nie doszło.

Trzeba było znowu układać sobie życie w małej celi, bez pracy. Jak mogłyśmy się zorientować, było nas w suterenie 60–70 osób. Wychodziłyśmy na spacer poszczególnymi celami – nie na normalne podwórko spacerowe, ale za „celki”, gdzie była dodatkowa zwyczajka, baczne oko oddziałowej i „specy”, którego okno wychodziło na nasz spacerniak. Zaraz po sprowadzeniu nas do sutereny dostałyśmy listy do napisania (było to 5 marca). Pamiętam, że bardzo chciałam dać znać mojej Matce, że może gdzieś nas wywiozą, i tak skutecznie zaszyfrowałam swój list, że potężnie ją zaniepokoiłam, ale ani rusz nie domyśliła się, co jej chciałam przekazać. Obawiała się ewentualnie jakiejś drugiej sprawy. Mogłam jej wszystko wyjaśnić dopiero na wolności.

Któregoś dnia otworzono celę i w drzwiach stanął naczelnik z pracownikiem, czy też naczelnikiem bydgoskiego UB – Boguwolą¹⁵⁰. O coś nas pytali – nie pamiętam. Wydaje mi się, że chciałyśmy dostać jakąś robotę do celi, bo na to Boguwola powiedział: „Naczelniku, do tej celi trzeba dać książki – one muszą czytać, a nie robić na drutach”. Po tym *dictum* celę zamknięto, a my przygotowywałyśmy się na karmienie nas propagandowymi książkami. Nic z tego! Okazało się, że „nie jesteśmy godne, by czytać literaturę marksistowską”, i przez cały czas naszego pobytu w suterenie dostawałyśmy powieści Orzeszkowej, Balzaka itp. W każdym razie nic współczesnego.

¹⁴⁹ Danuta Bańkowska – skazana na dziesięć lat pozbawienia wolności w sprawie dr Franio.

¹⁵⁰ Jan Boguwola – naczelnik więzienia we Wronkach w latach 1947–1948.

Pobyty w tej celi trwały dość krótko, bo bardzo szybko poprzerzucano nas do różnych cel. Znalazłam się w „siódemce”, *vis-à-vis* „dwójki”. Siedziałam tam razem z Basią Sadowską, Renią Sakowicz¹⁵¹ i Miłą Kołodziej¹⁵². Bardzo dobrze wspominam ten skład. Od Reni dowiedziałam się o sprawie wileńskiej i o koleżankach, z którymi ją przywieziono. Przy pomocy Basi starałam się jak najwięcej uzupełniać swój angielski, którego uczyła nas „Maniuta” na „ogólniaku”, a potem już w małej celi w Fordonie. W tym składzie zastało nas święto rewolucji 7 listopada. Zawsze bardzo czekałyśmy na ten dzień, licząc, że na obiad dostaniemy „kartofle na sucho” z sosem mięsnym. A takie menu zdarzało się tylko parę razy w roku, zwykle w państwowe święta jak 22 lipca, 1 maja, no i 7 listopada. Tym razem w ten właśnie dzień zorganizowano wielkie przenosiny. Zabrano moje towarzyszki, ale krótko byłam sama. Wkrótce zaczęły nadchodzić nowe. Pierwsza przyszła „Myszka” Cieślińska¹⁵³ (obecnie Skrzypiec), potem Ludka Kot¹⁵⁴ i chyba Halina Sadowska – nazwana potem przez nas „Otrębą”. Ludka – pamiętam – weszła zapłakana, bo została rozdzielona ze swoją towarzyszką niedoli – też Ukrainką – i czuła się bardzo samotna. Pamiętam, jak potem żartowałyśmy z niej, że siedzi na „izolatce” sama. Ludka – jak chyba wszystkie Ukrainki – była uzdolniona manualnie: haftowała i cerowała artystycznie. Przypadł jej w związku z tym w udziale przywilej cerowania i podnoszenia oczek w pończochach oddziałowej „Malowanki”. W tej celi rozpoczęło się nasze podwójne obchodzenie świąt kościelnych, bo rzymsko- i greckokatolickich. Miałymy więcej uroczystości w celi i musiałyśmy zadbać, żeby jakieś smakołyki pozostały na następne święta, Bożego Narodzenia, obchodzone już w styczniu: 6 stycznia – Wigilia i 19 stycznia – Jordan, czy też Wielkanocy. Panowała między nami zgoda i bardzo dobre stosunki koleżeńskie. Ludka, a potem Irka Tymoczko¹⁵⁵ wykonywały wszelkie dyżury

¹⁵¹ Regina Sakowicz (ur. 1921), żołnierz wileńskiej AK. W latach 1946–1948 łączniczka ośrodka wywiadowczego II Korpusu Andersa. Aresztowana 28 VI 1948 r. Wyrokiem WSR w Łodzi w 1948 r. skazana na 15 lat więzienia.

¹⁵² Emilia Kołodziej – „Wojtek”, aresztowana i skazana w sprawie Józefa Kurasia („Ognia”).

¹⁵³ Irena Cieślińska-Skrzypiec – „Myszka” (1922–), żołnierz AK, WiN. Od 1942 r. łączniczka w AK, po 1945 r. działała w ROAK, DSZ, NIE i WiN, będąc łączniczką, maszynistką, kurierem. Aresztowana 27 X 1947 r., w sprawie IV KG WiN została skazana 20 X 1948 r. na 15 lat pozbawienia wolności. Zwolniona na mocy amnestii 4 V 1956 r.

¹⁵⁴ Ludmiła Kot, skazana za przynależność do OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów).

¹⁵⁵ Irena Tymoczko – skazana za przynależność do UPA.

w nasze święta, a my – w ich. Poza tym była między nami niepisana umowa, że nie poruszamy drażliwych tematów politycznych. Było tyle innych bieżących spraw i wspomnień rodzinnych. Czas można było zawsze sobie wypełnić.

W suterenie najgorszy był chłód. Nawet zimą miałyśmy płaszcze w celi, ale to niewiele pomagało. Zresztą zimno było dla mnie najgorszą chyba udręką w ciągu tych długich dziesięciu lat więzienia. Cela była za mała, żeby spacerować, większą część dnia spędzało się siedząc na brzegu piętrowego łóżka, z konieczności ze schyloną głową. Któregoś dnia wpadł w nasze ręce kawałek zadrukowanego papieru, może gazety, z fragmentem przedstawienia przeznaczonego dla teatrów amatorskich na wsi. W sztuce występował niejaki towarzysz Otręba. Pamiętam, że Halina zaczęła odstawiać tego towarzysza. No, i została już dla nas Otrębą.

Dostawałam niekiedy paczki z Londynu od matki Cezarego Platera. Była tam zawsze spora puszka neski. Przyrządzałyśmy z niej wspaniałą krem, którym czciliśmy wszystkie święta, rocznice, imieniny itd. Wpływała też znakomicie na nasze humory, czułyśmy się jak po najlepszym winie. Pełno było wtedy śmiechu, dowcipów i opowiadań. I tak pewnego wieczoru, gdy już prawie zasypiałyśmy, rozległy się gdzieś blisko, za oknami, trzy strzały. Niesłuchanie nas to poruszyło, a że byłyśmy w świetnym nastroju, stało się powodem do dalszych dowcipów. „Myszka” otworzyła okno, chcąc sprawdzić, co się dzieje, a tymczasem dał się słyszeć głośny tupot i na korytarz wpadła grupka mężczyzn – strażników czy oddziałowych. Słyszałyśmy głosy: tu stanąć, tam i jeszcze gdzieś. Wtedy, już chyba na cały głos, wybuchnęłyśmy śmiechem, że nas tak pilnują – czyżby chciał nas ktoś odbijać? Ten incydent stał się dla mnie natchnieniem i powstał wierszyk okolicznościowy *Trzy strzały*, w rytmie *Trzech Budrysów*.

TRZY STRZAŁY

Już panienki z „Siódemki”
wystawiły ciżemki
i do ciepłych wskoczyły łóżeczek.
Jest w tym wiele uroku
gwarzyć sobie wśród mroku,
słuchać filmów, powieści, bajeczek...

Już się bajki skończyły
i panienki zmęczyły,
starsze panny się nawet pospały.
Wtem ktoś krzyknął „O Boże!”, bo za oknem na dworze
trzy kolejno padają wystrzały.

Myszka okien uchyla,
arcyważna to chwila
i czekamy, kto do nas przyleci.
Jakoż dudnią już schody
pod stopami nóg młodych,
wpada strażnik, z nim drugi i trzeci...

Jaka szkoda, że czwarty
nie ma pełnić gdzie warty:
w ubikacji, na schodach czy w łaźni...
Gdy do domu daleko
to pod taką opieką
człek się czuje bezpieczniej i raźniej!

Fordon, suterena 1951 r.

W „siódemce” zachodziły zmiany personalne, tylko my z Myszką trwałyśmy niezmiennie, przyjmując co jakiś czas nowe towarzyszek, z którymi szybko żyłyśmy się i potem z żalem rozstawały. Odeszła Ludka Kot, nadeszła Irka Tymoczko (też Ukrainka), po niej kolejna Ukrainka Stefa Kunicka¹⁵⁶, była „babcia Butler”, Kalina Chełmicka¹⁵⁷.

„SUTERENA” (*na melodię krakowiaka*)

Drugi roczek minie
W naszej suterynie,

¹⁵⁶ Stefania Kunicka – skazana za przynależność do UPA.

¹⁵⁷ Kalina Chełmicka (ur. 1922), żołnierz wileńskiej AK. Współpracowniczka sieci wywiadu Okręgu Wileńskiego w latach 1947–1948. Aresztowana 19 VI 1948 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 17 V 1949 r. skazana na 15 lat więzienia.

Drugi rok bogaty,
W białe mrozu kwiaty.

A chociaż bezpieka
Jak może dopieka,
My nadzieję mamy,
Nią się zagrzewamy.

Inspektor, naczelstwo,
Już nas odwiedzało,
Jakie mamy prośby
Każde z nich pytało.

A tu wszystkie z WiN-u,
UPA, ENESZETU
Wielkim głosem krzyczą:
„papier do klozetu!”

Fordon, zima 1951/52

Nadszedł drugi rok pobytu w suterenie. Było zimno, szyby zamarznięte, my zmarznięte. Dokuczał nam bardzo brak gazet, nie tyle z powodu braku informacji, co – zgodnie z piosenką – z braku papieru toaletowego. Wtedy właśnie zawitała do nas jakaś inspekcja, żeby się dowiedzieć, jakie mamy prośby. A my – jakbyśmy się umówiły – dosłownie chórem wykrzyknęłyśmy, że prosimy o papier toaletowy. Drzwi szybko się zamknęły.

Innym razem – a to było latem – dostawałyśmy zupy na śmierdzącym lizolem mięsie. Najpierw strułam się ja. Pamiętam, że zmuszona byłam iść do sanitariatu, bo miałam silną biegunkę i fatalne samopoczucie, ale o mały włos nie poszłam do „karca”, bo „Maharadża” nie chciał uwierzyć w moje dolegliwości. Powiedziałam mu, że nie siedzi u mnie w brzuchu. Rzucił mi parę pastylek Vichy i na tym się skończyły moje pobyty w sanitariacie (chodziłam potem jedynie do dentysty, do Ireny Bukowskiej¹⁵⁸). Pamiętam, że

¹⁵⁸ Irena Bukowska (ur. 1921), żołnierz AK. Łączniczka Okręgu Wileńskiego AK, zaangażowana w latach 1945–1948 w prace siatki wywiadowczej Okręgu Wileńskiego krypt. „Krzysztof”. Aresztowana 20 VI 1948 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 13 V 1949 r. skazana na 15 lat więzienia.

gotowałyśmy wodę na kulkach z waty i skrawkach pudełek od papierosów umieszczonych na śmietniczce i tak parzyłyśmy dla mnie herbatę. Potem pochorowały się i inne koleżanki.

Pewnego dnia dano nam znowu śmierzdzący, gęsty krupnik. Miski z nie-
tkniętą zupą zostawiłyśmy w celi i zażądałyśmy przyjsia naczelnika. Ce-
lowo nie wylałyśmy zupy do zlewek. Byłyśmy już mocno zdenerwowane
i nie wiem, do czego by doszło, gdyby zjawił się naczelnik. Usłyszałyśmy,
że ktoś chodzi po celach, o coś pyta i idzie dalej. Otwarto sąsiednią celę,
gdy zbliżono się do naszej i usłyszałyśmy: „do tej celi nie”. Nie miałyśmy
pojęcia, o co chodzi, ale szybko przez ścianę dowiedziałyśmy się, że cho-
dziło o deklarację na pożyczkę narodową. Mieli czelność chcieć od nas,
niepracujących, więc niezarabiających żadnych pieniędzy, zadeklarowania
jakieś kwoty na pożyczkę. Nic dziwnego, że do naszej celi nie chcieli wejść
– dobrze wiedzieli, z jaką odprawą się spotkają. Po kilku godzinach z zupy
zrobił się już gęsty klajster. Przyszedł „Agnieszka” – inspekcyjny od pa-
czek etc. – i obiecał nam, że już więcej takiej zupy nie dostaniemy.

Jakoś w lecie przyszła nowa oddziałowa. Nie wiedziałyśmy jeszcze, jak
wygląda, gdy już usłyszałyśmy jej głos: „okna zamykać, burza nadchodzi!”
Brzmiało to jak krakanie wrony i Stefa Kunicka ochrzcila ją „Wrona”. Nie-
długo potem miałyśmy okazję ją poznać. Zbliżało się święto 22 Lipca
i w związku z tym w suterenie panował wzmożony ruch. Przeprowadzano
rewizje. Zdaje mi się, że to było jedno z lipcowych zobowiązań naszych
oddziałowych. Drzwi się otworzyły, weszła nowa oddziałowa, wysoka, opa-
lona, czarna, pot z niej spływał, a u boku brzęczał ogromny pęk kluczy, co
oznaczało, że pełni dyżur w całym chyba więzieniu. Zaczęła wywracać nasze
sienniki – rewizja. W tym momencie Stefa wybuchnęła niepohamowanym
śmiechem, tak że nie mogła nawet odpowiedzieć na pytanie: „co wam tak
śmieszno?” Oddziałowa kazała jej wyjść na korytarz i stanąć nosem do
ściany. Stefa stała pod naszymi drzwiami i śmiała się dalej. Po skończonej
rewizji na oddziale została wpuszczona do celi. Na pytanie oddziałowej nie
odpowiedziała, przeprosiła i na tym się skończyło. Ale jak tylko drzwi się
zamknęły, obie z „Myszką” pytamy: „Stefa, z czego się tak strasznie śmia-
łaś?” – „A, bo jak ją zobaczyłam, taką całą spoconą z potem spływającym
po twarzy i przewracającą nasze sienniki, to tak sobie pomyślałam: żniwa,
żniwa, i nie mogłam się uspokoić”. Następnego dnia „Wrona” otworzyła
drzwi i woła: „woda, śmiecie, chleb!” A ja na to cicho: „kino, kawiarnia
i spacer”. Stefa to usłyszała i znowu w śmiech, ale „Wrona” już go na szcze-

ście nie usłyszała. A Stefa zwróciła się do mnie: „Ruta, błagam cię, nie rozśmieszaj mnie więcej, bo nie dam rady się powstrzymać”. Taką była nasza Stefa śmieszka. Bardzo ją lubiliśmy.

Pamiętam, że od „Zulki” Magnuszewskiej dostałam wspaniały „spadochron”. Był to płat z wełny zrobiony na drutach, zakrywający plecy i zaopatrzony w tasiemki do zawiązywania z przodu. Było to coś wspaniałego, bo zmniejszało udrękę ciągłego marznięcia, które trapiło mnie przez cały czas pobytu w więzieniach. Nigdy się nie zahartowałam na zimno, zawsze marznięcie było dla mnie najgorszym i najdotkliwszym cierpieniem fizycznym. Spadochronem cieszyłam się nie za długo, bo go wykryto w sienniku przy jakiejś rewizji, zabrano i nigdy potem nie dostałam niczego podobnego.

W naszej „siódemce” pędziłyśmy z „Myszką” bardzo intensywne życie. Najpierw było „pisanie listów”. Stałyśmy się na tyle beczelne, że w przeddzień łaźni pisałyśmy grypsy do naszych koleżanek przebywających na górze, a one przysyłały nam gazety i jakieś drobiazgi. Poczta szła poprzez koleżanki zatrudnione w łaźni. „Pisanie listów” to był bardzo ważny dzień. Oczywiście trzeba było bardzo się pilnować, żeby nie dać się złapać i dobrze schować grypsy, a potem jeszcze wynieść je do łaźni. Ale nigdy nas nie przyłapano. Miałyśmy pudełko na śmieci ze wstawionym podwójnym dnem i to była nasza skrytka na gazety.

„Pisanie listów” było czynnością regularnie powtarzającą się co dwa tygodnie. Poza tym prowadziłyśmy produkcję prezentów imieninowych dla koleżanek w celi i sąsiadek. Kiedyś w kawałku pumeksu wyżłobiłam znak Polski Walczącej – nadużywany obecnie przez różne ugrupowania polityczne. Z pustych tubek po paście do zębów wytapiałyśmy ołów. Była to złożona procedura. Za podpałkę służyły kulki z waty, niezadrukowane skrawki gazety i kawałki tektury z pudełek od papierosów. Tubkę kładło się do pudełek po paście do butów (można ją było kupić na wypiskę i używać do froterowania podłogi zamiast butelkowania). Ogień podpalało się na śmietniczce. Wytopiony ołów należało wlewać do formy w pumeksie i znaczek gotowy. Trzeba było stać na straży wizjerki i mieć otwarte okno, a ponadto machać ręcznikiem, żeby wypędzić dym. Skala produkcji tych znaczków była oczywiście bardzo ograniczona zarówno ze względu na surowce, jak i pracochłonność i niebezpieczeństwo całego przedsięwzięcia. Niestety, nie wiem, czy którejs z koleżanek, udało się wynieść na wolność taki znaczek. Był on zawsze przeznaczony dla kogoś

i zawsze z okazji stosownej daty. Trzeba go więc było dostarczyć danej osobie, ale jak? Najpierw „obsługiwało się” najbliższe sąsiadki. Świetnie radziła sobie z tym „Myszka” i chyba Ludka. Gdy oddziałowa otwierała prawie jednocześnie dwie cele, trzeba było umiejętnie przerzucić paczuszkę do sąsiadki z lewej lub prawej strony. Gdy w „szóstce” siedziała Irka Bukowska, „szprync”, jak ją nazwałyśmy z „Myszką”, to sprawa była stosunkowo prosta, bo Irka wspaniale odbierała nasze lub przerzucała swoje paczuski do nas. Trudniej było z „ósemką”.

Inną drogą było „kiblowanie”: zabierałyśmy wtedy nasze paczuski, umieszczając je w umówionym miejscu w „płuczarni”, a same zabierałyśmy zostawione dla nas, kładąc do pustego i wypłukanego już „kibla”. Jedna cela, „trzynastka”, nie miała w oknie siatki i paczuski można było wrzucać bezpośrednio przez okno. Pamiętam bardzo zabawny incydent z tym związany. Była wtedy z nami Ludka Kot. Zabrakło nam ołówka – grafitu. Nie miałyśmy czym pisać listów ani tworzyć piosenek. Ukrainki nazywały ołówek kryptonimem „sil” – sól. Byłyśmy na spacerze, gdy Katka Kosarewicz¹⁵⁹ z „trzynastki” stanęła w oknie. Idąca przede mną Ludka Kot zapytała: „Katka, majesz sil?” Ona kiwa twierdząco głową. Zrobiłyśmy nowe okrażenie. Katka wyrzuciła paczuszkę, Ludka szybko ją podniosła – była to sól, a nie ołówek! Ludka się wściekła. Nasz spacer obserwowany był przez oddziałową i strażnika ze zwyżki. Zrobiłyśmy kolejne okrażenie, gdy Ludka zasyczała: „Katka, sil! znajesz, sil”, idzie dalej, a Katka do mnie: „Pani Ruto, jaka ja głupia, jaka głupia”. I jeszcze jedno okrażenie. Ludka wrzuciła do celi sól, a Katka zrzuciła wreszcie ołówek. Nikt niczego nie zauważył i wróciłyśmy do celi triumfujące.

Prezenty były rozmaite; jakieś rzeźby z chleba, które namiętnie robiłam, a potem różne rzeczy ryte na łupku. Dach na Czerwonym Gmachu był pokryty łupkiem, którego kawałki leżały na trasie naszego spaceru. Zbierałyśmy ten łupek, podobnie jak kawałki drutu i inne dziwne przedmioty. Miałyśmy dla tych znalezionych skarbów wspaniałą skrytkę: dziury w podłodze, wygryzione przez szczury. Były one niewidoczne, bo znajdowały się pod łózkami. Nigdy nie wykryto tam naszych skarbów. Spinką do włosów ryłam w łupku zarys Matki Boskiej Ostrobramskiej

¹⁵⁹ Katarzyna Kosarewicz – „Katka”, skazana za przynależność do UPA.

i chyba orła w koronie. Inne koleżanki haftowały jakieś serwetki czy chusteczki. Robiło się różne drobiazgi. Często lepiłam też figurki szachowe.

Najżywsze kontakty miałyśmy z „szóstką”, gdy siedziała tam Irena Bukowska. Moje łóżko przylegało przez ścianę do jej i można było długo rozmawiać. W dzień ćwiczyłyśmy z „Myszką” angielski. Często brakowało nam słówek, wtedy stukałam do Ireny; a ona z kolei do „piątki”, gdzie siedziały nasze „marabuty”, czyli „Maniuta” Marynowska i Jadzia Malkiewiczowa¹⁶⁰. One podpowiadały jej słówko, Irena zaś przestukiwała je do nas. Był to specyficzny sposób przekazywania informacji, ale działał bardzo sprawnie.

W tym okresie miałam mszalik tygodniowy. Był to wielki skarb. W celi można było z niego w pełni korzystać, przekazywałam też wybrane przeze mnie fragmenty Irce, ucząc się ich przedtem na pamięć, a następnie przestukując. Miałam dużą łatwość uczenia się i stosowałam dwie metody. Jedna była szybka, uczyłam się w ekspresowym tempie, przekazywałam i prawie natychmiast zapominałam. Teksty, które chciałam sobie przyswoić na dłużej czy też na stałe, powtarzałam w myślach wielokrotnie i w ten sposób utrwalalam je sobie. Bardzo mi się to przydało, zwłaszcza gdy siedziałam sama i musiałam się „żyć” tym, co pamiętałam.

Muszę jeszcze wspomnieć o oddziałowej Stasieczce, która darzyła nas wyraźną sympatią i dbała o nas. Pamiętam, że kiedyś chciała dla nas dostać jakąś dolewkę zupy, a widocznie jej odmówiono, bo na cały głos wykrzyknęła: „A co wy myślicie, że te w suterenie, to najgorsze? a może one właśnie są najlepsze!” Stefa Broniewska¹⁶¹ siedziała sama długie miesiące na izolatce w celi nr 4. Któregoś dnia usłyszałyśmy, jak Stasieczka zawołała: „Korytarzowa, a zanieście wody do generałowej pod czwórkę?”, zupełnie jakby chodziło o obsłużenie ważnego gościa pani baronowej¹⁶², a nie samotnie siedzącej więźniarki.

Życie w suterenie toczyło się swoim własnym torem. Władze starały się udaremnić wszelkie kontakty między nami a pracującymi. Z tej racji spoty-

¹⁶⁰ Jadwiga Malkiewicz (1902–1986). Aresztowana 2 IX 1947 r. w związku z przybyciem do kraju brata, Adama Doboszyńskiego. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 8 I 1951 r. skazana na 10 lat więzienia. Zwolniona warunkowo 2 VIII 1955 r. W 1961 r. wyjechała do Anglii.

¹⁶¹ Stefania Broniewska, żona gen. Zygmunta Broniewskiego („Boguckiego”), pełniącego w latach 1944–1945 funkcję p.o. dowódcy NSZ, łączniczka. Wyrokiem z 11 XII 1946 r. skazana na karę 8 lat więzienia, zmniejszoną na podstawie amnestii do 4 lat, ponownie już w więzieniu skazana na 10 lat.

¹⁶² Stasieczka była przed wojną służącą u jakiejś baronowej (przyp. autorki).

kały nas pewne „przywileje”. Gdy prowadzono nas do sanitariatu, byliśmy wpuszczane bez kolejki, zawsze miałyśmy pierwszeństwo, często ku wielkiemu niezadowoleniu czekających, a zatrudnionych w pracowni koleżanek. Gdy brano nas na widzenia, musiałyśmy stać prawie na końcu korytarza, żeby nie móc się porozumieć z innymi czekającymi na swoją kolejkę i też brano nas możliwie szybko.

Gdy w Fordonie zaczęła wreszcie działać kantyna, okazało się, że jesteśmy dyskryminowane. Było to po wymianie pieniędzy i pamiętam, że jedna wypiska (raz na dwa tygodnie) kosztowała nas 5 zł. Pracujące mogły dokonywać zakupu znacznie większej ilości produktów. My mogłyśmy kupić kostkę margaryny, cukier i coś tam jeszcze, ale w niewielkim wyborze. Zresztą, kwota 5 złotych mówi sama za siebie. Ale nasze koleżanki zawsze nas bardzo wspomagały, oczywiście nielegalnie. Staraly się dostać do obsługi przy wydawaniu posiłków czy wody i korzystając z nieuwagi oddziałowej wrzucały nam do celi papierosy, albo podawały je razem z chlebem. Kiedyś Ludka zobaczyła, że coś się kryje pod pazuchą koleżanki podającej nam chleb. Niewiele myśląc, sięgnęła i wydobyła paczkę papierosów. Okazało się jednak, że to nie było dla nas i szybko je oddała. Było zawsze przy tym dużo emocji. Owoce i produkty, którym woda nie szkodziła, koleżanki wrzucały do dzbanków na wodę, którą wlewałyśmy do miednicy ustawionej pod stołem. W ten sposób mogłyśmy niezauważalnie je wyciągać. Świadomość, że władze nie są w stanie zerwać między nami więzi, a wprost przeciwnie – że więź ta jeszcze się wzmacnia, była dla nas wielkim pokrzepieniem.

Dni w „siódemce” wypełnione nauką, różnymi pracami i wzajemnymi kontaktami zostały któregoś dnia brutalnie przerwane rozkazem: „Czaplińska, pakujcie swoje rzeczy”. Był to dla mnie prawdziwy wstrząs. Dokąd mnie zabiorą? Z kim będę siedzieć? Tak bardzo zżyłam się z „Myszką” i innymi koleżankami! Wiedziałam jedno – na pewno nie idę na wolność. Zabrałyśmy się do pakowania moich rzeczy. Najbardziej pomagała mi Myszką. Kiedy drzwi się otworzyły i Stasieczka oznajmiła, że jest spacer, na to Myszką z oburzeniem: „Ależ pani oddziałowa, my pakujemy Czaplińską”. No i na spacer poszła następna cela.

Znalazłam się w „dziesiątce”. Cela była większa, zastałam w niej ponownie Ludkę Kot, Ukrainkę – Wierę Szot¹⁶³, Kasię Sobeską, Marylkę

¹⁶³ Wiera Szot, skazana za przynależność do UPA.

Andres¹⁶⁴, Ewę Stolarską oraz (nie pamiętam jej imienia) Cezanis¹⁶⁵. Ta ostatnia – kapuś i komunistka – żyła swoim odrębnym życiem. Prawie się z nią nie kontaktowałyśmy. Budziła we mnie wstręt pomieszany z litością, że oto ta zagorzała komunistka, wygłaszająca zdania w rodzaju: „Lenin mnie uczył pisać”, jest więźniem w swoim wymarzonym ustroju. Jej obecność, która nas we wszystkim krępowała, dała mi się tak we znaki, że jeszcze wiele lat po wyjściu na wolność straszyla mnie we snach.

W „dziesiątce” czułam się znacznie gorzej, już choćby ze względu na Cezanis. Próbowalam się uczyć rosyjskiego od Kasi, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nauczyłam się jakiegoś wiersza Lermontowa¹⁶⁶ i innego poety. Bardzo mi się one podobały i pamiętałam je przez długi jeszcze czas; teraz też coś mi się czasem przypomina i kołaczę po głowie wiersz o „aduwańczyku” i „strikozu”.

W „dziesiątce” nie siedziałam długo, dwa, może trzy miesiące. W końcu czerwca wezwano mnie z celi. Myślałam, że idę na widzenie, na które bardzo czekałam, ale okazało się, że jest to jakieś nowe śledztwo. Już nie pamiętam, o co mnie pytano. Przyjechał ktoś specjalnie z Warszawy; mówił, że może będę wezwana jako świadek na procesie, ale przy okazji pytał też o warunki więzienne. Powiedziałam, że zawsze byłam dobrym pracownikiem i chciałabym pójść do pracy. Dowiedziałam się, że jestem trudnym więźniem i w związku z tym szanse są niewielkie. Rozmowa trwała bardzo długo. Gdy miałam się już odmeldować, zobaczyłam leżące gazety i zaryzykowałam wypowiedzenie prośby o gazety, których w suzerenności nie dostawałyśmy. On zapytał: „a jak przeniesiecie?” Powiedziałam, że włożę za pazuchę. Tak też zrobiłam, a on dyskretnie odwrócił się do mnie tyłem. Triumfalnie wkroczyłam do celi z gazetami. Radość była ogromna.

¹⁶⁴ Maryla Andres, skazana za przynależność do WiN.

¹⁶⁵ Cezanis (Cessanis) – komunistka, żona aktywisty komunistycznego.

¹⁶⁶ Michaił Lermontow (1814–1841), ros. poeta, dramaturg, prozaik, wybitny przedstawiciel romantyzmu rosyjskiego. Za napisanie wiersza *Śmierć poety*, poświęconego A. Puszkiniowi w 1837 r. został skierowany do pułku na Kaukazie, w 1840 r. został zesłany ponownie na Kaukaz gdzie zginął w pojedynku. Autor m.in. poematu *Demon*, *Laik Klasztorny*, dramatu *Maskarada*, powieści *Bohater naszych czasów*.

Parę dni później zabrano mnie z sutereny do pracy na podwórku. Siedziałam wtedy z Basią Białostocką¹⁶⁷, Stefą Onyszkiewicz¹⁶⁸ i Maryjką Kolską¹⁶⁹. Był to cudowny okres dwóch miesięcy pracy na powietrzu. Pracowałam przy remoncie gmachu administracyjnego i wyładowywaniu wypisków oraz prowiantów do kuchni. Było powietrze, swoboda w poruszaniu się w obrębie podwórka, wchodzenie na dach, skąd rozbierało się dachówki, patrzenie na Wisłę, obserwowanie ludzi czekających na widzenia. Jednym słowem – przedsmak wolności. Słońce i Wisła – rzeka mojego dzieciństwa i młodości, tak bardzo bliska i swojska. Była to niewypowiedziana radość. A i sama praca fizyczna dawała satysfakcję. Zaraz na drugi dzień po wyjściu z sutereny zostałam ponownie wezwana do tego samego mężczyzny. I wtedy zorientowałam się, że to nie żaden „śledź”, a jakiś inspektor z MBP. Powiedział, że zawdzięczam mu pójście do pracy. Mówił też o trudnościach, na jakie napotkał przy jej załatwianiu. W tym krótkim czasie mojej pracy na podwórku, bardzo dużo moich koleżanek było wciąż wzywanych na rozmowy. A ja byłam szczęśliwa, że mam już to z głowy. Rzeczywiście, już nikt mnie potem nie wzywał. Pracowałam solidnie i z radością do chwili, gdy w nocy 26 sierpnia kazano nam się spakować, oddano nasze depozyty i załadowano nas do ciężarówki. Razem z koleżankami z sutereny zawieziono nas do Inowrocławia, gdzie zaczął się zupełnie inny okres mojego życia.

19. Listy z Fordonu

Fordon, 14 XI 1948 r.

Kochana moja Matko!

Już cztery miesiące [minęły] od widzenia [się] z Tobą. Bardzo jestem niespokojna i czekam na widzenie i list. Czy jesteście wszyscy zdrowi? Ja

¹⁶⁷ Barbara Białostocka – sądzona w sprawie Gorzkowskiego i płk. Lipińskiego z Komitetu Porozumiewawczego.

¹⁶⁸ Stefania Onyszkiewicz, skazana za przynależność do UPA, żona jednego z dowódców UPA – „Oresta” – Mirosława Onyszkiewicza, skazanego na karę śmierci i straconego w Warszawie latem 1950 r.

¹⁶⁹ Maria Kolska (ur. 1911 r.), żołnierz AK. Współpracownica Heleny Żurowskiej – emisariuszki rządu londyńskiego (patrz przyp. 227). Aresztowana 13 X 1948 r. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 4 II 1949 r. skazana na karę dożywotniego więzienia. Zmarła 15 VI 1953 r. w więzieniu w Inowrocławiu.

czuję się dobrze i o mnie się nie martwcie. Paczki można dostawać dwie na miesiąc. Proszę o przysłanie: czosnku, grzebienia gęstego i zwykłego, ciepłych reform i skarpetek, mojej szarej kurtki z koca na ciepłej podszewce. Te rzeczy można podać w osobnej paczce. Proszę także o przesłanie fotografii dzieci Bogny i Marysi. Matuś, czy Ty jesteś zdrowa? Jak się chowa najmłodszy synek Marysi? Cukier proszę przysyłać w woreczku i pamiętać o ligninie. Jeśli możecie to wpłaćcie mi trochę pieniędzy na depozyt. Jestem bardzo zadowolona, że jestem tutaj. Chodzimy codziennie na spacer. Proszę także o witaminy. Bardzo proszę, niech Kazik i Bogna napiszą do mnie. Czy widziałas się z Cezarym? List tamten, z czerwca, dostałam. Przyślijcie mi koniecznie papier listowy i znaczki. Ja mogę pisać raz na miesiąc. Myślę ciągle o Was wszystkich. Mam nadzieję, że będziesz mogła do mnie przyjechać niedługo, a może Bogna też kiedyś przyjedzie? Jak idą studia Kazika? Czy już jest na trzecim roku? Czy Cezary skończył uniwersytet? Z całego serca całuję Twoje ręce i całe rodzeństwo całuję i ściskam.

Fordon, 5 XII 1948 r.

Matuś moja najserdeczniejsza!

Tak bardzo ucieszyłam się Twoim widokiem i wszystkimi wiadomościami. List Twój i Bogny otrzymałam. Za obydwie paczki bardzo, bardzo serdecznie dziękuję i za wszystko w nich zawarte. Wszystko z takim pomysłem posłane! Matuś, proszę nie przysyłajcie mi mydła, bo mam dosyć, najwyżej od czasu do czasu toaletowe, takie, jakie dostałam. Bardzo przyjemnie się nim myje. Na Święta można przysłać dodatkową paczkę 6 kg, niezależnie od dwóch normalnych. Bardzo proszę o: 1. Pumeks, 2. Krople cynkowe do oczu z pipetką, 3. Jakąś lekką powieść angielską dla wprawy w tym języku, ale nie klasyków, bo to jeszcze zbyt trudne dla mnie. Tylko wydana po wyzwoleniu. Jeżeli oczywiście będziecie mogli kupić, to będę strasznie się cieszyć. Możemy dostawać wszelkie książki wydane po 1945 r. List ten piszę z myślą o zbliżających się Świętach, myślą i sercem będę z Wami, jak zawsze zresztą. Fotografie dostałam i proszę o więcej. Matuś, czy moglibyście zaprosić Cezarego na Wigilię? Tak myślałam o tym, jeśli oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie? Myślę, że Cezary mógłby przyjechać na widzenie w tym miesiącu, kiedy Ty nie będziesz mogła. Czy Bogna przyjedzie do mnie? Ja czuję się dobrze. Oczy też w porządku, tylko trochę ropieją, dlatego proszę o krople. Cału-

ję Was z całego serca i Bolka¹⁷⁰ proszę, żeby zrobił zdjęcie podczas Świąt. Ręce Twoje całuję.

P.S. Dopisek do Cezarego.

Fordon, 6 I 1949 r.

Matuś moja kochana!

Jak Ci mam za wszystko dziękować? Proszę Cię, podziękuj ode mnie wszystkim, którzy o mnie myślą i pamiętają. List Twój taki kochany dostałam. Czekam i wyglądam następnych. Jak spędziliście Świąta? Nasze były bardzo przyjemne. Dużo było ruchu i gwaru przedświątecznego, zwłaszcza jak przychodziły paczki. Myślałam z Wami kochanymi, a także cofnęłam się w przeszłość do wspomnień dzieciennych. Jaką Ty masz intuicję, Matuś, przysyłając mi fotografie Tatusia i Babuńki. Właśnie chciałam prosić o nie. To zupełnie tak, jakbyś znała moje myśli. Bardzo, bardzo dziękuję za książkę – bardzo ciekawą. Cieszę się ogromnie, bo dałam sobie radę z angielskim, tylko niewiele słówek mi brakuje. Jeśli to możliwe, to prosiłabym [...]. Szalenie mnie to cieszy, że już częściowo opanowałam język. Proszę bardzo o maszynki do podwiązek. Tytoń, który mi przysyłasz, bardzo mi smakuje. Jeszcze raz bardzo dziękuję za wszystko. W listach pisz, Matko, nawet o najdrobniejszych szczegółach Waszego życia, bo mnie to wszystko obchodzi i bardziej zbliża. Do Cezarego napisz, Matko, w moim imieniu, że ucieszyłam się ogromnie z fotografii, że uważam ją za bardzo dobrą. Podoba mi się, bo ma dużo wyrazu. Dostałam ją akurat w dzień Wili, więc miałam uczucie, że byliśmy bliżej sobie. Proszę, niech On podziękuje Matce swojej za pamięć o mnie. Myślę, że paczkę można wysłać. Proszę tylko o podanie jej adresu, żebym wiedziała, skąd paczka przychodzi. Jak Bogna ułożyła swoje plany na przyszłość? Myślę, że trudno Ci będzie przyjeżdżać z racji kosztów podróży do mnie. Może Hanka¹⁷¹ mogłaby czasem mnie odwiedzić? a czasem Cezary? Pogoda jest śliczna, używamy na spacerach, zawsze z radością oglądam Wisłę. Myślę ciągle o Was i całuję wszystkich, począwszy od Pawełka. Czy Marysia dobrze się czuje? Czekam na wasze listy. Powiedz

¹⁷⁰ Bolesław Knabe.

¹⁷¹ Anna Czaplińska-Tomaszewska, stryjeczna siostra Ruty Czaplińskiej.

małemu Krzysiovi¹⁷², że 15 bm. będę się modliła za Jego Tatusia. Czy on [jest] zdrów?

Ręce Twoje całuję i wszystkimi myślami [jestem] z Wami.

Fordon, 5 II 1949 r.

Kochana Matuś moja!

List Twój dostałam, paczkę też. Bardzo dziękuję za wszystko. Bardzo proszę, żeby na wierzchu każdej paczki było wyraźnie zaznaczone, jaka to paczka (żywnościowa, książki itp.), bo inaczej mogą zachodzić pomyłki. Czy wpłaciłaś mi pieniądze na depozyt? Tydzień temu wysłałam swój depozyt odzieżowy do Marysi. Proszę o przesłanie: 1. Samouczka rosyjskiego, 2. Kostek Maggi, 3. Trochę szarej wełny do cerowania skarpet. Ja czuję się dobrze i jestem zdrowa. Myślę ciągle o Was. Czy Ty jesteś zdrowa? Zmartwiłam się tym, co piszesz o Witusiu, że jest wąty. Jak Bogna urządziła sobie życie? Czy będzie mogła studiować? Za wszystkie fotografie bardzo dziękuję. Tadeuszek¹⁷³ [jest] bardzo podobny do Bolka. Czekam na Pawełka. Pisząc do cici Nusi powiedz, że bardzo serdecznie o Niej myślę. Zawsze pamiętam serce, które mi okazała, zawsze. Jestem teraz zajęta robotą na drutach. Robię sweterki z angory. Jak będziesz mogła, to proszę o książki, ale nie ma pośpiechu, bo jeszcze mam co czytać. Napisz do Cezarego, że za list bardzo dziękuję, że mnie zawsze wszystko żywo obchodzi, co się tyczy jego. Myślę o nim i o egzaminach, które go czekają, z pragnieniem, żeby mu poszły jak najlepiej, a wtedy będę czekała na widzenie z nim. Co u Kazika? Tak mało o nie wiem, może kiedyś napisze? Tyle lat już go nie widziałam i tęskno mi do Brata. Nie mam nadziei zobaczyć Bognę, bo teraz będzie jej zbyt trudno. Ty, Matuśko, tylko nie martw się o mnie. Bardzo tylko proszę o listy, bo wiem, że jak tylko będziesz mogła to przyjedziesz. Miałam wrażenie podczas widzenia, że marnie jakoś czujesz się psychicznie. Chciałabym, żebyś wiedziała, ile o Tobie i o Was myślę, jak ciągle jestem z Wami całym sercem. Cieszę się, że chociaż moje rzeczy przydają się Wam, to jedyna radość. Pogodę mamy śliczną, dni lecą szybko i już trzy lata się kończy. Matuś moja, ręce Twoje całuję i proszę ucałuj ode mnie wszystkich, od dzieci poczynawszy. Marysi podziękuj za troskliwość o paczki. Sercem z Wami.

¹⁷² Syn Leszka Roszkowskiego.

¹⁷³ Syn Marii Knabe.

Fordon, 3 IV 1949r.

Kochana Matus moja!

Jak Twoja noga? Czy już całkiem dobrze się czujesz? Bardzo się niepokoiłam o Ciebie. Dopiero Hanka powiedziała mi wszystko o Tobie. Bardzo się ucieszyłam z widzenia Hani i proszę, napisz jej to ode mnie, że bardzo jej dziękuję. Paczka była bardzo dobra. Proszę nie przysyłać mi żadnych pism, najwyżej „Problemy”, ale od razu kilka numerów, co parę miesięcy. Bardzo proszę o jakieś letnie pantofle podbite gumą, szczególnie obcasy i letnie skarpetki, ale nie do kolan, oraz pieniądze, bo wprawdzie dostałam 1000 zł, ale wykupiłam paczkę od Matki Chrzestnej¹⁷⁴. Samouczek rosyjski dostałam i uczę się. Poproszę o jakieś łatwe czytanki. Czytałam ostatnio bardzo ładną powieść Gołubiewa *Puszcza i Szło nowe*. Chciałabym, abyś ją przeczytała, bo i język i treść są bardzo dobre. Myślę ciągle o Tobie i o Was wszystkich. List dostałam i czekam na drugi. Dużo rzeczy sobie przemyślałam i wiem, że teraz będę w stosunku do Ciebie bardziej bezpośrednia i nie zamknięta. Matus moja, na Święta paczka dodatkowa [możliwa], jak na Boże Narodzenie. Pisz mi, Matus, o wszystkim. Cieszę się, że Wituś¹⁷⁵ zdrów i Kazik tak dobrze sobie radzi.

Fordon, 8 V 1949 r.

Matus moja kochana!

List Twój i Cezarego dostałam. Twój z Łodzi. Paczkę także. Za buty dziękuję, są śliczne, tylko się martwię, że może zbyt drogie. Nie umiem Ci Matus nawet powiedzieć, jak bardzo, bardzo dziękuję Ci za wszystko, Tobie i wszystkim bliskim. Zawsze i wszędzie czuję Twoje kochające serce, Matus moja. Nie potrafię wyrazić całej mojej miłości do Ciebie. Pisząc list myślę, że Ci o tym napiszę – i nie potrafię. Tak samo [jest] na widzeniu. Mam Ci zawsze tyle do powiedzenia i tyle prośb, że potem zdaję sobie sprawę, że wszystkie moje słowa brzmią bardzo sucho i obco. Myślę ciągle o tym, aby kiedyś w przyszłości było Ci dobrze. Marzę o tym, żebyś miała, Matulko, swój dom w moim domu i żeby Ci było, Matulko, dobrze ze mną. Wiem, że za mało żyłaś moim życiem przedtem, bo ja zbyt mało dawałam Ci. Widzę to wszystko wyraźnie i wiem, że teraz będzie zupełnie

¹⁷⁴ Matka Cezarego Platera – Alina Zahorska, mieszkająca w Londynie.

¹⁷⁵ Syn Bogny Grabowskiej.

inaczej. Matus moja! Czy czujesz się dobrze fizycznie i psychicznie? Mam wrażenie, że jesteś zmęczona. Stąd brak wiary w swe siły, jeśli chodzi o wychowanie dzieci. Siostram i Kazikowi bardzo podziękuj za wszystko. Bardzo bym chciała, żeby Kazik napisał kiedyś do mnie. Tak mnie wszystko interesuje, co się tyczy Was, kochani. Teraz jak zwykle proszę: 1. Pieniądze na depozyt, 2. Pudełeczko do proszku do zębów, 3. Drewniane pudełeczko na tytoń. Ciągłe mam jakieś prosby i martwię się, że zamiast Wam pomóc, jestem ciągłym ciężarem. Mam nadzieję, że kiedyś to się zmieni i będę mogła choć trochę odwdziaczyć się Tobie, Matus, za wszystko, co dla mnie robisz. Proszę, Matus, przed wyjazdem wstap zawsze do Kingi¹⁷⁶ i dowiedz się, co u niej slychać, to mnie zawsze bardzo interesuje i napisz mi też, jak jest z jej zdrowiem? Co slychać u Hanki Dobrowolskiej? Jak zdrowie Marysi i dzieci? Proszę bardzo o fotografie. Tym razem nie piszę do Cezarego, bo myślę, że się z nim zobaczę i sama mu wszystko powiem. W każdym razie serdecznie mu za wszystko dziękuję i za jego serdeczny list. Hani naszej bardzo dziękuję za zajęcie się moją osobą i paczkami. „Problemy” czytam, a *Genetyki* jeszcze nie dostałam, ale na pewno już niedługo otrzymam. Dziękuję bardzo. Z pracy jestem bardzo zadowolona. Czuję się dobrze. Słucham rechotania żab i przypomina mi się dom; Wisła jest śliczna. Ręce Twoje Matus całuję i proszę ucałuj ode mnie Bolków i Dzieci i Kazika. Raz jeszcze całuję.

Fordon, 3 VII 1949 r.

Matus moja najśladza, kochana

List otrzymałam, a bardzo go już wyglądałam. Za wszystko bardzo, a bardzo dziękuję. Marzę tylko o tym, byś mogła pisać do mnie dwa razy na miesiąc. Taka ciekawa jestem dzieci i ich rozwoju. Myślę o was wszystkich, tak bardzo mi bliskich i kochanych. Może by siostry czasem napisały do mnie, tak bardzo miło mi było otrzymać liścik od Marysi. Odsyłam pięć fotografii dzieci. Wszystkie zdjęcia dają mi tyle radości. Matus, słowa Twego listu, że mogę Ci cośkolwiek dać z siebie pomimo oddalenia, to olbrzymia radość dla mnie i podtrzymanie wewnętrzne. Żebym mogła Ci umniejszyć Twoich kłopotów i zmartwień i trudności wewnętrznych! Czekam na list od Cezarego. Tym razem nie piszę do Niego, bo chcę parę słów napisać do

¹⁷⁶ Kinga Szymborska – siostra Wandy Salskiej.

Hanki. Myślę o Bognie i o tym, żeby jej życie jakoś się ułożyło, żeby mogła mieć swoje mieszkanie. Matuś, proszę, jeśli można, o pieniądze na depozyt, bo wypiski można robić, o ile ma się na koncie ponad 1000 zł. Matuś, szaloną frajdę zrobiłaś mi *Genetykę*. Czytam ją z radością i cieszę się, że mózg pracuje i przypominam sobie to, co zapomniałam. Martwi mnie to, że się wymęczysz jazdami do mnie, ale każdy Twój przyjazd to takie wielkie święto dla mnie. Nie wiem, czy przyjedziesz w tym miesiącu, bo nie piszesz. Ręce Twoje i Was wszystkich bardzo kocham. Czy pamiętacie o mszy za Babcię? Matuś moja, bardzo moja.

Kochana Haniu

Chociaż parę słów w związku z Twoimi imieninami. Tak bardzo serdecznie dziękuję Ci za pamięć o mnie, tak namacalnie popartą paczkami. Strasznie mi było miło zobaczyć Cię. Bardzo Cię proszę o fotografię Marka i Ewy. Może napiszesz do mnie? Często myślę o Tobie i naszych wyprawach handlowych. Dobrze nam było, prawda? Nie umiem skłecić żadnych życzeń, ale Ty wiesz, że to, co Ty sama najbardziej chcesz dla siebie, tego i ja Ci życzę. Wszystko, co mi posyłasz jest pierwszorzędne i jeszcze raz Ci dziękuję. Myślą biegnę wstecz do tylu imienin, jeszcze „sycyńskich”, Całuję Cię bardzo, bardzo serdecznie, a Ty ucałuj Iżę, Ewę, wszystkich bardzo serdecznie pozdrawiam i skrobnij do mnie, kochanie. Dla Cezarego pozdrowienia i ucałowania.

Fordon, 31 VII 1949 r.

Kochana moja Matuś!

List Twój wczoraj dostałam. Cieszę się z niego bardzo. Nigdy nie wątpię w myśl Twoją o mnie, tylko tak bardzo tęsknię do listu od Ciebie, Matuś kochana. Strasznie się cieszę, że jedziesz do Kazika i tak dobrze rozumiem Twoją radość i bardzo Ci to jest potrzebne. Tęsknię bardzo do niego, bo najmniej mam o nim wiadomości, a przez czas mojej nieobecności najbardziej on się zmienił i dorósł i teraz jest dla Ciebie już oparciem. Śnił mi się dziś Szymon tak bardzo wyraźnie. Mówiłam mu, że tak dobrze teraz go odczuwam i rozumiem. Miałam takie namacalne poczucie obecności braterskiej. Za fotografię dziękuję. Jeszcze jej nie widziałam, ale już się na nią cieszę. Odsyłam dwa zdjęcia. Tadeusz robi furorę, że jest taki śliczny. Matuś! Jak mam Ci za wszystko dziękować? Kocham Cię tak bardzo i wczuwam się w Ciebie i marzę o tym, by móc być z Tobą. Matuś najdroższa!

O paczkę higieniczną nie martw się, dałam sobie radę. Kupiłam z wypiski, co mi było potrzebne. Dziękuję Hani za wszystko. Jeśli można, to jednak prosiłabym, żebyś w tej drugiej paczce higienicznej przysłała mi papierosy lub tytoń, bo Hance może trudno jest przysłać więcej, a 40 sztuk, które dostałam ostatnio nie wystarcza mi, więc to będzie najprostsze. Trudno mi dzisiaj pisać i zebrać myśli. Liczę bardzo na to, że napiszesz do mnie z Gdańska. Czekam na jakieś wiadomości o Cezarym i od niego, bo nic nie piszesz. Bardzo się cieszyłam z widzenia, było bardzo przyjemnie. Ręce Twoje całuję i oczy.

Maryś, siostrzyczko kochana!

Myślę o Twoich i Bolka imieninach. Tak trudno mi wypowiedzieć, co czuję. W oczach mam Twoją buzię, tak jak Cię widziałam w Warszawie. Smutno mi było, że nie mogliśmy wtedy rozmawiać. Czas szybko leci, kochanie. I mam nadzieję, że zobaczymy się przecież kiedyś. Taka jestem ciekawa Twoich dzieci. Jak porosły i zmieniły się. Żal tego czasu, w którym nie mogłam ich obserwować. A teraz połowy ich nawet nie znam. Pewno Małgosia¹⁷⁷ moja już mnie nie pamięta. Nie dziwi mnie to, bo to było takie maleństwo. Zawsze myślę o Twoich dzieciach i ciekawa jestem wszystkich szczegółów o nich. Napisz do mnie kiedyś troszeczkę obszerniej – kochanie – dobrze! Pracuję i jestem zadowolona. Mamy teraz świetlicę i było przedstawienie na 22 lipca. Była to dla mnie duża rozrywka. Pisząc do Bogny ucałuj ją ode mnie. Myślę o Was ciągle. Bolek pewno nie ma czasu na fotografowanie. Matka mówiła, że jest bardzo zapracowany. Maryś, pisz mi o dzieciach i o sobie, i o was. Co słyhać u Zbyszków? Jak mały Krzyś?¹⁷⁸ Zawsze o nim pamiętam i o jego dziadkach. Całuję Cię bardzo serdecznie, Bolcia i dzieci całuję.

Fordon, 2 X 1949 r.

Matuś moja najdroższa i bardzo kochana!

List Twój urodzinowy mam głęboko w sercu i chciałabym móc porozmawiać z Tobą o wszystkich swoich 3-letnich osiągnięciach życiowych. Matuś moja, czy miałaś jakąś przykrość, bo wydawało mi się na widzeniu,

¹⁷⁷ Cóрка Marii Knabe.

¹⁷⁸ Syn Leszka Roszkowskiego.

że jesteś jakaś smutna. Mnie tak zawsze przykro, że nic nie mogę dla Was zrobić, że jestem tylko ciężarem, ale zawsze dziękuję Bogu, że mi dał Was, tak bardzo kochanych i kochających. O Kaziku myślę, całym sercem go ogarniając. Ciepłe rzeczy + reformy proszę wyslij najlepiej pocztą. Czekam teraz na przyjazd Marysi. Po tylu latach Ją zobaczę, aż się boję, że z wrażenia nie będę mogła znaleźć słów. Tak to czasem bywa, prawda? Jeśli chodzi o paczki, to tak jak już pisałam. Jeśli masz boczek, to jednak lepiej przetopić, to się lepiej kalkuluje, na dłużej wystarczy. Suchary mogą być usmażone w tłuszczu, żeby nie były bardzo twarde. Ewentualnie, poza tym, zamiast cukru 0,5 kg marmolady. Proszę Cię, Matuś, nie martw się nigdy o mnie. Ja czuję się dobrze. W pracy czas schodzi szybko, znaczony widzeniami, listami i paczkami. Mamy także co tydzień świetlicę, która nam dostarcza rozrywki. Jeśli możesz to bardzo proszę o regularne przysyłanie pieniędzy co miesiąc. Możemy sobie kupować owoce aż do grudnia. Już jedną wypiskę dostałyśmy. Mam dużo radości z jabłek. Matuś, bardzo podziękuj Jadwini¹⁷⁹ za list, pamięć i za całe jej serce. Myślę zawsze o Niej, jak i o wszystkich bliskich. Tak samo o cioci Nusi¹⁸⁰ i o Zosi¹⁸¹. Napisz mi jak jest na grobie Tatusia. Co tam słyszać? Jak ciocia Marynia¹⁸²? Od Bogny spodziewam się listu. Matuś najmilejsza moja, tyle, tyle chciałabym Ci powiedzieć, jak bardzo Cię kocham i jak bardzo chciałabym w przyszłości otoczyć Cię miłością i opieką. Ręce Twoje kochane całuję i wszystkich bardzo, bardzo z całego serca całuję. Okulary są świetne. Bardzo dobrze pasują. Matuś, do widzenia.

Fordon, 2 II 1950 r.

Matuś moja najserdeczniejsza i bardzo kochana!

Bardzo, bardzo Ci dziękuję za buty, które po naprawie są bardzo dobre i wygodne i tak lekko się w nich chodzi, że nie czuję ich na nogach. Matuś moja, jak można, to poproszę o witaminy Gobeeca. Za wszystko bardzo, bardzo dziękuję. Jestem ciągle pod wrażeniem widzenia. Myślę ciągle o Tobie, a także o jutrzejszej Twojej i Bogny rocznicy. Czy Bogna pisała? Bar-

¹⁷⁹ Jadwiga Trepka, cioteczna siostra Ruty Czaplińskiej.

¹⁸⁰ Felicja Szczęsna Małynicz.

¹⁸¹ Zofia Małynicz.

¹⁸² Maria Rutkowska.

dzo chciałabym mieć jakieś wiadomości od niej i od Dzisi¹⁸³. Obydwie mocno całuję. Cieszę się, że im jest razem dobrze! Matus, gdybyś jadąc do cioci Ireny¹⁸⁴ widziała się z Janką¹⁸⁵, to powiedz jej dużo serdeczności ode mnie, bo wiesz przecież, że Ona jest mi bardzo bliska. Strasznie bym chciała, abyś mogła trochę odpocząć i wyrwać się z kręgu tylko dzieci, które są kochane bardzo, ale jednak absorbują i męczą. Że też ja nic dla Ciebie zrobić nie mogę, moja Matus najdroższa! Listu Twego jeszcze nie dostałam. Czekam na niego każdego dnia. Czytam teraz i bardzo przeżywam *Noce i dnie*, które mamy w naszej bibliotece więziennej. Wiesz Matus, Bogumił tak bardzo przypomina mi nieraz naszego Tatusia. Ty zresztą chyba to samo czujesz. Myślę często o Ojcu i tak bym chciała móc z Tobą dużo porozmawiać. Matus, poproś Zosię, żeby przysłała mi kiedyś swoje zdjęcie w jakiejś roli. Odeślę Jej później w liście, a bardzo bym chciała zobaczyć. Myślą obcuję ciągle z Wami. U mnie wszystko dobrze. Praca jest dla mnie prawdziwym błogosławieństwem (powiedz to Cezaremu). Jak się czuje Marysia? Napisz mi jak się ułożą Twoje projekty wyjazdu. Całuję Twoje ręce i proszę ucałuj wszystkich. Cieszę się, że Kazik jest w takiej dobrej formie i żyć Mu wszystkiego najlepszego.

Fordon, 5 III 1950 r.

Matus moja najdroższa!¹⁸⁶

Myślę o Twoich imieninach i chciałabym umieć przelać na papier całą moją miłość i pragnienie, żebyśmy mogły być kiedyś znowu razem. Jestem tak bardzo niespokojna brakiem wiadomości od Ciebie; ani listu, ani widzenia, ani paczki. Czy nie jesteś czasem chora? Trudno mi bardzo dlatego zebrać myśli, bo nie umiem sobie wytłumaczyć, co się u Was dzieje. Matus, zapytaj Pani Broni¹⁸⁷, jak się czuje Ewa¹⁸⁸ i co u niej słychać. Myślałam dużo o Kaziku, chciałam mu przesłać wszystkie moje najserdeczniej-

¹⁸³ Zdzisława Kasprzycka-Drożdż.

¹⁸⁴ Irena Barthel de Weydenthal, przyjaciółka matki Ruty Czaplińskiej.

¹⁸⁵ Janina Oszaś.

¹⁸⁶ List ten napisany został w czasie pierwszych dni pobytu w suterenie, gdy p. Ruta Czaplińska była przekonana, że zostanie przewieziona na wschód. Zaszyfowała w nim wiadomość, że może być wywieziona i by Matka dowiadywała się co z nią przez siostrę Janiny Warzyckiej, która została w Fordonie.

¹⁸⁷ Siostra Janiny Warzyckiej.

¹⁸⁸ Ewa – Ruta Czaplińska.

sze uczucia siostrzane i życzenia imieninowe. Bardzo się cieszę jego szczęściem i chciałabym, żeby mu się życie ułożyło jak najlepiej. Nie wiem, co słychać u Bogny, pewnie jest bardzo zapracowana, ale mogłaby czasem choć słówko napisać. Matus, tak bardzo ciągle myślę o Tobie i o was wszystkich. Jeśli nie będziesz mogła przyjechać do mnie w marcu, to może by Hania przyjechała? a w ogóle błagam Cię, napisz zaraz kartkę. Jak zdrowie Marysi? Zitka¹⁸⁹ pisała mi, że jej średnia córeczka¹⁹⁰ jest zaproszona do cioci Władzi¹⁹¹. Napisz mi, kochanie, jak ona teraz wygląda, czy bardzo urosła? Ty wiesz, jak bardzo kocham wszystkie dzieci i bardzo czekam na obiecane fotografie. Do Cezarego dziś nic nie piszę. Czekam natomiast bardzo listu od niego. Chciałabym, żeby wiedział, jak bardzo mi go brak. Za buty bardzo dziękuję, bardzo mi się przydają, są takie ciepłe. Proszę tylko o mocne sznurowadła, bo już mi się porwały. I proszę o pastę do zębów. List mój jest trochę chaotyczny, ale to dlatego, że tak bardzo niepokoję się o Ciebie, brakiem wiadomości. Jeśli możesz, to proszę o pieniądze na depozyt. Ja czuję się dobrze. Jutro imieniny wujka Wiktora¹⁹², napisz parę słów ode mnie. Całuję Cię z całego serca i ucałuj ode mnie wszystkich.

Fordon, 2 IV 1950 r.

Matus moja najserdeczniejsza!

Kartkę Twoją wczoraj otrzymałam i bardzo Ci za nią dziękuję. Cieszę się, że jesteście zdrowi. Dostałam dwa dni temu Twój list z 5 lutego, w którym piszesz mi o liście Kazika i jego zaręczynach. Matus, nie pisz rzeczy niewłaściwych, bo połowa Twojego listu została skonfiskowana, a mnie zależy na otrzymywaniu listów od Ciebie. Matus, proszę, nie przysyłaj mi na razie odżywek witaminowych, bo mam jeszcze dość, a natomiast bardzo proszę o cebulę i trochę oliwy. Również i bibulek do papierosów wystarczy mi przynajmniej na dwie paczki. Książek żadnych proszę mi nie przysyłać. I jeszcze jedna prośba, żeby w smalcu było więcej tłuszczu, bo skwarki mało ekonomiczne. Pieniądzy mam dość. Sprawdzałam, w depozycie mam ok. 7 tys., więc mi nie potrzeba. Matus, wszystkim za wszystko dziękuję i pamiętam. Pewnie Ci będzie trudno wyjechać do mnie w okresie

¹⁸⁹ Matka Ruty Czaplińskiej.

¹⁹⁰ Ruta Czaplińska.

¹⁹¹ W zaszyfrowanej formie: władze.

¹⁹² Wiktor Hłasko.

świąt, więc się tym nie martw. Czekam tylko na list. Kazikowi moje najlepsze siostrzane życzenia i prośba, żeby się tak nie spieszył, niech skończy studia. Bardzo jestem ciekawa Twoich wrażeń co do przyszłej synowej. Myślę, że mi o niej opowiesz. Napisz mi tylko, kiedy się wybierasz. Trudno mi zebrać myśli i list chaotyczny. Ręce Twoje całuję z całego serca. Fotografie odsyłam.

Fordon, 2 VII 1950 r.

Matuś moja najukochańsza!

Tęskno mi do podzielenia się z Tobą swoimi myślami. Bardzo czekam na Twój list i obiecane fotografie Krzysia i Wojtusia¹⁹³. Czy dostaliście mój poprzedni list pisany do Bogny? Matuś moja, proszę Cię, pisz możliwie wyrażnie, bo to ułatwia cenzurę listów. Widzenie z Hanką sprawiło mi dużą przyjemność. Hanka jak zawsze żywo i z humorem poopowiadała mi dużo rodzinnych historii. Cieszę się, że samopoczucie Bogny [jest] teraz takie dobre i że dzieci jej tak zdrowo się chowają. Matuś, jak na razie mam dosyć ligniny, więc nie przysyłaj. Natomiast proszę o sól (Hanka pamiętała o niej) oraz proszę o ramiączka do stanika i dużą chustkę do nosa. Tak bardzo chciałabym, byś mogła pojechać w sierpniu do cioci Nusi. Gdyby wyjazd do mnie stał temu na przeszkodzie, to nie przyjeżdżaj do mnie, tylko [jedź] do cioci. O cioci Nusi zawsze tak bardzo serdecznie myślę i mam w pamięci Jej dobroć dla mnie zawsze, a szczególnie w czasie moich przyjazdów do Niej. Myślę ciągle o Marysi, czy już mam piątego siostrzeńca? Modlę się w Jej intencji. Czy Kazik przyjedzie do Łodzi z Wandą? Nie wiem, co myśleć o milczeniu Cezarego, bo uważam, że w każdym razie powinien do Ciebie napisać choć parę słów – to męczy. Ja, Matulko, czuję się dobrze. Staram się wnikać w siebie i przez analizę dochodzić do syntezy. Niektóre moje wewnętrzne osiągnięcia cieszą mnie, ale to drobiazgi w porównaniu z całością. Nie wiem, czy Cię w tym miesiącu zobaczę, czy będziesz mogła [przyjechać]. Wiesz, że zawsze bardzo czekam na Ciebie, Matko, a w każdym razie na list. Dzisi bardzo dziękuję za życzenia imieninowe. O rocznicy śmierci Tatusia pamiętam, jak zresztą o wszystkich naszych rocznicach. Często myślę o Ojcu i wydaje mi się, że w miarę upływających lat jego brak coraz bardziej odczuwam. Matuś! Ogarniam Was kochanych nieustanną myślą i marzę,

¹⁹³ Syn Marii Knabe.

żeby móc się Wam odwdziżyć w przyszłości. Czy Jadwinia pisała do Włodków? Matus, dziękuję za charakterystykę dzieci Marysi. Mnie tak to interesuje. Całuję Twoje kochane Matczyne ręce z całą miłością, a Ty, Matus, ucałuj wszystkich bliskich. Ucieszysz się wiadomością, że leczę zęby i powyrywałam pieńki. To było też przewycięzanie siebie. Całuję z całego serca.

Fordon, 3 IX 1950 r.

Matus moja najukochańsza!

List Twój i kartkę z 22 VIII otrzymałam szalenie szybko i miałam to poczucie łączności z Tobą, Matus. Za paczki dziękuję bardzo. Ta ostatnia zwłaszcza była taka, jakbyś odgadła moje myśli. Właśnie chciałam Cię prosić o cukier kryształ, a nie kostkę jak dotąd i nie w każdej paczce. Wystarczy mi zupełnie raz na miesiąc, bo wiem, że nie używam dużo cukru. Poza tym byłam bardzo zadowolona, że oprócz masła włożyłaś mi smalec. Pieniądze dostałam także i bardzo dziękuję. Teraz proszę; proszę o grzebienie, ściereczkę do butów, taką żółtą, pastę do zębów, jeśli możesz dostać, to Nivea. Jeśli masz trudności z dostaniem bibulek do papierosów, to przyslij mi setkę „Mocnych”. Tyle próśb Matus, a tak mam zawsze serce przepełnione wdzięcznością za wszystko. Cieszę się ogromnie, że pobyłaś trochę u Bogny. Fotografie dostałam, sprawiły mi ogromną przyjemność i odsyłam. Matus! Wszystkimi myślami moimi jestem teraz z Kazikiem. Nawet nie umiem wyrazić w słowach tego, co czuję i czego pragnę dla niego. Chciałabym choć w myślach pokonać odległość i być z Wami wszystkimi w ten tak uroczysty dla niego dzień i żeby On odczuł moją o Nim myśl. To bardzo dziwne przeżywać takie bliskie rzeczy tak daleko. Od Cezarego nie miałam żadnych bezpośrednich wiadomości i dlatego napisałam, że przecenia moją intuicję – bo na czym innym opiera się nasz stosunek? To nie zawsze jest łatwe. Czekam bardzo, Matusko, na widzenie. Ty wiesz, co to dla mnie znaczy móc zobaczyć Ciebie i porozmawiać. W myśli mi dźwięczy fragment wiersza Janka, pisanego z oflagu¹⁹⁴:

A swój żal i rozpacz na wiarę zamień
i nią miej pełne serce, i usta i ręce.
A gdy słabi przyjdą, unieś wzrok jak kamień

¹⁹⁴ W rzeczywistości wiersz ten powstał na Mokotowie. Autorem był Jan Golka (przyp. autorki).

i powiedz „ja wierzę” – nic więcej .
Gdy poczujesz, że trudno, długo i boleśnie
zawołaj i czekaj mnie we śnie.
Ja przyjdę jeszcze miłując goręcej
i będę... nic więcej

To zamiast odpowiedzi na Twój list. Tyle razy, Matus, jesteśmy razem we śnie, że wydaje mi się, że naprawdę byłam z Tobą. Tymczasem całuję ręce Twoje z całego serca, a Ty wszystkich ucałuj ode mnie. Kto będzie rodzicami chrzestnymi Wojtusia? Przeżywam bardzo wrzesień z wszystkimi jego rocznicami, może dlatego list jakiś inny mi się napisał.

Fordon, 1 X 1950 r.

Ciągle mam w pamięci, Matus, moment, w którym Cię pierwszy raz zobaczyłam cztery lata temu w Warszawie. To było dla mnie wielkie przeżycie. I teraz ilekroć, Matus, widzę Was, bardzo mocno to odczuwam i przeżywam. Uświadomiłam sobie tylko, że tak bardzo intensywnie przebywam z Wami, Kochani, w myślach. Tak bardzo żyję w świecie własnych myśli, że gdy przychodzi do realnego zetknięcia się, nie umiem odnaleźć słów właściwych, nie potrafię się uzewnętrznzić, czuję, że słowa nie oddają wewnętrznej treści. I potem, po widzeniu, wyrzucam sobie swoją „drewnianość”, bo tak bardzo bym chciała umieć podzielić się z Wami wszystkim, co wewnętrznie przeżywam. Cieszę się, Matus, że byłaś u ciotki Ireny i że jesteś jeszcze u Bogny. Niewypowiedzianie się cieszę na jej przyjazd. Kiedyś, w przyszłości, bardzo bym chciała spędzić z ciotką Ireną i u niej parę tygodni. Za paczki bardzo dziękuję. Odczuwam w nich tyle serca. Hani także bardzo dziękuję. Powiedz jej tylko, Matus, żeby nie kładła nieprzepisowych rzeczy, bo ulegają one konfiskacie. Tak samo suchary, Matus, przysyłaj zwykłe, takie jak zawsze, a nie jak w ostatniej paczce, bo takie nie są dozwolone. Proszę o cukier, zwykły kryształ, bo wolę go od kostki [...]. Ostatecznie nie wiem, czy wpłacaliście jakieś pieniądze na depozyt we wrześniu? Pytam dla porządku, nie z potrzeby, bo pieniądze jeszcze mam. Grzebyk jest śliczny i bardzo dziękuję. Ciepłe rzeczy pewnie niedługo dostaniemy. Codziennie błogosławię koc, który dostałam w zeszłym roku, jest taki idealnie ciepły.

Bardzo się cieszę, Cezary, że widziałam Ciebie zadowolonego ze zrealizowania swoich marzeń. I cieszę się bardzo, że praca Ci odpowiada.

Pamiętasz, że ja także szalenie lubiłam „żeby mi się kółka pode mną kręciły”. Ruch daje niesłychaną satysfakcję. Mam do Ciebie prośbę. Chciałabym, żeby Kazikowie mieli od nas pamiątkę. Myślałam o książce Gołubiewa *Bolesław Chrobry*. Napisz, co o tym myślisz. Myślę, że kiedyś w przyszłości pojedziemy na Twoim motocyklu do Puław i w okolice. Poznasz cały urok tych miejsc, które ja tak dobrze znam i kocham. Zawsze jestem bardzo wdzięczna cioci za pamięć o mnie, proszę napisz jej o tym. Ja czuję się dobrze, boli mnie tylko, że nie mam możliwości okazania Wam, kochanym, swojej wielkiej wdzięczności za wszystko. List pisany po ślubie Kazika dostałam.

Matuś, nasze myśli idą jednym torem. Matuś, ręce Twoje kochane całuję, a ty ucałuj wszystkich kochanych.

Fordon, 3 XII 1950 r.

Matuś moja serdeczna!

Tak się składa, że mój list dzisiejszy będzie tak mało świąteczny, ale mam bardzo dużo spraw. 1. Pisząc ostatni list nie wiedziałam jeszcze, że paczki można było otrzymywać, a Hania nie była u mnie w ubiegłym miesiącu, więc tym sobie tłumaczę brak paczek. 2. Teraz wyszło zarządzenie, że od Nowego Roku nie wolno przysyłać paczek, tylko pieniądze. Nie umiem się jeszcze zorientować, ile pieniędzy będzie mi potrzeba na miesiąc, więc proszę Cię wyślij, ile możesz, a po pierwszym miesiącu się zorientuję. Bardzo bym chciała, żebyś mogła przyjechać do mnie z paczką przed Świętami. Ale oczywiście zrobisz, jak będziesz mogła. Bardzo proszę o przysłanie: dwóch chustek do nosa, dwóch par mocnych sznurowadeł, wkładek do butów, ściereczki do butów, nici białych, czarnych, przędzy brązowej, beżowej i białej, jednej pary pończoch, wełny do cerowania skarpet, witaminy C, proszków od bólu głowy. Jestem niespokojna, czy u Hani wszyscy zdrowi? A Ty jak się czujesz? Bardzo już pragnę Cię zobaczyć. Jak egzaminy Bogny? Tak bardzo myślę o Was wszystkich. Myślę o Kazikach i jak im się ich życie układa? Jak sobie radzi Marysia? Czy ma pomoc przy dzieciach? Matuś, prześlij Cezaremu dużo serdecznych życzeń świątecznych. Tyle mam uczucia miłości do Was wszystkich, kochanych, i wdzięczności za serce i pomoc, które mi okazujecie. Myślę, że ciocia Julia¹⁹⁵ będzie mi

¹⁹⁵ Pod takim imieniem matka Cezarego Platara przysyłała Rucie Czaplińskiej paczki z Londynu.

mogła nadal pomagać w miarę możliwości. Matuś, ja nawet nie jestem w stanie wyrazić tego, co czuję w stosunku do Was, ale myślę, że Ty za mnie to w słowach wyrazisz. Wierzę, Matuś, że kiedyś będziemy znów razem dzielili się opłatkiem. Na razie robię to w myślach i w wyobraźni, myśląc o opłatku i paczce, którą będą szykowały Twoje kochane ręce. Proszę Cię jeszcze o pastę do zębów, szczoteczkę i ligninę. Twoje kartki otrzymałam. Pozdrów Dziadków Krzysia i p. Bronisławę. Ja Twoje ręce całuję z całą miłością, moja bardzo kochana. Ty ucałuj ode mnie wszystkich. Ja czuję się dobrze i bardzo czekam na Ciebie (i bardzo proszę więcej soli niż do tej pory – 0,5 kg).

Fordon, 7 I 1951 r.

Matuś moja najserdeczniejsza!

Chciałabym wszystko, co czuję, zamknąć w takim jednym pełnym wyrazie słowie: dziękuję. Dziękuję Ci, Matuś, za wszystko. Kartkę Twoją dostałam, a list wczoraj. Matuś, paczka świąteczna była więcej niż dobra i Marysia sprawiła mi ogromną radość papierosami i pomyśleniem takim serdecznym o mnie. Okulary są bardzo dobre i wygodne i były dla mnie prawdziwą niespodzianką. Mam tylko wyrzuty sumienia, żeś wydała na mnie tyle pieniędzy. Dostałam paczkę od cici Julii. Było mi bardzo przyjemnie, bo odczułam w niej Jej serdeczną myśl o mnie i chciałabym, żeby ona wiedziała o tym, że bardzo to sobie cenię. Matuś, list Twój nie był dla mnie niespodzianką, tylko potwierdzeniem tego, co intuicyjnie czułam. Znasz mnie, Matuś, i wiesz, że stać mnie na maksimum wyrozumiałości i zrozumienia, chociaż sama żyję poza czasem, rozumiem i znam działanie czasu. Chodzi mi tylko o to, żeby taka, a nie inna postawa psychiczna miała jakieś konkretne znaczenie w sensie pozytywnym. To wszystko co mogę, a poza tym jestem przecież bezsilna. A tylko zupełnie obiektywnie (tak myślę jak Ty, Matuś) żał mi, gdy człowiek marnuje swoje wartości, idzie po linii najmniejszego oporu, a co za tym idzie, broni się przed autoanalizą i ewentualną samokrytyką, bo mu z tym lepiej i wygodniej. Chciałabym, Matuś, żebyś przeczytała *Noc Huberta Zawieyskiego*. Ta książka jest mi bardzo bliska ze względu na ujęcie, podejście psychologiczne i opis muzyki. Nowy Rok jest zawsze dla mnie, Matuś, pewnym przełomem w życiu i skłania mnie do silniejszego wglądu w głąb siebie, oceny minionego i wytęczenia sobie pracy na przyszłość. Wierzę, Matuś, że będziemy razem i Twoja miłość dla mnie jest wszystkim. Chciałabym

tylko móc i umieć otoczyć Cię taką miłością, na jaką tylko mnie stać. Cieszę się ogromnie z zapowiedzi przyjazdu Marysi. Tyle lat jej nie widziałam, a ostatnio śnią mi się ciągle jej dzieci. Tak bardzo myślę o Was wszystkich. Szkoda, że Kazików nie było z Wami! Przyślijcie mi fotografie dzieci, bo mi bardzo tęskno. Czekam chwili, gdy Cię znowu zobaczę, Matusi. Ręce Twoje całuję.

Fordon, 6 V 1951 r.

Mam przy sobie Twoją fotografię, Matusi. I Twoje listy. I tak bardzo wydaje mi się, że ta nasza pisemna rozmowa jest bardzo bezpośrednia. Czuję Twoją obecność i tak mi dobrze. Dostałam Twój list z 18 marca, a wczoraj list z 4 kwietnia i kartkę z 21 kwietnia. Za wiadomości wszystkie o dzieciach bardzo dziękuję. Napisz mi o Waszym mieszkaniu i o Waszym dniu. Łatwiej mi wtedy uczestniczyć w życiu razem z Wami myślał mi. Matusi, jestem cała przepełniona wdzięcznością za tyle okazywanego serca przez moich bliskich. Jadwinę specjalnie mocno całuję, a to, co czuję, nie mieści się w słowach. Myślę, że ona to swym kochanym sercem wyczuje i dużo bardzo ciepłych myśli ślę do Uli¹⁹⁶. A wszystkim, Matusi, powiedz, że bardzo o nich myślę i za wszystko bardzo dziękuję. Myślałam ostatnio o Cezarym, o tym, co mogłabym dla niego zrobić. Wydaje mi się, że powinien wiedzieć, iż nie przestałam myśleć o nim w sensie codziennej modlitwy na jego intencję, że powinien nigdy nie tracić wiary w swoje wartości i mieć świadomość, że jest w stanie podźwignąć się z każdego załamania, aby tylko chciał i nie zrażał się chwilowymi trudnościami. To chyba mniej więcej wszystko o nim. Matusi, bardzo bym chciała, byś mogła tak sobie ułożyć okres letni, żebyś mogła spędzić trochę czasu u Kazików i u cioci Ireny. Napisz mi, jak Kazik radzi sobie ze studiami i na którym roku jest Wanda? Jeśli chodzi o mnie, to staram się intensywnie przeżywać piękno. Czytałam teraz poezję Staffa – niektóre bardzo mi odpowiadają, ale najbardziej może tęsknię do muzyki, może dlatego, że przedtem nie odczuwałam jej potrzeby, to się spotęgowało. Żałuję, że muzykę ogarnąć mogę tylko samym odczuciem, że jej rozumowo nie umiem analizować, ale strasznie lubię czytać o muzyce. Tak ciekawie pisze Za-

¹⁹⁶ Ula Pawłowska, siostra cioteczna Ruty Czaplińskiej.

wieyski i ślicznie Winogradów w *Potępieniu Paganiniego*. Nieraz myślę, że tak chętnie posłuchałabym cioci Wandy grającej na fortepianie. Matuś, tak często myślę o Ojcu i Braciach, przychodzą do mnie we śnie, czuję ich obecność i aż mi dziwnie, gdy budzę się i muszę uświadomić sobie, że to tylko sen. Matuś, całuję z całej duszy ręce Twoje kochane.

Fordon, 7 X 1951 r.

Matuś moja najdroższa!

Listy Twoje z sierpnia i z 5 IX otrzymałam, a czy Ty dostałaś moje listy? i czy Bogna otrzymała mój list? Pieniądze na pewno mam w wystarczającej ilości, a ile mam, tego w tej chwili nie wiem. Chciałabym, abyś w moim imieniu napisała do Jadwini z myślą o jej imieninach. Tak bardzo serdecznie życzę Jej własnego domu, a w nim matki, żeby już mogły być razem. Napisz także do Dzidzi¹⁹⁷ parę takich bardzo serdecznych, ciepłych słów pełnych zrozumienia i odczucia jej straty. Zawsze zapominam Cię prosić, abyś przy sposobności w Warszawie załatwiła sprawę mojego świadectwa z ukończenia Julina, bo wiesz, że tamto tymczasowe przepało. Właściwie najlepiej mogłaby to zrobić Hanka. Matuś, dawno nie już nie pisałaś o cioci Nusi i Zosi. Czy są zdrowe? Czy Zosia [jest] bardzo zapracowana, czy nadal także wykłada? Ty wiesz, jak bardzo myślą serdeczną ogarniam wszystkich bliskich i kochanych. Matulko moja! Każdego roku tak bardzo silnie przeżywam ten dzień, kiedy po tak długiej rozłące zobaczyłam Cię pierwszy raz i mogłam ucałować Twoje kochane ręce. Wracam myślą do tego dnia i przeżywam go od początku. Czytam teraz poezje Kasprowicza i mogę szczerze powiedzieć, że żyję nimi. Tak bardzo mi odpowiadają, i tematyka jego wierszy, i pełne najszczerzej poezji i prostoty piękno w nich zawarte. Trochę się nauczyłam na pamięć z *Księgi ubogich* i fragmenty z *Mojej pieśni wieczornej* i *Hymnu*. A tak się cieszę, że podoba Ci się *Noc Huberta* i myślę, że mogłaś ją skończyć w Łodzi. Matuś, chciałabym, abyś napisała do Cezarego, że dostałam paczkę 2 X i że bardzo serdecznie dziękuję za wszystko. Że [też] Ciocia tak zawsze umie trafić w to, co potrzebne. I chciałabym, abyś mogła się zdobyć na wyrozumiałość i serce, którego masz tyle. Myślę o tym, czym jesteś, Matuś, dla mnie i nawet nie potrafię ogarnąć tego wszystkiego, co dla

¹⁹⁷ Kuzynka Zofia Hłasko.

mnie zrobiłaś i jakie głębokie jest nasze wzajemne zrozumienie. I mam także wycucie, że nie powinno się zniechęcać i zrażać do człowieka, ale poprzez pełną wyrozumiałość starać się, aby on sam zaczął pracować nad sobą. Ręce Twoje całuję, czekam na Ciebie.

Fordon, 6 VII 1952 r.

Matuś moja najserdeczniejsza, kochana!

Tak bardzo już stęskniłam się do Ciebie i czekam na widzenie. Tymczasem chciałabym, aby ten list dofrunął do Ciebie jak najszybciej. Matuś, taka jestem szczęśliwa! Wyobraź sobie, że pracuję i to na wolnym powietrzu. Już jestem opalona i obawiam się, że mnie nie poznasz, jak przyjedziesz. Możliwość pracy jest czymś tak cudownym, że żyję w jakimś upojeniu. Poza tym jestem we wspaniałej formie psychicznej i fizycznej i to napędza mnie radością, że właśnie tak jest. Pisałam Ci kiedyś o moich zamięłowaniach do porządków w celi i to na pewno dało mi zaprawę do pracy. To jedno, a druga wiadomość, to w ubiegłym miesiącu pisałam podanie do sądu o zwolnienie warunkowe, no i teraz czekam. Zaprenumerowałam też gazety, więc sama to chyba czujesz, Matuś, że radość mnie rozsadza. Przy tym ta cudowna pogoda i zapach maciejki dopełniają mego nastroju. Bardzo czekałam na widzenie z Bogną, ale sama rozumiem, że widocznie nie mogła przyjechać, ale teraz to już chyba Ty sama przyjedziesz. Tylko czy będziesz mogła ze względu, na stan zdrowia Marysi? Myślę, że Kazik jest już po ostatecznych egzaminach i taka jestem ciekawa, jak mu się powiodło. Tak bym chciała, Matulko, abyś mogła pojechać trochę do nich, odpocząć i pobyć z Nimi. Wdzięczna Ci jestem, Matulko, że dzielisz się ze mną swoimi myślami i bólczkami, chciałabym umieć Ci pomóc w Twoich konfliktach. Wydaje mi się, że w tej chwili najważniejszy byłby odpoczynek i odprężenie psychiczne, a drugą rzeczą uzgodnienie pewnej linii postępowania z dziećmi i Marysią. Przecież musi się zgodzić, że konsekwencja i stanowczość muszą być podstawowymi wytycznymi w wychowaniu i może być tylko trudność w realizowaniu tych założeń teoretycznych, ale tak jest ze wszystkim w życiu i tym nie można się zrażać. A pomyśl tylko, Matuś, ile nam wszystkim umiałaś dać i dajesz. I nie trać wiary w siebie, kochana Matuś. Pieniądzy jeszcze nie otrzymałam. O ile możesz [przesłać], to bardzo proszę. Całuję Cię z całego serca, a Ty ucałuj wszystkich. List z 20 VI dostałam.

20. Więzienie w Inowrocławiu (18 sierpnia 1952 – 18 marca 1955)

Jadąc z Wrocławia do Bydgoszczy, przejeżdża się przez Inowrocław. Przez długie lata nie mogłam spokojnie mijać tej stacji. Działo się ze mną coś dziwnego, coś co powodowało ucisk w gardle, przywoływało tamte lata. A jak to było?

26 VIII 1952 r. obudzono nas w środku nocy poleceniem spakowania swoich rzeczy. Byłyśmy całą od dwóch miesięcy pracującą na podwórku. Wszystkie siedziałyśmy przedtem w suterenie, bez pracy, w celi o obostrzonym rygorze. Remontowano wtedy dach nad budynkiem administracji i nasza praca polegała na noszeniu różnych materiałów budowlanych na ten dach i ściąganiu dachówek. Praca nie była lekka, ale wykonywałyśmy ją z wielkim zapałem, a w nagrodę miałyśmy widok na Wisłę, na wolność i grzanie się na słońcu (pogoda była piękna), możliwość ruchu, no i większy zakres swobody. Jedna tylko Maryjka Kolska – nasze chucherko, zatrudniona była w biurze. Oprócz pracy przy budowie wyładowywałyśmy produkty przywożone do kuchni lub na wypiski. Przy tej okazji mogłyśmy nieraz schrupać trochę świeżej kapusty, której smak do dziś pamiętam. I takiej właśnie nocy, gdy umęczone całodzienną pracą spałyśmy snem sprawiedliwego, wyrwano nas z tego snu. Spakowałyśmy tobołki z rzeczami, odebrałyśmy nasze depozyty i przez suterенę sprowadzono nas na podwórko, gdzie czekały już ciężarówki. Jeszcze przy wyjściu sprawdzono nasze dane personalne: imię, nazwisko i imię ojca, i kazano wsiadać. Wewnątrz były już nasze koleżanki z sutereny. Pamiętam jak zawołały: „O, Ruta, Ruta”, witając mnie bardzo serdecznie i radośnie. A ja wtedy nie byłam dobrej myśli, bo natychmiast uświadomiłam sobie, że w tym towarzystwie nie mogę się spodziewać niczego dobrego. Pamiętam, że ułożyłam naszą Maryjkę na jakichś tobołkach, a sama pograżyłam się w dociekaniu, dokąd nas powiozą – oby tylko nie na wschód. Nie wiem, jak długo jechałyśmy, nikt z nas nie miał przecież zegarka, ale po jakimś czasie któraś zobaczyła napis **Inowrocław** – musiałyśmy przejeżdżać koło stacji.

Niedługo potem samochód się zatrzymał i kazano nam wychodzić. Zjawiała się jakaś oddziałowa i kazała nam stać, a po chwili zaczęto odprowadzać pojedyncze więźniarki. Nasza grupka topniała, pamiętam, że strasznie chciało mi się zapalić, innym oczywiście też. Zebrałyśmy się na odwagę i zapytałyśmy, czy możemy zapalić. „Zapalicie pod celą”, powiedziała pilnująca nas sierżant, a ja w tym momencie miałam wizję dużej,

jasno oświetlonej celi, podobnej do „ogólniaka” na Mokotowie, spotkanie z koleżankami i opowiadanie, i dzielenie się przeżyciami, wrażeniami. To był moment, bo po krótkim namyśle sierżant powiedziała: „A zresztą zapalcie sobie teraz”. Nie mogłam wtedy przypuścić, że to będzie ostatni papieros na długie miesiące.

Gdy zostało nas tylko trzy, czy cztery, wzięto już całą naszą grupkę, do więzienia wychodziłyśmy jednak gęsiego. Znowu pytanie o imię, nazwisko i *otczestwo* i znalazłam się w więzieniu. Uderzyła mnie dojmująca cisza. Zobaczyłam tylko, że moje koleżanki stoją nieruchomo nosami do ścian i za chwile zajęłam taką samą pozycję. Kątem oka widziałam, że robiło się coraz puściej, wreszcie kolej przyszła na mnie. Łażnia! Co za rozkosz! Zaraz zmoczyłam głowę zakurzoną po pracy, ale nie zdążyłam jej umyć, nie zdążyłam się w ogóle umyć, a jedynie zamoczyć, gdyż wodę wyłączono. Kazano przejść do następnego pomieszczenia, gdzie dostałam kalessony, koszulę na ramiączkach, bardzo krótką spódniczkę drelichową i takąż bluzę zaplamioną niewypranym smarem, i ręcznik. To wszystko. Weszła Obiałowa, którą znałam dobrze z Fordonu, gdzie rozpoczęła karierę jako oddziałowa, a ostatnio była pol.-wychem¹⁹⁸. Nienawidziła politycznych, mnie sobie szczególnie upodobała i mówiono mi, że zejście do sutereny jej zawdzięczam. Poprowadziła mnie na górę, szłam na boso z mokrymi włosami i z tym ręcznikiem pod pachą. Zatrzymała się na I piętrze, otworzyła drzwi i wpuściła mnie do celi. Cella była pusta, stała jedna prycza, stolik i krzeselko przytwierdzone do ściany – i ja. Samotność! Jakże się jej bałam i jak bardzo rzeczywistość różniła się od wizji dużej, jasnej celi. Jeszcze się łudziłam przez chwilę, że drzwi się otworzą i kogoś mi dadzą, ale szybko zrozumiałam, że to jest absolutnie nierealne, że jestem i będę sama. Uczucie bezsilności. Bić głową w ścianę. Lęk przed samotnością, rozpaczliwe pragnienie kogoś bliskiego, drugiego człowieka, jakaś pokusa rozpaczy. I zaciśnięcie pięści, i mocne, wewnętrzne „nie”! Nie dam się, nie wolno. Muszę się nie dać. To „nie” powracało do mnie w najcięższych chwilach i to była moja broń.

Budynek więzienny, stojący w centrum miasta, *vis-à-vis* kościoła garnizonowego, otynkowany na biało i otoczony również białym murem, mimo rozmieszczonych w regularnych odstępach „zwyżek” strażniczych nie bu-

¹⁹⁸ Oficerem polityczno-wychowawczym.

dzi u mieszkańców tego miasta żadnych złowrogich skojarzeń. Tak jest dzisiaj, tak też było w owych latach, gdy czerwień ceglanych murów nie była pokryta niewinną bielą. Nikt w Inowrocławiu nie miał pojęcia, że znajdują się tu kobiety z długoletnimi wyrokami, skazane za działalność polityczną.

Pierwsza próba zorganizowania oddziału izolacyjnego w suterrenach centralnego więzienia dla kobiet w Fordonie nie powiodła się. Trzeba było więc stworzyć całe więzienie dla wyselekcjonowanych uprzednio kobiet. Dokonano tego w sposób zaiste perfekcyjny. Już sama architektura więzienia sprzyjała temu zamysłowi. Budynek na planie krzyża, z typowymi wewnętrznymi schodami biegnącymi środkiem tego ażurowego więzienia, pozwalał na bezpośrednią obserwację galeryjek, obiegających każde piętro. Cele były dwójakiego rodzaju: większe, z lamperiami pomalowanymi na brudnozielonkawą kolor, i wąziutkie z lamperiami czarnymi. Czerń była dominującą barwą w całym więzieniu. Nieszczelne okna w celach, przez które w zimie wpadały płatki śniegu, otwierały się uchylnie przy pomocy uwieszonego drążka. Dolne szyby zamalowane farbą olejną, a górne z grubego szkła stanowiły idealną zaporę dla oczu łaknących jakiegoś widoku. Wewnątrz celi drewniana prycza z siennikiem i zagłówkiem wypchanymi słomą, która z biegiem miesięcy stawiała się sieczką, nieduży stolik, obok krzeselko. Wszystkie sprzęty przypinane do ścian. Nad stolikiem wisząca mała szafka, w jednym kącie „kibel”, piasek, śmietniczka, kawałek szmaty oraz wiadro na wodę, a w drugim drewniany stojak na miednicę z okrągłym otworem i owalna aluminiowa miska służąca do mycia. Obok cienka listewka drewniana z gwoździem na ręcznik. Wzdłuż dłuższej ściany, nisko przy betonowej podłodze, oczywiście czarnej, cienka rurka centralnego ogrzewania. To wszystko. Prycza, która musiała być zasłana w kant, przykryta była wytartym koćkiem. Na sienniku jedno prześcieradło, a na zagłówku podszewka.

Osobiste wyposażenie więźniarki składało się z kaletnic lub barchanowych majtek, koszuli na ramiączkach lub męskiej z rękawami (zależnie od szczęścia), onuc (zimą także pończoch), butów na drewnianej podszewie o męskiej numeracji, szarej drelichowej spódnicy oraz takiej bluzy, która bez względu na panującą temperaturę musiała być zawsze zapięta pod szyją, a rękawy opuszczone. Na zimę dawano jeszcze rodzaj kaftanika ongiś flanelowego. Do mycia służył jeden ręcznik. Bieliznę i ręcznik zmieniano co dwa tygodnie przy okazji łaźni. Z osobistych rzeczy można było mieć jedną chustkę do nosa, szczoteczkę do zębów, proszek do zę-

bów (jeśli się go miało, bo pastę i mydło odebrano po przyjeździe) oraz szczoteczkę do paznokci. Aluminiowa miska i łyżka służyły do jedzenia. Kubków nie dawano.

Trzeba było rozpocząć nowe życie. Wytarłam włosy, zaścieliłam pryczę, połówę prześcieradła położyłam na siennik, a drugą i marnym kocem się nakryłam. Zasnęłam. Rano obudził mnie gong. Wody nie było, o umyciu się nie było mowy. Nie pamiętam pierwszego apelu. Potem śniadanie. Pół litra kawy w misce i chleb. Chleb był bardzo świeży, prawie ciepły. Widocznie świeżo dla nas pieczony, bo nigdy przedtem ani potem takiego nie było.

Więzienie było niesłychanie akustyczne. Nie mogłam się zorientować, gdzie otwierają się drzwi, czy to tuż obok, czy naprzeciwko, czy też na innym piętrze. Cela była wychłodzona, zimna, stopy gołe i bose, więc cały dzień przesiedziałam na stołku z nogami podwiniętymi. Dowiedziałam się, że rzeczy z depozytu wydaje się kolejno, że mogę je dostać albo jeszcze dziś przed wieczorem, albo nazajutrz. Ale dostałam tego samego dnia. Zaraz po drodze zapytałam, jak mam się meldować i komu. Powiedziano mi, że *per* obywatel i naczelnik. I zobaczyłam Obiałę, i zorientowałam się, że ona jest naczelnikiem więzienia. Zaniósłam wtedy prośbę do Boga, że-bym mogła odsiedzieć do końca mój dziesięcioletni wyrok, bym nie dostała czasem drugiego, bo z takim człowiekiem, jak ona wszystko jest możliwe. Już był zresztą w Fordonie precedens Stefy Broniewskiej, której po odsiedzeniu wyroku czterech lat wytoczono drugą sprawę o „wrogą propagandę w więzieniu” i skazano na nowe dziesięć lat.

Zameldowałam się więc przepisowo. Otrzymałam: jedną chusteczkę do nosa, jeden grzebień, jedną szczoteczkę do zębów, jedną szczoteczkę do paznokci. Na miskę wsyłała mi trochę cukru, trochę marmolady z wypiski i na papierek proszek do zębów. Dostałam też onuce i drewniaki o parę numerów za duże. Wszystkie produkty, pasta do zębów, mydło – zostały skonfiskowane. Najbardziej odczuwałam brak mydła. Łaźnia była co dwa tygodnie i dawano nam wtedy maleńki kawałeczek, mniejszy niż pół pudełka od zapalek i to musiało starczyć na dwa tygodnie. Ten brak mydła, ciągła konieczność maksymalnego oszczędzania, używania go tylko do najważniejszych spraw, były tym bardziej dokuczliwe, gdy się miało świadomość ilości mydła skonfiskowanego. Oprócz stale kupowanego na wypiski miałam jeszcze kilka kawałków pachnącego mydła angielskiego, które otrzymywałam w paczkach z Londynu od matki mego więziennego

kolegi zza ściany, Cezarego Platerra. Przysyłała mi także ciepłe pończochy i półbuty. Paczek z domu nie mogliśmy wtedy otrzymywać, natomiast możliwe było otrzymywanie paczek z zagranicy. Zawsze z wielką wdzięcznością wspominam matkę Cezarego, moją ciocię, z którą po wyjściu na wolność korespondowałam aż do jej śmierci, i o której zawsze pamiętam. Tą dygresją chciałabym uwypuklić siłę tego wewnętrznego buntu przeciwko brakowi mydła.

Ten pierwszy dzień w inowrocławskim więzieniu zapisał się na trwale w mojej pamięci. Samotność, bezradność, absolutny brak orientacji w topografii więzienia i w jego odgłosach, ciągle wrażenie, że moje drzwi się zaraz otworzą, rozczochrane, nieczesane włosy, opadające kalesony, wystające spod spódnicy, brak wody, ani kawałeczek papieru czy jakiegokolwiek szmatki, kompletna niewiedza o swoim losie. Dlaczego, na jak długo, co to wszystko znaczy?

I tego pierwszego dnia w Inowrocławiu musiałam popełnić straszną rzecz, o której staram się nie pamiętać. Musiałam bowiem użyć chleba do najbardziej prozaicznych celów higienicznych. Nie miałam innego wyjścia. Może to zrozumieć tylko ten, kto poznał prawdziwy głód i wie, czym jest chleb. Jak bardzo się go ceni, każdą okruszynkę.

Już następnego dnia trzeba było ułożyć sobie życie, jakiś program. A więc na dźwięk gongu trzeba było natychmiast wstać, bo zaraz otwierały się drzwi i zabierało się kostkę wyłożoną po wieczornym apelu, to znaczy mundur, buty, onuce, łyżkę, miskę i ręcznik. Apel poranny następował prawie zaraz po wydaniu kostki, więc trzeba było ubrać się bardzo szybko i posłać na kant prycę. Przy każdym otwarciu drzwi trzeba było biec pod ścianę okienną, stanąć na baczność i meldować. Zasadnicza formułka brzmiała: „Obywatelu (–ko) taki i taki (naczelnik, blokowa, oddziałowa, etc.), cela (przez wiele miesięcy sto siedemnasta), więźniarka jedna”. Potem pomiędzy apelem i śniadaniem można się było umyć. Byłam w tym szczęśliwym położeniu, że miałam szczotkę do paznokci, więc mogłam się nią codziennie szorować od stóp do głów, samą wodą. Mydła używałam tylko do najbardziej wymagających celów. Miska była blaszana, owalna, a stojak okrągły. Dno było lutowane. Często lut puszczał, a wtedy woda wylewała się na czarny beton i trzeba było ją ścierać czymś, co miało przypominać ścierkę, którą mi dano potem do celi. Cela musiała być czysta. Pojęcie czystości więziennej a zwłaszcza inowrocławskiej, różniło się zasadniczo od normalnego.

Czysty to znaczy na przykład błyszczący. Czysta miednica musi lśnić. Na to trzeba ją wybłyszczyc piaskiem, który był dawany do celi, bo nim się czyściło wszystko, a zwłaszcza „kibel”. Ja w swojej naiwności czyściłam tym piaskiem miskę, a potem ją starannie myłam. A tu któregoś dnia blokowa zwróciła mi uwagę, że miska jest brudna. Nie mogłam jej zrozumieć i powiedziałam, że jest właśnie świeżo umyta, po wyszorowaniu piaskiem. „A widzicie – powiedziała spokojnie i grzecznie, co się nie zdarzało – to będziecie zawsze mieli brudną miednicę. Przecież po wyczyszczeniu piaskiem miednica jest czysta, a wy nie musicie jej już w ciągu dnia używać”. No, nie musiałam. Miska stała nietknięta i błyszcząca, a ja nauczyłam się myć ręce nad „kibelem”, szorując je szczotką polaną wodą, którą nabierałam z wiadra łyżką (kubka nie otrzymałyśmy w ogóle). Trzeba było przy tym bardzo uważać, żeby nie polać wodą ścian „kibla”, gdyż pokrywały się natychmiast rdzą, co znowu oznaczało brud, za który można się było znaleźć w „karcu”. Takie sprzątanie celi zabierało sporo czasu, ale było go jeszcze wystarczająco dużo.

Zaczynałam wtedy chodzenie. Od okna do drzwi, od drzwi do okna, zmieniając co jakiś czas kierunek obrotu, żeby się nie zakręciło w głowie. Z początku liczyłam. Liczyłam kroki, przeliczałam na kilometry, pokonywałam odległości pomiędzy znanymi mi z wolności miejscami. Potem chodzenie stawało się czymś automatycznym, a myśli były zaprzątnięte modlitwą, wierszami, a nade wszystko tęsknotą do Matki, do najbliższych i ciąglem o nich niepokojem.

Miedzy śniadaniem i obiadem było „kiblowanie”. Wystawiało się „kibla” na korytarz, korytarzowe wylewały zawartość, słabo płukały i takie „kibla” po wstawieniu do celi trzeba było szorować. Po jakimś czasie zaczęto nas wypuszczać na spacer. Oczywiście pojedynczo. Pierwsza wypuszczona z celi szła od razu na podwórko, a następną sprowadzano po niej i zamykano w łazni. Pierwsza po trzech okrążeniach prowadzona była do celi, a następną wypuszczano. I tak do końca. W ten sposób nie mogliśmy się zobaczyć. Na podwórko spacerowe szło się przez wąskie przejście, a samo podwórko było małe, wysypane czarnym miałem i otoczone czerwonym, powyszczerbianym murem. To wąskie przejście budziło zawsze we mnie zgrozę. Już na wolności dowiedziałam się, że właśnie tutaj Niemcy dokonywali egzekucji, że te szczyrby na murze to ślady po kulach. Pamiętam, że na wiosnę zobaczyłam kwitnący mlecz, kwitł sobie na tym czarnym miale. Nie mogłam się dość na niego napatrzyć.

PIERWSZY SPACER

Drugiego września, wtorek. Schodzę, pierwszy spacer.
Bose nogi. Drewniaki, nowe, ciężkie, duże...
Zwalczam schody, korytarz. Nareszcie podwórce.
Mur. Gmachy. Zwyżka – z zewnątrz? Wschód! To – miejsce stracić.

Niedawno mordowali, grzebali tu Niemcy.
Uroczyście wybrano ciała. Teraz goła
Spękana glina. Chodnik z kamieni dokoła.
...Czy tu teraz na pewno nie leży nikt więcej?...

Może depcę po kościach? Tak tłuką o granit
Drewniane moje stopy. Kroki są jak ciosy
Albo strzały. I bólem i echem w dal niosą,
Kto słyszy je? Tam, w mieście przechodnie nieznani.

Zaokrąglone wnętrza murów. Judasz w bramie
I – pusto. Nic nie rośnie. Tu nie ma pór roku...
Z tej strony, za ścianą – wjazd. Liczę okna bloku.
Wszystkie ślepe. Ot, moje! Karc z okiennicami...

Nad nim okna dyżurek – w przeźroczyście szybach,
Duże – patrz! Te z góry widzą może nawet
Resztki lata. Trwa jeszcze. Jakieś drzewa, trawę...
Dzwonek! Wyjść? – Dwie minuty?...
Na dziś starczy chyba

Irena Tomalakowa, Inowrocław 1952 r.

Takie parominutowe czekanie w łazni miało także swoje walory. Pamiętam, że było to już dobrze po 5 marca 1953 r. Zobaczyłam skrawek gazety. Przeczytałam tylko parę słów, ale jakże dla mnie istotnych. To było coś o „pamięci wielkiego Stalina”. W ten sposób dowiedziałam się o jego śmierci. Tego marcowego dnia usłyszałyśmy nagle syreny i gromki głos oddziałowej: „blok bacność!” Podbiegałam do okna i stałam. Stałam długo. Wyły syreny. Potem zaczął się ruch na korytarzu i zagłębienie do windy, a wreszcie: „blok spocznij!”. Nie miałam zielonego pojęcia, co to

za wydarzenie. Parę tygodni potem była jakaś inspekcja z ministerstwa. Wezwano mnie na rozmowę, z której się dowiedziałam, że jestem „ciężkim, trudnym więźniem”, ale na moje pytanie o 5 marca otrzymałam odpowiedź: „dowiecie się w swoim czasie”.

Gdy teraz, po latach, piszę te wspomnienia, przeżywam na nowo każdy dzień, starając się jak najwierniej wszystko opisać. Stąd też ciągle dygresje, wynikające ze skojarzeń. Zdaję sobie sprawę, że każda z nas przeżywała to więzienie na swój sposób, bo każda musiała sobie wypełnić czas, ułożyć swoje życie zupełnie samodzielnie, bez każdego wzorca, bez niczyjej rady, pozostawiona sama sobie. Mnie opanowała mania liczenia. Wspomniałam już, że liczyłam kroki, ale to tylko drobny fragment manii liczb i statystyki. Szybko obliczałam liczbę dni dzielących mnie od wyjścia na wolność. Potem przeliczyłam to na liczbę kąpieli, ewentualnych rewizji (tu nie było takich prawidłowości), miesiące, tygodnie itd. Każdego dnia budząc się stwierdzałam, że mam o jeden dzień mniej i mówiłam sobie, ile mi jeszcze pozostało. Pamiętam, że liczyłam także ziarnka grochu w zupie i z tej liczby coś sobie wróżyłam. Przypominałam sobie wiadomości z matematyki, rozważałam na przykład trójmian kwadratowy i dyskusję, żałując, że tak mało pamiętam i tak mało przyswoiłam sobie ze słuchanych przed wojną wykładów.

Jak już pisałam, chodzenie po celi było potrzebą ogólną, nie tylko moją. Ponieważ dano nam wszystkim drewniaki o parę numerów za duże, to nasze chodzenie po betonowej podłodze cel robiło szalony hałas i w tej pustce więziennej samotności było żywym znakiem naszej obecności. Upłynęło zaledwie parę dni, gdy drzwi do mojej celi się otworzyły i stanęła w nich Obiała. Powiedziała bardzo spokojnie, że nie można głośno chodzić, bo inaczej odbierze mi się buty. Po zamknięciu w pojedynczej celi był to dla mnie następny cios, zdawałoby się nie do przezwyciężenia.

Jak można chodzić cicho w takich klumpach? A przecież chodzić muszę. Wtedy znów przyszło mi z pomocą moje „NIE”. Powiedziałam sobie, że muszę nauczyć się chodzić cicho. Nauczyłam się nie stawiać całej stopy, ale najpierw pięty, potem palce i tak powoli doszłam do wprawy i mogłam bezgłośnie zbiegać ze schodów. Wiem, że moje koleżanki też stosowały różne metody, łącznie z owijaniem drewniaków szmatami do podłogi. Ale te doświadczenia mogłyśmy wymieniać z sobą dopiero wtedy, gdy skończyła się nasza samotność.

Była jeszcze teoretyczna możliwość stukania. Na Mokotowie, przed pójściem na „ogólniak” stukałam bardzo dużo, szybko odbierałam, miałam

kontakty ze wszystkimi sąsiadującymi celami i nigdy nie przyłapano mnie na stukaniu. Tutaj sytuacja była zupełnie inna. Więzienie bardziej akustyczne, niemożność kamuflażu i zupełny brak orientacji, kto jest pode mną, a kto nade mną. Moje sąsiadki Rysia Szelągowska i Stefa Onyszkiewicz też nie stukwały. Ze Stefą tylko czasem wymienialiśmy pojedyncze uderzenie w ścianę. Tak trwało do wiosny, bo gdy przeniesiono Stefę i mnie do celi na parterze, zaczęłyśmy spontanicznie stukać i świat się przede mną otworzył. Już nie byłam sama. Nadal trzeba było bardzo uważać, ale prowadziłyśmy ze sobą długie i dobre rozmowy. A zdarzały się i sytuacje komiczne, gdy w celi po prawej stronie zjawiała się Halina Sosnowska. Otóż stuka ona do mnie, dowiaduje się z kim rozmawia i oznajmia mi, że ona bardzo słabo odbiera, więc będzie mi zadawała pytania, a ja mam jej odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”. No i zaczęło się. Na jej pytania mogłam tylko odpowiadać „nie wiem”, bo rzeczywiście nie znałam na nie odpowiedzi, ale ona moje „nie” przerywała natychmiast uwagami „to świetnie” lub „to strasznie”, w zależności od kontekstu i nie było sposobu, żeby wyprowadzić ją z błędu. W dodatku stukała tak głośno, że słychać było chyba na całym korytarzu, ale na szczęście nie wpadłyśmy.

Potem przyszła pierwsza książka, a po trzynastu miesiącach wspólna celi. Zanim jednak do tego doszło, trzeba było radzić sobie samej z dolegliwościami codziennego dnia. Jeden z pierwszych problemów to obcinanie paznokci. Rosły sobie u rąk i nóg, a o żadnych nożyczkach nawet marzyć nie było można. I nagle pewnego dnia, przy myciu podłogi wykruszył się mały, ostry kamyczek wielkości ziarnka grochu. To był mój pierwszy skarb, który przetrwał wszystkie rewizje. Nim „obcinałam” sobie paznokcie. Pierwsze prawdziwe nożyce, prawie takie jak do strzyżenia owiec, dano nam dopiero po około pół roku naszego pobytu, do łaźni, kiedy czekałyśmy na swoją kolej wejścia pod prysznic.

Któregoś dnia zauważyłam, że dwa małe gwoźdźniki, wbite w charakterze wieszaczek, dadzą się wyjmować. I one też przetrwały wszystkie rewizje wbite na swoje miejsce, a przenoszone przeze mnie przy każdej zmianie celi. Nauczyłam się właśnie przy pomocy gwoździa przyszywać guziki. Nitka była wypruta ze ścierki do podłogi. Dostałam kiedyś mundur, zupełnie nowy, ale wszystkie guziki były przyszyte na skos. Była to nie tylko przykrość dla oczu, ale też wielkie utrudnienie przy składaniu wieczornej kostki, bo wyglądała, jakby ją złożono krzywo. Był taki jeden kąt w celi, przy drzwiach z lewej strony, niewidoczny z wizjerki. Tam skryta, dopasowywa-

łam sobie guzik po guziku w ciągu wielu dni. W zimie dano nam pończochy. Nie było ani paska, ani żadnych podwiązek. Dziś już nie pamiętam, czym je wiązałam, ale doskonale za to pamiętam, że albo ścisnęły uda, albo opadały w obwarzanki. Pończochy były różne. Kiedyś otrzymałam czarne, tyle tylko, że jedna była fildekosowa, a druga jedwabna. Gdy się podarły, trzeba było je dawać do cerowania i zostawało się wtedy na długie dnie z gołymi nogami. Nauczyłam się wtedy cerować igłą zrobioną z ości dorsza. Co jakiś czas dawano nam na śniadanie leżące na dziennej porcji chleba dzwonko surowego, solonego dorsza. Musiałam się bardzo przemóc, żeby go zjeść, chociaż z największą ochotą wrzuciłabym go do „kibla”. Przekonałam sama siebie, że w warunkach niedożywienia i głodu jest to niezbędne do życia białko. Więc jadłam, a gdy znalazłam dobrą ość, robiłam kamyczkiem skośne nacięcie, za które zaczepiałam nitkę. Taką ością cerowałam pończochy i ratowałam się przed zimnem.

Zimno było drugą dolegliwością i ogromnym cierpieniem. Rolę grzejnika centralnego ogrzewania pełniła cienka rurka biegnąca nad podłogą wzdłuż celi. Gdy zaczęli palić, to już była wielka ulga. Ale w więzieniu okres palenia, wydawania pończoch, drugiego kocyka czy kaftana nie był normowany zewnętrzną temperaturą, tylko raz na zawsze ustalonymi datami. Pamiętam, że 9 maja 1953 r. spadł śnieg, ale w więziennym kalendarzu była wiosna i na to nie było rady. Ciepło zrobiło się więc dopiero w lecie. O ile więc w zimie nie wolno było nawet wpuścić bluzy do spódnicy, żeby nie było cieplej, albo opasać się kawałkiem dratwy pozostałej po zaszcyciu siennika rozprutego przy rewizji, to w lecie nie wolno było odpiąć guzika przy szyi ani podwinąć rękawów. W ciągu dnia walczyłam z zimnem chodząc, zabijając plecy jak woźnice i gimnastykując się. Nie na wiele to pomagało, ale zawsze.

Kawę poranną wypijałam jak najszybciej, żeby nie wystygła. Nie było to łatwe, bo miska była blaszana i rozgrzana parzyła.

Któregoś dnia blokowa zwróciła mi uwagę, że mam spieczone, czarne usta. Zadziwiła mnie ta uwaga o moim wyglądzie, zupełnie przecież bezprzedmiotowa. Ja sama nie miałam pojęcia, jak wyglądam, nie było przecież żadnej możliwości zobaczenia się w jakimkolwiek lustrze. Nastąpiło to znacznie później przy okazji mojej bytności w sanitariacie. A było to tak. Rzeczywiście poczułam się bardzo źle. Wszystko mnie męczyło i postanowiłam zgłosić się do lekarza. Zaprowadzono mnie do sanitariusza, który na wstępie zapowiedział, że doktor nie uznaje symulantów, a ja natychmiast

odpowiedziałam, że jeśli uważa mnie za symulanta, to wycofuję swoją prośbę. Po jakimś czasie zaprowadzono mnie przed oblicze lekarza więziennego. Nie pamiętam jego wyglądu, a jedynie zachowanie. Siedział rozparty i zapytał całkiem bezosobowo: „z czym przychodzi?” Zdałam mu krótką relację ze swego stanu. Kazał mi wejść na wagę. Byłam w ubraniu i w tych klumpach, ważących parę kilogramów. Waga stanęła na pięćdziesięciu kilogramach. Wówczas zobaczyłam się w lustrze. Gdybym nie wiedziała, że to ja – to bym się nigdy nie poznała. Wyglądałam strasznie. Zapadnięte policzki, przeraźliwe blada, no i na dodatek te włosy związane z tyłu kawałkiem tasiemki czy sznurka. Lekarz podniósł się ze swego fotela, zbliżył się na odległość paru kroków i powiedział: „otworzyć usta, wyciągnąć język”. Nie dotknął mnie, nie osłuchał i kazał odejść. Pomyślałam sobie, że lekarz weterynarii nie traktuje tak chorego zwierzęcia. Chyba po jakichś dwóch tygodniach dano mi do celi parę pastylek. Nie wiem, co to było, może luminal, bo pastylki były małe. Po dalszych paru tygodniach nagle otworzyły się drzwi i blokowa powiedziała: „Weźcie miszkę, łyżkę i ręcznik i wychodźcie z celi”. Zgłupiałam. To nie była przeprowadzka. Zaczęłam pytać o inne drobiazgi; grzebień, szczotkę do zębów, do rąk itd. „Tak, możecie”, padła odpowiedź. Wysłałam z celi. Szłam długim korytarzem, chyba na tym samym piętrze, ale tego już nie pamiętam. Zatrzymałyśmy się, blokowa otworzyła drzwi i znalazłam się na izbie chorych, również izolatce. Poznałam ją po drewnianej podłodze oraz łóżku z materacem i pościelą. Drzwi się zamknęły, a mnie ogarnęło przerażenie. Jestem chora, a jeżeli to gruźlica, to co ze mną będzie po wyjściu na wolność. W najbliższej rodzinie, u siostr i brata są dzieci, nie będę więc mogła być z nimi. Tej nocy nie mogłam spać – na wygodnym łóżku, prawdziwej poduszce i czystej pościeli. Na drugi dzień po śniadaniu (jedzenie było takie samo jak w celach) przyszedł sanitariusz i kazał mi zmierzyć temperaturę. Miałam 37 i parę kresek. Dobrodusznie oświadczył, że wprawdzie jestem bardzo chuda, ale może nie mam gruźlicy. Po tym pocieszeniu zjawiał się u mnie co rano z termometrem. Nie wiedziałam, jak długo będę na izbie chorych. Nie było sensu pytać, bo i tak by mi nie odpowiedziano. Ponieważ byłam pewna, że mój pobyt potrwa dłużej, bałam się, że się całkowicie zależę i stracę siły. Znalazłam więc sobie robotę. Zamiast leżeć plackiem i wstawać tylko do zameldowania się na posiłki i apel – czego ode mnie żądano – zabrałam się do „butelkowania” podłogi. „Butelkowanie” wprowadzono w Fordonie, bo tam były drewniane podłogi i trzeba było kantem butelki lub innego gładkiego przedmiotu trzeć

podłogę, żeby się świeciła. Blask znikał, gdy tylko padła kropla wody, i zabieg trzeba było powtarzać. Tutaj zamiast butelki używałam metalowej, gładkiej gąłki, którą wykręciłam z drzwiczek szafki na jedzenie. Ten mój „zdrowotny urlop” trwał niestety tylko tydzień i wróciłam do starej celi. Bardzo żałowałam, że zamiast odpoczywać, zmuszałam się do pracy.

O SZAREJ GODZINIE

O szarej godzinie przymykam powieki,
Słyszę głos jakiś, to wolność mnie wzywa.
Więc wychodzę i opuszczam cztery ściany celi.
Jestem wśród swoich i bliskich –
Widzę ich, słyszę i rozmawiam z nimi.
Lecz to tylko złudzenie – podnoszę powieki
Znowu się znajduję wśród czterech ścian celi.
O! Gdybym mogła raz jeszcze być z nimi,
By móc im opowiedzieć o pojedynczej celi,
By mogli odczuć i zrozumieć
Jak nieraz ciężko być tylko w czterech ścianach celi.

O! Jak ciężko, gdy nie można do nikogo przemówić.
Z nikim się podzielić tym, co się odczuwa
Co chciałoby się wiedzieć.
Jak nieraz jest ciężko samemu poradzić,
Gdy nie ma nikogo, kto by mógł doradzić.
O! Gdyby można być z kimś – choć tylko przez chwilę,
Zobaczyć ich i usłyszeć, porozmawiać, uśmiechnąć się czasem,
A nieraz zapłakać.

Ten tylko potrafi to dobrze odczuć i zrozumieć
Kto przeżył to sam w pojedynczej celi.

Kalina Chełmicka,

Inowrocław, pojedynka, cela nr 52 1952 r.

Z tym samym lekarzem spotkałam się ponownie dopiero w następnym roku, gdy już pracowałam w pralni. Od chodzenia w gumowych butach dostałam paskudnego uczulenia na nogach. Przepisał mi wtedy zastrzyki z wap-

na i zakupiono (za moje pieniądze) mąkę kartoflaną, którą dosypywałam do wody przy myciu. Na zastrzyki chodziłam do sanitariatu. To, że przeżyłam, graniczy chyba z cudem, bo sanitariusz robił mi te zastrzyki bardzo szybko, a ja dosłownie padałam. Dopiero na wolności dowiedziałam się, że wapno należy wstrzykiwać bardzo, bardzo wolno i z przerwami, gdy pacjentowi robi się gorąco. Potem chodziłam jeszcze na kwarcówkę. Za którymś razem sanitariusz trzymał mnie pod lampą zbyt długo i gdy wróciłam do celi zauważyłam ogromne pęcherze na kolanach. Było to bardzo bolesne, zwłaszcza w zetknięciu z kocem. Dopiero na drugi dzień „wypompował” tę surowicę strzykawką, dobrodusznie narzekając, że „tak żeście się urządzili”, jakbym to ja decydowała o czasie naświetlania. Z powodu tego uczulenia zabrano mnie z pralni i pracowałam na korytarzu jako sprzątaczką. Także z tej celi zabrano nas kiedyś na wykonanie zdjęć płuc. Okazało się wtedy, że miałam dwa zwapnienia w szczytach. Nigdy przedtem nie chorowałam na płuca, więc musiało nastąpić samowyleczenie. Byłam jednak pod wrażeniem tych zwapnień i gdy powiadomiono nas, że można się zapisać na tran, to się natychmiast zgłosiłam. Była to z mojej strony wielka ofiara, gdyż tranu nie znosiłam od dziecka. Teraz drzwi otwierały się w różnych porach, trzeba było szybko podbiegać z łyżką i natychmiast łykać wstrętny, ciepławy płyn, bez możliwości zagryzienia go czymkolwiek.

Inowrocław był więzieniem izolacyjnym dla więźniów kategorii „A”, to znaczy takich, których się nie leczy¹⁹⁹. Dlatego też w więzieniu tym

¹⁹⁹ Zgodnie z przepisami Instrukcji nr 11 (oznaczona nr G.O.925/50) całą populację więzienia w Fordonie podzielono na trzy zasadnicze grupy „A”, „B” i „C”. Za podstawę zakwalifikowania do wymienionych grup przyjęto: „[...] wyrok sądowy z uzasadnieniem, dane z akt osobowych więźnia, opinie władz, które prowadziły śledztwo, oraz charakterystykę uwzględniającą pochodzenie społeczne, stan społeczny, wykształcenie i inne dane mające wpływ na kształtowanie się jego oblicza moralnego więźnia”. „Do pierwszej grupy, oznaczonej literą „A” [...] zalicza się najbardziej zaciętych wrogów ustroju demokracji ludowej, zdrajców narodu polskiego, winnych faszystacji kraju przed wojną [...]”. Dodatkowo przy kwalifikowaniu do grupy „A” należało posługiwać się również następującymi kryteriami: „wiekiem [...] rolą więźnia w popełnionym przestępstwie, rodzajem przestępstwa, wymiarem kary (powyżej dziesięciu lat i dożywocie), a także zachowaniem więźnia, zwłaszcza [...] stosunkiem do władz więziennych [...]”. Instrukcja ponadto zalecała „osadzanie w oddzielnych celach [...] względnie w specjalnych oddziałach [...] więźniów skazanych za szpiegostwo i dywersję, członków sztabów nielegalnych organizacji [...]”. Poza tym ściśle nakazywano, iż „więźniów o wybitnie wysokim nasileniu złej woli, opierając się na analizie akt i obserwacji osoby więźnia, tj. jego zachowania się i stosunku do popełnionego przestępstwa [...] umieszcza się w celach zabezpieczonych (mniejszych i środkowych).” (T. Kostewicz, *Więzienie w Fordonie na tle struktur więziennictwa lat 1944–1956*, „Studia Juridica” 1995, XXVII, s. 151–152).

zmarła Maryjka Kolska. Wiem, że była pokryta wrzodami, a ostatecznie zmarła na uremię. Na wrzody cierpiała także Kalina Chełmicka, która, jak się okazało po naszym powrocie do Fordonu – zachorowała również na bardzo ciężką gruźlicę i skierowano ją do sanatorium w Prabutach, skąd wyszła na mocy amnestii. Inowrocław spowodował również ciężkie załamanie nerwowo-psychiczne „Rysi” Szelałowskiej, uosobienie spokoju i równowagi. Wywieziono ją na leczenie do szpitala w Grudziądzu. Bóg sprawił, że wyszła na wolność całkowicie normalna i do końca życia pracowała na bardzo odpowiedzialnym stanowisku. Na każdej z nas zresztą Inowrocław wycisnął jakieś piętno. Gorliwy lekarz, który zgłaszając się pacjentkę oglądał tylko z głębi swego fotela i nawet jej nie dotknął, został szczęśliwie zmieniony po roku. Zastąpił go inny, młody, który wyratował od śmierci przynajmniej dwie nasze koleżanki. Nie bał się postawić na swoim i spowodował transport jednej na leczenie i operację do szpitala w Grudziądzu, a uzyskanie przerwy w wykonaniu wyroku dla drugiej. Nie zapamiętałam jego nazwiska, ale spotkałam go w Inowrocławiu przy okazji poświęcenia tablicy pamiątkowej na murach więzienia. Zasłużył w pełni na naszą wdzięczność.

Wybiegam tu naprzód, ale pamiętam, że po powrocie do Fordonu w marcu 1955 r., gdy pracowałam w hafciarni, Jadzia Chrząszczewska²⁰⁰ często mi zwracała uwagę: „przestań myśleć o Inowrocławiu”, bo podobno zmieniał mi się zupełnie wyraz twarzy. Przeżyłyśmy też szok, gdy w Fordonie zjawiła się niespodziewanie Obiała. Jako naczelnik więzienia dla małoletnich w Bojanowie przyjechała, żeby spośród nas wybrać sobie lekarkę. Chodziła wtedy po pracowni i pamiętam, jak wchodząc do naszego „grajdołka” powiedziała: „O, i tutaj są moje”, a nam zrobiło się zupełnie zimno i długi czas nie mogłyśmy się uspokoić.

Po tych dygresjach powracam do swej samotnej celi. Wielkim przełomem w naszym ówczesnym życiu była pierwsza wypiska. Oczywiście najważniejszą rzeczą był chleb. Innych produktów już nie bardzo pamiętam, ale można było też wypisać czterdzieści papierosów. Był to przydział na dwa tygodnie. Wprawdzie z początku nie miałam zamiaru palić, ale z doświadczenia wiedziałam, że jeśli raz zrezygnuję z papierosów, to ich już potem

²⁰⁰ Jadwiga Chrząszczewska – skazana w związku ze sprawą Andrzeja Czaykowskiego na 8 lat pozbawienia wolności.

nigdy nie dostanę, a wierzyłam, że kiedyś znajdę się na wspólnej celi i będę mogła służyć koleżankom. Tak się więc zaczęło. Papierosy dano do celi, ale bez zapalek i o jakiejś porze dnia, wybranej przez oddziałową, drzwi się otwierały, trzeba było biec pod okno, zameldować się i zaraz do drzwi, żeby odpalić papierosa od zapalki trzymanej przez oddziałową. Przez długi czas zapalałam tego samego papierosa, bo już po pierwszym zaciągnięciu się robiło mi się słabo, aż przyzwyczaiałam się i zaczęłam znów palić. Pamiętam również, jak w czasie największego głodu nikotynowego blokowa otwierała drzwi z papierosem w ustach i demonstracyjnie strzepywała popiół na moją podłogę.

Ale ten pierwszy bochenek chleba kupiony na wypiskę to był naprawdę skarb. Tak bardzo nam go brakowało. W sprawie chleba zaprowadziłam sobie bardzo ostrą dyscyplinę. Rano dzieliłam go na połowę. Jedną połówkę zjadałam na śniadanie, a drugą dzieliłam na dwie części, które zjadałam po obiedzie i po kolacji, nie pozwalając sobie na żadne dojadanie pomiędzy posiłkami. Czasami brałam tylko parę okruszynek do ust. W czasie mojego pobytu na pojedyncze dwukrotnie dano nam na kolację czerninę. Mam organiczny wstręt do tej zupy i musiałam stoczyć ze sobą ciężką walkę, żeby jednak trochę jej zjeść, a nie wylać w całości do „kibla”.

W końcu czerwca 1953 r. (po dziesięciu miesiącach pobytu w Inowrocławiu) zawitał do mojej celi gość – książka! Była to *Chemia i higiena mleka* – podręcznik dla techników, a może studentów. Szczęście i radość były ogromne, a jednocześnie *Schadenfreude*, że władze dając mi tę właśnie książkę w sposób niezamierzony oddały mi wielką przysługę. Przez dwa tygodnie mogłam pracować umysłowo, przyswajając sobie nowe zagadnienia. Następną książkę można było sobie wybrać i był to *Pan Tadeusz*. Parę miesięcy później, w końcu września czy na początku października, poszłam do wspólnej celi. Było nas tam trzy (Lidia Lwow²⁰¹, Marie Jeanne Kubisiak²⁰² i ja)

²⁰¹ Lidia Lwow-Eberle – „Lala”, „Ewa” (ur. 1920), por. AK. W czasie wojny działała w AK, od 1943 r. do 1945 r. w V Brygadzie AK Okręgu Wileńskiego, gdzie pełniła funkcję sanitariuszki. Od września 1945 r. do czerwca 1948 r. działała w zgrupowaniu mjr. Zygmunta Szendzielarza („Łupaszki”) Ośrodka Mobilizacyjnego Wileńskiego AK. Aresztowana 26 VI 1948 r., skazana została przez WSR w Warszawie 2 XI 1950 r. na 12 lat więzienia. 26 XI 1956 r. zwolniona na przerwę kary, w styczniu 1957 na skutek rewizji nadzwyczajnej anulowano jej resztę wyroku.

²⁰² Maria Kubisiak – Mariżanka (nazwana tak od połączenia dwóch imion Marie i Jeanne). Aresztowana za pracę na rzecz wywiadu francuskiego. Wyrokiem WSR we Wrocławiu z dnia 7 II 1950 r. skazana na karę śmierci, zamienioną na karę dożywotniego więzienia.

i każda z nas mogła sobie zamówić po jednej książce. Oprócz tego zezwolono mi na czytanie książek marksistowskich. Do tej pory (od czasu osadzenia nas w suterenie w Fordonie) były to książki zakazane dla wrogów ustroju Polski Ludowej. Bardzo chciałam poznać tę literaturę, a przez nią naszą terażniejszość. Poza tym chciałam czytać wszystko, co tylko miało jakiś związek z nauką. Miałam wtedy tak chłonny umysł, wygłodniały po tyloletnim poście intelektualnym, że czytanie największych nawet „cegieł” nie sprawiało mi żadnych trudności. Wiem, że gdybym wtedy rozporządzała podręcznikami oraz papierem i czymś do pisania, to z łatwością przerobiłabym kurs uniwersytecki. Już wtedy moje plany na przyszłość oscylowały pomiędzy biologią czy rolnictwem a anglistyką.

Matka moja zachowała wszystkie listy pisane przeze mnie z różnych więzień. Mam również wiersze Ireny Tomalakowej. Pozwalają mi one odtworzyć wiernie niektóre daty i fakty. Na przykład ostatni list z Fordonu pisałam 3 sierpnia 1952 r. Wyjazd do Inowrocławia 26 sierpnia, a 21 września pisałyśmy listy zawiadamiające nasze rodziny, że nie mogą do nas ani pisać, ani przyjeżdżać na widzenia. Wcześniej, trzeciego dnia pobytu w Inowrocławiu, zabrano mnie w ciągu dnia z celi, oczywiście nie mówiąc po co i dokąd. Okazało się, że na widzenie z moją Matką. Za dwoma rzędami grubych, jak w konfesjonale, drewnianych krat, stała moja Matka, a obok Niej wpatrzona we mnie Obiała. Moja radość nie do opisanie, bo właśnie w Fordonie bardzo czekałam na widzenie jak zwykle pełna niepokoju, bo dawno nie miałam ani widzenia, ani listu. Przyjazdy do Fordonu nie były łatwe ani fizycznie, ani finansowo, a i pisanie utrudnione przy licznej gromadce wnuków, którymi się zajmowałam, pomagając mojej siostrze. Więc to widzenie, świadomość, że jakimś sposobem Matka dowiedziała się, gdzie przebywam, było dla mnie czymś nie do opisanie cudownym. Ale, nie mogłam przecież najmniejszym znakiem przekazać Jej prawdy o sobie, czując wlepiony w siebie wzrok Obiały. Zresztą Pan Bóg mi to dawał, że na każdym widzeniu z Matką byłam pogodna i uśmiechnięta, że zawsze mogłam Ją uspokoić, że wszystko jest u mnie dobrze. Tym razem też tak było. Już na wolności Matka opowiedziała mi, jak to się stało, że mnie odnalazła. Zawdzięczała to po prostu oddziałowemu. Przyjechała na widzenie na drugi dzień po naszym wyjeździe z Fordonu. Powiadomiono Ją, że mnie nie ma i że jestem w Inowrocławiu. Matka prosiła o jakieś zaświadczenie, że widzenia nie miała, a oddziałowcy powiedział Jej, żeby o nic nie prosiła ani nie pytała, tylko żeby

szybko wsiadała w pociąg i jechała do Inowrocławia, to mnie zobaczy. Matka więc przenocowała i przyjechała do Inowrocławia. Był to ostatni dzwonek, bo nie było jeszcze zakazu widzeń i tylko ja jedna miałam to szczęście.

Gdy więc 21 września dano nam do pisania kartki, zanim doszło to do mojej celi już wiedziałam, jaka ma być ich treść. Nie mogłam sobie wyobrazić, co to będzie dla mojej Matki, gdy taką kartkę otrzyma. Całą siłą musiałam powstrzymać się od płaczu. Powiedziałam sobie, że będę płakać, ale już po napisaniu tego listu, jak sobie ode mnie pójdą. Weszła blokowa – ta lepsza – zapytała do kogo chcę pisać i podała gotową formułę. Na moje pytanie czy pieniądze można przesłać, powiedziała że tak, ale o tym pisać nie można. Potem dodała: „Jak wasza Matula taki list dostanie, to będzie go tyle razy na wszystkie strony obracała, że zrozumie” – tyle, że jak pisałam, Matka nigdy tej kartki nie dostała. Przyjeżdżała jeszcze dwukrotnie²⁰³ na widzenie, ale go nigdy nie otrzymała. Za czyjąś radą udała się do lekarza więziennego, ale ten Ją wyrzucił za drzwi.

Pierwszy „prawdziwy” list napisałam 5 marca 1953 r. List ten, podobnie jak prawie wszystkie, pisałam w myślach na długo przed otrzymaniem papieru i ołówka. Na jednej kartce papieru (o różnym formacie) musiałam przecież zmieścić wszystko to, co chciałam przekazać Matce i najbliższym. Ten pierwszy list pisany w marcu musiał wypowiedzieć wszystko, i moją tęsknotę i niepokój, a jednocześnie nie miał budzić żadnego niepokoju o mnie. Myślałam, jak mam przekazać to, że jestem sama, ale w tym pierwszym liście nie umiałam tego zrobić. Przesłałam natomiast ułożony na imieniny Matki wierszyk. Wiem, że te moje „poezje” nie mają wartości artystycznej, ale wypowiadałam w nich to wszystko, czym żyłam, co czułam, całą moją tęsknotę. Pamiętam, jaką trudność sprawiało mi napisanie pierwszego listu. Ręka mi tak drżała, że musiałam ją podtrzymywać drugą ręką. O mojej samotności starałam się napisać w drugim liście, nie wiem jednak, czy mnie rozumiano, bo wplotłam takie zdanie: „zrozumiesz mnie lepiej przypominając sobie Wielką Improwizację. Jej początek stale dzwoni mi w uszach”.

Samotność. Zastanawiałam się nieraz nad tym stanem, bo może być i piekło samotności, i błogosławieństwo samotności. Inaczej się ją przeżywa, gdy

²⁰³ Patrz listy Matki w dokumentach.

się ma książki, możliwość pisania, kontaktu z ludźmi, wymiany myśli i poddania ich czyjemuś krytycznemu osądowi. Gdy tego wszystkiego nie ma, człowiek zostaje sam na sam ze swoimi myślami, nie można się od nich uwolnić, są wciąż obecne. Dręczą pytania, na które stara się sam sobie odpowiedzieć, nie mając żadnej pewności, że myślenie jest poprawne, a rozwiązanie problemu słuszne i obiektywne, nie wynika z podświadomej chęci przyznana sobie racji.

Będąc na mokotowskim „ogólniaku” w przepełnionej celi, i później w Fordonie, gdzie zawsze było się w większej lub mniejszej grupie, marzyłam o zamkniętych rekolekcjach, bez konieczności ciągłego przebywania i kontaktu z ludźmi, a dającymi możliwość wgłębienia się w swoje sprawy, skupienia i medytacji. Marzyła mi się jakaś podróż morską, bez pośpiechu, pozwalająca wchłaniać w siebie piękno otaczającego morza, nieba – jakiegoś spokoju. Nigdy nie myślałam o wzburzonym czy niespokojnym morzu, ale o jego bezmiarze, o nieustającym przepływie fal coraz to nowych. Odczuwałam wielką potrzebę samotności, ale wyzbyłam się tych marzeń w zętknięciu z rzeczywistością więzienia izolacyjnego, jakim był Inowrocław. Zastanawiam się, jak oddać, jak opisać całą mękę zmagania się z różnymi problemami, z natłokiem myśli i pytań, ze świadomością, że każde rozwiązanie, każda odpowiedź nie jest poparta żadnym autorytetem, bo go nie ma. Męczyło mnie na przykład to, że nie mogę, nie umiem żyć w całkowitej negacji wszystkiego, a więc i naszej rzeczywistości powojennej. Myślałam o moim życiu na wolności i o tym, że w to życie będę musiała i chciała się włączyć, a więc będę musiała coś afirmować. O ile w okresie okupacji sabotaż był czynem heroicznym i chwalebnym, to obecnie ta sytuacja uległa zmianie i nie można już żyć maksymą, że im gorzej, tym lepiej. Zresztą, dawałam temu wyraz jeszcze w Fordonie, gdzie pracowałam krótko, bo tylko rok, na produkcji. Nie umiałam markować pracy i byłam bardzo zła, gdy nie było nic do roboty. Poza pracą było jeszcze bardzo dużo innych, nieustannie towarzyszących mi problemów, które starałam się jakoś rozwiązywać. Dochodziły do tego jeszcze zagadnienia związane z wiarą. Różne wątpliwości, poczucie wewnętrznej pustki, świadomość tylu lat bez sakramentów, zagadnienie żalu doskonałego i potrzebnej do tego łaski. Błędne koło. W tym wszystkim trzymała mnie najbardziej wola. Wola, że za wszelką cenę – mimo wewnętrznej pustki – muszę i chcę wierzyć, że nigdy nie mogę powiedzieć ani nawet przez chwilę pomyśleć, że nie wierzę, i tym usilniej i intensywniej starałam się modlić. Modlitwy ciągle się wydłużały, bo wciąż

przybywały nowe intencje. W najtrudniejszych momentach ratował mnie różaniec; najbliższe dla mnie było może przeżywanie tajemnic bolesnych, a zwłaszcza dźwigania krzyża. Pamiętam, że kilkakrotnie, gdy już kompletnie nie umiałam sobie poradzić z niepokojem o Matkę, czekając na list czy widzenie, to przy tej tajemnicy – gdy rozważałam spotkanie Chrystusa z Matką – otwierały się drzwi i dawano mi list lub wzywano na widzenie. Było to coś wspaniałego, całe cierpienie opadało ze mnie, a pozostawało tylko ogromne szczęście i wdzięczność Bogu. W tej swojej samotności przekonałam się, czym jest sakrament spowiedzi, jaką wielką łaską. Świadomość, że moje przewinienia zostają mi odpuszczone, że otrzymuję łaskę potrzebną i niezbędną mi do życia i że wreszcie moje wątpliwości, moje pytania znajdują rozstrzygnięcie autorytatywne, bo oparte na Ewangelii.

Ale samotność miała także inne aspekty. W dzień było to myślenie o innych, o tych na wolności, najbliższych, ale i o różnych ludziach, z którymi się kiedykolwiek zetknęłam, którzy często, niespodziewanie pojawiali się i przypominali o sobie, przywołani jakimś skojarzeniem, jakimś słowem usłyszanym gdzieś na korytarzu. Moje myślenie o Matce i wszystkich moich najbliższych było z konieczności myśleniem bardzo abstrakcyjnym. Po prostu nie mogłam nikogo umiejscowić w znanym mi miejscu, na tle mieszkania, mebli, czy innego otoczenia. Wszystko się zmieniło, nikt nie mieszkał w znanym mi miejscu. Dlatego może Matkę najczęściej widziałam w naszym utraconym domu w Janowicach, wiedząc jednocześnie, że domu już nie ma, że zmiotła go fala wojny. Poza żywymi ludźmi pojawiały się różne postaci z książek, nawet te, z którymi obcowałam w dzieciństwie. I już czasem trudno było odróżnić, co jest jawą, a co tylko jakąś mrzonką – jak by to określił Słonimski. Pamięć moja obejmowała oczywiście i bliskich zmarłych, ale z nimi najczęściej obcowałam w snach. Miałam więc czas bardzo wypełniony i naprawdę nigdy się nie nudziłam, w ogóle nie rozumiałam, jak można się nudzić. Przy tych wszystkich udrękach myśli było mi w jakiś sposób dobrze ze sobą. To bardzo trudne do scharakteryzowania uczucie, bo jednocześnie niesłychanie tęskniłam do ludzi, do bliskich, do możliwości wymiany myśli. Zdawałam sobie jednak sprawę, że ten wielomiesięczny pobyt w samotności w jakiś sposób ukształtował mój styl życia i przyzwyczajenia. Tęskniąc więc do towarzystwa, jednocześnie bałam się, czy zdołam przystosować się do wspólnego życia w małej celi.

Myśl o wspólnej celi kojarzy mi się z bardzo przykrym przeżyciem. Któręś dnia, po kilku miesiącach samotności, wezwała mnie do siebie

Obiała. Zapytała, czy chcę pójść do wspólnej celi. Bez namysłu odpowiedziałam, że oczywiście chcę. Ale to był tylko wstęp do zaproszenia do współpracy, z początku dość zawołowanej, ale dla mnie jasnej. Pamiętam, że musiałam bardzo panować nad sobą, żeby udając, że nie rozumiem, o co chodzi, zmusić ją do sprecyzowania propozycji, a wtedy mogłam już spokojnie odpowiedzieć „nie”. Pamiętam, że byłam tak zdenerwowana, że musiałam rękami trzymać kolana. Zapytałam, czy mogę się odmeldować, i wróciłam do celi. Było to dla mnie straszne, że ktoś ośmielił się zaproponować mi współpracę. Nie doświadczyłam tego ani podczas śledztwa, ani nigdy potem. Czułam się wewnętrznie tak upokorzona, jak gdybym dostała wielokrotnie po twarzy. Tego samego wieczora usłyszałam, że zabierają kilka koleżanek do wspólnych cel. Czekałam w napięciu, czy przyjdą także do mnie. Jeśli bowiem przyjdą, to znaczy, że była to tylko zwykła próba, a jeśli nie – to wobec tego na wspólną celę biorą te, co podpisały współpracę. Czyżby wszystkie podpisały, a ja tu zostanę sama jedna? To było straszne, bo jednocześnie zasiało nieufność do moich koleżanek. Oto jedna z tych szatańskich metod stosowanych przez ubecję. Oczywiście, pozostałam w samotnej celi i po apelu pozwoliłam sobie na płacz. Moja jedyna chustka była cała mokra i wtedy właśnie zjawiła się Obiała z jakąś inspektorką. I było to drugie upokorzenie, które musiałam przeżyć tego samego dnia. Nie pamiętam, czego ode mnie chciały, o co pytały. Wryło mi się jedynie w pamięć to, że leżałam na boku bezbronna, ze śladami łez, których nikt przedtem u mnie nie widział, i taka zupełnie zagubiona, mając w pamięci zarówno propozycję, jak i fakt, że inne poszły do wspólnych cel. Wreszcie obie wyszły. Nie mogłam jednak zapomnieć tej sprawy i gdy po paru miesiącach, ale jeszcze z pojedynczej celi, wezwano mnie do jakiejś „baby” z ministerstwa, zapytałam, czy pójście na wspólną celę może być uzależnione od podpisania współpracy. Powiedziała, że nie, jednocześnie jednak zapytała: „A gdyby to było warunkiem, to czy byście podpisali?” Moja odpowiedź była oczywiście negatywna. Upłynęło znów kilka miesięcy, gdy wezwała mnie do siebie Obiała. Jak się potem zorientowałam, przyjechał wówczas transport z Warszawy, a w nim moja stryjeczna siostra Hanka, i to w związku z nią mnie wezwano. Obiała zapytała mnie, kim jest dla mnie siostra stryjeczna Hanka, a potem powróciła do mojej rozmowy z inspektorką, do mego pytania o współpracę. Dlaczego o to zapytałam? I wtedy mogłam jej wypalić z całą otwartością, przypomnieć propozycję, którą mi postawiła po zapytaniu, czy chcę pójść do wspólnej celi. W ten

sposób mogłam się raz na zawsze odciąć od tego, już bez żadnych niedomówień. Muszę jednak tu dodać, że koleżanki, które tamtego wieczoru poszły na wspólną celę, nie podpisały żadnej współpracy. Dlaczego jedne siedziały krócej na pojedynce, a drugie do samego końca, tego nikt z nas nie wie. To była jedna z metod siania nieufności, zmuszająca jednocześnie wciąż do dociekania jakichś prawidłowości.

Wszystkie posunięcia ówczesnych władz charakteryzowały się tym, że nie można się było w nich doszukać żadnej logiki. Zawsze w którymś miejscu trzeba było utknąć. Dam przykład. Gdy 2 marca 1950 r. osadzono nas w suterenie, to oczywiście starałyśmy się dociec przyczyn. Prawie wszystkie pracowałyśmy wtedy na produkcji i pracowałyśmy dobrze. Z tej strony nie było do nas żadnych zastrzeżeń. A więc może wysokie wyroki, gatunkowy ciężar sprawy, pochodzenie społeczne? Prawie wszystko się zgadzało, ale – wspominałam już o tym – co robi wobec tego u nas „Mamunia”, która dostała siedem lat za „złe wychowanie córki”. Takich przykładów można podać bez liku. Odkryłam potem to prawo. Otóż władze rządziły się logiką, ale potem, dla niepoznaki i aby zmusić więźnia do ustawicznego stawiania sobie pytań, burzyły tę logikę, na przykład zabierając do suterenu „Mamunię”. Człowiek jest istotą myślącą i dąży do poznania prawdy, a to zmuszanie do szukania prawidłowości i logiki w postępowaniu władz w stosunku do zbiorowości czy poszczególnych więźniów jest dodatkową udręką, świadomie stosowaną. „Kara musi być dotkliwa” – jak się kiedyś wyraził jakiś śledczy czy inspektor, jakby samo pozbawienie wolności nie było jeszcze dość dotkliwe.

Pamiętam, że któregoś dnia wezwana do jakiegoś inspektora z ministerstwa czy UB zapytałam, dlaczego zabrano mnie z pracy i osadzono w suterenie. I wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, jaki to był powód: „Bo nie było pewności, czy nie prowadzicie wrogiej propagandy”. A ja byłam wtedy zaabsorbowana czymś zupełnie innym. Otworzyła się możliwość ukończenia szkoły podstawowej i ewentualnie dalszej nauki, prowadzonej przez nasze koleżanki na terenie więzienia w Fordonie. Było wtedy dużo młodych dziewcząt, które z powodu wojny utknęły w edukacji na paru klasach szkoły powszechnej. W tej szansie chciałam im pomóc. Pracowałyśmy razem, a siedziałyśmy w różnych celach. Pisałam już o tym, jak udało nam się zdobyć pozwolenie na pozostawanie w pracowni w czasie przerwy obiadowej i ten czas mogłam wykorzystać na pomaganie im w nauce. Uzu-

pełnienie ogromnych braków było trudne, tym bardziej że nie mogłam zrozumieć, iż te dziewczęta – inteligentne i zaradne, których mądrość życiowa niejednokrotnie pomogła mi w czasie śledztwa na Mokotowie – teraz borykają się z takimi pojęciami, jak obwód, powierzchnia, objętość, które mnie wydawały się czymś wrodzonym. To samo dotyczyło języka polskiego, formułowania myśli na piśmie, pisania wypracowań. Miałam wtedy dużo cierpliwości i pomysłowości w wyjaśnianiu trudnych dla nich pojęć i zagadnień oraz ogromną satysfakcję, gdy mi się coś powiodło. No i moja „pedagogiczna” praca została przerwana, bo „nie było pewności, czy nie uprawiam wrogiej propagandy”.

Zastanawiam się nad potrzebą twórczości. Nigdy nie przejawiałam żadnych zdolności plastycznych, a w więzieniu mokotowskim, zwyczajem wszystkich chyba więźniów, zaczęłam lepić z chleba. Z początku były to bardzo proste wyroby, jak cygarniczki, popielniczki (paliło się wtedy skręty, często z braku bibulek – w gazecie, jeśli była), potem były jakieś zwierzaki, najczęściej słonie, potem karty do pasjansa wielkości paznokci, krasnoludki, broszki, bransoletki, a wreszcie różańce, krzyżyki z postacią Chrystusa i płaskorzeźby. Lepiłam także, na zamówienie, figury szachowe. Przy rewizji często zabierano nam gotowe wyroby, ale natychmiast się je odtwarzało. Jako narzędzi używałam zaostrzonych zapalek. Do tej pory wisi u mnie plakietka ze św. Józefem i Dzieciątkiem Jezus, zrobiona dla Matki. Nosiłam ją stale w kieszeni już po zakończeniu śledztwa, bo spodziewałam się, że któregoś dnia wezwą mnie do adwokata i będę mogła ją przekazać. I tak się stało. Jak już pisałam, adwokat otworzył teczkę, a ja wrzuciłam te moje pamiątki, bo był tam jeszcze różaniec i spory krucyfiks zrobiony przez Staszka Kasznicę, z którym siedziałam przez ścianę na „jedenastce”. Krucyfiks ten podał mi Staszek przez okno. Myślę więc, że w człowieku drzemią różne możliwości, które wyzwalają się w miarę potrzeby. W Inowrocławiu sytuacja była zupełnie inna. Lepienie z chleba nie wchodziło zupełnie w rachubę, zresztą nie odczuwałam takiej potrzeby, a sam chleb był zbyt cennym skarbem, żeby móc myśleć o nim jako o tworzywie. Ta potrzeba twórczości, wypowiedzenia się, wyraziła się w wierszach i listach. Każdą nową linijkę, każdą zwrotkę musiałam starannie wbić sobie do głowy, żeby nie zapomnieć. Dlatego najlepiej mi się „tworzyło” w rytmie *Godzinek*. Wszystkie wiersze przekazałam w listach. Moje listy do domu, a właściwie do Matki, a tylko od czasu do czasu z dopiskami do najbliższych, starannie przez

nią przechowywane, zostały przepisane i oprawione i są dla mnie cenna pamiątką i dokumentem tamtych lat.

Po trzynastu miesiącach samotności przeniesiono nas na wspólne cele. Po początkowym szoku, o którym już pisałam, życie ułożyło się normalnie. Obawy, że nie będę umiała już współżyć z ludźmi, okazały się płonne. Nagle byliśmy we trzy, z koleżankami, których nie znałam wcześniej. Nie mogłyśmy przestać mówić – byłyśmy przez to zupełnie nieprzytomne. Miałyśmy zupełnie zardzewiałe głosy, ale mówiłyśmy, mówiłyśmy, nawet gdy było po apelu i powinnyśmy już spać, ale nie zasnęłyśmy aż do porannego apelu. Miałyśmy sobie mnóstwo do powiedzenia, a poza tym były książki. Spacerowałyśmy już odrobinę dłuższe, bo z celi wychodziłyśmy trzy naraz.

Po jakimś czasie wzięto mnie do pracy w pralni. To było dla mnie całkowicie nowe doświadczenie, bo muszę przyznać, że do tej pory nigdy nie prałam na tarze. Zanim wzięto nas, w pralni pracowały więźniarki kryminalne, które nie bardzo przykładały się do roboty. Bielizna była zapuszczona, wszystkie niedoprane obrąbki trzeba było trzeć w rękach – oddziałowa nie pozwalała nam używać szczotki. Trzeba było się też bardzo spieszyć, żeby wszystko wyprać w oznaczonym czasie, wygotować, wypłukać i porozwieszać na podwórku. Pamiętam, że było już ciepło. Dowiedziałyśmy się kiedyś, że ma nastąpić zaćmienie słońca. Oddziałowa, która była już oswojona z nami i miała do nas zaufanie, bo widziała jak pracujemy, przyniosła skądś zakopcone szkiełka i mogłyśmy oglądać to zjawisko. W pralni nie pracowałam jednak długo z powodu uczulenia na rękach i nogach. Cały dzień trzeba było chodzić w wysokich kaloszach, a ręce – wrażliwe jeszcze od czasów robienia przysiadów na Mokotowie – pokryły się ciekającymi bąblami, bardzo swędzącymi.

Zabrano mnie więc z pralni i zostałam sprzątaczką na korytarzu, tzw. korytarzową. Znowu trzeba było wszystko robić w szalonym pośpiechu, a jednocześnie bardzo dokładnie. Zamiatać ogromne korytarze, nadawać blasku linoleum, wytartym do niemożności, powycierać wszystkie drzwi i balustrady z kurzu, powynosić i wypłukać „kible”, a ponadto poroznosić i porozdawać posiłki. W czasie pracy nie wolno nam było z nikim się spotykać. Toteż gdy koleżanki z innych cel wychodziły na spacer, musiałyśmy się natychmiast chować, a w najgorszym razie stawać nosami do ściany. Często też, gdy była kąpiel, brakowało wody, musiałyśmy ją wówczas nosić i wlewać do zbiornika. To była ciężka praca, a czas na nią przeznaczony zawsze za krótki. Co jakiś czas którąś z nas brano do sprzątania poko-

ju „specja”. Było to bardzo nieprzyjemne, ale przy tej okazji zbierało się zwykle całą śmietniczkę petów, z których potem skręcało się papierosy; w rezultacie takie sprzątanie opłacało się.

Typowy obrazek z tamtych dni: jestem na górze i słyszę, jak oddziałowa woła z dołu: „korytarzowa, korytarzowa, chodźcie prędko”. Zbiegam w dół. U stóp schodów stoi oddziałowa, pali papierosa i mówi: „Podnieście tę zapalną, bo upadła!”. Rozdawnictwo posiłków też miało wiele dobrych stron. Po pierwsze można było sprawiedliwie obdzielić koleżanki. Gdy nalewałam zupę, starałam się tak zamieszać, żeby każda dostała dobrą porcję, a nie samą wodę. My natomiast mogłyśmy nabrać sobie znacznie więcej zupy, pozostając w kotle po ewentualnych dolewkach dla koleżanek. To samo było z chlebem i margaryną. Dbałyśmy, aby wszystkie dokładki do porcji chleba zostały wydane sprawiedliwie. Jeśli porcje margaryny (były to mikroskopijne kawałeczki) zostawały, to także mogłyśmy je sobie wziąć. Chyba że było znacznie więcej, wtedy oddawało się do kuchni.

Pamiętam, jak kiedyś wkroczyła do naszej celi blokowa Kozakowa i dała nam szachy. Zapanowała wielka konsternacja, pytałyśmy się siebie nawzajem, która potrafi grać w szachy. Ja nie miałam o tym zielonego pojęcia. Umiałam tylko lepić pionki z chleba i to była moja specjalność. Pamiętam, że wreszcie „Basia” Kobierzycka z jakąś drugą koleżanką zaczęły coś tam próbować. Nagle drzwi się otworzyły, weszła blokowa i swoim beznamietnym głosem zapytała: „no i co?” Cisza. Dopiero po chwili odezwałam się ja: „No, bardzo się cieszymy, obywatelko blokowa, że możemy grać”. „Tylko się nie cieszcie, tylko się nie cieszcie, bo się może wam jeszcze te szachy zabierze” – zabrzmiała odpowiedź blokowej. Nic dodać, nic ująć.

Innym razem, a było to latem, nagle wywołano nas do celi i kazano zabrać koszulę i swetry. Okazało się, że będą nam robić zdjęcia do dowodów osobistych. Było gorąco, a trzeba było zapinać bluzę pod szyję, więc kładłyśmy ją na gołe ciało bez koszuli. Pamiętam, że kładłam tę koszulę gdzieś pod fortepianem (była to jakaś świetlica), a na nią pozał się Boże sweter, wycięty półokrągło. Włosy związane do tyłu tasiemką, gładko ulizane, koszula z rozpiętą stójką i ten sweter – to wyglądało bardzo „wolnościowo”. Mam tę fotografię do dzisiaj, na pamiątkę.

Dzień w Inowrocławiu kończył się apelem, a po nim prawie natychmiast następowało wystawienie kostki. Trzeba było błyskawicznie ściągnąć z siebie bluzę i spódnicę, równiutko złożyć na kant, położyć na taborecie...

Inowrocławskie osamotnienie niektóre znosiły lepiej, inne gorzej. Jedne płakały na głos, mówiły do siebie, w nocy reagowały na zapalone światło, a inne nie uzewnętrzniały się zupełnie, nie odzywały się, nie reagowały na światło. Jedne nawiązywały natychmiast kontakt przez ścianę, często ryzykując pobytem w „karcu”, inne nie umiały się rozeznac w otaczających odgłosach i albo nie stukwały wcale, albo nawiązały ten kontakt znacznie później. Jedne chorowały, inne zachowały niezłą, jak na te warunki, formę. Ale wszystkim z tego samego transportu stworzono jednakowe warunki.

Do tej pory zbyt mało jest wiadomości o innych, późniejszych transportach, trudno jest więc uogólniać pobyt w więzieniu inowrocławskim. Całkowite odizolowanie sprawiło, że dopiero teraz ujawniają się pewne szczegóły i istotne różnice w losach więźniarek Inowrocławia. Niedawno na przykład dowiedziałam się, że koleżanka z transportu warszawskiego siedziała w małej, czarnej celi. Nie pozwolono jej na dzień przypinać do ściany ani pryczy, ani stolika i całe dnie spędzała na gołych deskach pryczy – siennik musiał być oczywiście odsunięty – bez możliwości chodzenia po celi. A chodzenie po celi było czymś niesłychanie istotnym w naszym życiu. Z trudem przeciskała się do okna, gdy otwierano drzwi i musiała się zameldować. Od koleżanki z innego transportu (z Wrocławia) ze zdumieniem dowiedziałam się, że gdy zimą prowadzono je na spacer, to w łazni były kurtki, które wtedy kładły na siebie. Koleżanki, które przywożono późniejszymi transportami, albo nie siedziały wcale w pojedynczych celach, albo znacznie krócej niż te przywiezione 26 sierpnia 1952 r. Takich różnic jest na pewno znacznie więcej, ale po prostu o nich nie wiemy, bo każdej z nas wydaje się, że inne siedziały w takich samych warunkach. Przede wszystkim dotąd nie wiemy, ile kobiet ogółem było więzionych w latach 1952–1955, to jest wtedy, gdy Inowrocław był więzieniem izolacyjnym. Według naszych, bardzo prowizorycznych szacunków, było nas najwyżej 150, a doliczyliśmy się 116, nie mając jednak pewności, czy wszystkie te koleżanki były rzeczywiście w Inowrocławiu. Nie wiemy też, ile było ogółem transportów, kiedy i skąd przychodziły. Chcemy znać nazwiska wszystkich koleżanek, okresy ich pobytu w Inowrocławiu, wiedzieć, skąd je przywieziono. Chcemy też znać liczbę i nazwiska zmarłych. Do tej pory wiemy tylko, że zmarła nasza koleżanka z pierwszego transportu – Maryjka Kolska, oraz że popełniła samobójstwo Irena Kotulska. A ile koleżanek zachorowało psychicznie? Ile zostało przewiezionych do szpitala w Grudziądzu? Ile ewentualnie wyszło na przerwę w wykonaniu

kary? Te pytania nie przestaną nas nurtować. A okazuje się, że o tej garstce starannie wyselekcjonowanych więźniarek politycznych dotąd nie mamy prawa nic wiedzieć. Wszelkie zapytania pozostają albo bez odpowiedzi, albo dowiadujemy się, że akta zostały zniszczone, albo ich w ogóle nie ma, albo nie wiadomo, gdzie ich szukać.

I tak, w wolnej, niepodległej i suwerennej Polsce bramy do tej prostej, a tak ważnej dla nas prawdy, są przed nami wciąż zamknięte! Jak zestawić ten fakt ze zwiększającymi się wciąż informacjami dotyczącymi losów osób więzionych, straconych i zesłanych w głąb byłego Związku Radzieckiego, otrzymywanymi zarówno ze źródeł oficjalnych, jak i dzięki ludziom zaangażowanym w „Memoriale”? Istnieje jeszcze tylko nikła nadzieja, że przebijie się ona kiedyś przez mur obojętności, a może nawet strachu. A przecież „Najgorsza nawet prawda – jak mówi Norwid – jeśli jest prawdą, niesie za sobą jakiś zaród wyzwolenia”.

W marcu 1955 r. przewieziono nas z powrotem do Fordonu.

21. Listy z Inowrocławia

Łódź, 19 I 1953 r.

Obywatelu Naczelniku!²⁰⁴

Z ostatniego widzenia w dniu 30.8.1952 r. nie mam żadnych wiadomości od córki mojej Ruty Czaplińskiej, przebywającej w więzieniu w Inowrocławiu. Trwoży mnie myśl, że może brak wiadomości spowodowany jest jej chorobą i błagam Obywatela Naczelnika o słówko odpowiedzi czy córka moja jest zdrowa?

Proszę wziąć pod uwagę, że w ostatniej wojnie hitlerowcy zabili mi dwóch dorosłych synów i męża. Córka moja Ruta była moją żywicielką i podporą mojej starości. Pomimo więc opieki jaką Państwo Ludowe otacza ludzi stałych i niedołężnych, zdrowie moje podkopywane jest ciągłym niepokojem o córkę. Szarpana tym niepokojem wysłałam list polecony dn. 2.12. 1952 r. do Obywatela Naczelnika z prośbą o widzenie córki. Niestety, jak wynika z treści depechy Obywatela Naczelnika otrzymanej dn.

²⁰⁴ List ten wysłany przez Matkę, która nie otrzymała widzenia ze mną i nie otrzymała kartki, w której musiałam napisać formułkę, żeby do mnie nie pisano i nie starano się o widzenie ze mną. Z tym listem zapoznałam się dopiero po otrzymaniu moich akt więziennych. Wszystkie listy mojej Matki o podobnej treści pozostawały bez odpowiedzi.

8.1.1953 r. „proszę dostosować się do mej pierwszej odpowiedzi” – odpowiedzi tej, wysłanej przez Obywatela Naczelnika, nie otrzymałam. Proszę więc, bardzo proszę o pwtórzenie, jak została załatwiona moja prośba?

Z góry dziękuję Obywatelowi Naczelnikowi za okazaną mi przychyłność.
Józefa Czaplińska

Inowrocław, 5 III 1953 r.

Matuś najdroższa, tak bardzo moja i kochana!

Taka jestem szczęśliwa, że mogę do Ciebie napisać. Teraz tylko czekam Twojego przyjazdu. Przez cały czas, Matuś, tak ciągle byłam sercem i myślami z Tobą i z wszystkimi kochanymi, że chyba musiałaś to odczuwać. W sobotę dostałam pierwszy list z 3 grudnia, pisany po Twoim pobycie w Warszawie. Czy jesteście wszyscy zdrowi? Wierzej mi, Matuś, że największą moją troską i zmartwieniem była myśl o Waszym zdrowiu i o Twoim spokoju. Świadomość, że możesz przeze mnie cierpieć, była najgorszą rzeczą, ale wszystko powierzyłam Bogu i ufność dawała mi spokój. Matuś! Wszystkie nasze rocznice przeżywałam silnie i gorąco i Ty chyba wiesz o tym. Wysyłałam w myślach tysiące listów do Ciebie, a tak specjalnie o Tobie i Bognie myślałam 3 lutego. Wczoraj były imieniny Kazika; spóźnione, ale serdeczne życzenia siostrzane prześlij mu ode mnie. Teraz żyję myślą o Twoich imieninach i marzę, żeby ten list mógł być dla Ciebie prezentem imieninowym. Skleciło mi się takie rymowanie, które choć nieudolne, ale przyjmij je tak, jak przyjmowałaś kiedyś nasze dziecinne bazgrołki:

W pełen obietnic wiosny marcowy poranek,
Uśmiechnij się, zbudzona pieszczotą sasanek,
co całując Twe oczy i muskając włosy
Sieją – niby łzami – kropelkami rosy.

Co roku kwitną one w moich wspomnień lesie,
A myśl chyba je zrywa i do Ciebie niesie,
Czar zmierzchłego dzieciństwa przywołując dłonią,
Gdy szukałam ich z Szymkiem, Jadwiną i Bonią,

Gdy każdy znaleziony dla Ciebie kwiatusek
Był taką radością dziecinnych serduszek.
I dziś wiem – po latach – że silniej niż słowa
ucieszy Cię i wzruszy sasanek wymowa,

Że ty z pewnością wzrok swój skierujesz na ścianę,
Z której patrzą na Ciebie twarze ukochane,
A ręką kochającą, wazonik z kwiatami
Ustawisz na półeczce pod fotografiami.

Matuś, pomyśl, że najpóźniej za 37 miesięcy będziemy znów razem i ta myśl niech Ci doda siły. I proszę Cię, Matuś, żebyś miała ode mnie doniczkę z hiacyntem niebieskim, jak Twoje oczy, a Małgosia będzie miała o nim staranie. Cieszę się, że przeczytałaś *Noc Huberta*. Chciałabym mieć tę książkę na własność. Czy czytałaś *Potępienie Paganiniego* Winiogrodowa? Cudownie pisze on o muzyce Paganiniego, zupełnie inaczej niż Zawieyski, bo więcej obrazowo niż intelektualnie, ale można się rozkoszować czytając. Jest tam jeden prześliczny fragment, którego gdybym tylko mogła nauczyłabym się na pamięć. Tyle ma uroku. W nim mały Paganini ogląda skrzypce Stradivariowego u hr. Coshio. Jeśli nie znasz, Matuś, to przeczytaj z myślą o mnie. Myślę, że na widzeniu opowiesz mi wszystko, co się u was działo przez ten cały czas. Jestem taka spragniona wiadomości o Tobie, Rodzeństwie, Dzieciach i wszystkich moich kochanych. Jak ułożyło się życie Kazików na nowym miejscu? Powiedz Bognie, że ten jej dwuwiersz o poezji niesłuchanie mi odpowiada, że często myślę słowami jej wierszy, że żałuję, że nie nauczyłam się wszystkich, bo tak dużo mi dają. I jak Ona określiłaby muzykę? Jestem bardzo ciekawa i czekam na parę myśli od niej. Myślę często o tym naszym związku z Bogną, że jestem niby doskonały rezonator, dostrajający się do każdego tonu wysłanego przez nią. Po takiej długiej przerwie tak dziwnie mi, Matuś, pisać, za dużo chciałabym zmieścić w tym liście, a wyrazić nie potrafię, odwyłam od pisania. Czekam Twojego przyjazdu, listu i fotografii. Tak dawno nie widziałam Dzieci, a Szymuś już pewno ochrzczony? Ale i tak duchowo będzie mój. Pieniądze mam, więc nie przysyłaj. Ręce Twoje kochane całuję, a Ty, Matuś, ucałuj wszystkich moich kochanych.

Inowrocław, 17 V 1953 r.

Matuś moja naj: miłsza, droższa, bardziej kochana i jedyna!

Dziś nie list wkładam do koperty, ale żywe, tętniące serce. Tak żyję jeszcze widzeniem z Tobą, takie było dobre. Czekam na list, pewno już jest w drodze? Matuś! Gdzieś blisko zainstalował się słowik i śpiewa – w od dali w głębokim basie akompaniuje mu pociąg i nagle wdziera się w tą ka-

kofonię kwik i stękanie świń. To „trio” nasuwa mi refleksję o życiu. Słownik – poezja, pociąg – rytm, a pocziwie świnię – jego proza, która potrafi zagłuszyć i pociąg, i słowika (ale nie długo). Matuś! Tyle myśli, a papier je ogranicza, stąd w skondensowanej formie chcę się podzielić ich wycinkami. Babunia i Tatuś towarzyszą mi stale i dlatego muszę Ci o nich napisać:

„Czy potrafię opisać niezdarnymi słowy
ten zalany słońcem pokój południowy
– na oknie w słojach wiśnie cukrem przysypane,
a w rogu, na fotelu opartym o ścianę,
pod poważnym z portretu spojrzeniem Dziadunia
– siedzisz z robotą w ręku, Ty – nasza Babunia.
Cierpień życie nie szczędzi i choć lat przybywa,
Twa ręka najdroższa nigdy nie spoczywa
i tylko na bok robotę odłożysz w niedzielę,
rano, gdy my wszyscy jesteśmy w kościele
– Ty samotna przesuwasz paciorki różańca,
modląc się za Matkę i Ojca – powstańca.
Czasem błysk wspomnień dawnych mgłą przysłoni oczy
i w cichej łzie powoli po twarzy się stoczy.
Potrafisz się uporać z tym bolesnym echem
i każdego z nas darzyć najmiłszym uśmiechem.
Zawsze tak dobrze wiedząc, jak komu dogodzić,
komu przyjść z pomocą i ból mu osłodzić.
A w porach roku, kiedy pustkami dom świeci,
tęsknie czekasz przyjazdu ukochanych dzieci.
I znowu czekasz, czy też za bryczki turkotem,
ktoś przybiegnie po schodach z młodych nóg tupotem...
I nadchodzi wreszcie chwila upragniona,
gdy czyjąś drogą głowę tulisz w swych ramionach.

Zapamiętam na zawsze. Twe kojące dłonie,
po tym najsmutniejszym w życiu telefonie...
Huki dział, dym, gruz – wszystko nagle znika,
jak za dotknięciem różdżki złego czarownika...”

I o Tatusiu:

„Jesteśmy razem, Ojcie, prawie każdej nocy.

Wiesz jak często we dnie szukam Twojej pomocy,
jak często głowa myśleniem znużona,
tęskni, by się oprzeć o Twoje ramiona,
i jak myśli rozpierzchnę w fantazji gonitwie
skupiają się przy Tobie w codziennej modlitwie.
A przychodzisz Tatuśku do mnie rozmaicie.
Jak w kalejdoskop patrzę w swoje własne życie:
kolorowe chwile raz kiedyś przeżyte
mnożą się w nieskończoność w lustrach snu odbite.
Różne wycinki zdarzeń, niepełne, porwane,
tworzą przedziwną całość z sobą poskładane.
Jakiś silniejszy fragment w pamięci zostanie.
Takie na pozór zwykłe, ot, we drzwiach spotkanie,
a ja myślą o nim ciągle jeszcze żyję.
Zarzuciłam Ci ręce Tatuśku, na szyję,
a skryte dotąd w sercu myśli i tęsknoty
wytrysnęły ze mnie jak snop iskier złoty...
W sen mój zgrzytem się wdziera ostry świst pociągu.
Noc skończona. Już słyszeć trzykrotny dźwięk gongu.
Otwieram oczy i serce ściska mi się boleśnie,
że już z Tobą być mogę Ojciec tylko we śnie...”

I koniec listu, a tyle jeszcze zostało! Ręka mi drży fatalnie i dlatego tak bazgrzę. Matuś, pomimo tego, co napisałam, nie myśl, że jestem smutna. Chciałam Ci jeszcze napisać o „Miłości” – to św. Paweł tak cudownie ujął. – Czy witaminy wysłałaś? Tak czekam na Ciebie. I prośba, żeby Bogny i Wandy imieniny uświetnić torcikiem z przełożeniem neskowym. Reszta w drugim liście. Ręce całuję.

Inowrocław, 16 VIII 1953 r.

Maryś moja, Siostrzyczko kochana!

Nawet nie wiesz ile radości sprawiłaś mi swoim kochanym listem! Może, wiedząc o tym, uda Ci się zorganizować jeszcze papier, pióro i czas na list do mnie? Wiesz, każdy list zbliża mnie do Was i Waszego życia więcej niż możesz przypuszczać. Cieszę się tak bardzo, że Małgosia jest Ci taką pomocą i wyręką. Czy pamiętasz, jak nieraz martwiłam się, że Ona taka drobniutka, dźwiga na sobie ciężar starszeństwa. A czy Krysia

potrafi Ci być użyteczna? i jak one obie ze sobą współżyją (taka mała różnica wieku). Czy Krysia też się podporządkowuje rządowi Małgosi? Tak bardzo jestem ciekawa. Tęsknię do Twojej gromadki. Fotografii jeszcze nie widziałam, bo muszę uzyskać na to zezwolenie. Wiesz Maryś, swoich dzieci już mieć nie będę i dlatego tym bardziej kocham wszystkie Wasze dzieci i z przybyciem każdego z nich znajduję w swoim sercu miejsce dla nich. Dobrze kochanie, żeś mi napisała o sobie, bo całym sercem teraz myślę o Tobie i Twojej rodzinie; [wiesz] tak specjalnie, bo przecież nieustanną myślą i modlitwą Was wszystkich otaczam. A gdy wiem, że ktoś specjalnie myśli mej wymaga, to jeszcze intensywniej i serdeczniej o nim myślę. Wiesz, jeśli to będzie córeczka, to gdy ją poznam, będzie w tym samym wieku, co Małgosia, kiedy Ją ostatni raz widziałam! Tyle lat, Maryś, a wydaje mi się, że wiele rzeczy u mnie nie tylko się nie zatarło, ale się uwypukliło. Tylko nie mogę nadażyć myślami za tempem Waszego życia, rozwoju i zmian zewnętrznych i wewnętrznych. Tak diametralnie różni się ono od rytmu mego codziennego dnia. Chciałabym wszystkimi gorącymi myślami, sercem całym, wypełnić przestrzeń, która oddziela Was ode mnie, i po nich jak po moście przejść ponad przepaścią lat wprost do Was, takich, jakimi jesteście i będziecie, gdy wrócę za 963 dni! Piszę ten list niespodziewanie i pierwszym odruchem do Ciebie, dostałam Twój 13 bm. w naszą 28-mą rocznicę!²⁰⁵), więc napisz do Mamusi, jak go otrzymasz, dobrze? Wczoraj, moja Malutka, myślami byłam przy Tobie. Pewno Bolek przyjechał w ten dzień? Napisz, jak minął ten dzień. A dziś znów myślami wracam do Babuni naszej, do tych ostatnich dni, do tułaczki wojennej. Nie myślałam kiedyś, dawniej, że można tak ciągle myśleć o ludziach i zdarzeniach, i że przeżycia wracają echem wspomnień jeszcze silniejszych i wyrazistszych. Czytałam teraz *Pana Tadeusza*, pogrążam się w nim jak w wodzie wiślanej. A Wisła, wiesz, to dla mnie symbol dzieciństwa, młodości, domu:... a woda jej chłodna, miękka i pieściwa – tak koi (nawet teraz, gdy myślę) jak ręka matczyzna./ Rzeka „przypomnienia” (tym różni się od mitycznej Lety). Może by Małgosia skrobnęła do cioci? Tak się cieszę widzeniem Mamusi. Pierwszy raz widziałam [ją] bez wierzchniego okrycia – wygląda młodo i szczupło, ta nasza kochana! Czy masz czas czytać? Książka to skarb! Całuję Cię z wszystkimi Twoimi.

²⁰⁵ Rocznicę komunii św.

Inowrocław, 4 XI 1953 r.

Matko moja najdroższa!

Dostałam Twój list z 31 VIII. Dziękuję Ci za wszystkie wiadomości i szczegóły Waszego życia – to mnie tak zbliża do Was! Czy macie możliwość fotografowania Jagienki²⁰⁶? Żebym mogła widzieć kiedyś fazy jej rozwoju. W ogóle chciałabym, abyście się fotografowali, aby czas który mija mógł być utrwalony i przechowany do mego powrotu. Matus! – to zawsze taka nieustająca radość widzieć Ciebie. Żyję myślą od widzenia do widzenia i już jestem pełna radości, że za dziewięć dni zobaczę Cię, moja kochana, kochana! Cały ten ostatni czas myślę, że jeżeli jesteś u p. Stanisławy to masz cudne babie lato, las i grzyby. Nie masz pojęcia, jak często śni mi się zbieranie grzybów, tak, że nieraz się zastanawiam, jakimi drogami krąży podświadomość wyzwalana we śnie i z jakich wrażeń czerpie swój materiał do sennych przeżyć? Nie dziw mi się, Matulko, że tak często piszę i mówię o swoich snach, ale to moje drugie życie, które często o wiele intensywniej przeżywam niż jawę. Śny tak zazębiają się z biegiem codziennych myśli, że łapię się na tym, że sen biorę za coś, co było (przeżywane lub przefantazjowane). Dziś w paru kolejnych snach byłam z Tobą, Matus, i w Twoich ramionach. Wydaje mi się, że we śnie boleśniej przeżywam brak ukochanych i rozstanie z Nimi. Na jawie żyję myślą, że każdy dzień zbliża mnie do Was i każdy miniony dzień skrupulatnie wyrzucam za burtę. Pragnę móc przyspieszyć czas do maksymalnej prędkości, po to, by potem sobie przystanął, gdy już będę z Tobą. Jest taka książka Huxleya *Czas musi stanąć*. Ma ciekawe fragmenty, zwłaszcza końcowe. Ten tytuł mnie fascynuje. Właściwie jest niezupełnie dokładnie przetłumaczony, bo dosłownie brzmi on *Czas musi mieć przystanek*, ale to niezupełnie gramatycznie brzmi po polsku. Paskudnie piszę, ale to z racji stalówki, z którą nie mogę sobie poradzić. Żałuję, że mój list czerwcowy zginął na poczcie, bo dużo w nim było myśli i serca. Pisałam do cioci Jasi²⁰⁷, że bardzo mi jest bliska i kochana. Nie ma w niej nic z blagi i autoklamy. Umie żyć dla innych. Ma tyle wewnętrznej energii. Nie skarży się na własny los. Wiesz, Matko, choć tyle wspomnień wiąże mnie z Nią, to chyba najserdeczniej i najmilej zachowałam w pamięci i w sercu czas,

²⁰⁶ Córka Kazimierza Czaplińskiego.

²⁰⁷ Janina Nekanda-Trepka.

gdy przyjeżdżałam z Łowicza do Warszawy – taka nieraz zagoniona, zmachana i spragniona ciepła rodzinnego i w ich małym mieszkanku zawsze znajdowałam miejsce i serce otwarte, gotowe podzielić się ze mną ostatnim kawałkiem chleba. Tego nie zapomnę. Pamiętasz? W nowennie do Miłosierdzia Bożego jest dzień przeznaczony dla pokornych, cichych i małych dzieci. Wtedy ja zawsze myślę o cioci Jasi. Uświadomiłam sobie, że nie prosiłam Ciebie o podziękowanie p. Zofii za Jej życzliwość. Ale możesz z góry wiedzieć, że mam serce przepełnione wdzięcznością w stosunku do każdego przejawu serca i życzliwości okazywanych mi tak szczerze przez tylu ludzi. Więc jeżeli kiedyś nie powiem [dziękuję] – Ty zrób to za mnie. W czerwcu pisało mi się tak:

Różańcem się przewija życia mego droga,
otwarta znakiem krzyża, w słowach „Wierzę w Boga”.
Dom: miłość i spokój, rodzeństwa gromadka,
najlepszy Ojciec, ukochana Matka.
Tęczy słońcem tkanej łuk na nieba krosnach
to różańca mego część pierwsza – Radosna.

Młodość, jej start w życie marzeniami strojny
przygniotła i stłumiła ciężka łapa wojny.
Niewola i przemoc, dom w gruzach, strzaskany,
z bezpowrotnym odejściem istnień z nim związanych.
W pyle rozbitych marzeń Łaski Bożej smuga
i Krzyż bluszczem zielony – to życia część druga.

Poprzez mury i kraty myśli lotne biegną
w nieznana mi, ostatnią część trzecią – Chwalebna,
pragnąc jedynie, aby różaniec zaczęty
zamknął Krzyż i słowa „Chwała Trójcy Świętej”.

Matus! krzepi mnie świadomość myśli cioci Ireny o mnie. Zresztą wierzę, że myśli was wszystkich tak wiele mi pomagają! Pewnie ten list przyjdzie już po imieninach Jadwini i Urszulki. Jadwinia i bez słów wie, że jest mi siostrą, i uczuciem i pokrewieństwem, i że rozłąka z Nią nie ma na to wpływu, a Urszulce napisz, że często myślę o Niej i o tym całym okresie, który nas zbliżył i scementował. Może chciałaby kiedyś napisać parę

słów? Matuś, jak Marysia daje sobie radę i jak Jej zdrowie. Myślę o niej ciągle. Tak marzę o chwili kiedy będę z Wami i kiedy będę mogła pracować i pomagać Wam! Czy masz poezję Staffa? Nim zakończę mój list:

„Jak słodka cisza z niebios spływa,
jak świat jest prosty
w świetle Twoim Panie,
jak koi i ośmiela
Z wielką ufnością i spokojem serce me w Tobie odpoczywa,
jako dłoń w dłoni Przyjaciela”.

Tymi słowami myślę patrząc na niebo w czasie spaceru. Ręce Twoje całuję i przytulam Cię, jak w dzisiejszym śnie. Tęsknię do paru słów od Bogny.

Inowrocław, I 1954 r.

Kochana moja Matuś!

Dziś zaczynamy Nowy Rok i wszystkie moje myśli płyną do Ciebie i kochanych z gorącymi życzeniami pragnienia wszystkiego dobrego, łask Bożych, opieki i pomocy we wszystkich potrzebach. Jeszcze jeden rok minął. Cieszy mnie to, bo czas zbliża mnie do Was. Czy dostałaś mój list grudniowy? Ja otrzymałam Twoje dwa listy, pisane od Marysi w listopadzie i kartę z wiadomością o urodzinach Basi. Dostałam ją bardzo szybko i to było moją ogromną radością i ulgą, bo przestałam się niepokoić. Cieszę się, że to dziewczynka i że taka ładna. Pomyślałam sobie, że można ją nazwać Sobótką, jak w *Dzieciach Pana Majstra*. Czekam teraz bardzo na list od Ciebie, no i na przyjazd, kiedy tylko będziesz mogła. To dobrze, że w liście uprzedziłaś mnie, że nie będziesz u mnie w grudniu i że tak prędko ten list dostałam, bo już się niepokoiłam. Napisz mi o Świątach i o ma-lutkiej, wszystko, wszystko. A może Marysia będzie mogła napisać? Moje Świąta tegoroczne pod każdym względem różniły się od poprzednich i myślę, że Ty z całym spokojem myślałaś o mnie, że jest mi naprawdę dobrze. Na wypiskę dostałyśmy wspaniałe jabłka, pierniczki, ciastka i cukierki, a jedzenie więzienne, które zawsze jest bardzo dobre i bardzo starannie i smacznie przyrządzone, w czasie Świąt było po prostu wspaniałe. Przed Świątami byłam w kinie na bajce produkcji czeskiej „Dumna królowna”. To taka ogromna rozrywka. No i kronika filmowa, którą zawsze pochłaniam oczami. Któregoś dnia była bardzo ciekawa dyskusja na temat

książki Ażajewa *Daleko od Moskwy*²⁰⁸, o której już Ci kiedyś mówiłam, że mi się bardzo podobała. Dyskusja była dla mnie bardzo przyjemna. Bo mogłam usłyszeć zdania i uwagi innych koleżanek, a także samej się trochę wypowiedzieć. Bardzo mi się to podobało. W ogóle, Matus, jest mi bardzo dobrze pod każdym względem. Książek mamy bardzo dużo. Są bardzo dobre i ciekawe. Doprawdy, aż czasem [czasu] nie wystarcza! Czytam m.in. *Fizjologię roślin* Maksimowa (Bogna to na pewno zna). Oczywiście brak mi wielu podstaw, zwłaszcza z chemii organicznej, ale i bez tego wiele korzystam. Teraz zabieram się do *Kapitału*²⁰⁹. Jestem go bardzo ciekawa, bo już wiele książek marksistowskich przeczytałam z dużym zainteresowaniem i pożytkiem. Bardzo ciekawa jest *Dialektyka przyrody* Engelsa. Dialektyka w ogóle bardzo mnie interesuje. Tak chętnie uczyłabym się matematyki wyższej. Muszę kiedyś koniecznie poznać rachunek różniczkowy i całkowy. Na każdym kroku widzę, ile mam braków. Ale trudno, jeszcze może jakoś to nadrobię. Bądź, Matus, dobrej myśli o mnie i bądźcie wszyscy zdrowi, moi kochani. Czekam bardzo, ale cierpliwie Twego przyjazdu. Jakoś dziwnie ten list wypadł. Nie umiałam przekazać, jak bardzo Was kocham i czego [wam] życzę. Ale Ty już to za mnie zrób, pisząc do Kazików i Bogny. Brak mi listu od Ciebie. Nie wiem czy wysłałaś pieniądze w grudniu? Moje zapasy już się wyczerpały, więc jeśli możesz, to proszę Cię o pieniądze co miesiąc. Całuję Twoje tak bardzo kochane ręce, Bolków, Ich siódmkę, Bognę z dziećmi, Kazików z Jagienką i wszystkim, drogim przekaz moje myśli i uczucia.

Inowrocław, 2 VIII 1954 r.

Moja, moja bardzo kochana!

Tak mi dobrze było widzieć Cię, kochanie. Myślę ciągle o tym, że każdy dzień zbliża mnie do Was i że już tak niedługo będziemy razem, a Ty już nie będziesz się męczyć dojazdami do mnie, a ja będę mogła choć w części odwdziaczyć się Wam za wszystko. Jeszcze dwadzieścia miesięcy. To już niedużo, prawda? Myślałam sobie, Matus, że ludzi trzeba brać na serio, tak jak ty to robisz, ale z drugiej strony niespodzianki *in minus*, które

²⁰⁸ Czytając *Daleko od Moskwy*, nie wiedziałam, że autor opisuje tam pracę w łagrze. Dopiero na wolności dowiedziałam się prawdy (przyp. autorki).

²⁰⁹ Patrz Ankieta.

nas od ludzi nieraz spotykają, nie mogą ciążyć. Trzeba umieć przejść nad nimi do porządku dziennego. Nie wiem, czy się trafnie wyraziłam, bo nie ma to oznaczać rezygnacji z pewnych wymagań, ale chodzi mi o tę pewną lekkość w ujmowaniu i przyjmowaniu. Wiesz, piszę tak, bo właśnie i w swojej autoanalizie doszłam [do wniosku], że mamy nieraz podobne trudności wewnętrzne, z którymi muszę się uporać przecież. Wiesz, myślę sobie nieraz o tym ogromnym szmacie czasu, który minął od naszego rozstania, i o tym, że mimo wszystko, nie mogę ogarnąć tego, co się w nim zawarło, wszystkich zmian, które zaszły i stale zachodzą. I myślę także, że i Wy na wolności, pochłonięci wirem życia i jego tempem, też nie zawsze uświadomić sobie możecie, jak leci czas i czy czasem nie robi się niespodziewanych odkryć wokół siebie? Tak sobie myślę o Bognie i Jej dzieciach i uświadomiłam sobie nagle, że przecież oni oboje wchodzą w ten cudowny okres życia, wczesnej, bujnej młodości, pełnej rozmachu, radości, pragnień i możliwości, jakże bogatych w dzisiejszych czasach. Mają też taką młodą matkę, która jest pierwszym przyjacielem i rozumie młodość, bo sama jest młoda i tak bogata wewnętrznie. Widzisz Matusi, takie są moje „odkrycia”. Wiele rzeczy muszę sobie dopiero uświadomić, a tak bardzo nie chcę być opóźniona w stosunku do Was i do Waszego życia. Tak się cieszę, że u mnie oprócz myślenia i czytania, przybyła także i praca, która pochłania czas i myśli, bo przecież w każdą pracę wkłada się dużo serca i wtedy właśnie staje się radością i daje treść życiu. Mówiłam Ci o książce Jasienicy *Świt słowiańskiego jutra*. Ona mi dała ogromnie dużo i uważam, że każdy powinien ją koniecznie przeczytać. Niezależnie od jej wartości naukowo-poznawczej, wzbudza tyle ciekawych refleksji i budzi taką szlachetną dumę narodową o naszej przeszłości kulturalnej i o przebogatych perspektywach przyszłości. Muszę po prostu jeszcze raz powtórzyć to, co Ci mówiłam. To tak głęboko we mnie utkwilo i w związku z tą książką chciałabym żebyś wynotowała prace uczonych, o których Jasienica wspomina, żebyś je kiedyś mogła przeczytać. To zdaje się Kostrzewskiego *Kultura prasłowiańska* i Labudy *Badania czy Studia nad początkami państwa polskiego*. Ach Matusi! Życie jest takie ciekawe i tak wiele chciałoby się wiedzieć, poznać i współuczestniczyć w nim. Napisz, Matusi, ode mnie do Marysi z myślą o Jej imieninach. Myślałam, że skieruję do Niej parę słów, ale mi pióro rozbiegało się po innych tematach, więc poślizgaj Jej tylko moje serdeczne myśli siostrzane i serdeczne pragnienia realizacji Jej zamierzeń i obowiązków, których ma niemało. Taka jestem ciekawa jej siódemki. Myśl mi się urwa-

ła, bo poszłam do pracy. Kończę teraz. Pogoda dziś śliczna, oby taka już pozostała. Śledzę z uwagą przebieg żniw i strasznie przeżywam te deszcze, bo ciągle myślę o pracach w polu i podziwiam, jak mimo przeszkód atmosferycznych wszystko przebiega sprawnie, jak wielkie jest zrozumienie w całym społeczeństwie, i współdziałanie, i pomoc. Czy Bogna użyła na wczasach? czy się mogła opalić? Może będzie chciała coś napisać do mnie? Nie pytam o Jagienkę, ale jestem bardzo ciekawa Jej rozwoju. Cieszę się, że pobędziesz z ciocią Wandą i Marynią. Ucałuj je bardzo serdecznie. Ta książka to *Jan Sebastian Bach* – Iwaszkiewicza. Z całej duszy i serca

Ręce Twe całuję. Listu jeszcze nie dostałam. We śnie często do Was jadę!!!

Inowrocław, 4 XI 1954 r.

Kochana moja, najdroższa Matusi!

Wczoraj dostałam paczkę z bamboszkami, pończochami i skarpetami. Pantofle śliczne! Naprawdę, Matusi, nie wiem, jak Ci mam dziękować. Są takie wygodne i lekkie, i na pewno mocne, a przy tym takie strasznie ładne. Nie marzyłam nawet o takich. W ubiegłym miesiącu otrzymałam Twój list i kartkę. Prosiłam pana Naczelnika i miałam widzenie z Hanią. Ona także chciała prosić o to samo, bo także nie miała widzenia w październiku. Ucieszyłyśmy się z siebie. Już tyle lat jej nie widziałam. Wygląda dobrze, ale wiesz, Matusi, nerwowo. Ona kiepsko się czuje (nie mów tylko tego Izie, bo by się martwiła). Jestem pewna, że gdyby pracowała, miałaby zupełnie inne samopoczucie. Mówiłam Jej, żeby nie traciła nadziei, że na pewno przyjdzie taki dzień i dla Niej. Tak bardzo chciałabym Jej przekazać swoje wszystkie najserdeczniejsze myśli i podzielić się z Nią swoimi refleksjami, które by Jej może pomogły. Mówiłyśmy o tym, że kiedyś Ona do mnie przyjeżdżała, teraz znów ja, gdy wyjdę przyjadę do Niej. Tak się czasem dziwne życie układa. Sądząc po paczce – mój list z października otrzymałaś. Ponieważ nie mogłaś przyjechać, więc nie czekałam na Ciebie, tylko sama napisałam podanie do Przewodniczącego Rady Państwa z prośbą o łaskę (25 X). Żeby tylko sąd nadał tym razem bieg mojej prośbie, to już byłoby bardzo dużo. Nie tracę nadziei, ale również przygotowana jestem na odmowę, żeby się nie żałowywać, bo przecież muszę wrócić do Was mocnym człowiekiem, pożytecznym, prawda? Czekam bardzo na Twój przyjazd i na to, co mi powiesz. Wiadomość o Cezarym nie zdziwiła mnie. Już dawno tak sobie myślałam, nawet kiedyś mnie się to wyśniło i cieszę się bardzo,

że się tak odmienił na lepsze, że jest szczęśliwy i ma dla kogo żyć. Przy okazji przyślijcie Mu moje najserdeczniejsze życzenia, a do cioci Julii kiedyś sama napiszę, mam jej tyle do zawdzięczenia. W ogóle, jeśli o wdzięczności mowa, to stoję wobec problemu, czy zdołam się kiedykolwiek choć w części odwdziaczyć za to wszystko, co mam od Was kochanych! Myślę o tym bardzo często. Wiem tylko, że pragnę być w pierwszym rzędzie – o czym już pisałam – człowiekiem pożytecznym i to będzie moja pierwsza faza spłacenia moich długów wdzięczności. Czy Zosia M. wyjeżdżała teraz z tą grupą aktorów do ZSRR? Nie widziałam jej nazwiska, ale myślę, że skoro Kreczmar był, to i ona też, bo zwykle razem grali. Jestem bardzo ciekawa Jej wrażeń i w ogóle tęsknię do chwili, gdy będę mogła z nią pogadać. Pierwsze dni listopada były takie jakieś pogodne i spokojne. Chodziłam na spacer i myślałam o wszystkich naszych kochanych, którzy już odeszli od nas. Potem myślałam, że minęło już siedem lat, gdy widziałam Marysię, i to z daleka. Już jakoś nie wierzę, żeby któraś z sióstr przyjechała do mnie w okresie tych siedemnastu miesięcy, które mi jeszcze pozostały. Ale skoro bliżej jak dalej, więc trudno. Cieszę się tym, co mam, i w pierwszym rzędzie tym, że Ciebie mogę widywać. Czy nie masz żadnych wiadomości od Dzidzi o Jej całej rodzinie? Czy Bogna mogła wykorzystać te dwa dni świąt, żeby pojechać do Karolina? Matuś, jak wyjdę, to koniecznie musimy razem pojechać na nasze groby, prawda? Już tak dawno o tym marzę. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że masz swój pokój. Ja, Matuś, czuję się dobrze. Jestem szczęśliwa, że pracuję. Na egzeme brałam kwarcówki, które mi bardzo dobrze zrobiły. I dostałam parę zastrzyków z wapna, tak że otrzymuję wszystko, czego mi potrzeba. Apetyt mam świetny, a jedzenie jest bardzo, bardzo dobre. Na wypiskę mogę kupować zawsze 1 kg jabłek oprócz 3 kg żywności, więc jest bardzo dobrze. Tu jest doskonała pasztetówka. Musisz ją sobie koniecznie kupić, jak przyjedziesz do mnie. Pieniądze otrzymałam. Bardzo dziękuję, myślę, że już niedługo się zobaczymy sercem równie blisko, prawda? Ręce Twoje najdroższe całuję, a Ty ucałuj wszystkich.

Inowrocław, 2 I 1955 r.

Kochana moja, najdroższa Matuś!

Taką ogromną radość zrobiłyście mi swoim zbiorowym, kochanym listem. Nie masz pojęcia, jak szybko go otrzymałam, bo już 23-go, tak że święta spędzałam z Wami, moi najdrożsi. Cieszę się szczęściem Kazików

i oby Bóg dał wszystko najlepsze dla nich i dla spodziewanego maleństwa, a także, bym je mogła z wami powitać, jak pisze Wanda. Matus! Byłam pod ogromnym wrażeniem ostatniego widzenia²¹⁰ móc być tak bliźniutko Ciebie, to przedsmak tego szczęścia, gdy już będę z Wami. Myślę, że powiedziałaś Kazikowi jak bardzo mi się podobała Jagienka. Sama widziałaś, jak trudno było mi oderwać oczy od niej – taka strasznie miła i ładna dziewczynka. Perspektywy, które Bogna roztacza przede mną, są takie, że musiałam trochę powzdychać nad nimi. Być z Wami, kochani!!! Prosiłam Pana Naczelnika o zezwolenie na to pismo, ale nie wiem jeszcze, czy je uzyskam, bo powiedział, że odpowiedź otrzymam później. Jeszcze raz dziękuję za pieniądze, a przede wszystkim za waszą pamięć o mnie w każdym calu. W czasie świąt było mniej pracy, więcej czytałam. Byłam na bardzo dobrym radzieckim filmie *Strażnica w górach* – zresztą, wszystkie filmy, które tutaj nam dają, są dobre. Matus, czy czytałaś Brandysa cykl *Miedzy wojnami*? Nie znam całości, tylko *Troja*, *miasto otwarte* i *Człowiek nie umiera* – uważam, że są bardzo dobre i treściowo, i pod względem formy. Od Nowego Roku, zaczęła się zima. Wczoraj rano było tak cudnie na dworze: cicho i śnieg. Twoja brzoźka za oknem pewno okryta śniegiem? Czytałam niedawno bardzo przyjemną powieść o Wrocławiu *Uliczka klasztorna* Kowalskiej i myślałam o Was. Kowalska też pisze o forsycjach. Pamiętam ten krzak za oknem Mamusi – zawsze go bardzo lubiłam. Nie wiem, jak uważacie, ale mnie się zdaje, że dobrze by było gdybyś sama była w Warszawie, gdyby Ci trudno było połączyć dwa wyjazdy, to nie przyjeżdżaj do mnie, bo wiem, że to przecież wszystko kosztuje, ale i tak ciągle tylko od Was biorę. Matus serdeczna, na Twoje ręce składałam dla Was wszystkich moje najgorętsze życzenia, aby ten Nowy Rok przyniósł ze sobą samo dobro. Tak się cieszę dyplomem Wandy, jestem pewna, że gdy się poznamy może mi być tylko jeszcze bardziej bliska niż jest.

Ręce Twoje, Matus, całuję i przytulam się do Ciebie, a Ty ode mnie wszystkich ucałuj. Do Marysi też napisz ode mnie.

22. Jeden z 3653 dni

Chleb, pachnący, gorący chleb... Leży na straganie... Całe bochenki... Czuję ten zapach, tak bardzo mi go brak, a coś nie pozwala mi go kupić,

²¹⁰ Było to pierwsze widzenie Ruty Czaplińskiej bez krat.

wziąć do ręki, ugryźć, posmakować... Wzdrygam się... Słyszę trzykrotny głos gongu. Otwieram oczy. Ach, to był tylko sen... Jestem w więzieniu, zaraz będzie apel. Trzeba wstawać. Już słysząc trzask otwieranych drzwi. Dochodzą do mnie... Zabieram z korytarza wystawioną na noc kostkę. Ubieram się. Trzeba się spieszyć, bo zaraz będzie apel. A tymczasem muszę działać bardzo spokojnie i w miarę powoli, bo przy każdym gwałtowniejszym ruchu serce staje mi w gardle, robi się ciemno w oczach. Więc strach... Czy zobaczę przy apelu, komu mam się zameldować? Czy starczy mi głosu? Czy potrafię go z siebie wydobyć? Więc możliwie spokojnymi ruchami ścielę swoją prycę. Wyrównuję sieczkę w sienniku, z której na noc robiłam sobie wałek, chroniący plecy przed zimnem. Wyrównuję kanty, idę pod okno... Zgrzyt otwieranych drzwi. „Obywatelko blokowa, cela numer sto siedemnaście, więźniarka jedna”. Ten numer celi wbił mi się w pamięć i już go chyba nigdy nie zapomnę... Teraz mycie. Owalna, blaszana miska, przypominająca kształtem nieckę, nie pasuje do okrągłego otworu stojaka. Ale można sobie z tym poradzić. Najpierw jednak trzeba ją umyć. Wyczyszczona piaskiem do blasku, stoi nieużywana od poprzedniego dnia. Piasek jest brudny, szmata jest brudna, ale miska się świeci – więc jest czysta. „Przecież nie musicie jej używać w ciągu dnia”, powiedziała mi kiedyś w przystępie łaskawości blokowa na moją odpowiedź, że miska była czyszczona, ale umyta po piasku. Myję się wodą. Na szczęście mam szczotkę i mogę szorować nią całe ciało. Kawałeczek mydła, który dostajemy co dwa tygodnie w łaźni, musi służyć przede wszystkim do umycia rąk, po oczyszczeniu „kibla” i innych przedmiotów. Szoruję się więc od stóp do głów tą nieocenioną szczotką do paznokci. I tylko dziwnie zachacza się ona, to o żebra, to o kości miednicy. A teraz śniadanie... Już słysząc brzęk misek, odgłos otwieranych drzwi i kroki korytarzowych dzwigających kotły z kawą. I napięcie – jaki kawałek chleba mi przypadnie? Oby z piętą, bo zawsze jest troszkę większy. Najgorzej, jak jest ze środka bochenka, bo wtedy zwykle widnieją w nim tylko dziurki, albo i patyczek, którym przypina się dokładkę. Bo chleb w więzieniu jest ważony. Wszyscy muszą dostać go po równo. Ale to tylko teoria. Korytarzowe też mają ochotę na więcej chleba. Dokładki zwykle znikają. Otwierają się drzwi. Zabieram miskę z kawą i chleb. Jest ukrojony od strony piętki! Na nim leży kawałek, dzwonko, solonego dorsza. Jest duża ość. Zaraz wyjmuję ją i chowam – przyda się na igłę. Ale najpierw trzeba wypić kawę, póki gorąca. Trzeba się przecież rozgrzać. Jest zimno. Cienka rurka kaloryfera biegnie wzdłuż

celi, niziutko, kilkanaście centymetrów nad podłogą. Nie może dać dużo ciepła, ale można na niej ogrzać sobie ręce. Piję więc kawę prosto z miski. Kubków nam nie dali. I zawsze ta sama wściekłość. Dlaczego muszę tak? Łyżką przecież nie będę pić, bo zaraz kawa robi się zimna, a nie mogę nauczyć się pić tak z tej aluminiowej miski, o grubych, wywiniętych brzegach, które parzą mi usta. A teraz dorsz. Zjadam go szybko, przez rozum – bo to jest białko, którego nam wciąż brak. Solony, surowy dorsz. Jakże chętnie wyrzuciłabym go do „kibla”. Ale się przemagam i szybko jem. A teraz chleb... Dzielę go na pół. Tę połówkę zjem na śniadanie. Staram się jeść powoli, nie łapczywie, żeby starczyło go na dłużej. Do „krojenia” chleba wykręcam z szafki uchwyt. Ta śrubka służy mi za nóż. Robią się okruszki. Te większe zjem, ale te całkiem małe wróbelkom. Trzeba się z nimi dzielić tym skarbem. Znowu słychać trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi. To „kiblowanie”. Znowu trzeba stanąć przed oknem – tak jak przy każdym otwarciu drzwi – i znów wyrecytować to samo zdanie. I zaraz potem podbiec do drzwi, żeby wystawić „kibel”. Korytarzowe wezmą go do płuczkarni. Tam wyleją zawartość. Mają go dobrze wypłukać. Potem odstawiają go pod celę. Za jakiś czas oddziałowa otworzy drzwi i „kibel” znów znajdzie się w celi. Tymczasem trzeba sprzątać. W wyposażeniu sali jest śmietniczka, jest kawałek szmaty w charakterze ścierki, jest piasek. Piasek to główny środek czystości. Zamiatam betonową podłogę, ścieram ją na mokro. Potem kurze, wycieram drzwi, wszystko, co w zasięgu, a nawet poza zasięgiem ręki. Najgorzej z tymi drzwiami, bo trzeba podnosić ręce do góry, a wtedy serce wpęzła mi go gardła. Czyszczę piaskiem miednicę – świeci się, blask od niej bije. Miskę poleruję metalową główką uchwytu od szafki. Spełnia więc ona podwójną rolę w moim więziennym życiu. Zabieram się do mycia „kibla”. Pokonuję obrzydzenie, wkładam rękę ze szmatą i piaskiem do środka i czyszczę. Wycieram boki do sucha. Nie mogą się zamoczyć, gdyż natychmiast pokrywają się soplami rdzy. No, a wtedy jest brudny! Należy go więc i ostrożnie czyścić, i jeszcze ostrożniej używać. Wszystkiego trzeba się nauczyć. I jak się okazuje, można. Tak samo jak można nauczyć się cicho chodzić w ogromnych drewniakach. Zbiegać nawet w nich po schodach, zwinnie jak sarenka...

Znowu trzask otwieranych drzwi – to spacer! Melduję się i wychodzę – zbiegam po schodach na parter do łaźni. Czekam parę minut, aż moja poprzedniczka znajdzie się na schodach, tyłem do mnie. Wtedy wypuszczają mnie. Wychodzę na maleńkie podwórko, wysypane czarnym żużlem. Wą-

skie przejście. Ceglany mur, czerwony, powyszczerbiany – budzi skojarzenia, które potem okażą się prawdziwe. Tymi drzwiami wypuszczano w czasie okupacji więźniów, których rozstrzeliwano pod tym murem. Teraz idę po ścieżce tego spacerniaka. Robię trzy, czasem tylko dwa okrążenia... I... Koniec spaceru. Wracam do celi. Teraz czas na chodzenie wzdłuż celi. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, zmieniając tylko od czasu do czasu kierunek, żeby się w głowie nie zakreśliło. Spacer – to czas modlitwy, czas na myślenie, na wspomnianie, na powtarzanie wierszy, których mam ogromny zapas w pamięci. Ale najpierw modlitwa. Mam coraz więcej intencji i wciąż ich przybywa. Ogarniam więc najpierw najbliższych żyjących i tych, co już odeszli, ale wciąż przybywają nowi, wyłaniają się, więc i ich trzeba objąć tą codzienną modlitwą. Różaniec i rozpamiętywanie poszczególnych tajemnic. Wszystko w takt tych sześciu kroków od drzwi do drzwi. I pożądliwe spojrzenia na szafkę, w której jest połowa dziennej porcji chleba. Ach! Ugryźć chociaż kawałek, kawałeczek! Nie! Nie! Trzeba poczekać do obiadu. Tak sobie postanowiłam od pierwszego dnia spędzonego tutaj. Trzeba zachować ostry reżim. Więc powtarzam sobie w myśli ukochane wiersze, zastanawiam się nad ich interpretacją. Co należałoby zaakcentować? Jak dzisiaj rozumiem *Fortepian Chopina*? Jak bardzo przeżywam ten fragment *Promethidiona* o pięknie – kształcie miłości! I wspomnienia. Wspomnienia ludzi, przeżyć, przeczytanych książek. Ich bohaterowie – może najbardziej tych czytanych w dzieciństwie – jawią się w moich myślach jak prawdziwi ludzie, których wspominam z rozrzewnieniem. Ćwiczenia w angielskim. Usiłowanie tłumaczenia wierszy czy też improwizacje listów, pisanych do domu w tym właśnie języku. To dobra gimnastyka pamięci... Znów brzęk misek, trzask otwieranych drzwi – obiad. Wreszcie! Co dadzą? Dzisiaj grochówka. Dobra, ale rzadziutka. Liczę ziarenka grochu i wróć sobie z nich. Rozgryzam je powoli. Wybieram wszystko dokładnie łyżką, aby nic nie zostało w misce. Zjadam połówkę zostawionego rano chleba. Resztę zjem przy kolacji. Obiad kończę z niezaspokojonym głodem. Tak już musi być. Głód, zimno, samotność.

Tak bardzo chciałoby się podzielić myślami z kimś bliskim, bo nie można przestać myśleć. Myśl jest wciąż obecna, nie ma od niej odpoczynku. Jest tyle problemów. Jak je rozwiązać? Nie mam żadnego punktu odniesienia. To głównie zagadnienia z dziedziny wiary. Czuję nieraz taką straszliwą pustkę, połączoną z niezłomną wolą wiary. Ta wola mnie trzyma. Jest ona moją najsilniejszą bronią przed zwątpieniem. Ona utwierdza moją wiarę.

Dodaje wewnętrznej siły, broni przed pokusą samobójstwa, samobójstwa jako aktu mojej wolności, mojej decyzji. Jak bardzo odczuwam potrzebę autorytetu, rozstrzygnięcia moich wątpliwości, odpowiedzi na niekończące się pytania. Muszę sama znajdować odpowiedzi i nigdy nie mam pewności, czy są one obiektywne, czy nie są zasugerowane własnym pragnieniem znalezienia takiego właśnie rozwiązania. I tak w kółko, bez chwili odpoczynku od tego myślenia.

Stojak na miednicę znajduje się w kącie, po lewej stronie drzwi, niewidoczny z wizjerki. To moje ulubione miejsce odpoczynku. Ale i pracy! Tak, pracy, bo tutaj mogę robić to, co niedozwolone. Moje pończochy wymagają reparacji. Nie oddam ich do naprawy, jak tego wymaga się, bo na porowanie trzeba nieraz czekać i dwa tygodnie i marznąć. Nie ma głupich. Sama zaceruję. Od czego mam ość dorsza? Mam jeszcze i inne skarby. Maleńki kamyczek, wielkości ziarna grochu, wydłubany z betonowej podłogi, a mający ostry brzeg. Nim „obcinam” sobie paznokcie u nóg i rąk. Nim robię też ukośne nacięcia na ości. Wypruwam nić ze ścierki i mam już nitkę. Zaczepiam ją na tym wycięciu i szyję. Za każdym razem muszę tę nitkę zaczepiać na nowo, ale to nic. Nie mam już dziury. I jeszcze dwa skarby, skrętnie pilnowane i przenoszone razem z kamyczkiem do innej celi. Są to dwa małe gwoździki, służące jako wieszaczki, ale lekko wbite, łatwo je wyjąć. Nimi przyszywam guziki do munduru drelichowego. Skryta przed okiem oddziałowej – dokonuję rzeczy zakazanych, a koniecznych w moim więziennym życiu. Dostałam nowy drellich. Świetnie! Jest czysty, ale bluza okrutnie szeroka, a guziki są krzywo przyszyte, na skos. Kostka przygotowana do wystawienia na noc jest stale krzywa, bo guziki idą krzywo. Jak to zauważą – to będzie moja wina, powędruję do „karca”, a tego nie chcę. I tak dzień po dniu zmieniam położenie guzików. To wielkie osiągnięcie.

Zapada zmierzch. Zapalą światło do kolacji. Zimno. Chodzenie nie rozgrzewa. Więc gimnastyka. Zabijanie rąk po dorożkarsku. Tak przed każdym posiłkiem i też taka zwykła gimnastyka: skłony, wyprosty rąk i nóg. Trzeba zachować jakąś kondycję.

Ściany obok mnie milczą. Wiem, że po jednej mojej stronie jest Rysia Szelągowska, ale ona nie odzywa się, więc i ja milczę. Po drugiej jest Stefa Onyszkiewicz. Siedziałyśmy razem przed wyjazdem do Inowrocławia. Lubimy się, ale ona też milczy, czasem tylko któraś z nas poklepie ścianę. Wiem, że myślimy o sobie. W tej straszliwej akustyce więziennej jakże trudno jest połapać się w tym, co dzieje się obok, naprzeciwko, nade mną czy

pode mną. Dopiero po jakimś czasie nauczyłam się odróżniać, gdzie otwierają się drzwi. Bardzo brak mi tej rozmowy przez ścianę, którą intensywnie praktykowałam jeszcze na „dziesiątce”, a potem w suterenie, zwłaszcza w rozmowach z Irenką. Teraz ściany są głuche. Człowiek zdany sam na siebie, chociaż wiem, że za tymi ścianami są koleżanki, bliskie mi, które o mnie na pewno myślą, tak jak ja o nich. Wiem, że łączą nas bardzo silne więzy i to pomaga. I świadomość, że już za murami, na wolności, mam bliskich, przede wszystkim Matkę i rodzeństwo, ale i tak wielu bliskich, którzy o mnie myślą, pamiętają, modlą się w mojej intencji – to jest mój punkt oparcia.

Ten mój więzienny dzień jest też pełen liczenia. Liczę wszystko, począwszy od dni, tygodni, miesięcy dzielących mnie od wolności. Zaraz, pierwszego dnia pobytu wyliczyłam sobie, ile jeszcze spędzę w więzieniu dni. Przeliczyłam sobie pozostałe mi jeszcze trzy lata i siedem miesięcy na tygodnie, na liczbę kąpieli w łaźni, na przypuszczalną liczbę rewizji – i na dni. Ta ostatnia każdego dnia zmniejsza się o jeden. I każdego dnia powtarzam sobie w nieskończoność, od samego rana, aktualną na ten dzień liczbę. Robię to bezbłędnie.

I gorycz porannego gongu, wyrywającego mnie ze snu – nieraz bardziej rzeczywistego od życia na jawie – osładza zawsze świadomość, że jeden dzień minął i że o jeden dzień jestem bliższa wolności. Potrzeba liczenia objawia się także w liczeniu kroków, przeliczania ich na metry, kilometry, odległość do Warszawy, do aktualnego miejsca zamieszkania Matki czy rodzeństwa. Zastanawiam się nieraz, chodząc tak po celi, co to znaczy nudzić się? Przecież mnie ledwo starcza czasu na wszystko, co sobie zaplanowałam, na zaspokojenie moich duchowych potrzeb, po tych wszystkich niezbędnych porządkach.

Wreszcie kolacja. Znowu brzęk misek, trzask otwieranych drzwi i pół litra zupy. Zjadam ostatni kawałek chleba, popijam zupą, usiłując stłumić drażący mnie głód. A teraz znowu trzeba się spieszyć, bo będzie apel wieczorny i wystawianie kostki. Oby tylko zdążyć. Trzaskają drzwi; „Obywatelu... itd.” – drzwi zatrzaśnięte. Trzeba się szybko rozebrać, złożyć kostkę, bo już, już otwierają się drzwi. W jednym ręku złożony w kostkę mundur, ręcznik, łyżka, a w drugim buty, na nich zwinięte pończochy i onuce. Na bosaka przez celę i czarny pas podłogi na korytarzu. Kładę złożone rzeczy, stawiam buty, nigdy nie wiem, czy zrobię to właściwie. Oddziałowe się zmieniają, a każda ma inne wymagania. Dzisiaj słyszę „kostka po pra-

wej stronie, miska po lewej, a łyżka obok miski, nie na misce! Gdzie położyście pończochy? Mają leżeć na kostce, a nie na butach!” Dzisiaj jest tak, a jutro może będzie inaczej – przecież oddziałowa to myślący człowiek! Może mieć różne pomysły, nie trzymać się stereotypu! Trzask drzwi, padam na pryczę bez tchu. Tyle nerwów kosztuje mnie ta kostka! Patrzę na swoje ręce do łokci czerwone, łydki też. Powoli dochodzę do siebie. Przygotowuję pryczę do spania. Robię sobie ten wałek z szezeli, który trochę osłoni mój lewy bok. Śpię zawsze na prawym, twarzą do ściany. Prześcierradło jedno; musi leżeć na sienniku. Nie mogę go złożyć na pół, żeby na nim i pod nim spać. Już mi to wybito z głowy. Teraz składam koc. Mar-ny on i brudny. Składam go nieco skośnie, w ten sposób lepiej go wykorzystam. Kiedyś, gdy po rewizji szłam rozpruty siennik, zostało mi trochę nici-dratwy, wysłałam dwa kawałki w siennik, podwijałam do góry koc, żeby grzał mi nogi i zawiązywałam, żeby go umocować. Ale to też szybko wybito mi z głowy, wyrывая sznurek z siennika i grożąc „karcem”. Otulałam się więc, jak mogę, to podkulałam, to prostuję nogi. Masuję po kolei wszystkie części ciała, żeby się jakoś zagrząć. Nagle, ku przerażeniu, natrafiam na jakiś guz. Co to? Taki sam wymacuję po lewej stronie. Ach, to tylko główka obojczyka. Co za szczęście! Widocznie jednak schudłam. Nie widzę, nie oglądam się przecież. Tylko dotykiem mogę stwierdzić, że wszystkie moje kości coraz bardziej są wystające. Jeszcze ostatnie modlitwy przed snem. Trzeba zasnąć. Budzę się często, albo z zimna, albo przez zapalone światło. Oddziałowe rutynowo obchodzą oddział i świecą. Ja wtedy leżę nieruchomo z zamkniętymi oczami i marzę, żeby już zgasili to światło i żeby sobie poszli. Słyszę stukot przekręcanych kontaktów, coraz dalej i dalej. Ale co to? Znowu kroki dochodzą do mojej celi, kontakt się przekręca i znowu to przekłete światło. Wstrzymuję oddech, leżę jak mumia. A światło świeci się i świeci. Jakieś szepty. Czy wejdą? Po co? Dlaczego mnie tak wyróżniają? Co w tym jest? Czemu w innych celach tak nie świecą? Obejdą raz i koniec, a do mnie wracają po cichu i coś szepczą? Wybijam się ze snu. Ale i on przychodzi. Tym razem jest wspaniale. Jestem w domu. Jest Mamusia, opowiadał jej o wszystkim, o tym, co się ze mną działo i dzieje. Jesteśmy razem. Jestem szczęśliwa. Przytulałam się do Matki. Jesteśmy razem, razem! Jakie wielkie szczęście! Budzę się, jest ciemno, ale przyleciały kosy. Jakiś kos gwizda mi blisko zwycięską pieśń. Wsłuchuję się w nią i wiem, że wszystko przetrwam, przeżyję. Ten kos to mój przyjaciel, tak bardzo mi pomaga. Znowu zapadam w sen. Jest lato, świeci słońce, jest ko-

lorowo od kwiatów. Jest cudownie!... I nagle trzykrotny gong wyrывa mnie ze snu i przywołuje do rzeczywistości.

Znów zaczyna się nowy dzień. Dzień o całe 24 godziny przybliżający mnie do wolności już minął. Trzeba rozpocząć, jak zwykle, od zabrania kostki, słania pryczy, stawania na apelu. I tak jeszcze przez ponad tysiąc dni dzielących mnie od wolności.

23. Powrót do Fordonu (18 marca 1955 – 5 kwietnia 1956)

Siedemnastego marca 1955 r. zabrano mnie z celi korytarzowych, wydano rzeczy z depozytu i pod wieczór znalazłam się w jakiejś wspólnej celi. Nie pamiętam, z kim wtedy spędziłam noc ani ile nas było. Zapamiętałam tylko na trwałe fakt, że wtedy spotkałyśmy się z Ireną Bukowską i tą jedną, jedyną, wspólnie spędzoną noc dokładnie przegadałyśmy. Przy wyjeździe przykazano nam, żeby nie opowiadać o Inowrocławiu. Samej jazdy zupełnie nie pamiętam, ani też pierwszych kroków w Fordonie. W jakiej celi mnie umieszczono? Dobrze jedynie zapamiętałam bolesny dla mnie fakt, że zostałam skierowana do pracy w pralni. Nie chodziło mi o sam fakt takiej pracy, ale o dyskryminację, pozbawiającą mnie kontaktów z koleżankami i przyjaciółkami, z którymi rozstałam się, gdy mnie wzięto z pracowni do sutereny, czyli dokładnie przed pięcioma laty. Na szczęście czyjaś interwencja pomogła i znalazłam się w hafciarni.

Powrót do Fordonu, do jego diametralnie innych warunków – do współtowarzyszek, z którymi siedziało się w jednym inowrocławskim więzieniu, a których się nie widziało i nic o nich nie wiedziało przez te dwa i pół roku – był dla nas wszystkich wielkim przeżyciem, nawet szokiem. Tak samo jak i spotkanie koleżanek, które pozostały.

Byłam zaprzyjaźniona na przykład z Wandą Salską, spędziłyśmy ze sobą równe dwa lata, od dnia jej przyjścia na „ogólniak” do dnia mego zejścia do sutereny. A potem przez pięć lat nie widziałyśmy się, chociaż połowę tego czasu spędziłyśmy w Fordonie, niby w tym samym, a jednak nie tym samym więzieniu, bo ona w pracowni, a ja w suterenie.

Wszystkie koleżanki były dla nas niesłychanie miłe, ale my przeżywałyśmy szok. Szalony kontrast pomiędzy Inowrocławiem, jego drylem, stośnięciem do nas nawet najniższych władz a warunkami, w jakich znalazłyśmy się w Fordonie, spowodował wstrząs, który przeżyłam bardzo mocno i przeżywałam jeszcze parę tygodni. Doskonale to pamiętam – nie byłam

w stanie się skupić, nie mogłam czytać nawet najlepszych książek, dostarczanych mi przez koleżanki, dostałam jakiejś nerwowej wysypki na całym ciele, która była tak swędząca, że zanim wieczorem położyłam się spać, drapałam się po całym ciele aż do krwi. Wspomnienie i myśl o Inowrocławiu odbijały się natychmiast na mojej twarzy. W takich momentach Jadzia mówiła mi: „przestań myśleć o Inowrocławiu”. Dzięki Bogu szok minął po paru tygodniach, ale Inowrocław i wszystko związane z pobytem w tym więzieniu pozostało na trwałe w mojej pamięci. Pod koniec pobytu znalazłam się w dużej celi. Była to – nazwana tak przez nas – cela międzynarodowa. Dominowały oczywiście Polki, ale były Ukrainki i Niemki, a także jedna Ślązaczka Joanna Grzondziel²¹¹.

Miałyśmy znowu podwójne, polsko-ukraińskie święta. Byłam wtedy m.in. z „Dzidką” Martyniakową, z którą się bardzo zaprzyjaźniłam, a przyjaźń nasza przetrwała do jej śmierci. Widywałyśmy się, korespondowałyśmy, kilka razy będąc w Warszawie mieszkalam u niej. Na tamte święta, 1955 r., udało mi się wylepić z chleba całą szopkę, ze strzechą słomianą, nawet ze zwierzętami. W tej różnorodnej społeczności byliśmy jednak razem, na przykład modliłyśmy się wspólnie. Miałam wtedy ponownie odzyskany mszalik tygodniowy i można było odmawiać teksty mszy świętej przypadające na dane święto. Było to ostatnie Boże Narodzenie spędzone w więzieniu, czekała mnie jeszcze ostatnia, jedenasta już Wielkanoc. Ale te święta zapisały się trwale w mojej pamięci jako wielkie święto jedności i braterstwa.

24. Listy znowu z Fordonu²¹²

Fordon, 21 III 1955 r.

Moja kochana, najdroższa Matus!

Tak niedawno widziałam Cię w Inowrocławiu, a list ten piszę już do Ciebie z Fordonu. Była to dla mnie ogromna niespodzianka i myślę, że i Ty ucieszysz się wraz ze mną. Na razie dziś byłam w pralni, ale będę pracowała gdzie indziej. Taka jestem jeszcze oszołomiona tymi zmianami, że trudno jest mi zebrać myśli. Przyjemny był, Matus, powrót na stare miej-

²¹¹ Joanna Grzondziel-Smyk (ur. 1925), zamieszkała w Zbrosławicach, woj. katowickie. Aresztowana 12 IV 1952 r. Skazana na 8 lat więzienia, 2 V 1956 r. wyrok zmieniono na 5 lat więzienia.

²¹² Od 18 marca 1955 r. Ruta Czaplińska przebywała ponownie w więzieniu fardońskim.

sce. Cieszę się, że w lutym mogłam widzieć Hanke, tak ciągle o niej myślę i bardzo bym chciała, kiedyś, po wyjściu, być u niej Matus, myślę, że nie stanie Ci nic na przeszkodzie i będziesz mogła do mnie przyjechać 5 IV (akurat w moją dziewiątą rocznicę). List Twój pisany siódmego otrzymałam – pieniądze również. Gdyby to było możliwe – to prosiłabym w kwietniu o dodatek świąteczny. Wiesz Matus, jak to dobrze, że nie odesłałam wtedy tego koca, teraz go mam i jest mi ciepłutko. Jestem bardzo ciekawa, jak wypadł pobyt Bogny w Warszawie, czy była w prokuraturze? Jeszcze nie wiem, gdzie będę pracowała, tak bardzo chciałabym pracować na produkcji, bo to jest praca zbliżona do wolnościowej i bardzo bym chciała popróbować swoich sił i dać swój wkład w takiej normalnej pracy i produktywnej. Moja kochana, daruj mi ten list, ale nic mi się dziś nie klei z nadmiaru wrażeń. Na razie kończę i całuję Twoje kochane ręce, przytulałam się do Ciebie, tak jak tydzień temu. Matus, gdybyście mieli trudności, jakiegokolwiek – to nie bierz pod uwagę tego, co Ci pisałam o pieniądzach – naprawdę. Całuję wszystkich kochanych.

Fordon, 3 IV 1955 r.

Moja kochana, najdroższa Matus!

Wczoraj dostałam Twoją kartkę. Tak bardzo się cieszę, że już otrzymałaś mój pierwszy list pisany stąd i że już wprost przyjedziesz do Fordonu. Bardzo czekam na Ciebie. Myślę, że ucieszyłaś się moim przyjazdem. Ja czuję się świetnie, jestem szalenie zadowolona, pracuję na produkcji. Po tylu latach wróciłam znów do tej samej pracy. Praca idzie mi dobrze, normę wyrabiam. Staram się pracować jak najlepiej. Byłam w kinie na *Cenie strachu* – filmie francusko-włoskim, naprawdę świetnym. Jeszcze nie jestem w 100% „rozkrecona”, to znaczy trudno mi się skupić przy czytaniu, ale mi to po trochu mija i pewno niedługo wrócę do normy. Mam teraz *Wojnę i pokój* Tolstoja. Matus – nie bardzo rozumiem, co to znaczy, że moje akta są w sądzie, myślałam, że prokuratura już wystąpiła do Rady Państwa, ale czekam na widzenie: że mi to wytłumaczysz. Za wszystkie rzeczy bardzo, bardzo Wam dziękuję, jak również za pieniądze. Mam do tej pory wyrzuty sumienia z tej racji, że przyczyniłam Wam kłopotu. Matus, przy okazji – pieniądze tutaj idą dość długo (przeszło dwa tygodnie), tak że o ile możesz, to prosiłabym o wysłanie zaraz po pierwszym. Matus, Ty nic się nie martw o mnie, mam duży zasób cierpliwości. Jeśli to się wszystko przedłuży (bo coś na to wygląda), no to trudno, będę spokojnie czekać. Moja najdroższa!

Taki jakiś strasznie suchy ten list, chociaż serce gorące i bardzo, bardzo kochające i jest mi dobrze bardzo. Widziałam fotografię małego Wojtusia Wandy S.²¹³ Strasznie mi się podoba. Może mi przyslesz jakieś zdjęcia? Jak się czuje Wanda? Myślę sobie, że może jednak na Zielone Świąta będę z Wami? Czy Bogna była w Karolinie? Matuś, a z Tobą tak bym chciała pojechać do Janowca. Gdybym rzeczywiście wyszła niespodziewanie, to najchętniej pojechałabym wprost do Was, a ewentualnie do Torunia (przecież będzie mi się bardzo spieszyło do Ciebie i szkoda każdej godziny), ale to obgadamy na widzeniu. Tymczasem wszystkie moje myśli najlepsze i życzenia Wielkanocne na Twoje ręce składam i przytulam się do Ciebie.

Fordon, 13 XI 1955 r.

Moja Matuś najdroższa!

Czy zadowolona byłaś z ostatniego widzenia? Mam Ciebie jeszcze wciąż przed oczami i w myślach całuję Twoje kochane ręce. Nie zapytałam Cię nawet, czy zatrzymałaś się w Bydgoszczy, czy też wracałaś nocą do domu? Ale myślę, że chyba odpoczęłaś przed podróżą. Martwi mnie zawsze, że tak się namęczysz dojazdami do mnie, a ja nie mogę Ci w tym ulżyć. Tylko, Matuś, teraz to już naprawdę niedługo. Obliczyłam sobie kiedyś, że będzie to czwartek po Wielkanocy i tylko to mnie martwi, że to będzie już po Świątach i takim sposobem jedenaste Świąta spędzę jeszcze tutaj. Ciekawa jestem strasznie tego naszego życia; dzieci, które dorastają i nowych, całkiem nieznanych. Czy Wituś zdradza zainteresowanie w jakimś określonym kierunku, skąd można by wnioskować, czego będzie uczył się dalej? Bardzo mnie to wszystko interesuje. Czy Bognie uda się zdobyć pianino dla Joasi. Strasznie byłoby szkoda, gdyby przez to traciła jej nauka. Czy Bogna ma radio? Często myślę, że będzie to jeden z pierwszych moich sprawunków, gdy już zacznę zarabiać i stanę na nogach. Chciałabym móc od razu pracować, żeby już nie być Wam ciężarem. Marzę jeszcze o książkach. Czytałam, że wyszły wiersze Staffa, zebrane w pięciu tomach. Całość [kosztuje] 80 zł. Ma też wyjść wznowienie *Alchemii słowa* Parandowskiego. Muszę tego koniecznie upilnować, bo pierwszy nakład był momentalnie wyczerpany. Matuś! Bardzo bym Cię prosiła, gdybyś przed moim wyjściem jeszcze dostała od Cezarego adres cioci Julii. Wołałabym

²¹³ Chodzi o Wandę Salską, patrz s.131.

nie musieć sama go o to prosić, a zależy mi bardzo na tym, żeby napisać do cioci Julii. Może Bogna będzie mogła mi to załatwić, będąc w Poznaniu? Zresztą niczego nie dyktuję. Wiem, że jak będzie można, zrobicie to dla mnie. Czy napiszesz do cioci Żany²¹⁴? Prosiłabym Cię bardzo o to, już nie ze względu na mnie, ale na Hankę. Matuśko! Dostałam w nagrodę za dobrą pracę dłuższe widzenie bez siatki, więc jak przyjedziesz do mnie w grudniu, to będziemy mogły dłużej ze sobą porozmawiać i ucałuję znów Twoje kochane ręce. Tak bardzo się z tego cieszę, moja, moja bardzo kochana. Matuś, może byś przywiozła fotografie dzieci Bogny, bo nie wiem, jak One wyglądają. Bogna obiecała mi je przysłać i jakoś nic z tego nie wyszło. Tak bym chciała, żeby Bogna miała czas dla swojej pracy naukowej. Wiesz, moim marzeniem jest pracować gdzieś tak, jak na przykład w Instytucie w Puławach, tylko naturalnie we Wrocławiu z Wami. Zacząć nawet od mycia szkiełka od mikroskopu, żeby potem móc dojść do czegoś. Jeśli nawet nie będę mogła studiować, to móc coś osiągnąć własną pracą, zdobyć wreszcie jakąś wiedzę i móc ją zastosować w życiu. Zastanawiam się nieraz, jak Bolkowie, a zwłaszcza Marysia (choć nie wiem, kto bardziej) dają sobie radę z domem, dziećmi, wychowaniem, utrzymaniem całej gromadki. Całym sercem pragnę im pomóc. Póki będę w Łodzi, to oczywiście odciążę trochę Marysię od Jej zajęć domowych, żeby mogła mieć trochę czasu dla siebie. Bardzo czekam na list od Niej Tak lubię Jej listy, uwagi o dzieciach, bo świetnie, w krótkich słowach je charakteryzuje i zbliża mnie do nich, a nie chcę być tylko taką „daleką” psychicznie i fizycznie ciotką. Chciałabym, żeby moje stosunki z dziećmi ułożyły się naprawdę dobrze i blisko. Tutaj w Fordonie czuję się bliższa życia. Najwięcej wpływa na to moja praca, bo wiąże [mnie] z wolności i jej problemami. To jeszcze jeden powód, dla którego się cieszę, że jestem tutaj. Łatwiej mi będzie wyjść stąd w życie. Piszę tak o tym powrocie, a do tej pory nie dochodzi do mnie, że naprawdę już niedługo będę z Wami. Dziwne uczucie – tęsknota i wyobrażenia, a jednocześnie niemożność wyobrażenia sobie tego, co [mnie] czeka. Matuś, nie wiem jeszcze nic, jak z zębami, bo u dentysty nie byłam. Myślę, że do grudnia na pewno jeszcze zejdzie. O technicznej stronie powrotu też jeszcze nie rozmawiałam. Kazikowi dziękuję za reperację kanapy. Mój Boże! Jak bardzo pragnę być już z Wami! Moja Mateńko! Całuję Was wszystkich moich

²¹⁴ Janina Laval.

bardzo bliskich i kochanych. Za pamięć bardzo dziękuję. Czy Wituś nie napisałby do mnie listu lub kartki, przecież to mój chrześniak.

Fordon, 19 II 1956 r.

Kochana moja, najdroższa Matuś!

List swój z lutego napisałam do Wandy, bo dostałam od Niej list, w którym prosiła o receptę na egzemę, którą tutaj miała leczoną ze skutkiem. Ten list jest dodatkowy, ponieważ dowiedziałam się, że muszę z Tobą poruszyć sprawę pieniędzy, które zaginęły. Okazuje się, że pieniądze (200 zł), wysłane przez Ciebie we wrześniu 1955 r., gdzieś na początku (bo tutaj przekaz przyszedł 10 IX) zaginęły. Przekaz przyszedł tutaj, został zanotowany i skierowany do banku celem uzyskania przelewu. Po odebraniu przelewów okazało się, że mego przekazu nie ma. Sprawą tą zajął się p. Naczelnik i powiedziano mi, że teraz Ty musisz zrobić starania na pocztę we Wrocławiu. Najlepiej, gdybyś miała dowód wpłaty, ale jeśli nie masz już odcinka, to trzeba sprawdzić w urzędzie pocztowym, w którym pieniądze zostały nadane, bo tam muszą mieć zapisaną wpłatę i tam [trzeba] reklamować. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyś będąc u mnie widziała się z p. Naczelnikiem. Ale żebyś już miała coś konkretnego w tej sprawie. Bardzo bym chciała, żeby to wszystko udało się załatwić jeszcze przed moim wyjściem, no bo pieniądze się przydadzą i dlatego właśnie piszę ten list, który mam nadzieję dojdzie szybko. Nie wiem w końcu, czy i kiedy otrzymałaś mój list styczniowy. Ja w lutym jeszcze nie miałam listu od Ciebie. Iza była u mnie na widzeniu. Umówiliśmy się, że przyjedzie po mnie i odprowadzi do pociągu, z czego się bardzo cieszę. Prosiła, żebym przyjechała do Radzicza. Powiedziałam jej, że żadnych planów jeszcze nie robię. Bardzo chętnie pojechałabym do Niej w lecie, o ile oczywiście da się to zrobić. Piszę Ci o tym, żebyś sobie nie wyrzucała, że po mnie nie przyjedziesz. Tak będzie naprawdę lepiej i ja nie będę denerwować się tym, że czekasz gdzieś pod bramą, a miło mi będzie zobaczyć kogoś bliskiego. Izia dostanie tego dnia widzenie z Hanką. Już to załatwiła, tak że wszystko układa się pomyślnie. [...] Wiesz, niedawno dostałam odmowę na moje podanie do Rady Państwa z 20 IX 1955 r. Piszę Ci o tym, żebyś wiedziała, że mam 100% pewności, że nie wyjdę wcześniej. Ale to przecież nieważne. Już naprawdę tak niedługo będę w Twoich ramionach. Nie umiem sobie tego wyobrazić. Wierz mi, jestem zupełnie spokojna. Nie denerwuję się ani siedzeniem, ani oczekiwaniem. I Ty, moje kochanie – Ty też, bądź dobrej myśli i spokojna i po-

myśl, że zaraz po Świętach już będę z Wami. A prawdziwe Święta zaczną się, gdy przyjadę do Was. [...] U nas w celach jest ciepło. Nic się nie martw. Wszystko jest dobrze. Czekam na Twój przyjazd Bardzo mi już do Was tęskno. Tak chciałabym być już z Wami i dzielić z Wami wszystko. Całuję Twoje ręce, moja bardzo kochana, a Ty ucałuj wszystkich.

Fordon, 4 III 1956 r.

Moja Matka najdroższa!

Już po napisaniu listu do Ciebie otrzymałam Twój z 16 II. Dostałam tylko jeden list w lutym, ale myślę, że pewnie drugi leży jeszcze w cenzurze. Przekaz na 200 zł otrzymałam także, tak więc moje zapytania na ten temat są nieaktualne, robiłam sobie nawet wyrzuty po napisaniu, że prosiłam o te pieniądze. Moja Matulko, uświadomiłam sobie zbyt późno, że w poprzednim liście nie napisałam nic do Kazika z myślą o jego imieninach i tak mi przykro, bo chciałam, żeby brat miał te parę słów ode mnie. Tak bardzo z całego serca życzę mu szczęścia rodzinnego i wszelkiego dobra. Bardzo, bardzo tęsknię do chwili, w której go zobaczę, bo mimo woli mam go w oczach takim, jakim go zostawiłam, i pamiętam także to, że nie mogłam się z nim pożegnać. Często myślę o tym naszym wspólnym życiu w Łodzi, mnie było wtedy z nim bardzo dobrze, a teraz znów myślę, jak on mi pomaga i choć nie piszę o tym, ale zawsze myślę i pamiętam. Przypomniały mi się dziś jego imieniny sprzed dziesięciu lat, a to dlatego, że specjalnie sobie o nim myślę i mówię. Chciałabym, Matusi, żebyś ten list dostała w okresie imienin, żebyś ode mnie miała choć ten list. Krzepię się myślą, że w każdym razie w przyszłym roku już ten dzień będziemy spędzały razem i że wreszcie zrealizuję marzenia o niebieskim hiacyncie. Izia pisała po widzeniu, że do Ciebie napisała. Czekam Cię teraz każdego dnia, bo nie wiem, w jakim terminie będziesz mogła do mnie przyjechać. W każdym razie to będzie nasze ostatnie widzenie i już będziemy razem. Myślą sobie przebiegam ten okres dziesięciu lat. To straszny kawał czasu. Czuję się strasznie dziwnie. Tęsknię do Was i ciekawa jestem wszystkich i wszystkiego i nie umiem sobie wyobrazić tego życia. Tak strasznie się czuję od niego oderwana. Myślę też ciągle o Hance, jak bardzo ciężko jest mi ją zostawić. Ty mnie zrozumiesz, Matusi, prawda? Właśnie Ty jedna jesteś pomostem pomiędzy mną a światem zewnętrznym, bo Ciebie jedną widziałam i miałam przed oczami i wierzę, że Ty mi pomożesz. Jakie to szczęście, że wrócę do Ciebie, Matko. Zawsze sobie myślę, że pojęcie domu nie

jest dla mnie nigdy związane z żadną miejscowością, mieszkaniem, tylko z Tobą. Mój dom tam, gdzie Ty. Pamiętam, czytałam kiedyś taki wiersz Wierzyńskiego, przy którym zawsze myślę o Tobie: „Po kamienistej wracam drodze w Twój porzucony, ciepły kąt. Nie pytaj, po co znów przychodzę i tam, gdzie byłem, jak i skąd. Kości drzew gołe, śnieg i zima. Gościniec – cmentarz martwych gród. Została tylko przed oczyma łaska otwartych Twoich wrót. Krok się wciąż spieszy i wciąż zwleka. Śladów, jak widm się własnych złąkł. Naprzeciw idzie mu z daleka, w powietrzu drżący krzyż Tych rąk...”. On jest taki bardzo prawdziwy, pisany do matki. Matus! Bardzo się wzruszyłam Janką, że pamięta i chce do mnie napisać. Czekam także na wiadomość od Michała²¹⁵, myślę, że p. Szymon²¹⁶ powinien go znać? Bardzo się cieszę, że Bogna bawiła się trochę. To dla mnie ogromna radość, gdy się dowiem, że ma jakąś przyjemność. Tak bym chciała wiedzieć, że macie trochę czasu i możliwości na rozrywki. Ja osobiście nadal ogromnie tęsknię do muzyki. To będzie dla mnie największa przyjemność. Matus! Czy moje książki, które z Inowrocławia odesłałam, są już w domu, czy jeszcze u cioci Wandy? Bardzo bym chciała je mieć, zwłaszcza Malewskiej i te angielskie, bo bardzo pragnę zabrać się do języków. Czy dostałaś ten adres cioci Julii? Bardzo mi na nim zależy, więc jeśli możesz, to napisz do Cezarego w tej sprawie. Paczki od cioci Tinetki²¹⁷ jeszcze nie dostałam, ale myślę, że niedługo przyjdzie i cieszymy się obie z Hanką. Bardzo podziękuj cioci od nas. Czy Stach się ożenił? Nic mi ostatnio o nim nie mówiłaś. Czy nie wiesz, co słychać u wujostwa Wiktorów? Pojutrze jego imieniny, zawsze ciepłą myślą ogarniam ich i Henryków. Bardzo jestem ciekawa, jak się ułoży dalej współżycie dzieci z Małgosią. Cieszę się bardzo, że będę miała tę trójkę blisko. Ciekawa jestem, jak wobec tego rozlokowali się Bolkowie, kogo umieścili w tym czwartym pokoju? To już tak niedługo, Matus moja najdroższa! Czy Wanda nie pisała do Ciebie? Powinna już dostać mój list. Czy udało Ci się coś załatwić w sprawie tych zaginionych pieniędzy? Wczoraj leżąc w łóżku uświadomiłam sobie, że już tak niedługo będę tak blisko Ciebie i będę trzymać Cię za rękę i to nie będzie sen, ale najprawdziwsza rzeczywistość. Tulę się do Ciebie i ręce Twoje całuję, a za miesiąc już naprawdę.

²¹⁵ Michał Galej.

²¹⁶ Szymon Poradowski.

²¹⁷ Walentyna Chądzyńska.

25. Święta w więzieniu

I oto nadszedł dzień Wigilii 1946 r. Dzień pełen oczekiwań. Wszystkie cztery dostałyśmy paczki z domu. Radość z mojej, w której była także gałązka choinki i opłatek, była ogromna. A potem otworzyły się drzwi i oddziałowa wręczyła „Halszce” i mnie paczuszki z „Patronatu”. Znowu ogromna radość, ale zaraz pomyślałyśmy sobie, jak by podzielić się z kimś, kto paczek nie ma. Oddziałową była wtedy bardzo miła dziewczyna (ale krótko, szybko ją zabrali, bo była za dobra), naszykowałyśmy więc czubatą miskę z wiktuałami, gałązką i opłatkiem i poprosiłyśmy, by dostarczyła komuś, kto paczki nie dostał. Wzięła od nas miskę i niedługo potem wróciła z wiadomością: „podzieliłam dla dwóch, ale była radość!”. W więzieniu czuło się nastrój świąteczny, podzieliłyśmy się opłatkami. Nie pamiętam, co jadłyśmy, to nie było ważne, bo zaczęły do nas dochodzić kolędy śpiewane przez mężczyzn. Wtedy chyba wszystkie cele przyłączyły się do tego chóru, kolędy rozbrzmiewały w całym więzieniu, a potem walenie w ściany do sąsiadów, symbolizujące najlepsze życzenia. Nie było łez, była jedna wielka rodzina więzienna, solidarna i wspólnie czcząca przyjście na świat Jezusa.

Drugie święta 1947 r. spędziłam już na „ogólniaku”. Następnego dnia po wyroku (3 listopada 1947 r.) przeniesiono mnie i „Agatę” Nachtman na „ogólniak”. Cella była duża, na 25 osób przed wojną, ale teraz było nas tam grubo powyżej setki, z czego nas – politycznych – chyba tylko osiemnaście, ale wciąż przybywały nowe po sprawie. Spotkałam się z „Halszką”, poznałam inne, z którymi szybko się zżyłam. Któregoś dnia Janka Kono-packa powiedziała, że ma w małym woreczku konsekrowane opłatki, które z kolei przekazała jej koleżanka przed wyjazdem w transporcie. Janka uważała mnie za godną przechowania tych świętych postaci i nosiłam je na sercu. Postanowiłyśmy, że przyjmimy komunię świętą w dzień Bożego Narodzenia. Było to duże przeżycie. Jeden jedyny raz w ciągu dziesięciu lat mogłam przyjąć Pana Jezusa. Sama byłam tylko świadkiem, gdy mec. Grabowska przekazała naszym kolegom ze sprawy, oczekującym na wyroki śmierci, konsekrowane komunikanty. Wspominałam już o tym – pamiętam, jak je ukradkiem i z nabożeństwem przyjmowali. Na „ogólniaku” miałyśmy swoje dyżurne, zmieniające się co tydzień, które przygotowywały nam śniadania i podwieczorki, a tym razem i Wigilię. Ale już zupełnie nie pamiętam, co jadłyśmy. Na pewno jakieś przysmaki w swoisty sposób

zakamuflowane. Na przykład dr Franio i Danka Bańkowska dostawały czarne „chlebki”, które tylko z wyglądu przypominały razowy chleb. A czego tam nie było w środku, nawet kawałki czekolady! Pamiętam, że zrobiłyśmy porcje dla naszych towarzyszek – więźniarek kryminalnych czy też siedzących za współpracę z Niemcami, ponieważ obsada się zmieniała. W każdym razie dwa długie stoły były nakryte prześcieradłami, na nich ułożone kawałki ciasta i po kawałku opłatka dla każdej. Ale najważniejszym wydarzeniem naszego więziennego Bożego Narodzenia była szopka. Niestety, nie pamiętam treści słów. Całość układała wierszem Basia Otwinowska, było też trochę moich pomysłów, które Basia ubrała w słowa. Była Matka Boska i Święty Józef (chyba Basia Sadowska) i „Kinga” Wędrychowska, symboliczny żłóbek i chór. Z darami do żłóbka przychodzili: chłopiec z lasu – „Alinka” Sieńko i więźniarka – ja. Alinka składała w darze chyba piękno przyrody i lasu, a ja nasze duchowe dary: przeżycia i cierpienia. Pochód zamykała Danka Bańkowska z tacą pełną kanapek – jako dar materialny dla Nowonarodzonego. Było to dla nas bardzo głębokie i piękne przeżycie i jakaś bardzo głęboka więź między nami – politycznymi i także jakaś specyficzna więź z tamtymi, też pozbawionymi domów, rodzin i często pozostawionymi same sobie, bez pomocy i paczek. Wiem, że były bardzo wzruszone naszym stosunkiem do nich.

Boże Narodzenie w 1948 r. spędziłam w małej celi w Fordonie. Siedziałam wtedy z Wandą Salską, Haliną Sosnowską, „Maniutą” Marynowską, reszty nazwisk już nie pamiętam. Nie zapamiętałam także niczego specjalnego – jak zwykle, bardzo dobry i pełen serdeczności nastrój w celi, na pewno był opłatek i jakaś gałązka jedliny. Zdaje się, że tym razem paczkom towarzyszyły listy z naszych domów. Korespondencja zaczęła się jeszcze na „ogólniaku”, ale tam mogłyśmy pisać tylko kartki pocztowe, obejmujące pięćdziesiąt słów. „Piszcie, że jesteście zdrowa i co wam potrzeba” – taką dyspozycję wygłaszała nam oddziałowa rozdając karty pocztowe. Raz nawet zaproponowała, żeby jedna z nas napisała tę samą treść do wszystkich naszych rodzin, ale ostro zaoponowałyśmy; choć króciutko, to jednak pisałyśmy do naszych domów własnoręcznie. W ten wigilijny wieczór na pewno każda z nas łączyła się w myślach ze swymi najbliższymi, ale nigdy nie było łez ani smutnych twarzy.

W 1949 r. poszłam do pracy i te święta znowu wyglądały inaczej. Zapisywały się w mojej pamięci w sposób szczególny. Spędzałyśmy je, bowiem umieszczone karnie w jednej celi, pozbawione paczek na czas nieokreślo-

ny za palenie papierosów w pracowni podczas przerwy obiadowej. Normalnie wychodziło się na papierosa do ubikacji, ale czasem niektóre z nas zostawały w pracowni na obiad, a wtedy pracownię zamykano na klucz i nie było można wyjść do ubikacji, więc się paliło na miejscu. Ja zostawałam, bo pomagałam młodszym koleżankom w nauce, głównie w matematyce i polskim. Skład tej karnej celi był więc całkiem przypadkowy, każda z nas miała inny powód do pozostawiania w pracowni, nie łączyła nas nawet bliższa znajomość. W praktyce jednak okazało się, że jest nam razem bardzo dobrze. Cela – jedyna w całym więzieniu – miała kran i wodę bieżącą a dla nas był to niespotykany luksus. Znajdowała się na parterze, naprzeciwko dyżurki, gdzie wydawano paczki. Niestety, w tamtej chwili to nas nie dotyczyło. Nasze koleżanki z pracowni nieco wspomagały nas w zdobywaniu papierosów, jedzenia nie przyjmowałyśmy, wystarczyło nam więzienne. Nastroj był bardzo dobry, pamiętam, że wieczorami wspinałam się na moje, położone na trzecim piętrze łóżko i czytałam koleżankom na głos jakąś interesującą powieść.

Kiedy nadszedł dzień Wigilii, przez drzwi słyszało się wzmożony ruch na korytarzu, związany z wydawaniem paczek świątecznych (były znacznie obfitsze, do sześciu kilogramów, i mogły zawierać niedozwoloną normalnie żywność, jak ciasta, czekolady, wędliny). Nakryłyśmy taboret białym ręcznikiem, postawiłyśmy swoje miski, podzieliłyśmy się opłatkiem i właśnie zaczęłyśmy zająć barszcz czerwony, zaserwowany nam przez więzienie, gdy nieoczekiwanie wszedł do celi naczelnik. Zobaczył nasz skromny stolik, nasze pogodne twarze, zapytał, czy dostałyśmy paczki, zgodnie odkrzyknęłyśmy, że nie, ale żadna z nas nie dodała do tej odpowiedzi najmniejszej nawet prośby. Naczelnik sam po chwili zastanowienia powiedział, że paczki dostaniemy. Radość więc była tym większa, że nieoczekiwana. Zaraz nas wezwano na dyżurkę i odbyło się wielkie świętowanie. Martwiłyśmy się tylko, że po zakończeniu kary znów nas porozdzielają do naszych poprzednich cel, a było nam tak dobrze.

Święta w 1950 r. spędzałam z „Myszką” Cieślińską, Irką Tymoczko, Ludką Kot, Haliną Sadowską i jeszcze z kimś, kogo już nie pamiętam. To było „podwójne świętowanie”. Irka i Ludka jako Ukrainki były grekokatoliczkami. Ich święta były trzynaście dni później (według kalendarza juliańskiego), musiałyśmy więc nasze zapasy i delicjesy rozdzielić na dwie części.

Podczas naszych świąt wszystkie czynności porządkowe wykonywały Ukrainki, a my odwdzięczałyśmy się w ich święta, z tym, że nasze świę-

to Trzech Króli pokrywało się z ich Wigilią. Szczególnie uroczysty był ich „Jordan” – Święto Objawienia Pańskiego. W otrzymywanych od czasu do czasu paczkach z Anglii (była już o tym mowa) były wspaniałe puszki kawy „Neski” i pachnące mydło. Z kawy robiłyśmy wspaniałą krem. I na każde święta zaoszczędzałyśmy jej choć trochę. W suterenie obchodziłam dwa takie Boże Narodzenia w 1950 i 1951 roku. Zapisaly się one w mojej pamięci jako szczególne święta braterstwa i solidarności. Po latach Ludka zmarła, a Irka w dalekim Chicago wciąż pamiętała o nas i w czasie stanu wojennego przysyłała nam paczki, dając piękne świadectwo przyjaźni.

26 sierpnia 1952 r. wywieziono nas do więzienia w Inowrocławiu. W warunkach kompletnej samotności, ogołocona ze wszystkich dóbr materialnych, bez żadnego kontaktu nie tylko z domem, ale i z najbliższymi sąsiadkami, oczekiwałam narodzenia Chrystusa. Był to najprawdziwszy, najgłębiej przeżyty Adwent w moim życiu. Zrozumiałam wtedy, czym jest prawdziwa wolność, której nikt i nic nie może ograniczyć, wolność wewnętrzna. Moją wewnętrzną wolnością jest dobrowolne wyrzeczenie się jakiegoś dobra. I tak postanowiłam sobie, że przez cały czas nie wyjrzę ani razu przez okno. Wyglądanie przez okno było oczywiście niedozwolone, ale zawsze się ryzykowało, żeby zobaczyć choć czubek wieży kościelnej, zwieńczony krzyżem. Drugim moim postanowieniem było, że na cały Adwent porzucę znane sobie wiersze, poezję, która mnie karmiła. Powtarzałam je sobie w myślach, nadawałam im różną interpretację, rozkoszowałam się ich pięknem. Największą radością było to, że w moich postanowieniach wytrwałam do końca. Gdy zapadł zmrok wigilijny, wyjrzałam przez okno. Tego wieczoru zupa na kolację była trochę lepsza, choć dzień ten w zamierzeniach władz więziennych nie miał się chyba niczym różnić od innych. Było więc głodno, chłodno i samotnie. Była niesłychanie intensywna myśl o Matce i najbliższych, połączona z pragnieniem i modlitwą, by ten dzień czy też te dni świąteczne nie były dla nich ciężkie, by mogli przeżyć je radośnie. A to zewnętrzne ogołocenie – jak bardzo wzbogaciło mnie wewnętrznie. Zrozumiałam całe ubóstwo i ogołocenie towarzyszące narodzinom Chrystusa.

Wielką niespodzianką tego dnia była nieoczekiwana wypiska. Nie było oczywiście żadnej żywności, ale kawałek zwyczajnego mydła – to był prawdziwy skarb, proszek do zębów, szczoteczka do zębów i szczotka do rąk. Można się było wreszcie umyć od stóp do głów nie samą tyl-

ko wodą. To były jedyne święta bez żadnego znaku z domu, bo nawet na Mokotowie były paczki, kawałek gałązki i opłatka, a w Fordonie listy i widzenia. Myślę jednak, że istnieje łączność duchowa, pozwalająca przekraczać mury i kraty, i że moja intensywna myśl o Matce i najbliższych jakoś do nich dotarła, bo i ja ją odczuwałam. W tej samotności, trwającej ponad trzynaście miesięcy, miałam pełną świadomość, że nie jestem sama, bo za ścianami są bliskie mi koleżanki, które myślą o mnie, tak jak ja o nich, a na wolności tylu mi najbliższych i bliskich ludzi pamiętających o mnie.

Święta w latach 1953 i 1954, spędzone jeszcze w Inowrocławiu, nie zapisały się w mojej pamięci niczym szczególnym. Pierwsze przeżyłam już we wspólnej celi z Mariżanką Kubisiak i „Ewą” Lwow, a następnie – byłam wtedy korytarzową, czyli sprzątaczką – z Krysia Daszewską, Marią Grabińską i Alicją Łaską²¹⁸. Nie było między nami jakiegoś zżycia czy szczególnego zrozumienia, więc też nic nie pozostało w pamięci. Na pewno jedzenie było wtedy lepsze, a jako korytarzowa mogłam zadbać, jak zresztą przy wydawaniu każdego posiłku, o to, żeby porcje były równe i nikt nie został pokrzywdzony. To było wszystko, co można było zrobić dla koleżanek. Zupełnie nalewało się do misek stojących na taboretach przed celami, tutaj kładło się też chleb na śniadanie. Nie wiedziało się, kto siedzi w danej celi. Nadal była całkowita izolacja. Musiałyśmy się chować lub stawać nosem do ściany, gdy jakaś cela szła na spacer albo któraś koleżanka gdzieś była prowadzona. Wtedy brzmiał groźny okrzyk: „korytarzowe chować się!”, i biada, gdyby któraś z nas odwróciła głowę.

Inowrocław skończył się dla mnie i towarzyszek z mego pierwszego transportu 18 marca 1955 r. Pozostawał mi jeszcze jeden pełny rok do odsiedzenia. Zanim to się stało, znalazłam się w dużej celi, nazwanej przez nas międzynarodową ze względu na obecność Ukrainek i Niemek. Tam miałyśmy znowu podwójne święta polsko-ukraińskie. To wtedy udało mi się ulepić z chleba całą szopkę, miałam też ponownie odzyskany mszalik tygodniowy. Były to ostatnie święta Bożego Narodzenia spędzone w więzieniu.

²¹⁸ Alicja Łaska, ur. 1922. Wyrokiem WSR w Łodzi z dnia 16 V 1952 r. skazana na 12 lat więzienia za działalność na rzecz wywiadu USA.

26. Modlitwa i nadzieja

Jak wyglądał mój dzień? Jeśli obudziłam się przed gongiem, wykorzystywałam ten czas na modlitwę. Po apelu i śniadaniu trzeba było dokładnie posprzątać celę, wyczyścić i wypolerować wszystkie metalowe części i przedmioty. Dopiero potem mogłam zacząć chodzić po celi i modlić się. Modlitwy stale się wydłużały, bo dochodziły wciąż nowe intencje, z zakamarków pamięci kolejne osoby, żywi i zmarli. Następnie (nadal chodząc) oddawałam się poezji, interpretowałam ją w myślach i tłumaczyłam sobie. Gdy można już było pisać listy, to dużą część czasu zajmowało mi układanie ich w myślach, co było nieustającym kontaktowaniem się z bliskimi. Codzienny pacierz w intencji tych wszystkich, których moja modlitwa obejmowała, był także obcowaniem z nimi (tak też rozumiem dogmat o świętych obcowaniu). Do codziennego „repertuaru” należał także różaniec. Mam szczególne doświadczenie z więziennym różańcem, zwłaszcza jeżeli chodzi o jego część bolesną. Pamiętam, że wielokrotnie zdarzało się, iż w momencie, gdy przeżywałam jakieś wielkie napięcie czy niepokój o najbliższych, o Matkę, i odmawiałam część bolesną, to akurat podczas rozważania spotkania Chrystusa z Matką w czasie Jego drogi krzyżowej – otwierały się drzwi i brano mnie na widzenie lub dawano list od Matki. I to było prawdziwe szczęście. Nie oznacza to, że modlitwa była łatwa i pozbawiona dygresji. Była przede wszystkim kierowana wolą, wolą wiary i wyrazem tej woli.

W organizacji dnia widziałam konieczność samodyscypliny i niepozwalania sobie na żadne odejścia od niej. Tak też było, gdy dostałam do czytania pierwszą książkę. Można sobie wyobrazić, jak bardzo mnie kusiło, żeby choć poznać jej tytuł (była obłożona w szary papier). Nie pozwoliłam sobie na to, przemawiając do siebie (w myśli), że muszę najpierw wypełnić wszystkie obowiązki, a więc i to sprzątanie celi, i modlitwę, i dopiero wtedy będę mogła do tej książki zajrzeć. Innym przejawem samodyscypliny było niepozwalanie sobie na jakiegokolwiek jedzenie (chleba) poza trzema więziennymi posiłkami. Bardzo skrupulatnie przestrzegałam tego reżimu. W Inowrocławiu różaniec odmawiałam zawsze na palcach. W innych więzieniach miałam różaniec zrobiony z chleba.

W celach śledczych na Mokotowie modliłyśmy się raczej indywidualnie. W okresie, kiedy miałam książeczkę do nabożeństwa, modliłyśmy się wspólnie tekstami mszy świętej w niedzielę i święta. Ja zaczęłam się zaj-

mować wyrobami z chleba. Można było sobie na to pozwolić, bo go nie brakowało. Siedziałam wtedy z „Zulką” Magnuszewską. Ponieważ miała ona wkrótce wyjść – odsiedziała pełne dziesięć lat – całe dni lepiłyśmy różne przedmioty na prezenty dla naszych bliskich. Wyrabiałam wówczas jakieś małe słonie, broszki, fifki do papierosów, później zaczęłam próbować swoich sił w rzeźbieniu krucyfiksów i płaskorzeźb z Chrystusem lub Matką Boską. Miało to dla mnie ogromne znaczenie.

Wierzyłam w to, że przeżyję więzienie i że kiedyś wyjdę na wolność. Zależało mi – i nie tylko mnie, bo to była jakaś bardzo ogólna postawa – żeby więzienie nie było okresem wegetacji, ale żeby stało się źródłem wewnętrznego bogactwa, którym będzie można się kiedyś dzielić z tymi, którzy w więzieniu nie byli. O swoim życiu na wolności nie miałam pojęcia, jakkolwiek starałam się je sobie wyobrazić. Chciałam studiować, chciałam czynnie włączyć się w życie, wiedziałam, że nie będę umiała żyć samą negacją, i stawiałam na pracę. Mówiłam sobie – chcę i będę dobrze pracować, bo praca jest i będzie zawsze Polsce potrzebna. Moja wyobraźnia nie miała jednak żadnego realnego punktu odniesienia. Wszyscy moi najbliżsi, a i dalsi krewni i znajomi zmienili w międzyczasie miejsca zamieszkania, dlatego nie mogłam zobaczyć ich w wyobraźni na tle ich mieszkań i codziennego życia. To myślenie było więc bardzo abstrakcyjne, a przez to trudniejsze.

Nadzieja była czymś bardzo istotnym. Początkowo wiązała się z amnestią. Przy wyroku amnestia mnie nie objęła; nie objęła też żadna następna. Już nawet nie potrafię wyliczyć tych wszystkich starań mojej rodziny poprzez adwokata i moich własnych podań – o rewizję, warunkowe zwolnienie, darowanie reszty kary itd., itd., na które jednak zawsze odpowiedź była odmowna. Pamiętam, że ostatnie podanie długo krążyło i nie otrzymywałam odpowiedzi, miałam natomiast zapewnienie, że moja sprawa jest na dobrej drodze. Ta dobra droga okazała się odmową na pół roku przed końcem terminu, zawartą w słowach: „brak powodów do wcześniejszego wyjścia z więzienia”. W miarę jak zawodziła nadzieja na amnestię czy też skrócenie wyroku, coraz trwalsza była nadzieja, że mimo wszystko wyjdę na wolność, nawet po tych dziesięciu latach.

Istotną i zasadniczą rolę w moim życiu odgrywała wiara. To ona w najgorszych miesiącach pobytu w samotnej celi broniła mnie przed samobójstwem. Wiara i świadomość, że mam Matkę, która na mnie czeka, pozwalały nie poddać się natrętnym myślom o ucieczce od koszmaru

codziennego życia więziennego i zmanifestowania swojej woli. Wiele razy już wspominałam, jak wielką rolę odegrały posiadane przeze mnie przez pewien okres mszał na niedzielę i święta oraz modlitewnik (bardzo stary, jeszcze mojej babci). Nauczyłam się na pamięć stałych części mszy świętych, po polsku i po łacinie, tak że, gdy zabrano mi ten mszałik, mogłam się modlić sama i wspólnie z koleżankami. Robiliśmy różańce z chleba. Poza modlitwami indywidualnymi modliłyśmy się wspólnie w niedziele i święta. Zawsze dużo modliłam się w samotności, wciąż dodając nowe intencje za żywych i za zmarłych, ale przeżywałam też wielkie dylematy, nie umiejąc sama rozwiązać dręczących mnie problemów. Wszystkie pokusy niewiary odpierałam nieugiętą wolą wiary.

27. Wyjście na wolność

Więzienie – to czekanie. Czekanie na paczkę – znak życia w śledztwie, czekanie na listy i widzenia – to już po wyroku; czekanie na amnestię – bo ciągle się o niej myśli i mówi, przy każdej sposobnej do tego okazji. Wreszcie czekanie na rozpatrzenie podania – o rewizję procesu, czy też przedterminowe zwolnienie. A na samym końcu – czekanie na wyjście – gdy już wiadomo, że nic nie zostało darowane, że się cały wyrok odsiedzi.

Wyjście przedterminowe jest najcudowniejsze. Nagle zabierają człowieka z celi, z pracowni, czy też z innego miejsca. Idzie się szybko do depozytu, zdaje się rzeczy więzienne, a otrzymuje się swoje, przebiera się... i w świat.

Nic z tych rzeczy mnie nie spotkało. W 1956 r. Wielkanoc wypadała wcześniej – 26 marca. Miała ona być moją jedenastą Wielkanocą spędzoną w więzieniu. Matka na próżno składała podanie o zwolnienie mnie dwa tygodnie wcześniej. Trzeba było dosiedzieć do końca. Parę tygodni przed wyjściem wezwano mnie do naczelnika więzienia. Była stereotypowa rozmowa, z której zapamiętałam tylko jedno. Prosiłam mianowicie, żebym mogła do ostatniego dnia być w pracy. Zwyczaj był taki, że te, które wychodziły z wyroku, były zabierane dzień wcześniej i ostatni dzień spędzać musiały samotnie w suterenie, w celi, która jednocześnie służyła za „karcer”. Powiedziała, że dość długo przebywałam już w samotności i że miałam wystarczająco dużo czasu, by nauczyć się na pamięć adresów moich koleżanek, więc w tym ostatnim dniu na pewno nie będę się ich uczyć, że ta pojedynka przed wyjściem będzie dla mnie szczególnie uciążliwa. Naczelnik mi nie odmówił, powiedział coś w tym rodzaju, że weźmie to pod uwagę.

A jak było? Czwartego kwietnia – w przeddzień wyjścia – zabrano mnie z pracowni. Szybko zamieniłam z koleżankami moje więzienne wyposażenie, zabierając ze sobą odrapaną miskę, dziurawy garnuszek itd. Zeszłam po schodach do sutereny, w której spędziłam dwa i pół roku. Było mi niewypowiedzianie ciężko. Miałam dziwne uczucie dezercji, pozostawienia najbliższych mi koleżanek, jakkolwiek wiedziałam, że tak nie jest, że należą do tych nielicznych, które cały swój wyrok odsiedziały co do dnia. Ale jednak...

Nie znałam zupełnie wolności. Wiedziałam, że ten Rubikon muszę przekroczyć sama i że nikt mi w tym nie pomoże. Wszystko było dla mnie nieznane, począwszy od miejsc zamieszkania moich bliskich. W ciągu tych dziesięciu lat praktycznie widywałam się tylko z Matką, dwa razy odwiedziła mnie moja starsza siostra, a młodsza była na odczytaniu wyroku. Gdy mnie aresztowano, mój brat miał dwadzieścia lat i kończył gimnazjum. Gdy wychodziłam, był po studiach, żonaty i miał już dwoje dzieci. Moja siostra przez ten czas urodziła sześcioro. Zdawałam sobie sprawę, że zarówno oni, jak i ja zmieniliśmy się przez te dziesięć lat. Zadawałam sobie pytanie, czy znajdę z nimi wspólny język. Tak bardzo do nich stęskniona, jednocześnie bałam się, czy nie staniemy się sobie obcy – to byłoby straszne.

Moje kochane koleżanki podały mi jakąś kanapkę na kolację, ale ja nic nie mogłam przełknąć, jednocześnie jednak bardzo żywo i głęboko odczuwałam więź łączącą mnie z nimi. Wytęskniona wolność była mi obca i napawała strachem. Tu był mój świat – to jest ludzie mi tak bliscy, bo samo więzienie stawało się coraz większym koszmarem. Już na kilka miesięcy przed wyjściem z trudem wytrzymywałam nerwowo różne sytuacje. Musiałam całą siłą woli panować nad sobą, żeby z powodu głupich uwag oddziałowego nie rzucić w niego na przykład siennikiem, który właśnie napychałam. Ale w tych różnych sytuacjach zawsze znajdowałam pomoc u koleżanek, które czasem dosłownie łapały mnie za ręce.

Wtedy też dostałam wiersz od Ireny Tomalakowej:

Dziesięć lat temu przecież cię nie znałam.
Jasia mówiła: „Ruta siedzi obok.

Też w kwietniu wzięta. Duża grupa cała.
Złe miała śledztwo”. Ale długo z Tobą
Się nie spotkałam. Embepe, Mokotów,

Potem w Fordonie... Wreszcie w pięćdziesiątym,
W dawnej „hafciarni” – w Grajdołku – robota.
Tam zaczęliśmy coś szeptać po kątach...
Była gazetka, na krótko – świetlica
I „Ibarury”²¹⁹ opieka kochana
– no i – na długo – „pozornych” piwnica.
Choć znów nie razem, łączyła nas ściana.

Wiem, jak ja – wszystkie dni pamiętasz,
ich wspólną nędzę, pustkę, braki, kanty,
Zimno, szykany, rocznice i święta,
zadne rewizje, zrzuty, desanty...
Brak gazet. Spacer w klasztornym ogródku,
zbierane pety i – przymierze z Wisłą.
Stefę w jej czwórce... Wiele wspólnych smutków,
trochę radości –

Aż najgorsze przyszło.
Odżył Oświęcim i nic już nie zatrze
W nas jego przeżyć. Rana nie zarosła,
choć złe minęło, wciąż będziemy patrzeć
ze zgrozą, z wstydem w polski – Inowrocław!
Ostatni etap – znowu tu w Fordonie.
Znowu jest „Grajdoł”. Lecz wszystko inaczej
w więziennym bycie.

Może krzywdy – koniec?
Lat nam nie wróci – nic. Ale się znaczy
To Nowe! – Lepsze. I niesie nadzieję,
Że naszym siostrą łatwiej przetrwać będzie.

Ty dziś odchodzisz! Niech życie roześmieje
Ci się wolnością prawdziwą! Niech przędzie
Pracą – dni pełne, bogate, ciekawe.

²¹⁹ Tak nazywałyśmy Obiałę (przyp. autorki).

A miłość niech ci ramiona otworzy
Szeroko na życie. Niech najwyższym prawem
ci będzie – Sercem tylko zdobyć możesz –
to, co straciłaś. Słów nie trzeba zresztą.
„Kto tęsknił – wie”. Tak. Tym pamiętnym echem
Żegnaj Cię Ruto, bo Ty także wiesz to,
Więc bez łez żegnaj – siostrzanym uśmiechem.

Fordon, 4 IV 1956 r.

Mój Boże! Ileż razy, nieskończoną ilość razy przeżywałam i wyobrażałam sobie swoje wyjście na wolność, zwłaszcza podczas trzynastu miesięcy inowrocławskiej izolatki. I najsilniejsze przeżycie – spotkanie z Matką. Dlatego nie chciałam, żeby po mnie przyjeżdżała. Wiedziałam, że byłoby mi za trudno utrzymać się w jakiejś takiej formie. Prosiłam więc, żeby przyjechała moja stryjeczna siostra Iza – mieszkająca stosunkowo niedaleko. Siostra jej – Hanka – była też w Fordonie, aresztowana w pięć lat po mnie i w innej sprawie. Hanka przyjeżdżała do mnie na widzenia, a teraz ja z Izą miałyśmy mieć widzenie z nią. To też było dla mnie bardzo ciężkie. Świadomość, że przed nią jeszcze tyle długich lat. Miała piętnaście lat wyroku.

Wracam do mego „karca”, w którym spędzałam ostatnie godziny przed wyjściem na wolność. Jak za karę nie było spaceru, nie miałam też nic do czytania ani nic do roboty. Z nikim nie mogłam się porozumieć, ściany były puste. Wszystko we mnie płakało w środku. Spośród wszystkich godzin spędzonych w więzieniu te były jednymi z najgorszych. Przekroczyć ten Rubikon, przejść na tamten brzeg bez niczyjej pomocy. Miałam jakąś analogię z umieraniem, przez które trzeba przejść samemu.

Po bezsennej nocy, ale nie z samego rana, bo chyba gdzieś koło południa, otworzyły się drzwi, wyprowadzono mnie do depozytu. Przebrałam się w rzeczy, które już dawno na mnie czekały, zapakowałam walizkę i – nie pamiętam, gdzie spotkałam się z Izą. Dostałyśmy widzenie z Hanią. Było mi bardzo ciężko zostawiać ją. Wyszłyśmy na ulicę, w oknie pracowni stały koleżanki, którym pokiwałam. Poszłyśmy do kościoła. Nie pamiętam, jak wyglądał. Był na rynku, blisko więzienia, słychać było dzwony. Po drodze na stację poszłyśmy do restauracji na obiad. Byłam bardzo spłoszona, nie wiedziałam, czy po dziesięciu latach jedzenia łyżką, a nawet i czasem skórką od chleba, będę umiała sobie poradzić z nożem i widelcem. Ale okazało się, że tego się nie zapomina. W Bydgoszczy u rodziny męża Izzy propono-

wano mi nocleg, nie skorzystałam z zaproszenia i nocnym pociągiem pojechałam do Łodzi. Wczesnie rano wysiadłam na Dworcu Kaliskim. Nie wiedziałam, jakim tramwajem mam jechać, a co gorsza, nie miałam pojęcia, ile kosztuje bilet tramwajowy. Wstydziłam się pytać. Długi czas szłam na piechotę z tą walizką, ale w końcu zdecydowałam się na tramwaj. Otworzyła mi Marysia. Mamusia była na górze. Było mi dziwnie. Za chwilę przyszła Mamusia. Rozpoczął się nowy rozdział mego życia.

28. Te, co odeszły

Anna Grocholska

Był adwent 1946 r. Czas oczekiwania na przyjęcie Chrystusa, a dla mnie czas intensywnego śledztwa. 7 grudnia otworzyły się drzwi celi, w której siedziałam wtedy z Halszką Dunin i Joanną Kwiekówną. Do środka weszła nasza czwarta towarzyszka – Anna Grocholska. Szczupła, wysoka, starsza pani, w wieku mojej Matki. Miała wtedy około 57 lat. Anna była spokrewniona z wieloma rodzinami arystokratycznymi. Jej matka była z domu Zamowska, a siostra jej ojca była synową ks. Adama Czartoryskiego²²⁰; po śmierci męża Witolda wstąpiła do zakonu karmelitanek bosych i zmarła w opinii świętości. Anna wniosła ze sobą głęboką kulturę osobistą, którą promieniowała na zewnątrz, wielki hart ducha i silną wiarę.

W wieku 18 lat zaraziła się od guwernantki gruźlicą. Zaatakowane było lewe płuco. Leczyła się najpierw w Zakopanem, potem wywieziono ją do modnego wówczas Meranu, gdzie w wilgotnym i ciepłym klimacie prątki gruźlicy znalazły doskonałe warunki rozwoju. Umierającą Annę przewieziono wtedy do Davos, gdzie została umieszczona razem z bratem Ksawerym, chorującym na astmę, oraz osobą opiekującą się nimi w jednym ze

²²⁰ Adam Jerzy Czartoryski, książę (1770–1861) dyplomata, mąż stanu, przywódca Hotelu Lambert, pisarz. W latach 1804–1806 minister spraw zagranicznych Rosji. W latach 1803–1824 sprawował funkcję kuratora wileńskiego okręgu naukowego. Był przeciwnikiem orientacji napoleońskiej, przyczynił się do utworzenia Królestwa Polskiego, w którym sprawował funkcję senatora-wojewody i członka Rady Administracyjnej. W czasie powstania listopadowego prezes Rządu Tymczasowego, Rady Najwyższej Narodowej i Rządu Narodowego (do 15 VIII 1831 r.). Następnie na emigracji, od 1833 we Francji, wcześniej w Anglii. Prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego i współzałożyciel Biblioteki Polskiej w Paryżu. Mecenas literatury i nauki, autor wielu pism politycznych, rozpraw, wierszy i poematów.

znanych sanatoriów owego czasu. Po jakimś czasie jej brat mógł wrócić do domu na Podole, Anna zaś musiała być leczona dalej, okazało się bowiem, że jedno ze zwapnionych ognisk otworzyło się i uwolniło prątki. Była jedną z pierwszych pacjentek, którym założono plombę parafinową, unieruchamiającą chore płuco. Stała się obiektem badań i obserwacji wielu lekarzy. Tymczasem wybuchła pierwsza wojna światowa. Anna została odcięta od rodziców, od wszelkich kontaktów i pieniędzy. Postanowiła opuścić sanatorium i jakoś próbować żyć i zarabiać, ale lekarz naczelny – dyrektor – nie zgodził się. Powiedział, że rodzice Anny jemu ją powierzyli i będzie się nią nadal opiekował, bez względu na jej sytuację materialną. Anna pozostała w sanatorium i jako najstarsza stażem pacjentka stała się punktem kontaktowym dla wielu poszukujących się w czasie wojny ludzi, znajomych, rodziny i nieznajomych.

Rodzice szczęśliwie ocaleli, jednak ich majątki pozostały po stronie sowieckiej. Anna wróciła do Polski w dobrym stanie zdrowia. Imiała się różnych zajęć. Mając duże zdolności manualne, szyła buty, wyrabiała szczotki i różne inne przedmioty. Po jakimś czasie rodzice odzyskali jakiś niewielki kapitał i zakupili majątek ziemski koło Pudliszek. Anna gospodarowała tam wraz z Ksawerym.

Kiedyś, prowadząc samochód, podczas gwałtownego hamowania uderzyła się kierownicą w lewą pierś. Choroba rozpoczęła się znowu. Tym razem musiała poddać się torakoplastyce (wycięcie żeber). Operację przeprowadził znany chirurg austriacki. W wyniku wycięcia kilku kawałków żeber jej ramię zwisało bezwładnie. Zagrożona trwałą deformacją nie dopuściła do tego, umocniła ramię plastrem i normalnie używała lewej ręki. Była prościutka – jak struna.

W czasie II wojny zamieszkała z matką i bratem w Warszawie na Sadybie. Tam zachorowała na ropne zapalenie chorego płuca. Trzeba było dokonać kolejnej operacji i wyciąć całą plombę parafinową. Była to bardzo ciężka i bolesna operacja, ale najgorsze przyszło potem. Okazało się, że jakiś kawałek żebra pozostał i trzeba było go usunąć, dokonując jeszcze boleśniejszego zabiegu. Obydwie operacje wykonywane były na żywo, bez narkozy – Anna prosiła tylko, by informowano ją o każdym kroku chirurga. Wszystkie konsylia też odbywały się w jej obecności. Nie było antybiotyków i stan zapalny nie ustępował, mimo że płuco już właściwie nie istniało. Anna leżała długie miesiące z sączkami, przez które wyciekała ropa. W czasie choroby bardzo dokładnie notowała wszystkie dane dotyczące leczenia, a więc

lekarstwa, zabiegi i wyniki badań, pomiarów i analiz. Zrobiła się z tego opasła książka, którą Anna ofiarowała opiekującemu się nią lekarzowi. Ten był niesłychanie wdzięczny i – o ile pamiętam – książka ta posłużyła mu za materiał do habilitacji. Z Powstania Warszawskiego Anna i jej rodzina ocaleli. Zamieszkali w Brwinowie, brat z rodziną w willi, a ona z matką w sąsiednim małym domku. Przetoki się jakoś podgoiły, ropa już nie ciekła. Po kilku operacjach, w których wycinano jej coraz więcej kawałków żeber, była właściwie pozbawiona połowy klatki piersiowej i jej serce było pod powłoką skóry i mięśni. W czasie choroby dużo czytała. Szczególnie zapamiętała bardzo ciekawe wspomnienia więźnia – Włocha. Pomyślała wtedy, że zna dobrze szpitale, operacje i chorobę, ale na pewno nie pozna więzienia. Okazało się jednak, że i więzienie nie zostało jej oszczędzone.

Pewnego dnia aresztowano jej brata Ksawerego, który był w kontakcie z Komitetem Porozumiewawczym Organizacji Polski Podziemnej (KP OPP) i przekazywał jakieś materiały ambasadorowi Wielkiej Brytanii w Polsce Cavendish-Bentinckowi, dobremu znajomemu rodziny Grocholskich. Po aresztowaniu Ksawerego u Anny założono „kocioł”. Akurat nastąpiła jakaś awaria pieców. Wszędzie było pełno sadzy i Anna usiłowała doprowadzić dom do porządku, gdy zajechało auto z ambasadorem i jego psem. Cavendish – prawdopodobnie doskonale wiedział o aresztowaniu Ksawerego – wybrał się złożyć homagium starszej pani Grocholskiej. Anna opowiadała, jak okropna była cała ta sytuacja. Bałagan w domu, pełno ubeków, ona musiała trzymać psa i służyć za tłumacza, bo Cavendish nie rozumiał albo udawał, że nie rozumie po polsku. Po tej krótkiej wizycie, w czasie której ubecy usiłowali go legitymować, a on udawał, że nie wie o co chodzi, wsiadł do samochodu i najczystszą polszczyzną powiedział: „A mój pies nazywa się Anglus, zapiszcie sobie to!” i odjechał. Można sobie wyobrazić, że nazwisko Grocholski przyprawiało bezpiekę o wściekłość i działało jak płachta na byka. Niedługo potem Annę aresztowano.

Nie pamiętam, czy przyszła do nas wprost z wolności, czy dopiero po krótkim pobycie w Ministerstwie BP. Na Mokotowie była to jej pierwsza cela. Ze względu na brak znacznej części klatki piersiowej nie rozstawała się z serdaczkim podszytym futerkiem. Zawsze zakładała go idąc na śledztwo, aby chronić serce i słabo jeszcze zabliźnione otwory po przetokach. Niepokoiła się losem brata i matki, która została sama. Przyjechała chyba po nią jej starsza siostra, ale Anna – jak i my wszystkie – nie otrzymywała żadnych wiadomości. Nie miała ciężkiego śledztwa,

powtarzała swoje, że nic nie wie, że chora, że operacje itd. Szybko dali jej spokój. Kilka razy udało jej się porozumieć przez okno z Ksawerym. Umiała wspaniale panować nad sobą. Nigdy nie ubolewała nad swoim losem, była dzielna, wszystko znosiła z godnością. W naszej celi spała na łóżku, a my we trzy spałyśmy na podłodze. W czasie licznych rewizji w celi robiła z siebie schorowaną staruszkę, wyliczając liczbę wyciętych żeber, operacji, transfuzji itp. A po wyjściu oddziałowych z zadowoleniem wyjmowała ukryte w koku spinki i inne zakazane w więzieniu rzeczy. Twierdziła, że po wyjściu na wolność nauczy bratanków, żeby zawsze mieli przy sobie igły, żyletki, grafity itp., przydatne w więzieniu. Nigdy nie grymasiła. W tamtym czasie jedzenie było bardzo podłe. Dawano tzw. „berlaj”, czyli grube kluchy – nie wiem z jakiej mąki – w gęstej zawieszynie powstałej chyba z gotowania tych kluch i okraszonej ogonem, płetwami, ościami dorsza, albo jakąś jarzyną. Była też gęsta zupa z suszonych jarzyn na cuchnących końskich płuckach. Jeżeli w niedzielę była grochówka, to w więzieniu było święto. Zupy były nie do przełknięcia, jednak Anna zawsze zjadała część swojej porcji. Pamiętam, jak namawiała: „*Voilà, Ruta, fait un bon mouvement* – zjedz, choć parę łyżek”. Mnie i moim towarzyszkom nie chciało to przechodzić przez gardło. A ona wyprostowana, jak na wielkim przyjęciu, z gracją zjadała część tej wstrętnej zupy. Był to też okres, w którym człowiek stykał się ciągle z wulgarnym językiem prowadzących przesłuchania „śledzi”. Pamiętam, że zaczęłam sobie pozwalać na nieco grubsze słowa. I wtedy dostałam od Anny reprimendę, za którą będę jej wdzięczna do końca życia. „Nie wolno nam się zniżyć do takiego poziomu, nic nas do tego nie upoważnia, to że oni używają takiego języka, nie może powodować, by go sobie przyswajać”. Nie była jednak chodzącą powagą, miała duże poczucie humoru. Było nam bardzo dobrze, nigdy nie było między nami najmniejszego zgrzytu. Asystowała przy tworzeniu piosenek, wiedziała o naszych kontaktach z sąsiadami. Nigdy nie protestowała, gdy przesyłałyśmy paczuszki do sąsiadów na dole lub do dalszej celi, wiedząc, że w razie wpadki znajdzie się z nami w „karcu”. Przeciwnie, pomagała, często „murując” wizjerkę itp. Była przykładem i pomocą przy rozwiązywaniu osobistych problemów, wzbogacała nas wewnętrznie.

Niedługo przed przyjściem Anny miałam seans przysiadów. Po przysiadach i upadkach na beton powstały mi na rękach swędzące pęcherze i pęcherzyki. Zdecydowałyśmy, że musi to być świerzb. Zgłosiłam oddziałowemu i dostałam jakąś obrzydliwą maść z siarką, którą dokładnie

się smarowałam. Po trzech dniach dano nam do celi ciepłą wodę. Było jej dużo, mogłyśmy się umyć we trzy. Ale po tej kuracji świerzb nie tylko nie ustąpił, ale jakby się jeszcze poszerzył. Dostałam drugą porcję, znów się smarowałam, znów była ciepła woda i znowu nic. Właśnie zamierzałam ponowić kurację, gdy przyszła Anna. Obejrzała moje ręce i powiedziała, że nie wolno mi tej maści stosować, bo to nie jest żaden świerzb ale pewno jakieś uczulenie i pogarszam sobie tylko swój stan, stosując takie ostre środki. Miała rację. Uczulenie wprawdzie odnawiało mi się co jakiś czas, ale nigdy w takim stopniu.

W początkach maja Anna miała sprawę. Została uniewinniona na podstawie amnestii. Ale jeszcze przez jakiś czas była z nami. Kiedyś powiedziała: „Wiem, pewno chcą mnie przetrzymać do roku, ale ja wytrzymam”. Wyszła następnego dnia. Był to dzień Przemienienia Pańskiego, szóstego sierpnia 1947 r.

Po wyjściu na wolność Anna skontaktowała się z moim wujostwem, którzy też mieszkali w Brwinowie, a przez nich z moją Matką i rodziną. Od Anny Matka dowiedziała się, że jestem bez okularów, i po jakimś czasie dostałam w paczce dobrane „na oko” do oprawki mego ojca nowe okulary. Wtedy świat się przede mną otworzył. Z Anną widywałam się i korespondowałam już na wolności, aż do jej śmierci.

Maria Hattowska

Poznałam ją na „ogólniaku”. Przyszła tam chyba w końcu sierpnia. Wiedziałam o niej niewiele. Mówiło się, że miała wyjątkowo ciężkie śledztwo, które pozostawiło poważne schorzenia. Obserwowałam wielką troskliwość dr Franio, która otaczała Marysię bardzo delikatną i nie zwracającą uwagi opieką. Sama Marysia była uśmiechnięta, koleżeńska, bardzo łatwa w codziennym życiu, nigdy nie stała się przedmiotem czyjejkolwiek krytyki. Była jak powietrze, którym się oddycha, którego obecności się nie czuje, ale którego brak natychmiast się zauważa. Miała wybitne zdolności manualne. Ona to – chyba pierwsza – wystrugała „druty” z brzozonej miotły, która służyła nam do zamiatania celi, i „otworzyła pracownię”. Spod jej rąk wychodziły wspaniałe kreacje. Pamiętam, że miałam przysłany z domu bardzo stareńki, sfatygowany szary sweter, który Marysia spruła i zrobiła mi nowy, zapinany, z wrobionymi z przodu granatowymi paskami. A już prawdziwym majstersztykiem były maleńkie

niebieskie skarpeteczki zrobione dla Jasia Kardaszewicza²²¹, dziecka urodzonego w więzieniu. Skarpetki te są do dziś przechowywane przez ich właściciela.

Marysia miała duże poczucie humoru. Potrafiła się tak serdecznie śmiać. Pamiętam jej udział w naszym sławnym buncie w wyniku którego Alinka Sieńko, Wanda Salska, Agata Nachtman, Marysia Hattowska i ja przeżyłyśmy w „karcu” 48 godzin. Marysia przy swoim mocno nadszarpniętym zdrowiu musiała silniej odczuwać zimno i niewygody. Mimo to była w świetnym humorze.

Parę tygodni później tym samym transportem jechałyśmy do Fordonu. Przez jakiś czas siedziałyśmy na kwarantannie w jednej celi, potem nas rozdzielono.

Po wyjściu na wolność przez wiele lat nie spotykałyśmy się. Chyba dopiero na którejś mszy świętej za zmarłe koleżanki. Marysia była niezmiennie taka sama, ciepła, skromna i serdeczna. W grudniu 1989 r. w związku z walnym zebraniem Oddziału Warszawskiego naszego Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, nawiązałam przez moją kuzynkę kontakt z Redakcją Reportażu Programu I Polskiego Radia. Samo zebranie nie nadawało się niestety do żadnego przekazu, ale już wtedy, w rozmowie z młodziutką wówczas redaktorką Urszulą Żółtowską padła myśl nagrania naszych więziennych losów.

Niedługo potem powstała seria reportaży, nagranych w mieszkaniu mojej kuzynki na Filareckiej w Warszawie przez red. Alicję Maciejowską, która przychodziła tam razem z Urszulką. Kolejny reportaż miał dotyczyć śledztw. Wtedy ja – bardzo nieśmiało – zadzwoniłam do Marysi z zapytaniem, czy zgodzi się przyjść i opowiedzieć o swoim śledztwie. Po prostu nie wiedziałam, czy zechce mówić i przywoływać na pamięć tortury, którym ją poddawano. Ale Marysia zgodziła się bardzo chętnie. Wiem, że zależało jej na przekazaniu przemilczanej dotychczas prawdy, a nie o nadanie rozgłosu własnej osobie. I gdy tylko swoim spokojnym, beznamiętnym głosem zaczęła swoją relację – zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Wszystkie byłyśmy kompletnie porażone. Ja także nie znałam faktów

²²¹ Jan Kardaszewicz (ur. 1947) w więzieniu na Mokotowie. Syn Zofii Kardaszewicz (1907–1989), kierowniczkii pionu kobiecego w Okręgu Warszawskim Narodowej Organizacji Wojskowej, uczestniczki Powstania Warszawskiego. 17 I 1947 r. została skazana na 5 lat więzienia. W dwa miesiące po aresztowaniu urodziła w więzieniu syna Jana.

i szczegółów, o których dopiero po tylu latach się dowiedziałam. I wtedy też po raz pierwszy relacje Marysi poszły w eter. Drugi był krótki reportaż Tomasza Zimocha pt. „Oskarżycielka posiłkowa”, za który autor dostał pierwszą nagrodę w swojej kategorii.

Uwieńczeniem udziału Marysi w procesie Adama Humera były dla mnie jej znamienne słowa: „Jako głęboko wierząca przebaczam, ale nie mogę zapomnieć”. I te słowa mówią o niej wszystko.

Zanim jednak doszło do końca przewodu sądowego, widywałam się z Marysią w Warszawie. Udało mi się ją namówić do złożenia wniosku o uzyskanie inwalidztwa wojennego, które w końcu otrzymała. Dzięki temu jej stan finansów uległ znacznej poprawie, bo do tej pory żyła z niesłychanie skromnej renty inwalidzkiej. Z przyczyn zdrowotnych na pełnym etacie mogła przepracować tylko pięć lat, a przez następnych osiemnaście lat pracowała na ćwierć etatu, bo tylko na taki wysiłek mogła się zdobyć. Nigdy jednak nie ubolewała nad swoim losem i ciężkim położeniem materialnym. Przy jakimś spotkaniu poprosiłam ją, by opowiedziała mi o sobie, o swoim życiu. Zrobiła to. Słuchałam ze wzruszeniem i podziwem. Niestety, nie miałam magnetofonu. Usilnie prosiłam ją o spisanie tego wszystkiego, o czym mówiła. Powiedziała mi wtedy, że się postara, ale sama czynność pisania przychodzi jej z trudnością. Po jakimś czasie dostałam od niej kserokopię życiorysu napisanego celem uzyskania uprawnień kombatanckich. Przepraszała mnie, że już nie jest w stanie uzupełnić go o to wszystko, o czym mi opowiadała, a co zostało z konieczności pominięte. Ale i ta wersja, która została wydrukowana w naszej „Nike”, jest wystarczająco wymowna i daje świadectwo wielkiej miary człowieczeństwa i wielkich cierpień.

W sposób szczególny pozostało mi w pamięci jej opowiadanie o pielgrzymce do Częstochowy. Po wyjściu z więzienia 29 czerwca 1949 r., Marysia została pozbawiona wszystkiego. Konfiskatę mienia, orzeczoną w wyroku, skrupulatnie wykonano. Zabrano jej mieszkanie, całkowite wyposażenie – wszystko. Nie miała absolutnie nic, a dodatkowo dowiedziała się, że ma zakaz pracy na okres sześciu lat. I w tych warunkach, po roku tej straszliwej biedy, schorowana, bo nie miała za co się leczyć – a nie była przecież ubezpieczona – postanowiła odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy w naszej intencji, w intencji tych wszystkich, które przebywały jeszcze w więzieniu. Nie miała obuwia, tylko jakieś stare, pożyczone czy też ofiarowane sandały. Nie miała też pieniędzy na kupno skarpetek i sandały

włożone na gołe nogi natychmiast je poobcierały i dotkliwie poraniły. Na domiar tego musiała iść szosami, żeby nie zablądzić, bo nie miała za co kupić mapy. I tak wędrowała, ubrana w byle co, prażąc się na słońcu i moknąc w deszczu. Ludzie po drodze użyczali jej noclegu, czasem czymś poczęstowali. Często brano ją za żebraczkę. Pewien spotkany po drodze „kolega”, gdy dowiedział się, że idzie do Częstochowy, pocieszył ją, że na pewno dostanie dobrą pomoc, bo tam ludzie chętnie dają dużą jałmużnę. Opowiadała mi o tym ze śmiechem. „I wiesz – powiedziała – gdy tak raz siedziałam przy szosie i odpoczywałam, zobaczyłam, że leży na niej pół kocyka. Wzięłam ten koc, a wiesz, że ja zawsze miałam przy sobie nożyczki, igłę i nici, przecięłam ten koc na pół, jedną połówkę zostawiłam na szosie, bo może jeszcze komu innemu się przyda, a z drugiego kawałka uszyłam sobie ciapki. Wiesz, takie, jakie szyłyśmy sobie ze szmat do podłogi na «dziesiątce»”.

I w tych szmacianych ciapkach doszła do Częstochowy.

Kilka lat temu zaproszono mnie na pokaz filmu, do którego nakręcano moje wypowiedzi na korytarzu sądowym w czasie trwania procesu Humera. Realizatorzy przywieźli nas mikrobusikiem. Byłam pierwsza, bo najdalej mieszkalam, a potem wsiadła „Nula” i Marysia. Henryk Żuk²²² i Marian Gołębiewski²²³ dotarli sami. Zgotowano nam niezwykle miłe przyjęcie. Na ogromnym telewizorze pokazano film zatytułowany *Psy totalitaryzmu*. Marysia – ku mojej wielkiej radości – była w nim pierwszą i najważniejszą osobą. A i sami twórcy filmu – młodzi ludzie, oraz pani Marzena Paczуска,

²²² Henryk Żuk – „Onufry”, „Barański”, „Andrzej” (ur. 1914), kpt. AK. Od 1939 r. w ZWZ na Wileńszczyźnie, m.in. szef „Pralni”, „Pralni II”. Aresztowany 9 XI 1945 r. Sądzony w procesie I Zarządu WiN. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 II 1947 r. skazany na 12 lat więzienia.

²²³ Marian Gołębiewski – „Korab”, „Ster”, „Swoboda”, „Irka” (1911–1996), cichociemny, kpt AK. Żołnierz AK, Delegatury Sił Zbrojnych i „Wolności i Niezawisłości”. Żołnierz I Samodzielnej Brygady Spadochronowej, w październiku 1942 r. rzucony do kraju jako cichociemny. Od 1943 r. komendant Obwodu Hrubieszów Armii Krajowej. W 1946 zastępca komendanta Okręgu Lubelskiego oraz szef Inspektoratu Zamojskiego Zrzeszenie WiN. Aresztowany 21 I 1946 r. Sądzony w procesie I Zarządu WiN. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 3 II 1947 r. skazany na karę śmierci, zamienioną decyzją Bieruta na karę dożywotniego więzienia. Od 1965 r. członek i współzałożyciel Ruchu. 21 VI 1971 r. aresztowany i w procesie przywódców Ruchu 21 IX –23 X 1971 r. na cztery i pół roku pozbawienia wolności. Więzienie opuścił 28 VII 1974 r. W latach 1977–1978 działacz nurtu niepodległościowego, od 1977 r. Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, w latach 1982–1990 na emigracji w USA.

dziennikarka towarzysząca ekipie okazywali Marysi ogromny szacunek i troskliwość. Na zakończenie każdy z nas, poczwąwszy od Marysi, otrzymał nagraną kasotę i bukiet kwiatów. Wracaliśmy znów razem do domu. Pożegnałam się z Marysią – siedziała w tyle za mną – z uśmiechem, do zobaczenia. Wyjechałam na dwutygodniowe wakacje. Po powrocie, zanim zatelefonowałam do Marysi, dowiedziałam się od „Nuli”, że jest ciężko chora i leży w szpitalu u Elżbietanek. To był dla mnie cios. Wracałam do domu z ciężkim sercem i z myślą, że już jej pewno nigdy nie zobaczę.

Nie mogłam być na pogrzebie, ale w tym dniu modliłam się za nią.

„Nula” Stachiewicz

„Nulka” przyszła po wyroku na „ogólniak” mokotowski niedługo przed naszym transportem do Fordonu. Bliżej poznałyśmy się już po moim wyjściu na wolność, podczas koleżeńskich spotkań w Warszawie. A potem już wielokrotnie bywała na Filareckiej. Była jedną z uczestniczek audycji radiowych Alicji Maciejowskiej. Gdy zaczął się proces Humera, została oskarżycielką posiłkową i nakłoniła do tego Marysię Hattowską. Mecenias Skorupka chciała także mnie zaangażować do tej roli, ale było to niemożliwe, gdyż byłam jedynie świadkiem w sprawie Tadeusza Łabędzkiego, nie mogłam być oskarżycielką żadnego z żyjących oprawców. Zresztą na całe moje szczęście, bo mieszkając we Wrocławiu nie byłabym w stanie stawiać się na każdą sesję sądu. Ale obydwie oskarżycielki niesłuchanie godnie i wiernie spełniały swoje obowiązki, przy każdej zresztą okazji nie szczędząc informacji otaczającym je dziennikarzom z Polski, a nieraz i z zagranicy. Marysia była bardziej powściągliwa, natomiast Nula uznawała, że dawać świadectwo prawdzie, zwłaszcza wobec pokolenia dziennikarzy, dla którego nasze losy i działalność były prehistorią – jest jej obowiązkiem. Nula miała ciężką chorobę serca, która, zwłaszcza zimą lub przy wietrznej pogodzie – nie pozwalała jej opuszczać domu. Nie zawsze więc mogłyśmy się widywać, zastępując to długimi nieraz rozmowami telefonicznymi. Nula bardzo się zżyła z Marysią z racji spotkań w sądzie. To ona pisała mi o chorobie Marysi, a potem także o jej śmierci. Opowiadała, jak coraz bardziej odczuwa brak Marysi, jak bardzo stała się jej bliska.

Ostatnio z radością powiedziała mi, że udało jej się załatwić konserwację pomnika w Pratulinie, którym zawsze przedtem opiekowała się jej matka, a który stał w ich majątku. W okresie świąt Bożego Narodzenia 1996 r.

nasza mała grupka (Renia, Basia, Teresa, Irenka i Kalina) miała się spotkać u Nusi Janiszowskiej. W dzień Wigilii Bożego Narodzenia, który Nula spędziła u swojej zaprzyjaźnionej sąsiadki i lekarki – poczuła się źle i poszła do siebie. Przyszedł atak serca, którego nie udało się powstrzymać, i „Nulka” zmarła. Spotkanie nasze u Nusi było w dużej mierze jej poświęcone, a okazało się potem, że było to też nasze ostatnie spotkanie z Irenką Bukowską, która odeszła kilka miesięcy później – 13 lutego 1997 r.

Maria Szelałowska

Opinia²²⁴

Warszawa, 30 IX 1948 r.

Więźniarka Szelałowska Maria przez okres pobytu w tutejszym więzieniu zachowywała się źle. Przejawiała skłonności do buntowania innych więźniów, jak również do wywoływania zaburzeń pod celą. Karana dyscyplinarnie była za współudział w buncie 18 godzinami „karca”. Z paczek żywnościowych się zrzekła, solidaryzując się z innymi więźniarkami z tej celi.

Kierownik Działu Specjalnego

Naczelnik Więzienia

(podpis nieczytelny)

(podpis nieczytelny)

Kiedy przywołuję w pamięci postać „Rysi”, nie znajduję dla niej lepszego określenia niż właśnie „Markiza”. Wprowadzono ją do naszej celi na moko-towskim „ogólniaku” gdzieś w maju 1948 r. Po wyroku przebywała na „dziesiątce”, czekając na wykonanie kary śmierci lub na ułaskawienie. W celi śmierci zawsze paliło się światło przez całą noc. „Rysia” siedziała wtedy z koleżankami młodszymi od siebie i wiekiem, i stażem więziennym. Nie przyznała się do swego ks-u i powiedziała, że po wyroku zawsze się pali światło w celi, taki jest zwyczaj. Nie będąc sama, oczekiwała na rozstrzygnięcie swego losu samotnie. Któregoś dnia wywołano ją na korytarz i powiedziano, że prezydent nie skorzystał z prawa łaski, a potem dano do podpisania akt ułaskawienia, uważając, że to był świetny żart. Wtedy „Rysia” zobaczyła, że z trójki skazanych na karę śmierci w jej procesie, Witold Pilecki – bohater Oświęcimia i jej bliski przyjaciel – nie został ułaskawiony. Tym ciężkim przeżyciem również nie mogła i nie chciała się dzielić z towarzyszkami celi.

²²⁴ „Nike” 1994, nr 15, s. 15.

Jej wejście do nas zostało serdecznie przywitane przez znające już ją koleżanki. Od razu stała się dla nas wszystkich kimś bliskim i bardzo ważnym. Zawsze dla wszystkich serdeczna i uprzejma, promieniowała urokiem osobistym. Subtelna i wytworna w każdym calu, bez względu na strój i sytuację. Wysoka, zgrabna, pełna wdzięku, nie zajmująca nigdy swoją osobą i jednocześnie strzegąca dostępu do swojego wnętrza, odkrywająca je tylko zgodnie ze swoją wolą, tyle, ile chciała i komu chciała. Była uosobieniem taktu, wносиła zawsze jakiś spokój, panowała zdumiewająca harmonia między jej zewnętrznym i wewnętrznym wyglądem. Nasz zespół więźniarek politycznych w tym czasie składał się z kilku starszych od nas pań o silnych osobowościach. Była to między innymi doktor Franio – autorytet wśród koleżanek, zwłaszcza sądzonych w jednej z nią sprawie, oraz Halina Sosnowska – „Halina X” – szef „Stoczni”, nieugięta w swoich postanowieniach i postawie, realizująca swoje zamierzenia niezależnie od okoliczności i warunków.

Jednym transportem przewieziono nas do Fordonu i po pobycie na kwarantannie zostałyśmy rozdzielone. Większość z nas po pół roku wzięto do pracy, „Rysia” siedziała w celi dla niepracujących. Parę miesięcy potem udało się ją stamtąd wyciągnąć jako nauczycielkę zaocznie uczących się młodszych koleżanek. Potem była suterena. A jeszcze potem transport do Inowrocławia. Siedziałyśmy koło siebie długie miesiące. Rysia nie próbowała nawiązać kontaktu stukaniem. Ja też nie. Wiedziałyśmy o sobie. Odczuwałam jej obecność przez ścianę i myślałam, że ona czuła to samo. Nie wiem, kiedy doznała załamania, psychicznego i została odwieziona do szpitala w Grudziądzu. Gdy się o tym dowiedziałam, przeżyłam prawdziwy wstrząs. Właśnie ona, uosobienie spokoju i opanowania, nigdy nie uzewnętrzniająca swoich odczuć i przeżyć, uległa takiemu załamaniu! Mówiono mi, że w szpitalu wojskowi lekarze musieli wkładać fartuchy, bo „Rysia” doznawała szoku na widok munduru. Powróciła jednak szczęśliwie do zdrowia. Spotkałyśmy się znów w Fordonie. Przez jakiś czas robiła na mnie wrażenie jakby dalekiej, była jakaś odmieniona. Nigdy, oczywiście, nie było mowy o Grudziądzu. Ale nie mogłam się pogodzić z myślą, że „Rysia” – kobieta o tak bogatym wnętrzu – nie jest tą samą.

Amnestia w 1956 r. sprawiła, że więzienie opustoszało i prawie wszystkie koleżanki, z którymi roztawiałam się piątego kwietnia (tuż przed amnestią), znalazły się na wolności i mogłam się z nimi spotykać przy okazji pobytu

w Warszawie. Z „Rysią” spotykałam się najczęściej u Niny Dewicz²²⁵, którą odwiedzałam za każdym razem, gdy byłam w Warszawie.

Wiedziałam, że „Rysia” całkowicie wróciła do siebie i pracuje na odpowiedzialnym stanowisku w Urzędzie Patentowym. Dostała paszport, mogła pojechać do Anglii, odwiedzić tam swoją siostrę – Hanke. Po wyjeździe Niny do Konstancina nasz kontakt się na jakiś czas urwał. Pamiętam dzień, gdy będąc u Irki Bukowskiej dowiedziałam się, że „Rysia” prosi mnie o telefon. Zadzwoiłam. Umówiliśmy się, że do niej przyjadę i ten – coraz bliższy – kontakt trwał aż do odejścia „Rysi”. Jeździłam do niej na Saską Kępę, a ona przyjeżdżała także na Filarecką, gdzie mieszkalam u mojej siostry ciotecznej Zofii Małynicz. Obie panie przypadły sobie bardzo do serca, tym bardziej że „Rysia” znała przed wojną brata Zosi – Tomasza. Po śmierci Zosi, w tym samym mieszkaniu zamieszkała moja druga siostra cioteczna i „Rysia”, gdy tylko mogła, nadal przyjeżdżała. Tam też poznały się dwie Rysie (myślę tu o Rysi Hanin²²⁶ zaprzyjaźnionej z Zosią, a potem z nami obiema). I znowu obie panie wyrażały się o sobie z ogromną sympatią. Myślę, że łączyła je jedna wspólna cecha: otwartość wobec ludzi i zamknięcie swego osobistego świata. Obie także miały tę samą wielką delikatność i kulturę duchową.

Miałam szczęśliwą możliwość prowadzenia z „Rysią” długich nieraz rozmów telefonicznych. Późnym wieczorem dzwoniłam do niej i rozmawialiśmy o wielu sprawach. Martwiłam się jej stanem zdrowia, a przedtem jeszcze zdrowiem jej siostry. Okres, w którym „Rysia” przebywała w szpitalu, był dla mnie bardzo smutny. Brak mi było tych wieczornych pogawędek.

Pomimo złego stanu zdrowia, „Rysia” nie chciała porzucić swojej, bardzo odpowiedzialnej pracy. Nie tylko czuła się potrzebna, ale zależało jej również na poprawieniu sytuacji materialnej. Jej emerytura była, zdaje mi się, bardzo skromna. Przez długi czas dorabiała sobie jeszcze tłumaczeniami.

²²⁵ Nina Dewicz (1901–1984) działaczka Stronnictwa Pracy. Od 1930 r. pełniła funkcję inspektora Polskiego Związku Przeciwgruźliczego. Brała udział w kampanii wrześniowej, w czasie okupacji związała się prawdopodobnie z „Unią”, następnie ze Stronnictwem Pracy. Brała udział w Powstaniu Warszawskim w ramach autonomicznego zgrupowania „Krybar”. 13 X 1950 r. wyrokiem WSR w Warszawie skazana na dziesięć lat więzienia. W maju 1956 r. została zwolniona.

²²⁶ Ryszarda Hanin – aktorka.

Póki Rysia czuła się jeszcze na siłach, gromadziła u siebie najbliższe koleżanki. Należały do nich „Nula” Stachiewicz²²⁷, Renia Sakowicz, Irka Bukowska i Kalina Chełmicka, Danka Bańkowska, „Basia” Kobierzycka²²⁸, Basia Otwinowska, Wiesia Semenowicz, Basia Ślusarz²²⁹. Bywała też Halszka Dunin i inne. W moich rozmowach telefonicznych „Rysia” zawsze relacjonowała mi przebieg tych spotkań, które z czasem przeniosły się do Basi Kobierzyckiej.

Pamiętam też imieninowe spotkanie u Ireny Bukowskiej, na którym byłam. Były wtedy również: Janka Konopacka, która przyjechała z Konstancina i którą widziałam wtedy po raz ostatni, oraz „Dzidzia” Żelazowska, która opowiadała, że jest w trakcie pisania pamiętników.

Dzisiaj myślę, że te spotkania, które zresztą były w jakiejś mierze kontynuacją spotkań koleżeńskich zapoczątkowanych po wyjściu prawie wszystkich w wyniku amnestii, stały się także załączkiem obecnego Środowiska Fordonianek i wydawanego przez nie biuletynu „Nike”²³⁰.

„Rysia” czuła się coraz gorzej. Była zmęczona. Kiedyś przyjechała do mnie. Usadowiliśmy ją na fotelu. Zjadła obiad, a potem zaproponowałyśmy, żeby sobie odpoczęła na tapczanie. Poszliśmy do drugiego pokoju, a „Rysia” zdrzemnęła się trochę. Po paru godzinach odezwała się i chciała z nami rozmawiać. Siadłam przy niej. Pamiętam, jak opowiadała przy mnie i siostrze Miki, Aldonie, która wtedy akurat się zjawiła, o swoim wyjściu z więzienia. Wychodziła z jakąś dziewczyną, która pracowała w świniaarni. Ta poprosiła „Rysię”, żeby poszła z nią razem pożegnać się ze swoimi wychowankami. I opowiadała wzruszającą scenę, jak na wołanie tej dziewczyny przybiegł świniak i się do niej łąsił, a ona żegnała go ze łzami. Mówiła mi także o ludziach, z którymi się spotykała. Widziałam, że było jej dobrze, że jest zadowolona z pobytu. Pamiętam jak powiedziałam, że

²²⁷ Hanna Stachiewicz („Nula”) (ur. 1914). Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 2 VIII 1948 r. skazana na karę 3 lat więzienia za współpracę w latach 1946–1948 z wywiadem brytyjskim.

²²⁸ Maria Wanda Kobierzycka-Maciąg – „Barbara”, „Majka” (ur. 1922), żołnierz NSZ i AK. Od 1939 r. związana z SN, w czasie wojny była łączniczką i kurierem KG SN oraz walczyła w szeregach Brygady Świętokrzyskiej. W latach 1941–1943 pełniła funkcję sanitariuszki w oddziale „Lubicza” i „Bończy” ZWZ-AK. Wyrokiem WSR w Warszawie z dnia 28 X 1946 r. skazana na karę śmierci, zamienioną decyzją Bieruta na karę dożywotniego więzienia. Wyszła na wolność w listopadzie 1955 r.

²²⁹ Barbara Ślusarz, skazana za przynależność do WiN.

²³⁰ „Nike” – pismo środowiska Fordonianek, redaktorem naczelnym jest Barbara Otwinowska.

zapakujemy jej zupe i coś tam jeszcze z drugiego dania, żeby nie miała kłopotu z obiadem na następny dzień, a ona powiedziała, że z radością to przyjmuje. Pożegnaliśmy się. Odwiozła ją Mika. Wróciła bardzo przygnębiona, mówiąc, że „Rysia” z wielkim trudem i tylko przy jej pomocy weszła do siebie, na drugie piętro. Byliśmy bardzo zaniepokojone. Następnego dnia poszłam na pocztę telefonować do „Rysi”. Bezskutecznie. Nikt nie odbierał. Prosiłam, żeby Mika zadzwoniła z pracy. Także bez skutku. Wtedy zaczęłam dzwonić do sąsiadki. Tam także nikt nie odbierał. Potem dzwoniłam do koleżanek i chyba Nula Stachiewicz zaalarmowała rodzinę „Rysi”. Nikt nie miał jednak klucza. Dozorca wszedł przez okno czy balkon. Rysia już nie żyła. Prawdopodobnie w nocy dostała ataku i chciała wstać, ale już nie miała siły. To był dla mnie straszny cios. Wyrzucałam sobie, że ten przyjazd do nas był przyczyną jej śmierci. Ale z drugiej strony wiem, że nie był on w żadnym stopniu wymuszony. „Rysia” sama chciała być u nas. Było jej bardzo dobrze i może odeszła z tym poczuciem serdeczności, którą była przez nas otoczona.

„Rysia” nie doczekała wolności. A tak bardzo byłaby nam potrzebna. Potrzebny byłby jej głos, jej zdanie i opinia, zawsze wyrażana w spokojnej i rzeczowej formie, nie narzucająca się, ale zmuszająca do jej rozważenia. Odejście „Rysi” było dla nas wielkim ciosem. Jej śmierć zgromadziła nas na cmentarzu Powązkowskim, gdzie spoczęła obok swego ojca. W naszym nekrologu napisaliśmy:

„Z wielkim smutkiem żegnamy naszą drogą „Rysię”, śp. inż. Marię Szelańską, córkę prof. Adama Szelańskiego, ur. 19 stycznia 1904 r. we Lwowie, zm. w dniu 3 sierpnia 1989 r., żołnierza AK w konspiracji i w Powstaniu Warszawskim, po wojnie więzień Mokotowa, Fordonu i Inowrocławia, skazana w procesie politycznym Witolda Pileckiego i towarzyszy na karę śmierci w 1948 r. Zwolniona po dziewięciu latach w 1956 r. Łączyła bezkompromisowość z wielkimi zaletami serca, zyskiwała szacunek i miłość. Będzie nam brakowało tej więzi, którą tworzyła skupiając nas wokół siebie. Współtowarzyszki czasu więziennego”.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w dniu 8 sierpnia 1989 r. o godzinie dwunastej w kościele Karola Boromeusza na Powązkach.

Do moich wspomnień o „Rysi” muszę dołączyć jeden fragment opowiedziany przez nią na spotkaniach koleżeńskich, a zapisany przez Basię Otwińską („Nike” 1994, nr 15, s. 24).

Historyjka z pobytu na Mokotowie („Rysia” była kilkakrotnie wożona z Fordonu i Inowrocławia do Warszawy). Były tam z „Rysią” trzy kryminalistki (czy prostytutki), które ją bardzo pokochały. Nie mogły sobie dać rady, że ona ma dożywocie, a one jakieś głupie miesiące do odsiadki i kiedyś wystąpiły z niesłychaną propozycją. „Pani Rysiu, myśmy słyszały, że to nie jest dożywocie, tylko dwadzieścia lat i my już postanowiłyśmy, że zgłosimy się do naczelnika, żeby nam pozwolił odsiedzieć część za panią. Pani ma już odsiedziane pięć lat, to pozostało piętnaście. Jakby każda z nas wzięła po trzy – to się da odsiedzieć, my jesteśmy przecież młode – to by pani za parę lat wyszła. Myśmy się już tak między sobą umówiły”. „Rysia” długo musiała je przekonywać, że to nie jest do przeprowadzenia. Opowiadała to zdarzenie ze wzruszeniem, które się i nam udzielało.

Halina Sosnowska

Nosiła pseudonim organizacyjny „Halina X”. Była szefem wywiadu „Stoczni” i przedwojennym dyrektorem programowym Polskiego Radia. Za działalność antykomunistyczną została skazana na dożywocie. Bardzo przystojna, o specyficznym wdzięku, nieugiętej postawie, zawsze dopinająca swego. Niesłychanie dbała o higienę. Miała swoje wymagania, które musiałyśmy zaspokajać. Na przykład myła się zawsze pierwsza, w świeżo przyniesionej wodzie, i to od stóp do głów, na naguska. Służyłyśmy jej za parawan; ustawiałyśmy się półkolem, tyłem do niej, osłaniając ją w ten sposób od reszty celi.

Tylko Halina Sosnowska była nieugięta w swoim postanowieniu, że jako więzień polityczny nie będzie pracować. Dla innych praca była błogosławieństwem. Halina zawsze dotrzymywała swoich postanowień. Z zapalem uczyła się angielskiego. Powtarzała – miała dożywocie – że gdyby była skazana na karę śmierci i wyrok miałby być wykonany, to do ostatniej chwili by swoją naukę kontynuowała. Swoim spokojem i opanowaniem doprowadzała nieraz do szału oddziałowych. Przytoczę tutaj dla przykładu jedną z licznie odbywających się scenek. Otwierają się drzwi:

„Sosnowska, wychodźcie”.

„Chwileczkę, panie oddziałowy” – poprawia sobie włosy.

„Sosnowska! Pospieszcie się!”

„Zaraz, panie oddziałowy” – wsuwa chusteczkę do kieszeni drelichu.

„Sosnowska! Wychodźcie w tej chwili” – już wrzeszczy.

„Panie oddziałowy, proszę się do mnie spokojnie odzywać, tak jak ja do pana” – i wychodzi z godnością na widzenie z mężem.

Halina twierdziła, że nikt nie potrafi tak higienicznie przygotowywać kanapek, jak ona. I doczekała się pewnego złośliwego kawału z naszej strony. Był akurat jakiś miód z paczki i kanapki, które przygotowywane były właśnie przez Halinę. W pewnej chwili Marysia Hattowska bardzo delikatnie zwróciła się do niej, mówiąc, że może czuje się jakaś osłabiona i radząc, by raczej zawiązywała włosy chustką w czasie przygotowywania kanapek, bo „widzisz co znalazłam na mojej?”. Na miodzie leżał obrzydliwy kłębek włosów. Wyglądało to strasznie. Halina zamarła z przerażenia. Chyba w rezultacie zawiązywała sobie włosy, a Marysia dobrze się przedtem naszukała w celi, żeby znaleźć odpowiedni kolor kłaków, które położyła na kanapce. Miałśmy, jak to się dziś mówi, duży ubaw z tego zdarzenia, my wtajemniczone.

Janina Oszast

Jankę Oszast poznałam w pracowni. Było to w 1949 r. Otoczona była młodymi koleżankami, siedziała w pierwszej sali, a ja w następnej. Szybko zawarłyśmy bliższą znajomość. Mogłyśmy się spotykać w czasie pracy podczas przerwy na papierosa. „Palarnia” mieściła się, jak już wspomniałam, w toalecie. O jakiejś godzinie odzywał się głos oddziałowej: „palenie!” i wtedy palaczki i niepalące, ale chcące się spotkać z kimś czy tylko powodowane własną potrzebą, tłumnie udawały się do ubikacji, pełnej koleżanek rozmawiających w kłębach dymu. Nieraz odpalało się papierosa od papierosa, ażeby przedłużyć spotkanie, siedząc dodatkowo dla niepoznaki na sedesie; no i wtedy oddziałowa nie mogła nas wygonić do pracy.

Janka była zamiłowanym botanikiem, kochała młodzież. Umiała nie tylko przekazać swoim młodszym koleżankom wiedzę, ale stać się pomocą i autorytetem w różnych problemach, dla nich istotnych. Pamiętam, z jakim zachwytem wypowiadała się o swoim ulubionym profesorze Władysławie Szaferze i jego żonie. Pokazywała nam jego piękną książkę o kwiatach, którą przysłał jej do więzienia. Wyszła na wolność, gdy byłam w suterenie, kontaktowała się z moją matką. Dopiero po latach dowiedziałam się o jej powtórным aresztowaniu i wyjściu, a byłam wtedy w Inowrocławiu. Na wolności widywałam się z nią, gdy przyjeżdżała służbowo do

Wrocławia, także korespondowałyśmy ze sobą. Ja byłam u niej w Krakowie, gdy towarzyszyłam profesorowi Wallace'owi, matematykowi. Poznałam go już wcześniej we Wrocławiu, gdy pracując w Instytucie Matematycznym PAN opiekowałam się jego żoną. Kiedy przyjechał po raz drugi z żoną i córką, zaproponował mi wspólny pobyt w Krakowie. Dostałam delegację służbową. Oni mieszkali w Hotelu Francuskim, a ja w pokoju gościnnym Instytutu. Zawsze wieczorem mnie odprowadzali tam, ale ja „wybierałam wolność” i pożegnawszy się z nimi biegłam do Janki. Miała pokój sublokatorski, spałyśmy razem, przegadując niemal całą noc. Zmarła 9 października 1986 r. O jej działalności konspiracyjnej nie mówiło się wtedy, wielu rzeczy dowiedziałam się znacznie później, na podstawie dostępnych już archiwów i wspomnień.

Mieczysława Woszczyńska-Kasjan

Mieczka była jedną z dziewcząt z otoczenia Janki Oszaś. Zapamiętałam ją jako dziewczynę o „księżycowej” urodzie: miała blond-platynowe włosy. Znałyśmy się, ale nie było okazji do bliższej zażyłości. Kiedy jeszcze siedziała w więzieniu, w jakiejś związanej z nią sprawie odwiedziłam jej mamę, później spotkałyśmy się na wrocławskiej ulicy. Mieczka pracowała w Fotoptyce. Zaraz zaoferowała mi wszelką pomoc związaną z zakupem odpowiednich okularów czy też innego, a trudno dostępnego sprzętu. Wyszła za męża za „kolegę organizacyjnego”. Właściwie nasz kontakt był tylko telefoniczny, ale zawsze bardzo serdeczny. Mieczka była zawsze gotowa do wszelkiej pomocy, leżącej w jej możliwościach. Ze smutkiem dowiedziałam się o jej chorobie i o tym, że jest w szpitalu. Poszłam tam – to było nasze ostatnie spotkanie. Mimo choroby, Mieczka zaraz wyraziła gotowość pomocy. „Może ci czegoś potrzeba, to ja natychmiast ci załatwię”. Nie mogłam z jakichś względów być na jej pogrzebie, nie pamiętam też daty jej śmierci.

Maria Kolska

Maryjkę poznałam, gdy w końcu czerwca 1952 r. z sutereny zabrano mnie do pracy na podwórku. Siedziałam wtedy z Basią Białostocką, Stefą Onyszkiewicz i właśnie z Maryjką. Wiedziałam o niej, że ukończyła rolnictwo w Dublanach. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Od urodzenia

bardzo wątła, była niedużego wzrostu, niepomiernie szczupła, a właściwie przeraźliwie chuda. Miała bardzo duże stopy i ręce. Na szczęście władze nie zatrudniły jej, tak jak nas, przy ciężkich pracach fizycznych, ale chodziła codziennie do biura, widywałyśmy się więc w porze posiłków i wieczorem. Maryjka była bardzo spragniona serdeczności. Chociaż była starsza od nas (urodzona w 1911 r.), nie traktowałyśmy jej jak kogoś starszego, ale raczej jak bliską nam koleżankę, wymagającą naszej troski i opieki. Oczywiście nie znałyśmy jej sprawy, wiedziałyśmy tylko, że była zwerbowana do pracy wywiadowczej przez Halinę Żurowską²³¹ i mówiło się, że dostała dożywocie jedynie za zgodę, a nie za konkretną działalność. Maryjka bardzo godnie znosiła swój wyrok. Nigdy na nic nie narzekała, a za wszystko zawsze okazywała wielką wdzięczność. Wiedziała – będąc na Mokotowie i aresztowana w wiele lat po mnie – o tym, że w więzieniu jest moja stryjeczna siostra Hanka oraz Marysia Wszelaczyńska, ale powiedziała mi tylko o Marysi, którą dobrze znałam z wolności jako przyjaciółkę Hanki, a potem nauczycielkę w Julinie, gdzie w czasie wojny kończyłam kursy hodowli drobiu. Nie chciała mnie martwić wiadomością o Hance.

Maryjka lubiła, żeby ją ucałować na dobranoc, a my zawsze troszkę nad nią gderaliśmy: „No, dobrze, dobrze, Maryjko, już kładź się spać, bo jutro idziemy do pracy, dobranoc, dobranoc”. Przeżyłyśmy szok, gdy obudzono nas w nocy, kazano się spakować, wydano nasze depozyty i poprowadzono przez suterенę, w której otwarte drzwi do celi zionęły pustką. Porozrzućane sienniki, walające się po podłodze jakieś śmieci, mówiły o zabraniu ich dotychczasowych lokatorek w trybie równie nagłym. Wsiadłyśmy wszystkie cztery do tej samej ciężarówki. I wtedy Maryjkę – usadowioną przeze mnie na jakichś miękkich tobołach, z cichym nakazem, żeby sobie

²³¹ Halina Żurowska – „Barbara”, „Baśka”, „Helena”, „Heniek”, „Leliwa”, „Łabędź” (1905–1949). Od czerwca 1940 r. pełniła funkcję kurierki Bazy „Romek”, w czerwcu 1940 r. została skierowana do kraju jako kurierka do zleceń specjalnych. Pełniła też funkcję kurierki Oddziału V KG ZWZ, a od października 1941 r. kurierki Tajnej Organizacji Wojskowej. W styczniu 1942 r. objęła funkcję szefa łączności Obszaru Lwów. Po Powstaniu Warszawskim więziona początkowo w Stalagu XI A, a następnie w obozie jenieckim Molsdorf, wyzwołonym 11 kwietnia 1945 r. Na krótko (październik – grudzień 1945 r.) wróciła do Polski, po czym pozostawała na terenie Niemiec. Od sierpnia 1946 rozpoczęła pracę dla aparatu łączności Rządu RP na uchodźstwie. Wciągnięta w prowokację związaną z V ZG WiN, została aresztowana 29 IX 1948 r. w Gdańsku. 8 VIII 1949 r. skazana została na śmierć, wyrok wykonano 21 IX 1949 r.

wygodnie usiadła – widziałam po raz ostatni. Nieraz siedząc w samotnej celi myślałam, jak też Maryjka daje sobie radę z samotnością i wszystkimi trudami naszego życia w izolacji od świata i ludzi. Znacznie później dowiedziałam się o jej ciężkiej chorobie i o tym, że w jej rezultacie zmarła na uremnię w samotnej celi 23 czerwca 1953 r. Niestety, będąc dwukrotnie w Inowrocławiu, w 1992 i 1996 r. nie miałam możliwości pójść na grób Maryjki, ale wiem, że jest on zadbany przez miejscowych harcerzy. Wiem, że miała siostrę – chyba Bojanowską – ale czy ktoś z jej najbliższych nawiedził kiedyś ten grób?

Irena Bukowska

Był to rok 1950. Na wiosnę drugiego marca został stworzony w Fordonie oddział dla „więźniów specjalnej troski”, w suterenie. Przez pierwsze cztery tygodnie przebywałam w celi nr 4 z doktor Franio, Danką Bańkowską i „mamunią” Grzeszczyk, ale potem nastąpiły ogólne przenosiny i znalazłam się w „siódemce” z Basią Sadowską, Renią Sakowicz (Olszewską) i Miłą Kołodziej. W tej celi przemieszczałam ponad dwa lata. Od Reni dowiedziałam się, że w sanitariacie pracuje Irka Bukowska, studentka stomatologii. Poprzez Renię nastąpiło moje pierwsze zetknięcie z wileńską AK. W tym samym czasie rozpoczęłam wizyty u dentysty i tu poznałam Irenkę. Bacznie pilnowane przez oddziałowe mogłyśmy zamienić zaledwie parę słów. Ale nie zapomnę nigdy jednej mojej tam bytności. Irka właśnie wróciła z widzenia, zapytałam: „jakie było widzenie?”, Irka odpowiedziała: „niedobre”, a potem dodała, że dowiedziała się o wykonaniu wyroku na jej mężu. Wróciłam do celi zdruzgotana. Nie mogłam się pogodzić z myślą, że ona wprost z widzenia musiała wrócić do pracy, narażona na ciekawskie spojrzenia oddziałowych, bez żadnej możliwości odseparowania się, żeby móc się chociaż wypłakać. W celi miałam mszalik tygodniowy polsko-łaciński. Zostałam z nim aresztowana, wzięto go do depozytu, potem go parokrotnie odzyskiwałam i traciłam, ale w suterenie miałam go ponownie. Pamiętam, że znalazłam jakiś stosowny obrazek z modlitwą i przy następnej bytności udało mi się go Irence podrzucić.

Pewnego dnia Irenkę zabrano z pracy i przeniesiono do sąsiedniej celi, „szóstki”. Wtedy zaczęły się nasze pogawędki przez ścianę. Spałam na łóżku piętrowym przy tej ścianie, więc nasz wzajemny kontakt był bardzo łatwy. Prowadziłyśmy długie rozmowy – oczywiście morsem. Dzieliłam się z nią

także modlitwami z mszalika. Doszłam do takiej wprawy, że przed zgaszeniem światła szybko uczyłam się na pamięć wybranego tekstu, a wieczorem przekazywałam go Irence.

Nigdy nie siedziałyśmy w jednej celi, ale to sąsiedowanie przez ścianę umożliwiało nam wymianę myśli i nawiązanie prawdziwej i głębokiej przyjaźni, która przetrwała długie lata, do teraz. Irka opowiadała o swoim małym synku, Krzysiu. Pewnej nocy przyśnił mi się i napisałam o tym śnie wierszyk, który przekazałam Irce przez ścianę. Niestety, ani ona ani ja nie umiemy go już odtworzyć.

W tym czasie w suterenie utrzymywane były niesłuchanie ożywione kontakty między celami: z sąsiadkami przez drzwi, a z dalszymi celami przez okno lub przez tak zwaną „płuczkarnię”, gdzie wylewało się „kible”. Wspominałam już, jak niezrównana była Irenka w przerzucaniu lub odbiorze przesylek między naszymi celami.

W nocy 26 sierpnia 1952 r. wywieziono nas do Inowrocławia. Jechaliśmy w jednym transporcie, ale nawet nie wiem, czy w tej samej ciężarówce, siedziałyśmy bowiem w pojedynkach, nie mając ze sobą żadnego kontaktu. Irka – jak się potem dowiedziałam – siedziała obok „Myszki” i rozmawiała ze sobą przez ścianę.

18 marca 1955 r. wracałyśmy do Fordonu. I wtedy – po raz pierwszy i jedyny w całym okresie więziennym – byłyśmy z Irką w jednej celi. Wreszcie mogłyśmy ze sobą rozmawiać normalnie, a nie przez ścianę, i przegadałyśmy prawie całą noc.

W Fordonie Irka poszła do pracy w sanitariacie, a ja do przygotowywania patek, do hafciarni. Gdy zachorowałam na anginę, wzięto mnie na izbę chorych. Irenka i Renia zajęły się mną, jak rodzoną siostrą. Gdy – po odsiedzeniu wyroku – wyszłam na wolność 5 kwietnia 1956 r. korespondowałam z siostrą Irki – Kaliną – która z powodu ciężkiej gruźlicy dostała przerwę w wyroku i była w sanatorium w Prabutach. Irenka zaś wyszła w grudniu tegoż roku. Musiała od razu stanąć do pracy. W domu czekała na nią matka, syn Krzys, obie siostry, a liczna rodzina, aresztowana jednocześnie z nami, też wymagała opieki i pomocy. W tej sytuacji Irenka nie mogła sobie pozwolić na kontynuowanie studiów.

Dostała się do technikum, które ukończyła w rekordowym tempie, i rozpoczęła pracę jako technik dentystyczny w przychodni kolejowej, dorabiając jednocześnie prywatnymi zleceniami. Byłam kiedyś u niej na Sadybie, jeszcze za życia jej matki. Nasze spotkania nigdy nie mogły trwać

długo z powodu nieustannych zajęć Irenki. Miała czas wyliczony niemal co do minuty. Na przekazanie wykonanej pracy często umawiała się na przystankach tramwajowych, żeby było szybciej. Ale dla wszystkich miała zawsze pogodną twarz, serdeczny uśmiech i nieustanną chęć pomocy. Wszystkie chyba odczułyśmy na sobie jej niesłuchanie delikatną, a jednocześnie jakże sprawną rękę, gdy przychodziłyśmy do niej jako pacjentki.

Lata bieły. Syn Irenki stał się dorosłym mężczyzną, założył rodzinę. Irenka wróciła na Sadybę i odtąd zawsze już były razem z siostrą Kaliną. Róża, ich starsza siostra, cierpiała na jakąś odmianę choroby Bürgera, zlokalizowaną w dłoniach. W kilka lat po wyjściu na wolność wykryto u niej nowotwór płuc, już nie operacyjny. Zostawiła córeczkę – Anię, którą opiekowały się obie pozostałe siostry. Najstarsza spośród siostr – Bożena – zginęła w Powstaniu Warszawskim. Wszystkie straty: wykonany wyrok na mężu, śmierć ojca w czasie pobytu w Inowrocławiu, a potem odejście matki, Róży i kolejne odejścia najbliższych krewnych – bardzo silnie przeżywała, ale swoimi cierpieniami nigdy nie obciążała otoczenia.

Nasza przyjaźń, zadzierzgnięta w więzieniu, rosła i pogłębiała się przez te dziesiątki lat już na wolności. Nie oznaczało to, że wiemy o sobie wszystko, ale że cokolwiek chcemy przekazać o sobie – jest prawdą, że się wzajemnie rozumiemy i siebie potrzebujemy, że nasze osobiste problemy, którymi chcemy się podzielić, stają się naszymi wspólnymi. Przyjaźń ta nie była zaborcza ani zazdrosna. Irenka utrzymywała liczne kontakty, cieszyła się ogromną sympatią ludzką. Szczególną miłością, i na pewno odwzajemnioną darzyła trzy córki Zofii i Zygmunta Szymanowskich²³², a średnią z nich trzymała do chrztu.

Po roku 1989 nasze kontakty jeszcze bardziej się zacieśniły. Powstał Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Stały przed nami nowe perspektywy i nowe zadania. Po moim przejściu na emeryturę

²³² Zygmunt Szymanowski – „Bez”, „Cis”, „Jan Sadowski”, „Jezierza”, „Lis”, „Piwowski”, „51” (1910–1950). W latach 1942–1944 był kierownikiem komórki wywiadowczej wywiadu kolejowego AK. 20 IX 1944 r. aresztowany pod innym nazwiskiem przez NKWD, nie został rozpoznany i skazano go jako Jana Sadowskiego na 10 lat pozbawienia wolności. 15 III 1945 r. udało mu się zbiec do Suwałk, tam od września 1947 roku rozpoczął tworzenie siatki wywiadowczej AK Okręgu Wileńskiego. Aresztowany 22 VI 1948 r., został skazany na karę śmierci i stracony 31 V 1950 r. w Warszawie.

w 1989 r. mogłam już częściej bywać w Warszawie i spotykać się z koleżankami, jakkolwiek i przedtem każdy pobyt w stolicy wykorzystywałam na spotkania. Trafiałam na spotkania u Rysi Szelągowskiej, u Irki, u „Basi” Kobierzyckiej i Basi Otwinowskiej – po mszy świętej za zmarłe koleżanki. A wiele spotkań odbywało się potem w mieszkaniu mojej siostry ciotecznej na Filareckiej, gdzie mam swój drugi dom, i gdzie nagrywałyśmy audycje radiowe, o czym już była mowa.

Pomysłem Irki były audycje z dziećmi urodzonymi w więzieniu: Jasiem Kardaszewiczem i Stefanem Śliwińskim²³³, oraz z jej synem, a także z trzema siostrami Szymanowskimi. Problemy matek, rodzących dzieci w więzieniu czy też pozostawiających na wolności dzieci bez matczynej opieki, były dla Ireny zawsze bardzo żywotne. Domagała się ich nagłaśniania, pisała o nich w „Nike”; zwróciła uwagę na konieczność ich uwzględniania przy organizowaniu wystawy Więźniów Politycznych, otwartej w Muzeum Niepodległości.

Na spotkaniach naszych omawiałyśmy także problemy związane z I Zjazdem, który miał się odbyć w kwietniu 1992 r. w Bydgoszczy – Fordonie. Mówiło się o konieczności stworzenia środowiska, zaprojektowany został medal pamiątkowy. Niestety, Irka nie mogła wziąć udziału w Zjeździe. Uległa bardzo ciężkiemu wypadkowi, przeleżała długie miesiące w szpitalu. Nie zapomnę nigdy jej widoku, takiej bezsilnej, całkowicie unieruchomionej, zdanej jedynie na pomoc z zewnątrz, a jednocześnie nie poddającej się. Byłam szczęśliwa, że zechciała się ze mną zobaczyć, bo na ogół nie chciała, żeby ją widziano w tym stanie. Była jeszcze bardzo słaba i cichutko ze mną rozmawiała, ale starała się uśmiechać.

Jej ogromna siła i chęć wyzdrowienia sprawiły, że po paru miesiącach mogła wrócić do domu i poruszać się przy pomocy balkonika. Wtedy można już było ją odwiedzać. Po pewnym czasie okazało się, że nie ma pełnego zrośnięcia złamanej kości, poddała się więc drugiej operacji, po której mogła się poruszać o kuli, a z czasem nawet bez niej.

Powstał nasz biuletyn. Pomysł zatytułowania go „Nike” – przez analogię do naszego pamiątkowego medalu – wyszedł od Irenki. Okładka „Nike” została także przez nią zaprojektowana. Irenka stała się osią i sercem „Nike”. U niej gromadziły się nadsyłane materiały, u niej najczęściej odbywały się

²³³ Stefan Śliwiński – dziecko osadzone w więzieniu wraz z matką Myrą.

narady redakcyjne. Ona – jakże często – sugerowała tematykę poszczególnych numerów. Robiła to zawsze tak dyskretnie, że nie zawsze zdawano sobie sprawę, że te sugestie pochodziły od niej. Nie mogła sama bywać na spotkaniach Fordonianek i zastępowała ją Kalina, która potem zdawała jej szczegółowe sprawozdania z ich przebiegu. Wszystkie nasze problemy były jej szczególnie bliskie, żyła nimi. Dzięki niej i jej kontaktom doszedł do skutku nasz wyjazd do Inowrocławia w 1992 r., a w konsekwencji także zaproszenie nas na poświęcenie tablicy pamiątkowej na murach inowrocławskiego więzienia. Jej stałą troską było zdobywanie informacji, które i ile spośród nas było ogółem w Inowrocławiu w latach 1952–1956, czyli wtedy, gdy było to więzienie izolacyjne dla kobiet. Gromadziła wszystkie możliwe dane, uzyskiwane od koleżanek. Wspólnie postanowiłyśmy zrobić taką najzupełniej prywatną odznakę dla inowrocławianek. Znaczek został wykonany we Wrocławiu, a legitymacja, jej pomysł i wykonanie były autorstwa Irenki. Inną, stałą troską Irenki, którą wspólnie podzielałyśmy, był cmentarz przy ul. Wałbrzyskiej w Warszawie, a właściwie jego mały narożnik, bo tam właśnie i w jego pobliżu potajemnie grzebano naszych najbliższych, zamordowanych w więzieniu mokotowskim zdradzieckim strzałem w tył głowy. Dopóki mogła, razem z Kaliną dbała o to miejsce, oznaczone przez kogoś krzyżem owiniętym szarfą *Virtuti Militari* oraz tabliczką miedzianą z pierwszymi dwoma strofkami wiersza, czczącego pamięć tych bohaterów. W tym miejscu kieruję swoją prośbę do koleżanek mieszkających w Warszawie, aby o tym, świętym dla nas miejscu pamiętały.

Wkrótce przed Irką stanęła kolejna ciężka próba. Musiała się poddać innej operacji. Nie chciała tego faktu rozgłaszać. Mnie powiadomiła, że rodzina jej męża zabiera ją do siebie i że nie będzie jej w Warszawie. Cieszyłam się myślą, że Irka – tak lubiąca ruch – będzie mogła zetknąć się z pięknem przyrody, zobaczyć coś nowego. Zadzwoiła do mnie po powrocie ze szpitala. Nadal pogodna i pełna życzliwości dla wszystkich.

Umiałaś, Irenko, przezwyciężyć wszystkie ciosy, które na Ciebie spadały. Utratę najbliższych, kalectwo, utratę zdrowia. Nie dane Ci było przezwyciężyć ostatniej choroby, która zabrała Cię od nas. Piszę tak krótko po Twoim odejściu, w które tak trudno jest uwierzyć, uświadomić sobie, że w tym życiu już nigdy się nie spotkamy, że nie zobaczę Twego uśmiechu, którym żegnałaś mnie po raz ostatni na Morszyńskiej. Ale taka w mojej pamięci pozostaniesz z pokrzepiającą wiarą, zawartą w dogmacie o świętych obcowaniu.

Wanda Salska

Było to drugiego marca 1948 r. Wtedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy. I od tego drugiego marca 1948 r. do drugiego marca 1950 r. byliśmy nierozłączne. A od tego dnia, bo właśnie przenieśli mnie do sutereny w Fordonie, aż do marca 1955 r. – do mego powrotu z Inowrocławia – nigdy się nie spotkałyśmy. Nawet będąc w tym samym więzieniu. Ona na górze, a ja w suterenie. Ale 2 marca 1948 r. – obchodziłyśmy właśnie imieniny Heleny Sieradzkiej – otworzyła się krata i weszły dwie, „nowe”. Były to Wanda Salska i Dzidzia Żelazowska – obie ze sprawy Staszka Kasznicy. Obie z wyrokami dziesięciu lat. Rzuciły się do nich koleżanki, które znały je już z „dziesiątki”. Wandę najserdeczniej witała „Agata” (Marysia Nachtmanówna z mojej sprawy). Siedziały dość długo razem na „jedenastce” i przyjaźniły się. Moja znajomość z Wandą szybko przerodziła się w prawdziwą przyjaźń. Stałyśmy się sobie bardzo bliskie. Poznałyśmy nasze rodziny, przyjaciół, różne etapy naszego życia. Wanda była studentką medycyny. Ojciec jej, doktor Jastrzębski, był lekarzem wenerologiem i miał własne laboratorium, w którym Wanda, kończąca już medycynę, pracowała pomagając ojcu. Jeszcze przed wojną była zaangażowana w pracę polityczną. Należała do Obozu Radykalno-Narodowego (ONR spod znaku ABC Rossmana), była tam bardzo czynna, i tam chyba też – ale nie jestem tego pewna – poznała swego późniejszego męża Tadeusza Salskiego. W czasie wojny urodziła dwie córeczki: Małgosię i Joasię. Nie pamiętam już, w którym roku, chyba w 1943, Tadeusz został wysłany za granicę jako emisariusz organizacji. Przedtem jednak musiał się ukrywać i tylko od czasu do czasu odwiedzał żonę i dzieci jako „wujek”. Okazało się, że Małgosia orientowała się świetnie, że to nie żaden „wujek”, ale Tatuś, jednak nigdy się z tym nie zdradziła. Takie było pokolenie wojennych dzieci, najmłodszych konspiratorów świata. Po zakończeniu wojny Wanda nadal prowadziła działalność polityczną w Organizacji Polskiej (OP), nadrzędnej w stosunku do ONR. Potem nastąpiło aresztowanie i wyrok – dziesięć lat więzienia. Dziewczynkami opiekowała się najmłodsza siostra Wandy – Dziusia Nowicka. Brat Wandy, Andrzej, oraz jej szwagier Stanisław Salski – byli również więźniami PRL-u.

Z Wandą można było rozmawiać bez końca. Przy bardzo różnych usposobieniach łączyły nas wspólne zainteresowania oraz zaufanie, pozwalające powierzać sobie różne fakty i przeżycia z pełnym wzajemnym

zrozumieniem. Wanda była starsza ode mnie o siedem lat i obracała się w rozległym kręgu znajomych. Opowieści o nich były nieraz dużo ciekawsze od niejednej lektury. Jednym z bardziej interesujących epizodów z życia Wandy była jej znajomość z Ossowieckim (znanym przedwojennym jasnowidzem). Ojciec jej przyjaźnił się z Ossowieckim, a on sam nazywał ją często „córeczką”. To dzięki niemu zostało odnalezione wyposażenie laboratorium ojca Wandy przy ul. Górskiego, wyniesione przez złodziei z pracowni. Ossowiecki wziął do ręki przedmiot, którego złodziej musiał dotykać, i powiedział, że wszystko znajduje się w przechowalni dworca kolejowego, gdzieś w promieniu 30 km od Warszawy. Nie mógł określić dokładnie miejscowości, bo dworce były nowe i bardzo do siebie podobne. I wszystko się odnalazło, a nawet jeszcze futra jakiejś pani, wcześniej ukradzione.

Wanda była ogólnie lubiana i miała duże poczucie humoru. Dysponowała też dobrym głosem, niskim i sugestywnym, i często prosiłyśmy ją o śpiewanie. Jej popisowymi piosenkami były „Pensylwania” i „Wspomnij o mnie”. Była zgrabna i przystojna, ale miała nieco wystający nos i brodę. Pamiętam, jak ze śmiechem mówiła, że na starość ta broda zetknie się z nosem i będzie wyglądała jak istna czarownica. Uczyłyśmy się razem angielskiego. Ona zwykle zapisywała słówka na mydle, a ja ją przepytywałam.

Tak się utarło, że nowe koleżanki były na najbliższym niedzielnym podwieczorku czczone jakąś piosenką. Tak też było w przypadku Dzidzi i Wandy. Piosenka powstała na ich cześć była głównie dziełem Halszki Dunin, naszej nadwornej poetki, ale miała w niej także duży udział „Agata”. Piosenkę śpiewało się na melodię „Przyszedł do domu Franciszek Pestka”:

Salska z Zielazkiem przyszli do celi,
jeszcze nie zdnieli kaloszy,
a już cwaniacy jem podgrandzili
wałówki i papierosy.
Lecz Salska na to nie zważa wcale
i tylko patrzy, gdzie Danko,
a Ona na to: Odeńdź, szantrapo,
coś mnie zgrandziła kochanka!

Bardzo się Wanda zdenierwowała,
że tak przyjęli ją w mamrze,

bo jej braciszek kryminalista,
a i szwagierek jest tamże.

A to Zielazko też dobry numer,
choć niby cicha niewiasta,
wszystkiem rodzinie po kątach stawia,
że pyknik i leukoplasta.

A że się dzisiaj tak dobrze składa,
że u nas są imieniny,
więc prosim, byście wśród nas się czuły,
jak pośród własnej rodziny.

Mokotów, Ogólniak, marzec 1948 r.

Wanda brała żywy udział w naszych różnych imprezach kulturalnych, oczywiście także w sławnym buncie. Razem spędziłyśmy 48 godzin w „kar-cu”. A potem znów jednym transportem wywieźli nas do Fordonu. Spałyśmy tam na jednym łóżku, na kwarantannie. Chociaż ani odrobinę nie byłyśmy do siebie podobne, to oddziałowi często nas mylili; na mnie wołali Salska, a na nią Czaplińska. Po kwarantannie, gdy nas rozdzielono do małych cel, zdecydowałyśmy, że musimy być razem i z „Maniutą” Marynowską, bo bardzo nam zależało na nauce angielskiego. I tak znalazłyśmy się w jednej celi z „Maniutą”, Haliną Sosnowską i jeszcze paroma babkami. Znów spałyśmy na jednym łóżku, bo było o jedno za mało, a my byłyśmy najmłodsze z tego towarzystwa. Mała cela ma to do siebie, że trudno się wyłączyć, wszystko dzieje się publicznie. Nie można przecież szeptać sobie do ucha w obecności koleżanek, oddalonych o parę centymetrów. Spałyśmy na waleta, a że obydwie bardzo dobrze posługiwałyśmy się morsem, więc stukaliśmy sobie godzinami w nogi. Co jakiś czas wybuchaliśmy śmiechem wśród ciszy, bo przecież nikt naszego pukania nie mógł usłyszeć, tylko się je czuło.

Pamiętam, jak dostałyśmy do celi robotę – sweterki z angory na drutach. Byłam kompletną nogą w tej dziedzinie, „Maniuta” także, ale obie z wielkim zapałem zabrałyśmy się do pracy pod kierunkiem Wandy, która była bardzo zdolna manualnie. Umiała mnóstwo rzeczy, dyrygowała więc naszymi poczynaniami. Zabawna była w tym wszystkim „Maniuta”. Pochłonięta robotą, skupiona, czasem nie odpowiadała nawet na nasze

pytania o jakieś angielskie słówka, co nie przeszkadzało temu, że w pośpiechu robiła fatalne błędy. A przecież nikt nas nie gonił, nie było żadnej normy. „Maniuta” po prostu bardzo chciała pracować, będąc z natury osobą bardzo aktywną. Co jakiś czas zwracała się do Wandy: „Popatrz, mam takie dziwne oczko”. Wanda na to: „Ależ «Maniuto», ty w ogóle spuściłaś ileś tam oczek po kolei!” „Nic podobnego, robiłam wszystko, jak kazałaś”. Aż pewnego razu pokazała Wandzie plecy sweterka, mówiąc, że znów coś nie wyszło. Wybuchnęłyśmy wszystkie śmiechem, bo „Maniuta” zrobiła po jednej stronie dwa wykroje na pachy, jeden pod drugim, a druga strona była prostą linią. Śmiałyśmy się, że „Maniuta” zrobiła „picassa”.

Gdzieś w marcu 1949 r. poszłyśmy do pracy. „Maniuta” i Halina zostały w celi. Halina nigdy nie chciała pracować, a „Maniuta” o pracy marzyła. Ilekroć spotykałyśmy „Maniutę” na korytarzu, szeptała wymownie, że w celi „Jest terror, biały terror” uprawiany przez Halinę, która nie pozwala „Maniucie” zwracać się z prośbą o pracę. Wylądowałyśmy z Wandą w pracowni, gdzie robiło się jakieś koszyczki ze sznurka. Przy innej okazji pisałam już o tym, jak Wanda nauczyła się przedzenia na kołowrotku, aby usprawnić pracę.

Po kilku miesiącach przeniesiono nas do tzw. pracowni artystycznej. Tutaj zadaniem Wandy było malowanie laurki. Laurki w Fordonie zamały oddziałowe i wyższe szarże. Wykonywałyśmy imieninowe, na ślub, na chrzciny i na jeszcze różne uroczystości – nie było tylko pogrzebowych. Musiało być jak najwięcej kwiatów – najchętniej róż. Laurka im była bogatsza w kwiaty, tym cenniejsza. Do mnie i Marysi Rusinek należała twórczość poetycka. Każda laurka musiała zawierać okolicznościowy wiersz dostosowany do danej osoby. To było straszne. Wypisywałyśmy sobie rymujące się słowa, które mogły nam się kiedyś przydać. Niemiłosiernie przerabiałśmy znane wiersze – bardzo dobrze nadawał się do tego Broniewski. Ta twórczość budziła powszechny zachwyt naszych odbiorców. W okresie karnawału wszystkie, a było nas tam więcej, robiłyśmy kotyliony. Kotyliony fordońskie wyróżniały się tym, że nie były przypinane do boku, jak to sugeruje nazwa (francuska), ale wkładane na głowę. Robiło się najpierw opaski albo płaskie denka z kartonu, a na nich umieszczało się najróżniejsze przedmioty wykonane z bibułek, kartonu i kolorowych papierów. Więc oczywiście kwiaty, ale także takie dziwne rzeczy, jak na przykład talerz z parówkami i widelcem, grzyby, budziki.

Często jeszcze umieszczaliśmy na tych opaskach jakiś dwuwiersz, na przykład: „Nikt już na ciebie nie dybie, boś za stary jest, mój grzybie”.

W okresie naszej „pracy artystycznej” została otwarta świetlica. Kierowała nią pani Janina Złotnicka-Kurcewiczowa, która zaproponowała nam wystawienie (z materiałów świetlicowych) fragmentu sztuki Iwaszkiewicza *Maskarada*. Chodziło o scenę, w której Puszkina błaga cara o pozwolenie na wyjazd za granicę lub chociażby gdzieś na wieś. Po długich namysłach zdecydowałyśmy się na to, pod warunkiem, że same dobierzemy obsadę i że dekoracje i kostiumy będą dziełem Maryny Majgier. Maryna dokonała cudów. Z więziennej kurtki i drelichowych spodni (nic nie tnąc) zrobiła dla Wandy – Cara – znakomity mundur z akselbantami i błyszczącymi guzikami. Dla mnie – Puszkina – jakąś perukę z czarnej wełny i pelerynę z koca, w którą byłam spowita. Znakomite było także wnętrze pałacu – draperie z koców, kominek, a nawet kandelabry z papieru – w której to scenerii odbywał się nasz dramatyczny dialog. Wanda była wspnianiałym Carem, umiała wykrzesać prawdziwy męski wdzięk. Wzbudziła ogólny zachwyt. Często na spacerze słyszałyśmy za sobą szepty: „O, idzie ta Car i ta Puszkina”.

Miałyśmy w planie wystawienie dalszych części *Maskarady* i upatrzyłyśmy już nawet Nathalie – Krystynę Drecką²³⁴. Planowałyśmy także wystawienie *Balladyny*, którą Wanda знаła na pamięć. Miałam być Balladyną i umiałam już bardzo dużą część swojej roli, gdy nagle (znów 2 marca, ale 1950 r.) zabrano mnie z pracy i dano do sutereny. Tak rozstałam się z Wandą na długie pięć lat. Po powrocie z Inowrocławia dostałam się szczęśliwie do „grajdołka”, czyli do pracowni przygotowującej patki mundurowe do haftowania. Wanda była tam majstrową. Rozdzielała pracę, dbała, żeby wszystkie więźniarki mogły wykonywać odpowiednio wysokie normy, ponieważ za 110% można było dodatkowo otrzymać ileś tam kielbasy. Żeby nadażyć z robotą, pracowałyśmy przez dwie zmiany, czyli szesnaście godzin. Obiad i kolację jadło się wtedy w pracowni. Było nam bardzo dobrze. Mogłam wyrabiać nawet bardzo dużą normę, po jej wykonaniu zawsze robiłam coś dla koleżanek – cięłam tekturę czy wycinałam wzorki, żeby one miały te minimum 110%, a ja nie więcej od nich.

²³⁴ Krystyna Drecka-Madalińska, (ur. 1903), żołnierz AK. W okresie okupacji pełniła służbę w Oddziale II KG AK. Aresztowana w 1946 r. pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji, została przez WSR w Szczecinie skazana 12 III 1951 r. na dożywocie, na skutek rewizji nadzwyczajnej wyrok zmieniono na 10 lat pozbawienia wolności. Opuściła więzienie 3 III 1956 r.

Wanda umiała sobie świetnie radzić z dyrektorem, który miał dla niej dużo szacunku i zawsze jej słuchał. A ja – po Inowrocławiu – po ciągłym meldowaniu pod oknem, staniu na baczność, oddawaniu „honorów” z trzaskaniem drewniakami itd. – byłam wciąż zaszokowana, gdy na pokorne pytanie: „Salska?”, Wanda beztrząsco odpowiadała: „Czego tam?”. Wanda i „Dzidzia” wyszły na zwolnienie warunkowe w 1955 r. Było to zupełnie nieoczekiwane.

Po moim wyjściu, podczas każdego pobytu w Warszawie widywałyśmy się przez wiele lat. Kiedyś, gdy byłam tam przez kilka miesięcy, połowę czasu przemieszkałam u Wandy na Berezyńskiej. Czułam się jakąś częścią jej rodziny. Później jednak, kiedy rzadko bywałam w Warszawie – nasz kontakt osłabł. Ale ostatnio znów go nawiązałyśmy, dzwoniłam do niej i byłam u niej. Ona zaś powiedziała, że do mnie napisze. Ostatni raz rozmawiałyśmy w październiku 1993 r. Czuła się źle, ale nie spodziewałam się, że to będzie nasza ostatnia rozmowa. A właśnie wtedy bardzo intensywnie o niej myślałam.

Wiele ze spraw, o których mi mówiłaś, Wando, uleciało z pamięci. Ale na zawsze zostaniesz w niej Ty i nasza przyjaźń.

Halina Sadowska

Halina Sadowska – nasz drogi towarzysz „Otręba”. Bardzo ją lubiłyśmy. Właściwie do końca nie było wiadomo, za co konkretnie siedzi. Mówiła niezmiennie, że siedzi za „grzeczność”, że nigdy do żadnej organizacji nie należała, a wszystko robiła z grzeczności. Z jej opowiadań wynikało jednak, że była w czasie okupacji zaangażowana w komórce więziennej, a potem już jako powiązana z Wileńskim Okręgiem AK. Opowiadała, a można jej wierzyć, bo zawsze miała różne nieoczekiwane pomysły, że na swojej sprawie, na przykład, oskarżyła prokuratora o kradzież, za co została potem ukarana dodatkowo pozbawieniem prawa do widzeń i pisania listów. Nie wiem, czy miała jakąś rodzinę, w każdym razie nie otrzymywała listów ani widzeń. Po powrocie z Inowrocławia, gdy chodziła do pracy, mówiła, że koresponduje z „Ickiem” – Ireną Szajowską²³⁵. Wiąże się z tym zabawny incydent. Szłyśmy razem do Szarego Gmachu i Halina opowiadała, że do-

²³⁵ Irena Szajowska – „Icek”, „Hanka” (ur. 1923), żołnierz AK. Od 1943 r. działała w AK, następnie w WiN, w Brygadzie Wywiadowczej II Komendy WiN. Aresztowana 24 X 1946 r., skazana została przez WSR w Rzeszowie 27 III 1947 r. na 15 lat więzienia. Zwolniona 24 VIII 1955 r.

stała list od „Icka”, w którym tłumaczy swoje opóźnienie w odpowiedzi na jej list niemożnością kupienia koperty. Halina skończyła to opowiadanie i nagle padła na kolana, głośno wołając: „Panie Boże, dziękuję Ci, że jestem tu w więzieniu, bo przynajmniej tu mam wszystko, nie muszę się martwić, że nie dostanę koperty czy znaczka!”.

Wiedziałyśmy, że gdy za Haliną coś „chodzi”, to w jakiś sposób musi dać znać o sobie i to nie zawsze z korzyścią dla niej. Zawsze wtedy usiłowałyśmy jakoś skierować jej myśli na inne tory. Pewnego wieczoru była inspekcja. Przyszedł naczelnik i Boguwola z Bydgoszczy. Stałyśmy gęsiego, bo inaczej nie było można, Halina – najwyższa z nas – zaszyła się na końcu. Naczelnik zaczął pytać o wyroki i za co. Odpowiedziałyśmy, przyszła kolej na Halinę. Szybko wyrecytowała: „dożywocie za pomoc czy udział w Ośrodku Mobilizacyjnym AK”. Naczelnik zapytał ją, co by chciała robić, gdy wyjdzie na wolność, a ona na to: „W tej rzeczywistości ja nie chcę w ogóle wychodzić na wolność”. Dudek na to: „Ależ Sadowska, zastanówcie się, przecież kiedyś wyjdziecie”. A ona: „Powtarzam, że w tej rzeczywistości nie chcę wyjść na wolność”. Zapanowała konsternacja. Myślałam, że naczelnik wejdzie w piec, bo prawie nosem do niego przywarł, a Boguwola odezwał się słodziutkim głosem: „Naczelniku, dajcie mi jej papiery”. Poszli sobie, ale zaraz na drugi dzień dali Halinę na pojedynek. Tam kazała sobie obciąć włosy do skóry i zaczęła wyprawiać różne głupstwa, na przykład głosić, że ma w sobie krew niebieską, a teraz chce się napić czerwonej itp. Władze nie wiedziały, co myśleć – czy kpi, czy jest przy zdrowych zmysłach, czy też chora psychicznie? Ale na wszelki wypadek trzymali ją na izolatce. Pamiętam, jak byliśmy raz na spacerze. Na małym kółku przed Czerwonym Gmachem wypuścili na spacer za celkami Halinę. Szła z tą ogoloną głową, ciągnąc za sobą na sznurku szczotkę-zmiotkę i wołając: „Fafik, Fafik! Chodź do nogi, Fafik!”. Opowiadano mi potem, że już po moim wyjściu z więzienia, a po wielkiej amnestii z 1956 r., Halina, której dożywocie zamienili na ileś tam lat i otrzymała zwolnienie warunkowe, rzeczywiście nie chciała wyjść na wolność, twierdziła, że się nie zgadza i że chce zostać w więzieniu. Musiano ją błagać o to, by wyszła. Taka była Halina.

Helena Sieradzka

Był to koniec sierpnia 1947 r. Siedziałam wtedy sama w celi na moko-towskiej „jedenastce”. Szósteego sierpnia wyszła na wolność moja towa-

rzyszka – Anna Grocholska. I po około dwóch tygodniach weszła pani Helena Sieradzka. Ja byłam już po zakończeniu śledztwa i czekałam na rozprawę, a ona też nie była już wzywana, miałyśmy więc wiele czasu na pogawędkę. Pani Helena została aresztowana razem z mężem, w domu pozostawili synka Ignasia, o którego się ogromnie martwiła. Dopiero po wyroku dowiedziałam się, że była związana z Witoldem Pileckim, z którym swego czasu siedziałam przez ścianę, a jej mąż, pan Makary, był jednym z oskarżonych w tym procesie. Nasze stosunki układały się bardzo dobrze, nie było żadnych nieporozumień, za to wiele wspólnych tematów do rozmowy. Mój proces rozpoczął się w pierwszych dniach października, a ciągnął się blisko miesiąc. Codziennie, po powrocie do celi, zdawałam jej sprawozdanie z sali sądowej, i zawsze zastawałam jakieś przygotowane przez nią kanapki. Często bowiem wracałyśmy już po wydaniu obiadu, a rodzinom nie pozwalano na podanie drugiego śniadania. Świadomość, że nie wracam do pustej celi, była dla mnie bardzo ważna. Wyrok odczytano nam 3 listopada, a już następnego dnia zabrano mnie i „Agatę” Nachtmannównę na tak zwany „ogólniak”.

W jakiś czas potem – nie pamiętam dokładnie daty – zjawiała się w naszej zbiorowej celi pani Helena. Obie bardzo ucieszyłyśmy się na swój widok, bo każde ponowne spotkanie z kimś, z kim się już siedziało, było radością. Cały pobyt w „ogólniaku” przeżyłyśmy razem.

Jedno wydarzenie z tego okresu, związane z osobą pani Heleny, było i pozostało na zawsze czymś bardzo ważnym. Otóż mąż pani Heleny siedział w celi z Leszkiem Roszkowskim, skazanym w moim procesie na karę śmierci. Leszek miał przy sobie egzemplarz Pisma Świętego, który pozostawił panu Makaremu Sieradzkiemu, z prośbą o przekazanie go synkowi – Krzysiówi, mającemu wówczas niespełna 6 lat. Tak się szczęśliwie złożyło, że gdy oboje państwo Sieradzcy byli już po wyrokach, lekarz więzienny, Niemiec, ułatwił im dwukrotne spotkanie w sanitariacie. Wtedy pani Helena mogła Pismo Święte doręczyć „Agacie”, a ta po wyjściu na wolność w 1949 r. przekazała tę cenną pamiątkę rodzicom Leszka.

Panu Makaremu mam jeszcze coś więcej do zawdzięczenia. Siedząc z Leszkiem do chwili zabrania go z celi na wykonanie wyroku, mógł dać o nim świadectwo. Z tego wspólnego pobytu napisał krótkie wspomnienie – tematy dyskusji, postawa Leszka, jego głęboka wiara, patriotyzm, poczucie, że oddanie życia za Ojczyznę jest zaszczytem. Poza wspólną modlitwą Leszek bardzo dużo i w wielkim skupieniu modlił się sam. Przekazał przez

pana Makarego dwie prośby. Jedna – to doręczenie synkowi Krzysiuwi Pisma Świętego, a druga, żeby mógł być pochowany obok żony. Niestety, to drugie nie mogło być spełnione. Nie dowiemy się bowiem nigdy, w którym miejscu, gdzieś w okolicach cmentarza przy ul. Wałbrzyskiej, wrzucono do grobu zwłoki trzech moich kolegów rozstrzelanych w kilkuminutowych odstępach 15 stycznia 1948 r.

Wracam teraz do bezpośrednich moich kontaktów z panią Heleną. Po opisywanym już „buncie” w początkach września 1948 r. wywieziono nas do Fordonu. Siedziałyśmy tam we wspólnej celi niedługo, bo chyba tylko przez trzytygodniowy okres kwarantanny, potem nas rozdzielono. W więzieniu nie spotkałyśmy się więcej. Nie wiem nawet, gdzie pracowała. Gdy po dwupółletnim pobycie w suterenie fordońskiej i następnych dwu latach i pół roku inowrocławskiego więzienia wróciłam do Fordonu i do pracy, pani Helena była już na wolności.

Po wielu latach na spotkanie fordonianek przyszła pani Helena razem z Marysią Hattowską, a ja szczęśliwie byłam wtedy w Warszawie. Radość była ogromna! Miałyśmy sobie tyle do powiedzenia. Były i wspomnienia, i bieżące wydarzenia. Kręcono wówczas film dokumentalny o Witoldzie Pileckim. Pani Helena ułatwiła mi kontakt z jego córką, której mogłam przekazać to, co sama słyszałam przez ścianę: że cały jego dorobek oświęcimski, który miał być jego obroną, został przejęty przez Cyrankiewicza, który tę działalność przypisał sobie. Obiecałyśmy sobie z panią Heleną jakieś wspólne spotkanie, a ilekroć byłam w Warszawie, kontaktowałyśmy się telefonicznie. Miałyśmy się spotkać na „opłatku” w Oddziale Warszawskim, ale okazało się, że ktoś, kto po nią przyjechał, rozminął się z nią i do spotkania nie doszło.

Przeżycia więzienne pani Heleny zostały nagrane przez Tomasza Ochynowskiego dla potrzeb jego rozprawy doktorskiej²³⁶. Był oczarowany jej osobą. W 1997 r. dowiedziałam się, że z powodu złamania ręki pani Helena przebywa w szpitalu, co mnie zdopingowało do napisania listu. Chciałam go już od dawna napisać, bo zawsze miałam panią Helenę w żywej pamięci i codziennej modlitwie. Doszedł do niej w ostatniej chwili, a ona sama powiększyła grono moich bliskich, którzy już odeszli, a z którymi byłam związana losami więziennymi i o których również zawsze pamiętam.

²³⁶ Ochynowski T., *Model analizy przeżyć więźniów politycznych na terenie Polski okresu stalinowskiego (1944–1956) w perspektywie psychohistorycznej*, Lublin 2000.

Halina Żelaźniewicz

Halina była ze sprawy „ciotek”. Od czasów przedwojennych przyjaźniła się z rodziną Czaykowskich – Andrzejem²³⁷ i jego siostrą Wandą, która zginęła w Powstaniu Warszawskim. Andrzej po przyjeździe do Polski odwiedzał swoich dawnych znajomych i krewnych. Jego aresztowanie (a obserwowany był, zdaje się, od samego powrotu do kraju) spowodowało istną lawinę następnych aresztowań, w tym jego matki, wielu ciotek i innych starszych już mocno pań. Spotkałyśmy się w Fordonie po moim powrocie z Inowrocławia. Dowiedziałam się, że mieszka we Wrocławiu niedaleko teściowej mojej starszej siostry Bogny i że zna jej dzieci, gdyż pani Grabowska zajmowała się wyrobami pantofli rannych, a Halusia miała dwóch, wtedy jeszcze bardzo niedużych synów. Zwolniona wcześniej ode mnie, odzyskała wraz z mężem skonfiskowany wcześniej dom, w którym zamieszkali całą rodziną. Chyba pierwszy raz odwiedziłam ją razem z „Dzidką” Martyniakową, która właśnie była u mnie we Wrocławiu. Obydwie siedziały ze sobą dłużej i bardzo się zaprzyjaźniły. Halinka miała bardzo piękną przeszłość okupacyjną. Opisała ją na prośbę swego szefa – dowódcy „Zagajnika”. Kryptonimem tym objęto komórkę szkolenia dywersyjnego AK. Brała czynny udział w Powstaniu. Uratowana została wraz z koleżanką – łączniczką przez jakiegoś niemieckiego żołnierza, gdy stały już pod murem, gotowe na śmierć. Opisała to zdarzenie, zamieszczone potem w książce Jana Turnaua *Dziesięciu sprawiedliwych*. Wspomnienia okupacyjne zostały opublikowane w „Zeszytach Historycznych” Instytutu Literackiego w Paryżu w 1999 r. (nr 130). Z Halusią byłam w stałym, zawsze bardzo bliskim, chociaż niezbyt częstym kontakcie. Zawsze bardzo żywo interesowała się tym, co dzieje się w Polsce. Ponieważ jej kondycja fizyczna uległa pogorszeniu,

²³⁷ Andrzej Rudolf Czaykowski – „Garda”, mjr AK, cichociemny. W lutym 1940 został aresztowany na granicy przez NKWD. Wywieziony głębi ZSRR, opuścił łagry dzięki amnestii. Przez Persję dotarł do Wielkiej Brytanii. Przeszkolony w ośrodku dla cichociemnych, przerzucony został na ziemię polskie 16–17 VII 1944 r. Był oficerem operacyjnym „Komórki Zrzutów”, następnie przydzielono go do Oddziału I. Od X 1944 r. sprawował funkcję szefa Oddziału I w sztabie Oddziału Zachodniego, następnie w Oddziale III. Na początku 1944 r. aresztowany przez Niemców, przebywał m.in. w obozach koncentracyjnych Gross Rosen i Dora, po wyzwoleniu udał się do II Korpusu. Po zdemobilizowaniu sprawował w Londynie funkcję wiceprezesa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. 29 VII 1949 r. powrócił do kraju, gdzie aresztowano go 13 VIII 1951 r. Został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano 10 X 1953 r.

to ja bywałam u niej w domu, a także prowadziłyśmy nieraz długie rozmowy przez telefon, które nas bardzo zbliżały. Niestety, ostatnio była całkowicie przykuta do łóżka i kontakt był już bardzo trudny. Odeszła od nas w październiku 1994 r., pozostawiając pustkę w moim sercu, ale i stałą o niej pamięć.

Janina Kruk

Krótkie wspomnienie o Jance Kruk powinnam zatytułować „Kamizelka”, ponieważ chodziło właśnie o kamizelkę. Z Janką nigdy nie siedziałam w jednej celi. Oczywiście, wiedziałyśmy o sobie, a spotykałyśmy się już na wolności, albo u Irenki Bukowskiej, albo w jakichś innych okolicznościach. Takie bardzo znamienne dla mnie spotkanie miało miejsce podczas Zjazdu w Fordonie. Zjazd się właśnie kończył, stałyśmy w holu hotelowym, właściwie przygotowane do drogi. „Myszka”, Basia Dunin i ja jechałyśmy do Wrocławia. Wśród tych pożegnalnych rozmów podeszła do mnie Janka i powiedziała, że ma szczególną prośbę. Pamiętam jej pierwsze słowa: „Rutko, ty tak ładnie piszesz, proszę cię, żebyś opisała to, co ci teraz opowiem, bo ja sama nie potrafię”.

Oto opowieść Janki. Po majowej amnestii w 1956 r. ja już prawie od miesiąca byłam na wolności, więzienie w Fordonie pustoszało. Po zastosowaniu tej właśnie amnestii oraz zwolnienia warunkowego, czy też przerwy w karze wychodziły nawet najcięższe wyroki. Janka – skazana na dożywocie – ułaskawiona z kary śmierci – po zastosowaniu amnestii miała jeszcze do odsiedzenia około dwóch lat. Koleżanki wychodzące na wolność zostawiały jej różne drobiazgi, mogące się jej jeszcze przydać w tym dwuletnim pobycie już prawie w samotności. Między innymi obdarowano ją różnymi wyrobami z dzianiny, nadającej się raczej do prucia i przerobienia niż do noszenia. I wtedy – mówi Janka – sprułam to wszystko i zrobiłam sobie z tej mieszaniny różnorodnych i różnokolorowych wełen ciepłą kamizelkę. Patrz, mam ją na sobie. Ta kamizelka była dla mnie wyrazem pamięci moich koleżanek i ich stałej obecności w moich myślach. Nie rozstaję się z nią i chciałam to przekazać tym wszystkim, którzy uczestniczyli w tej kamizelce”. Powiedziałam wtedy: „Janko, ja nie umiem opisywać cudzych zdarzeń i przeżyć, może znajdziesz kogoś, kto by to zrobił lepiej niż ja”. Minęły lata, a o kamizelce nie znalazłam żadnej wzmianki. Wiedziałam, że Janka jest chora, walczy z chorobą nowo-

tworową. Widziałam ją po raz ostatni na zebraniu organizacyjnym u księdza Maja²³⁸. W lecie 1997 r. – leżałam po wypadku i w „Tygodniku Powszechnym” znalazłam wywiad z „kaesowcami”, między innymi z J. Rusznicą. Wspomniał, że w ich gronie znajduje się Janka, ale jest chora i pewno dlatego nie przychodzi na zebrania „kaesowców”. Oburzyło mnie, że nazwał ją Warszawianką, a ona przez całą okupację tak bardzo była zaangażowana w podziemiu wileńskim, a po tak zwanej „repatriacji” w Warszawie. Telefonicznie prosiłam koleżanki, żeby napisały jakieś sprostowanie, i wtedy dowiedziałam się, że Janka właśnie niedawno zmarła, a pan Rusznica²³⁹ o tym nie wiedział. To mnie zmobilizowało do napisania tego bardzo krótkiego wspomnienia, które jednocześnie jest z mojej strony wypełnieniem prośby Janki.

Irena Woynicz

Lekarz okulista. Człowiek cichy, małomówny, bardzo spokojny, a pełen życzliwości dla innych. Po przyjeździe z Inowrocławia pracowałyśmy razem w „grajdołku”. Mogłam wtedy jej i innym starszym, a mającym zreumatyzowane ręce koleżankom, pomagać w wyrabianiu przypisanej normy „kielbasianej”²⁴⁰. Pani Irena uzyskiwała zezwolenie na sprowadzenie niezbędnego sprzętu, będącego jej prywatną własnością, i przeprowadzenie badań okulistycznych. Miała bardzo dużo pacjentek, bo nigdy żadna z nas nie mogła zbadać oczu, tym bardziej dobrać potrzebnych okularów. Ja miałam szkła dobrane „na oko”, w oprawkach jeszcze mego ojca, a więc dla mnie o wiele za dużych. Ale na szczęście okazało się, – jak wynika także z moich listów – że nie wpłynęło to ujemnie na stan mego wzroku. Po wyjściu na wolność Irena mieszkała na Żoliborzu i kilkakrotnie ją odwiedzałam. Jakiś czas – a była to chyba nieduża kawalerka – mieszkała u niej jedna z naszych koleżanek, Anna Neyman. Ojciec Ireny był także lekarzem. Niedługo mieszkali w Łucku. W jakiejś rozmowie powiedziałam jej, że bardzo potrzebuję słownika łacińsko-polskiego, żeby

²³⁸ Ksiądz Jan Maj – proboszcz parafii św. Katarzyny na Służewie.

²³⁹ Józef Rusznica, skazany na karę śmierci przez WSO nr IV we Wrocławiu w 1952 r., ułaskawiony. Przewodniczący Związku Więźniów Skazanych na Karę Śmierci.

²⁴⁰ Po wykonaniu 110% normy więźniowi przysługiwało prawo zakupu niewielkiej ilości kielbasy (przyp. autorki).

móc znaleźć potrzebne nieraz słowa. Wtedy Irena dała mi natychmiast dwutomowy słownik, należący jeszcze do jej ojca i opatrzony nawet jakimś uwagami. Byłam tym ogromnie zaskoczona i nie chciałam przyjąć tak cennego prezentu, a jej pamiątki, ale z dobrym uśmiechem tłumaczyła, że to cała radość dla niej móc mi zrobić przyjemność, a ona przecież nie ma komu zostawić tego słownika. Taka była Irena.

Hanka

Znałyśmy się „od zawsze”, bo Hanka, moja stryjeczna siostra, była starsza ode mnie o 7 lat. Dzieliła nas odległość dwudziestu paru kilometrów, między jej domem rodzinnym w Sycynie a moim w Janowicach. A od jesieni 1944 r. mieszkaliśmy w jednej miejscowości podwarszawskiej o śmiesznej nazwie Opypy. Podobno jakaś dama serca ks. Józefa Poniatowskiego w czasie ich przejażdżki przez tę wieś miała powiedzieć: „*O, Pepi, comme c'est joli*”. Hania mieszkała ze swoją siostrą i szwagrem w wydzierżawionej przez nich małej posiadłości, a my, moja Matka, siostry, szwagier i dzieci, zagnieździł się w chałupie wynajętej przez moją starszą siostrę na lato. Z powodu licznych napadów bała się przyjeżdżać do domu z dziećmi, a potem doszłusowała do niej moja młodsza siostra z mężem i małą córeczką, a w końcu – w czasie frontu nad Wisłą i po zajęciu domu przez Niemców i półrocznym bytowaniu w okolicach Sycyny – dotarłam tam ja z Matką. Z Hanką zaczęłyśmy uprawiać handel, bo trzeba było z czegoś żyć. Szwagier dostarczał nam pończochy, a my nosiłyśmy je do Grójca i sprzedawały na targu. Początkowo wszystko na plecach (trzydzieści parę kilometrów), a potem przewożone riksą ciągniętą przez konia, dzięki któremu dowiozłyśmy z siostrą nasz skromny dobytek ocalały w Zwoleniu i Radomiu. Droga wiodła przez duże Lasy Młochowskie. Na skraju stał pomnik byłego właściciela, przed którym zawsze odmawiałyśmy krótką modlitwę o bezpieczne przebycie tego lasu. Po szczęśliwej sprzedaży naszych pończoch kupowałyśmy na tymże targu masło i setkę wódki, którą rozgrzewałyśmy się w powrotnej drodze, było bowiem zimno i mroźno, a my byłyśmy ubrane byle jak. W domu z zakupionego na targu masła formowało się zgrabne ćwiartki i rozprzedać się je chodząc po domach. Jednym z naszych odbiorców byli właściciele sąsiednich Książenic, należących do Oppenheimów. Wchodziło się tam od kuchni, co zawsze wprowadzało mnie w wisielczy humor,

gdyż te właśnie Książenice należały przedtem do mojego stryjecznego pradziadka i tam zaręczyli się rodzice mojej Matki.

W styczniu 1945 r., po przejściu frontu, jeździłyśmy dwukrotnie do Lublina – oczywiście także w celach handlowych, a jednocześnie i rodzinnych, bo tam po zajęciu Sycyny na *Liegenschaft*²⁴¹ zamieszkał mój stryj, a ja odnalazłam swoją cioteczną siostrę, która mieszkała u nas w Janowicach. Potem rozdzielił nas front, a ona znalazła oparcie w wojsku jako salowa w szpitalu. W początkach marca 1945 r. nasz cioteczny brat wynajął wóz z parą koni i jechał do Radomia – do swojego ojca i siostry.

Zaproponował wspólną jazdę. To była makabra. Wiał silny wiatr, był mróz, marzłyśmy okropnie, więc co chwila zsiadało się z wozu i szło na piechotę, a wtedy wiatr zwiewał na drogę nasze siedzenia ze słomy. Mijałyśmy lasy pełne amunicji, trupy żołnierzy niemieckich rozjeżdżone na drogach, spalone wsie. Przejeżdżaliśmy przez Grabów nad Pilicą, gdzie mieszkała nasza dalsza rodzina. Pozostało trochę sterczących kominów ze spalonych wiejskich chałup i zwisająca na jakimś drucie tabliczka z napisem „Stacja Grabów nad Pilicą”. Z Radomia dostałyśmy się do Zwolenia, a potem do Sycyny. Opustoszały dwór. Puste pokoje, salon, gdzie kiedyś tak dobrze się bawiłyśmy, w kącie fortepian pozbawiony nóg, powyrywane z zawiasów okna i echo naszych kroków. Pamiętam, jak Hanka powiedziała wtedy: „Czy ja tu mieszkałam cztery lata temu, czterdzieści, czy czterysta?”. Poszłyśmy na strych, znalazłam kilka listów mego Ojca do stryja, aż nagle zobaczyłam jakiś papier pokryty warstwą lodu. Odkopałyśmy ten lód i zobaczyłyśmy... poświadczenie szlachectwa naszego dziadka Wacława Czaplińskiego (z pierwszej połowy ubiegłego wieku). Hanka dokument zabrała i jakoś nie przeczytałam do końca jego treści.

I tu muszę wybiec dziesięć lat naprzód do Fordonu, gdzie spotkałam się z Hanią po powrocie z Inowrocławia. Otóż idąc na spacerze (Hanka szła za mną) słyszę, jak mnie pyta: „A czy ty wiesz, co było napisane na tym dokumencie?”. Nie wiedziałam. A ona wtedy: „Była tam klauzula, że w razie aresztowania dziadek jako szlachcic ma iść trotuarem, a strażnik obok po bruku ulicznym”. Z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu.

²⁴¹ Majątek został w 1940 r. przejęty przez Niemców.

Ale wracam do lat powojennych. Hanka zamieszkała z Izą i szwagrem w Radziczu, koło Nakła nad Notecią, gdzie szwagier dostał dom z ogrodem i ziemię, a pełnił funkcję weterynarza powiatowego. Wracając w maju 1945 r. od czworonożnego pacjenta (jechał motocyklem razem z Hanką) usłyszał rozkaz zatrzymania się. Zanim zdołał zahamować, podbiegł Sowiet i strzelił do niego, powodując prawie natychmiastową śmierć. W parę lat potem Iza wyszła ponownie za mąż. Przed swoim aresztowaniem tylko raz zdążyłam być u nich w Radziczu, w okresie Bożego Narodzenia. Gdy zostałam aresztowana i gdy po wyroku przywieziono mnie do Fordonu, Hanka zaproponowała Matce, że będzie mnie odwiedzać i przywozić paczki. Te widzenia, jak wszystkie, były zawsze bardzo krótkie, ale już na pierwszym zdążyła mi podać bardzo dużo wiadomości o rodzinie i bliskich naszych znajomych. Pamiętam, jak mi oznajmiła na samym początku, że „widzenia z nią będą bardzo korzystne, bo ona tak szybko mówi, że zdąży mi przez ten czas przekazać parokrotnie więcej informacji, niż przy każdym innym widzeniu”. I tak rzeczywiście było. Zawsze umiała mi dogodzić z paczkami, żeby przemycić w dozwolonych produktach coś lepszego. A to dodając więcej mięsa do smalcu, a to cukier podawać w formie kajmaku, i tym podobne.

Potem jakoś Hania przestała przyjeżdżać, a Matka mi nic nie mówiła. Nie wiedziałam o jej aresztowaniu. Nie chciano mnie martwić. I oto nagle pewnego dnia w Inowrocławiu (latem 1953 r.) wezwała mnie do siebie naczelnik więzienia Obiała i zadała mi dziwne pytania. Zaczęła od tego, kim dla mnie jest Bielecki²⁴². Ja jej na to, że to jest prezes Stronnictwa Narodowego mieszkający w Londynie, który dla mnie jest właśnie prezesem i nikim więcej. Długo to tłumaczyłam, a ona dalej swoje. Wreszcie zapytała, kim dla mnie jest Anna Tomaszewska. Ja na to, że jest to moja stryjeczna siostra. I na tym, mniej więcej, te indagacje się skończyły. Kilka dni później, ku memu ogromnemu zdziwieniu, usłyszałam wyraźnie głos Hanki meldującej się do śniadania i prośbę o dokładkę chleba. Zatkąło mnie. Hanka? W Inowrocławiu? Głodna? Przecież muszę jej zostawić swój chleb! Wtedy, mimo że były już skromniutkie wypiski, wciąż panował niezaspokojony głód, a chleb był największą wartością. Już miałam zrezygnować z tego chleba, gdy usłyszałam trzask otwieranych drzwi i nalewanie kawy,

²⁴² Tadeusz Bielecki.

a mnie ogarnął strach. A może Hanka dostała już dokładkę chleba, albo już ktoś dla niej zostawił i mój się zmarnuje? No – i nie zostawiłam. Ale następnego dnia usłyszałam tę samą prośbę i przepełniły mnie wyrzuty sumienia. Bohatersko powiedziałam, że nie biorę chleba. Przecież nie mogłam nic więcej powiedzieć, nie mogłam powiedzieć, dla kogo chleb ten przeznaczam.

W Inowrocławiu miałyśmy chyba dwukrotnie wewnętrzne widzenia. Było to wtedy, gdy ani Matka, ani Iza nie mogły u nas być. Wspominam je niewesoło. Hanka była bardzo zgaszona, a obie byłyśmy skępowane obecnością Obiały. O czym tu mówić? I jak sobie powiedzieć to, co dla nas najważniejsze?

W marcu 1955 r. wróciłam do Fordonu, a Hanka następnym transportem – w czerwcu. Tak się szczęśliwie złożyło, że przez bardzo krótki czas siedziałyśmy w jednej celi. Za to potem byłyśmy już w jednej pracowni przygotowawczej, w tak zwanym „grajdołku”. To była mała pracownia, więc i nas niedużo. Było nam tam bardzo dobrze. Hanka, z natury niesłychanie dowcipna, potrafiła nas wszystkie rozbawić. Pamiętam, że kiedyś siostra Izabela Machowska wchodząc do sali stwierdziła: „Ależ tu straszny bajzel!”. Na co my wszystkie wykrzyknęłyśmy: „Siostro!”. Ona zmieszana pyta: „A co ja takiego powiedziałam? Przecież tu straszny nieporządek”. A na to Jadzia Chrzszczewska mówi bardzo spokojnie: „Siostro, bajzel to dom niezupełnie prywatny”. A siostra cała czerwona: „ach!”.

Ostatnie więziennie widzenie z Hanką miało miejsce 5 kwietnia 1956 r., gdy wychodziłam na wolność. Stałyśmy obie po przeciwnych stronach siatki. Bardzo ciężko było mi żegnać się z Hanką, mając świadomość, że przed nią jeszcze tyle lat odsiadki. Na szczęście wkrótce ogłoszono amnestię i Hanka wyszła na wolność.

Były to już inne czasy. Przyjeżdżałam do Radzicza w czasie wakacji. Od czasu do czasu wymieniałyśmy listy. Ostatni nadszedł ze szpitala przed jej operacją. A potem... Potem już przyjechałam, aby ją pożegnać na pogrzebie w lutym 1982 r., w czasie stanu wojennego.

Nina Dewicz

Spotkałam się z nią po moim powrocie z Inowrocławia do Fordonu, w marcu 1955 r. Od mojej kuzynki Hanki Tomaszewskiej słyszałam o Ninie bardzo dużo ciepłych słów. Była ona zaprzyjaźniona z naszą ciotką – rów-

niez pielęgniarką – Krystyną Morzkowską. Stała się więc dla mnie od razu kimś bardzo bliskim, jakby z rodziny. Jakiś czas siedziałyśmy w małej celi, mogłyśmy dużo rozmawiać. Dowiedziałam się od niej o ludziach i zdarzeniach całkowicie mi nieznanych, bo Nina była aresztowana trzy lata po mnie. Tak zadzierzgnięta przyjaźń nie tylko przetrwała, ale się jeszcze znacznie pogłębiła na wolności. Nina mieszkała w małej części ich dawnego mieszkania przy ul. Księdza Skorupki, przemianowanej po wojnie na ul. Sadową [Warszawa]. Dom był przeznaczony do rozbiórki. Wchodziło się do niej kuchennymi schodami, których ostatni odcinek był już właściwie drabiną. Mieszkała razem z siostrą, p. Ireną Moysewiczową – więźniarką Pawia-ka. Ilekroć przyjeżdżałam służbowo do Warszawy – a zdarzało się to dość często, bo pracowałam we wrocławskim Oddziale Instytutu Matematycznego PAN, moje pierwsze kroki kierowałam zawsze do Niny. Korzystając z jej znajomości często chodziłyśmy razem na obiady do „Polskich Nagrań”, gdzie spotykałyśmy się nieraz z „Rysią” Szelańską, która także lubiła się tam stołować. Z Niną jeździłyśmy do „Helen”, czyli do Heleny Abakanowicz i Janki Czarneckiej²⁴³, mieszkających przy alei 3 Maja. W 1960 r. Nina została „zrehabilitowana” (jak to się wtedy obrzydliwie nazywało), a potem dostała odszkodowanie. To były czasy! Nina poczuła się „panią pełną gębą”. Nareszcie mogła pozwolić sobie na wynajęcie własnego pokoju na Saskiej Kępie oraz na taksówki, którymi razem jeździłyśmy w odwiedziny do koleżanek. Niestety, te zasoby – na pewno niezbyt wielkie – dość szybko się w tych warunkach wyczerpały.

Potem przez jakiś czas nie jeździłam do Warszawy i nie miałam z Niną bezpośredniego kontaktu, a było to w roku bardzo ciężkiej zimy. Toteż zaraz po kolejnym przyjeździe jak zwykle skierowałam swoje kroki na Sadową, wiedziałam bowiem, że Nina już tam wróciła. Ku memu zdziwieniu drzwi otworzyła nieznana mi osoba. Weszłam do kuchni i zobaczyłam, że drzwi do pokoju pani Ireny są otwarte, a ona sama leży w łóżku. Usłyszałam, jak z radością woła: „O pani Ruta, jakże się cieszę!”. Okazało się, że jest po ciężkim wylewie i ma prawostronny paraliż. Jej radość na mój widok była spowodowana nie tylko tym, że mnie naprawdę lubiła, ale także tym, że mnie

²⁴³ Janina Czarnecka – „Janka” (1902–1978). Pracownica poselstwa szwedzkiego, działała w WiN, współpracując z placówką „Dardanele”. Aresztowana 6 XII 1947 r. W procesie IV KG WiN 5–14 X 1950 r. skazana na 15 lat pozbawienia wolności. Zwolniona 4 V 1956 r.

poznała i zapamiętała, jak się nazywam. Opowiedziała mi, że musiała uczyć się wszystkiego od początku, poczynwszy od dni tygodnia. Ćwiczyła się w pisaniu lewą ręką. Oczywiście, wymagała stałej opieki. Wylewu dostała w środku zimy, był mróz, a w domu ani grama węgla. Nina natychmiast sprowadziła się do siostry, sama przechodząc wtedy mikrozawał. Koleżanki przynosiły węgiel w teczkach, dzieląc się tym, co same miały, i oczywiście pomagały w pielęgnacji pani Ireny. A opieka ta była dość wyczerpująca. Co jakiś czas przychodziła do pani Ireny jej córka Hania, ale pomoc z jej strony była raczej znikoma. Obydwie panie darzyły ogromną miłością jej syna Wojtkę, który przypominał im ich ukochanego brata Adama, zamęconego w Oświęcimiu. Nina wszelkimi możliwymi środkami usiłowała się wtedy do niego dostać jako pielęgniarka skierowana przez PCK do Niemiec w 1940 r., wracając dotarła do samego Hoessa²⁴⁴, ale widzenia z bratem nie uzyskała. O tej wyprawie opowiadała Basi Otwinowskiej, gdy – będąc już na emeryturze – zamieszkała w Domu Rencisty PAN w Konstancinie. Mnie natomiast opowiedziała inny fakt ze swego życia. W czasie wojny była zmobilizowana do Wojskowego Centrum Szkolenia Sanitarnego w Warszawie, stąd ewakuowała się z Warszawy na Kresy, gdzie została internowana przez armię sowiecką. W pamięci pozostało mi opowiadanie Niny z tego czasu. Obóz, w którym przebywała Nina razem z oficerami polskimi, był często odwiedzany przez politruków różnej płci i Ninę, jako znającą język rosyjski, koledzy zawsze delegowali jako tłumacza. Kobiety, które pojawiały się w obozie, były w okropnym stanie. Ubrane byle jak, niesłychanie prymitywnie. To skłoniło Ninę do zapytania kiedyś męskiego przedstawiciela władzy: Czy u was nie ma kobiet młodych, przystojnych, dobrze ubranych, eleganckich? Na co on skwapliwie, że oczywiście mają ich całe mnóstwo. Dlaczego więc takich nie widzimy? A on na to, patrząc na Ninę z niewysłowioną pogardą: „*A czto wy, turist?*”.

Ten mój serdeczny, bezpośredni kontakt z Niną urwał się, gdy zamieszkała w Konstancinie, bo podczas służbowych pobytów w Warszawie nie mogłam już do niej dojechać, i tylko z żalem, jadąc Marszałkowską do Instytutu, patrzyłam na Sadową i dom Niny, myśląc, że już jej tam nie ma i nie mogę się z nią zobaczyć i serdecznie pogadać. Ale na zawsze pozostała ona w mojej pamięci.

²⁴⁴ Rudolf Hoess (1900–1947), czł. SS, komendant KL Auschwitz, z-ca komendanta KL Oranienburg. Skazany przez NTN 11 III 1947 r. na karę śmierci. Stracony 16 IV 1947 r.

Henryka Matyniakowa – „Dzidka”

Spotkałam ją również w Fordonie, po powrocie z Inowrocławia. Bardzo szybko stałyśmy się sobie bliskie. Aresztowana dopiero w 1954 r., była dla mnie kopalnią informacji o tym, co się działo w świecie i w Polsce. Od niej dowiedziałam się m.in. o kardynale Wyszyńskim, o dogmacie Wniebowzięcia²⁴⁵ i o innych znaczących wydarzeniach. Korzystałam z jej nieprzeciętnej wiedzy w różnych dziedzinach. Urodzona w Paryżu, studiowała romanistykę na Sorbonie. Opowiadała mi o swojej rodzinie, o siostrach: Teresie Landy – franciszkance, którą miałam potem poznać osobiście, oraz o Janinie Dembowskiej, jej córkach i bratanku księdzu, a obecnie biskupie Bronisławie Dembowski²⁴⁶. Dzidka znała moją cioteczną i bardzo mi bliską siostrę – Zofię Małynicz, i przez ten fakt stała się dla mnie kimś jeszcze bliższym. Po wyjściu na wolność bywałam u niej bardzo często, a nieraz i nocowałam w jej niedużym mieszkanku przy ul. Jarosława Dąbrowskiego. Gdy powrócił z więzienia jej mąż Tadeusz, nie mogłam już oczywiście korzystać z noclegów, ale oboje zawsze mnie bardzo serdecznie witali i gościli. Byłam u swoich. Przeżyłam bardzo ciężkie chwile, gdy kiedyś po przyjeździe do Warszawy wyczytałam w gazecie nekrolog pana Tadeusza. Po namyśle, czy wkraczać swoją obecnością w intymny świat jej cierpienia, zdecydowałam się zadzwonić do Dzidki – przecież nie mogłam przejść obojętnie wobec jej bólu i żałoby. Wyraźnie się ucieszyła i natychmiast prosiła, żeby do niej przyjechać i zanocować, że mnie potrzebuje. I tak zrobiłam. Kiedyś, już po śmierci męża, Dzidka pokazała mi z wielką radością i dumą krzyż *Virtuti Militari*, który otrzymała z Londynu. Nie chwaliła się swoją działalnością w czasie okupacji, ale ten krzyż powiedział mi wszystko. Innym razem trafiłam na moment, gdy wybierała się do ambasady francuskiej na przyjęcie z okazji przyznanych jej *Palm Akademickich*. Razem ustalałyśmy, gdzie je sobie przypiąć do sukni. Dzidka – poza tym, że była

²⁴⁵ Dogmat Wniebowzięcia NMP ustanowiony przez papieża Piusa XII 15 XI 1950 r. w encyklice *Munificentissimus Deus*.

²⁴⁶ Bronisław Dembowski (ur. 1927), filozof, biskup włocławski (senior). Od 1956 roku rektor kościoła Św. Marcina w Warszawie, duszpasterz niewidomych, kapelan Klubu Inteligencji Katolickiej. Od 1981 r. prof. historii filozofii i filozofii bytu Papieskiego Wydziału Teologicznego ATK (do 1999 r. Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego) w Warszawie. W latach 1982–1992 wiceprzewodniczący Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności. Do 1984 r. krajowy duszpasterz Ruchu Nowy w Duchu Świętym. Od 25 III 1992 r. biskup włocławski.

wicedyrektorem gimnazjum imienia Narcyzy Żmichowskiej i nauczycielką francuskiego, wykładała także w Wyższej Szkole Języków Obcych, która niestety została potem zlikwidowana. Znając dobrze Jerzego Zawieyskiego²⁴⁷, udzielała mu lekcji konwersacji. Był on wówczas członkiem Rady Państwa i przysyłał po nią samochód. Dzidka odwiedziła mnie też we Wrocławiu, poznała moją Matkę, którą była oczarowana (jak zresztą wszystkie moje koleżanki, które kiedykolwiek się z Matką zetknęły), i gościła ją u siebie podczas jej pobytu w Warszawie. Dość często pisywałyśmy do siebie. Obiecywała kolejny przyjazd, który się wciąż odwlekał. W ostatnich listach, które zachowałam, pisała, że się leczy – miała coś z węzłami chłonnymi, ale wprost o tym nie pisała – stąd wynikała niemożność jej przyjazdu. A potem dowiedziałam się o jej śmierci.

Poczet tych, tak bliskich mi osób, z którymi mogę się łączyć już tylko w modlitwie, wciąż niestety się powiększa.

29. Ukrainki

Pragnę napisać o tych więziennych towarzyszkach, z którymi dzieliłam wspólną celę. Zacznę od Ireny Tymoczko-Kamińskiej²⁴⁸, która od jesieni 1981 r. mieszka w Stanach, a więź między nami trwa. Z Ireną spotkałam się w suterenie, w celi nr 7, w której z dwuipółletniego pobytu w tym oddziale więzienia w Fordonie siedziałam najdłużej. Nigdy nie było między nami jakichkolwiek nieporozumień. Panowała w naszej celi, a może i w innych celach sutereny, niepisana umowa o nieporuszaniu tematów zapalnych, czyli stosunków polsko-ukraińskich i rachunku wzajemnych krzywd. Było tyle innych problemów! Irka była i jest gorącą patriotką ukraińską, ale w kontaktach z nią nigdy nie wyczuwało się nawet cienia szowinizmu, tak często cechującego jej rodaczki. O naszej „Rysi” Szelałowskiej zawsze mówiła jako o wspaniałym człowieku, mądrym i z wielkim sercem. Ze wzruszeniem opowiadała mi, jak w jakiejś celi wybuchł zasadniczy spór między Polkami i Ukrainkami, w którym dowodzono, że Ukraińcy mają bardzo

²⁴⁷ Jerzy Zawieyski (1902–1969) pisarz, działacz społeczno-polityczny. W latach 1946–1953 i od 1956 r. współredaktor „Tygodnika Powszechnego”, w latach 1946–1951 i od 1957 „Znaku”. W latach 1947–1948 i od 1956 r. wiceprezes ZG ZLP. Od 1957 r. przewodniczący KIK, poseł na sejm (1957–1969) i członek Rady Państwa PRL (1957–1968).

²⁴⁸ Irena Tymoczko-Kamińska, skazana za przynależność do UPA.

świeżą kulturę, a jedynym jej przedstawicielem jest Taras Szewczenko²⁴⁹. Wtedy „Rysia” wyrecytowała z pamięci po ukraińsku, bez najmniejszego błędu w słownictwie i wymowie, wiersz innego poety ukraińskiego, którego nazwiska nie pamiętam. Osoba Rysi jest dla Irki kimś niesłychanie ważnym i bliskim. Bardzo przeżyła wiadomość o jej śmierci i na moje ręce przesyłała, nie pamiętam już jaką kwotę dolarów, z prośbą, bym ich użyła na uczczenie pamięci Rysi. Było to tym bardziej wzruszające, że sama żyła w bardzo trudnych warunkach. Pieniądze posłużyły na ofiarę mszy świętej za duszę Rysi oraz na kwiaty złożone na jej grobie.

Irena nie miała w Polsce nikogo, bo wszyscy jej bliscy zostali wywiezieni w głąb ówczesnego Związku Radzieckiego. Nie otrzymywała więc żadnej pomocy materialnej. Ale ogólną cechą wszystkich Ukrainek była bardzo silna solidarność. To było nie tylko dzielenie się paczkami czy wypiskami, co i dla nas było normalnym i powszechnie stosowanym zwyczajem, lecz także wielka dbałość o tożsamość narodową – jej uświadamianie tym, które nie odczuwały jej tak mocno lub też chciały ją ukryć przed władzami, licząc na jakieś ulgi czy ochronę przed wywiezieniem na wschód. Jeszcze więcej starań dokładały, gdy stykały się choćby tylko z chęcią współpracy, a zwłaszcza już z zaangażowaniem we współpracę ze „specem”. Nie zostawiały takiej koleżanki nigdy samej sobie, ale bardzo usilnie pracowały nad odzyskaniem jej dla więziennej społeczności. Ukrainki wychodzące na wolność zawsze też dbały o swoje towarzyszkę pozostającą jeszcze w więzieniu. Tak było i z Irką, gdy na wolność wyszła Irena Stysło²⁵⁰. Mimo że mieszkała we Wrocławiu – przyjeżdżała na widzenia z Irką jako jej kuzynka, wysyłała paczki oraz pieniądze na wypiski. Do niej też Irka pojechała i u niej zamieszkała przez jakiś czas, dopóki nie znalazła jakiegoś lokum. Irena Stysło sama żyła w trudnych warunkach, a dzieliła się wszystkim. Obie spały na jednym łóżku. Irka miała wyjść parę miesięcy przed ukończeniem mego wyroku. Wiedząc o tym prosiłam, by zobaczyła się z moją Matką i opowiedziała o naszym wspólnym pobycie i o wszystkim, co zechciałaby opowiedzieć o mnie. Irenka oczywiście zaraz się na to zgodziła, ale zastrze-

²⁴⁹ Taras Szewczenko (1814–1861), ukraiński poeta i malarz. Syn chłopca pańszczyźnianego, uczeń K. P. Bruiłowa, reprezentował w malarstwie kierunek realistyczny. Rozgłos zdobył tomem wierszy i ballad romantycznych *Kobzarz* (1840). Aresztowany za przynależność do tajnego ukraińskiego Stowarzyszenia Cyryla i Metodego, karnie wcielony do wojska i wysłany do twierdzy w Orenburgu, następnie w Nowopetrowsku.

²⁵⁰ Irena Stysło, skazana za przynależność do UPA.

gła się, że zna stosunek Polaków do Ukraińców, a nie może ukryć ani się zaprzec swojej narodowości. Natychmiast ją uspokoiłam, mówiąc, że jest przecież moją bliską koleżanką i nie musi zaraz na wstępie przedstawiać się jako Ukrainka, ale oczywiście nie musi tego skrywać. Tak też się stało. Irka przysłała do mojej Matki i bardzo szybko stały się sobie bliskie. Obie też przy tym spotkaniu się popłakały. Ten nawiązany już kontakt między nimi pogłębił się, gdy wyszłam na wolność. Irka ogromnie przywiązała się do mojej Matki i do tej pory o niej pamięta, chociaż od 1981 r. przebywa w Stanach. Co roku w dniu 19 marca telefonuje, najpierw bezpośrednio do Mamusi, a po jej śmierci do mnie, mówiąc: „Rutko, to dzisiaj jest 19 marca, imieniny twojej mamusi”.

Po wielu odmowach Irka uzyskała wreszcie paszport i w stanie wojennym przebywała już w Ameryce. Na pewno nie rozporządzała dużymi pieniędzmi, a mimo to kilkakrotnie przysłała na święta wspólną paczkę dla nas czterech fordonianek: Halusi Żelaźniewicz²⁵¹, „Myszki” Skrzypiec, Basi Dunin i mnie.

We Wrocławiu nie widywałyśmy się często. Studiowałam i pracowałam, Irenka zaś pracowała w księgarni obcojęzycznej, a po maturze zdała pomyślnie egzamin na zaoczne studia historii na Uniwersytecie Wrocławskim. Wykorzystywała każdą wolną chwilę i mimo wielu obowiązków potrafiła zrobić dwa lata studiów w jeden rok, jej także trudno więc było znaleźć czas na odwiedzin. Widywałam ją najczęściej w księgarni lub też u niej w domu przy okazji świąt czy imienin. Później zaś zaangażowało ją zamążpójście, jak najwięcej czasu starała się spędzać w domu. Ale stosunki między nami były tak bliskie, że gdy dotyczyły ją ciężkie przeżycia, to zwierzyła się z nich najpierw mnie, a później także mojej Matce.

Nic więc dziwnego, że dowiedziawszy się o otrzymaniu już przez nią obywatelstwa amerykańskiego i o tym, że wybiera się na Ukrainę odwiedzić rodzinę, bardzo chciałam, żeby w powrotnej drodze zahaczyła o Wrocław. I tak się szczęśliwie stało. Niemal zaraz po przylocie zadzwoniła do mnie i po króciutkim odpoczynku przyjaciele przywieźli ją do mnie. Było to 24 X 1997 r. Czekając na Irkę, zadawałam sobie pytanie, czy się bardzo zmieniła przez te lata, czy ją poznam od razu. Ale gdy tylko stanęła

²⁵¹ Halina Żelaźniewicz, znajoma mjr. Andrzeja Rudolfa Czaykowskiego, ps. „Garda”. W odpryskowej sprawie Czaykowskiego, tzw. „Sprawie ciotek” aresztowano kilkudziesięciu jego krewnych i znajomych, w tym m.in. Halinę Żelaźniewicz.

w drzwiach, obie jednocześnie wykrzyknęłyśmy: „Tyś się nic nie zmieniła!”. I zasiadłyśmy od razu do rozmowy. Nie trwała ona niestety długo, bo tylko dwie godziny, a tematów nie brakowało i pozostał niedosyt. Irka miała jednak wiele spraw do załatwienia, a następnego dnia czekało ją spotkanie z koleżankami – Ukrainkami, a potem odlot do Stanów. Wypytała mnie o wszystko i o wszystkich. Wspominałyśmy nasze wspólne koleżanki i przeżycia, opowiadałyśmy sobie o tym, co nas łączy. Irka bardzo uważnie śledzi rozwój stosunków polsko-ukraińskich, jest pełna wiary, że ułożą się one pomyślnie. „Krok po kroczku – jak powiedziała – ale idzie ku lepszemu porozumieniu”. Wspominałyśmy święta spędzone w suterenie. „Pamiętasz? – mówiła – jak obchodziliśmy zawsze podwójne święta i zawsze zostawiało się jakieś przysmaki na naszą Wigilię, a zwłaszcza na Jordan? Jak robiłyśmy krem z neski, którą ci przysłała twoja «ciocia» z Londynu? (jeden z absurdów więziennych: paczek z domu nie wolno było wysyłać, ale wolno je było otrzymać z zagranicy). A jak pełniłyśmy dyżury w wasze święta, a wy w nasze?” – Było nam bardzo trudno rozstać się, ale Irka obiecała, że ten pierwszy pobyt w Polsce na pewno nie jest ostatni.

Irka nie była jedyną Ukrainką mieszkającą we Wrocławiu. Mieszkało tutaj kilka innych. Pamiętam Gienię Skab i Marysię Huk, ale obie już nie żyją. Parę lat temu udało mi się zorganizować w mojej parafii mszę św. odprawioną za zmarłe Ukrainki. Te, które żyją, odwzięczyły się z kolei mszą św. odprawioną w ich greckokatolickiej parafii. Na obie msze, zwłaszcza na naszą, przyjechały Ukrainki także spoza Wrocławia, nawet jedna z trudem poruszająca się o kulach, bardzo wdzięczne i wzruszone.

Pamiętam Ludkę Kot. Ludka była bardzo koleżeńska i łatwa we współżyciu. Opowiadałam już o tym, jak oddziałowa „Małowanka” szybko odkryła jej talent do igły i często obdarzała ją prywatnymi zajęciami. Zwykle mówiła gładziutko: „Kot! Załapiecie mi oczko w pończosze?”. Albo: „zacerujecie mi ładnie tę dziurę?”.

Po Ludce zjawiła się w mojej celi Stefa Kunicka. Bardzo ładna, czarnooka, z pięknymi czarnymi włosami. Niebywała śmieszka i ogromnie miła we współżyciu. Stefa bardzo lubiła poezję. Miałyśmy akurat w celi poezje refleksyjne Staffa i Stefa uczyła się ich z zapalem. Miała kilka ulubionych wierszy, które w całości lub we fragmentach często i z lubością mówiła na głos.

Z Ludką spotkałam się jeszcze raz w celi nr 10, dokąd mnie przeniesiono na kilka – jak się potem okazało – miesięcy. Było mi ogromnie żal opusz-

czać moje dotychczasowe towarzyszek, z którymi bardzo się żyłam, toteż ucieszyłam się, zobaczywszy znajomą twarz, bo w nowej celi nikogo poza Ludką nie znałam. Była też tam druga Ukrainka – Wiera Szot – ale z nią nie nawiązałam kontaktu.

W końcu czerwca 1952 r. poszłam do pracy na podwórku. W celi było nas cztery: Basia Białostocka, Maryjka Kolska, Stefa Onyszkiewicz i ja. Z wyjątkiem słabowitej Maryjki, która dostała zajęcie w biurze, zostałyśmy skierowane do ciężkiej pracy na podwórku. Nasza cela była bardzo zgrana – z Basią ćwiczyłam angielski, ze Stefą Onyszkiewicz byłyśmy sprzężone do roboty. Było nam naprawdę bardzo dobrze, aż do pamiętnej nocy 26 sierpnia 1952 r., gdy po ciężkiej pracy fizycznej wyrwano nas ze snu, kazano zabrać rzeczy z depozytu i poprzez korytarz suterenu wyprowadzono do czekającej już ciężarówki. Zobaczyłam wtedy, że wszystkie cele są otwarte i opustoszałe, porzucane w pośpiechu. Pomyślałam więc, że nie czeka nas nic dobrego.

W Inowrocławiu, dokąd nas zawieziono, rozsadzono nas w pojedynczych celach. Siedziałam między „Rysią” Szelągowską i Stefą Onyszkiewicz. Obydwie poznałam po głosie w czasie meldowania. Niestety, żadna z nich, i ja też, nie próbowałyśmy nawiązać kontaktu morsem. Od czasu do czasu klepałyśmy ze Stefą przyjaźnie w ścianę, ale Rysia milczała. Jakis czas później zawieziono ją do szpitala w Grudziądzu, nas obie zaś przenoszono, chyba dwukrotnie, do sąsiadujących ze sobą cel. Gdy wylądowałyśmy na parterze, zaczęłyśmy spontanicznie do siebie stukać. Prowadziłyśmy długie rozmowy przez ścianę, opowiadając o swoich przeżyciach w samotności, poruszałyśmy różne poważne problemy. Chyba w końcu czerwca 1953 r. dano nam książki – aż śmiałyśmy się z radości z powodu tytułów które otrzymałyśmy. Stefa dostała jakąś maleńką broszurkę typu *Racjonalny chów prosiąt*, ja zaś podręcznik dla techników mleczarstwa. Byłam szczęśliwa, bo mogłam sobie przyswoić trochę wiedzy, a jednocześnie odczułam złośliwą radość, że władze – wbrew swej woli – poszły mi bardzo na rękę. Ten kontakt ze Stefą był dla mnie ważny i wspominam go jak najlepiej.

Z niektórymi koleżankami, o których piszę, nie spotkałam się nigdy na wolności. Od czasu do czasu z wielkim żalem dowiaduję się, że którąś z nich zmarła.

Te moje, dosyć skąpe, wspomnienia o Ukrainkach chcę przekazać z myślą o tym, że one także przeżywały razem z nami ciężkie śledztwa, więzie-

nie o zaostrozonym rygorze, a wreszcie i całkowitą izolację w Inowrocławiu. Były po prostu naszymi więziennymi koleżankami, o których trzeba pamiętać. Czy nam się podoba czy nie – one także walczyły o wolność swojej ojczyzny.

30. Autochtonki

Babcia Butler, suterena 1951 rok

Była sporo starsza od nas. Weszła do naszej celi – siódemki – bardzo już ze sobą zżytej. Zapamiętałam jej ówczesny skład, bo zmieniał się co parę miesięcy. Była więc „Myszka” Cieślińska, Stefa Kunicka i chyba Ludka Kot, reszty już nie pamiętam. Babcia, bo tak ją od razu nazwałyśmy, od razu dała się polubić. Budziła nasze żywe zainteresowanie. Po raz pierwszy zetknęłyśmy się z kimś, kto po prostu był „stamtąd”. A to stamtąd – to była wioska na Mazurach. Niestety, nie pamiętam już jej nazwy, a tak bardzo nas zapraszała do siebie, jak już będziemy na wolności. Babcia była ewangeliczką²⁵². Chodziła do kirchy, ale w domu był kancyjonał po polsku. I po polsku były odprawiane nabożeństwa. Aż nagle wszystko się zmieniło i języka polskiego nie było już w kirsze ani w wiosce. Ale kancyjonał pozostał w domu. A jej ojciec, jak cytowała, mówił piękną polszczyzną. Zapamiętałam dwa zdania: „Córecko, psynieś drwa na wieceże” i „córecko, otwóz dźwieże”. Babcia żyła sobie szczęśliwie ze swoim mężem Wilusiem i kilkunastoletnią córką. Druga wojna światowa przeszła, jakby koło niej, nie zostawiając żadnych krwawych śladów. Potem przyszli Sowieci. Nawet się ucieszyła, że ich język może zrozumieć. A potem przyszli Polacy – to już było bardzo dobrze. Do czasu... Bo pewnego wieczora – Wilusia nie było akurat w domu – zjawiło się kilku żołnierzy w polskich mundurach, którzy prosili o coś do jedzenia. Nakarmiła ich jajecznicą, oni sobie poszli, a ona z córką położyły się spokojnie spać. Wiluś nadjechał do domu. Niedługo potem przyszli do domu jacyś ludzie i zabrali ją i córkę do miasta, do aresztu. Siedziała w celi, nie rozumiejąc, czego od niej chcą, o co im chodzi. Na śledztwie

²⁵² Wilhelmina Butler, z domu Krauze, córka Augusta, urodzona 14 września 1894 r. w Piasutnie, zweryfikowana Mazurka wyznania ewangelickiego.

o coś ją pytali, nic z tego nie rozumiała, ale jak kazali podpisać, to podpisywała. Wszystkiego okrutnie się bała. W jakiś czas potem przestali ją wzywać na przesłuchania, ale za to zabrali do sądu. Zastraszona dalej nie rozumiała, o co tutaj chodzi. Wyrok zapadł szybko. Kara śmierci, zamieniona na dożywocie, a córka skazana na osiem lat więzienia. Gdy z sali sądowej wracała do więzienia, to prowadzący ją strażnik zdumiewał się nad zbrodnią, którą popełniła, i od niego dopiero dowiedziała się, że żołnierze przez nią nakarmieni to byli Ukraińcy przebrani w polskie mundury, i że po wyjściu z jej domu wdali się w bójkę z żołnierzami polskimi i zabili jednego czy dwóch, a sama Babcia została oskarżona o pomoc w tym ponoć zaplanowanym zabójstwie. Z tymi wyrokami przewieziono obie do Fordonu.

Po krótkim pobycie w celi na górze Babcię dano do naszej w suterenie. Pierwszy raz zetknęłam się wtedy z kimś, kto całkowicie nie ma poczucia narodowości. Ona nawet nie wiedziała tego, że mieszka na Mazurach. Jej świat – to była wioska, w której się urodziła i mieszkała, i pobliskie miasteczko. Nie wiedziała, co to jest państwo, co to jest konstytucja, czy też amnestia. Tego wszystkiego trzeba było ją po prostu nauczyć. Chodziło mi tu przede wszystkim o to, by swoją sprawę przedstawiła naczelnikowi więzienia, żeby mogło dojść do rewizji tego piramidalnie niesłusznego wyroku. A potem trzeba było ją nauczyć, jak ma pokonać strach, idąc do naczelnika. Okrutnie się tego bała i tego, że nie zdoła wykrztusić nawet paru słów, bo się zaraz rozplacze. A w celi nie płakała nigdy. Była uśmiechnięta, wesoła i często dowcipna. Raz, gdy któraś cela była na spacerze, stałyśmy przy oknie, żeby troszkę z sąsiadkami porozmawiać. Babcię ustawiliśmy przy drzwiach, żeby „murowała wizjerkę”. Nagle Babcia, jak oparzona odskoczyła od drzwi, a my za nią – i jakoś się udało.

Ale zaraz pytam: „Babciu, dlaczego Babcia to zrobiła, przecież wpadłybyśmy przy tym oknie” – a na to Babcia filuternie „A strach – to co?”. I wszystko zakończyło się śmiechem.

Nauka Babci posuwała się naprzód. Najważniejszą rzeczą był wstęp. Posłusznie powtarzała za mną pierwsze zdania, w których miała się zwrócić do naczelnika. Sam opis sytuacji szedł już jej łatwiej. Cel został osiągnięty. Babcia się zgłosiła i naczelnik ją przyjął. Dosyć szybko zabrano ją od nas. Dowiedzieliśmy się, że miała ponowienie sprawy i wyrok jej zmniejszono chyba do dwunastu lat – tego nie jestem pewna. Znalazła się wśród pracujących. W jej celi siedziały Niemki i one się nią zajęły. Córka dostała

ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego. Przewieziona do szpitala więziennego w Grudziądzu zmarła. Babcia miała konfiskatę mienia. Zabrano połowę ich wspólnego gospodarstwa. Nigdy już jej nie spotkałam.

Wyszła na wolność, gdy byłam w Inowrocławiu. Nie zapamiętałam wsi, w której mieszkała, a dokąd nas tak serdecznie zapraszała, bo tak chętnie bym ją tam odwiedziła. Z całą pewnością została bezpowrotnie stracona dla Polski.

Joanna Grzondziel – „międzynarodowa cela” w Fordonie 1955/1956 r.

Cela była duża, wszystkie pracowałyśmy na produkcji. Było nas około dwudziestu. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, ostatnie spędzone przeze mnie w więzieniu. Postanowiłyśmy zorganizować wspólne święta. W celi tej siedziały wtedy Ukrainki (pamiętam Ludkę Kot), Niemki: Anna Marie ze sprawy Robineau²⁵³ (nazwiska nie pamiętam) i Joanna Grzondziel. Przygotowywałyśmy się do świąt. Postanowiłam zrobić szopkę, do której ulepiłam z chleba wszystkie figurki, a sama szopka była chyba z tektury – było jej pod dostatkiem w naszej pracowni – a poszycie było ze słomy wyciągniętej z sienika. Tym zajmowałyśmy się po powrocie z pracy. Siedziałyśmy jakoś tak skupione na naszych pryczach i wtedy Joanna zaczęła opowiadać o sobie.

Urodziła się i mieszkała na Śląsku. W domu mówiło się po niemiecku, bo rodzina jej uważała się za Niemców, ale polski oczywiście znała, bo to było w granicach Polski przedwojennej. Nazywała się wtedy Gronzil. Po zakończeniu wojny razem z całą rodziną została wywieziona na wschód. Tam zmarł jej ojciec. Wróciła do Polski i niedługo potem została aresztowana. Władze peerelowskie chciały koniecznie zaprowadzić polskość, w więzieniu dowiedziała się, że nie nazywa się już Gronzil, ale Grzondziel, bo to musiało być jej prawdziwe nazwisko, które zostało zmienione. Było jej bardzo trudno nie tylko się z tym pogodzić, ale samo wymówienie tego nowego, obco brzmiącego nazwiska sprawiało jej dużo kłopotu. W czasie licznych przesłuchań musiała wielokrotnie odpowiadać na pytanie „Jak się

²⁵³ André Simon Gustave Robineau (ur. 1924) francuski dyplomata. Od 1947 r. bibliotekarz Instytutu Francuskiego, następnie sekretarz przy ekspercie Francuskiego Towarzystwa Klasyfikacyjnego statków handlowych „Veritas” w Gdyni. W czerwcu 1948 r. został zaangażowany jako urzędnik w konsulacie Francji w Szczecinie. 19 XI 1949 r. został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i skazany 14 II 1950 r. na 12 lat więzienia. Uwolniony 21 XII 1953 r. aktem łaski Rady Państwa został zwolniony z więzienia i wydany z PRL.

nazywasz?”. Często się myliła i za karę musiała powtarzać „Grzondziel, Grzondziel”. O swoich przeżyciach opowiadała bardzo oszczędnie, nie rozczulając się nad sobą i to robiło na nas jeszcze większe wrażenie. Te wspólne święta zapadły mi głęboko w pamięć. Byłyśmy wszystkie razem, zjednoczone we wspólnej modlitwie. Joanna wyszła na wolność z amnestii. Nigdy się z nią nie spotkałam, ani z nikim, z kim byłaby w kontakcie. Została mi w pamięci jako „żywy” dowód „nawracania na polskość”.

To są dwa przykłady „repolonizacji”, która musiała doprowadzić do masowych wyjazdów mieszkańców Śląska, Mazur czy Warmii do Niemiec.

31. Barwne postacie wśród pospolicitych

„Hrabina” („Ogólniak” na Mokotowie)

Nasze towarzyszki z lewej strony celi zmieniały się, a nas wciąż przybywało. Siedzące za współpracę zabrano, przyszły natomiast złodziejki i prostytutki. Pamiętam, jak korytarzem szła jakaś nowa, a nasze zaczęły do niej wołać: „O, Belami przyszła, Belami!”. Jej przestępstwo polegało na tym, że zajęła na rogu ulicy nie swoje miejsce i zapewne przy tej okazji się z kimś pobiła. W tym samym mniej więcej czasie dano nam do celi „hrabinę”. Nazywała się chyba Szpondrowska. Miała krótki wyrok paru miesięcy, a więc nikłe przestępstwo. Z całą pewnością nie była to jej pierwsza odsiadka. Była „hrabiną”, bo nic sama koło siebie nie robiła. Nawet nie ścieliła siennika, mówiąc, że zrobią to za nią służące. I rzeczywiście, zawsze którąś z jej koleżanek ją obsługiwała. Aresztowana w lecie, w czarnej, jedwabnej sukience, w celi chodziła w więziennym stroju. W styczniu miała wyjść. „Służące” reperowały jej więzienny dobytek, i tak przeznaczony do zdania przy wychodzeniu. Widząc, jak pierzemy czy „prasujemy” naszą bieliznę czy bluzki (podkładając odpowiednio złożone pod najbardziej do tego nadające się siedzenia naszych koleżanek) słodkim głosem pytała: „Czy to pani dla mnie szykuje na wolność?”. Najwięcej śmiechu było z nią zawsze wieczorem, po apelu, bo „hrabina” z jakichś nieznanych nam powodów nie chciała kłaść się spać. Zawsze była ta sama śpiewka. Oddziałowa Sabina wołała, żeby „hrabina” się kładła i odbywały się całe dialogi na temat tego spania. W styczniu wypuszczono „hrabinę” na wolność. Ponieważ nie miała nic ciepłego, dano jej więzienną bieliznę (barchanową) i jakąś sukienkę. „Hrabina” odrzuciła je z oburzeniem. Powiedziała, że nie będzie w takich łachach wychodzić na

wolność. Wyrwała się, pobiegła na górę i stanęła przed kratą naszej celi. Chciała koniecznie do nas wrócić. Oczywiście, jej życzeniu nie mogło stać się zadość. Nie było to przewidziane regulaminem więziennym i „hrabina”, chcąc nie chcąc, w cienkiej, jedwabnej sukieneczynie opuściła więzienie. Na jak długo?

Heńka złodziejka

O Heńce opowiadała mi na „dziesiątce” „Zulka” Magnuszewska. Spotkała się z nią na Zamku w Lublinie. W więzieniu była korytarzową, była w świetnych kontaktach nie tylko z politycznymi, ale również z oddziałowymi. Była uczennicą słynnego Szpicbródki. Niesłychanie zręczna, umiała – po złodziejsku – zrobić coś zupełnie niepostrzeżenie. Przyniosła na przykład do celi wypiskę i umiała sprzed nosa wziąć jakiś produkt zupełnie niepostrzeżenie, a potem się śmiała z naszych koleżanek, że są takie gapy. Kiedyś jedna z nich – „Fala” – opowiadała, że jej matce, jadącej w Warszawie tramwajem, jakiś złodziej stojący za nią chciał ukraść lisa, którego miała na sobie, ale ona przytrzymała tego lisa za ogon i ten ogon został w jej ręku. Na to Heńka: „Fala! – to była twoja mama? To ja jej tego lisa ściągnęłam i martwiłam się, że taki kancer. Ale jak tylko wyjdę na wolność, to ci dziesięć takich przyniosę”.

Zbliżało się lato. Heńka była bardzo niespokojna. „Słuchajcie – mówiła – na świecie jest sezon, a ja tu siedzę. Muszę koniecznie wyjść”. Starsze więźniarki polityczne bardzo Heńkę lubiły i chciały się nią zająć na wolności. Ona jednak stanowczo odmawiała, twierdząc, że nie może odpowiadać za siebie i mogłaby wbrew woli ulec pokusie i okraść swoje opiekunki. No i wyszła na wolność, ale zaraz okradła swego prokuratora. Nakupiła mnóstwo słodczy, poszła na dworzec kolejowy i wszystkich naokoło częstowała, a potem zatelefonowała do więzienia i powiedziała oddziałowej, żeby szykowała dla niej celę, bo tam zaraz się znajdzie. I tak się stało. Ja ją dobrze zapamiętałam z tych opowiadań Zulki i nawet się ucieszyłam spotkawszy ją na mokotowskim „ogólniaku”. Szybko się jakoś z nią dogadałam, bo na ogół nie była zbyt ufna w stosunku do nieznanomych. W celi był tłok. Było nas wtedy grubo powyżej setki. Więźniarki pospolite zabierano do pracy w kartoflarni, ale Heńka zawsze tak kluczyła, żeby się znaleźć wśród tych, co miały pozostać w celi. Nie miała zamiaru iść do pracy. Któregoś dnia zauważyłam ją przy oknie; stała razem z koleżanką i coś sobie robiły na rękach. Gdy się zbliżyłam, z początku

nie chciały mi powiedzieć, o co chodzi, ale wreszcie Heńka wyjawiała mi, że robią sobie „świerzba”, aby zabezpieczyć się przed pójściem do pracy. W jakiś specjalny sposób nakłuwały sobie ręce, które z wyglądu można było uznać za „świerzbawate”. Z tymi dolegliwościami zgłosiły się do sanitariatu, dostały jakąś maść i uwolniły się od pracy. Gdy nas przenieśli do celi naprzeciwko, Heńka została w starej i już jej więcej nie spotkałam. Pozostało mi wspomnienie tej niecodziennej dziewczyny, mającej swój złodziejski honor. Usłyszałam od Lali Prorokowej, że po pobycie w Fordonie okradła jednak swoje opiekunki.

Marta Miazio („ogólniak” na Mokotowie)

Skazana za napad czy też napady z bronią w rękę. Z tego powodu była sądzona razem z mężem przez sąd wojskowy. Była wytatuowana od stóp do głów. Opowiadała, że gdy ją przywieźli na Mokotów, zapytana o znaki szczególne, odpowiedziała, że „żadne”, i w to uwierzono bez sprawdzania. Opowiadała też, że tatuaże jej męża są bardziej malownicze, ale raczej niecenzuralne. Gdy ją dano do celi, w której większość stanowiły kobiety skazane za współpracę z Niemcami, a nie wiedziała, że są także bardzo nieliczne więźniarki polityczne, przy apelu wystąpiła do przodownika (Bartczaka) stwierdzając, że jest polityczną złodziejką, że siedziała za Polski, potem w czasie okupacji i wreszcie teraz, więc nie będzie siedziała ze współpracą. Gdy się dowiedziała o nas, przestała protestować, czując się jakoś związana z nami. Wiem z całą pewnością, że gdyby spotkała którąś z nas na wolności lub gdyby ktoś z jej kumpli chciał taką okraść – to nie pozwoliłaby na to albo spowodowałaby zwrot już ukradzionej rzeczy. Wygląd jej nie budził zaufania. Była czarna, niska, nieładna, o bystrym spojrzeniu, który mógł budzić strach, ale przy bliższym poznaniu nieco zyskiwała.

Pani Mrozowa („ogólniak” na Mokotowie)

Przyszła do naszej celi z więzienia przy ul. 11 Listopada, niedługo przed transportem do Fordonu. Miała też sąd wojskowy. Była skazana za paserstwo. Aresztując ją, zamknięto też konia, ukradzionego gdzieś z wojska.

Była niesłychanie barwną postacią. Pochodziła z podwarszawskiej wsi. Opowiadała, że zaaresztowany koń stał na podwórzu, a ona siedziała w piwnicznej celi. Któregoś dnia wszedł do nich naczelnik i pytał kolejne więźniarki, za co siedzą, i tym podobnie. Ona była oczywiście „niewinna”, bo

na ogół wszystkie siedziały za niewinność. Koleżanki odpowiadały na pytania naczelnika, a ona odwróciła się do niego plecami, stając przy oknie. Na to naczelnik zwrócił się do niej: „A wy Mrozowa, o czym tak myślicie?” „A ja sobie tak myślę – odpowiedziała – co kura pije a nie scy? I jus mnie więcej nie pytoł”.

„Córeczka” – małolatka (Fordon)

Zupełnie nie pamiętam, jak się nazywała. Pewnego dnia obrała mnie za swoją matkę więzienną i często do mnie przychodziła z prośbą: „Mamo, daj mi papierosa”. Obdarzona wielkim sprytem. Gdy – według niej – oddziaływała odezwała się w jakiś niezupełnie wersalski sposób, to natychmiast reagowała: „Jak pani oddziaływała do mnie mówi? Ja jestem małolatka, a do tego ja mam osiemnastkę” – artykuł 18 kodeksu karnego oznaczał nieodpowiedzialność za popełnione czyny. Zorganizowano wtedy w więzieniu szkołę podstawową i małolatki musiały do niej uczęszczać, ale moja „córunia” nie miała na naukę najmniejszej ochoty. Kryła się, gdzie się tylko dało, wchodziła pod łóżka, nawet i w mojej celi. Przy tej okazji potrafiła na swój sposób głośno się modlić: „Matko Boska z któregośkolwiek kościoła, zabierz od nas tę nauczycielkę!”. Gdy dano mnie do sutereny, straciłam kontakt z „córeczką”, bo już nie miała do mnie dojścia. Podziwiałam jednak zawsze jej spryt. Ona – małolatka – ledwo piśmienna, potrafiłaby sprzedać nas wszystkie.

„Biała Brev” („ogólniak” na Mokotowie)

Siedziała za przestępstwa pospolite. Była „znaczną”, bo jedną brew miała kompletnie siwą i dlatego mówiło się o niej „Biała Brev”. Nie zapamiętałam żadnego szczegółu z jej pobytu w naszej mokotowskiej celi, jedynie tylko tę charakterystyczną brew. Nic dziwnego, przecież było nas wtedy w celi więcej niż sto, a nasze współtowarzyszki często się zmieniały. Albo wychodziły na wolność, albo zabierano je do innej celi, a nam dawano w zamian „współpracę”. Chyba w rok lub dwa lata po wyjściu na wolność jechałam z Matką tramwajem w kierunku Rynku. Zbliżyła się do nas konduktorka, która na mój widok z radością omal nie rzuciła mi się na szyję. To była „Biała Brev”. Potraktowała mnie, jak co najmniej bliską i dawno niewidzianą przyjaciółkę. Rozpoczęła jakąś gawędę. Matka patrzyła mocno zdziwiona, nic nie rozumiejąc. Dopiero po wyjściu z tramwaju opowiedziałam jej o naszej znajomości. Jeszcze parę razy widziałam ją w tramwaju, ale do rozmowy już nie doszło.

32. Trudna wolność

Ta wolność – tak wytęskniona i oczekiwana przez nas – była rzeczywistością trudna. Aresztowane, począwszy od 1944 r., skazywane na wyroki o różnej wysokości, byliśmy zwalniani w różnych latach: po odsiedzeniu części lub całości wyroku, aż do wielkiej amnestii w maju 1956 r., po której nieliczne tylko koleżanki pozostały za kratami.

Więzienie na wiele nieraz lat przerwało nam brutalnie ciąg życia. Przez cały ten czas miałyśmy słabe wyobrażenie o tym, co się dzieje na tzw. wolności. Trochę wiadomości uzyskiwało się od aresztowanych później, trochę dawała nam lektura gazet – o ile były dostępne. Zdawałyśmy sobie jednak sprawę, że w pewnym sensie jesteśmy bardziej wolne od naszych najbliższych. Bardziej, bo mogłyśmy – na przykład – pozwolić sobie na to, żeby na mokotowskim „ogólniaku” obchodzić rocznice narodowe, śpiewając pieśni powstańcze i okupacyjne, zarówno krajowe, jak i te powstałe na emigracji, oraz recytując zakazane wiersze.

Wyjście na wolność było przekroczeniem pewnej bariery, którą każda z nas musiała pokonać indywidualnie. To było zderzenie z rzeczywistością, w wielu aspektach nieznana i niezrozumiała. To było spotkanie się z najbliższymi, gdzie obydwie strony były obciążone odmiennym bagażem przeżyć. To była więc obawa, że można nie znaleźć wspólnego języka z matką, mężem, rodzeństwem, dziećmi, dorastającymi i rosnącymi bez matki, którą może tylko od czasu do czasu mogły oglądać przez kraty czy siatki w czasie krótkich i bardzo pilnowanych widzeń. To wreszcie było znalezienie własnego miejsca w rodzinie, w najbliższym środowisku, w społeczeństwie, kontynuowanie przerwanej nauki, czy też dostanie się na studia. Jednym słowem – rozpoczęcie nowego życia. I to zetknięcie się z tą wymarzoną wolnością było nieraz bardzo brutalne. Życie osobiste zostało niejednokrotnie boleśnie pokiereszowane i splątane, nawiązanie kontaktu z najbliższym otoczeniem niosło wiele trudności.

Więzienie było tematem tabu. Można go było poruszać wyłącznie w gro- nie tych, co także je przeżyli. Rychło okazało się też, że „kto raz dostał się pod opiekę bezpieki – jak powiedział pewien ubek mojej matce, nie zastając mnie w domu – ten spod tej opieki już nigdy nie wyjdzie, bo władze bezpieczeństwa zawsze będą o nim pamiętać”. I ta „opieka” stała się dla wielu z nas, a zwłaszcza dla tych, które zostały zwolnione wcześniej, prawdziwą gehenną. Zaczęło się już od zameldowania. Nie pozwalano na mel-

dunek ani na pobyt w Warszawie i wszelkimi sposobami starano się zmusić do wyjazdu z tego miasta. Bez zameldowania nie można było dostać pracy. A gdy się tę rafa w jakiś sposób przebyło, to wychodziła na jaw ta nieszczęsna przeszłość więzienna, uwidoczniła w ankiecie personalnej. No – i do widzenia z pracą. Szukaj sobie następnej i żyj, człowieku, wolny jak ptak na gałęzi, narażony na silne podmuchy wiejącego z różnych stron wiatru. I ułóż sobie to upragnione życie osobiste, pod nieustanną „opieką” władz, która miała bardzo, bardzo długie ręce i dosięgała każdego zakątka i każdego aspektu życia.

Były więźniarki – zarówno wychodzące na wolność wprost ze sprawy, a takich nie było dużo, jak i te, które odbyły dłuższe wyroki – bardzo często nęcano wezwaniami na różne „rozmowy” i przesłuchania. Były ustawicznie śledzone. Koleżanki znały już swoich szpicli, stojących nieraz na mrozie lub słońcu i obserwujących ich domy. Ta czujna opieka i przesłuchania, a niejednokrotnie propozycje współpracy pod groźbą szantażu, mogły doprowadzić do rozstroju nerwowego i czyniły życie koszmarem. Jak wiem od paru koleżanek – udało im się z tego wyzwolić przez ostry protest i jasne postawienie sprawy w wojewódzkich UB. Ponadto o tych wszystkich poczynaniach bezpieki mogli wiedzieć tylko najbliżsi i to w wielkiej tajemnicy, bo władze UB nakazywały zachowywanie kompletnego milczenia.

I przez te długie lata myśmy milczały, społeczeństwo nic o nas nie wiedziało. Krótka „popaździernikowa odwilż” nie otworzyła nam ust. Było za wcześnie. A potem nadeszły kolejne znaczące lata: marzec 1968 r., potem KOR i „Solidarność” – to były już inne czasy, inne pokolenia, inna walka o niepodległość. Nasz udział w niej, będący ogniwem łączącym działalność w latach okupacji z latami, o których piszę – uległ nie tyle zapomnieniu, bo nie znając go nie można było o nim pamiętać – ile całkowitemu pominięciu. Powstała literatura drugiego obiegu, ale nas w niej praktycznie nie było. Wszystkie dawne sprawy zostały przysłonięte aktualnymi, a potem stanem wojennym, internowaniem i skazywaniem działaczy „Solidarności”. Polska stała się centrum uwagi i zainteresowania całego świata. Tej olbrzymiej pomocy, okazanej nam przez tyle narodów, organizacji, osób prywatnych, nie można nigdy zapomnieć. A i nasze społeczeństwo, zaangażowane w dziesięciomilionowej „Solidarności”, uczestniczące w różnych strajkach i manifestacjach, okazywało również ogromne zrozumienie i pomoc dla ściganych, internowanych czy więzionych. Wszyscy

żyliśmy sprawami bieżącymi, pomocą potrzebującym. Ludzie z Zachodu, przyjeżdżający do nas z darami i różną pomocą, byli oczywiście zainteresowani wyłącznie losem aktualnie internowanych czy więzionych. Nie była to pora na ujawnianie naszych spraw – z przeszłości.

A my – więźniowie polityczni lat 1944–1956 – nie posiadamy żadnych dokumentów. Nie dano nam do rąk nawet naszych wyroków. Nie ma naszej dokumentacji w więziennych archiwach, bo zostały zniszczone. Nie mamy fotografii, nikt nie zobaczy ogolonych głów koleżanek, które wcześniej przywieziono do Fordonu. Nie możemy nawet pokazać cel, w których siedziałyśmy, bo wszystkie zostały przebudowane, zmodernizowane i niczym nie przypominają tych, w których spędziłyśmy całe lata. Nie możemy również pokazać naszych więziennych sukienek, połatanych, z żółtymi opaskami lub wręcz z gwiazdą Dawida, ani naszych olbrzymich drewniaków, w których miałyśmy chodzić cicho. Nie mamy żadnych pamiątek. Sporadycznie tylko udało się niektórym wynieść z więzienia jakieś drobiazgi zrobione z chleba, różaniec czy krzyżyk ze szczoteczki do zębów, haftowaną serwetę. Nie mamy nic – poza tym, co tkwi w naszej pamięci. Wypełnić tę pustą przestrzeń naszymi relacjami o tym, co jeszcze pamiętamy, i o koleżankach, których już nie ma między nami – to nasz największy obowiązek.

A na koniec jeszcze jedno słowo prawdy, które usłyszałam z ust inspektora MBP w Inowrocławiu, odpowiadającego na moje zapytanie, dlaczego siedziałam dwa i pół roku w suterenie więzienia fordońskiego: „Bo nie było pewności, czy nie prowadzicie wrogiej propagandy”. I dodał, a był to rok 1953: „Chociaż Polska potrzebuje gwałtownie ludzi wykształconych, profesorów, inteligencji – to lepiej, żeby siedzieli wszyscy niewinnie, aniżeli choćby jeden „szkodnik” pozostawał na wolności”. Taka była ich maksyma, tym się kierowali. Trzeba bowiem wiedzieć, że poza rzeczywiście zaangażowanymi w pracę podziemną, w konspirację, więzienia były wypełnione takimi „potencjalnymi” przestępcami.

33. List do Seweryny Szmaglewskiej²⁵⁴

List, który przytaczam poniżej, nigdy nie został wysłany i nie dotarł do adresatki. Był on niedającą się opanować reakcją na przeczytany arty-

²⁵⁴ List do Seweryny Szmaglewskiej był reakcją na jej artykuł *Amnestia zastukała do bram*, opublikowany w „Po prostu” z 11 XI 1956 r., nr 46.

kuł Szmaglewskiej o buncie w Jaworznie. Siadłam i na paru arkuszach papieru napisałam – bez żadnych skreśleń i poprawek – to wszystko, co tkwiło we mnie tak bardzo głęboko, a czego nigdy i nikomu nie wypowiedziałam. Po napisaniu uznałam, że nie przyszedł jeszcze czas na taki list, i schowałam go głęboko, nie pokazując nikomu, nawet Matce i najbliższym. Przeleżał wiele lat i dopiero w stanie wojennym, przeglądając przechowywane przeze mnie „prohibity”, natknęłam się na ten list. Stwierdziwszy, jak bardzo jest prawdziwy, że oddaje w pełni moje przeżycia, przepisałam go na maszynie. Oryginał razem z innymi „trefnymi” papierami zaniiosłam w „bezpieczne” miejsce. Nigdy nie udało mi się ich odzyskać. A list, skrócony i z konieczności nieco zniekształcony, został wydrukowany w „Karcie” (nr 1/83), jako list do Redakcji „Po prostu”, podpisany inicjałami K.N. z adnotacją redakcyjną, że nie był dotąd publikowany.

List ten, w pełnym brzmieniu, jest najważniejszą pozycją w moim „archiwum”. Podaję go czytelnikowi z pełną świadomością, że we wspomnieniach więziennych, pisanych już po odzyskaniu wolnej Polski, fakty tam zapisane powtarzają się, bo muszą się powtarzać, ale zachowały całą świeżość moich uczuć i przemyśleń.

[...]

Chciałam najpierw nawiązać do bardzo dawnych wspomnień. Gdzieś w 1932 czy 1933 r. wychodziło w Piotrkowie Trybunalskim międzyszkolne pismo młodzieżowe, bodajże *W młodych oczach*. Chodziłam wtedy do V klasy gimnazjum H. Trzcńskiej, a Pani do Seminarium. Spotykałyśmy się czasem w pracy harcerskiej. Imię moje, dość rzadko spotykane, umieściła Pani w swojej nowelce pt. *Łubin*. Potem usłyszałam o Pani już po wojnie, zobaczywszy w witrynie księgarni *Dymy nad Birkenau*. Nie przeczytałam jej wtedy. Życie było nieuregulowane, nie miałam pieniędzy na jej kupno. Myślałam tylko wtedy, że oto poszła Pani po linii swoich zdolności, a tytuł wskazywał, że los i wojna nie oszczędziły Pani przeżyć. Dziwne, ale książkę Pani przeczytałam dopiero w 1947 r., siedząc sama w celi mokotowskiego więzienia. Wywarła na mnie wstrząsające wrażenie. Tam zupełnie inaczej czyta się takie książki, przeżywa się je stokroć goręcej i intensywniej, i mimo woli robi się analogie. Więzienie tam i tu. Pomimo całej odrębności warunków, atmosfery, ileż wspólnego. Wydaje mi się, że więzienie może rozumieć tylko ten, kto sam przez nie prze-

szedł. Zostałam skazana na 10 lat za działalność w nielegalnej organizacji. Wyrok swój odsiedziałam co do dnia. Od paru miesięcy jestem na wolności. Życie ze swoim tempem, splotem tysiącznych zagadnień, problemów i trudności przytłumia obraz niedawnej przeszłości, wchłaniania i pochłaniania człowieka, ale nie bez reszty. Za kratami siedzą w dalszym ciągu ludzie. Znajomi i nieznajomi. Bliżsi i dalsi. Pani wie, co to znaczy żyć się z kimś w tych warunkach. Jak boli rozłąka. Jak wiele może dać człowiek człowiekowi, i wie Pani także, jak jest, gdy człowiek swoim stosunkiem do ludzi przekreśla sam swoje miano człowieka. Myśli więc, choć tłumione, wracają do tamtych wspomnień i przeżyć i skupiają się przy tych, którzy tam jeszcze są. W ostatnim „Po prostu” przeczytałam artykuł *Amnestia zastukała do bram* – napisany przez Panią. To poruszyło we mnie te sprawy, tak bardzo mnie obchodzące. Wydaje mi się, że myśl o tamtym życiu jest jak cierń w ranie, który nie pozwala się jej zagoić. I tyle refleksji. Dobrze, że się pisze o tych bolesnych sprawach. Myślę, że czas, aby skończyć z cyklem: opowiadania podawane szepcemy. Należy mówić o nich głośno i otwarcie. Cytuje Pani obraz buntu w Jaworznie. Przykład jest drastyczny, ale jest to efekt reklamy świetlnej, która uderza w oczy przechodnia i nie zostawia głębszego oddźwięku. Myślę, że należałoby poruszyć sprawy bardziej zasadnicze, może przez swoją szarość mniej efektowne, ale posiadające wymowę cierpienia tylu tysięcy ludzi. Nie będę pisała o śledztwie. Te rzeczy, choć jeszcze zbyt mało, ale przedostają się do świadomości ogółu i na ogół każdy z ludzi będących na wolności, wyobrażając sobie więzienie, ma przede wszystkim na myśli presję fizyczną. Można by tylko przedyskutować zagadnienie presji w ogóle i kto wie, czy nie doszłoby się do przekonania, że presja moralna jest jeszcze gorsza od presji fizycznej? A i tej nie szczędzono w polskim więzieniu. Pani dobrze rozumie gorycz tych słów, nie będę więc ich komentować. Zatrzymam się na jednym fakcie. Po wyroku przechodziło się na tzw. ogólniak. W okresie, o którym piszę (1947–1948) – aresztowano mnie w 1946 r. – więźniów było znacznie więcej niż pomieszczeń. W celi, gdzie przed wojną było 25 osób (tyle było łóżek), obsada dochodziła do stu osób. Politycznych była tylko znikoma część – około dwudziestu. Reszta celi była wypełniona bądź przez prostytutki, złodziejki, chore wenerycznie, bądź przez kobiety siedzące za współpracę z Niemcami, czy też wreszcie „rasowe gestapówki”. Tu jeszcze muszę nadmienić, że w okresie mojego pobytu w więzieniu śledczym

siedzieli tacy zbrodniarze niemieccy, jak Fischer²⁵⁵, Greiser²⁵⁶ i kat oświęcimski Hoess. Cieszyli się oni specjalnymi względami. Chodzili na spacer – widziałam to przez okno – podczas gdy więźniowie śledczy całymi latami nie oddychali świeżym powietrzem i nie znali innego ruchu niż wahadłowy wzdłuż celi. Tamci chodzili do dentysty (nam można było tylko wyrwać zęby w celi bez znieczulenia, bez możliwości oparcia głowy o fotel dentystyczny). Pralnia więzienna prała ich prywatne ubrania. Podobno dostawali także przydział papierosów. Polscy więźniowie śledczy mieli często wstrzymywane paczki, co dezorientowało rodziny i deprymowało więźniów, lub też np. wybierano papierosy z paczek, które były rozpakowywane bez więźnia i przynoszone mu wprost do celi – po uprzednim rozpakowaniu.

Życie w tłumie stu osób z dwiema miednicami do mycia i trzema ławeczkami, na których mogło usiąść maksimum dziesięć osób, a reszta? Spacerów kilkunutowe, nieregularne. W najgorętszych miesiącach lata naliczyłam ich po cztery w miesiącu, nie trwające dłużej niż pięć minut. Potem przeniesiono nas do innej celi. Siedziało nas siedemdziesiąt. Łóżka były normalne, nie podnoszone i nie spiętrowane, tak że przedostanie się do innego miejsca przedstawiało prawdziwy problem. Zabrakło wreszcie i sienników, na których i tak spałyśmy po dwie. To było pierwszą przyczyną czynnego zareagowania. Przyszły dwie koleżanki, dla których nie było siennika, mimo prośb celowej i mimo tego, że w celi obok, zajętej przez Niemki pracujące w drukarni, na 25 łóżek było ich tylko trzy, leżały wolne sienniki. Wtedy solidarnie nie spałyśmy całą noc. W parę dni później przyszedł przy wieczornym apelu naczelnik. Skorzystałyśmy z tej rzadkiej okazji, by mu przedstawić nasze prośby dotyczące zmiany warunków: spiętrowania łóżek, spacerów, możliwość leczenia zębów, otrzymywanie gazet i książek. Dostałyśmy

²⁵⁵ Ludwig Fischer (1905–1947), funkcjonariusz hitlerowski, gubernator dystryktu warszawskiego. Współodpowiedzialny za masakrę w Wawrze w grudniu 1939 r., realizację akcji AB, morderstwa w Palmirach, deportacje ludności pol. do obozów koncentracyjnych, grabież i niszczenie polskich dóbr kultury, utworzenie getta warszawskiego i zbrodnie na jego terenie, wywózki ludności żydowskiej do obozów zagłady, wysiedlenie mieszkańców i zburzenie Warszawy po powstaniu 1944 r. W 1947 r. skazany przez Najwyższy Trybunał Narodowy i stracony.

²⁵⁶ Arthur Greiser (1897–1946), niem. polityk nazistowski. Dążył do przekształcenia Wielkopolski w ziemię niem. poprzez usunięcie Polaków i Żydów, zniszczenie pol. dorobku kult. i kolonizację niem. Wprowadził system pośredniej i bezpośredniej eksterminacji ludności polskiej. W 1946 r. skazany przez Najwyższy Trybunał Narodowy na karę śmierci i stracony.

jedną, lapidarną odpowiedź: „powieście się”. W parę dni potem zjawił się znowu naczelnik – ponowiliśmy swoje prośby. Odpowiedź była dłuższa i bardziej konkretna: „życzę wam, żebyście w tych warunkach odsiedziały całe wyroki, żeby was nigdy żadna amnestia nie objęła, żebyście tu zgniły, itd., itd.”. Reakcją naszą było jednomyślne wypowiedzenie przez jedną czy dwie koleżanki „nawzajem”. To rozpetęło burzę. Zainterpelowane koleżanki przyznały się natychmiast, naczelnik chciał je ukarać „karcem”, ale cała reszta poparła je, mówiąc, że jeśli ma być kara, to zasłużyliśmy na nią w równym stopniu wszystkie. Wyrok brzmiał – do „karca”. Zaczęła się prawdziwa walka o to, która z nas ma iść, chciały bowiem wszystkie. Pierwsza piątka przedarła się przez kordon rąk naczelnika, przodownika i oddziałowych. Wreszcie powiedziano, że będziemy brane w kolejności po pięć, według alfabetu. Po 24 godzinach spędzonych w „karcu” kazano nam wrócić do celi, by pięć minut potem wywołać nas ponownie – jak się okazało – na dalsze 24 godziny. Potem szły kolejne. Tymczasem spiętrowano łóżka, ale nie pozwolono na nich siadać, nie dano zaś ławek. Odebrano nam do odwołania: spacer, widzenia, paczki, książki, gazety (które w tymczasie otrzymaliśmy), prawo leczenia zębów, chodzenia do sanitariatu, pisanie i otrzymywania listów, a nawet pisanie wszelkich prośb do władz, tak miejscowych, jak i nadrzędnych. Przestałyśmy być więźniami politycznymi, zaszeregowano nas już na stałe do więźniów antypaństwowych (tak trzeba było pisać i mówić). Kary miały być cofane indywidualnie, po napisaniu prośby do naczelnika o jej darowanie, według uznania naczelnika, czy dana więźniarka na to zasługuje. Nie chciałyśmy się na to zgodzić, twierdząc, że o ile zasłużyłyśmy swoim postępowaniem na karę (przyznając, że zachowanie nie było właściwe, ale sprowokowane), to ją odbędziemy, ale kara musi być określona i nie może obejmować absolutnie wszystkich dziedzin życia więźnia. Jeśli więzień ma do czegoś prawo, jeśli to co nam odebrano nie było nagrodą, ale należało się z tytułu regulaminu więziennego, to nie można o to prosić (nie wiedząc w dodatku, czy się otrzyma). Tak jak nie prosi się o codzienne wyżywienie, które więzień otrzymuje. Ta nasza solidarna postawa została określona jako bunt. Jako rozwiązanie problemu (próbowano nas złamać w różny sposób) zostałyśmy wysłane karnie ze stemplem „zbuntowane” do więzienia w Fordonie.

Ten bunt wyglądał trochę inaczej niż w Jaworznie. Krew się nie lała, rękoczynów ani presji fizycznej nie było, a jednak ma chyba swoją wymowę. Zresztą żadna z nas nie traktowała tego wystąpienia jako buntu i zapy-

tywane przez władze w Fordonie przedstawialiśmy zawsze obiektywną prawdę, tak jak napisałam do Pani. Przeszło pół roku siedzieliśmy bez pracy. Potem część z nas zatrudniono w produkcji. Praca zawsze, a w szczególności w więzieniu, jest prawdziwym błogosławieństwem. O tym chyba nie trzeba pisać. Jak inaczej płyną dni. Jak inne jest samopoczucie psychiczne, gdy się czuje własną przydatność. Po niecałym roku pracy (byłam przodownicą) zostałam nagle, z grupą innych, cofnięta z produkcji i osadzona w suterenie z etykietką „wróg, szkodnik, reakcja itp.”. Spędziłam tam dwa i pół roku w warunkach specyficznych, odseparowana od reszty koleżanek. Większość czasu bez gazet i z dwiema książkami na miesiąc na całą celę, starannie dobranymi.

Może Pani myśli, że karmiono nas w celach wychowawczych wyłącznie literaturą marksistowską? Myli się Pani. Te książki nie były dla nas. Myśmy były stracone dla świata i społeczeństwa i mimo naszych próśb nie dano nam ich. Natomiast otrzymywałyśmy wartościowe skądinąd powieści Balzaka, Orzeszkowej, Kraskiewskiego, ale żadnej książki naukowej. Nic współczesnego. A człowiek tak bardzo łaknął czegoś, co by go zbliżało do współczesnego życia. Prawie żadna z nas, aresztowana na progu odzyskanej niepodległości, nie знаła zupełnie zasad, na których opierała się nasza droga do socjalizmu. Po spędzeniu więc trzech lat w więzieniu, mając dość czasu na myślenie, stojąc wobec zasadniczych i ważnych przemian w Polsce i na całym świecie, chciało się poznać ten mechanizm i tak bardzo tęskniło się do najdrobniejszych wiadomości o przejawach współczesnego życia, aby móc się do niego, chociaż w myślach, włączyć i zrozumieć je. To nam nie było dane. Nie było nam dane nic. Po bezowocnych próbach o pracę zaniechaliśmy tego. Cztery lata później w rozmowie z jednym z inspektorów dowiedziałam się, że siedziałam w suterenie, „ponieważ nie było pewności, czy nie prowadzę wrogiej propagandy” (ale w okresie mojego pobytu w suterenie na wszelkie pytania, dlaczego tu jestem – nie otrzymywałam żadnej odpowiedzi). Ja na to powiedziałam: „ale nie było pewności, że ją prowadziłam, prawda?” – „Oczywiście, ale to była profilaktyka”. Można by ją określić jako przejaw czujności wobec suponowanego wroga. Trzeba przyznać, że metody, które wobec nas stosowano na każdym kroku, były nie tylko niewychowawcze, ale antwychowawcze. Doprowadziły one nas do zamknięcia się w kręgu własnych spraw i problemów, do zupełnego odcięcia się od jakiegokolwiek porozumienia z władzami, do nie proszenia o nic (najwyżej o papier higieniczny, którego byliśmy pozbawione z racji braku gazet).

Sutereana stała się problemem, który musiano rozwiązać (jak nasz „bunt” na Mokotowie). I rozwiązano go jak najgorzej. W nocy z 26 na 27 sierpnia zbudzono nas, kazano spakować się i wywieziono samochodami ciężarowymi do Inowrocławia (Zapomniałam napisać, że jeśli chodzi o mnie, to dwa miesiące przedtem z całą grupą koleżanek zostałam wzięta do fizycznej pracy na podwórku, co było dla nas prawdziwym szczęściem, pracowałyśmy więc tak, jak może pracować człowiek, wkładając całą swoją pasję, siły i żarliwość). W Inowrocławiu posadzono nas w pojedynczych celach. Można by napisać tomy o tym pobycie. Myślę, że przyjdzie czas, w którym prawda o Inowrocławiu wyjdzie na wierzch. Bo do tego dojść musi. Jeśli bowiem wstydzimy się Jaworzna, to jakże sumienie musi piec na myśl o Inowrocławiu, który był specyficznym „polskim Oświęcimiem”? Człowiek przestał być człowiekiem. Stał się numerem celi, zmieniającym się według fantazji władz. Metody Inowrocławia doprowadziły do samobójstwa, chorób nerwowych, śmierci z wycieńczenia, licznych wypadków gruźlicy i innych chorób, poważnych zaburzeń nerwowych u większości więźniarek. Byłyśmy pozbawione wszystkiego: kontaktu z domem na czas nieokreślony (okazało się potem, że na pół roku), wypisek, książek, gazet, spacerów (bo trudno liczyć 2 razy po 2 minuty dwóch czy trzech okrążeń obrzydliwego podwórka ze sterczącą kupą śmieci), nie można było nawet obciąć paznokci, bo nożyczek nie dawano. Wszelkie reperacje były dokonywane poza celą. Igły nie wolno nam było dawać do celi. Na przykład podarła się pończocha, oddawało się ją do naprawy i chodziło się z gołymi nogami po dwa i trzy dni w zimie, bo pończochy otrzymywało się tylko od połowy października do maja, bez względu na temperaturę. Palić zaczynało w połowie listopada. Cele były wymrożone, wilgotne, długo nie zamieszkałe. Wymalowane często całe na czarno. Ubranie nasze składało się tylko z bielizny i drelichowego munduru. Przez całą zimę nie dawano nic ciepłego (nawet chustki na głowę), zresztą na dworze bywało cieplej niż w celi. Pasków do podwiązek nie dawano, pończochy zawiązywało się sznurkami, które były albo za luźne i pończochy spadały, albo za ciasne i nogi bolały. Drewniaki, w których wolno nam było chodzić tylko po cichu, bo inaczej je zabierano i zostawało się w pończochach lub na bosaka na zimnym betonie. Na noc wystawiało się wszystko: mundury, buty, pończochy, onuce, ręcznik, miskę i łyżkę. Kostkę trzeba było wystawiać na korytarz, na bosaka, buty trzymając w ręku. Po powrocie do celi nóg nie można było umyć, bo nie było czym ich wytrzeć. Mydło zabrano nam razem z innymi rzeczami

mi po przyjeździe do Inowrocławia. Dostawałyśmy mikroskopijne kawałki przy kąpieli raz na dwa tygodnie (mniej więcej połowa pudełka do zapalek). Brak mydła doprowadzał do szału, zwłaszcza gdy się pomyślało o skonfiskowanych prywatnych zapasach. Głód był szalony. Po nocach śnił mi się chleb. Tylko chleb – Pani to zna. W ciągu paru miesięcy stałyśmy się podobne do szkieletów. Każdy dzień budził przerażenie na myśl o zimnie i głodzie szarpiącym wnętrzności, a noc stawała się koszmarem z powodu zimna – jeden koc – jedno prześcieradło. Na zimę dano nam coś, co może było kiedyś kocykiem – szmatkę, która miała spełniać rolę drugiego koca. (Ten pierwszy był też bardzo marny.) Prześcieradło musiało być obciągnięte na sienniku. Nie wolno było spać pod złożonym, żeby było cieplej i czystiej. Koce były brudne, nie trzepane. Co mniej więcej dwa miesiące odbywały się rewizje nocne. Wypędzano nas z celi na boso. Rewizja osobista, która przynosi tylko wstyd rewidującym, oczywiście bez ubrania, z przysiadami, z podnoszeniem nóg do góry, zaglądaniem do ust i szperaniem we włosach. W celi zastawało się po powrocie przecięty na pół siennik i sieczkę rozsypaną metodycznie po całej podłodze. Porządek trzeba było robić natychmiast, na boso i w bieliznie, w takim koszmarnym kurzu i zimnie, a często świeżo po kąpieli, cudownym zaiste sposobem napychać rozpruty siennik tak, aby na nim spać, a rano zasłać łóżko równiutko i tak dopóki nie dostało się szydła (a nie igły) do jego zszycia. Brak papierosów i paląca oddziałowata strzepująca popiół do celi. Kompletna samotność (*splendid isolation*). Oddziałowe, których nie można było uważać za ludzi, i wyższe władze (jeszcze gorsze) – to jedyne żywe istoty, które się widziało. Wstrząsem było dla mnie, gdy zobaczyłam przypadkiem z daleka którąś z koleżanek. Słuchało się tylko głosów. Własny organ mowy okazał się całkiem bezużyteczny. Liczyłam słowa wypowiedziane w ciągu dnia. Było ich 60–80. Przy każdorazowym otwarciu drzwi trzeba było biec pod ścianę okienną i meldować – to wszystko. Rozmawiać nie było ani z kim, ani jak. Jakąś prośbę o ścierkę lub szczotkę do zamiatania trudno było nie tylko zrealizować, ale nawet wypowiedzieć, bo przeważnie przed nosem zatrząskiwano drzwi od celi. Jakieś ludzkie odezwanie się, spojrzenie czy uśmiech było wstrząsem. Zetknięcie się z ludzkim odruchem przeżywało się gwałtownie, głęboko i długo. Była to pożywka nieraz na całe tygodnie. Chorować? Lepiej było być zdrowym, bo pomoc była sprowadzona do minimum, gdzieś blisko okolic zera. Lekarz (nie było łatwo się do niego dostać) uzależniał kurację od kategorii więźnia. Dla więźniów kategorii „A” nie było, praktycznie

biorąc, żadnego leczenia. Człowiek był do ostatnich granic wycieńczony głodem, zimnem, brakiem wiadomości z domu, samotnością. Brakło tchu i głosu. Jedyną moją troską poranną było, czy mi wystarczy głosu i tchu, żebym mogła zameldować swoją obecność i czy mi się nie robi ciemno w oczach podczas otwierania drzwi do rannego apelu i czy będę widziała, komu mam meldować. Zaszczuty pies ma więcej praw do życia niż więzień „polskiego Inowrocławia”. Ludziom trudno uwierzyć. – „Jak mogłaś wytrzymać i przeżyć te straszliwe ponad 400 dni głębokiej, absolutnej samotności?”. A jednak przeżyłam, choć nie bez walk wewnętrznych. Wiedziałam, że samobójstwa nie popełnię, bo wierzę i mam Matkę. To były dwa motywy, które mnie trzymały przy życiu. Ale mimo to, jakże mnie kusiło. Świadomość, że jest wyjście z tej męczarni, wyjście podyktowane wyłącznie moją wolą i decyzją. Odrzucona myśl natrętnie wracała. Jak by było najlepiej? Czy na pozostawionej na noc pończosze? Czy sznurek skręcony ze ścierki? A może szkłem znalezionym w piasku do czyszczenia wszystkich metalowych przedmiotów i części. Oczy pożądliwie wpijają się w hak wbity w ścianę do przytrzymania stolika podnoszonego. – Precz te myśli. One znowu wracają. I modlitwa. I to jedno pozwoliło mi przetrwać. Albo te koszmarnie wołanie koleżanki z celi pode mną, która zwirowała i kogoś wzywała, komuś się skarżyła, obojętna na krzyki, groźby i prośby oddziałowych, obojętna na cały otaczający świat z jego problemami zawężonymi do spania, mycia i jedzenia. I strach. A jeśli i ja tak zachoruję? Co się stanie, gdy już przestanę panować nad swymi nerwami, przywidzeniami, koszmarami powstałymi w na wpół chorej wyobraźni? I nieustający lęk o swoich, o Matkę. Czy żyje? Jak Ona, nieświadoma niczego, przeżywa tę rozłąkę, ten brak wiadomości o mnie?

I znów modlitwa i jeszcze silniejsza samodyscyplina mająca utrzymać w karchach rozdygotane nerwy, wbijające się gdzieś głęboko do gardła, aż do bólu, wewnętrzne lzy, płacz, rozpacz. I po siedmiu miesiącach pierwsze widzenie. Jak przeżyłam? Skąd miałam siły moralne i fizyczne, żeby móc przeżyć to wzruszenie? – I po trzynastu z górą miesiącach wspólna cela. A przedtem tęsknota i jednocześnie strach przed ludźmi. Przyzwyczajenie do samotności i pragnienie podzielenia się swymi myślami. I obawa, że my wszystkie nie możemy już być normalne. I nieprzespana noc, pełna napięcia nerwowego nie mogącego się wyładować w mówieniu i mówienie ochrypłym, nieswoim głosem. Pierwsza książka po roku – przyjaciel, powiernik, skarbnica nowych myśli, materiał do nowych przeżyć. A przedtem? Wspo-

mnienia książek czytanych w dzieciństwie. Bohaterowie książek urealnie-
ni do prawdziwych ludzi. Zatrącenie pocucia rzeczywistości i sny. Sny,
w których się żyło, którymi się żyło przez cały następny dzień. Sny, w któ-
rych znajdowałam się w objęciach Matki, w których mogłam mówić, mó-
wić o wszystkim. I gong – i powrót do czterech ścian celi, pustej, zimnej,
nieprzystulnej, straszącej czarnymi ścianami i okratowanym okienkiem,
oddzielającym od reszty świata. I świst pociągów, mknących gdzieś w prze-
strzeń, dających świadectwo, że życie gdzieś toczy się poza mną i beze mnie.
I dźwięk dzwonów, wzruszający, budzący tęsknotę. I nieustające chodze-
nie po celi, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, od drzwi do drzwi. Po
wyjściu z więzienia nie byłam w ogrodzie zoologicznym, nie chcę tam iść
– zbyt bolesna analogia. Rezultat? Parę napisanych kartek mających zobra-
zować 3653 dni spędzone za kratą.

34. Poznański Czerwiec 1956

Pragnę przypomnieć ten rok 1956 – rok mego wyjścia na wolność – rok
wielkich nadziei, rok zapoczątkowany (w pewnym sensie) amnestią, jakiej
w całej dotychczasowej historii PRL-u nie było. Po raz pierwszy obejmo-
wała ona wszystkie artykuły, które dotychczas były nietykalne. Tysiące
więzionych ludzi opuszczały więzienia. Jedni prawie natychmiast, bo po
zastosowaniu amnestii mieli już odsiedziany wyrok i to z nawiązką, innym
– po zmniejszeniu kary – dawano zwolnienie warunkowe. Wszystkie „do-
żywocia” zmieniano na piętnaście lat, a następnie albo darowano resztę
wyroku, albo zwalniano warunkowo. Tylko bardzo nieliczny procent ludzi
skazanych na dożywocie, a aresztowanych stosunkowo późno, opuścił wię-
zienie dopiero w 1958 r.

Był to wicher, który przeszedł przez Polskę. Moim szczęściem czy nie-
szczęściem był fakt, że swój wyrok odsiedziałam tuż przed amnestią, więc
nie mogłam zaznać jej dobrodziejstwa. Bardzo mocno przeżyłam to, że sama
jestem na wolności, a moje towarzyszki nadal tkwią w więzieniu. Nie mo-
głam i nie umiałam cieszyć się swoją wolnością w pełni, połową mego „ja”
przebywając z nimi w więzieniu. I potem ta ogromna, niewypowiedziana
radość, gdy zaczęły się pojawiać na wolności, a więzienia pustoszały.

Pamiętnego czerwca 1956 r. byłam w Poznaniu i tego, co się tam dzia-
ło, nie zapomnę nigdy. Wydawało mi się, że śnię, że to nieprawda, że kule
świszczą mi nad głową, gdy przemykaliśmy się przez tory, a potem przy-

parci do murów otaczających tereny targowe, przesuwalismy się po jego załomach, żeby nie oberwać od „gołębiarza” i dostać się do gościnnego domu, w rejon ul. Kochanowskiego, gdzie było najgoręcej, gdyż na tej ulicy mieściła się siedziba UB. Huk wystrzałów zagłuszał radio, które nastawialismy, żeby usłyszeć wiadomości. I poprzez ten huk dotarły do nas słowa spikera: „w Poznaniu wybuchły zamieszki, ale już wszystko wróciło do normy”. Tak wyglądała oficjalna wersja. Przez całą noc przez ulice miasta przetaczały się ciężkie czołgi, ale rano mogliśmy już z siostrą wrócić do Wrocławia. Dopiero wtedy Matka dowiedziała się od nas, co działo się w Poznaniu.

A potem był październik – pełen napięcia, i wybuch, wybuch potężnego entuzjazmu, nadziei, zaufania. Pamiętam, jak kobiety znosiły Gomułce prowiant na drogę do Moskwy, żeby nie jadł nic innego, bo go tam strują. Jak ludzie kładli się na torach, żeby udaremnić jego wyjazd, bo nie wróci. Pamiętam, jak Jerzy Zawieyski w rozmowie ze mną mówił, że trzeba wejść czynnie i pracować dla Polski w sposób oficjalny. Jak zapoczątkowały się Kluby Inteligencji Katolickiej. Jak były pierwsze wybory do Sejmu, w których myśmy naprawdę uczestniczyli (a ja – mimo utraty praw obywatelskich na pięć lat – byłam na liście wyborców). A potem znów kryzys zaufania i kolejne próby odzyskania go i tak aż do czasów obecnych, w których mogę już swoje myśli jawnie wypowiadać.

35. List od Jerzego Zawieyskiego²⁵⁷

Warszawa, 23 I 1957 r.

Szanowna i Droga Pani!

Dawno już nie otrzymałem listu tak cennego i tak głęboko wzruszającego, jak list Pani, za który pragnę najgoręcej podziękować. Tym większe wywarł na mnie wrażenie, że przyszedł w okresie mojej działalności publicznej i po prostu przypomniał mi, że przede wszystkim jestem pisarzem. Onieśmiela mnie to, że Pani *Noc Huberta* czytała w więzieniu i że w tej więziennej doli była ta książka dla Pani pomocą duchową. Nie może być

²⁵⁷ *Noc Huberta* otrzymałam przypadkowo z biblioteki więziennej, a lektura ta stała się ważnym wydarzeniem w moim więziennym życiu. Czułam wdzięczność dla autora i po wyjściu na wolność chciałam mu podziękować. Dostałam jego adres i napisałam list, otrzymując nań tę odpowiedź (przyp. autorki).

dla pisarza większego uznania i większego szczęścia. Nie pierwszy raz donoszą mi byli więźniowie o lekturze moich rzeczy – tam, w tym innym świecie, za murami i drutami. I to, że moje słowo ludziom w takich warunkach będących, mogło przynieść trochę światła, trochę zadumy – jest największą nagrodą daną mi od Boga. Z całego serca dziękuję Pani za ten list, który był mi bardzo potrzebny, bo ciągle szukam najlepszego wyrazu dla tego wszystkiego, czym żyję wewnątrz. Właśnie mam zamiar pisać powieść, której się lękam. Dobre słowa Pani dodały mi otuchy i wiary.

Więc może zabiorę się do tej pracy dłuższej i uciążliwej – przedtem jednak czeka swojej kolei dramat. Jeśli będzie Pani kiedy w Warszawie u Zosi Małynicz, proszę koniecznie, bardzo proszę o telefon i spotkanie.

Właśnie niedawno wyszedł zbiór moich opowiadań, wśród których jest też *Noc Huberta* – nieco skrócona. Chciałbym tę książkę przesłać Pani. Nazywa się *Pokój głębi*. Jeszcze raz najserdeczniej Pani dziękuję za Jej dobroć i łączę wyrazy głębokiego szacunku

Jerzy Zawieyski

36. Po dziesięciu latach

Pierwsze kroki nie były łatwe. Trzeba się było nauczyć wszystkiego od nowa. Poznać dzieci, które pozostawiłam w chwili aresztowania, i te, które urodziły się w ciągu tych dziesięciu lat mojej nieobecności. Nauczyć się codziennego życia, wolnego od krat. Więzienie jednak wciąż tkwiło we mnie głęboko, nie mogłam przestać o nim myśleć. Tam pozostały jeszcze moje koleżanki, tak bardzo mi bliskie; chociaż powoli zaczęły opuszczać więzienie. Moje serce było wciąż rozdarte pomiędzy tymi dwoma rzeczywistościami. Wszystko nieustannie odnosiłam do tamtych warunków, tamtych lat i tamtych ludzi; i tych najbliższych sercu, i tych zawsze groźnych, reprezentujących tę obecną „opiekę” bezpieki.

Bardzo szybko zdecydowałam się na złożenie podania na studia zaoczne z biologii na Uniwersytet Łódzki i po otrzymaniu zawiadomienia o terminie egzaminu miałam zaledwie tydzień na przyswojenie sobie całego materiału z biologii (botaniki i zoologii) z dwóch lat licealnych. Była to dla mnie wiedza zupełnie nowa, gdyż w dawniejszym, przedwojennym gimnazjum typu humanistycznego tzw. „przyroda” kończyła się w klasie IV, w V była już anatomia człowieka. Ostatnie rozdziały z pożyczonych podręczników z IX i X klasy doczytywałam w pociągu, jadąc na egzamin. Mimo że

był konkursowy, udało mi się go zdać pomyślnie i zostałam przyjęta na studia. W lipcu był miesięczny zjazd, na którym słuchaliśmy wykładów i uczestniczyliśmy w ćwiczeniach. Jakoś nie miałam większych trudności, zwłaszcza z zadaniami z fizyki. Najgorzej było z operowaniem mikroskopem, bo z tym nigdy nie miałam do czynienia. No, i oczywiście z językiem rosyjskim. Dyktando wypadło okropnie, bo musiałam zaglądać do książki, szukając odpowiedniej litery alfabetu. Na pociechę okazało się jednak, że moi koledzy, będący świeżo po maturze, są niewiele lepsi ode mnie i nasz lektor po przejrzeniu naszych prac z westchnieniem orzekł, że nasza znajomość tego języka to „cicha rozpacz”.

Po powrocie do Wrocławia otrzymywałam tematy prac pisemnych do opracowania. Jednak szybko się zorientowałam, że studia zaoczne, przeznaczone dla przyszłych nauczycieli, dające jedynie specjalizację w botanice lub zoologii, nie są dla mnie. Zaczęłam robić starania o przeniesienie do Wrocławia na studia stacjonarne, a jednocześnie o uzyskanie pracy.

Problem pracy stał się dla mnie najważniejszy, przede wszystkim ze względów psychicznych. Sytuacja materialna oczywiście nie była łatwa. Rodzina uważała, że należy mi się odpoczynek, a ja w miarę możliwości starałam się pomóc Matce w domu, w gospodarstwie, zakupach itp., ale świadomość mego wyobcowania była dla mnie czymś niesłychanie ciężkim. Jadąc tramwajem, w sklepie, na ulicy, wszędzie – słyszałam rozmowy ludzi mówiących o swojej pracy, spieszących się do, czy wracających z pracy. A ja?... W sierpniu mój brat zafundował mi dwutygodniowe wakacje w Zakopanem, organizowane przez jego przyjaciół i kolegów z gdańskiego Caritas Academica. Pojechaliśmy tam we dwoje.

W Zakopanem nawiązałam trwałe przyjaźnie i dzięki takiej przyjaźni dostałam pracę w Instytucie Matematycznym PAN jako urzędnik administracji. Przez innych znajomych załatwiono mi spotkanie z dziekanem wydziału nauk przyrodniczych, który miał mi załatwić przeniesienie na studia stacjonarne do Wrocławia. Szłam do niego z duszą na ramieniu, powtarzając w myśli, że muszę wejść normalnie i przywitać dziekana, a nie wypowiedzieć wpojoną przez lata formułę: „Obywatelu... więzień karny Ruta Czaplińska melduje swoje wejście” – tak silnie te słowa były we mnie zakodowane. Dziekan mnie wysłuchał, ale gdy dowiedział się, że chodzi o przeniesienie z pierwszego roku, powiedział, że to już zależy jedynie od rektora. On sam nie ma odpowiednich uprawnień. „Od rektora” – usłyszałam i serce zabiło mi mocniej. Przecież rektorem jest prof.

Edward Marczewski²⁵⁸, który przed wojną, gdy byłam na pierwszym roku fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, prowadził ćwiczenia z geometrii analitycznej. Nosił wtedy jeszcze nazwisko Szpilrajn. Zapamiętałam go bardzo dobrze, bo właśnie z prowadzonymi przez niego ćwiczeniami wiązało się silne przeżycie. Ówczesny rektor był wtedy człowiekiem młodym, eleganckim i bardzo grzecznym. Wypisał kiedyś na tablicy jakieś zadanie i zwrócił się do nas, żeby ktoś na ochotnika podszedł je rozwiązać. Zapanowała kompletna cisza. Nikt się nie ruszył. Dla nas wszystkich była to jeszcze „czarna magia”. Wtedy on ze smutkiem powiedział, że będzie zmuszony wywołać kogoś z listy, i zaczął czytać. Znowu cisza. Po paru nazwiskach doszedł do mojego, ale ja też milczałam. Czułam, że jestem czerwona jak burak, od stóp do głów. Lista się skończyła. Siedziało nas około dwudziestu osób, ale według odczytywanej listy sala była pusta. Już odetchnęłam z ulgą, gdy ówczesny asystent Szpilrajn zaczął od nowa czytać listę. I znów cisza. Uratował nas dopiero kolega, który skończył studia, ale jeszcze nie zdawał egzaminu z geometrii analitycznej i zadanie rozwiązał.

Z niejaką nadzieją udałam się do rektoratu. Nikt mnie nie zapytał, w jakiej przyszłam sprawie. Rektor wyjrzał raz z gabinetu, zobaczył mnie i przeprosił mówiąc, że będę musiała trochę poczekać, bo ma ważne sprawy. Był to październik 1956 r. Po jakimś czasie weszłam, przedstawiłam swoją prośbę, na co rektor ze smutkiem oświadczył, że to nie leży w jego kompetencjach i że muszę z tym pójść do prorektora od tych spraw. Serce mi zamarło. Wszystko stracone! Ale natychmiast powiedziałam do siebie, jak to robiłam w samotnej celi Inowrocławia: „Czaplińska! Jeżeli teraz się nie zdobędziesz na odwagę – to będziesz do końca życia przegrana”. Więc z ogromnym, wewnętrznym wysiłkiem powiedziałam, jak się nazywam i że mam właśnie zamiar pracować w Instytucie Matematycznym PAN. „A, to pani?” – zapytał prof. Marczewski. „To proszę mi opowiedzieć coś o sobie”. Powiedziałam wtedy, że siedziałam w więzieniu, a przed wojną

²⁵⁸ Edward Marczewski, pierwotnie Szpilrajn (1907–1976), matematyk. Przed II wojną światową związany ze środowiskiem warszawskim, potem lwowskim. W latach 1945–1969 profesor Uniwersytetu Wrocławskiego (w latach 1953–1957 rektor). Od 1948 r. pracownik Instytutu Matematycznego PAN, od 1958 r. członek PAN. Założył i redagował czasopismo „Colloquium Mathematicum”, twórca prac z teorii mnogości, topologii, teorii funkcji rzeczywistych, procesów stochastycznych i algebry. Autor artykułów i felietonów o poprawności języka.

zaczęłam studiować. „A co?” – zapytał. „Fizykę”, odpowiedziałam. „A gdzie?” – zapytał znowu. Powiedziałam, że w Warszawie, dodając, że „pamiętam pana profesora z ćwiczeń”. Na to usłyszałam, że musi się zapoznać z całą procedurą i że mam do niego przyjść w jakimś tam terminie. Przychodziłam jeszcze parę razy, bo właśnie wybuchł „Październik”. Rektor miał ważniejsze sprawy na głowie, ale za każdym razem przepraszał, że jeszcze mojej sprawy nie mógł załatwić. Pod koniec miesiąca usłyszałam, że: „Wszystko ma pani załatwione. Papiery przyjdą z Łodzi. Proszę się zgłosić do dziekanatu. Otrzyma pani indeks i wszystkie wskazówki. Ja tylko panią bardzo proszę, żebym się na niej nie zawiodł”. Wtedy z całą mocą dziękując mu, powiedziałam: „Może pan rektor być pewny, że go nie zawiodę”.

I tak znalazłam się w gronie studentów na studiach dziennych, pracując jednocześnie jako referendarz, a potem starszy radca w Instytucie Matematycznym PAN. Profesor miał zawsze do mnie pełne zaufanie – dawał mi, na przykład, do przepisania teksty zadań na egzaminy pisemne, mimo że miał przecież swoją sekretarkę na uniwersytecie, bo wiedział, że ich nikomu nie przekaże. Zajęcia swoje układałam tak, aby na ćwiczenia chodzić albo jak najwcześniej, albo jak najpóźniej, i cały swój rozkład dawałam zawsze prof. Marczewskiemu, żeby wiedział, kiedy może mnie zastać w Instytucie. A gdy już robiłam pracę magisterską z mikrobiologii i musiałam spędzać po kilkanaście godzin w pracowni, to uprzedzałam o tym profesora. Wtedy można było mnie złapać przez telefon.

Dzięki pracy w Instytucie Matematycznym poznałam prof. Steinhaus²⁵⁹, który stał się dla mnie nie tylko wielkim autorytetem, ale także przyjacielem. Przepisywałam jego pamiętniki, z powodu cenzury wydane, niestety, dopiero po jego śmierci. Współpracowałam przy tłumaczeniu na angielski jego *Stu zadań*, a w przygotowaniu była jeszcze następna setka. Co najmniej raz w tygodniu bywałam w jego domu, oboje z żoną byli dla mnie bardzo dobrzy. Obcowanie z Profesorem niesłychanie mnie wzbo-

²⁵⁹ Hugo Dionizy Steinhaus (1887–1972), matematyk. W latach 1920–1941 profesor uniwersytetu we Lwowie, w latach 1945–1961 uniwersytetu we Wrocławiu. Od 1945 r. członek PAU, do 1952 r. PAN oraz wielu zagranicznych towarzystw i akademii naukowych. Jeden z twórców lwowskiej szkoły matematycznej. Autor prac dotyczących szeregów ortogonalnych, analizy funkcjonalnej, teorii prawdopodobieństwa, teorii gier i zastosowań matematyki. Miał szczególnie duże zasługi w zakresie popularyzacji matematyki.

gaciło. Tak dużo wiedział! Był jednym z dziesięciu największych matematyków tego czasu, a sam o sobie mówił, że jego wiedza matematyczna osiąga co najwyżej 15 proc. całości. We wszystkim, co robił i co pisał, był niesłychanie rzetelny. Pamiętam, jak pisząc artykuł do „Znaku” pt. *Na marginesie cybernetyki*, musiał sprawdzić wszystkie cytowane przez siebie dane. W jego imieniu zwracałam się do różnych instytucji, aby uzyskać potrzebne informacje. Miałam to szczęście, że po lekturze jego artykułów i przemówień jeszcze w maszynopisie mogłam wyrażać swój pogląd. Ilekroć miałam jakieś zastrzeżenia – potrafił przyznać mi rację, gdy uznał je za słuszne. Był niesłychanie wrażliwy na czystość języka polskiego. Podkreślał na przykład błędy stylistyczne w skierowanych do niego urzędowych pismach i odsyłał je z odpowiednią adnotacją. Pisywał do mnie, gdy był gdzieś za granicą lub odpoczywał w czasie wakacji. Zawsze mu odpisywałam, ale mego listu nigdy nie opatrzył czerwonym ołówkiem i nie zwrócił mi. Mój kontakt z Profesorem i jego żoną to całkiem osobny i bardzo ważny rozdział w moim życiu na wolności.

W czasie okupacji prof. Steinhaus mieszkał w Stróżach i tam zajmował się nauczaniem na kompletach. Uczył wszystkich przedmiotów z wyjątkiem matematyki, aby nie ujawniać swojego nazwiska i że jest profesorem matematyki. Nazywał się wtedy Grzegorz Krochmalny – jako zawód podawał: zegarmistrz słoneczny. W okresie, w którym go poznałam, występował o odznaczenie dwóch nauczycielek i granatowego policjanta za ich zasługi w okresie okupacji. Jego wniosek nie został uwzględniony, wobec czego oświadczył żonie, a ja byłam przy tym, że on od tej pory nie będzie nosił żadnego odznaczenia nadanego mu przez Polskę Ludową. I tak było. Pamiętam, że miał otrzymać doktorat honoris causa, zdaje się na Akademii Medycznej. Na uroczystość nie zabrał żadnego odznaczenia, a miał ich dużo, m.in. Budowniczego Polski Ludowej. Żona zwróciła mu na to uwagę, a on przypomniał jej: „przecież wyraźnie powiedziałem, że nie włożę żadnego odznaczenia”, i w czasie uroczystości na jego todze nie widniał żaden krzyż. Na drugi dzień czytamy w gazetach: „Profesor Steinhaus, odznaczony...” i wymienione w kolejności wszystkie. Profesor na to: „Okazuje się, że dziennikarze widzieli i opisali to, czego nie było”. I takie miał zdanie o ówczesnych dziennikarzach.

Kiedyś, w czasie jednego z seminariów prowadzonych przez Profesora, pewna pani profesor (nie pamiętam już jej nazwiska) opowiadała o swoim pobytku w Ameryce Południowej. Słuchałam tej powieści

z wielkim zainteresowaniem, siedząc obok prof. Steinhaus. On zaś co jakiś czas nachylał się do mnie, komentując polszczyznę prelegentki. Po kilkunastu takich uwagach zapytał mnie: „Czy chciałaby pani, żebym napisał, jak nie należy mówić po polsku?”. Oczywiście, przytaknęłam z radością. Po jakimś czasie otrzymałam tekst w formie listu do mnie, a zatytułowany *Sto strzałów do zabicia grzechu śmiertelnego polszczyzny – czyli jak nie należy mówić po polsku*. Tekst liczył trzy stronicie (nie strony, bo według profesora oznaczają one na przykład strony świata, a stronica jest odpowiednikiem łacińskiej *pagina*). Niestety, ten arcyciekawy list nie został nigdy dokończony, pomimo moich licznych próśb. Profesor zajął się bowiem wyławianiem co ciekawszych słów czy zdań z dostępnej prasy i miał zamiar napisać jakąś większą pracę poświęconą temu problemowi, ale już nie zdążył tego zrobić. Ten szczególny list oraz całą korespondencję z Profesorem przechowuję jako bardzo drogą i cenną dla mnie pamiątkę. Na fotografii mnie zadedykowanej napisał: „Pani Rucie Czaplińskiej oryginał ofiarowuje kopię (której nie należy za niego kruszyć) z serdecznymi wyrazami. H. Steinhaus, 3 grudnia 1960 r.” Profesor zmarł 25 lutego 1972 r., a jego żona 3 września 1983 r. Odejście obojga bardzo przeżyłam.

Przez długie lata po wyjściu na wolność więzienie bardzo silnie oddziaływało na moją psychikę. Nie przejawiało się to w jakimś żalu z powodu niespełnienia własnych projektów, dotyczących pracy naukowej czy też innych, bardziej osobistych, ale w permanentnym poczuciu, że moja osoba nie została wymazana ani z pamięci, ani z akt władz bezpieczeństwa. Każdy kontakt z przedstawicielami tego resortu, bez względu na jego charakter, zawsze łączył się dla mnie z ogromnym stresem. Jako pracownik administracyjny musiałam nieraz stawać z nim twarzą w twarz, albo gdy starałam się o paszport. Ta „milicyjna obsesja” w całej swojej pełni trwała do 1978 r. W tym bowiem czasie zajęłam się organizowaniem pobytu we Wrocławiu Clive’a Harrisa²⁶⁰, co oczywiście łączyło się z ogromną i odpowiedzialną pracą wydawania kartek potrzebującym ludziom. I przy tej okazji parokrotnie, a pamiętam dobrze dwa takie wypadki, zgłaszali się do mnie milicjanci z Komendy Wojewódzkiej. Poczułam

²⁶⁰ Clive Harris – brytyjski uzdrowiciel, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wielokrotnie goszczący w Polsce.

wtedy, że teraz oni są zależni ode mnie, a nie ja od nich. I to właśnie spowodowało, że obsesja minęła mi całkowicie. Obydwaj dostali kartki do Clive'a, bo ich prośby były uzasadnione i poparte odpowiednimi opiniami lekarskimi. Nie wiem, czy Clive Harris wyleczył ich rodziny, ale z całą pewnością zostałam wyleczona ja. Długo, o wiele dłużej trwały jeszcze sny więzienne. To nigdy nie było śledztwo ani jakieś represje, ale zawsze i niezmiennie powtarzał się sen, w którym wiedziałam, że minęło dziesięć lat mego pobytu w więzieniu, wyrok już się skończył, a ja nadal tkwię za kratami w beznadziejnej sytuacji, w kompletnej niewiedzy, kiedy i czy w ogóle wyjdę na wolność. Był to koszmar, który nawiedzał mnie z początku bardzo często, potem coraz rzadziej i rzadziej, i mam nadzieję, że się skończył lub skończy. Więzienie tkwi we mnie i nigdy tego nie wymażę z pamięci, stąd bowiem właśnie płynie wewnętrzny nakaz mówienia prawdy o tym fragmencie historii, w której uczestniczyłam.

37. Na bocznym torze

Odzyskaliśmy wolność. Oczekiwaliśmy, że zacznie się mówić o latach minionych pełnym głosem, a tymczasem? Obserwuje się obsesyjne zainteresowanie przestępcami siedzącymi w więzieniach. Raz po raz ukazują się w środkach masowego przekazu reportaże, artykuły o więźniach obecnego czasu, o przestępcach pospolitych czy wręcz zbrodniarzach. Rzecznik praw obywatelskich ustawicznie domaga się poprawy warunków bytu więźniów. Stałej trosce o to, aby było im jak najlepiej, jak najwygodniej, towarzyszy ubolewanie, że nie ma dla nich płatnej pracy. Nic natomiast nie mówi się o tym, że skazani mają dług do spłacenia społeczeństwu i osobom przez nich pokrzywdzonym. A szkoda, bo czy nie na tym polegać powinna praca z nimi? Mają wychowawców, psychologów, księdza kapelana, możliwość uczestnictwa we mszach świętych. Korzystają z wielu ulg. Dostają przepustki do domów, z których często nie wracają lub na których popełniają nowe przestępstwa. Urządzają bunty, domagają się jeszcze nowych ulg, wszystkiego im mało!

Jak jest w więzieniach obecnie, miałam możliwość przekonać się naocznie. Na początku lat dziewięćdziesiątych byłam w dwóch, w których przypadło mi spędzić długie lata z mego dziesięcioletniego wyroku, to jest w Bydgoszczy – Fordonie i w Inowrocławiu. Przecierałyśmy z koleżankami oczy ze zdumienia. Nie mogłyśmy nawet rozpoznać naszych cel. Sute-

rena w Fordonie, w której przesiedziałam ponad dwa i pół roku, nie służy już jako miejsce przebywania więźniów. Są tam magazyny, ewentualnie pokoje do spotkań, ale się tam nie mieszka. Każda cela ma teraz swój własny sanitariat, odgradzony zasłoną. Wygodne łóżka z materacami sprężynowymi, czysta pościel, na ścianach kolorowe plakaty, telewizory, video, radia, akwaria z rybkami, wszystko zależnie od stanu posiadania więźnia i jego upodobań. Są nawet regały z własnymi książkami. Wyżywienie jakże odbiegające od tego, które nam dawano. Stawka dzienna wyższa niż w domach dziecka. Zupy mleczne na śniadanie, chleb z miejskiej piekarni itd. Długie spacer, kontakty między celami, świetlica, w której obowiązkowo znajduje się radio i telewizor. A widzenia? Rodziny nie muszą czekać, stojąc godzinami na dworze bez żadnej możliwości schronienia się przed deszczem, śniegiem, zimnem, by po długich nieraz godzinach móc zobaczyć przez gęstą siatkę, czy kratę swoich najbliższych i ostrożnie – pod czujnym okiem oddziałowego czy specja – porozmawiać przez te dziesięć czy maksimum piętnaście minut. I nie chodzi mi tutaj o to, by obecne więzienia oferowały dawne warunki, w których my przesiedziałyśmy długie nieraz lata. Boli mnie tylko, że rozczulaniu się nad dolą przestępców towarzyszy milczenie o przeszłości.

Zakończony już proces Humera i jego towarzyszy zmusza nas do spojrzenia wstecz. W mediach mówiło się o tych, których obecnie sądzono, zaczynając zwykle stereotypowo: schorowani ludzie, w podeszłym wieku. Od czasu do czasu jakiś reportaż ukazywał tych „schorowanych ludzi w podeszłym wieku”, odpowiadających z wolnej stopy, cynicznie nie przybywających na wyznaczone terminy rozpraw, obrażających publicznie tych, nad którymi się pastwili, domagających się nawet ochrony. Przeważał ton wybaczenia czy zapomnienia, bo to jest przecież – jak słyszymy – odległa przeszłość, prawie prehistoria. A przecież ludzie torturowani przez tych katów jeszcze żyją. Wielu z nich jest starszych od swych oprawców. Są na pewno bardziej schorowani, bo zadawane im tortury zostawiły trwałe ślady. I oni, bez względu na stan fizyczny i psychiczny, przychodzili na wszystkie wyznaczone rozprawy, które ciągle odkładano z powodu nieobecności któregoś z oskarżonych. Proces Humera ciągnął się tak długo, że nie było widać końca. Daje to smutne świadectwo o składzie sędziowskim. Wiadomo, że oskarżony może korzystać z przysługującego mu prawa kłamstwa i z tego prawa oskarżeni korzystają obficie, a ci dorzucali jeszcze publicznie wypowiedane kalumnie pod adresem swych ofiar.

My, więźniowie polityczni lat 1944–1956, znaleźliśmy się na bocznym torze historii. Czy należy szukać winy tylko w społeczeństwie, w którym żyjemy, czy też winni jesteśmy również my sami? Środki przekazu rzadko zajmują się nami. Zapanowało ogólne przekonanie, że dość już martyrologii, dość wracania do przeszłości, społeczeństwo jest nami ponoć zmęczone. W czasie naszego jedyne go zjazdu w 1992 r. w Bydgoszczy – Fordonie nakręcono film telewizyjny, pokazujący i tak tylko niektóre fragmenty naszego więziennego życia. Ale nadany został w godzinach nocnych. Kto go zobaczył? I czego się dowiedział z tych nieposklejanych fragmentów, będących raczej pewną impresją, a nie oczekiwanym przez nas dokumentem tamtych lat.

Były bardzo dobre reportaże radiowe, ale nadawane w różnych odstępach czasu, nie powtarzane, nie mogły dotrzeć do większego grona słuchaczy. Słowo zresztą jest ulotne. Odczuwa się brak rzetelnych publikacji, prawdziwych dokumentów – relacji z tamtych lat. Czy to tylko brak zainteresowania społeczeństwa? Myślę, że dużo jest tu naszej własnej winy. Grzechu zaniedbania. To przecież nasz obowiązek dawać świadectwo tamtym dniom. Pokazać je w całej złożonej prawdzie. Pokazać, że lata naszego uwięzienia nie były zmarnowane, nie były wegetacją, samym tylko przetrwaniem, ale dążeniem, by przeżyć je możliwie w pełni, w imię wyższych wartości. Pokazać swoją wewnętrzną wolność, której nam mimo wszelkich starań nie zdołano odebrać. Pokazać codzienność naszego życia, ale także chwile wzniosłe, które świadczyły o niepoddawaniu się, nieulegnięciu. Pokazać łaknienie piękna, twórczości, szeroko pojętej kultury, i zaspokajanie tych pragnień w twórczości poetyckiej, satyrycznej, twórczości przejawiającej się w wykonywaniu różnych przedmiotów, rzeźbieniu w chlebie czy w łupku, haftowaniu, robotach na drutach, czyli patykach z miotły, uczeniu się języków, dyskusjach, wystawianiu własnych „sztuk teatralnych”, karmieniu się poezją, uczeniu się na pamięć wierszy naszych wielkich poetów, śpiewaniu pieśni patriotycznych, zwłaszcza przy okazji ważniejszych narodowych rocznic. Pokazać także rozwój wewnętrzny realizowany poprzez pracę nad sobą, indywidualnie wymyślaną i stosowaną dobrowolną ascezę, dyskusje, wspólne i indywidualne modlitwy. Pokazać życie w zbiorowości małej i dużej celi, jakże różniące się między sobą, a także życie w kompletnej samotności. Życie, gdy się pracowało, i życie, gdy się siedziało bez pracy. A w relacjach tych nie powinno zabraknąć sylwetek tych, którzy już odeszli, o których trzeba pamiętać,

którzy swoją osobowością wywierali wpływ na innych i współtworzyli społeczność więzienną.

Jeśli zostaną po nas – nawet niewydane drukiem – relacje i wspomnienia, to będziemy mogli sobie uczciwie powiedzieć, że spełniliśmy swój obowiązek wobec historii i wobec siebie. A jaka jest rzeczywistość? Jak mało jest takich relacji i jak trudno się o nie doprosić. Niechęć do pióra czy zwykłe lenistwo? A czas płynie nieubłagane. Pamięć ludzka staje się coraz bardziej zawodna. A nas ubywa i ubywa. Co pozostawimy po sobie? Sztandary, które nie powiedzą potomnym, kogo reprezentowały? Rozbicie polityczne? Przecież wszyscy walczyliśmy o Wolną Polskę, o Jej dobro, nie o własne. Chociaż różnimy się w wyrażanych opcjach i poglądach, to przecież wszyscy byliśmy więźniami jednej sprawy, której celem była walka o wolność Polski. To nas złączyło i musi łączyć nadal.

38. Film o bezpieczeństwie

Po tylu latach milczenia i zapomnienia doczekaliśmy się w 1998 r. trzydziestoletniego filmu dokumentalnego „Bezpieka 1944–1956” Ireny Barólewskiej o działalności bezpieki w Polsce. Na kształt *Dwóch teatrów* Jerzego Szaniawskiego pokazano nam tytułowy wątek i główne *dramatis personae* biorące udział w tym dwanaście lat trwającym przedstawieniu. W teatrze pierwszym pokazano nam całą zbrodniczą strukturę bezpieki. Drugi teatr – to nie „Teatr Snów”, ale teatr tragicznej rzeczywistości, którego bohaterowie znaleźli się w rękach aktorów teatru pierwszego. Oglądaliśmy też widownię terroryzowaną i ogłupianą, klaszczącą i manifestującą swoje „uwielbienie” dla zbrodniarzy – aktorów bezpieki, usiłujących odgrywać role trybunów ludowych, głoszących szczytne hasła wolności i przebranych w togi sędziów wymierzających „sprawiedliwość społeczną”.

Otrzymaliśmy spektakl wielowątkowy, bardzo prawdziwy i rzetelnie udokumentowany fragmentami starych kronik filmowych, zdjęciami i różnorodnymi materiałami archiwalnymi, niedostępnymi dotąd dla zwykłego śmiertelnika. Pokazano nam też fragmenty głośnych procesów politycznych, w których zobaczyliśmy zarówno tych, co oskarżali i skazywali, jak i ofiary ich zbrodniczych wyroków. Słuchaliśmy komentarzy historyków, przede wszystkim Władysława Bartoszewskiego, który jako jedyny mógł mówić w podwójnej roli badacza historii i jej bohatera. Byli także więźniowie, o znanych powszechnie nazwiskach, którzy opowiadali o swoich

przeżyciach więziennych i warunkach, w jakich przyszło im żyć. Ponieważ poszczególne odcinki filmu pokazano w porze dobrej oglądalności, można mieć nadzieję, że duża liczba widzów mogła się z nimi zapoznać.

Muszę jednak napisać i o swoim „ale”, zależy mi bowiem na pełnej prawdzie. Otóż film zajmuje się prawie wyłącznie mężczyznami i ich martyrologią, pokazując jedynie migawkowo jedną jedyną postać kobiecą. Jak można wywnioskować z obecnego wyglądu występującej w filmie pani Doroty Wiśniewskiej, była ona w chwili aresztowania bardzo młodziutką dziewczyną. Z jej słów wynika, że nie reprezentowała ona żadnej organizacji walczącej o niepodległość Polski, będąc raczej ofiarą represji z powodu wyznania. Dlaczego nie powiedziano, że wśród tych tysięcy aresztowanych w okresie stalinizmu więźniów znajdowało się bardzo dużo kobiet? Czyżby realizatorzy filmu tego nie wiedzieli? Kobiety były „równoprawnymi” więźniami politycznymi. Poddawano je tym samym represjom i torturom, co mężczyźni. Tak jak oni drżały z zimna w czasie wielogodzinnych stójek, spędzały długie dni marznąc nago w karcerze i tak samo jak mężczyźni były sadzane w trakcie przesłuchań na nodze od taboretu. Obrzucano je tymi samymi plugawymi epitetami, dostosowanymi jedynie do ich płci. Poddawano je tym samym szantażom, do których dołączano groźby dotyczące dzieci. Aresztowano kobiety w każdym wieku: młodziutkie dziewczyny, matki karmiące i pozostawiające swoje maleństwa pod opieką rodziny, ale i kobiety w ciąży, rodzące swoje dzieci w warunkach więziennych, a także będące grubo po sześćdziesiątce „babcie”. Kobiety te również spędzały miesiące czy lata w pojedynczych celach, pozbawione wszelkiego kontaktu z ludźmi z wyjątkiem służby więziennej czy funkcjonariuszy UB. A wreszcie – jakże często – traktowano je w sposób uwłaczający ich szczególnej godności kobiecej. To pominiecie boli i domaga się naprawienia być może nieświadomie wyrządzonej nam krzywdy.

Można przypuszczać, że zamysłem autorów filmu było ukazanie przede wszystkim struktury bezpieczeństwa, a martyrologię indywidualnych więźniów przedstawiono jako swoistą „ilustrację” działania jej ogniw. I tutaj też odczuwam zasadniczy niedosyt. Nie mówi się mianowicie o tym, jak w każdych warunkach – czy to w samotnej celi, czy też w mniejszej czy większej zbiorowości – można się było przeciwstawić zniewoleniu i zachować wewnętrzną wolność.

39. Wystawy „Więżniowie polityczni...”

Bardzo dużo cennych informacji o zbrodniach systemu komunistycznego można zaczerpnąć z wystawy zorganizowanej w 1996 w Muzeum Niepodległości pt. „Więżniowie polityczni w latach 1944–1956”. Po kilku miesiącach wystawa została przeniesiona do Białegostoku, a następnie do Łodzi. Prezentowała m.in. rozległą sieć aresztów, więzień i obozów pracy, spowijających na kształt pajęczyny całą Polskę. Przedstawiała wiele urzędowych dokumentów, w tym fragmenty najważniejszych dekrétów, na podstawie których sądy skazywały na karę śmierci lub długoletnie więzienie, pozbawiające w wielu wypadkach praw do skorzystania z amnestii czy też zwolnienia warunkowego. Były także liczne oryginalne plakaty z tamtych lat, opluwające podziemie. Były zdjęcia z procesów. Zgodnie z przyjętą zasadą pokazano wyłącznie tych, których już nie ma między nami, straconych czy zmarłych na wolności. Można było także zobaczyć konspiracyjne gazetki, a także odezwy, pisane niewprawną nieraz ręką. W gablotach wystawiono wzruszające wyroby z chleba (krucyfiksy, różańce, szachy i bransoletki), ze słomki czy z ości rybiej oraz z trzonek od szczoteczki do zębów, a wreszcie haftowane serwetki czy też inne praktyczne przedmioty wykonane z dostępnych w więzieniu szmatek. Wszystkie te eksponaty, które udało się przechować przed rewizjami, wynieść samemu na wolność czy w inny sposób przekazać rodzinom, świadczą o silnie tkwiącej w ludziach potrzebie zaspokajania w każdych warunkach innych niż tylko bytowe pragnień.

Ostatnim i najważniejszym jednak dokumentem mówiącym o żołnierzach Polski Więziennej była zgromadzona tam literatura przedmiotu. Wśród niej – antologia poezji więziennej *Przeciwko złu* Barbary Otwinowskiej. Zawarto w niej także wiersze „pisane” w myśli i zapamiętane przez ich autorów, a często przez współwięźniów. Są tam poezje o różnej wartości literackiej, ale wszystkie odzwierciedlają indywidualne nastroje i przeżycia i wyniknęły z potrzeby wypowiedzenia ich w rymowanej formie. Jest też solidna porcja więziennego humoru, wierszy okazjonalnych oraz piosenek.

Pokazano również wydawnictwa książkowe, zawierające wspomnienia i relacje pisane przez więźniów już na wolności. Na specjalną uwagę zasługuje dwutomowy rocznik „Niepodległość i Pamięć”²⁶¹. Pomieszczono w nim artykuły pisane przez profesjonalistów – prawników i historyków –

²⁶¹ „Niepodległość i Pamięć” t. 7, z. 1–2, Warszawa 1997.

ale także relacje więźniów. W związku z wystawą wydano ponadto niedużą książeczkę – folder, w której omówiono okres stalinowski w aspekcie więziennym.

Wydawałoby się więc, że jest wystarczająco dużo materiałów, by można było się pokusić o pokazanie tej różnorodnej więziennej społeczności, powiedzieć o postawie więźnia politycznego, jego etosie, pozwalającym na godne i twórcze przeżycie więzienia. O tych wszystkich problemach mogliby też opowiedzieć sami więźniowie, ale w sposób szczególny chodzi mi tutaj o wypowiedzi kobiet, dotąd, niestety, pomijanych. Mamy przecież Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego ze swoim Zarządem Głównym i licznymi oddziałami, rozsianymi po całej Polsce. Jest, wyłoniony z niego, Związek KS (skazanych na karę śmierci, wśród których także znajdują się kobiety), a wreszcie i środowisko Fordonianek, grupujące wszystkie więźniarki polityczne, niezależnie, w jakich przebywały więzieniach, gdyż Fordon był centralnym więzieniem dla kobiet. Środowisko to wydaje swój miesięczny biuletyn „Nike”, w którym można znaleźć wiele interesujących wspomnień i relacji. Można wreszcie dotrzeć do samych więźniarek i wypełnić dotkliwą lukę. Istnieją możliwości. Trzeba tylko chcieć z nich skorzystać.

40. O *Przesłuchaniu Bugajskiego*

Zanim trafił do legalnej dystrybucji, film Ryszarda Bugajskiego *Przesłuchanie* krążył podziemnymi ścieżkami, wyświetlany z taśmy video. Fama głosiła, że jest to prawdziwy film, mówiący o tamtych, przemilczanych przez wszystkie lata istnienia PRL, czasach stalinowskiego terroru. Film krążył, ludzie się zachwycali i każdy powtarzał: „musisz to koniecznie zobaczyć, właśnie ty, znająca te sprawy z własnego doświadczenia”. Nie od razu jednak udało mi się go obejrzeć, mimo że byłam bardzo zainteresowana. W tym czasie nieoczekiwanie usłyszałam również negatywną opinię na temat *Przesłuchania*, a raczej na temat jego scenariusza – od Marii Szelągowskiej, naszej więziennej koleżanki, zmarłej w 1989 r., a będącej w naszym kręgu wielkim autorytetem, zarazem moralnym i intelektualnym. Jej zdaniem film ten uwłaczał nam, więźniarkom politycznym tamtego czasu.

Ten pierwszy scenariusz, pierwszy film mówiący o więzieniu okresu stalinowskiego został umiejscowiony w historycznym czasie i przestrzeni.

Data aresztowania bohaterki filmu – grudzień 1951, wyjście na wolność – 1956. Miejsca akcji: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej i więzienie na Mokotowie, X Pawilon śledczy i szpital więzienny. Autor scenariusza powinien być więc zaznajomić się z realiami, zarówno dotyczącymi samych pomieszczeń, jak i ich mieszkank – więźniów politycznych. Nie brakuje w Polsce, a zwłaszcza w Warszawie byłych więźniarek, które mogłyby udzielić autorowi rzetelnych informacji. Nie uczynił tego. Dziwi co najmniej nonszalancki stosunek autora do prawdy historycznej nie tak znów odległej epoki. Skupił on swoją uwagę głównie na metodach śledztwa – są brutalne, prowadzą do czynnego i słownego sponiewierania przez śledczych więźnia – kobiety. Ona zaś – w ujęciu filmu – nie pozostaje im w swoich odpowiedziach dłużna. Dochodzi do przedziwnego dialogu – całkowicie niewyobraźalnego!

O okupacji dużo się pisało i pisze nadal. Powstały filmy, wspomnienia, dokumenty i świadectwa literackie. Dzięki nim znamy sylwetki autentycznych bohaterów oraz obraz całego walczącego podziemia. Wraz z końcem wojny i rozpoczęciem się ery stalinowskiej nie nastąpiła przecież w charakterze tej społeczności żadna drastyczna zmiana. Pozostało lub weszło ponownie do podziemia to samo pokolenie, walcząc o tę samą sprawę – o wolną Polskę. Były „kotły”, wpadali w nie także ludzie zupełnie nie zaangażowani w walkę podziemną, znalazłszy się jednak w więzieniu odnajdowali właściwą postawę, postawę więźnia politycznego. Odnosiło się to w tym samym stopniu do mężczyzn i kobiet. Nie znając więc nawet realiów, okrytych tajemnicą stalinowskich czasów, można było pokazać prawdziwe oblicze więźniarek. Tego Ryszard Bugajski nie uczynił. Wyimaginował sobie bohaterkę w niczym nieprzystającą do naszego pokolenia – na to jeszcze mógł sobie pozwolić, jeśli taka akurat wizja mu odpowiadała i wydawała się bardziej wymowna w swoim dramacie. Ale na jakim tle ją pokazał? Tego właśnie dotyczy mój główny zarzut.

Zacznę od początku. Główna bohaterka filmu Tonia zostaje wprowadzona do celi w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, celi zbiorowej, brudnej, śmierdzącej, pełnej rozwrzeszczanych, rozsłochanych, rozhisteryzowanych bab. Przecieram oczy. W scenariuszu wyraźnie mowa o Koszykowej. W piwnicach Ministerstwa spędziłam ponad dwa tygodnie, zaraz po aresztowaniu. Zaprowadzono mnie do piwnic, gdzie urzędowali oddziałowi – repatrianci z Francji. Widziałam tam jedynie pojedynki. Były to zarówno małe klitki, całkiem ciemne, bez okna, jak i pojedynki

z oknem, ledwo trochę szersze od stojącej w nich pryczy. Nie sadzano tam przypadkowo zaaresztowanych „bab”, nie było ani wrzasków, ani szlochów, ani smrodu. Dominowała raczej cisza i całkowita samotność. Tymczasem w zatłoczonej celi, przypominającej koszmarny obraz szpitala wariatów oglądany oczyma Goyi, postać bohaterki rysuje się wprawdzie wyraziście, ma swoje oblicze, tamte się nie liczą.

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia – Tonia śpiewa kolędy, inne, postraszane przez oddziałowego, milkną. Ona jedna śpiewa nadal. W celach zbiorowych siedziałyśmy nie na początku śledztwa (byłoby to nonsensem), lecz po śledztwie. Przechodziło się wówczas na tzw. „ogólniak”, w osobnym pawilonie. Tam czekałyśmy na zatwierdzenie wyroku i na ewentualny transport do Fordonu. Na „ogólniaku” były duże cele, przewidziane dla 24 więźniów, a w okresie, w którym ja tam byłam, mieszczące sto kilkadziesiąt kobiet. Dopiero tutaj opis dany przez reżysera mógłby być prawdziwy, tym bardziej że polityczne były tu stłoczone z więźniarkami siedzącymi za współpracę z Niemcami, z prostytutkami i złodziejkami. Mógłby – ale nie jest. Jeśli bowiem chodzi o grupę więźniarek politycznych, stale rosnącą, tworzącą własną odrębną społeczność, była ona darzona szacunkiem przez resztę i nadawała ton całokształtowi życia w celi. Mimo wszystko było jednak czysto, same dbałyśmy o to. Nie było też wrzasków, hysterii, spazmów i płaczów. Nasza więzienna rodzina prowadziła wspólne gospodarstwo, jeśli chodzi o żywność, starałyśmy się też racjonalnie gospodarować wydzielaną nam wodą, a także i... czasem. Wprowadzałyśmy różne formy samokształcenia, wieczorów poetyckich, małych i dużych uroczystości. Wiąż, wytworzona między jednostkami w czasie śledztwa, poszerzała się w celi zbiorowej, a także później w więzieniach Fordonu i Inowrocława, i nigdy się nie zerwała.

W styczniu 1952 r. naszą filmową bohaterkę przewieziono na Mokotów. Scenariusz podaje wyraźnie, że na „dziesiątkę”. Dla uściślenia warto dodać, że ostatnie piętro tego pawilonu, oddzielone osobną kratą, nosiło nazwę „jedenastki”. Cele były tam dwa razy węższe i nieskanalizowane, przeciwnie niż „dziesiątka”. A tu nie było żadnych „kibli”. W jednym i drugim pawilonie były to cele przewidziane zasadniczo dla jednego więźnia, ale w latach czterdziestych siedziało w nich po czterech i więcej.

Pomińmy jednak (dla nas jakże istotne!) różnice w wyglądzie i wyposażeniu cel, ważniejszy jest obraz społeczny i moralny, który w tym miejscu swej filmowej opowieści tworzy Bugajski. Jedna tylko Tonia jest tu

indywidualnością. Dostaje do celi dwie towarzysзки; wiejską kobietę zamkniętą za zabicie sekretarza, który przyjechał kolektywizować jej ziemię (w tym czasie za tego typu przestępstwo kobieta ta siedziałaby w więzieniu na 11 Listopada, a nie na „dziesiątce”), drugą, małomówną, która jest lesbijką i kapusiem (co stwierdza sam śledczy – też ewenement!). I to jest zespół mieszanek celi – więźniarek politycznych?!

A pierwsze przesłuchanie? Czytam w pięknie wydany scenariuszu: Śledczy – po wstępnych formalnościach – „jakby znudzony, spojrzął w okno i wypowiedział kilka uwag na temat tegorocznej zimy. Z uprzejmości dodałam to i owo. Utrwalał się w ten sposób między nami nastrój spokoju i swojskości. Zaczęło nawet być nudno”.

Konkludując: szkoda mi autora książki i jednocześnie twórcy filmu, który zamiast wysilać swój umysł na wymyślanie postaci i sytuacji całkowicie nierealnych, mógł stworzyć wspaniały dramat, pokazać całe bogactwo postaw i postaci, a także całej zbiorowości więźniarek politycznych tamtego czasu, ich problemy, ich życie, obfitujące w przeróżne zdarzenia od najbardziej tragicznych i pełnych napięcia do wybuchających najczystszych humorem. Ale żeby taki film stworzyć, reżyser musiałby posiadać gruntowną wiedzę o tamtych czasach, ludziach i stosunkach. Musiałaby też przyświecać mu idea prawdy jako misji artystycznej. A tak – nie wiem, o czym jest ten film. Na pewno nie o tym, o czym wszyscy sądzą, że jest.

41. Krzyczę do telewizora

Moje koleżanki, Marysia Hattowska i „Nula” Stachiewicz, odsiedziały swoje trzyletnie wyroki co do dnia. Potem „odsiadywały” prawie trzy lata ciągnący się proces Humera i towarzyszy. Obydwie były jednymi z pierwszych więźniów składających zeznania w prokuraturze o zbrodniach popełnionych przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa w latach stalinowskich. Marysia była torturowana przez Humera, Nula przez Chimczaka²⁶². Obie zdecydowały się zostać oskarżycielkami posiłkowymi w przygotowywanym

²⁶² Eugeniusz Chimczak (ur. 1921). Od 1944 r. funkcjonariusz PUBP w Tomaszowie Lubelskim, od 1945 r. oficer śledczy MBP. Po 1956 r. starszy inspektor Biura Pełnomocnika Rządu MSW. Od 1961 r. pracownik Biura „T”, od 1969 r. naczelnik Wydziału Inspekcji Biura „T” MSW, a od 1971 naczelnik Wydziału Inspekcji Departamentu Techniki MSW. 8 III 1996 r. skazany w procesie Humera i innych na 8 lat więzienia za znęcanie się nad aresztowanymi.

procesie. Rozpoczął się on we wrześniu 1993 r. Pani mecenas Izabela Skorupka została ich całkowicie bezinteresownym i w pełni oddanym sprawie pełnomocnikiem. Posiedzenia sądu były kolejno odwoływane, a to z powodu niestawienia się któregoś z oskarżonych – bo wszyscy ci zbrodniarze zeznają z wolnej stopy – a to w wyniku nieobecności świadków. Liczba oskarżonych z biegiem czasu stopniała do dwunastu. A oskarżycielki posiłkowe, znając swoją rolę i czując odpowiedzialność, stawiały się na każdą rozprawę.

Czy naprawdę możemy w pełni uświadomić sobie, czym była dla obu naszych koleżanek obecność na sali sądowej? Najpierw pokonanie dolegliwości fizycznych, związanych z dojazdem do sądu. Marysia, przy swoich licznych i ciężkich schorzeniach, ma trudności w poruszaniu się, a jednak, przezwyciężając ból i zmęczenie, pokonując na piechotę pięć pięter swojego domu (bo nie ma windy), stawiała się na sali sądowej, aby – jakże często – dowiedzieć się, że posiedzenie zostało odłożone. „Nula” – cierpiąca na poważne schorzenie serca – przy niskich temperaturach nie jest w stanie wyjść na mroźne powietrze. Niestrudzona i pełna życzliwości pani mecenas zabierała ją wtedy swoim maluchem. Ale fizyczna obecność – to zaledwie wstęp do bolesnych przeżyć. Obie siedziały w pierwszej ławce, *vis-à-vis* oskarżonych. Obie musiały, za każdym razem, już na korytarzu – zetknąć się z Humerem i innymi, swobodnie spacerującymi z dumnie podniesionymi głowami. A potem? Pod obstrzałem kamer, spojrzeń dziennikarzy, a na pewno i swoich dręczycieli, musiały zachować godność i spokój. Niemożliwe jest przecież, żeby widok ich oprawców nie przywoływał w pamięci zadawanych tortur i poniewierania ich ludzkiej i kobiecej godności. I to wszystko trzeba było przeżywać ciągle od nowa, w każdym dniu rozprawy raz jeszcze. W przerwie zaś, oblegane przez dziennikarzy, musiały udzielać wyjaśnień i wywiadów, powtarzając po raz nie wiem który, relacje o własnych cierpieniach. Nigdy się od tego nie uchylały, chociaż nieraz były już bardzo zmęczone. Wiedziały jednak, że swoją obecnością i gotowością do udzielania informacji spełniają swój obowiązek, którego się podjęły. A co mogły przeżywać, słuchając zeznań oskarżonych, wypierających się swoich zbrodniczych czynów i zarzucających wprost mówienie nieprawdy świadkom? Jak można z niewzruszoną twarzą wysłuchiwać kłamstw Humera twierdzącego, że nigdy nie dotknął Marysi ręką? Ona to bicie dobrze i na trwale zapamiętała. W ciągu tych miesięcy i lat przesunął się przed ich oczyma cały korowód świadków ze-

znających o torturach zadawanych im przez oskarżonych. Przecież nie można tego słuchać obojętnie.

I ostatni, a raczej przedostatni akord procesu. Mowa adwokata Dubois²⁶³, która mogłaby być śmiało nazwana mową oskarżycielską w stosunku do pokrzywdzonych, mową oskarżającą obecny ustrój w Polsce i prawa ustalone przez parlament. Maciej Dubois nazwał bowiem nowelizację prawa „potworkiem legislacyjnym”. Miał przy tym czelność wnosić o umorzenie sprawy z racji przedawnienia, a jednocześnie, w tej samej mowie, wyrazić „wiele sympatii i szacunku... dla siedzących tu oskarżycielek posiłkowych”. Obwiniął jedynie system, który odpowiada za zbrodnie, uniewinniając wykonawców. Ukoronowaniem jego wypowiedzi stał się zarzut, że „Maria Hattowska na skutek upływu lat może już nie rozróżniać, co jest prawdą, a co tylko wyolbrzymionym wydarzeniem”. To już było prawdziwe apogeum bezczelności! To właśnie winni, z biegiem lat wypierając z pamięci popełnione czyny, coraz bardziej nie pamiętają o popełnionych zbrodniach i stosowanych niegdyś z upodobaniem torturach.

Widziałam je obie, Marysię i „Nulę”, siedzące na ławce z kamiennymi twarzami. One przecież nie mogły nawet mimiką zareagować. Reakcję Nuli – już po tej sesji – usłyszałam częściowo w telewizji „Polsat”. Patrzyłam na nią, gdy wzburzona do głębi wołała: „A co? To nie jest zbrodnia przeciwko ludzkości? Czy my nie jesteśmy ludźmi? Nie byliśmy ludźmi, gdy nas torturowano?”. Wstrząsające słowa. A jaka była reakcja Humera na piękne, prawdziwie chrześcijańskie słowa Marysi, wybaczące mu zbrodnie na niej popełnione? Jak zareagował na nie? Podziękował i zaraz dodał, że: „nie ma mu czego przebaczać, bo nigdy jej nie tknął palcem”. Zapomniał widocznie o nahajce, którą bił Marysię!

Jestem w domu sama. Nie mam się z kim podzielić swymi odczuciami. Jeszcze w sądzie, widząc spacerującego po korytarzu Humera, nie mogłam się powstrzymać od okrzyku „O! o! o!”. A teraz, słysząc te kalumnie, te straszliwe kłamstwa, i patrząc na moje koleżanki, całe moje normalne opanowanie gdzieś niknie i wołam na cały głos, krzyczę! Nie jestem w stanie trzymać zamkniętych ust. Podziwiam Was, moje kochane. Chylę przed Wami czoło.

²⁶³ Mec. Maciej Dubois – obrońca Adama Humera.

42. Inowrocław przyjazny

Inowrocław kojarzył mi się nieuchronnie z więzieniem, z jego czarnymi ścianami, betonem podłogi, zamalowanym olejną farbą oknem, z miarowo stukającym przy silniejszym wietrze zwisającym drążkiem, z samotnością, głodem, zimnem i milczeniem, przerywanym tylko kilkakrotnym meldowaniem w ciągu dnia: „obywatelu... cela numer sto siedemnaście, więźniarka jedna...”. Po wyjściu na wolność długo musiałam walczyć ze sobą i wbijać do głowy, żeby załatwiając jakąś sprawę, nie stukać butami i nie recytować przepisowej formułki: „więzień karny Czaplińska Ruta melduje swoje przyjsie”. To trwało lata.

A każdy przejazd z Wrocławia do Bydgoszczy czy Gdańska miał na swojej trasie stację **Inowrocław**. Pociąg zbliża się, a ja siedzę w bezruchu na swoim miejscu. W gardle mnie ściska, nie chcę, a jednocześnie muszę patrzeć. Widzę napis na peronie. Wyteżam wzrok. Czy dojrzę gdzieś w oddali mury więzienia? Nie znam jego położenia, ale siedząc w tej mojej sto siedemnastej celi przez wiele miesięcy, słyszałam dobiegający z megafonów stacyjnych głos, zapowiadający przyjazdy i odjazdy pociągów, gwizdy lokomotywy i stukot kół jadących po szynach. I był to dla mnie zawsze odgłos życia, w którym ja nie biorę udziału, życia, które pędzi w dal, a ja tkwię samotnie w swojej celi. I jak ciężko było być w przedziale samej z tymi myślami i nie pokazać po sobie przypadkowym towarzyszom podróży, co się przeżywa. Ale o tym nie mówiło się nawet rodzinie; jedynym wyjątkiem były spotkania z więziennymi i zawsze bliskimi koleżankami.

I oto po wielu latach takich wewnętrznych zmagani i po napisaniu inowrocławskich wspomnień, przeznaczonych na nasz pierwszy Zjazd Więźniarek Politycznych, a zatytułowanych *Inowrocław nieznany*, wybrałyśmy się we trójkę: „Mysza” Cieślińska-Skrzypiec, Renia Sakowicz-Olszewska i ja – do Inowrocławia. Było to w październiku 1992 r.

Przygotowanie naszej wizyty zawdzięczamy Irence Bukowskiej i jej kontaktom z p. Tadeuszem Skarżyńskim. Inowrocławskim opiekunem i przewodnikiem był p. Edmund Mikołajczak, członek Towarzystwa Miłośników Inowrocławia i nauczyciel historii w Niższym Seminarium Duchownym, prowadzonym przez oo. oblatów w Markowicach pod Inowrocławiem. W czasie tego pobytu mogłyśmy wejść do więzienia i zobaczyć, jak bardzo wszystko się zmieniło, poczynając od cel, ich wyposażenia, aż do podwórka spacerowego. Spotkałyśmy się z grupą dziennikarzy i przedstawi-

cieli miasta, na koniec zaś z markowicką młodzieżą. Zwłaszcza to ostatnie pozostawiło w nas niezatarte wrażenia.

Ten pobyt w Inowrocławiu pozwolił mi innymi oczami spojrzeć na miasto, które dopiero teraz mogłam zobaczyć naprawdę, i zbudować pierwsze dodatnie skojarzenie.

26 września 1996 r. jechałam do Warszawy na spotkanie fordonianek. Na kilka godzin przed wyjazdem dostałam niespodziewanie list z Inowrocławia. Sekretarz Urzędu Miasta, p. Piotr Strachnowski, zapraszał na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na murach więziennych, czczącej pamięć wszystkich tam pomordowanych i cierpiących. Ten list poruszył mnie do żywego. Oczywiście, muszę pojechać! W pośpiechu zagryzmołam kartkę pocztową zapewniającą o moim przyjeździe z osobą towarzyszącą (oczywiście także więźniarką) i zanim ją skończyłam, zatelefonowałam do Basi Dunin z zapytaniem, czy zechce mi towarzyszyć. Uzyskałam jej zgodę i dopisałam, z kim przyjadę. W Warszawie dowiedziałam się, że Renia Sakowicz dostała identyczne zaproszenie, a potem zatelefonowała z tą samą wiadomością „Myszka” Cieślińska. Byłyśmy więc w komplecie. Irenka Bukowska także oczywiście dostała zaproszenie, ale niestety nie mogła przyjechać, więc musiała je potraktować jako bardzo miłą pamięć o swojej osobie. Zajęła się jednak gorliwie przygotowaniem legitymacji naszej bardzo prywatnej odznaki „więźnia Inowrocławia z lat 1952–1955”. W ostatniej prawie chwili okazało się, że Myszka wylądowała w szpitalu i ku jej i naszemu wielkiemu żalowi nie może jechać. Nas poinformowano, że na stacji będzie czekał na nas samochód z Urzędu Miasta, że zajmie się nami nasz nieoceniony p. Mikołajczak, a nocleg mamy zapewniony w Markowicach. Tę wiadomość przyjęliśmy z wielką radością, mając żywo w pamięci spotkanie z markowicką młodzieżą. No i tak było.

Na peronie przywitały nas Renia i Bernadeta. Pojechaliśmy do Markowic. Dostałyśmy świetne jedno- i dwuosobowe apartamenty z łazienkami! Rozgościłyśmy się i pojechaliśmy do Inowrocławia na obiad, a potem do kościoła na mszę świętą. Tam już czekały na nas Ola Sokołowska i Marylka Sobocińska. Przed nami (siedziałyśmy w pierwszej ławce) stali harcerze (dziewczęta i chłopcy) oraz poczty sztandarowe. Mszę świętą sprawował arcybiskup Henryk Muszyński i on także wygłosił homilię. Dla mnie – a myślę, że i dla moich koleżanek także – ta msza św. była wielkim przeżyciem już przez sam fakt, że była naszą pierwszą mszą św. w Inowrocławiu, a ponadto, że byli na niej obecni także przedstawiciele hierarchii Kościoła

i władz miejskich, poczty sztandarowe i wierni wypełniający całą świątynię. Przede wszystkim jednak była pamięć minionych wydarzeń i postaci tak bliskich mi koleżanek. Koleżanek, które odeszły, a o których pamiętam w codziennej modlitwie, i tych, a zwłaszcza tych najbliższych, które nie mogły być razem z nami na tej uroczystości.

Odżywają różne fakty i zdarzenia: przez suterенę – widać otwarte drzwi do opustoszałych nagle cel – idziemy do czekających ciężarówek. Wchodzę z Maryjką Kolską, którą usadawiam na naszych tobołkach, żeby jej było nieco wygodniej, bo to takie chucherko, i nie mam pojęcia, że widzę ją po raz ostatni...

Ksiądz arcybiskup mówi o zamęczonych więźniarkach, a przed moimi oczyma staje wąziutkie przejście na podwórko spacerowe, otoczone czerwonym, powyszczerbianym murem ceglany, które zawsze budziło we mnie grozę. Ten rozdział homilii mówi o czasie spędzonym tu przez nas i wzruszenie ściska mi gardło, bowiem ksiądz odczytuje fragment inowrocławskich wspomnień, pisanych przez Myszkę. Jaka szkoda, że ona nie może tego słyszeć. W całym kościele cicho, jak makiem zasiał.

Msza św. skończona. Autokary wiozą nas do budynku więzienia. Okazuje się, że tablica nie może być wmurowana na murze frontowym *vis-à-vis* kościoła, ale od strony otaczającej budynek administracji. Może lepiej, bo w pobliżu są szkoły, które będą opiekować się tablicą, a ponadto jest więcej miejsca dla przyszłej publiczności. Nas ustawiają w pierwszym rzędzie. Na białym murze wbudowana cienka ścianka z cegieł z umieszczoną wewnątrz czarną tablicą z marmuru czy też szwedzkiego granitu. Przedstawiciel miasta wita wszystkich przybyłych, a wśród nich odczytuje i nasze nazwiska, łącznie z „Myszką”. Jedną z trzech odsłaniających tablicę osób jest Maryla Sobocińska, która razem z Olą siedziała tutaj w 1946 r., i przyjechała na tę uroczystość ze Szwecji. Jest i przemówienie arcybiskupa, który poświęca tablicę, jest i kompania wojska, apel i salwa honorowa. Wiem, że ta salwa to bardzo ważny moment całej uroczystości, ale mnie i nie tylko mnie – kojarzy się ona nieuchronnie z bratem i szwagrem rozstrzelanymi w czasie wojny, z moimi kolegami i innymi bliskimi straconymi w więzieniach PRL-u. Nie umiem opisać, co czułam. Dominowała jednak świadomość, że doczekaliśmy chwili, gdy prawda o inowrocławskim więzieniu może być publicznie przekazana, że dotarła do zupełnie jej nie znających mieszkańców miasta. Po skończonej uroczystości ksiądz arcybiskup, który stał przed nami, zwrócił się do nas z ser-

decznymi słowami. Powiedziałyśmy, że odczytany fragment wspomnień był napisany przez naszą koleżankę, „Myszkę”, której choroba nie pozwoliła przyjechać, a tak bardzo chciała być razem z nami. Poprosiłyśmy o zgodę na wydrukowanie homilii w naszej „Nike”, którą natychmiast uzyskałyśmy.

Autokary zawiozły nas do ratusza, gdzie odbyło się spotkanie zaproszonych gości z władzami miasta. Wśród gości byli bratankowie zamordowanego w 1939 r. ks. Mateusza Zabłockiego, powstańca wielkopolskiego, kawalera Krzyża Virtuti Militari, a potem organizatora samoobrony obywatelskiej w Gnieźnie we wrześniu 1939 r. Maryla odczytała swoje wspomnienia więzienne dotyczące dwóch straconych żołnierzy AK, z którymi komunikowała się przez ścianę. Ponieważ z powodu nieobecności Myszki byłam jedyną przedstawicielką Inowrocławia lat 1952–1955, zabrałam krótko głos. Nawiązałam do słów ks. arcybiskupa, który ze zrozumieniem mówił, jak bardzo sama nazwa miasta kojarzyć się nam musi z naszymi przeżyciami więziennymi. Potwierdziłam tę sugestię, mówiąc, że każdy przejazd pociągiem przez Inowrocław był dla mnie niesłychanie ciężkim przeżyciem. Teraz jednak, gdy sytuacja się zmieniła i można nie tylko mówić, ale i uczcić pamięć zamęczonych w więzieniu inowrocławskim i gdy spotykamy się z tak serdecznym przyjęciem – te złe skojarzenia przestały mnie już dręczyć.

Wszyscy uczestnicy spotkania, również „Myszka” i Irenka, otrzymali od prezydenta miasta Inowrocławia teczek z okolicznościowym dokumentem dotyczącym uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej.

Ale trzeba było po raz drugi przyjechać do Inowrocławia, żeby to wszystko przeżyć i zrozumieć. I trzeba było spotkać się z naszym bezpośrednim i tak życzliwym opiekunem – p. Edmundem Mikołajczakiem. Innym bowiem, ale równie ważnym akcentem był nasz pobyt w Markowicach. Wyniosłyśmy niezapomniane wspomnienia z naszej pierwszej tam bytności i spotkania z młodzieżą i już z góry wiedziałyśmy, że ten drugi będzie równie cenny. I tak było. Rano junior (bo tak nazywają uczniów) zaprowadził nas na śniadanie, a potem z Inowrocławia przyjechał p. Mikołajczak i odbyło się spotkanie z uczniami. Okazało się, że duża ich część (z czwartej klasy) wyjechała do różnych miejscowości, żeby sprzedawać wydane w Markowicach kalendarze misyjne i w ten sposób propagować wśród ludności idee misji. Chłopcy przyjęli nas bardzo serdecznie. Zadawali nam różne pytania, na które starałyśmy się jak najlepiej odpo-

wiać – o przynależność do organizacji, gdzie byliśmy aresztowane, jakie wyroki otrzymałyśmy i w jakich byliśmy więzieniach. Ponieważ w czasie uroczystości pod murem więzienia był recytowany wiersz Ireny Tomalakowej *Drewniaki*, nawiązałyśmy do wierszy tworzonych w więzieniu, „pisanych w myśli” i przechowywanych w pamięci autorek i koleżanek. Mówiłyśmy o Irenie i o jej twórczości, która była jednocześnie dokumentem zdarzeń i sytuacji. Były także pytania dotyczące życia religijnego, obecności księży czy udzielania sakramentów. Mówiła Renia, opowiadając o ubekach przebranych za księży, a także i ja – o znaczeniu sakramentów, a zwłaszcza spowiedzi, że ich wagę można w pełni ocenić, gdy ich brak. Mówiłam także o ascezie podejmowanej z wewnętrznego nakazu i o tym, że dobrowolny akt wyrzeczenia się czegoś był naszą wolnością. Ale mówiłyśmy także o roli humoru, o potrzebie własnego rozwoju, o tym, że humor odgrywał w nim bardzo ważną rolę. Zilustrowałam go moimi dwoma wierszami *Trzy strzały* i *Dobre rady*, które zostały przez słuchaczy nagrodzone oklaskami.

Innym, bardzo ciekawym spotkaniem była rozmowa z ojcem superiorem, oczywiście z udziałem p. Mikołajczaka. Dowiedziałyśmy się sporo interesujących rzeczy o szkole i stosowanych tu metodach, ale także o tym, że p. Mikołajczak redaguje bardzo cenne wydawnictwo, a mianowicie *Inowrocławski Słownik Biograficzny*. Dwa pierwsze zeszyty już wyszły i otrzymałyśmy je w prezencie, trzeci jest w druku, a w czwartym i ostatnim będzie zamieszczony życiorys Ireny Tomalakowej, gdyż w inowrocławskim więzieniu przebywała dwa i pół roku i upamiętniła je w swoich wierszach. Bardzo nas ta wiadomość uradowała. Dane do życiorysu Ireny są zamieszczone w zbiorze jej poezji, który razem z naszą antologią poezji więziennej *Przeciwko złu*²⁶⁴, wręczyłyśmy p. Mikołajczakowi.

Przywiozłam ze sobą kasotę z filmem *Psy totalitaryzmu*²⁶⁵. Po obejrzeniu go chłopcy oddali z wielkim podziękowaniem, prosząc, żeby koniecznie mówić o tych sprawach, które dla nich są już nieznaną historią, jaką chcą poznać. I jest to chyba przesłanie dla nas wszystkich: dawać świadectwo prawdzie w słowie i piśmie. Jeśli tego zaniechamy, to co pozostawimy pokoleniom po nas?

²⁶⁴ B. Otwinowska, *Przeciwko złu*, Warszawa 1995.

²⁶⁵ Jerzy Krysiak, Jacek Morawski, „Psy Totalitaryzmu” (1996).

Moim wielkim pragnieniem było odwiedzenie cmentarza i złożenie kwiatów na grobach naszych koleżanek, a zwłaszcza na grobie Maryjki, z którą byłam osobiście związana. Niestety, ten pobyt okazał się za krótki. Dowiedziałyśmy się jednak od p. Mikołajczaka, że młodzież opiekuje się grobami, że pamiętają także żołnierze AK. Może jeszcze kiedyś będę mogła tam być osobiście... Może?

43. Inna wolność

W marcu 1996 r. otrzymałam list od Elżbiety Zawackiej „Zo”, w którym prosiła mnie o „opracowanie żołnierskiej służby kobiet na którymkolwiek froncie II wojny światowej”. W odpowiedzi napisałam, że nie mogę się podjąć takiego opracowania, gdyż nie mam wystarczających do tego danych. W maju tegoż roku otrzymałam drugi list z inną propozycją: „wystąpienie dotyczyłoby losów żołnierzy – kobiet po wypełnieniu służby żołnierskiej...”.

Uważałam za swój obowiązek spełnienie prośby „Zo” – tak zasłużonej w działalności konspiracyjnej w okresie II wojny światowej, więźnia politycznego Peerelu i wreszcie twórczyni Fundacji Archiwum Pomorskie Armii Krajowej. Artykuł mój, zatytułowany *Kobiety – żołnierze Polski Więzienniej* był próbą opisu warunków więziennych, znanych mi z autopsji, ogólnej charakterystyki uwięzionych kobiet, które podzieliłam na grupy, w zależności od wieku i udziału w organizacjach podziemnych, mających na celu walkę o „niezawisły byt Państwa Polskiego”. Starałam się ukazać formowanie się społeczności więzienniej, wiernej wyznawanym wartościom: Bóg, Honor i Ojczyzna, i związanej z tym postawy i etosu więźnia politycznego. Wybrałam jednocześnie charakterystyczne sylwetki spośród moich towarzyszek więziennych, jako ilustrację tych postaw. Artykuł mój, z konieczności, mógł dotyczyć jedynie okresów mego pobytu w danym więzieniu. Zdaję sobie bowiem doskonale sprawę, że w kolejnych latach zarówno warunki, metody śledztwa, jak i organizacja życia w poszczególnych celach różniły się zasadniczo, i to w tych samych więzieniach. Może kiedyś spełni się moje marzenie i znajdą się możliwości rzetelnego opracowania całokształtu tych poruszonych przeze mnie zagadnień, opartego na danych pochodzących z możliwie największej liczby więzień oraz z relacji samych więźniów, mężczyzn i kobiet.

Na prośbę „Zo” tekst posłałam do publikacji w materiałach posesyjnych. Okazało się jednak, że został tak gruntownie skrócony i zmieniony, iż

musiałam go całkowicie wycofać z druku, gdyż nie mogłabym się pod nim podpisać jako autorka. Początkowo zamierzałam artykuł zamieścić w książce, ale stwierdziwszy, że zawiera on zbyt wiele powtórzeń, wybrałam tylko niektóre fragmenty, które ukazują, że wolność wewnętrzną można i trzeba zachować nawet w najtrudniejszych warunkach.

Truizmem jest twierdzenie, że koniec wojny nie stał się początkiem wolności, ale zapoczątkował drugą okupację Polski²⁶⁶. Jakkolwiek struktura Polskiego Państwa Podziemnego została zniszczona, to jednak podziemne organizacje kontynuowały działalność w zmienionych warunkach, powstawały nowe, nawiązujące do tradycji AK-owskich lub narodowych, oraz młodzieżowe, liczące po kilku członków, harcerskie i inne. We wszystkich tych organizacjach podziemnych różne funkcje spełniały kobiety. Rodzime władze bezpieczeństwa, wspierane przez NKWD, dokonywały masowych aresztowań. Sądy doraźne i wojskowe wydawały drakońskie wyroki. Dla kobiet nie robiono żadnych wyjątków, traktowano je na równi z mężczyznami jako najcięższych przestępców przeciwko władzy ludowej.

Powstała „Polska Więzienna”. Sieć aresztów śledczych, więzień i obozów obejmowała cały kraj, a jej poszczególne oczka na tej mapie powinno się zaznaczać czerwienią, jak krew zamordowanych w śledztwie i traconych w wyrokach więźniów – żołnierzy Polski Więziennej.

Tym terminem obejmuję wszystkich więźniów politycznych lat 1945–1956 (a wśród nich, oczywiście, kobiety), którzy swoją żołnierską służbę pełnioną w czasie wojny, a następnie pod drugą okupacją, nazwaną eufemistycznie „wyzwoleniem”, kontynuowali w aresztach śledczych i więzieniach.

O ile w Polskim Państwie Podziemnym istniały komórki więzienne oraz oficjalny Patronat, to w Polsce Ludowej takich komórek więziennych być nie mogło, a Patronat, w szczątkowej formie, trwał bardzo krótko, bo do końca 1946 r. Nie było mowy o jakimkolwiek bezpośrednim kontakcie z więźniami, działalność jego ograniczała się do niesłuchanie skromnych paczuszek żywnościowych, przekazywanych co jakiś czas więźniom chorym na gruźlicę, a na Boże Narodzenie 1946 r. także więźniom nieotrzymującym paczek z domu. Nie było więc żadnych bezpośrednich informacji, żadnych grypsów, a w czasie śledztwa nie było żadnej korespondencji

²⁶⁶ Tekst niniejszy ukazał się w numerze 5 (475) „Więzi” w 1998 r. pt. *Wspomnienia więzienne*.

ani oczywiście widzeń. Byliśmy w sposób doskonały odizolowani od świata zewnętrznego. Żyliśmy własnym życiem wewnętrznym. Zanim jednak znaleźliśmy się w uformowanej społeczności więziennej, każda musiała przejść swój własny „chrzest więzienny” z chwilą aresztowania, a potem zamknięcia w celi i wreszcie już w śledztwie. Tutaj należy powiedzieć, że do śledztwa znacznie lepiej byli przygotowani ci, co pochodząc z dawnych kresów wschodnich, zdążyli już poznać mentalność i metody stosowane przez NKWD i ich wiernych uczniów. Ci zaś, którzy przeżyli okupację niemiecką, byli kompletnymi ignorantami w tej dziedzinie życia...

Aresztowane kobiety reprezentowały cały wachlarz organizacji podziemnych o różnym rodowodzie politycznym, ale o jednym celu nadrzędnym: wolność i niepodległość Polski. Stąd też nie można wyodrębnić kobiet służących w Armii Krajowej, bo wszystkie tworzyły jedną społeczność, jedną „więzienną armię”. W jej obrębie można wyróżnić trzy zasadnicze grupy pokoleniowe. Pokolenie najstarsze wiekiem, stażem organizacyjnym i doświadczeniem – to kobiety z przeszłością peowiacką czy legionową, pełniące często kierownicze stanowiska w strukturach Państwa Podziemnego. Do tego pokolenia należały między innymi Halina Sosnowska, Zofia Franio, Irena Tomalakowa, Wanda Kraszewska, Maria Szelągowska i wiele innych. Były one naturalnym autorytetem moralnym i nadawały pewien specyficzny ton całej społeczności. Pokolenie średnie – wychowane w międzywojennym dwudziestolecu – obejmowało kobiety już pracujące zawodowo, młode matki oderwane od swoich dzieci lub też aresztowane w mniej lub bardziej zaawansowanej ciąży oraz młode dziewczyny, na ogół studentki, w pełni dyspozycyjne. To pokolenie, pełniące służbę w czasie wojny i kontynuujące ją w warunkach powojennej okupacji, było w pełni świadome swojej powinności wobec Ojczyzny. I wreszcie najmłodsze pokolenie żołnierzy Polski Więziennej – to młodziutkie dziewczyny, uczennice szkół średnich, a nawet podstawowych. Należały one na ogół do różnych organizacji młodzieżowych, tworzących się spontanicznie w szkołach, w różnych miejscowościach, a stawiających sobie za cel wolność Ojczyzny. To najmłodsze pokolenie wypełniło więzienia nieco później, na ogół na początku lat pięćdziesiątych.

Osobną grupę stanowiły kobiety nie zaangażowane czynnie w żadną organizację, a więzione i skazane za pokrewieństwo, znajomość czy nawet nieświadome udzielenie pomocy „podejrzanym”. Stanowiły one tylko pozornie wyodrębnioną grupę, bo wszystkie „niewinne” kobiety włączały się

w całą społeczność więzienną i często współtworzyły swoisty dekalog, obowiązujący więźnia politycznego.

Aresztowanie, pozbawienie wolności osobistej, oderwanie od rodziny, środowiska, aktywnego życia – to dla każdego więźnia jedno z najcięższych doświadczeń, z którym musi się sam uporać. Jest wielkim szczęściem, jeżeli po aresztowaniu nie jest sam, ale znajdzie się w celi, w której dozna wsparcia moralnego i pomocy od współtowarzyszy, mających już za sobą najcięższe doświadczenia. W takiej celi rodzi się załazek społeczności więziennej. Jednym z jej pierwszych objawów jest solidarność. Solidarność w dzieleniu się doświadczeniami i chlebem.

Zaczynają się wytwarzać pierwsze zręby postawy więźnia politycznego wobec rzeczywistości więziennej, określenia własnej roli w tej rzeczywistości, budowania w niej swego życia.

Jest rzeczą wartą podkreślenia, że te procesy przebiegały spontanicznie i niezależnie w poszczególnych kilkusobowych celach. Ogromną rolę odgrywała tutaj wiara w Boga, świadomość swojej przynależności politycznej do prawowitego rządu i wrogość do narzuconego przemocą ustroju. Chęć powiedzieć o znanych mi z autopsji więzieniach, gdyż sądzę, że są one reprezentatywne dla ogółu więzień, w których przebywały kobiety. Jest to więzienie na warszawskim Mokotowie i centralne więzienie w Fordonie oraz jedyne w Polsce więzienie izolacyjne dla kobiet w Inowrocławiu (lata 1952–1955).

Stali bywalcy na procesie Humera i towarzyszy, ciągnącym się przez prawie trzy lata, mieli możliwość bezpośrednio usłyszeć świadków oskarżenia, mówiących o stosowanych wobec nich represjach, jak i oświadczenia oskarżonych, przedstawiających swą działalność w różowych barwach. Jednym z nich był młodzieńcy wtedy Tadeusz Szymański. Zrobił on błyskawiczną karierę na Mokotowie, zaczynając od zwykłego oddziałowego, poprzez przodownika, kończąc już jako oficer. Swoje oświadczenie w czasie rozprawy Szymański z trudem odczytywał – widocznie szybkie awanse nie pozwoliły mu na zdobycie umiejętności poprawnego czytania, zwłaszcza gdy tekst z całą pewnością był pisany ręką adwokata. Słuchając tego duktania, można było nabrać przekonania, że świadkowie po prostu blagują, opisując warunki życia w więzieniu. Cóż bowiem należało do obowiązków Tadeusza Szymańskiego, według odczytanych przez niego słów? On wyprowadzał na spacer, rozdawał korespondencję, prasę, książki, doprowadzał na widzenia z rodziną lub adwokatem, jednym słowem spełniał

wszystkie czynności przewidziane regulaminem. Ten regulamin nie miał jednak nic wspólnego z rzeczywistością. Każdy więzień musiał go przeczytać choć jeden raz, było to bowiem jedyne słowo drukowane, które znajdowało się w każdej celi. Z tego regulaminu można się było dowiedzieć, jakie prawa przysługiwały więźniom w okresie międzywojennym, a jakich nigdy nie stosowano w okresie śledztwa. Ten regulamin musiał znajdować się w każdej celi, ale „nie był przeznaczony dla nas” – jak to dosadnie wyraził kiedyś zapytany o to oddziałowy.

Arsenał stosowanych metod był bardzo bogaty i o nich można wyczytać we wszystkich wspomnieniach więziennych. Wszystkie były nieludzkie i wszystkie były stosowane także w stosunku do kobiet. Były jednak i takie, które bezpośrednio godziły w kobiecą godność.

O tym trzeba mówić, bo były szczególnie ciężkie do zniesienia i pokazywały moralne oblicze oprawców.

W takich warunkach więziennego bytowania nieprzemijającym stresem było śledztwo. Każde otwarcie drzwi, czy to w dzień, czy w nocy, niesło ze sobą groźbę wezwania na śledztwo ze wszystkimi jego konsekwencjami i z pełną świadomością swojego osamotnienia w tym starciu z przemocą. Wielkim szczęściem było, jeśli się nie siedziało samemu i mogło się znaleźć moralne wsparcie u towarzyszek z celi, ale na śledztwie musiało się samemu stawić czoło przeciwnikowi. To była zawsze walka i o przegranej można było mówić tylko w kontekście całkowitego załamania i pójścia na współpracę. Nikt bowiem nie ma prawa do osądzania czyjejś wytrzymałości na tortury fizyczne, psychiczne, szantaż moralny. W owych czasach nie było prawa odmowy odpowiedzi, odmowy zeznań. Odpowiedzią bowiem na odmowę były tortury. I nie każdy te tortury mógł wytrzymać. A następstwem wytrzymania jednych tortur musiał być strach przed następnymi. Strach musiał towarzyszyć każdemu przesłuchiwanemu. Jedną z tych, co wytrzymała nieludzkie tortury, doprowadzona do stanu agonalnego – Maria Hattowska (zmarła w sierpniu 1996 r.) – mówiła otwarcie, jak bardzo się bała wszystkich następnych śledztw, bała się, że już tym razem tych tortur nie będzie w stanie wytrzymać. I ważne było tutaj zachowanie postawy. Właśnie ta postawa jest wyrazem żołnierskiej służby więzienia politycznego.

Jak wspominałam, w celach śledczych „dziesiątki” czy „jedenastki” wytwarzał się spontanicznie ten właśnie dekalog więzienny. Jednym z jego pierwszych przykazań była na pewno solidarność. W tej małej społeczno-

ści jednej celi paczki z domu były wspólną własnością, dzieloną sprawiedliwie pomiędzy wszystkie mieszkanki. Wzajemna pomoc była obowiązkiem niepisany wobec tych, które szły na śledztwo, a przede wszystkim, gdy z niego wracały w różnym stanie psychicznym i fizycznym, ale okazywano ją wszystkim w miarę potrzeby i możliwości. Czynnikiem zespalającym była wiara. W wielu celach odmawiane były modlitwy zbiorowe, zwłaszcza w niedzielę i święta. Toczyły się dyskusje dotyczące problemów związanych z wiarą.

Ogromną pomocą był (w mojej celi) cytat z Ewangelii według św. Mateusza: „Nie martwcie się o to, jak ani co macie mówić. W owej bowiem godzinie będzie wam poddane, co macie mówić”, który przywoływało się na myśl, gdy prowadzono na śledztwo. Wiara prowadziła także do dobrowolnie podjętej ascezy, objawiającej się głównie w niepaleniu papierosów, czy to w jakiś dzień tygodnia (piątek), czy nawet w całym okresie Wielkiego Postu, zachowywaniu postu w każdy piątek, niekorzystaniu z paczek, a zwłaszcza w zachowaniu pełnego postu, czasem nawet całkowitym wstrzymaniu się od spożywania pokarmów w Wielki Piątek. Ta asceza była całkowicie indywidualną sprawą i oczywiście nie obowiązywała wszystkich mieszanek celi, bo nie informowało się o swoich osobistych decyzjach.

Innym niepisany prawem było ułożenie wzajemnego *modus vivendi*. Polegał on na wzajemnym dostosowaniu się do ogółu, ustalaniu pewnych zwyczajów, dyżurów w pracach porządkowych, kolejności prania czy mycia, a także wietrzenia celi. Takie wzajemne współżycie na małym metrażu bywa z jednej strony przyczyną różnych starć i by ich uniknąć, zmusza do wzajemnych kompromisów, a z drugiej prowadzi do powstawania prawdziwej przyjaźni. Zaletą takich zmian było przekazywanie doświadczeń, informacji, a także dorobku poetyckiego. Kontakty z sąsiednimi celami przez stukanie w ścianę, przesyłki, tzw. „konie”, spuszczone do celi na niższym piętrze i w ten sam sposób odbierane, ożywiały życie celi i stanowiły źródło wielu informacji bardzo cennych, zwłaszcza gdy dotyczyły osób związanych jedną sprawą. Bóg i wiara były najwyższymi wartościami.

Inną wartością był honor, zapisany głęboko w naszych sercach. I ten honor był wyznacznikiem naszego postępowania. Myślę, że to poczucie honoru, szacunek dla oficerskiego słowa honoru, wpojony w każdą, stał się też powodem tzw. ujawnienia, na które zdecydowała się „Marcysia”, a potem Barbara Sadowska. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie kiero-

wały się one osobistym bezpieczeństwem, ale pragnieniem zapewnienia bezpieczeństwa ludziom z nimi związanymi. Obydwie one zawierzyły oficerskiemu słowu honoru złożonemu im przez Różańskiego. „Marcysia” nie ustawała w walce o aresztowanych kolegów, domagając się ich uwolnienia. Stosowała dwie głódówki. Nieustannie przypominała Różańskiemu jego obietnice. Mimo że w procesie dostała tylko dwa lata i była ułaskawiona przez Bieruta (mogła być natychmiast zwolniona), nie chciała opuścić więzienia. Cały czas była namawiana na wyjście z obietnicą zwolnienia pozostałych aresztowanych. Ale ona uparcie trwała przy swoim. Wyszła wreszcie parę miesięcy potem i swoją walkę prowadziła już na wolności, wierząc, że będzie mogła więcej osiągnąć.

Prowadziła liczne pertraktacje z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, przypominając bezustannie o wszystkich przyrzeczeniach wypuszczenia na wolność ujawnionych osób, wymieniając wszystkich z nazwiska. Prowadziła pod więzieniem mokotowskim głódówkę, gdzie tak skulona z zimna – bo była to zima 1947 r. – siedziała przez dwa czy trzy dni. A na wiosnę 1948 r. zdecydowała się na rozesłanie kilkuset listów skierowanych do wszystkich placówek dyplomatycznych, podając wszystkie okoliczności ujawnienia oraz nazwiska aresztowanych. Ostatnim akordem była jej samobójcza śmierć, jako najwyższy protest przeciw kłamstwu wobec niej popełnionemu. Było to z jej strony zawrzenie oficerskiemu słowu honoru, a z drugiej strony poczucie wielkiej odpowiedzialności za aresztowanych kolegów. Wielokrotnie, jeszcze w więzieniu mokotowskim, a potem już na wolności, chciała się widzieć i rozmawiać z Rzepeckim²⁶⁷, ale ten nie poczuwał się do niczego i zostawił ją samą.

Barbara Sadowska kierowała się podobnymi przesłankami. Została aresztowana, gdy już wiele osób z nią związanych siedziało w więzieniu. Niektórym groziła kara śmierci. Została postawiona wobec alternatywy: ujawni, ludzie zostaną wypuszczeni, nikt nie zostanie skazany na karę śmierci, albo nie ujawni i sprawy potoczą się własnym torem. Postawiła kilka warunków, pierwszym była rozmowa z aresztowanym już Henrykiem Żukiem, poprzednim szefem ugrupowania. Uzyskała jego zgodę.

²⁶⁷ Jan Rzepecki – „Ożóg”, „Prezes” (1899–1983), płk, legionista. W latach 1940–1944 był szefem BIP KG ZWZ i AK; komendant organizacji „Nie”. Od maja 1945 r. sprawował funkcję Delegata Sił Zbrojnych na Kraj, w okresie 2 IX – 5 XI 1945 r. prezes WiN. Więziony w latach 1945–1947 i 1949–1955.

W reportażu radiowym, który wyemitowany został już po śmierci Basi, Żuk powiedział, że był przeciwnego zdania, ale nie mógł powiedzieć – dziewczyno, nie rób tego! Następnym warunkiem była gwarancja na piśmie, że ujawnieni będą zwolnieni, przeprowadzenie rozmów z ujawnionymi, zagwarantowanie, że nikt z aresztowanych przed nią nie będzie stracony i wreszcie żadnej łaski czy zwolnienia warunkowego dla samej siebie. Takie zapewnienia otrzymała. Przyrzeczeń oczywiście nie dotrzymano w pełni. Jeszcze przed swoim procesem Barbara Sadowska prowadziła dwie głodówki, trwające z reguły kilka dni (pierwsza trwała osiem), w czasie których nie tylko nic nie jadła, ale również nic nie piła. Po każdej wypuszczano na wolność kilka osób. Po wyroku rozpoczęła trzecią głodówkę i po raz pierwszy zastosowano przymusowe sztuczne karmienie. Wtedy Barbara zawiesiła czasowo głodówkę. Po przeniesieniu na celę ogólną, wobec niezwalniania ujawnionych, rozpoczęła czwartą głodówkę trwającą prawie tydzień. Chciała się doprowadzić do ciężkiego stanu, zamierzając zacząć być sztucznie karmiona. Udało się dzięki pomocy towarzyszek i Barbara została przeniesiona do więziennego szpitala, a tam ją zaczęto karmić sztucznie. Głodówka ta zaowocowała zwolnieniem kilku skazanych więźniów. Będąc już w Fordonie dowiedziała się od męża, że w roku 1950 niektórzy zwolnieni powrócili do więzienia. Wtedy podjęła ostatnią, najcięższą i najdłuższą głodówkę, o której zameldowała po przeszło tygodniu jej trwania. Rozpoczęto dokarmianie. Głodówka dwudziestotrzydniowa z wlewaniem na siłę płynów doprowadziła do fatalnego stanu jej zdrowia. Przetrwała tę głodówkę, gdy od swego ojca dowiedziała się o zwolnieniu aresztowanych ludzi. W więzieniu spędziła prawie osiem lat (była skazana na dziewięć).

W obu opisanych tutaj przykładach dominującym czynnikiem było poczucie odpowiedzialności za ujawnionych ludzi.

Trzecią wartością, zapisaną na trwale w naszych sercach, była Ojczyzna. O jej wolność walczyliśmy w czasie okupacji i po niej, a potem już w więzieniu, ale w zupełnie inny sposób. Tą walką była właśnie nasza postawa, nie pozwalająca na zmuślanie, bierność, załamanie. Trzeba się było uczyć życia w więzieniu, zrozumieć, że daje ono szansę do własnego rozwoju duchowego, do przeciwstawienia się chamstwu w słowach i czynach, pogardzie dla wyznawanych przez nas wartości, jawnie okazywanej nienawiści. Ogromną rolę odgrywał często autorytet starszej, doświadczonej życiowo towarzyszki celi – o ile miało się szczęście taką spotkać.

Tę walkę, wyrażającą się w postawie więźnia politycznego, zapoczątkowaną w poszczególnych celach, kontynuowałyśmy po wyrokach – na mokotowskim „ogólniaku”.

Utrwalił się też zwyczaj wspólnej niedzielnej modlitwy. Wiele z nas umiało na pamięć stałe części mszy św. Śpiewane chóralnie nasze narodowe, wojenne i partyzanckie pieśni były przeplatane recytacjami patriotycznych wierszy. Podobne „akademie” organizowałyśmy we wszystkie święta i rocznice narodowe. Pierwszego sierpnia nasz śpiew gromko brzmiał na całym oddziale. Zdawałyśmy sobie wtedy sprawę, że będąc w więzieniu jesteśmy bardziej wolne niż ci na wolności.

Poezja była bardzo ważną pożywką dla nas; Chyba wszystkie bardzośmy jej łaknęły. Słowa poetów wyrażały nasze odczucia, naszą miłość do Ojczyzny, nasze tęsknoty do najbliższych, do wolności. Wyrażały często to wszystko, czego same nie umiałyśmy nieraz sformułować. Poezja podtrzymywała nas na duchu, wzbogacała i rozwijała. Dlatego też z zapałem uczyłyśmy się wierszy, bądź zapamiętanych przez inne koleżanki, bądź też z książek, gdy jakaś znalazła się w celi. *Trzy flagi* Gałczyńskiego, wiersze – zwłaszcza więzienne Broniewskiego, nostalgiczny wiersz Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej *Na białej poduszce pod pledem* i wiele, wiele innych pisanych przez różnych autorów, były nam szczególnie bliskie. A *Czerwoną zarazę*, przepisaną na grubym pakowym papierze, solidarnie zjadłyśmy w czasie ostrej rewizji.

Rozwijałyśmy również własną twórczość poetycką. Okazją stawały się czyjeś imieniny czy też przybycie nowych koleżanek. Powstawały piosenki i wierszyki okolicznościowe zabarwione żywym humorem. Humor był nam potrzebny jak chleb powszedni. Nie pozwalał roztkliwiać się nad sobą. Pomagał nam żyć normalnie, śmiać się z samej siebie i z różnych sytuacji. Trzeba było zachować hart ducha, nie dać się załamać, żeby wyjść na wolność pełnym i wewnętrznie wzbogaconym człowiekiem.

Nasz „twórczy rozpęd” nie ograniczał się do wierszy i piosenek, bo sięgał aż do imprez teatralnych. Wnosiły one także wiele humoru w nasze życie. O ile jednak sporo wierszy i piosenek przechowało się w pamięci i można je było zamieścić w antologii *Przeciwko złu*, to „sztuki teatralne” uległy całkowitemu zapomnieniu. Ich autorką była głównie Basia Sadowska, a wszystkie potrzebne rekwizyty produkowała w sposób genialny Maryna Majgier.

Innym czynnikiem pomagającym, nam wyrwać się z zastoju intelektualnego była nauka angielskiego. Jeśli tylko nadarzała się sposobność, kontynuowałyśmy naukę angielskiego, a niezależnie starałyśmy się utrwalać

posiadane wiadomości, próbując tłumaczyć – oczywiście w pamięci – jakieś prostsze teksty. Nadal intensywnie przyswajaliśmy sobie dostępne wiersze. Książki dawano nam raz na dwa tygodnie. Były to na ogół powieści Balzaka, Orzeszkowej lub Krászewskiego.

Dużo czasu poświęcało się różnym pracom ręcznym. Z chleba – zwyczajem więziennym – wyrabiało się krucyfiksy, różańce, różne drobne przedmioty, a także figurki szachowe. Z różnych kawałków materiału robiło się serwetki, woreczki na rzeczy podręczne, które wyhaftowane kolorowymi nićmi, wyciąganymi ze szmatek, stawały się wspaniałymi prezentami imiennowymi. Dr Franio – major saperów, dostała na przykład serwetkę w kolorach jej pułku. Do sprzątania celi dawano nam miotły brzożowe. Z nich strugało się „druty”. Specjalistką w tej dziedzinie była Marysia Hattowska. Ona to spruła swoje niebieskie majtki i zrobiła śliczne małe skarpeteczki dla Jasia Kardaszewicza, syna naszej koleżanki, urodzonego w więzieniu.

Jedną z centralnych w Fordonie postaci była Irena Tomalakowa. Gromadziła wokół siebie młodsze dziewczyny, była dla nich autorytetem i skarbnicą wiedzy. Irena – o ogromnym poczuciu humoru i wrodzonym dowcipie, była obdarzona wielkim talentem poetyckim. Umiała zamknąć w swoich poematach zarówno opis więzienia, w którym przebywała, jak i poszczególne sytuacje. Wyrażała nasze przeżycie, odczucia i myśli. Swoją twórczością objęła wszystkie aspekty więzienia, podając nawet daty pewnych znamienitych wydarzeń. Całość jej wierszy, wyniesionych w pamięci koleżanek i samej autorki, została na szczęście wydana drukiem. Jest to bezcenne wprost źródło, w którym każda może odnaleźć siebie, a zwłaszcza wtedy, gdy napotka wiersz dla niej właśnie skomponowany.

Irena umiała hojnie obdzielić wszystkie swoim bogatym wnętrzem. Swoją żołnierską służbę rozpoczęła w „Strzelcu”, kontynuowała w Legionach, POW, a potem w II wojnie światowej (obrona Warszawy), zaprzysiężona w SZP, potem w ZWZ i AK, brała udział w Powstaniu Warszawskim uzyskując stopień majora, a po upadku Powstania jako szef łączności w Delegaturze Sił Zbrojnych trzykrotnie wyjeżdżała z kraju. Aresztowana przy trzecim przekraczaniu granicy, skazana została na piętnaście lat więzienia, po dziesięciu latach wyszła na mocy amnestii. Jej bardziej pełny życiorys można znaleźć w tomie poezji, wydanym przez Fundację Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej, pt. *Drugi brzeg*.

Dopiero na wolności dowiedziałam się, że wszystkie osadzone w suterenie, a potem w Inowrocławiu miały kategorię „A”.

Rygory nie uległy zasadniczemu złagodzeniu nawet po przeniesieniu nas do wspólnych, trzyosobowych cel. Nadal poszczególne cele były od siebie izolowane, ale już nie byliśmy samotne, zdane tylko na siebie. Kilkakrotnie zbierano nas w świetlicy na jakieś niby dyskusje i indoktrynujące wykłady. Do złagodzenia warunków naszego przebywania przyczyniła się z całą pewnością śmierć Stalina. Otrzymywałyśmy co jakiś czas gazety, ale z powycinanymi stronicami. Gazety informowały nas o procesie biskupa Kaczmarka²⁶⁸ we właściwy sobie sposób, ale wiadomości o ucieczce Światły²⁶⁹ na Zachód i jego wypowiedzi były właśnie starannie wycinane. Nie wiedziałyśmy także, co to za miasto Stalinogród.

18 marca 1955 r. nastąpił powrót do Fordonu wywiezionych w pierwszym transporcie. Był to dla nas wszystkich niesłychany szok. Skierowano nas do pracy, głównie na produkcję, gdzie w tym czasie robiło się czapki wojskowe i haftowało milicyjne i wojskowe patki. Te diametralnie różne warunki, w których znaleźliśmy się w Fordonie, były właśnie powodem tego szoku. Koleżanki otaczały nas niezwykłą serdecznością. Dostarczały najlepsze książki, których przez dłuższy czas nie byliśmy w stanie czytać. Wspomnienia Inowrocławia sprawiały, że nasze oczy nabierały jakiegoś dziwnego wyrazu. Trzeba się było oswoić z tym, że obiad składa się z dwóch dań, że co jakiś czas dostaje się kawałek ciasta, zrozumieć, że można wyławiać z zupy – jako niejadalne – kawałki tłuszczu, bo myśmy nadal wszystko z apetytem zjadały, że można się ze sobą spotykać na pracowni, że się chodzi do kina i po wypiski. Trwało to dość długo, aż wreszcie stało się chlebem codziennym. Spotkało się wtedy dużo aresztowanych później koleżanek, które były źródłem niesłychanie ważnych dla nas informacji o wszystkim, co się w czasie dziesięciu lat pobytu w więzieniach działo w Polsce i poza jej granicami.

²⁶⁸ Czesław Kaczmarek (1895–1963), biskup, działacz społeczny. Od 1938 r. biskup ordynariusz kielecki. W 1951 r. został aresztowany i sądzony we wrześniu 1953 r. w procesie pokazowym, oskarżony o kolaborację z Niemcami, usiłowanie obalenia ustroju PRL i propagandę na rzecz „waszyngtońsko-watykańskich mocodawców”. Skazano go na dwanaście lat więzienia. W 1957 r. powrócił do diecezji kieleckiej, był jednak nadal poddawany szykanom. Oficjalnie uniewinniono go w 1990 r.

²⁶⁹ Józef Światło (ur. 1915) funkcjonariusz UB. Od 17 I 1945 r. pełnił funkcję zastępcy kierownika WUBP w Warszawie, a od września 1945 r. w Olsztynie. Od 25 X 1946 był zastępcą szefa WUBP w Krakowie, a od 1 X 1948 r. naczelnikiem Wydziału V Departamentu I MBP. Od marca 1950 r. pełnił funkcję wicedyrektora Biura Specjalnego MBP. Od 1 XII 1951 r. wicedyrektor Departamentu X MBP. W grudniu 1953 r. zbiegł na zachód, współautor audycji „Za kulisami bezpieki i partii” w RWE.

Wydaje mi się, że dla każdej z nas o długim życiorysie więziennym te kontakty pomogły nam przygotować się do nieznanej wolności, która – tak nieoczekiwanie – nastąpiła z chwilą amnestii ogłoszonej w maju 1956 r.

W kwietniu 1992 r. odbył się zjazd byłych więźniarek politycznych. Przy tej okazji w małej grupie weszliśmy do więzienia w Fordonie. Było to silne przeżycie, znaleźć się w tych samych murach, jakkolwiek w zupełnie innym już charakterze. Zmieniło się prawie wszystko. Rodziny nie stoją już pod bramą, czekając na widzenie bez żadnej osłony, przed wiatrem, deszczem czy śniegiem. Jest poczekalnia, bufet, widzenia odbywają się przy stolikach. Cel w suterenie już nie ma, są tam różne magazyny, w dawnym „karcu” jest pokoik dla wewnątrzwięziennych spotkań. Oglądałyśmy cele w Szarym Gmachu. Większe okna, osobne sanitariaty, łóżka z materacami, z pościelą, w celi telewizor, akwarium z rybkami, na ścianach plakaty kolorowe. Na śniadanie biały chleb z piekarni, zupa mleczna, na którą więźniowie się krzywią i nie chcą jeść, chociaż jest co dzień inna, z ryżem, kaszką manną, płatkami czy makaronem. W czasie naszego pobytu w więzieniach nie widziało się kropli mleka. Dostawały je pewno matki siedzące z dziećmi, ale to były wyjątki.

Podobnie było i w inowrocławskim więzieniu, do którego w grupie trzech koleżanek pojechałyśmy tego samego roku. Podobne cele, świetlica ze sprzętem audiowizualnym, biblioteka. Nie ma i nie może być żadnego porównania, żadnej analogii. I dobrze, że tamte czasy minęły i nigdy nie wrócą, że obecnie więźniowie – często aż nadto – cieszą się przysługującymi im prawami człowieka.

44. Ankieta²⁷⁰

- **Czy zdaniem Pani w więzieniu zadzierzgały się silne więzi przyjaźni, koleżeństwa? Jaki był ich wpływ na postawy indywidualne i zbiorowe? Jak reagowały na ujawnione więzi władze więzienne?**

Nie wyobrażam sobie przejścia przez więzienie bez zadzierzgnięcia przyjaźni. Te więzi zawiązywały się bardzo szybko i dlatego każde przeniesienie

²⁷⁰ Ankieta przygotowana w 1989 r. przez Tadeusza Kostewicza i uzupełniona w latach następnych przez Rutę Czaplińską.

do innej celi, zwłaszcza w więzieniu śledczym, to był prawdziwy cios. Zostawiało się kogoś, do kogo zdążyło się już przywiązać, i szło się w nieznane ze świadomością, że się już może więcej tych towarzyszek nie spotka. Więź przyjaźni oczywiście przetrwała. Dla mnie na przykład, gdy siedziałam sama w Inowrocławiu, to świadomość, że mam koleżanki bliskie za ścianą i moich najbliższych na wolności, którzy o mnie myślą, tak jak i ja o nich – była źródłem siły. Dla władz więziennych (i chyba dla całego systemu) wszelka solidarność więzienna czy międzyludzka była zagrożeniem, czymś, co należało zwalczać. Solidarni – według ich zdania – mogli być tylko więźniowie polityczni przed wojną, to znaczy komuniści, bo tylko ich uważano za więźniów politycznych. My byliśmy „antypaństwówki”.

– **Czy więzi te, zdaniem Pani, przetrwały opierając się najcięższym próbom więziennym, a także próbie czasu po opuszczeniu więzienia?**

Oczywiście więzi przyjaźni przetrwały i trwają. Możemy się nie widywać, nie korespondować, nawet nie mieć wiadomości o sobie przez długi czas, ale gdy się tylko w jakiś sposób zetkniemy, to jesteśmy sobie bliskie i czas nie ma tu znaczenia. Oczywiście mam okazję również do spotykania się z koleżankami i utrzymuję kontakt z niektórymi – jest to dla mnie najcenniejsza przyjaźń.

– **Jeżeli Pani pamięta, proszę wymienić również i te koleżanki z więzienia, które stały się powodem utrapień z powodu współpracy z władzami, fałszywego świadectwa przeciwko innym.**

Z kapusiów w Mokotowie na „dziesiątce” pamiętam Mirę Russek i „Ewę” – Janinę Enderle, bo z nimi siedziałam. W Fordonie były: Maria Cezanis (Cessanis), Płachcińska, „Szczur”.

– **Czy brała Pani udział w jakichś wystąpieniach zbiorowych, głodówce, buncie?**

Uczestniczyłam w tak zwanym buncie na celi ogólnej w Mokotowie. Bunt ten opisałam, prawie na gorąco, po wyjściu z więzienia, bo w październiku 1956 r., w nigdy nie wysłanym liście do Seweryny Szmaglewskiej²⁷¹.

– **Czy podczas odbywania kary w Fordonie (bądź w innych więzieniach) miała Pani odczucie toczącego się wobec Pani utajonego śledz-**

²⁷¹ Zob. List do Seweryny Szmaglewskiej.

twa, dochodzenia, działań podstępnych, mających na celu np. wydobycie wiadomości o Pani albo o innych osobach?

Miałam zawsze to poczucie, że jestem obserwowana, że są w stosunku do mnie jakieś zamiary. Sam fakt pozbawienia mnie pracy, mimo tego, iż nie było nie tylko żadnych zarzutów, ale byłam tzw. „przodownikiem pracy”, i umieszczenie mnie w suterenie, a potem wywiezienie do Inowrocławia po dwumiesięcznym pobycie „a statusie więźnia pracującego na podwórku, a więc nie na produkcji, ale zawsze pracującego, na to wskazywał. Było to skierowane wyłącznie przeciwko mnie, a nie miało na celu wydobywania żadnych wiadomości. Był na mnie nacisk kapusia (Płachcińska) na objęcie funkcji nauczycielki w Fordonie. Moja odmowa (nie czułam się na siłach uczyć matematyki w wyższych klasach, a chodziło o wyrwanie z celi niepracującej „Rysi” Szelałowskiej była potraktowana jako swego rodzaju bojkot i oceniona negatywnie. To wiem.

- **Proszę wymienić nazwiska naczelników, politruków, specjalnych, komendantów, oddziałowych i innych funkcjonariuszy, a także ich stopnie oraz ewentualne przezwiska.**

Pamiętam jedynie nazwiska naczelników: na Mokotowie – Grabicki, w Fordonie – Dudek, a w Inowrocławiu – Obiała.

- **Którzy z nich, zdaniem Pani i koleżanek, wyróżniali się szczególną brutalnością, okrucieństwem czy nawet złośliwością? Jak się one objawiały i wobec kogo były skierowane?**

Nie umiem odpowiedzieć.

- **Czy była Pani pobita w Fordonie, czy była Pani świadkiem pobicia, bądź też słyszała Pani o takich faktach?**

Nie byłam bita w Fordonie ani w żadnym więzieniu karnym. Nie słyszałam także o pobiciu koleżanek. Wiem, że była scysja pomiędzy specem „Zyziem” a „Myszką” Cieślińską, że mogło dojść do bójki. Wiem, że Myszka nie pozwoliłaby na to, żeby spec ją tknął.

- **Czy podczas pobytu w Fordonie chorowała Pani, jak Panią leczono i jak była oceniana ówczesna opieka lekarska, personel służby zdrowia.**

Kilkakrotnie chorowałam na anginę. Pamiętam, że raz byłam z tej racji w izbie chorych. To był bardzo dobry okres, bo wtedy w sanitariacie pracowały nasze koleżanki, między innymi Renia Sakowicz i Irena Bukowska,

które się bardzo troskliwie zajmowały wszystkimi chorymi, a w tym i mną. Natomiast pamiętam dobrze, że będąc w suterenie zatrulałam się śmierdzącym mięsem, na którym gotowano zupy. Mięso było odkażane lizolem i tym lizolem cała zupa śmierdziała. Byłam pierwsza, która w naszej celi zachorowała. Poszłam do sanitariatu, wtedy kierownikiem był sanitariusz Renke. Nie bardzo chciał mnie wysłuchać i dał mi pięć pastylek Vichy, które z wściekłością wyrzuciłam po powrocie do celi.

- **Kogo z funkcjonariuszy, funkcjonariuszek z Fordonu uznawała Pani za osobę ludzką, nie kierującą się nienawiścią klasową?**

W Fordonie dobrze wspominam oddziałową „Stasieczkę”, jej nazwiska nie znam.

- **Prócz posługiwania się terrorem uciekano się również do różnych metod indoktrynacji. Które z jej form były najbardziej dokuczliwe, a które ośmieszające zarówno treści, jak i formy agitacji?**

Z tą indoktrynacją było bardzo różnie. Mianowicie gdy utworzono suterene, odwiedził nas naczelnik razem z naczelnikiem Boguwolą z Bydgoszczy. Siedziałam wtedy z dr Franio i Danką Bańkowską. Była jakaś taka rozmowa, w efekcie której Boguwola zwrócił się do naczelnika słowami, że tu siedzą inteligentne więźniarki i że trzeba do tej celi dać książki (bo o nie prosiłyśmy). Byłyśmy przekonane, że będą nas obrzucać różnymi cegłami marksistowskimi, ale było wręcz przeciwnie. Okazało się, że my, zatwardziali wrogowie PRL, nie zasługujemy na czytanie takich książek. Dopiero w Inowrocławiu, po trzynastomiesięcznym pobycie w samotnej celi, uzyskałam pozwolenie na czytanie książek marksistowskich. W Fordonie pamiętam takie żałosne próby wpływania na światopogląd – przyjeżdżali prelegenci z TWP [Towarzystwo Wiedzy Powszechniej]. Pamiętam taki jeden referat o ewolucji, w wyniku którego nasze proste babki były zupełnie skołowane – jak to może być, żeby małpa stała się człowiekiem.

- **Do więzienia docierały również wiadomości o „hańbie domowej”, o najrozmaitszych formach kolaboracji z władzami komunistycznymi środowisk twórczych. Które, zdaniem Pani i koleżanek, formy i rodzaje ówczesnej twórczości uznawane były za najbardziej upokarzające dla polskich więźniów politycznych?**

Współczesnej twórczości nie znałyśmy. Z książek pamiętam jedynie (już w Inowrocławiu) *Daleko od Moskwy* Ażajewa. Wtedy ona mi się podobała,

nie orientowałam się zupełnie, że jest to opis łagru. Ja osobiście czytając książki marksistowskie, a więc Lenina, Stalina, Marksa i Engelsa, marzyłam o lekturze pokazującej te tematy z innej strony, zwłaszcza katolickiej. Sama musiałam w sobie rozwiązywać różne problemy, które mnie gnębiły.

- **Co zdaniem Pani było źródłem siły, oporu, zachowania godnej postawy, pielęgnowania prawdziwych wartości w codziennych zmaganiach ze straszną rzeczywistością, ciężkimi warunkami, stałym upokarzaniem, nienawiścią klasową, próbami sowietyzacji?**

Tu muszę odnieść się do tego, co już napisałam w poprzednich punktach o tym, czym było najbliższe otoczenie w małej celi czy też cała atmosfera w celi zbiorowej. Ale to oczywiście nie wyczerpuje tematu. Źródłem siły była wiara, był (z dużymi oporami użyję tego słowa) patriotyzm i jego tradycje wyniesione z domu, był wewnętrzny nakaz zachowania godnej postawy, była miłość i tęsknota do najbliższych, która kazała wierzyć, że się do nich wróci, ale wróci jako pełny człowiek.

- **Czy wierzyła Pani w przeżycie, jak sobie Pani wyobrażała opuszczenie więzienia, przyszłość własną i kraju?**

Wierzyłam w to, że przeżyję więzienie i że kiedyś wyjdę na wolność. Zależało mi, i nie tylko mnie, bo to była jakaś bardzo ogólna postawa, żeby więzienie nie było okresem wegetacji, ale żeby było źródłem wewnętrznego bogactwa, którym będzie można się kiedyś dzielić z tymi, którzy w więzieniu nie byli. O życiu swoim na wolności nie miałam żadnego wyobrażenia, jakkolwiek starałam się je sobie wyobrazić. Chciałam studiować, chciałam czynnie włączyć się w życie, wiedziałam, że nie będę umiała żyć samą negacją, i stawiałam na pracę. Wiedziałam, że chcę i będę dobrze pracować, bo praca jest i będzie zawsze w Polsce potrzebna. Moja wyobraźnia nie miała jednak żadnego realnego punktu odniesienia. Wszyscy moi najbliżsi, a i dalsi krewni i znajomi zmienili w tym czasie swoje miejsce zamieszkania, a i same mieszkania także. Dlatego nigdy nie mogłam zobaczyć ich w wyobraźni na tle ich mieszkań i codziennego życia. Tak, że to myślenie było bardzo abstrakcyjne, a przez to trudniejsze.

- **Prócz woli przeżycia więzienia niezbędna była także nadzieja. Skąd ona płynęła, kto ją wciąż rozbudzał, co ją utrwalało?**

Nadzieja była czymś bardzo istotnym. Początkowo wiązała się ona z amnestią. Przy wyroku amnestia mnie nie objęła, ani żadna następna. Po-

tem z podejmowanymi staraniami o rewizję, warunkowe zwolnienie, darowanie reszty kary itd., itd. – już nawet nie potrafię wyliczyć tych wszystkich starań mojej rodziny poprzez adwokata i moich podań, na które jednak zawsze odpowiedź była odmowna. Ale pamiętam, że ostatnie podanie długo krążyło i długo nie otrzymywałam odpowiedzi, natomiast zapewniało, że moja sprawa jest na dobrej drodze. I ta dobra droga okazała się odmową, na pół roku przed końcem terminu, w słowach: „brak powodów do wcześniejszego wyjścia z więzienia”. W miarę jak zawodziła nadzieja na amnestię czy też skrócenie wyroku, trwała nadzieja, że mimo wszystko wyjdę na wolność, nawet po tych dziesięciu latach.

- **Jaką rolę w życiu więziennym spełniała wiara, religia, modlitwa? Czy przebywała Pani w celach, gdzie modlono się wspólnie, jaki był stosunek funkcjonariuszy do osób wierzących, a zwłaszcza praktykujących?**

Istotną i zasadniczą rolę odgrywała wiara. Wiara w najgorszych miesiącach pobytu w samotnej celi broniła mnie przed samobójstwem. Wiara i świadomość, że mam Matkę, która na mnie czeka, pozwalały nie poddać się natrętnym myślom o ucieczce od koszmaru codziennego życia więziennego i zmanifestowania swojej woli. Przez pewien okres czasu miałam *Mszal rzymski na niedziele i święta* oraz modlitewnik (bardzo stary – bo jeszcze mojej babci). Nauczyłam się na pamięć części stałych mszy świętych i po polsku, i po łacinie (miałam wielką łatwość uczenia się na pamięć). Także i wtedy, gdy zabrano mi ten mszalik, mogłam się modlić sama i wspólnie z koleżankami. Robiliśmy różańce z chleba. Poza modlitwami indywidualnymi modliłyśmy się wspólnie w niedziele i święta. Na ogólniaku przeżyłyśmy wielki moment komunii świętej. Gdy przyszłam tam (4 XI 1947 r.), to wkrótce potem Janka Konopacka powiedziała, że ma przy sobie konsekrowane hostie, które z kolei przekazała mi do przechowania. Nie wiem, skąd ona je miała. Były w takim małym woreczku, nosiłam go dosłownie na sercu i w dzień Bożego Narodzenia wszystkie mogłyśmy przyjąć komunię św. Zawsze dużo modliłam się w samotności, wciąż dodając coś nowego i nowe intencje za żywych i za zmarłych, a równocześnie przeżywałam duże dylematy, nie umiając zupełnie sama rozwiązać dręczących mnie problemów. Wszystkie pokusy niewiary odpierałam nieugiętą wolą wiary.

- **Przez jaki okres pobytu w Fordonie otrzymywała Pani prasę, książki, i czy karano Panią pozbawieniem możliwości korzystania z nich?**

Przez krótki okres (kilka miesięcy), zanim mnie wzięto do pracy w Fordonie, mogłyśmy otrzymywać z domu podręczniki i książki w językach obcych. Dostałam wtedy mały słownik angielski, kryminał Agaty Christie i podręcznik do nauki rosyjskiego. Ani prasy, ani książek z biblioteki więziennej nie przypominam sobie wtedy. W czasie, gdy pracowałam (marzec 1949–marzec 1950) otrzymywałyśmy do celi książki. Pamiętam, że czytałyśmy wtedy Gołubiewa, którym się zachwycalam, ale były i inne książki. W tym czasie zorganizowano także świetlicę. Zorganizowałyśmy wtedy z Wandą Salską przedstawienie jednego aktu *Maskarady* Iwaszkiewicza (na prośbę p. Kurcewiczowej, więźniarki, która się zajmowała świetlicą) i raz recytowałam *Fortepian Chopina* Norwida. Gazety może otrzymywałyśmy, ale tego nie pamiętam. Potem w suterenie dawano nam książki, mniej więcej jedną na celę na dwa tygodnie. Były to przeważnie powieści Kraszewskiego, Balzaka, Orzeszkowej. Po powrocie do Fordonu w marcu 1955 r. otrzymywałyśmy książki z biblioteki, ale pamiętam, że przez pierwsze miesiące nie byłam w stanie w ogóle czytać. To przejście z Inowrocławia do Fordonu było dla mnie i dla nas w ogóle ogromnym szokiem nerwowym. Ja zupełnie nie mogłam się skupić na czytaniu najlepszej książki, ale to minęło. Nie pamiętam odebrania książek w Fordonie jako kary.

- **Czy poza wiadomościami z prasy przenikały do więzienia jakieś zwłaszcza podnoszące na duchu, wzmagające nadzieję?**

Trudno na ten temat coś powiedzieć. Raczej byłyśmy pozbawione wszelkich wiadomości, poza różnymi domysłami o amnestiach.

- **Które z takich wiadomości były najbardziej podnoszące na duchu, a które odbierały nadzieję?**

Nic na ten temat nie mogę powiedzieć.

- **Jak postrzegała Pani sytuację tych koleżanek, które urodziły w więzieniu, a niektóre z nich przeszły śledztwo będąc w ciąży, które przebywały w Fordonie z dziećmi, i tych, którym je już odebrano?**

Nie siedziałam z takimi koleżankami, poza Zosią Kardaszewicz, która urodziła w więzieniu, ale nie umiem na ten temat nic powiedzieć (luki w pamięci).

- **Jak często mogła się Pani kontaktować z rodziną, w jaki sposób, czy te kontakty były ograniczane, do jakich granic, za pomocą jakich**

środków, a także z jakiego powodu, np. ograniczenia cenzury, kary dyscyplinarne itp.

Zasadniczo po wyroku były widzenia raz w miesiącu, ale ja nigdy nie mogłam tak często się z Matką widzieć. Po prostu ona nie mogła sobie pozwolić na przyjazdy do mnie, tak że nieraz mijało parę miesięcy. W Warszawie była raz u mnie ciotka. Do Fordonu przyjechała dwa razy moja siostra, a kilkakrotnie mój kolega zza ściany jako kuzyn. Listy można było otrzymywać dwa razy w miesiącu, a pisać raz na miesiąc. Był okres, że pocztówki były nieograniczone. Korespondowałam tylko z Matką, w listach do niej dopisywałam do różnych bliskich, ale też były przerwy w korespondencji. Matka moja mieszkała na przemian u trojga mego rodzeństwa, nigdzie nie miała ani własnego pokoju, ani własnego miejsca, gdzie mogłaby spokojnie pisać, bo zajmowała się dziećmi i domem. Przeżyłam na Mokotowie karę pozbawienia widzeń, listów i paczek (*vide* rozdz. 16) oraz w Fordonie, o czym pisałam poprzednio. Cenzura bardzo mało interweniowała, po prostu Matka moja wiedziała jak pisać. Raz ocenzone (wykreślono czarnym tuszem) słowa któregoś z małych dzieci mojej siostry, które przytoczyła moja Matka, ale do tej pory nie wiem, co się władzom nie podobało. Pamiętam, że w swoim liście prosiłam Matkę, żeby pisała cenzuralne rzeczy. W moich listach, a zachowały się wszystkie, nie znalazłam interwencji cenzury, ale miałam je starannie obmyślane (nie dotyczy to Inowrocławia).

- **Czy kontakty z rodziną miały dla wszystkich koleżanek podobne znaczenie? Czy podnosiły na duchu? Czy rodziny miały wyobrażenie o tym, co się działo w więzieniach?**

Myślę, że na ogół tak, ale mogło być i różnie, to już zależało od obydwóch stron. Moja Matka zawsze mówiła, że ona była podniesiona na duchu po każdym widzeniu, bo zawsze mnie widziała uśmiechniętą. Dla mnie zaś każde z nią widzenie było czymś niesłychanie ważnym. Rodziny często wyobrażały sobie nie tak nasze codzienne życie. Pod pewnymi względami, że jest gorzej niż rzeczywistość, pod innymi, że lepiej, bo nie zdawały sobie sprawy – nie mogły.

- **Czy zdaniem Pani w Fordonie istniały jakieś możliwości (oficjalnie) zdobywania bądź uzupełniania wiedzy? Czy wydawano zezwolenia na własne książki, podręczniki?**

Temat ten wyczerpałam już w poprzednich punktach. W latach 1949–1950 zorganizowano zaoczne kursy szkoły podstawowej, zezwalano też

na posiadanie własnych książek i podręczników, ale to ostatnie trwało tylko kilka miesięcy. Jak długo trwała szkoła podstawowa, nie wiem, bo od marca 1950 r. przebywałam w suterenie.

– **W niektórych celach podejmowano własnymi siłami różnego rodzaju nauczanie. Jak szerokie, zdaniem Pani, było to zjawisko w Fordonie, czego się najchętniej uczono?**

Mogę tylko powiedzieć o nauce angielskiego, którą rozpoczęliśmy w Mokotowie w celi ogólnej. Jak pisałam, początkowo uczyła nas Basia Sadowska, a po przyjeździe „Maniuty” Marynowskiej to ona nas uczyła, a Basia była asystentką – pisała nam słówka na ścianie. Po przyjeździe do Fordonu obie z Wandą Salską i Haliną Sosnowską postarałyśmy się, żeby siedzieć w jednej celi z Maniutą, bo chciałyśmy kontynuować naukę angielskiego. Maniuta była znakomitą nauczycielką. Nauka została oczywiście przerwana z chwilą, gdy poszłam do pracy. Potem, już w suterenie, gdy siedziałam z Basią Sadowską, wróciłam do kontynuowania nauki. Tym razem już nie tylko nie było żadnych podręczników, ale i nie można było zapisywać słówek. Gdy Basię zabrano z mojej celi, to byłam zdana na siebie i w myśli tłumaczyłam sobie na angielski. Krótki okres czasu, gdy po suterenie pracowałam na podwórku (koniec czerwca – 26 sierpnia 1952), siedziałam w jednej celi z Basią Białostocką i kontynuowałam z nią naukę, głównie konwersację i tłumaczenie. Na pojedyncze w Inowrocławiu (26 sierpnia 1952 – koniec września 1953) bardzo intensywnie pracowałam nad angielskim bez żadnych książek ani przyborów do pisania, ale ćwiczyłam pamięć, starając się tłumaczyć znane mi wiersze oraz pisać listy, myśleć po angielsku.

– **Co było Pani największym marzeniem w więzieniu, czego Pani najbardziej pragnęła?**

Po okresie śledztwa i po wyroku, ale nie od razu, bo z początku byłam bardzo otepiała (nawet angielski początkowo bardzo mnie męczył, byłam kompletnie tępą i bałam się, że mi to pozostanie), największym pragnieniem – poza odzyskaniem wolności – była możliwość nauki własnej. Wahałam się między anglistyką a biologią lub rolnictwem. Marzyłam o otrzymaniu podręczników, ale nigdy mi na nie nie zezwolono, nawet na czasopisma takie jak „Postępy Nauk Rolniczych”, które chciała mi załatwić siostra. Zawsze na wszystko była odmowa. Ten brak wszelkiej literatury naukowej był powodem także tego, że chciałam poznać literaturę marksistowską i że ją czy-

tałam bardzo intensywnie w Inowrocławiu, gdy na to otrzymałam wreszcie pozwolenie. Niezależnie od tego wypisywałam z tamtejszej biblioteki każdą pozycję, która miała choćby cień podręcznika czy książki naukowej. Udało mi się wtedy przeczytać *Fizjologię roślin* Maksimowa, książkę Mićzurina, a pierwszą otrzymaną w Inowrocławiu książką z wyboru władz była *Chemia i higiena mleka* – podręcznik Pijanowskiego dla studentów SGGW. W Inowrocławiu mój umysł był bardzo chłonny, mogłam czytać bez zmęczenia wszystkie klasyczne dzieła marksizmu, przyswajałam sobie wiadomości z chemii, ale bez papieru i ołówka to wszystko było na krótką metę, nie można było sobie wielu rzeczy utrwalić. Był to jednak jakiś trening umysłowy, niewykorzystany jednak w pełni. Wszystkie marzenia łączyły się właściwie z wolnością. Tęsknota za ukochanymi, za Matką, tęsknota do piękna w różnorodnej postaci, a zwłaszcza za przyrodą. Marzenia o jakiejś podróży okrętem, żeby tak płynąć, patrzeć na morze, móc podziwiać przyrodę. Pragnęłam też samotności, jakichś rekolekcji zamkniętych, które pomogłyby mi do wejścia w siebie i swoje zagadnienia. Ale te marzenia o spokoju i samotności prysnęły, gdy znalazłam się sama na izolatce w Inowrocławiu. Wtedy w równym stopniu tęskniłam do ludzi, jak i bałam się zetknięcia z koleżankami. O marzeniach różnych można by zresztą pisać i pisać, przez 10 lat wiele ich było.

- **Kiedy została Pani aresztowana, przez kogo, gdzie, kto wszczął wobec Pani śledztwo, w jakiej miejscowości i jaka to była instytucja?**

Zostałam aresztowana 5 kwietnia 1946 r. w Łodzi i tego samego dnia przewieziono mnie do MBP, gdzie rozpoczęło śledztwo u mjr. Różańskiego.

- **Jaki sąd wyrokował w Pani sprawie (nazwa i miejscowość), jaki otrzymała Pani wyrok i w oparciu o jakie przepisy? Ile osób zostało skazanych w Pani sprawie i na jak wysokie kary?**

Byłam sądzona przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Warszawie. Proces trwał przez miesiąc, toczył się na terenie więzienia. Zostałam skazana z artykułu 86 § 2 KKWP na 10 lat więzienia z utratą praw publicznych i honorowych na 5 lat, po myśli art. 46 § 1 KKWP i 48 § 1 KKWP wraz z przypadkiem mienia, oraz na mocy art. 8 dekretu z dnia 16 XI 1945 r. (Dz. U. RP nr 53 poz. 30) na 10 lat po myśli art. 34 § 2 tegoż dekretu i art. 48 § 1 KKWP praw publicznych i honorowych na 5 lat z przypadkiem mienia. Jako karę łączną (po uwzględnieniu amnestii) sąd orzekł 10 lat więzienia z utra-

tą praw publicznych i obywatelskich wraz z przepadkiem mienia (5 lat z art. 86 § 2 oraz 10 lat z dekretu).

W mojej sprawie sędzono dziewięć osób. Na karę śmierci skazano czterech kolegów, z których jeden został ułaskawiony i karę zmieniono na 15 lat więzienia, a na trzech kolegach skazanych na karę śmierci wyrok został wykonany. Jeden z kolegów – J. Hass, został wyłączony ze sprawy – miał gruźlicę kręgosłupa na skutek bicia i na proces przynoszono go na noszach. Lechosław Roszkowski, Tadeusz Zawadziński, Jan Morawiec – otrzymali kilkakrotne wyroki śmierci, które zostały wykonane, Tadeusz Zieliński miał wyrok śmierci złagodzony do 15 lat więzienia, Jan Golka – skazany na 8 lat (po uwzględnieniu amnestii), Maria Nachtman – na 3 lata (po amnestii), Wanda Ceraska i Walentyna Jeremicz miały 2 lata i 1 rok i wyszły ze sprawy. W naszej sprawie aresztowany został również Tadeusz Łabędzki, redaktor „Wszecpolaka”, członek Komendy Głównej NZW-NZZ. Był on aresztowany prawie równocześnie ze mną. Będąc w celi w MBP, przyległej do hallu w podziemiach, gdzie urzędowali repatrianci z Francji, usłyszałam, że kogoś znoszą na noszach. W MBP był specjalny system otwierania drzwi do aresztu. W drzwiach mianowicie znajdowała się kłapa i gdy kogoś sprowadzano do celi, to oddziałowy konwojujący więźnia stukał w tę kłapę, a wtedy miejscowy oddziałowy otwierał tę kłapę i podawał przez nią klucz. Moja celka była bardzo blisko drzwi. Było to w pierwszych dniach mego aresztowania, kiedy po pobiciu nie mogłam spać. Oddziałowy zapalając światło w nocy w mojej celi (rutynowy obchód), mówił półgłosem do kolegi: „*elle ne dort pas...*”. Słyszałam więc dobrze, jak tego więźnia wnoszono, ustawiano nosze na ziemi. Więzień charczał, ciężko oddychał i wtedy zapytano go o nazwisko (tak zapytywano każdego i mnie również, przy stoliku siedział jeden ze strażników i zapisywał dane personalne oraz odebrane rzeczy idące do depozytu, mnie np. zapisał żółty pierścionek z oczkiem) i ja – ku swemu przerażeniu usłyszałam wyraźnie głos Tadeusza i wypowiedziane przez niego nazwisko: Tadeusz Łabędzki. Rzecz charakterystyczna, że się o niego w śledztwie mnie nie pytano, a i podczas sprawy nie było o nim mowy. Wiem, że rodzinie powiedziano najpierw, że uciekł, a potem, że zmarł. To ostatnie było tylko częściową prawdą, bo zmarł nie na skutek żadnej choroby, ale został po prostu zamordowany w śledztwie. Nie był on silnego zdrowia i „dawka” okazała się za duża. Wtedy słysząc go i słysząc, jak najpierw stawiają nosze na ziemi, żeby dokonać tych formalności perso-

nalnych, a potem podnoszą i idą z nim gdzieś dalej, zdałam sobie dokładnie z tego sprawę.

- **Jeśli Pani pamięta, proszę wymienić skład sądu, a także dane dotyczące prokuratora, protokolanta, jak również obrońcy z zaznaczeniem, jak zachowywały się te osoby wobec Pani i innych oskarżonych.**

Wyrok został orzeczony 3 listopada 1947 r. przez sąd, w składzie: major Roman Abramowicz – przewodniczący; por. Kazimierz Adamczewski i por. Marian Wicha – ławnicy, mjr Zenon Rychlik – wiceprokurator Naczelnej Prokuratury WP; protokolant – Ryszard Czarnkowski; obrońcy: Grabowska, Polatyński (mój obrońca), Sobczyński, Kołakowski, Pintarowa, Buszkowski i Wagner. Pamiętam, że Roszkowskiego bronił mec. Maślanko. Prawie w ostatniej chwili z tego zrezygnował i przekazał mec. Grabowskiej (oczywiście, teraz dobrze wiem, że jedynie dlatego, iż wiedział, że ten wyrok będzie wykonany, a on chciał uchodzić za takiego, który potrafi obronić przed skazaniem na śmierć). O ile pamiętam, to zachowanie sądu nie było agresywne. Sam akt oskarżenia miał wystarczająco silną wymowę. Byliśmy dodatkowo oskarżeni o współpracę z Niemcami oraz o działalność za pieniądze. Akt oskarżenia czytano przez parę dni. Była to ogólna charakterystyka organizacji (Komenda Główna Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, przemianowanego potem na Narodowy Związek Zbrojny), a potem szczegółowy opis przestępstw wszystkich nas po kolei. Nie odbierano nam głosu. Tadeusz Zawadzinski bardzo szczegółowo omawiał działalność NZW, poczynszyszy jeszcze od działalności NOW i NSZ w okresie okupacji, i właściwie dzięki niemu zarzut o współpracę z Niemcami został całkowicie odparty i już nie umieszczony w wyroku. Dzięki całej postawie wszystkich oskarżonych nie zostaliśmy skazani za korzyści materialne, co oczywiście zaostrzyło i wyroki, i stosunek do nas, ale nasz honor został utrzymany. W stosunku do mnie prokurator pozwolił sobie na – nie wiem, jak to określić, bo ja to nazywam po prostu pochwałą. Powiedział on mianowicie, że wykonywałam wszystkie polecenia moich zwierzchników etc., i że zasłużyłam na uznanie z ich strony, a na 10 lat więzienia, które on proponuje.

- **Czy ktoś z Pani rodziny był aresztowany, skazany?**

W związku z moim aresztowaniem założono kocioł w moim mieszkaniu, mój brat był przesłuchiwany, a siostra cioteczna aresztowana i wię-

ziona przez dwa tygodnie. Przed aresztowaniem udało się uciec mojej siostrze.

- **Czy ktoś z członków Pani rodziny, osób z tej samej sprawy, znajomych, został skazany na karę śmierci i stracony bądź też zmarł w więzieniu podczas odbywania kary albo wkrótce po opuszczeniu więzienia?**

Nikt z mojej rodziny nie został skazany za udział w tej samej sprawie. W zupełnie innej sprawie (tzw. „ciotek”) została skazana na piętnaście lat moja stryjeczna siostra Anna Tomaszewska. O wyrokach śmierci osób z mojej sprawy mówię gdzie indziej.

- **W jakich aresztach więziennych przebywała Pani przed przewiezieniem do Fordonu i po pobycie w Fordonie?**

Po aresztowaniu mnie w Łodzi, gdzie byłam tylko parę godzin i to nie w celi, zostałam przewieziona do MBP; około tygodnia przebywałam tam w celce bez okna, małej, gdzie nie było nic poza pryczą, a następny tydzień w celi normalnej z oknem, ale również bez ubikacji. Po około dwóch tygodniach przewieziono mnie na Mokotów, gdzie na oddziałach śledczych („dziesiątce” i „jedenastce”) przebywałam przez ponad półtora roku, to jest do 4 listopada 1947 r., w tym dniu przeniesiono mnie na oddział ogólny. W końcu września lub na początku października 1948 r. z całym transportem zostałam przewieziona do Fordonu. Przez trzy tygodnie przebywałam w dużej celi na kwarantannie, a następnie do marca 1949 r. – w małej celi siedmioosobowej, przez rok w okresie pracy (tj. gdzieś do marca 1950 r.) byłam w celi o średniej wielkości (kilkanaście osób), potem w suterenie (od czterech do sześciu osób) panował tam zaostroszony rygor. Od 22 sierpnia 1952 r. do marca 1955 r. przebywałam w Inowrocławiu, z czego trzynaście miesięcy na pojedynce, następnie w trzyosobowej celi. Po pójściu do pracy, najpierw w pralni, a potem na korytarzu – siedziałyśmy chyba po cztery. Po powrocie do Fordonu (marzec 1955 r.) pracowałam w hafciarni i byłam w dużej i w mniejszej celi.

O Fordonie nie można mówić jednoznacznie, bo warunki tam panujące zależały nie tylko od okresu, ale od tego, czy się pracowało, czy nie. Utworzona „suterena” stanowiła zupełnie inny rodzaj więzienia. Ogólnie warunki higieniczne w miarę upływu lat się polepszały. Pościel była zmieniana i przypisana do osoby, wyżywienie się poprawiło niesłychanie, i to w okresie, gdy my byłyśmy w Inowrocławiu.

- **Czy pamięta Pani największą liczbę osób przebywających w jednej celi, w celi o najmniejszych rozmiarach, największe zagęszczenie, a także najgorsze warunki panujące w celach?**

W okresie mego uwięzienia największe zagęszczenie było w Mokotowie na oddziale ogólnym. Wtedy w celi przeznaczonej na 24 osoby było nas ponad sto. Zapamiętałam cyfrę 108, ale moje koleżanki twierdzą, że dochodziło do ponad 120. Ta cela była skanalizowana, na łózkach spałyśmy po dwie, a reszta na siennikach rozkładanych na podłodze, nawet pod stołami, tak że w nocy poruszanie się (do ubikacji) było bardzo utrudnione. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie nadepnąć na czyjąś głowę czy nogi. Ponieważ nie było drzwi, tylko kraty, to nie było większych trudności z otrzymaniem wody, którą nam lano do, dzbanków przez te kraty. Otwierano kraty tylko na czas posiłków i do kąpieli. Potem przeniesiono nas do celi *vis-à-vis*, gdzie stały normalne łóżka, pomiędzy którymi przejścia były tak wąskie, że gdy któraś chciała przejść, to reszta siedząca na łózkach musiała podnosić nogi. Ta cela nie była skanalizowana. Stały dwa „kible”, jeden duży, drugi znacznie mniejszy. Wodę wylewało się do dużego „kibla”, a ten mały był na potrzeby fizjologiczne. Trudno się było doprosić o otwarcie drzwi (nie było krat, tylko pełne drzwi), żeby móc wylać zawartość „kibli”, często kompletnie przepełnionych. Duże były trudności z wodą. Trzeba było bardzo oszczędnie nią gospodarować. Dyżurne wydzielały odmierzoną ilość wody. Można się było umyć dokładniej co drugi dzień. W poprzedniej celi łóżka były przypinane do ściany, a cały dzień tylko my polityczne zostawałyśmy w celi, więc można było spacerować dookoła stołów, ustawionych wzdłuż celi, a te, co nie chodziły, siedziały oparte o łóżka na ziemi, podkładając albo drewniaki, albo jakąś tekturę. Jedno łóżko można było mieć spuszczone przez cały dzień i na nim część z nas mogła siadać i jakoś się gromadzić. Niektóre koleżanki, chcąc zażyć trochę samotności i odseparować się od całego tłumu, lokowały się na ziemi pod tym łóżkiem. Gdy któraś z nas chorowała, to dostawała zezwolenie na leżenie w ciągu dnia. W celi z „kibłami” nie było mowy o żadnym chodzeniu po celi. Pamiętam, że gdy wypadał na mnie dyżur, brałam ze sobą papierosy i wszystko, co na ten dzień byłoby mi potrzebne, żeby się nie przedzierać do swojej „ulicy rodzinnej” (tak ją nazywałyśmy, bo oprócz Wandy i mnie na przeciwnym łóżku „mieszkała” p. Grzeszczyk ze swoją córką).

Za moich czasów na „jedenastce”, która była o połowę węższa niż cele na „dziesiątce”, siedziałyśmy we trzy, ale obok nas siedzieli Niemcy i ich

było chyba sześciu. Cele tam nie były skanalizowane. W naszej był mały „kibelek” i miednica na wodę, ale w celach mężczyzn dawano tylko małą puszkę i chłopcy musieli po prostu wylewać mocz przez okno, czego nie-raz byliśmy świadkami. Na „jedenastce” wyprowadzano nas dwa razy dziennie do ubikacji. Tam starałyśmy się załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Ale było to bardzo utrudnione przez fakt, że nigdy nie wyprowadzano nas o tej samej porze. Jednego dnia np. zaczynano od jednej strony korytarza i pierwszy raz szło się zaraz po apelu, a drugi raz po obiedzie, następnego dnia zaczynano z drugiej strony korytarza, tak że ten pierwszy raz wypadał gdzieś w porze obiadowej, a następny raz wieczorem. Bardzo trudno było przyzwyczaić organizm do takiego zmiennego rytmu. Poza tym ubikacja to było miejsce, gdzie się zostawiało grypsy lub jakieś podarki, no i odczytywało się też różne napisy robione mydłem na oknie. Na przykład Janek Golka (mój kolega) napisał: „Kupię wialnię”. Trzeba się było spieszyć, bo oddziaływały wciąż poganiał: „prędzej, prędzej”. Na Mokotowie było ciepło. W celach śledczych nie było żadnej pościeli, tylko po jednym kocu na głowę. Kiedy siedzieliśmy we cztery, to Anna Grocholska spała na łóżku, a my trzy na siennikach na podłodze. Ja dostałam prześcieradło z domu i kładło się je w poprzek, żeby każda mogła z niego korzystać. Pod głowę kładłyśmy nasze ubrania (nie wystawiałyśmy kostki). Mydła ani wody nam nie brakło. Mydło miałyśmy z paczek, a wodę w razie potrzeby ze zbiorniczka przy ubikacji.

W Fordonie zagęszczenie było różne. Łóżka piętrowe (trzy kondygnacje w dużych celach), ale obsada nigdy nie przekraczała dwóch osób na jedno łóżko. Z wodą – poza kwarantanną – nie było kłopotu. Łaźnia była co dwa tygodnie. Było natomiast zimno. Pościel, początkowo zmieniana trzy razy w roku, nie przypisana do więźniarki, ale do miejsca. To się na szczęście zmieniło. Podłogi w Fordonie były drewniane i trzeba je było butelkować, bo władze bardzo zwracały uwagę na to, by podłoga lśniła. Wystarczyła jednak tylko kropla wody, by traciła połysk. To butelkowanie należało do dyżurnych, które nie wychodziły do pracy i pozostawały w celi. Czasem udało się dostać pastę do butów w paczkach – to bardzo ułatwiała życie.

W Inowrocławiu najgorsze było zimno i brak mydła. Cele były niedo-grzewane (wąska rurka biegła przy podłodze wzdłuż ściany), kocyk był bardzo, ale to bardzo cienki i wytarty. W zimie dawano drugą, cieniutką i wytartą, flanelową płachtę. Było jedno prześcieradło, ale nie wolno go

było składać na pół, żeby na nim i pod nim spać. Zimą i latem nosiliśmy cienkie mundury drelichowe, zawsze zapięte pod szyją z wypuszczoną na wierzch bluzą. W zimie dawano nam kaftaniki i pończochy oraz chusteczki na głowę (kretonowe). Na spacery chodziło się tak samo ubranym. Okres jesienno-zimowy był ściśle oznaczony datą i nie miał nic wspólnego z panującą temperaturą. Tego samego dnia wyłączano (lub włączano) ogrzewanie i zabierano (lub dawano) te uzupełnienia garderoby. Pamiętam, że w 1953 r. 9 maja spadł śnieg, a my z gołymi nogami trzęśliśmy się z zimna. Wszystkie nasze prywatne zapasy mydła i pasty do zębów zostały nam odebrane po przyjeździe do Inowrocławia. Zostawiono tylko proszek do zębów (o ile któraś z nas go miała), wysypując na kawałek papieru. Mydło dawano raz na dwa tygodnie w łaźni, był to mikroskopijny kawałek, który ledwo starczał na codzienne mycie rąk i najważniejszych części ciała. Papier toaletowy – jeżeli w ogóle dawano – to sześć małych kawałeczków na tydzień, a ligninę wcale nie lub także w mikroskopijnych i niewystarczających ilościach. Miednicy w dzień nie można było praktycznie używać, bo po obowiązkowym szorowaniu piaskiem musiała się świecić. „Kibel” – jego ściany po zetknięciu się z płynem natychmiast pokrywały się rdzą – co oznaczało, iż są brudne – i dlatego trzeba było niesłuchanie ostrożnie się z nimi obchodzić, zarówno przy myciu rąk czy też miski, jak i przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych. Wszystko co metalowe – łącznie z progiem – musiało się świecić i wtedy było czyste. Miedniczki aluminiowe miały spawane dna i często robiły się dziury, woda wylewała się na beton, a ścierki to były stare gałgany, często składające się z samych dziur. Space-ry były niesłuchanie krótkie, nie trwały dłużej niż jakieś trzy minuty. Rewizje robiono dosyć często i zwykle po zmianie bielizny i kąpieli (prysznicu) w łaźni. Rozcinano wzdłuż siennik i zawartość (sieczkę) wysypywano na całą podłogę, nas wyprowadzano na korytarz lub do pustej celi i robiono rewizję osobistą. z przysiadami i podnoszeniem nóg, otwieraniem ust itd. Po powrocie zastawało się celę pełną kurzu. Trzeba było tę sieczkę jakoś włożyć do siennika, uporządkować, zamieść celę i następnego dnia zasłać w kostkę.

– **Gdzie, w którym więzieniu było najgorsze wyżywienie, najniższe normy, najbardziej doskwierał głód?**

Najgorsze jedzenie było bezsprzecznie na Mokotowie, jakkolwiek zupy na śmierdzącym mięsie bywały także w Fordonie, gdy siedzieliśmy w suterenie. W Inowrocławiu natomiast, zwłaszcza przez pierwszy rok

pobytu tam, jedzenie nie było niesmaczne (z wyjątkiem solonego, surowego dorsza), ale grubo niewystarczające i ilościowo, i jakościowo. Tam poznałam, czym jest głód. Tam ceniłam każdą kruszynkę chleba. Mimo poprawy jakości jedzenia w tym okresie – bo dawano również smażone dorsze od czasu do czasu i barszcz czerwony z dużą ilością klusek oraz można było już kupować żywność na wypiski (jeden bochenek chleba, kawałek kiszi pasztetowej, chyba cukier i margarynę, ale tego dobrze nie pamiętam) – to jednak wciąż odczuwałyśmy brak tłuszczu i białka, bo po powrocie do Fordonu nie mogłyśmy się nadziwić, że obiad jest z dwóch dań, że w niedzielę bywa ciasto, i że nasze koleżanki wybrzydzą, zostawiając na brzegach miski jakieś tłuste kawałki mięsa lub też sam tłuszcz. Pamiętam, że zjadałam te ochłapki nie tylko ze swojej porcji, ale też i Wandy Salskiej, i innych koleżanek. Trwało to przez dobre parę miesięcy. Ale w Inowrocławiu przy swoich 164 cm wzrostu moja waga brutto (drewniaki chyba nie mniej niż dwa kilo i drelich) przy bytności u lekarza wynosiła 50 kg. Mogłam naprawdę z łatwością policzyć wszystkie żebra, a przy myciu szczotką ciągle zawadzałam o wystające kości. W Fordonie już bardzo się poprawiłam.

- **Które z więzień było, zdaniem Pani, najbardziej ponure, najbardziej przygniatająca panowała tam atmosfera? Co, zdaniem Pani, na to się składało, czy tylko architektura pawilonów, stosunek funkcjonariuszy do więźniów, czy też mało odczuwalne więzi między więźniarkami?**

Więzienie izolacyjne w Inowrocławiu – bo nie biorę pod uwagę krótkiego czasu spędzonego w ciemnicy aresztu MBP.

W owym czasie (w Inowrocławiu) ściany do wysokości około dwóch metrów od podłogi były malowane czarną farbą olejną, betonowe korytarze były posmarowane jakimś czarnym mazidłem, tylko pośrodku korytarza biegło stare, zniszczone brązowe linoleum. Wnętrza celi były malowane olejno, bądź na szaro-zielony kolor (lamperie), bądź też na czarno, tak jak korytarze i westybul. Taka czarna cela – to było coś strasznego. Ja sama w takiej celi nie siedziałam, znałam ją tylko z zamykania na okres rewizji czy też innych okoliczności. Były to wazutkie cele, przy spuszczo-
nym łóżku nie mogło być mowy o spacerze (a łózek nie wolno było podnosić). Zawsze ze zgrozą myślałam o siedzeniu w takiej celi i myślę, że to mogło doprowadzić do kompletnego rozstroju nerwowego, a nawet popychać do samobójstwa. Okna w celi były uchylone, zaopatrzone w zwisa-

jący drag, którym się otwierało, mniej więcej pod kątem 60 stopni. Niższa połowa okna była zamalowana farbą koloru ochry, górna była z grubego szkła. Przez trzynaście miesięcy siedziałyśmy same w pojedynczych celach bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym (pierwsze listy otrzymałyśmy po około siedmiu miesiącach). Niektóre koleżanki stukwały przez ścianę, ja przez długi czas nie robiłam tego, a i moje koleżanki – sąsiadki: „Rysia” Szelałowska i Stefa Onyszkiewicz, nie próbowały rozmawiać stukaniem. Rozmów z oddziałowymi nie było żadnych. Często nawet nie dało się poprosić o kawałek szmaty do podłogi, bo drzwi się natychmiast zatrzaśniały. Taki był narzucony nam reżim i regulamin. Nasze więzi nie uległy zmianie, chociaż kontaktu nie było. Jak już pisałam – świadomość, że gdzieś za ścianami siedzą moje koleżanki, była dla mnie naprawdę źródłem siły. Był taki moment, w którym została we mnie wzbudzona nieufność do koleżanek. Była to perfidna i szatańska robota naczelniczki Obiałowej. Było to chyba późną jesienią 1952 r., gdy zostałam wezwana do Obiałowej. Zaczęła mi zadawać różne pytania, z których wynikało, że chce mi zaproponować współpracę. To było straszne, ale przez pewien czas udawałam, że nie wiem, o co chodzi, bo chciałam, żeby wyłożyła karty na stół. A zaczęło się od tego, czy chcę pójść na wspólną celę, na co oczywiście wyraziłam zgodę. Kiedy już jednak doszło do pewnych konkretnych, ubranych w kwiatek, że np. podjęłabym się opieki nad słabszymi koleżankami, zgłaszając konieczność jakiejś pomocy dla nich – twardo powiedziałam, że żadnej współpracy nie podpiszę. „No, nie musicie podpisywać, to może być wasza ustna zgoda na pomoc koleżankom”. Powtórzyłam raz jeszcze mocno i dobitnie, że do żadnej współpracy się nie nadaję (ręce trzymałam na kolanach, żeby mi nie skakały ze zdenerwowania), i zapytałam, czy mogę się już odmeldować. Wróciłam do celi. Czułam się poniżona i upokorzona samą tylko propozycją, której nikt przedtem nie śmiał mi uczynić.

Wieczorem tego samego dnia zrobił się ruch na korytarzu i zorientowałam się, że przenoszą koleżanki do wspólnych cel. Jak już pisałam, więzienie było bardzo akustyczne. Usłyszałam, jak wywoływano jedną z koleżanek Ukrainek i jeszcze inne. Czekałam z bijącym sercem, czy wywołają i mnie. Bo jeśli nie wywołają... to znaczy, że one podpisały!!! Nie wywołali mnie, zostałam sama. I wtedy takie straszne myśli, że moje koleżanki podpisały współpracę, że za tę cenę idzie się na wspólną celę. A jeśli to wszystkie, a ja sama tak będę siedzieć do końca wyroku, a może i jeszcze dłużej

(zawsze bałam się, czy mi Obiała nie przyczyni się do drugiej sprawy, jak Stefie Broniewskiej). I tego wieczoru pozwoliłam sobie na płacz. Całe szczęście, że to była tylko ohydna próba wzbudzenia nieufności do koleżanek, posiania tej nieufności. Szybko się jednak przekonałam, że to tylko parę osób wzięto na wspólne cele i że nadal siedzimy w pojedynkach i już pozbyłam się tego ziarenka nieufności. Piszę o tym tak szczegółowo, żeby pokazać całą ohydę i perfidię takiej metody, która nie tylko miała rozbić nasze poczucie solidarności, ale jeszcze zasiać pomiędzy nami nieufność. *Divide et impera* – stara rzymska zasada.

– **Kiedy została Pani zwolniona, na jakiej podstawie?**

Zostałam zwolniona dokładnie w dniu, kiedy kończył się mój wyrok 10 lat, to znaczy 5 IV 1956 r., z Fordonu. Pierwsza amnestia, która objęła artykuł 8 (szpiegostwo), wydana została w maju po moim wyjściu z więzienia.

– **W jakim stanie zdrowia opuściła Pani więzienie i czy stan ten został potwierdzony orzeczeniem komisji lekarskiej?**

Wyszłam z więzienia w dobrym stanie zdrowia, na żadnej komisji lekarskiej nie byłam. W czasie mego pobytu w Inowrocławiu musiałam zachorować na gruźlicę, samoistnie wyleczoną, bo przy prześwietleniu rentgenowskim wykazano dwa zwapnienia w szczytach, widoczne również na zdjęciach po wyjściu z więzienia. Nie będę tutaj uwzględniać straty zębów (brak możliwości leczenia przez wiele lat), bo to chyba wszystkie z nas dotknęło.

– **Jakie schorzenia pozostały Pani w spadku po więzieniu i czy były powodem odejścia na rentę, wcześniejszą emeryturę?**

Wiele lat po wyjściu z więzienia zaczęłam odczuwać silne bóle stawu biodrowego i jego okolic. Okazało się, że jest to silne zwyrodnienie prawego stawu biodrowego. Lekarka pytała mnie, czy nie przechodziłam jakichś urazów tej nogi, początkowo zaprzeczyłam, ale później uświadomiłam sobie, że w celi ogólnej na Mokotowie, gdy spałyśmy po dwie na wąziutkim łóżku, to prawie cały czas leżałam na żelaznym pręcie (na prawym boku), bo wąty siennik, wypełniony odrobiną startej na sieczkę słomy, nie zakrywał tego pręta. Na emeryturę poszłam po 32 latach pracy, mając 69 lat.

– **Na jakie trudności i szykany natknęła się Pani po zwolnieniu, z czyjej strony i jak długo one trwały?**

Normalnie nie miałam trudności ani w dostaniu się na studia, ani w podjęciu pracy. Raz tylko jakiś facet z UB przyszedł dowiedzieć się o mnie, byłam w pracy, i rozmawiał z moją Matką, zapewniając, że kto raz dostał się pod opiekę władz, to już nigdy nie zostanie zapomniany. Trudności miałam innej natury. Mianowicie, nie chciano mi przyznać stypendium naukowego, niezależnego wtedy od stanu majątkowego, a jedynie od wyników na studiach. Uzasadniono tym, że pracując – bo cały czas pracowałam, odbywając studia stacjonarne – nie rokuje nadziei na pracownika naukowego, mimo iż w moim indeksie były prawie same oceny bardzo dobre. Drugą barierą wynikłą z dziesięcioletniego pobytu w więzieniu, był mój wiek. I pomimo faktu, że skończyłam studia w terminie (egzamin magisterski złożyłam pół roku po moich koleżankach z racji dłużej trwającej mojej eksperymentalnej pracy magisterskiej – z mikrobiologii) i bardzo dobrej oceny i z pracy, i z egzaminu, nie mogłam być zatrudniona na uniwersytecie, co było zawsze moim marzeniem. Droga naukowa była przede mną zamknięta.

– **W jakim stopniu fakt skazania i odbywania kary zadecydował o konieczności zmiany Pani planów życiowych?**

To, co wyżej opisałam, wpłynęło na dalszy bieg mojej pracy zawodowej. W rezultacie stałam się „biologiem niepraktykującym”, a po latach trafiłam na swój grunt jako redaktor i tłumacz na język angielski w Wydawnictwie Politechniki Wrocławskiej.

– **Czy ktoś udzielił Pani pomocy po opuszczeniu więzienia i jaka to była pomoc?**

W czasie całego mojego pobytu w więzieniu otrzymywałam pomoc od rodziny, ale także i od innych ludzi. Do tej pory nawet nie wiem, komu i co zawdzięczam. Matka moja na widzeniu powiedziała mi kiedyś, że na paczki, a potem na wypiski ma zawsze dla mnie pieniądze. To samo dotyczyło okresu po wyjściu na wolność. Pomogła mi nie tylko moja najbliższa rodzina, ale także dalsza i różni przyjaciele. Przez pół roku nie pracowałam, a potem zaczęłam pracować w Instytucie Matematycznym PAN (równocześnie podjęłam studia). Wtedy zarabiałam grosze, pomagał mi finansowo brat. Ale byli także i nowo poznani przyjaciele, którzy w różny sposób mi pomagali i materialnie, i moralnie – co było niesłychanie ważne. Tak było z podjęciem pracy w Instytucie, tak też z przejściem na studia dzienne Uniwersytetu Wrocławskiego ze studiów zaocznych przy

Uniwersytecie Łódzkim, gdzie składałam egzamin i gdzie rozpoczęłam studia. To bardzo trudno opisać szczegółowo, bo naprawdę spotkałam się z bardzo dużą życzliwością i sercem ludzi, którzy mnie znali i poznali i wiedzieli o mojej przeszłości.

– **Jak długo śniło się Pani więzienie i czy były to zawsze sny męczące?**

Sny o więzieniu trwały bardzo, bardzo długo, a nawet i teraz jeszcze bywa, że przyśni mi się więzienie. To zawsze było bardzo męczące, bo sen zawsze polegał na tym, że mój wyrok się już skończył, a ja nadal siedzę w więzieniu i nie mam żadnych perspektyw na wyjście. Nie wiem, dlaczego siedzę, i jestem bezradna.

– **Ile lat miała Pani w momencie skazania i do jakiej organizacji niepodległościowej Pani należała, od którego roku i na jakim terenie?**

Miałam ukończone 27 lat, należałam do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW) – Narodowego Związku Zbrojnego (NZZ) – bo nazwa organizacji została zmieniona. Wstąpiłam do organizacji w maju 1945 r. i pozostawałam w niej do chwili aresztowania. Byłam szefem łączności Komendy Głównej, która mieściła się na terenie Łodzi. Ja jeździłam również po terenie kraju.

– **Czy zdarza się Pani wspominać więzienie, w jakich okolicznościach, w jakim towarzystwie, jak często i czy powstrzymuje się Pani od tych wspomnień i dlaczego?**

Przez długie lata mało mówiłam o więzieniu i to tylko niektórym osobom, najchętniej poruszałam ten temat z koleżankami, z którymi widywałam się przy każdej bytności w Warszawie. Na ogół ludzie nie wiedzieli o mojej „przeszłości”. Właściwie zaczęłam mówić w czasie stanu wojennego, a raczej nie ukrywać tego, że byłam więziona. Gdy ktoś się interesuje, to mówię o swoich i nie swoich przeżyciach, o koleżankach, o wspaniałych ludziach, z którymi miałam szczęście się spotkać. Poza brakiem zainteresowania, nie mam innych oporów, a raczej boli mnie to, że dziś wybija się na pierwszy plan inny czas, inne spojrzenie, inni ludzie; brak jest prawdy o tych naszych czasach, ludziach i ich postawach i przeżyciach. Razi mnie kombatanctwo i martyrologia współczesnych więźniów, milczenie o nas i pokazywanie w krzywym zwierciadle tego okresu – mam na myśli słynne *Przesłuchanie*, które po prostu uwłacza nam, więźniom politycznym tamtego okresu.

- **Czy z perspektywy lat były kiedyś w więzieniu jakieś „jasne dni”, jasne chwile, czy też zdaniem Pani nigdy takich nie było?**

Oczywiście, że były, i to dużo „jasnych dni”. Nie sposób ich tu wszystkich opisać. Nawet w okresie śledztwa były takie, i była wesołość, i dowcipkowanie, i humor, i miłość przez ścianę. Były też jasne dni znaczone głębokim przeżyciem duchowym. I pierwsze Boże Narodzenie na „dziesiątce”, gdzie wszystkie cele śpiewały kolędy, gdzie dzieliłyśmy się ze sobą opłatkiem, a biciem w ściany z sąsiadami. Na ten temat trzeba by było pisać bardzo dużo, to są już wspomnienia.

- **Kogo, zdaniem Pani, spośród śledczych, sędziów, prokuratorów, funkcjonariuszy służby więziennej należałoby pociągnąć do odpowiedzialności, a kogo wymienić jako osoby, które zachowywały się lepiej niż można było oczekiwać, które zdały trudny życiowy egzamin?**

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nie pamiętam nazwisk, nie umiem wymienić ani jednych, ani drugich.

- **Niektóre osoby skłonne są określać okres odbywania kary jako czas wegetacji, czy zgadza się Pani z takim zdaniem, czy też uznaje to określenie jako zbyt uproszczenie sprawy?**

Nigdy okres więzienia nie był dla mnie ani dla moich koleżanek okresem wegetacji. Był to okres niezmiernie nas wzbogacający. Dający wartości, których nigdy byśmy nie oddały. I nie był to czas stracony *per saldo*, mimo iż okres ten rzutował nieraz negatywnie na nasze dalsze życie, studia, zawód, małżeństwo itd.

- **Co, zdaniem Pani, nadawało sens życiu więziennemu, akty cichego poświęcenia, jak też działania wymagające wielkiej odwagi cywilnej?**

To pytanie należałoby inaczej sformułować, żeby móc na nie odpowiedzieć. Życiu więziennemu nadawały sens zarówno ciche akty, jak i działania wymagające cywilnej odwagi, zależnie od okoliczności i od celu, jakiemu służyły. Sama demonstracja dla demonstracji nie była u nas praktykowana. Asceza – w imię jakichś intencji własnych, ćwiczenia woli, odmawianie sobie pewnych przyjemności, opanowanie i umiejętność pójścia na pewne kompromisy przez zrezygnowanie ze swoich przyzwyczajeń i potrzeb – gdy się jest we wspólnej celi, solidarność – taka prawdziwa, dzielenie się nie tylko materialne, ale i duchowe czy intelektualne etc. No i właściwa, godna postawa, obowiązująca wszystkie.

- **Jaki, zdaniem Pani, był wpływ zrozumienia faktu, że w więzieniu toczy się walka nie tylko o przeżycie, ale i o zachowanie wierności idei, walka w obronie wartości moralnych, ludzkich i narodowych, historycznych i kulturowych, a także i religijnych, na kształtowanie się zachowań?**

To pytanie już w pewnej mierze wyczerpałam odpowiadając na poprzednie. Oczywiście, to była nadrzędna idea.

- **Czy dziś, po latach, jest Pani skłonna nadawać tamtym latom mniejszy czy też większy sens, większą wartość?**

Nie zmieniałam swego zdania co do lat spędzonych w więzieniu. Nie umiem sobie tylko odpowiedzieć na pytanie, czy umiałam się tymi wartościami dzielić z ludźmi, którzy tych doświadczeń nie mieli. Było to jedno z naszych założeń w czasie więzienia.

- **Czy zdaniem Pani więzienie miało wpływ na ugruntowanie się również przekonań politycznych, na ich radykalizację bądź reorientację?**

Na pewno był taki wpływ, różny u różnych osób. Zdarzały się i kompletne reorientacje i radykalizacje. Wydaje mi się, że każda z nas musiała sobie wypracować swój własny pogląd i stosunek do tzw. „rzeczywistości”. Ja nie miałam zamiaru angażować się politycznie na wolności. Nie widziałam możliwości czynnej opozycji, a – jak pisałam – nigdy nie mogłam żyć w samej negacji. W czasie więzienia starałam się dostrzec i pozytyw. Cieszył fakt odbudowy Warszawy, elektryfikacji wsi, budowa dróg, powstawanie uczelni etc. Dlatego osobiście stawiałam na swoją pracę i naukę, na włączenie się w życie przez te czynniki. Muszę tu dodać, że najcięższy okres na wolności był ten, kiedy jeszcze nie pracowałam, miałam odpoczywać, a czułam się poza społeczeństwem.

- **Jakich pytań, zdaniem Pani, w tej ankiecie zabrakło, które są za mało precyzyjne i na jaki temat chciałaby się Pani dodatkowo wypowiedzieć?**

Według mnie nie jest to ankieta sensu *stricto*. Brakuje mi tu uwzględnienia chronologii więzień i poszczególnych warunków w ujęciu chronologicznym.

Wydaje mi się, że bardziej celowa byłaby inna kolejność, oparta na pewnej chronologii. Pierwsze pytania powinny dotyczyć danych osobistych:

wiek, wykształcenie, środowisko, ewentualnie zawód, działalność w czasie, okupacji i potem.

Uważam, że należałoby podać krótkie *curriculum vitae*, dotyczące okresu do chwili aresztowania. Następne pytania powinny dotyczyć chronologii aresztów czy więzień, czasu przebywania, warunków, śledztwa (przed wyrokiem), a po wyroku i kontaktów z rodziną. Czyli to wszystko, co już zawarte jest w ankiecie, ale uporządkowane. Na końcu ewentualnie porównanie warunków. W przyjętym układzie można się powtarzać, bo pytania się zazębiają, a jest ich tyle, że po prostu nie pamięta się poprzednich. To pisanie zajmuje przecież duży kawał czasu i nie można tego robić jednym ciągiem.

Widzę konieczność gromadzenia danych i relacji o tym naszym okresie. Ostatnio eksponuje się i internowane w Gołdapi, co nas może napawać tylko goryczą, bo gdzież tu skala porównawcza! Wielką szkodę przyniosło nam *Przesłuchanie*, którym tak się fascynują ludzie nie zdający sobie sprawy z tego, że takie filmy są krzywdzące i uwłaczające. Nie pokazują one żadnej prawdy ani o nas, ani o więzieniu, całkowicie ją wypaczając. Pan Bugajski dobrze się przysłużył ubecji, pokazując, kogo też ona wtedy aresztowała, że przecież nie było żadnych więźniów politycznych, tylko grupy kobiet bez żadnej godności i postawy. A jedyna „bohaterka niezłomna” zrobiła sobie dziecko ze swoim oprawcą. Andrzej Wajda własnymi słowami określił ten film jako „historyczny”. I tak się tworzy historię.

– **Czy zamierzała Pani napisać pamiętniki, wspomnienia z okresu pobytu w więzieniu?**

Trudno mówić o pamiętnikach, pisanych przecież *ex post* – to raczej wspomnienie bez żadnych dokumentacji. Jesteśmy w takim położeniu, że nie mamy żadnych dokumentów poza tymi, które nam dano przy zwolnieniu, żadnych zdjęć (ja mam to, które było robione w Inowrocławiu do naszych wolnościowych dowodów osobistych), żadnych zapisków poza wierszami przechowywanymi w pamięci. Osobiście zależy mi na zachowaniu od zapomnienia, jak również na pokazywaniu prawdy tamtych lat i tamtych przeżyć. Napisałam trochę różnych fragmentów, m.in. *Inowrocław na pojedynce* i inne obrazki więzienne. Dużą pomocą są dla mnie moje listy do Matki, pieczołowicie przez nią przechowane (teraz przepisane i oprowione), a także niektóre informacje w listach mego kolegi.

45. Cum tacent clamant²⁷²

Przed otwarciem wystawy „Winni? Niewinni?” zapytana, co o niej myślę, powiedziałam dziennikarce telewizyjnej, że zmieniałabym jej tytuł na „Prawda ma usta zamknięte”. Byłam wstrząśnięta faktem, iż zasłaniając oczy oprawcom i utajniając dane o nich, ukrywa się jednocześnie prawdę o tamtych czasach. I to w wolnej i suwerennej Polsce. Wchodzę do wąskiej sali, urządzonej na kształt sali sądowej z lat stalinowskich. Aby jeszcze bardziej zmanifestować swój stosunek do stanowiska generalnego inspektora²⁷³, orzekającego, iż ujawnienie danych o sędziach i prokuratorach narusza prawo, pomysłodawca i główny twórca wystawy dr Krzysztof Szwagrzyk zdecydował o zasłonięciu oczu Bierutowi i Rokossowskiemu. Stół sędziowski, fotele, na których zasiadali, a przed stołem pulpit dla zeznaującego oskarżonego. Na ścianie po prawej stronie fotografie tych, co oskarżali i skazywali, z czarnymi opaskami na oczach, bezimienni, bo ich tożsamość miała pozostać utajniona. Byli więźniowie, chodząc wzdłuż tej prawej ściany, rozpoznają swoich oprawców. Pamiętają aż zbyt dobrze ich twarze, ich zachowanie, wyroki, jakie wtedy otrzymali, i lata z ich woli spędzone w więzieniach. A co czuli ci, co skazani na karę śmierci czekali tygodnie, miesiące, a nieraz i lata na śmierć czy życie?

Przechodzę i ja wzdłuż tej ściany, nie mogę rozpoznać nikogo, bo nie siedziałam w tutejszych aresztach i nie tutaj byłam sądzona, ale moje przyjaciółki i towarzyszki więzienne tu były. Dalszą wędrówkę rozpoczynam teraz od przeciwległej ściany. Tutaj są ci, na których ich oskarżyciele i sędziowie nie mogą teraz spojrzeć spoza zasłoniętych oczu, bo pozbawiając ich życia, może, aż do dzisiaj, nie mogą także spojrzeć w oczy prawdzie? Patrzę na twarze pomordowanych „w majestacie prawa” kolegów, tak bliskich, chociaż znanych mi niekiedy tylko z przekazów historii, a często, jakże często z opowiadań tych, co ich znały – moich więziennych koleżanek. Znam ich także z ogromnej pracy dr. Szwagrzyka *Golgota Wrocławska*, który w tej książce podał krótkie biogramy skazanych, wyroki i ich uzasadnienie. Nikt z nich nie jest i nie może być mi obojętny, ale są tacy, którzy w szczególny sposób mnie poruszają. Wśród nich jedna, jedyna

²⁷² Mowa Cyclerona przeciwko Katylinie – w wolnym tłumaczeniu: milcząc krzyczą (przyp. autorki).

²⁷³ Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych.

kobieta – dziewczyna, Helena Motykówna²⁷⁴. Odkąd tylko zobaczyłam jej fotografię w *Golgocie*, patrzy na mnie i serce mi się ściska. Miała zaledwie 22 lata i za sobą dwa tygodnie spędzone w oddziale „Otta”. Aresztowana 18 II 1946 r., a stracona 18 VII 1946 r. Dwa tygodnie działalności, sześć miesięcy spędzonych w więzieniu, zakończonych salwą karabinową na podwórku więziennym.

Spoglądałam na fotografię Ludwika Marszałka²⁷⁵ i jego współoskarżonych: Stanisława Dydo i Jana Klamuta²⁷⁶. Z nimi było związanych wiele koleżanek, a wśród nich siostra Marszałka Miła Szlachta²⁷⁷ oraz Basia Dunin²⁷⁸. Wstrząsają mną zdjęcia Jerzego Komorowskiego²⁷⁹ i jego ojca Wiktora²⁸⁰ – Jerzy został stracony, a Wiktor zmarł w więzieniu. Drugi syn

²⁷⁴ Helena Motykówna (1924–1946) – wyrokiem WSR we Wrocławiu z dnia 31 V 1946 r. skazana na karę śmierci za przynależność do oddziału „Otta”. Stracona 18 VII 1946 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu.

²⁷⁵ 10 VIII 1948 r. w procesie kierownictwa Okręgu Wrocławskiego WiN WSR we Wrocławiu skazał na kary śmierci: Ludwika Marszałka, Stanisława Dydę i Władysława Ciska. Wszystkich stracono 27 XI 1948 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu.

²⁷⁶ Jan Klamut (1913–1948), por. LWP. Od 1941 r. w ZWZ i BCH, uczestniczył w procesie scaleńia miejscowego BCH z AK. 15 I 1945 r. zmobilizowany do LWP. W 1947 r. pełnił funkcję komendanta Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego w Elku. Od grudnia 1946 r. był informatorem WiN-u, aresztowany 2 I 1948 r., sądzony w drugim procesie Okręgu Wrocławskiego WiN. 16 VIII 1948 r. skazany został na karę śmierci. Wyrok wykonano 27 XI 1948 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu.

²⁷⁷ Emilia Szlachta – „Maj” (ur. 1919), z domu Marszałek, siostra Ludwika. Łączniczka i sanitariuszka ZWZ-AK Obwodu Dębica, od 25 III do 6 VII 1945 r. pracowała jako maszynistka w wydziale śledczym WUBP w Rzeszowie. Przekazywała kontrwywiadowi Inspektoratu Rzeszów AK w Likwidacji m.in. listy konfidentów UB i zeznania aresztowanych. Zdekspirowana, została aresztowana 3 IX 1948 r. i skazana na karę śmierci (28 XII 1948 r.) wyrokiem WSR w Warszawie. Wyrok zmieniono na 15 lat więzienia.

²⁷⁸ Barbara Szpot-Dunin – „Spas” (ur. 1923). Działała w siatce AK na terenie Obwodu Dębica, pełniąc funkcję łączniczki Wojskowej Służby Kobiet. Brała udział w akcji „Burza”, będąc łączniczką w zgrupowaniu mjr. A. Lazarowicza „Klamry”. Po wojnie była kurierką prezesa (mjr A. Lazarowicz) i kierownika okręgu (mjr L. Marszałek) Obszaru Zachodniego WiN. Została aresztowana w nocy z 15 na 16 grudnia 1947 r. i osądzona w trzecim procesie Okręgu Wrocławskiego WiN. 23 VIII 1948 r. skazano ją na 7 lat pozbawienia wolności.

²⁷⁹ Jerzy Komorowski (1923–1952). Od 1939 przebywał w Rumunii, do Polski wrócił w grudniu 1946. Od czerwca 1947 r. mieszkał we Wrocławiu, studiując na Politechnice Wrocławskiej. Aresztowany 16 IV 1951 r., wyrokiem WSR we Wrocławiu z dnia 27 XI 1951 r. skazany na karę śmierci pod zarzutem współpracy z wywiadem brytyjskim. Wyrok wykonano 15 IV 1952 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu.

²⁸⁰ Wiktor Komorowski (1887–1952), major WP, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., ojciec Jerzego i Bogdana. Od 1939 w Rumunii, do kraju wrócił w 1946 r. Aresztowany 16 IV 1951 r. Zmarł w szpitalu więziennym przy ul. Kleczkowskiej 23 VIII 1952 r.

– Bogdan, powrócił do Polski na wieść o uwięzieniu ojca i brata – został aresztowany i stracony na Mokotowie.

Henryk Urbanowicz – wśród innej działalności – członek oddziału „Łupaszki”, skazany na wielokrotne kary śmierci z artykułów podlegających amnestii. Sąd jednak świadomie nie skorzystał z jej dobrodziejstwa i wyroki śmierci utrzymał w mocy. Miał zaledwie 23 lata...

I tylu, tylu innych, których nie sposób tu wyliczyć. Wszyscy spoglądają na mnie i czegoś się domagają. Milczą – nie mogą mówić, ale... krzyczą! Domagają się od nas, którzy przeżyliśmy, prawdy – ujawnienia zakłamanej lub utajnianej skrzętnie historii, której byliśmy uczestnikami.

46. Pamięć i niepamięć w jednym stoją domu

Miesiące sierpień i wrzesień skłaniają do specjalnej zadumy nad naszą pamięcią zbiorową. Przeżywamy wszyscy rocznicę Powstania Warszawskiego, Cudu nad Wisłą, a także zbrodnie sowieckie na naszym narodzie. Zostały wreszcie otwarte i poświęcone zbiorowe mogiły w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Obecny rząd Rosji udostępnia nam dokumenty zbrodni popełnionych przez jego poprzednika – Związek Sowiecki. Nasz premier²⁸¹ domaga się pełnej prawdy o dokonanych zbrodniach, informacji o miejscach pochówku pomordowanych i straconych w więzieniach enkawudowskich oraz zmarłych w łagrach i na zesłaniach naszych rodaków. Zapowiedział, że nie spocznie, dopóki prawda nie zostanie ujawniona całkowicie i śledztwa, które ustalą winnych zbrodni, nie doprowadzą do ich ukarania. Na pewno jednak nie wszystko da się wyjaśnić i ustalić, bo nigdy nie dowiemy się, ile trupów zmarłych w bydłych wagonach dzieci i osób starszych spoczywa gdzieś przy torach kolejowych – i wiele jeszcze innych zbrodni pozostanie tajemnicą.

Nasz premier jest wyrazicielem naszej pamięci zbiorowej. Przez wszystkie lata okupacji sowieckiej wszelkimi siłami starano się nam tę pamięć zamazać i zafałszować – ale na szczęście bez skutku. W całej Polsce były symboliczne miejsca, znaczone krzyżami i zapalonymi zniczami, głoszące prawdę, której nie można było wyrazić publicznie słowami. Wszystkie, a zwłaszcza ostatnie uroczystości w Miednoje, transmitowane przez radio

²⁸¹ Tekst powstał w czasie, gdy funkcję premiera sprawował Jerzy Buzek.

i telewizję, pobudzały do szczególnych wzruszeń, przywoływały pamięć tamtych lat.

Odkąd zaczęły się ukazywać w drugim obiegu wspomnienia więźniów i zesłańców, a zwłaszcza od książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, kiedy mogłam poznać losy moich rodaków oraz zetknąć się bezpośrednio z niektórymi uczestnikami tej wielotysięcznej gehenny – stali mi się oni szczególnie bliscy i już na zawsze pozostaną w mojej pamięci. Jednocześnie jednak świadomość, że ta pamięć zbiorowa istnieje i istnieć będzie w następnych pokoleniach, budzi gorzkie poczucie zbiorowej niepamięci i wręcz ignorancji zbrodni popełnianych na Polakach przez Polaków, zwłaszcza w pierwszej dekadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Odzyskaliśmy wolność. Jesteśmy wolnymi obywatelami Trzeciej Rzeczypospolitej, ale nasz głos, głos byłych więźniów politycznych nie może się przedrzeć przez mury obojętności i kneble nakładane przez środki masowego przekazu. Nasze usta, zamknięte z konieczności przez panujący reżim, nie mogły się otworzyć i dojść do głosu, gdy pokolenia późniejsze przejęły walkę o niepodległość już w sposób inny, gdy można było odmawiać zeznań w śledztwie, gdy nie było wyroków śmierci, gdy w więzieniach można było nawet napisać książki, jak Adam Michnik, nie mówiąc o kontaktach między sobą, widzeniach, listach i wysokości wymierzanych wyroków. Apogeum przyszło w stanie wojennym, gdy internowano tysiące działaczy „Solidarności” gdy cały świat o nich wiedział i cały świat, a właściwie Europa przychodziła im z pomocą, a nasze społeczeństwo w tę pomoc się czynnie włączało.

A na to, by mogło dojść do niepodległości, trzeba było wysiłku, pracy i ofiarności poprzednich pokoleń. Wraz z końcem wojny nie skończyła się konspiracja. Pozostały zbrojne oddziały głównych organizacji działających na terenie okupacji niemieckiej i na terenie zajęтым przez Sowietów, powstały nowe organizacje po rozwiązaniu AK: NIE, WiN, pozostały Narodowe Siły Zbrojne, powstało Narodowe Zjednoczenie Wojskowe, Konspiracyjne Wojsko Polskie, a potem także liczne organizacje młodzieżowe: szkolne i harcerskie. Ilu z nich zginęło w walkach i zasadzkach, ilu zamordowano w śledztwach i ilu zginęło z wyroków sądowych, ilu wreszcie zmarło w więzieniach w „niewyjaśnionych okolicznościach”? A ci, co przeszli więzienie i znaleźli się na wolności? Jaka była ich powięzienna wolność? Ilu zmarło wskutek długoletniego przebywania w nieludzkich warunkach więziennych? Ilu pozostało z trwałymi urazami psychicznymi?

A ilu – z biegiem lat coraz więcej – ubywa? A kto i co o nas wie? Dzienniki i czasopisma milczą. To nie jest temat ich interesujący. Chyba że – jak w przypadku wystawy „Winni? – Niewinni?” – można było z niej zrobić sensację, bez wnikania w sedno zagadnienia. A radio i telewizja? Czasem któremuś dziennikarzowi uda się przedrzeć przez bariery niechęci i ignorancji. Było trochę świetnych reportaży radiowych, ale głos nieutralizowany na piśmie, a niedostępny dla kogoś, kto akurat nie natrafił na taką audycję – zamiera. Dokumentalne filmy, które można policzyć na palcach, były (bo już nie będą, już powiedziano „dosyć”, „nie”) emitowane w porach najgorszej oglądalności. Co więcej, film *Rakowiecka*, mający pokazać studletnią historię tego więzienia, tylko bardzo zredukowany czas poświęcił temu najkrwawszemu okresowi pierwszej dekady PRL, a wtedy w tymże właśnie więzieniu było tylu wielkich przywódców, przelano tyle niewinnej krwi oddanej za wolność Ojczyzny.

Mój bezpośredni szef i autorytet moralny – Lechosław Roszkowski, skazany na karę śmierci i oczekujący jej, mówił swemu towarzyszowi w celi, że czuje się zaszczycony tym, że umiera za Ojczyznę, i prosił, żeby nie odprawiano za niego mszy żałobnych, ale dziękczynne. Te jego słowa, tematy rozmów i postawę Leszka przekazał jego towarzysz więzienny, nieżyjący już Makary Sieradzki. Niestety nie znamy i nigdy nie poznamy przeżyć i myśli innych skazanych na śmierć i przeżywających w samotności ten czas okrutnego oczekiwania na łaskę czy niełaskę Bieruta. W wypadku moich kolegów była dyrektywa, żeby wyroki śmierci wykonać natychmiast.

Po wojnie utworzono ZBoWiD, organizację skupiającą – jak sama nazwa wskazuje – „bojowników o wolność i demokrację”. I ta organizacja łaskawie przyznawała prawa kombatanckie zrzeszonym w niej członkom. Sekcji AK w Zarządzie Głównym przewodniczył Jan Mazurkiewicz „Radosław”²⁸². Byli żołnierze AK, w jakimś procencie, zapisywali się do tej organizacji. W latach osiemdziesiątych można było uzyskać prawa kombatanckie, przyznawane przez ZBoWiD, ale bez konieczności zostania człon-

²⁸² Jan Mazurkiewicz – „Radosław” (1896–1988), generał. Od r. 1939 organizator i komendant (do 1943 r.) Tajnej Organizacji Wojskowej. W latach 1943–1944 zastępca, a od 1944 r. szef Kedywu KG AK. Od 1945 r. komendant Centr. Obszaru Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Aresztowany, podjął się przeprowadzenia akcji ujawnienia konspiracji, przewodniczył Centralnej Komisji Likwidacyjnej AK. W 1949 r. ponownie uwięziony, w 1956 r. zwolniony. Od 1964 r. był prezesem ZBoWiD.

kiem tego związku. Tym, którzy zataili swoją więzienną przeszłość, te uprawnienia przyznano, a innym nie (to mówię z własnego doświadczenia). Dopiero interwencja Rzecznika Praw Obywatelskich spowodowała przyznanie tych uprawnień. Ale wkrótce powstał Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych powstała komórka zajmująca się uprawnieniami kombatanckimi, a wkrótce potem samodzielny Urząd do Spraw Kombatanatów i Osób Represjonowanych, Sejm uchwalił ustawę o kombatantach (zresztą kilkakrotnie nowelizowaną). Można było uzyskiwać uprawnienia kombatanckie oraz występować o unieważnienia wyroków. Drogą do tego było świadectwo z sądu, że składająca wniosek osoba „walczyła o niezawisły byt Państwa Polskiego”. Samo zaś unieważnienie odbywało się już w pełnym składzie sądowym, albo w sądzie okręgowym, albo wojskowym.

Jednocześnie – po uzyskaniu unieważnienia wyroku – można było występować o odszkodowanie i zadośćuczynienie. Urząd ds. Kombatanatów – niezależnie od masowo napływających wniosków, musiał weryfikować tych, co uprawnienia kombatanckie nabyli w ZBoWiDzie. Nie wiem, ilu w sumie katów i „utrwalaczy władzy Polski Ludowej” zostało negatywnie i nieodwołalnie zweryfikowanych. Mam jednak nadzieję, że większość.

W tej sytuacji czytam w „Gazecie Wyborczej” *Sąd nad kombatanctwem* Teresy Torańskiej, znanej tak dobrze dzięki swojej książce *Oni*, słowa, które mną wstrząsnęły do głębi. Cytuję z całej dyskusji jeden głos: „Proponuję zamknąć ten kombatancki rozdział w naszej historii i nie przedłużać jego istnienia. Oświadczyć, że niech ci „utrwalacze” dogasną w tej instytucji, nie będziemy ich ruszać, ale zamyka się listę jej członków i skazuje na biologiczne wymarcie. Bo przecież te przywileje kombatanckie zupełnie nie pasują do dzisiejszych czasów. To jest anachronizm. Na dodatek śmieszny, bo wyobrażacie sobie państwo, by sprywatyzowana Telekomunikacja fundowała kombatanantom ulgi w opłatach abonamentu telefonicznego?”²⁸³

Ograniczam się do tej wypowiedzi, bo charakteryzuje ona całość dyskusji, w której chodziło o przyznawanie uprawnień kombatanckich działaczom „Solidarności”. Tam też właśnie padały sformułowania, że obecni kombataneci to „utrwalacze władzy ludowej”.

²⁸³ *Sąd nad kombatanctwem*, rozmowa redakcyjna z udziałem Hanny Świdy-Ziemby, Janusza Śniadka, Krzysztofa Kicińskiego, Jacka Merkla, Bogusława Szybalskiego, Haliny Bortnowskiej, Teresy Torańskiej, Andrzeja Słowika, „Gazeta Wyborcza” z 15 IX 2000 r.

47. Mortui sunt ut liberi vivamus

...że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
i witać światłem buchające wieki,
TY – żyjący – nie pytaj tamtych, co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy ich rdzawią topniejące śniegi,
z mogił, trawą porośłych, powstaną.
Życia twego żaden ci z nich nie przebaczy...

Ten fragment wiersza Miłosza, napisanego po kapitulacji Warszawy, staje mi w pamięci, ilekroć myślę o wszystkich bliskich mi i znanych, jak również o wszystkich straconych i pomordowanych, grzebanych gdzieś po kryjomu, a których bezimienne groby rozsiane są po całej Polsce. I to, że nigdy nie dowiemy się, gdzie, w którym dokładnie miejscu, jest ich miejsce spoczynku – boli. Zwłaszcza wtedy, gdy dzięki współpracy „Karty” z „Memoriałem” działającym w Rosji, uzyskujemy coraz więcej materiałów i danych dotyczących naszych rodaków, skazanych i wywiezionych w głąb nieludzkiej ziemi, a którym nie dane było wrócić do Polski. Wszyscy oni oddali swe życie za wolność Ojczyzny, o którą walczyliśmy w czasie wojny i potem w latach 1944–1956. Pamięć o nich jest obowiązkiem nas – żyjących w III Rzeczypospolitej. Toteż uczestniczymy w budowach pomników czy tablic świadczących o naszej pamięci.

Jestem związana z Warszawą, bo tam toczyło się śledztwo, tam był proces, a ja jedną z oskarżonych i tam moi trzej bliscy koledzy zostali straceni. Znam dokładną datę, a nawet godzinę i kolejność wykonywanych wyroków. Wiem natomiast tylko, że leżą gdzieś na Służewiu, albo w granicach cmentarza przy ul. Wałbrzyskiej. Ilekroć tylko mogę, stoję w tym małym narożniku, na którym czyjaś ręka postawiła krzyż spowinięty szarą Virtuti Militari i przybiła na nim miedzianą tabliczkę z fragmentem wiersza Tadeusza Porayskiego²⁸⁴. Za każdym razem przeżywam głęboko i to miejsce, i słowa wyryte: „Przechodniu, pochyl czoło, wstrzymaj wzrok na chwilę. Tu każda bryłka ziemi krwią męczeńską broczy. Tu jest Służewiec – to nasze Termopile. Tu leżą Ci co bój do końca chcieli toczyć”... I

²⁸⁴ Tadeusz Porayski – „Poraj” (1915–1989), żołnierz AK. Po wojnie w 1948 r. aresztowany i skazany 16 III 1951 r. na 6 lat więzienia za współpracę z Władysławem Śliwińskim (pilotem, straconym 29 VII 1950 r. za zorganizowanie siatki wywiadu).

myśl, że oni i tylu, tylu innych leży gdzieś w pobliżu i że świeczkę zapalić i położyć kwiaty mogą tylko przy tym symbolicznym krzyżu. I to miejsce jest dla mnie święte.

We Wrocławiu zamieszkałam w 1956 r., po wyjściu z więzienia. Znam nazwiska wielu więźniów politycznych, straconych i pochowanych na cmentarzu Osobowickim, ale z żadnym z nich nie miałam kontaktu za ich życia. Są mi jednak zawsze bliscy i godni najwyższego uznania i naszej o nich pamięci.

Cmentarz Osobowicki to także jedyna w Polsce nekropolia, gdzie miejsca spoczynku skazanych są w dużej mierze znane, a dane ich dotyczące można było znaleźć w księgach cmentarnych. Co więcej – o ich ostatnich chwilach można się dowiedzieć z nagranych na kasetach wspomnień nieżyjącego już kapelana więziennego, ks. Skiby, który był obecny przy egzekucjach, a przedtem, w celi więziennej, z ostatnią posługą sakramentalną. To jedyne miejsce w Polsce, ten wydzielony kawałek cmentarza i te na nim groby naszych kolegów domagają się szczególnej czci i pamięci z naszej strony. Winniśmy go strzec jak żrenicy oka.

Miałam szczęście uczestniczyć w symbolicznym pochówku, który głęboko przeżyłam. Jestem zawsze wstrząśnięta salwą honorową, gdyż nieuchronnie kojarzy mi się ze strzałami egzekucji i w pamięci stają ci, którzy od takich strzałów zginęli. – W czasie wojny byłam żołnierzem AK w służbie „Pomoc żołnierzom”, a potem – również żołnierzem – szefem łączności Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Obie organizacje są mi nadal bliskie, jak również wszystkie inne, których celem była walka o wolność. I mam tu na myśli nie tylko znane, duże organizacje, ale także i te, liczące zaledwie kilku czy kilkunastu członków, skupiające młodzież szkolną, która manifestując w różny sposób swoje stanowisko wobec władz i ustroju PRL, była skazywana na długoletnie nierzaz więzienia, a nawet na karę śmierci.

48. Wystawy szczególne

Żołnierze wyklęci

Zanim ta wystawa dotarła do Wrocławia, miałam na nią zaproszenie do Sejmu. Niestety nie mogłam pojechać, ale stałam się posiadaczką książki – albumu pod tym samym tytułem. Jest ona wspaniałą ilustracją i uzupełnie-

niem wystawy. Po *Golgocie Wrocławskiej*, „Więźniach politycznych PRL”, ekspozycji „Winni? – Niewinni?” wnosi ona bardzo istotny wkład do tego przemilczanego, i zakłamanego okresu naszej historii. Przewodnią ideą wystawy było pokazanie antykomunistycznego podziemia zbrojnego po 1944 r. Na odrębnych ciągach wystawy można było zobaczyć przedstawicieli poszczególnych organizacji zbrojnych, a więc: Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, V–VI Brygady Wileńskiej, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (dla mnie szczególnie bliskiego), Konspiracyjnego Wojska Polskiego, Narodowych Sił Zbrojnych, Zgrupowania Partyzanckiego Józefa Kurasia²⁸⁵ „Ognia” oraz lokalnych organizacji i oddziałów poakowskich. Była to wspaniała lekcja historii dla zwiedzających wystawę. Czy z nie skorzystali?... Co z niej wynieśli?...

Walczyliśmy o Polskę nową, Polskę dla WSZYSTKICH

W życiorysie jednego człowieka – porucznika Mieczysława Bujaka – któremu została poświęcona wystawa, zawarto historię najkrwawszego dziesięciolecia Polski Ludowej, zwanego przez nas okresem stalinowskim. Zdjęcia porucznika Bujaka ogląda się jak poszczególne kartki rodzinnego albumu. Począwszy od lat najwcześniejszego dzieciństwa i młodości, poprzez dalsze lata, opatrzone informacjami o udziale w Powstaniu Warszawskim, pobycie w obozie jenieckim, wstąpieniu do armii amerykańskiej i o powrocie do kraju. Krótki okres konspiracji w WiN-ie i tragiczny finał: aresztowanie, śledztwo i wyrok. „Trójwymiarowe” zdjęcie więzienne por. Bujaka i jego towarzyszy, a przy nich fotografia sędziów i prokuratorów. Odręczna opinia, że skazany nie zasługuje na ulaskawienie i suchy protokół z wykonania kary śmierci. A zaraz potem powiększona kartka z kalendarza, z datą podkreśloną i kilka bolesnych słów, ręką matki napisanych – tu każdy komentarz jest zbyteczny.

²⁸⁵ Józef Kuraś – „Ogień”, „Orzeł” (1915–1947), dowódca partyzancki, podoficer KOP. W latach 1941–1942 dowódca oddziału partyzanckiego Konfederacji Tatrzańskiej, a po jej rozbiu AK. W 1944 r. przeszedł do Ludowej Straży Bezpieczeństwa. W styczniu 1945 r. uczestniczył w wyzwoleniu Nowego Targu. Został komendantem powiatowym MO, następnie kier. PUBP. W kwietniu 1945 r. uwolnił z więzienia aresztowanych i zorganizował na Podhalu oddział walczący do lutego 1947 r. z władzą komunistyczną. Osaczony podczas obławy przez KBW, popełnił samobójstwo.

W tej historii jednego człowieka odczytujemy dzieje wszystkich zamordowanych walczących o „Niepodległy byt Państwa Polskiego”. Tak bowiem orzekały niezawisłe sądy III Rzeczypospolitej, unieważniające nasze wyroki, wydane przez dyspozycyjnych sędziów peerelowskich.

Zbrodnie w majestacie prawa

Wystawa ta zorganizowana przez Związek Jaworzniaków – Młodocianych Więźniów Politycznych, w zamyśle swoim jest poszerzeniem i uzupełnieniem wystawy „Winni? – Niewinni?”. Pokazano na niej sylwetki i biogramy 49 sędziów i 25 prokuratorów wojskowych „szczególnie zasłużonych” w peerelowskim wymiarze sprawiedliwości na terenie Warszawy i województwa. Oglądając wystawę zastanawiałam się, na ile zdjęcia odzwierciedlają osobowość tych gorliwych wykonawców zbrodni. Często można odczytać prawdę z wyrazów spoglądających na mnie oczu. Istotne są dla mnie niektóre informacje w poszczególnych biogramach. Całkowitym wstrząsem było dla mnie odkrycie, iż sędzia, który w moim procesie skazał trzech najbliższych kolegów na wielokrotne kary śmierci – jest absolwentem przedwojennym KUL-u, a prokurator, domagający się tych wyroków, także ukończył prawo przed wojną. Nie są to niestety wyjątki. Takich ludzi było znacznie więcej, a wśród nich, w co nawet trudno uwierzyć – oficerowie Armii Krajowej.

Mówi się dzisiaj wiele o byłych pracownikach aparatu bezpieczeństwa. Spotykam się często z pytaniami, jakie jest moje stanowisko wobec śledczych czy innych ubeków narodowości żydowskiej, z którymi miałam do czynienia lub wiem o ich postępowaniu. Jakich kar się domagać? Niezmiennie odpowiadam, że nie interesuje mnie ani wysokość wyroku, ani narodowość, ale pełne ujawnienie popełnionych przez nich zbrodni oraz informacja o wykształceniu i ewentualnej przynależności do podziemnej organizacji, podległej Rządowi Londyńskiemu w czasie wojny.

Niedużo miejsca zajmują fotografie skazanych na najwyższy wymiar kary, straconych, a także i ułaskawionych. Twarze pełne życia, czasem zadumy, a czasem radości. Zobaczyłam wśród nich Tadeusza Zawadzkiego i Janka Morawca oraz wielu znanych mi z poprzedniej wystawy. Wśród ułaskawionych zobaczyłam „Baśkę” Kobierzycką, tak zawsze mi bliską. Myślę, że gruba księga zawierająca listę skazanych na karę śmierci, znajdująca się przy ścianie poświęconej prokuratorom lepiej spełniłaby

swoje zadanie, gdyby umieszczono ją przy skazanych. Wtedy zwiedzający mogliby się naocznie przekonać, jak małeńki procent stanowią ci, których fotografie można obejrzieć.

Wystawa bardzo potrzebna i dobrze, że wędruje po Polsce. Oby tylko spotkała się z licznym zainteresowaniem.

49. Uzależnienie – *summa experimentiae*

Słowo końcowe – zamykam wspomnienia.

Po przeczytaniu całego maszynopisu uderzył mnie fakt pominięcia jednego, a dla mnie bardzo istotnego problemu. Opisując pobyt w więzieniach, w bardzo zróżnicowanych warunkach, starałam się podkreślić wysiłki skierowane na zachowanie własnej godności i wolności wewnętrznej. Ta ostatnia przejawiała się na ogół w dobrowolnym wyrzeczeniu się jakiegoś dobra w sensie duchowym i fizycznym, czyli tego, czym można było samemu rozporządzać. Natomiast nie poruszyłam problemu uzależnienia. W potocznym znaczeniu tego słowa oznacza ono jakiś nałóg. Wszystkie jednak znane i możliwe rodzaje uzależnienia, zależą wyłącznie od woli człowieka. Jest to więc **uzależnienie subiektywne**, bo największe nawet pokusy, płynące od osób postronnych, a nawet najbliższych przyjaciół, mogą być zawsze przezwyciężone wolną wolą. Natomiast zupełnie inne jest **uzależnienie obiektywne**, niespowodowane wyborem, ale narzucone przez różnego rodzaju okoliczności, na które nie ma się wpływu. W moim przypadku było to doświadczenie dziesięciu lat więzienia. Na początku moich wspomnień napisałam, że jestem świadkiem historii i jako świadek mam dawać świadectwo prawdzie czasów, w których uczestniczyłam.

Od paru lat przeżywam inne uzależnienie, a spowodowane kalectwem, czyli eufemistycznie nazywaną niepełnosprawnością. W więzieniu wszelkim brakiem, w sensie duchowym i fizycznym, których w żaden sposób nie można było zaspokoić, można jedynie było przeciwstawić wolę i wewnętrzną dyscypliną, prowadzącą często do świadomego wyrzeczenia się jakiegoś dobra. I tak z jednej strony był głód, dominujący w Inowrocławiu oraz pokusa, żeby mu ulżyć, przeciwstawiająca się dobrowolnie narzuconemu sobie reżimowi gospodarowania chlebem. I twarde przeciwstawienie się, mając świadomość, że uleganie tej pokusie nic nie da, a jedynie osłabi wolę, potrzebną i niezbędną do godnego przeżycia więzienia. Albo inny przykład, o którym już pisałam. Po roku samotnej celi pierwsza książka. Leży na

pryczy, ale oprawiona w szary papier, więc nie znam jej tytułu. Wystarczy tylko wziąć ją do ręki i zobaczyć pierwszą stronicę. I pokusa: zaspokoić chociaż ciekawość. Jakże wielka była wtedy moja tęsknota do pisanego słowa. I znów – twarde NIE! A w myśli cały monolog: „Poczekaj, zrób najpierw porządek w celi, odmów wszystkie modlitwy poranne, poczekaj!”.

I to zwycięstwo nad sobą było dla mnie źródłem wewnętrznej radości, która była jednocześnie moją wolnością.

To wszystko natomiast, co składało się na lepsze czy gorsze warunki więzienne, nie zależało od więźnia i jego woli, ale od decyzji władz czy też całej polityki stosowanej do poszczególnego więźnia czy też całej grupy podobnie zaszeregowanych. Można więc było być przodownikiem pracy i zostać z niej nagle wycofanym i zamkniętym w suterenie czy też wywiezionym do więzienia izolacyjnego. Można było stosować się do regulaminu więziennego, utrzymywać odpowiedni porządek w celi, nie prowokować władz bez słusznego powodu i tym samym zasłużyć na jakąś ulgę czy nagrodę, a z racji zaliczenia do najgorszej kategorii „A” – zostać osadzonym w celi na oddziale o zaostrzonym rygorze, w izolatce, a wreszcie zostać wywiezionym do więzienia izolacyjnego. Wachlarz stosowanych represji był nieograniczony, a dla więźnia nieraz całkowicie niezrozumiały. Wszystkie zaś niespodziewane ulgi dawano z niewiadomych powodów. Nie mówię tu oczywiście o pójściu na współpracę z władzami, więc ogólnie o „kapowaniu”. Te pozorne przywileje, którymi obdarzano takich więźniów – „kapusiów”, były i musiały być przez nich okupione uzależnieniem, a właściwie kompletnym zniewoleniem. Względy okazywane przez władze nie mogły wynagrodzić pogardy okazywanej im przez całą społeczność więzienną. W zamyśle władz uzależnienie więźnia miało prowadzić do jego zniewolenia, do zraty jego godności osobistej, a wreszcie do świadomości podjętej współpracy. W rzeczywistości jednak władze poniosły fiasko. Nie ulegając pokusom zaspokojenia potrzeb zależnych od woli – można było przeżyć uzależnienie stwarzane przez władze więzienne.

Szóstego maja 1997 r. okazało się, że muszę doświadczyć ponownie uzależnienia – i to całkowitego, a wywołanego czynnikiem obiektywnym. Gdy, nagle potknąwszy się, padłam na ulicy, byłam przekonana, że skorzystawszy z pomocy przechodzącej dziewczyny, będę mogła spokojnie pójść dalej. Tymczasem ten wypadek spowodował wielomiesięczne i całkowite uzależnienie od otoczenia. Obecnie – patrząc retrospektywnie – zdaję sobie sprawę, że życie w jakiś sposób mnie do tego przygotowało. Moje

możliwości chodzenia ulegały postępującemu pogarszaniu w miarę zachodzących zmian zwyrodnieniowych, na skutek warunków, w jakich przebywałam w więzieniach. Mimo tej pogarszającej się sprawności, starałam się żyć w miarę normalnie, bez wewnętrznego buntu, z konieczności jedynie ograniczając działalność zewnętrzną. Po wypadku byłam jednak całkowicie zdana na pomoc i stałą obecność ludzi. Początkowo łudziłam się, że to tylko kwestia czasu i cierpliwego znoszenia bólu oraz koniecznego bezruchu. Rzeczywistość jednak okazała się inna. Musiałam się pogodzić z trwałym kalectwem i nauczyć się żyć z tym uzależnieniem, stworzonym przez czynniki zewnętrzne, ogromną pomoc i wprost nieocenionym skarbem byli dla mnie otaczający mnie ludzie. Począwszy od najbliższych, czyli rodziny, moich koleżanek więziennych, poznanych dopiero na wolności, bo z nimi nigdy nie siedziałam, zmieniających się przy mnie z regularnością zegarka i przychodzącymi w wszelką pomocą, aż do zupełnie obcej pielęgniarki, która z całym sercem wykonywała swoją codzienną pracę. W tej całej plejadzie ludzkich serc i pomocnych rąk, olbrzymią rolę odegrały zaprzyjaźnione lekarki, które przychodziły, by w miarę możliwości ulżyć moim cierpieniom, nie szczędząc swego czasu i fadygi, czyniąc to – oczywiście – całkiem bezinteresownie. Wielką pomocą w moim obecnym życiu była także bardzo kompetentna i szybko zaprzyjaźniona, rehabilitantka. Otrzymawszy w darze tyle pomocy i przejawów dobroci moje fizyczne uzależnienie stało się dla mnie szkołą życia i źródłem niewyczerpanej wdzięczności do Boga i ludzi. A jednak nie jest łatwo się z nim w pełni pogodzić. Ta trudność, w dużej mierze, wynika z faktu, że nawet najbliżsi i najbardziej mnie kochający częstokroć nie zdają sobie sprawy z – oczywistych dla mnie – konsekwencji płynących z obecnego kalectwa. Wiedzą że większość mego obecnego życia spędzam w czterech ścianach mego mieszkania, którego okna wychodzą na kamienice po drugiej stronie ulicy. Wiedzą, że wobec tego ja nie wiem i nie mogę wiedzieć, że zaczyna się wiosna, rozwijają się liście krzewów i drzew, zakwitają pierwsze kwiaty, a w sklepach pojawiają się nowalijki, że..., że..., że... A mówiąc ogólnie, że nie mogą zaspokoić mojej tęsknoty do piękna przyrody. Niezaspokojonym głodem jest możność poszperania na półkach księgarskich, z którym do niedawna musiałam walczyć, żeby nie ulec pokusie nabywania nowych książek. W tych warunkach każda bytność w parku, w lesie, widok z auta, którym mnie ktoś zawiezie, stają się zawsze źródłem olbrzymiej radości, niezapomnianych przeżyć i wdzięczności za wyświadczone mi dobro. Ale, gdy słyszę, na moje dziwne pytania, że „prze-

cież bzy już mają listki, fiołki właśnie zakwitły, na targu są rzodkiewki, a książka, o której czytałam w prasie, jest właśnie w księgarni”... Mam tę świadomość, jak trudno jest w pełni zrozumieć to, czego się samemu nie doświadcza. Uzależnienie rozciąga się na różne dziedziny życia, których już tu nie wymienię. Ale muszę stwierdzić, że odczucie uzależnienia trwa, ale trzeba z nim żyć bez wewnętrznego buntu, by pozostać wewnętrźnie wolnym.

50. Świadectwa rodzeństwa

Kazimierz Czapliński *W kotle*²⁸⁶

W piątek, piątego kwietnia 1946 r., wracałem ze szkoły do domu. Mieszkaliśmy wtedy razem z moją siostrą Rutą przy ul. Kilińskiego 86 m. 17 w Łodzi. Zdziwiłem się, gdy mój klucz nie dał się włożyć do zamka: w zamku tkwił klucz włożony od wewnątrz. Zadzwoiłem. Po chwili drzwi otworzyły się. Zobaczyłem pusty korytarzyk, zza dwóch otworów drzwiowych (prowadzących do kuchni i do pokoju, zajmowanego przez Rutę i przeze mnie) wystawały lufy pistoletów i kawałki twarzy. Jak się okazało, byli to dwaj ubowcy schowani do granic możliwości za drzwiami. Gdy wszedłem, zobaczyłem, że trzeci z nich otwierał drzwi tak, aby siebie zasłonić. Opisuję tę operację tak dokładnie, bo powtarzała się ona potem wiele razy. (...) Po wejściu do mieszkania natychmiast zostałem wylegitymowany, a po stwierdzeniu, że jestem bratem Ruty – jeden ubowiec zawiózł mnie tramwajem do siedziby Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przy ul. Anstadta. Tam, bez przesłuchania, stwierdzono, że nie jestem im potrzebny, wobec czego mam być odprowadzony do domu. Byłem i jestem przekonany, że postanowiono mnie wypuścić bez przesłuchania, abym czując się bezpieczny – naprowadził na trop organizacji. Z całą pewnością byłem potem śledzony. Gdy wychodziłem z bramy domu przy ul. Kilińskiego, stał tam zawsze jakiś mężczyzna, który – jak mnie zobaczył – z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w wystawę sklepu z łóżykami tocznymi. Wystawę starą, zakurzoną, od miesięcy nie zmienianą... Ubowiec, który mnie przyprowadził do WUB, bardzo przepraszał, że nie

²⁸⁶ Kazimierz Czapliński, *W kotle*, „Więź” 1993, nr 7.

może mnie odprowadzić, gdyż chodzi do szkoły wieczorowej. Odprowadzi mnie więc, jak wróci z tej szkoły. Tymczasem zaprowadził mnie do izby położonej za dyżurką. Siedziało tam kilku mężczyzn. W jednym z nich poznałem sekretarza PSL. Z ciekawości bowiem, razem z moim kolegą z Bielan, spotkanym potem w Łodzi Krzysztofem Dąbrowskim, poszliśmy kiedyś na zebranie PSL, które w tym czasie jeszcze intensywnie działało. Z tego zebrania zapamiętałem twarz sekretarza. Zupełnie nie pamiętam natomiast jego nazwiska. Czas płynął, robiło się coraz później. Powoli wszyscy zaczęli się układać do spania na brudnej podłodze. Robiłem to samo, co pozostali, nie wierząc we wszelkie obietnice. Wtem wszedł zajmujący się mną ubowiec. Nie zważając na innych (tak jakby ich w ogóle nie było) zaczął czynić mi wyrzuty, że położyłem się na podłodze – przecież on zapewniał, że mnie odprowadzi do domu i właśnie przyszedł, aby to uczynić. Czuję się jak zbity pies: było dla mnie jasne, że pozostali pomyśleli, że jestem kapusiem. Wracaliśmy na piechotę. Ubowiec wdał się ze mną w rozmowę. Pytał, czy przychodziło do nas dużo osób. Wiedząc, o co chodzi, odpowiedziałem, że tak, bo jestem lepszy od innych w matematyce i fizyce, więc koleżanki i koledzy przychodzą do mnie, aby się razem uczyć. Rzeczywiście, po ukończeniu okupacyjnego gimnazjum drogowego Księży Marianów w Warszawie na Bielanach nie miałem trudności z tymi przedmiotami. Wspólne uczenie się miało natomiast miejsce sporadycznie. Wiele osób przychodziło oczywiście do Rutę z racji jej funkcji organizacyjnych. Dobrze wiedziałem, że bierze ona udział w konspiracji, na te tematy jednak prawie nie rozmawialiśmy. Rutę wiązała tajemnica organizacyjna, a ja wiedziałem, że lepiej jest w tych sprawach wiedzieć mniej niż za dużo.

Czuję niezadowolenie swojego interlokutora i dla wykazania mojej całkowitej naiwności powiedziałem, że cieszę się z powrotu do domu, bo będę mógł chodzić do szkoły, co wobec zbliżającej się matury jest dla mnie tak ważne. Tym razem ubowiec poczuł się zakłopotany – zaczął mi oględnie tłumaczyć, że do szkoły jutro nie będę mógł pójść, że będę musiał zostać w domu...

Pokoik przy ul. Kilińskiego, w którym mieszkaliśmy z Rutą, teraz zajęty był przez ekipę ubowców. Trzeba więc było położyć się w drugim pokoju na podłodze. Szef wspomnianej trzyosobowej ekipy UB (była to ekipa „zakładaczy” – zakładali „kocioł” i przebywali tam przez pierwsze dwa do trzech dni, potem zastępowani byli dozorcami o niższych kwalifikacjach)

oddął mi złotą pięciorubłówkę (tzw. świnkę), którą znaleziono w naszym pokoju. „Świnka” ta była własnością Ruty, wiedziałem o jej istnieniu, zdziwiłem się jednak tym, że mi ją oddano: po pierwsze posiadanie złota było wówczas zabronione, a po drugie – od tych ekip nie oczekiwało się uczciwości. Zabrano natomiast kartę z alfabetem greckim (komentarz dla później urodzonych: wówczas było bardzo mało książek i pomocy naukowych, podstawą były własne notatki), uważając go za wykaz szyfrów. Wyrwano mi też jedną czy dwie fotografie z mojego albumu z Bielan.

Z dnia na dzień przybywało „lokatorów” w naszym mieszkaniu. Każdy bowiem, kto dzwonił, był wpuszczany (z zachowaniem opisanej poprzednio „ceremonii”), ale nie był wypuszczany. Był w tym jeden wyjątek: gdy wszedł Leszek Roszkowski (wiedziałem, że jest organizacyjnym szefem Ruty, i serce we mnie zamarło, gdy usłyszałem jego charakterystyczny głos) i gdy go zidentyfikowano – został odprowadzony do WUBP. Aby uchronić się przed możliwością ucieczki więźnia, ubowcy postępowali prosto i okrutnie: zabierali pasek spodni i odcinali guziki. Trzymając spodnie w garści więzień nie mógł uciekać, a ponadto czuł się upokorzony. Wystarczył więc jeden konwojent, aby więźnia odprowadzić czy też odwieźć tramwajem.

Przez tydzień trwania „kotła” (nazywanego przez ubowców „zasadzką”) przewinęło się przez nasze mieszkanie około siedemdziesięciu osób, a nocowało w momencie szczytowym około trzydziestu, część bowiem została we wtorek zwolniona, o czym za chwilę.

W niedzielę (7 kwietnia 1946) przyszła do nas nasza kuzynka Zofia Małynicz, aktorka (wówczas Teatru Wojska Polskiego w Łodzi). Ruta znacznie wcześniej zaprosiła ją na obiad niedzielny. Nikt nie przewidywał aresztowania Ruty i „kotła”. Nie pomogły tłumaczenia Zosi, że wieczorem ma zagrać główną rolę – Klitajmestrę w *Elektrze* Jeana Giraudoux. Musiała zostać z nami. Jeszcze wcześniej, chyba w sobotę, przyszła moja Matka, która wówczas mieszkała u mojej siostry – Marii Knabe, przy ul. P. Skorupki w Łodzi.

W poniedziałek przyszedł nasz kuzyn Marian Pacuła, który pracował w tym samym biurze, co p. Joanna Wielebicka. Dyrektor biura polecił Marianowi, aby się dowiedział, dlaczego p. Joanna ani w sobotę, ani w poniedziałek nie przyszła do pracy. Także Marian został zatrzymany w „kotle”. Domyślna żona przesłała mu jedzenie przez dzieci dozorczy: dzieci te pozostawiły naczynia z jedzeniem pod drzwiami, zadzwoniły i uciekły, nim dokonano „ceremonii” otwarcia drzwi.

We wtorek rano przyszedł woźny z biura p. Joanny i Mariana. Dyrektor polecił mu, aby po odebraniu poczty z pobliskiego urzędu pocztowego dowiedział się, co się stało z obojgiem pracowników biura. Nie pomogły tłumaczenia, że poczta jest taka pilna, a urzędnicy tak potrzebni... Musiał zostać z nami. Jako sumienny pracownik nie mógł pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Było to dla niego coś niewyobrażalnego.

Przychodzili też różni inni ludzie, w „saloniku” (skąd można było obserwować korytarzyk i drzwi wejściowe) siedziało nas coraz więcej. W tenże wtorek, około południa, obserwowaliśmy takie wydarzenie:

Dzwonek.

„Ceremonia” otwierania drzwi. Na podeście pod drzwiami stoi milicjant. Zapewne widzi wycelowane weń lufy pistoletów, bo stoi jak wryty. Ubowocy zapraszają: „Proszę wejść, tu zasadzka”. Wcale nie zachęca to milicjanta. Ubowców nie widzi. Ponadto w większości byli oni w cywilnych ubraniach. Po dłuższym zapraszaniu wreszcie wszedł. Gdy przechodziłem do WC, widziałem go siedzącego na trzcinowym stołku w naszym pokoju. Stołek dosłownie wraz z nim się trząsł. Milicjant słuchał, co do niego mówiono. Sądząc na podstawie innych wypowiedzi – mówiono, że może mówić, co chce, byle nie to, co widział. W jakiś czas po wyjściu tego milicjanta obserwowaliśmy podobną scenę. Tym razem na podeście stało dwóch milicjantów z karabinami na ramionach. I znów: „proszę wejść, tu zasadzka...” Widać było, jak milicjantom uginają się nogi. Pewnie zostali wysłani na poszukiwanie poprzednika (który pewnie, z frasunku, zamiast do komisariatu poszedł do knajpy). Zdziwiające było jednak zachowanie dwóch milicjantów: dzwonią do mieszkania, w którym w tajemniczy sposób „zginęło” dwóch urzędników, woźny i milicjant. Przyszli z karabinami, ale trzymają je na ramionach... Dopiero wymierzone w nich pistolety odbierają im poczucie bezpieczeństwa.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy nastąpiła zmiana ubowców. Prawdopodobnie w niedzielę ekipa trzech „zakładaczy” została zastąpiona przez trzech „dozorców” z por. Pszczołą na czele (mówił o sobie: porucznik Pscoła). Nie miał on nawet podstawowego wykształcenia. Był w jakimś sensie opiekuńczy (w nocy, gdy spaliśmy na podłodze, poprawiał koce, gdy się z nas zsuwały) i jednocześnie bezgranicznie przekonany o swej umiejętności odróżnienia wroga Polski Ludowej od lojalnego obywatela. Zdecydowałem się wtedy czytać mu Manifest PKWN, aby nie zaliczył mnie do wrogów i aby zbyt nie szperał po mojej półce z książkami. Stały tam z przodu wydawnic-

stwa propagandowe, a z tyłu przedwojenne wydawnictwa, np. pisma Dmowskiego²⁸⁷ itp. Manifest PKWN wprowadzał go w stan rozczulenia.

Równolegle do opisanego wątku pracowników biura rozwijał się drugi, „teatralny” wątek. Zamknięta w „kotle” Zofia Małynicz nie mogła oczywiście przyjść do teatru, aby zagrać Klitajmestrę. Miało to być ostatnie, po dość długiej przerwie, przedstawienie *Elektry*, świetnie granej przez wybitnych aktorów, m.in. Kreczmara²⁸⁸, Zelwerowicza²⁸⁹, Woszczerowicza²⁹⁰. Ci dwaj ostatni grali na zmianę w zupełnie innym stylu, co było pasjonujące. Na zapowiedziane ostatnie przedstawienie wykupione zostały wszystkie bilety. Pełna widownia czeka – przedstawienie się spóźnia. W końcu dyrekcja decyduje się na odwołanie spektaklu. Kasa teatru zwracała pieniądze za bilety do późnych godzin nocnych. Dowiedzieliśmy się tego, gdy we wtorek przyszli do nas aktorzy Teatru Wojska Polskiego.

Jak się było łatwo domyślić, koleżanki i koledzy Zosi denerwowali się jej nieobecnością. Nie zastali jej też we własnym mieszkaniu. Ktoś sobie przypomniał, że był z nią u jej kuzynki w PUR-ze. Nie znano jednak nazwiska tej kuzynki. Rozpoczęto poszukiwania. Znalaziono w PUR-ze właściwy pokój. Nieobecne były jednak dwie pracownice. Uzyskano adres jednej z nich. Na miejscu okazało się, że jest ona chora i że nie jest kuzynką Zofii Małynicz. Wyślano w PUR-ze drugi adres. Na Kilińskiego poszły cztery osoby: Bogdan Korzeniewski z drugą osobą (której nazwiska nie

²⁸⁷ Roman Dmowski (1864–1939), polityk, mąż stanu, pisarz polityczny. Czołowy ideolog polskiego nacjonalizmu i przywódca Narodowej Demokracji. Od 1888 czł. Związku Młodzieży Polskiej „Z”, od 1889 w Lidze Pol. W 1893 r. wraz z Z. Balickim powołał Ligę Narodową. Współorganizator Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego i twórca jego programu, stopniowo stał się główną postacią ruchu wszechpolskiego. W latach 1907–1911 poseł ros. II i III Dumy Państwowej. Początkowo zwolennik sojuszu z Rosją, po 1917 r. swoje działania polit. związał z państwami zachodnimi. W 1917 r. powołał Komitet Narodowy Polski w Paryżu, delegat polski na paryską konferencję pokojową 1919–1920, wraz z I. Paderewskim podpisał w imieniu Polski traktat wersalski. W latach 1919–1920 poseł na sejm, w 1923 r. min. spraw zagranicznych. W 1926 r. doprowadził do utworzenia Obozu Wielkiej Polski i stanął na jego czele. Był inicjatorem powołania w 1928 r. Stronnictwa Narodowego.

²⁸⁸ Jan Kreczmar (1908–1972), aktor. Występował w Warszawie (role m.in. w *Fantazym* i *Hosztynskim* J. Słowackiego). Prof. warszawskiej PWST, w latach 1950–1967 rektor.

²⁸⁹ Aleksander Zelwerowicz (1877–1955), aktor, reżyser; występował w Warszawie, Krakowie i Łodzi. Zagrał wiele wybitnych ról m.in. w *Panu Jowialskim* A. Fredry. Zasłużony pedagog prof. PIST i PWST w Warszawie.

²⁹⁰ Jacek Woszczerowicz (1904–1970), aktor. Występował głównie w Warszawie, grał m.in. w *Ryszardzie III* Szekspira, *Dożywociu* A. Fredry, miał w dorobku liczne role filmowe i telewizyjne.

pamiętam) został na podwórku, a Skulski i Jezierska poszli na górę. Umówili się, że jeśli wysłana dwójka po kwadransie nie wróci, to znaczy, że jest „kocioł” i czekający na dole wracają do teatru.

Kapitałna była rozmowa porucznika Skulskiego, aktora Teatru Wojska Polskiego (przyszedł specjalnie w mundurze) z porucznikiem Pszczołą z WUBP. Skulski przekomarzał się z Pszczołą, a Jezierska z wielkim tupetem zaczęła dyrygować. „Jaka tam tajemnica?” – replikowała – „W niedzielę setki osób odeszło z teatru, bo zginął aktor. Teraz nasi koledzy poszli do teatru i powiedzą, że myśmy tu zginęli. Zapewne niedługo przyjdą tu aktorzy, a pewnie i pracownicy techniczni, aby się zorientować, co się z nami stało. Ponadto dziś zostaną odwołane dwa przedstawienia: w popołudniówce gra p. por. Skulski, a wieczorem ja! Musicie coś zrobić! Nie możecie czekać!” Ubowcy byli zaskoczeni. Nie wyobrażali sobie, że ktoś może pokrzyżować ich plany. Wszystko miało odbywać się po cichu i w tajemnicy. Uznali, że w tej sytuacji muszą porozumieć się z Urzędem Bezpieczeństwa. Jeden z nich więc musiał pójść na pocztę do telefonu. Rezolutna Jezierska powiedziała, że musi z nim pójść, aby kupić coś do jedzenia. Przy okazji z poczty zatelefonowała do swojej matki, że wróci później niż zwykle, że wszystko w porządku, żeby matka się nie martwiła. Jezierska zaimponowała nam energią i odwagą.

Zaalarmowany WUBP podjął działanie. Prawie na pewno za zgodą Różańskiego (który nadzorował całe śledztwo) przyjechał z WUBP młody, wysoki, jasnoryzy kapitan czy major. Pamiętam, jak pod jego świdrującym wzrokiem cofała się przedwojenna koleżanka Ruty, Emilia (Ilka) Lewkowicz. Całe lata nie widziała Ruty, jakimś sposobem zdobyła jej adres – i wpadła w „kocioł”. Usiłowała wyjaśnić – stojąc w saloniku – swój przypadkowy pobyt. Odpowiedzią był świdrujący wzrok i wycedzone słowa: „każdy ma jakiś powód – rzeczywisty lub u-po-zo-ro-wa-ny!”. Ilka była tak przerażona, że cofała się pod wpływem tego wzroku, dopóki nie oparła się o jakiś mebel.

Ubowski oficer kazał opróżnić ostatni pokój w amfiladzie, po czym wzywał tam po jednej osobie. Po „rozmowie” wezwana osoba opuszczała nas, mówiąc ogólne do widzenia. Jak się potem okazało, dokonywał on przesłuchania, a następnie pouczał, aby nikomu nie mówić, co działo się na Kilińskiego, a wychodząc z nikim nie rozmawiać. Jedynym dopuszczalnym zwrotem było wspomniane „do widzenia”. Tak zwolniono wszystkie osoby związane z biurem p. Joanny i Mariana oraz Zofię Małynicz, Jezier-

ską i Skulskiego. Zwolniono też kilka postronnych osób. Czas naszego „kotła” dobiegał końca, a dozorujący nas ubowcy stracili początkowy zapal, tym można wytłumaczyć fakt, że kiedy zaniepokojeni moją przedłużającą się nieobecnością przyjaciele z „Hotelu PUR”, Hanka Narębska i Władek Wyszyński, przyszl na Kilińskiego, ubowcy ich wyprosil, wprost od drzwi.

Po prawie tygodniu „kocioł” rozwiązano [...].

Maria Czaplińska-Knabe

PO ARESZTOWANIU RUTY²⁹¹

Piątego kwietnia 1946 r., kiedy mój synek Tadzio miał zaledwie kilka dni, zjawił się wieczorem Marian Kamiński, kolega Jurka Grabowskiego (z organizacji), znany mi jeszcze z Waławowa. Marian kilkakrotnie po wojnie był u nas w domu, ale tym razem przyszedł w specjalnej misji. Powiedział Matce, że Ruta jest arestowana, i nalegał bardzo, żeby Matka zaraz poszła na ulicę Kilińskiego, gdzie mieszkała Ruta, Jadwinia Trepka, Kazik. Mama ubrała się i wyszła. Zobaczyłam ją znowu po upływie kilku tygodni.

Rankiem następnego dnia – drzwi były otwarte, bo przed chwilą wyszedł Bolek po węgiel – wtargnęli do mego pokoju, tego inaczej nie można nazwać, dwaj mężczyźni: kołnierze podniesione, płaszcze skórzane, naciśnięte na czoła kapelusze – nie było wątpliwości, kim są. Spytali o Bolka, gdzie jest. Powiedziałam z bijącym sercem, że wyszedł do pracy. Zawiadomić go, żeby nie wracał? Jak? Jak? Co ja mogę zrobić? Słyszę kroki Bolka na schodach, otwiera drzwi... O Boże! Dorskakują do niego! Ręce w tył. Potem krótkie: „ubierać się!”. Bolek wkłada palto, czapkę, teczka leży na krześle, patrzy na mnie... Wyprowadzają go. A mnie się przypomina Waławów...18 marca²⁹².

Skąd się tyłu ich wzięło? Dwóch wyprowadziło, a jest ich teraz pełno. Wyskakuję z łóżka, rzucam się do okna... Jakies wspomnienie, już raz tak było, w Janowicach 8 września. Wyprowadzili go Niemcy, a ja w ciąży, z łóżka do okna, odepchnięta brutalnie... Teraz też widzę, jak go prowadzą trawnikiem koło katedry... też brutalnie od okna odepchnięta... zobaczyłam

²⁹¹ Maria Czaplińska-Knabe, *Arestowanie Ruty*, „Więź” 1993, nr 7.

²⁹² 18 III 1942 r. w zbiorowej egzekucji stracono męża Bogny – Jerzego Grabowskiego, Wojciecha Czaplińskiego – brata Ruty i jego kolegę Janka Gaudin.

jeszcze, że wypychają go do samochodu, taki czarny, stał od strony katedry na Piotrkowskiej.

Teraz w domu zaczyna się cyrk. Rewizja, wywalają wszystko z szaf i szuflad. Krysia płacze, Małgosia staje przed biblioteką i krzyczy: „Nie rusiaj! To Tatusia!”. Zawsze miała cywilną odwagę. Odsuwają ją, a ona swoje „nie rusiaj, nie rusiaj!”. Rewizja skończona. Bałagan nie z tej ziemi. Jeszcze tylko szufladka w nocnej szafce i radosne „Jest! Jest! – Co to? – Adresy! Adresy! Cała lista!”. Wtedy zrobiło mi się wesoło, bo na kartce były adresy położnych (na wypadek, gdyby zamówiona nie mogła przyjść) i lekarzy dziecięcych. I niech się cieszą! Niech sprawdzają!

Ale rzeczywistość jest straszna, Bolka nie ma. Czy wróci? Kiedy? Troje małych dzieci, ja jeszcze słaba. Mamy dwa pokoje, bez kuchni, bez łazienki (domek przeznaczony do rozbiórki), „wygody” i woda na podwórku. Mam pomoc domową, Marysię, dobra, wesoła dziewczyna. Biorą ją na spytki: „Kto tu przychodził? Czy ktoś tu mieszkał?”. „A był taki jeden, ale się wyprowadził, bo pluskwy go gryzły, tam spał na dole w pokoju Starszej Pani” – to Tadzio Zawadziński. Miał już jakieś ostrzeżenie, powiedział Marysi o pluskwach, zabrał swoje rzeczy i wyniósł się. Mnie się o nic nie pytają. Z trudem zbieram myśli. Ubeki roztarasowują się na dobre. Mój pokój zostawiają w spokoju, ale w drugim zabierają się do jedzenia. Ciemno tam od dymu. Trzymam dziewczynki przy sobie. Wiem, że teraz będzie kocioł. Jak długo? Jak wytrzymam obecność ich w dzień i w nocy – już się umawiają z Marysią na spanie – tylu wrednych mężczyzn? I tę całą atmosferę? Czekają teraz, kto przyjdzie. Ja też nie wiem, kto wpadnie, kto jest na wolności, na kogo polują? Nie wiem nic. Jest straszno.

Dzwonek do drzwi. Napięcie (domek był w podwórku, od ulicy zamykana brama, a schody na nasze piętro od zewnątrz). Któryś z nich schodzi do bramy. Słyszę kroki na schodach. Ach, to pani Helena, położna. Zorientowana błyskawicznie, zamyka drzwi do pokoju – „Proszę tu nie wchodzić, będę zajęta przy chorej i dziecku” – oznajmia. „Pani Marysiu – mówi do mnie – niech pani nie wstaje, powiem, że się stan pani pogorszył, będą mieli więcej względów, będę przychodziła codziennie i przekazywała wiadomości. Proszę pomyśleć, co i komu mam powiedzieć”.

Mój maleńki Tadzio. Takie dobre dziecko. Nie płacze, choć karmię go byle jak. Na noc kazałam Marysi przynieść siennik i spać przy mnie. Oni tam w drugim pokoju drzemali. Pewno wymieniali się co jakiś czas. Ale

zachowywali się dość cicho, do mnie nie wchodzili, książki do biblioteki powkładali, tak jak im przykazała pani Helena.

A więc przeszła noc pełna goryczy i niepokoju. Co dalej? Jak żyć? Słyszałam, jak mówili między sobą o kotle na Kilińskiego. Więc co z Mamą, Rutą, Jadwinia, Kazikiem? Nagle przypominałam sobie o liście od Bogny. Przysłała mi przez „okazję” bańkę śmietany – wiedziała, jak bardzo lubię śmietanę – i list. Zapamiętałam dwa zdania: „zawiadam Tadzia Z., albo Tadzia Ł. i Leszka R.” i „ja będę w Łodzi 17 IV”. Ten list leżał przy moim łóżku. Mama zabrała go i schowała do torebki... Teraz jest w kotle... Czy ten list dostał się do ich rąk? A więc? Potem dowiedziałam się, że ten list wyciągnęli Mamie z torebki, ale nie miało to już znaczenia, bo i Leszek R., i Tadzio Ł. byli już aresztowani. Tadzio Z. został aresztowany kilka dni później, zdaje mi się, że w Warszawie, w jakimś kotle u dentystki.

Rano, po przeplakanej nocy, obudził mnie Bolek. „Marychno, jestem...” Nie był sam, był przy nim jakiś elegancki oficer. Powiedział, że nazywa się Kruk, jest kapitanem, że odwozi mi męża, za co mam podziękować Bogu i dzieciom, bo jak się ma trójkę małych dzieci, uczy się i pracuje, to nie ma się czasu na głupstwa, dlatego mąż pani wrócił, a od nas tak łatwo się nie wraca – dodał.

Naiwna uwierzyłam mu. Dziś myślę, że Bolek był wypuszczony na wabia, bo przez jakiś długi czas wiedzieliśmy, że ktoś za nami chodzi, że obserwowane jest nasze mieszkanie, nawet przy fatalnej pogodzie ktoś chodził tam i z powrotem po naszej małej uliczce. Ale ten kociół to była prawdziwa udreka. Następnego dnia przyszedł goniec z Filmu Polskiego i został. Potem kolega Bolka, Janusz Kruczek, potem siostra Zygmunta Rychtera, potem ciotka Tadzia Z. Robiło się ciasno. Wszyscy siedzieli: nie wiem, jak spali, co jedli. Ja leżałam. Przychodziła pani Helena i to był kontakt ze światem. Po zakupy wychodziła Marysia w asyście ubowców. Rewelacyjna była ciotka Tadzia. Wpadła do mnie do pokoju z okrzykiem: „Jak się pani czuje? Jak dawno pani nie widziałam!” (nie znałam jej w ogóle), zaczęła mnie ścisnąć i całować, a wsuwając mi pod poduszkę jakiś zwitek papierów, szepnęła: „Jestem ciotką Tadzia Zawadzińskiego, co z nim?” Nie wiedziałam. Nie wiem, co się potem z tymi papierami stało. Może Bolek je komuś oddał? A może wychodząc zabrała je ta pani? Po tego gońca z Filmu przyszedł szef Bolka, pan porucznik Bartczak w mundurze (była to czółowka Filmu jeszcze zmilitaryzowana, chociaż pracowali już i cywile) z kolegą. Kolega został pod bramą, Bartczak wszedł i wpadł. Mundur mu

nie pomógł, siedział w kotle, wypuścili go dopiero po interwencji dyrektora Forda (w randze pułkownika), którego zawiadomił, co się dzieje, ten kolega, który został pod bramą.

Przychodzili różni ludzie. Jednych zatrzymywali, inni siedzieli. Pod koniec kotła przeżyliśmy sensację. 17 kwietnia, a więc w dniu, w którym miała przyjechać do Łodzi zapowiedziana w liście „B”. Ostre pogotowie, brama obstawiona, pełno ubeków z bronią, napięcie. Nagle dzwonek do bramy. Alarm. Otwierają bramę, wchodzi... ciotka Bolka, Jadwiga Ekerkunst w towarzystwie Kazika Klimaszewskiego, kuzyna Bolka, jedyne go komunisty w rodzinie. Słyszę przez otwarte okno (już chodziłam, jak długo można leżeć?), jak Kazik się tłumaczy, że zna Moczara²⁹³...Ale to nic nie pomaga, z obstawą prowadzą go na górę. Okazało się, że „na mieście” rozeszła się wieść, że oboje jesteśmy aresztowani, dzieci są same i ciocia przyszła po Tadzia, a Kazio służyć ma jako ubezpieczenie. Ciocię puścili. Kazio posiedział parę dni. Bardzo był zdegustowany, bo przecież jego Hanka nie wie, co się z nim stało, a poza tym to już są święta Wielkiejnocy.

Rzeczywiście, to były już święta albo też tuż przed świętami, jak się wreszcie wynieśli. Pozostał po nich nie do opisanego smród. Nie mytych ciał, papierosów, konserw... Długi czas nie można było dowietrzyć mieszkania. (...) Kocioł się skończył, ale nie skończył się koszmar. Po aresztowaniu kolegów Bolek nie mógł się pozbierać, odbiło się to na jego studiach i magisterium zrobił dopiero po roku. Bo przecież godzić pracę, naukę, dzieci w tych warunkach, jakie mieliśmy na „Skorupki trzy” – brak wygód, noszenie i wynoszenie wody, węgla, brak pieniędzy (póki nie miał ukończonych studiów, zarabiał bardzo mało), brak ciepłej odzieży (została w Warszawie), zimno w zimie, brak spokojnego kąta, śmierć matki Bolka, choroby dzieci, niepewność jutra (Bolek kilka razy był zatrzymywany przez UB na 48 godzin i nigdy nie było wiadomo, jak się to skończy) – było trudno i ciężko.

Rutę zobaczyłam w jesieni na „wyroku”, a rozmawiałam z nią dopiero po dziesięciu latach; po jej powrocie.

²⁹³ Mieczysław Moczar (1913–1986) działacz komunist., generał. Przed 1939 r. w KPP, w czasie wojny dowódca GL i AL. W latach 1942–1948 w PPR, następnie w PZPR. Od 1968 r. do 1971 r. sekr. KC PZPR, w latach 1970–1971 i 1980–1981 czł. Biura Polit. KC. Od 1945 r. do 1948 r. szef WUBP w Łodzi, w latach 1964–1968 min. spraw wew., 1969–1976 czł. Rady Państwa, 1971–1983 prezes NIK-u. Od 1957 r. do 1980 r. poseł na sejm.

Ukrywającej się Bogny nie widziałam też kilka lat. Mama wyjechała do Mrzezina, do dzieci Bogny, kontakt miałam tylko z Kazikiem.

Bogna Czaplińska-Grabowska

UDAŁO MI SIĘ UCIEC...

Zaliczka z cukrowni, sąsiedzi, niespodziewani „goście”.

Pamiętny dzień 8 kwietnia 1946 r. zaczął się pogodnie. Po „obrządkach” w moim 30-hektarowym gospodarstwie w Mrzezynie, pojechałam z dziećmi do Pucka. Kupiliśmy owies do siewu i w dobrych humorach wróciliśmy do domu. Znowu trochę krzątania w gospodarstwie. Potem przyszli do mnie sąsiedzi – Kaszubi, zainteresowani zawartą przeze mnie umową z Cukrownią Pruszcza na uprawę buraków cukrowych. Chyba nie tyle interesowała ich uprawa buraków co zaliczka, którą dostałam z cukrowni. A ta zaliczka to było 25 kg cukru, które przywiozłam z Pruszcza pociągami i od stacji w Mrzezynie przydygowałam w worku na plecach. (Miał człowiek wtedy tę krzepę...)

Zacząłam sąsiadom tłumaczyć, jak się zawiera umowę. Powiedziałam, że Cukrownia Pruszcza daje też zaliczkowo nasiona i nawozy. Miałam też zamiar – ja, wychowana na nadwiślańskich burakach cukrowych, dostarczanych do Cukrowni Opole Lubelskie – powiedzieć coś jeszcze o uprawie, nawożeniu i przerywkach, ale coś mi przeszkodziło. Wysłałam na podwórze, a sąsiadom powiedziałam, że jeszcze do nich wrócę. Wtedy właśnie podszedł do mnie jakiś młody człowiek i powiedział, że go do mnie skierowała moja siostra...

Tu potrzebna jest dygresja. Z siostrą moją Rutą Czaplińską, szefem łączności NZW (Narodowe Zjednoczenie Wojskowe) w czasie jednego z częstych moich pobytów Łodzi rozmawialiśmy o tym, że wielu młodych ludzi nie ma możliwości wyjścia z konspiracji, czy po prostu „z lasu”, bo trudno jest im wypełnić lukę w życiorysie przy staraniach o pracę, o przyjęcie do szkoły czy na studia. Ponieważ w samym Mrzezynie i w całym powiecie wejherowskim poniemieckie gospodarstwa przydzielone repatriantom i przesiedleńcom prowadzone były na ogół przez kobiety (których mężowie w czasie zawieruchy wojennej zaginęli, pozostali na Zachodzie lub byli zesłani do łagrów na Wschód) – istniało tu wielkie zapotrzebowanie na męską siłę roboczą. Zaproponowałam więc Rucie, żeby przysłała któregoś z tych młodych ludzi do mnie do Mrzezina, a ja postaram się go umieścić w którymś

z pobliskich gospodarstw. Gdy młody człowiek przepracuje jakiś czas na wsi, będzie mógł już lukę w swoim życiorysie wypełnić.

Tak więc potraktowałam tego młodego człowieka, który powiedział, że przysłała go do mnie siostra. Ponieważ jednak w moim domu trwało nadal zebranie sąsiadów – Kaszubów, a także musiałam się zająć dziećmi (Wituś miał niewiele ponad pięć lat, Joasia cztery lata), a w międzyczasie zadać siano krowom, koniom, owcom – powiedziałam, żeby przyszedł później, jak się ściemni, żeby można było spokojnie porozmawiać. Ku mojemu zdziwieniu ów młody człowiek wrócił bardzo szybko i to w dodatku z kolegą. Trochę mi się to nie spodobało, ale jeszcze bez podejrzeń wprowadziłam ich do pokoju za kuchnią i kazałam poczekać, aż będę miała czas na rozmowę.

Ta sytuacja się przeciągała: Kaszubi nie zbierali się do wyjścia, ciągle mnie o coś podpytując. Ja zajęłam się kolacją dla dzieci, krztałam się po podwórzu, zamierzałam doić krowy. Wtedy właśnie przyszło jeszcze dwóch młodych mężczyzn – jak powiedzieli – także od mojej siostry... Odprowadziłam ich do pokoju, gdzie było tamtych dwóch, ale mój niepokój zaczął narastać...

W moim domu były cztery pokoje przedzielone sienią. Z sieni na lewo była kuchnia, a za nią pokój, gdzie umieściłam tych czterech. W pokoju na prawo od sieni siedzieli Kaszubi, a w następnym dzieci jadły kolację. W pewnym momencie jeden z tych czterech przeszedł przez kuchnię (gdzie palił się ogień), przez sień i pokój, gdzie byli sąsiedzi, do pokoju gdzie byłam z dziećmi i poprosił mnie o zapalki... Nakrzyczałam wtedy na niego, powiedziałam, że ogień jest pod kuchnią, i kazałam wracać do tamtych.

JESZCZE PIĄTY...

To niekonspiracyjne zachowanie spotęgowało oczywiście mój niepokój. Czułam, że dzieje się coś złego. Parę minut po tym incydencie pożegnała się ze mną i wyszła z domu kobieta, która przez kilka godzin przebieierała w piwnicy kartofle do sadzenia. Po chwili jednak wróciła, mówiąc, że przed domem czeka na mnie jakiś pan. Pomyślałam przerażona: jeszcze jeden... To już piąty... Boże! Co się dzisiaj dzieje? Wyszłam z sieni jak chmura gradowa i powiedziałam: „Czego pan chce ode mnie?”.

„Siostra pani jest aresztowana, a cała rodzina siedzi w „kotle” w Łodzi” – powiedział.

„A u mnie w domu jest obecnie czterech ubowców” – odpowiedziałam, bo w tym momencie wszystko dla mnie stało się już jasne.

Było ciemno. Wyszliśmy. Przeszliśmy przez podwórze. Dalsza rozmowa odbyła się za budynkiem obory. Ubowcy albo nie zauważyli, albo myśleli, że poszłam doić krowy, bo tak powiedziałam przedtem tym dwóm pierwszym, że dopiero po doju z nimi porozmawiam.

Nie wiem, jak się nazywał mój wybawca, bo zgodnie ze zwyczajami konspiracyjnymi, nie chciałam wiedzieć. W myślach nazwałam go sobie „Józef”. Otóż „Józefa” przysłał do mnie (po aresztowaniu Ruty) Tadzio Zawadziński, przyjaciel i kolega mojego, męża i mojego brata z Gimnazjum Księży Marianów na Bielanych, pseudo „Wojciech”. Tadzio polecił „Józefowi”, aby dotarł jak najszybciej do Mrzezina i przywiózł mnie z dziećmi do Łodzi. Wskutek mylnej informacji kolejowej „Józef” dotarł do mnie nie wczesnym popołudniem, jak zamierzał, ale już wieczorem. Gdyby przyjechał wcześniej, na pewno zetknąłby się na podwórzu z rzekomymi wysłańcami „od siostry”. Teraz cała czwórka ubowców siedziała w pokoju za kuchnią i czekała, aż podoję krowy...

Jakie wyjście z sytuacji? Co robić?

„Muszę wrócić do dzieci. Przecież nie zostawię ich samych z ubowcami. Wprawdzie jest teraz z nimi moja kuzynka, ale bardzo niezaradna, więc nie jest to żadna opieka” – powiedziałam.

„I tak pani nie zostanie z dziećmi. Dwa domy dalej stoi auto wojskowe z rejestracją warszawską. W środku jest dwóch żołnierzy, ubowcy zawiozą panią do Warszawy na śledztwo. Jest wielka wpadka, cała grupa jest aresztowana. Ja po prostu pani nie puszczę” – stwierdził „Józef”.

Do Redy, do Gdańska i na „punkty”.

Trzeba było uciekać. Spieszyć się, póki jeszcze nie zaczną mnie szukać. Uciekać, póki myślą, że jeszcze doję krowy...

To był kwiecień, ale pogoda była jesienna. Było już całkiem ciemno. Mżył deszcz, wiał wiatr. Ruszyliśmy w kierunku stacji kolejowej Reda, oddalonej o dwanaście kilometrów. Oczywiście nie szliśmy drogą przez wieś. Szliśmy za domostwami przez pola i chaszcze. Było mi zimno, trzęsły mną dreszcze, w krzakach podarłam sobie pończochy. Zdecydowałam się wstąpić do zaprzyjaźnionej repatriantki, pani Strenkowskiej, mieszkającej w drugim końcu wsi. Z duszą na ramieniu weszłam na podwórze. Zapukałam do drzwi. Rozmowa była krótka. Pani Strenkowska wszystko zrozumiała. Dała mi jakąś ciepłą kurtkę, chustkę do nosa i 3 tysiące złotych. Prosiłam ją o opiekę nad

dziećmi i powiedziałam, że właśnie dostałam pożyczkę na zagospodarowanie. Pieniądze położyłam na szafie w pokoju, gdzie są łóżeczka dziecinnie.

Poszliśmy dalej w kierunku Redy. Chodziło o przeczekanie do rana pod dachem. Doszliśmy do stacji już w nocy. Znając rozkład pociągów zaraznowałam spóźnienie na pociąg idący nie do Gdańska, a w kierunku Helu – dla zmylenia ewentualnego „pościgu”. Koszmarne było to czekanie na stacji. Ciągła obawa, że oni wpadną. Ale padał deszcz i trudno było pozostać na dworze.

Z dalszych rozmów dowiedziałam się, że gdy „Józef” idąc do mnie minął auto wojskowe i zobaczył, że wszystkie okna w moim domu są oświetlone, nie miał wątpliwości, że ubowcy są wewnątrz. Wtedy zapytał wychodzącą z mojego podwórza kobietę – co tam się dzieje u pani Grabowskiej? Wyjaśniła, że w jednym pokoju są sąsiedzi, a w drugim jacyś goście. Powiedział do niej, że nie podobają mu się ci goście, i poprosił ją o wywołanie mnie tak, żeby ci „goście” tego nie zauważyli. – Myślę, że nie każdy zaryzykowałby tak, jak „Józef”... Wczesnym rankiem pojechaliśmy autobusem do Gdyni. Bałam się jechać pociągiem, bo Kaszubki wożące mleko do Trójmiasta mogły mnie rozpoznać. W Gdyni powstał problem: jako łączniczka NZW między Łodzią a Wybrzeżem („Semper Fidelis – Victoria”) dostarczałam materiały wręczane mi przez Tadzia Łabędzkiego, moją siostrę i Leszka Roszkowskiego do trzech punktów w Trójmieście. Powinnam tych ludzi uprzedzić, bo ubecja może mieć na nich „namiary”. Ale może być i tak, że u tych ludzi ubecy już byli. Wtedy ja wpadnę w ich ręce... Moje wewnętrzne zmagania były ciężkie. „Józef” nie chciał mi nic doradzać. W końcu postanowiłam. Idę! Bo jak ich nie uprzedzę, i tych ludzi aresztują to do końca życia tego sobie nie daruję. Mnie – dzięki „Józefowi” – udało się uciec. Gdy ich uprzedzę – może i im się uda.

Poszliśmy. „Józef” czekał na ulicy, a ja z duszą na ramieniu odwiedziłam „punkty”. „Lusia” (Gdynia, Wzgórze Nowotki) dziękowała mi. Kapitan z Gdańska i jego rodzina byli bardzo zaniepokojeni (on miał chyba uciekać statkiem pod węglem). Trzeci punkt był we Wrzeszczu w jakimś sklepie, może muzycznym. Nie pamiętam żadnych danych personalnych tego młodego człowieka, któremu materiały dostarczałam. Jego też uprzedziłam.

Po obejściu „punktów” wstąpiłam do szkoły pielęgniarek, gdzie uczyła się córka pani Strenkowskiej (chyba na imię miała Irena). Umówiliśmy się, że od niej zawsze będę mogła dowiedzieć się, co się dzieje z moimi dziećmi, gdyż Irena była w stałym kontakcie ze swoją matką.

ŁÓDŹ

Pojechaliśmy do Łodzi, gdzie miałam spotkać się z Tadeuszem Zawadzim i narodzić się, co robić dalej. Wsiadłam przed Łodzią, chyba w Zgierz, ponieważ na dużych stacjach milicja często legitymowała pasażerów, a ja nie miałam przecież żadnych dokumentów (wtedy obowiązywały jeszcze niemieckie kenkarty). Tramwajem dojechałam do centrum Łodzi. Z „Józefem” umówiliśmy się tak, że następnego dnia o godzinie siedemnastej spotkamy się na ul. Kilińskiego przy znanym nam oboju przystanku. Był już wieczór. Irena dała mi adres swojej koleżanki mieszkającej w Łodzi, sądząc, że będę mogła u niej przenocować. Było to dla mnie bardzo ważne, gdyż cała moja łódzka rodzina siedziała w „kotle”, ja byłam poszukiwana i nigdzie w kręgu znajomych nie mogłam się pokazać. Ta koleżanka okazała się być „zuchem” z drużyny zuchowej, którą prowadziłam w czasach szkolnych w Piotrkowie. Przenocowała mnie, ale bez entuzjazmu i znając moją sytuację nie zapraszała mnie na następną noc. Po prostu się bała, nie chciała narażać rodziny. Było to zrozumiałe.

USPOKOIŁA MNIE... ŚCIERKA DO KURZU

Następnego dnia miałam czas do godziny siedemnastej. Niepokoiłam się bardzo o moją siostrę Marysię, która dwa tygodnie temu urodziła synka. Czy zabrali jej męża Bolka? Czy jest u niej „kociół”? Czy nie natrafili na jakiś ślad Tadeusza Zawadzkiego, który do niedawna mieszkał u Bolków? Krążyłam w okolicy ich domu pełna niepokoju. Musiałam jednak to zrobić ostrożnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Domek Bolków „na Skorupkach” usytuowany był blisko katedry, co bardzo ułatwiało obserwacje, gdyż wśród wchodzących i wychodzących z kościoła byłam mniej widoczna. W pewnym momencie zobaczyłam, że w pokoju Marysi ktoś otwiera lufcik, i jakaś ręka starannie wytrzepuje ścierkę od kurzu... Niesłuchanie mnie to uspokoiło, bo pomyślałam sobie: skoro tam się sprząta i wyciera kurze, to widocznie nie jest tak źle. Może Bolka nie zabrali. Na pewno jednak ktoś jest z Marysią, bo gdyby była sama z dwoma małymi córeczkami i dwutygodniowym niemowlakiem, to nie miałyby czasu, siły i humoru do ścierań kurzu.

DO WIDZENIA „WANDECZKO”

Uspokojona trochę o Marysię pomyślałam o tym, żeby pójść do Zosi Małnicz. Wprawdzie to nasza kuzynka, ale ubecja nie musi o tym wiedzieć.

Jest znaną aktorką, gra obecnie główną rolę w *Elektrze*, ma wiele wielbicieli i wielbicieli – kontakt z nią nie musi zwrócić uwagi. Poszłam więc do Zosi. Otworzyła mi przerażona. W jej mieszkaniu byli jacyś ludzie. Zabrała mnie do jakiegoś kąta na uboczu i zaczęła prędko informować: właśnie wyszła z „kotła” w mieszkaniu Ruty. Wypuszczono ją wyjątkowo na interwencję dyrektora teatru, ze względu na jej główną rolę w *Elektrze*. Podpisała zobowiązanie, że z nikim z naszej rodziny kontaktować się nie będzie... A tu niespodziewanie przychodzę ja, poszukiwana przez ubecję. Rozumie moją sytuację, ale niestety nic mi pomóc nie może. Prędko wychodzę z jej mieszkania. Jeszcze na schodach woła: „Do widzenia, do widzenia Wandeczko”, wymieniając dla zmylenia to nie moje imię.

PRZYSTANEK TRAMWAJOWY

Zbliża się godzina siedemnasta. Idę na umówiony z „Józefem” przystanek przy ulicy Kilińskiego. Czekam. Mija godz. 17.15, w pół do szóstej, za kwadrans szósta... „Józefa” nie ma. Kolejne tramwaje przyjeżdżają, odjeżdżają. Wsiadają różni ludzie. „Józefa” nie ma. Mija godzina szósta. Już godzinę stoję na tym przystanku. Co robić? Nie mam gdzie mieszkać, nie mam żadnego dowodu osobistego (kenkarty), nie mam nic... Świat się kończy. Dzieci są w Mrzeżinie w rękach ubowców, nie wiem, co się z nimi dzieje. Moje rodzeństwo i Mama siedzą w „kotle”. Ruta jest aresztowana. Kontakt z Tadiem Zawadzińskim, który chcąc mnie ratować przysłał do mnie „Józefa”, mogłam mieć tylko przez „Józefa” właśnie. Czekam już ponad godzinę, chyba beznadziejnie. Odejść stąd? Ale dokąd? Właśnie donikąd. Ten przystanek tramwajowy to była jedyna szansa. Nie ma innej szansy spotkania z „Józefem”. Może stało się coś nieprzewidzianego i stąd to spóźnienie. Postanowiłam czekać. Mija godzina 18.30. Nie odchodzę. Czekam, Nadjeżdża jakiś kolejny tramwaj. Z tramwaju wysiada „Józef”... Tadzio jest aresztowany. „Józef” miał pojechać do Warszawy. Stąd to opóźnienie. Modlił się, żebym nie odeszła z przystanku.

NA CHOJNACH

Jedziemy tramwajem. Wsiadamy gdzieś na Chojnach. „Józef” prowadzi mnie do jakiegoś małego domku. To jest ich konspiracyjna melina. Mieszka tu miła starsza kobieta. Emerytka, chyba prądką. „Józef” oddaje mnie pod jej opiekę. Sam szybko odchodzi. Umawia się, że przyjdzie wkrótce i będzie mi „robił” kenkartę. „Babuszka” (tak ją sobie w myślach

nazywam) przygotowuje mi jedzenie i ściele łóżko. Zasypiam kamiennym snem.

Mija kilka monotonnych dni. Mieszkam u „Babuszki”. Nie wychodzę z domu, nie czytam gazet. Nic nie wiem, co się dzieje z moimi dziećmi, rodzeństwem, Mamą. „Józef” wpada od czasu do czasu. Kiedyś przychodzi i nieśmiało wręcza mi jakąś paczuszkę. Mówi: „To taka sportowa koszulka – trykotka, może się pani przyda”. To była jego delikatna troskliwość, wiedział przecież, że wyszłam z domu zupełnie bez rzeczy. Potem „Józef” przynosi wszystko, co jest potrzebne do sporządzenia dla mnie nowej kenkarty. Zaczyna ją robić. Wybieram imię – tak jak mnie nazwała Zosia Małynicz – Wanda. Nazwisko, żeby przypominało rodzinne Janowice – Jankowska. Imiona rodziców – żeby mi się nie myliło – wybieram według imion Mamy: Józefa, Monika. Więc ojciec – Józef, matka – Monika. Data urodzenia – taka jak data urodzenia mojego męża: 17 grudnia 1917 r. Miejsce urodzenia – Warszawa (tak jak miejsce urodzenia mojego synka). Wszystko to wbijam sobie w pamięć, recytuję głośno i w myślach. Tak, żeby w razie czego, obudzona w nocy z głębokiego snu, niczego nie pomylić. „Józef” na pustym formularzu kenkarty wszystko nanosi, przykleja fotografię, podrabia precyzyjnie niemiecką pieczętkę. Nie pamiętam, jak było z fotografią, musiałam widocznie wyjść gdzieś do miasta, żeby się sfotografować.

Kenkarta gotowa, mogę kursować po świecie. Chcę wyjechać, żeby dowiedzieć się coś o losach moich dzieci. Żegnaj się z „Babuszką”, dziękując jej za wszystko. Nie pamiętam jednak zupełnie, jak było z pożegnaniem z „Józefem”. Dziwne byłoby, gdybyśmy nie ustalili żadnego kontaktu na przyszłość. Ale nic z tego już nie pamiętam. A kontakt jakoś się urwał, był chyba trudny do utrzymania w czasie komuny. Wielokrotnie myślałam – już później, gdy byłam bezpieczna – jak podziękować „Józefowi” za wszystko, co dla mnie zrobił. Nie wiem, jak się naprawdę nazywał, gdzie mieszkał. Nie wiem, jak przeżył te trudne lata. Czy nie został aresztowany... A dług mojej wdzięczności jest ogromny...

NA WYBRZEŻE

Jadę z powrotem do Gdańska na niebezpieczne Wybrzeże. Mam kenkartę, kupuję bilet, czuję się już trochę „normalnie”. Jadę tam, bo jedynie od Ireny w szkole pielęgniarskiej mogę się dowiedzieć, co się dzieje z moimi dziećmi.

Po drodze wysiadam w Kaliszu. Wiem, że obecnie jest tam zaprzyjaźniona z nami siostra Stanisława z Radomia ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Jurek, mój mąż, bardzo siostrę Stanisławę cenił. Mówił, że „ma męski umysł i jest utalentowaną organizatorką”. Rzeczywiście siostra Stanisława niezwykle skutecznie organizowała pomoc dla ludzi osadzonych w czasie wojny w więzieniu radomskim. Myślę, że siostra Stanisława coś mi doradzi, pomoże.

Siostra wita mnie bardzo serdecznie. Modlimy się razem. Trochę się uspokajam. Długie chwile spędzam na leżaku w ogrodzie sióstr. Jest wiosenna pogoda. Wszystko zaczyna się zielenić. Siostra Stanisława była w Radomiu zastępczynią matki przełożonej. Praktycznie rządziła ona, bo matka przełożona była chora. Tutaj jest zwykłą siostrą, jak mi się wydaje, niedocenioną. Kierownictwo jest w innych rękach, może mniej otwartych na ludzkie potrzeby, niż to było w Radomiu. Siostra Stanisława jest bardzo przejęta moją sytuacją. Zastanawiamy się razem, co robić. Robimy wspólnie jakieś projekty. Może dzieci mogłyby tu pobyć jakiś czas. Ktoś musiałby je tu przywieźć. Ja mogłabym niepostrzeżenie dojechać. Potem trzeba by szukać jakiegoś gospodarstwa na wsi, w zupełnie innej okolicy. Wszystko to trochę nie-realne, bo najpierw trzeba przekonać kaliską matkę przełożoną, żeby się na przyjazd dzieci zgodziła... Namodlona i trochę przez siostrę Stanisławę uspokojona wstaję z leżaka, idę na stację, jadę dalej na Wybrzeże.

W Gdańsku-Wrzeszczu idę do szkoły pielęgniarek. Od Ireny dowiaduję się, że było tak: ubecy siedzieli u mnie w domu cały tydzień. Zaslonili okna kocami. Jeszcze wieczorem – tego dnia kiedy zniknęłam – pytali moich dzieci, gdzie jest mama i kiedy wróci. Wtedy Wituś powiedział: „Mamusia prędko wróci, bo wysła w samym zakieciku”. Ubowcy opuszczając mój dom zabrali bardzo cenną dla mnie pamiątkową teczkę skórzaną Jurka, gdzie były jego listy, różne fotografie i zapiski oraz krzyżyk – pamiątka chrztu Witusia, sygnet, złoty zegarek Jurka, medalionik, pierścionek z datą 1824 i inne pamiątki. Najbardziej cenne były dla mnie jednak listy i zapiski Jurka.

Dziećmi zajmowała się moja kuzynka Zula. Potem przyjechała z Łodzi moja Mama – widocznie jak „kocioł” się skończył. Dziś nie pamiętam, skąd Mama dowiedziała się, że ja uciekłam i że dzieci są same.

Mama kategorycznie zażądała od ubowców zwrotu zabranej z mojego domu teczek. Wiedziała, czym dla mnie są listy i notatki Jurka. Wprawdzie nie od razu, ale w końcu teczkę oddano. Brakowało w niej złotego krzyży-

ka chrzcielnego Witusia i sygnetu. Były jednak wszystkie listy i fotografie, a to było najważniejsze.

MALBORK – KRZYŻANÓW – STARE POLE

Umawiam się z Ireną na dalsze kontakty i jadę do Malborka. Tam mieszka mój daleki kuzyn Mietek Wagner, a gdzieś na Żuławach pracuje mój stryj Ludwik Czapliński. Myślę, że oni pomogą mi znaleźć jakąś pracę, mieszkanie. Malbork jest niedaleko Gdańska i Mrzezina, więc byłabym blisko dzieci.

Rodzina Mietka Wagnera pochodziła z naszych stron, z Przylęka, odległego od moich rodzinnych Janowic o kilkanaście kilometrów. Za mojej pamięci rodzina Rymarkiewiczów wyprowadziła się do miasta. Przylęk był rozparcelowany, a w resztówce mieszkał pan Wilford. Kiedyś przed wojną, na balu w Sycynie pojawiły się oba Miętusy – jak ich nazywano – to jest Mietek i Jurek Wagnerowie. My, to jest ja i moja siostra kuzynki – wtedy nastolatki – uważałyśmy ich za starszych, bo jeden miał 29 lat, a drugi był o rok młodszy. Jurek Wagner zginął, był na liście katyńskiej. Mietek – inżynier rolnik był szefem działu plantacji w Cukrowni Stare Pole.

ETAT „ZOOTECHNICZKI”

Mietek i Stryj Ludwik załatwili mi pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym (PNZ) w Krzyżanowie koło Starego Pola. Zostałam zatrudniona jako „zootechniczka”. Moim zadaniem był nadzór nad dużą oborą krów rasy holenderskiej. Głównie chodziło o kontrolę nad udojem i rozliczenie z mleka, bo dyrektor Zespołu Krzyżanów, podejrzewał obsługujące oborę niemieckie małżeństwo („szwajcarów”) o machlojki ze śmietaną. Wstawałam więc do doju o godzinie piątej, potem asystowałam przy doju o godzinie dwunastej i osiemnastej. Widocznie podejrzenia dyrektora były słuszne, bo „szwajcarzy” bardzo niechętnie patrzyli na to, jak wszystko mierzę i zapisuję: udój mleka, wydane pracownikom deputaty, mleko dla dyrekcji i stółki, mleko dla cieląt, odwirowaną śmietanę i chude mleko dla świń. Byli oni jednak świetnymi fachowcami: doskonale doili (oczywiście ręcznie, nie było jeszcze dojarek), krowy były czyste, dobrze utrzymane, ściółka obfita. Do krów odnosili się łagodnie. Każda krowa miała swoje imię, nie tylko na tabliczce – oni tych imion przy dojeniu używali. I – ciekawostka: cielęta przychodziły do pojenia parami, jak dzieci w przedszkolu i par tych nie wolno im było pomylić. Za pomyłkę cielaczek dostawał od „szwajcara” lekko po uszach. Musiał więc wycofać się i stanąć we właściwej parze.

REFERENDUM

Co jakiś czas dojeżdżałam do Gdańska, aby dowiedzieć się czegoś od Ireny. Zdarzało się jednak i tak, że gdy po przyjeździe do Gdańska zauważyłam na dworcu kolejowym milicjantów legitymujących przyjezdnych – wracałam na peron i jechałam z powrotem do Malborka. Mimo zrobionej prawidłowo kenkarty jako Wanda Jankowska, przeżywałam trudny do opamiętania lęk. Wydawało mi się, że na moim czole widać, że chodzę z fałszywym dowodem... Moja kenkarta nie budziła żadnych zastrzeżeń ani w biurze meldunkowym, ani przy formalnościach związanych z przyjęciem pracy. Ale przy referendum (dokąd nas poprowadzono zbiorowo) stała się nagle rzecz dziwna: zostałam jako Wanda Jankowska skreślona z listy uprawnionych do głosowania. Na moje zdziwione pytanie dlaczego, odpowiedziano mi, że „z paragrafu drugiego”. A w jakimś innym okienku wyjaśniono mi, że ten „paragraf drugi” eliminuje osoby za współpracę z bandami leśnymi i za współpracę z okupantem”. Roześmiałam się bardzo głośno przy tym okienku, mówiąc do towarzyszącego mi Mietka, że to jakieś śmieszne nieporozumienie – ale oczywiście ogarnął mnie strach. Przez następne dni czekałam – jako dalszych konsekwencji – aresztowania. Sądziłam, że widocznie coś wiedzą o mnie jako o Bognie Grabowskiej, albo też, że tu, lokalnie w Malborku, mają jakąś źle notowaną Wandę Jankowską. Nic jednak się nie stało. Ten dziwny epizod okazał się bez znaczenia.

TYMCZASEM W MRZEZINIE

Z relacji Ireny dowiedziałam się, że do Mrzezina przyjechała Mama Grabowska i zabrała dzieci, razem z Zulą do Radomia. Moja Mama została w Mrzezynie, chcąc to gospodarstwo, przeze mnie „zdobyte” dla mnie utrzymać. Formalnie sytuacja się zmieniła, ponieważ dyrektor PUR-u (pan Bartoszewski), bardzo dla mnie życzliwy, gdy dowiedział się, że „zniknęłam” (i pewno domyślał się dlaczego), przydzielił jako współnika do mojego gospodarstwa niejakiego pana Stankiewicza. W tym przydziale było zaznaczone, że połowa gospodarstwa wciąż należy nadal do mnie. Chodziło o to, żeby gospodarstwo funkcjonowało (zasiewy jare, chów zwierząt). Tego pana Stankiewicza poznałam kiedyś w Urzędzie Ziemskim w Wejherowie. Wyglądał jak uosobienie szlachetności i uczciwości. Okazało się jednak później, że pozory mylą. Uważał on, że wszystko należy do niego. Mamę moją gonił do ciężkiej pracy, skąpo wydzielając żywność. Toteż Mama po jakimś czasie wróciła do Łodzi.

W CUKROWNI STARE POLE

Jako „zootechniczka” pracowałam w Zespole PNZ Krzyżanów do jesieni 1946 r. Potem przeniosłam się do działu plantacji w Cukrowni. Do moich obowiązków należały rozliczenia z plantatorami buraka cukrowego. W czasie kampanii pełniłam funkcję pomocnika wagowego, a praktycznie byłam wagowym, bo wszelkie rozliczenia (waga brutto, netto, uzgodnienia co do procentu zanieczyszczeń, ewentualne wyniki z płuczki automatycznej) szły mi szybciej niż mojemu zwierzchnikowi. Zdarzyło się w tym czasie, że na wagę zajechał wóz z przyczepą z Waplewa. Powoziła sama dawna właścicielka majątku, starsza pani Sierakowska, rasowa dama. Rodziny Sierakowskich i Doniemirskich, bardzo zasłużone dla polskości na terenach tzw. Prus Wschodnich, były w związku z dekretem PKWN wysiedlone. Starsza pani Sierakowska, przywiązana do tych stron, borykała się razem z którymś z wnuków na jakiejś resztówce.

Całą zimę pracowałam w Cukrowni Stare Pole. Dojeżdżałam codziennie z Malborka (był autokar dowożący pracowników). Pamiętam samotne i smutne święta Bożego Narodzenia 1946 r. Mietek i stryj Ludwik wyjechali. Mietek pojechał zresztą do przyjaciół we Wrocławiu i zawiózł paczkę świąteczną ode mnie dla dzieci, które wtedy z babcią Grabowską przebywały we Wrocławiu. Paczka miała być od świętego Mikołaja (nie ode mnie), ale Joasia coś zaczęła się domyślać, „bo takie ciasteczka to nasza mamusia dla nas robiła”. Ja byłam w Malborku sama jak palec. Ze względów konspiracyjnych nie chciałam wchodzić w żadne kontakty towarzyskie. Bałam się, żeby coś się nie wydało, żeby w rozmowach czegoś nieostrożnie nie powiedzieć. W czasie świąt w mieszkaniu zgasło światło. Zabrakło też koku. Było zimno i ciemno. Nikt do mnie nie pisał, korespondencja z rodziną dla ostrożności przechodziła przez dwa punkty i była bardzo utrudniona. Jedyną niespodzianką był kominiarz, który na Nowy Rok przyniósł mi życzenia od Cechu Kominiarzy...

UJAWNIENIE

Wiosną 1947 r. zapowiadano amnestię. Mama naradzała się z adwokatem Rettingerem (który podjął się obrony Ruty), czy mam skorzystać z tej amnestii. Ustalili wspólnie, że tak. Już przecież mija rok, jak dzieci są beze mnie. Jakoś Mama dała mi znać, mamy się spotkać w Brwinowie pod Warszawą u wujostwa Ancyporowiczów. Biorę urlop w cukrowni. Jadę do Brwinowa. W Warszawie rozmawiam jeszcze z mecenasem Rettingerem,

a także z „Marcysią”²⁹⁴ o tym „skorzystaniu z amnestii”, czyli ujawnieniu się w Urzędzie Bezpieczeństwa.

A tymczasem śledztwo w sprawie „Lechosław Roszkowski i inni”, w której oskarżona jest Ruta, trwa nadal. Mam się ujawnić, mam rozmawiać z ubowcami, a nie wiem, jaką linię obrony obrali oskarżeni. Moje zeznania mogą im zaszkodzić. Może wyjść jakaś sprzeczność. Ubowcy mogą uznać, że nie ujawniam się szczerze. Nie wiem, co oni o mnie wiedzą. Widocznie im na moich zeznaniach zależało, skoro zorganizowano prowokację i wysłano po mnie do Mrzezina sześciu chłopów (czterech ubowców i dwóch żołnierzy²⁹⁵). Żyję w ogromnym napięciu. Całe szczęście, że niewidziana przez tyle miesięcy Mama jest ciągle ze mną.

Któregoś dnia raniutko jadę do Częstochowy. W domu zostawiam Mamie kartkę. Na Jasnej Górze modlę się u Matki Boskiej. Proszę o pomoc i siłę. Następnego dnia jedziemy z Mamą do Warszawy. „Urząd” do ujawniania jest na Pradze. Dom jest oddalony od ulicy. Wchodzę przez furtkę w ogrodzeniu. Mama zostaje na ulicy. Mówi, że będzie na mnie czekała.

W chodzę do środka.

„– W jakiej sprawie?

– Ujawnienia.

– Okienko... (informator wymienia numer okienka)”.

Podchodzę do tego okienka.

„– Hm. Ujawnienie. Czego dotyczy?

– Nielegalnej organizacji.”

Znowu wskazano mi jakieś okienko (młodzi chłopcy „od broni” załadowani są obok).

„– Z jakiej organizacji?

– NZW.”

Mój rozmówca podnosi głos. Prawie krzyczy:

„– Nazwisko. Prawdziwe. Fałszywe. Pseudo...

– »Halszka«.

– Aaa... Wreszcie! (coraz głośniejsze), tak długo czekaliśmy! No! Halszka! Ta melina pod Łodzią...”

²⁹⁴ Emilia Marcelina Malessa.

²⁹⁵ Bogna Czaplińska-Grabowska dowiedziała się potem, że ekipa, która wróciła z Mrzezina, dostała reprimendę: „sześciu was było i jedna kobieta wam uciekła...”.

Szttywnieję. Serce mi bije. Oni wszystko wiedzą... Boże ratuj... Dopiero później uprzytomniłam sobie, że taką zagrywkę stosują pewnie do każdego, żeby go złamać.

Prowadzą mnie do jakiegoś pokoju. Są dwa stoły i dwóch przesłuchujących. Przy jednym przesłuchiwaani są „chłopcy od broni”. Przy drugim ja. Mój przesłuchiwaacz jest jakoś bardzo drobiazgowy. Męczy mnie życiorysem. Tymczasem przy tamtym stoliku akcja idzie wartko:

„– A ta broń czemu zardzewiała?

– A co, jakbym wyczyścił, to powiedzielibyście, że używałem...” Chłopak dostaje jakąś kartkę, zostawia broń i już go nie ma. Przychodzi drugi. Tu pytania na odwrót:

„– Aaa... Ten rewolwer chyba nie był zakopany w ziemi? Nie zardzewiała, czysty aż się świeci. Musiałeś go używać!

– A jakbym przyniósł zardzewiałą, to bym usłyszał, że żołnierz o broń nie dba. Wyczyściłem...”

Odchodzi. Wołają następnego. Cały kołowrót „chłopców od broni”.

A ja siedzę, z moim „rozmówcą”, który mnie wypytuje „de domo i de chałupo”. Mam poplątany życiorys prawdziwy i fałszywy. Uważam, żeby się nie pogubić. Uporaliśmy się z Łodzią. Kontakt z siostrą Rutą. To oczywiste. To już nic jej nie może zaszkodzić. Oni zresztą i tak o tym wiedzą.

Od Mamy – po rozmowach w Brwinowie – wiem, że tam w „kotle” znalazła się jakaś kartka ode mnie. Co robiłam? Mówię, że mieszkam na Wybrzeżu, a siostrę zaangażowaną mam w Łodzi. Dostarczałam jako łączniczka materiały do Lusi (wiem, że została aresztowana i już jest po sprawie i po wyroku na kilka lat, nic jej nie zaszkodzi). Wymieniłam też kapitana, wiedząc, że nie ma go już w kraju²⁹⁶. No, Wybrzeże mam załatwione. Mogę chyba odetchnąć. Ale nie. Mój „rozmówca” ciągle coś wierci. Do tej pory on pisał. Teraz chce, żebym ja coś pisała. Robi uwagi, że chyba nie ujawniam się szczerze, że moje sympatie są po tamtej stronie. Wreszcie daje mi do zrozumienia, że przecież nie wszystko powiedziałam... Mój Boże – Bydgoszcz! Postanowiłam przedtem, że nic nie powiem o Bydgoszczy. Nie mam tu żadnej nieszkodliwej wersji. Ale może oni wiedzą? Znowu słyszę, że nie ujawniam się szczerze. Może mogą mnie aresztować? Zamiast „skorzystać z amnestii” zostanę za kratą. Nie tylko nie wrócę do dzieci, ale nie znając linii obrony Ruty i chłopców mogę im w trakcie śledztwa zaszkodzić. Ale

²⁹⁶ Bogna Czaplińska-Grabowska nie pamięta już dziś, czy rzeczywiście wymieniła kapitana.

jeżeli przyznam się do Bydgoszczy, co stanie się z Baranowskim, któremu dostarczałam materiały?

Nic nie wiem, co się z nim dzieje, i nie mam tu żadnego innego wybiegu. Mój rozmówca wychodzi. Zostaję sama. Przy drugim stole kolejka „chłopców od broni” posuwa się; sprawnie. Ubowiec wraca. Znowu świdruje mnie pytaniami. Wydaje mi się, że nie ma wyjścia – no bo jeśli oni wiedzą... Powiedziałam wreszcie o Bydgoszczy. Nie chciałam powiedzieć nazwiska. Nalegał. Męczył. Powiedział, że pójdzie do „szefa”. Zrobiłam mu mały wykład: dziś ósmy kwietnia. Amnestia trwa do dwudziestego kwietnia. Jeśli ja wam powiem dziś nazwisko – jutro wy go aresztujecie. A on pewnie chce skorzystać z amnestii i ma na to jeszcze 12 dni.

Znowu usłyszałam, że moje sympatie są po tamtej stronie... Wreszcie z ciężkim sercem wymieniał Baranowskiego. Zaraz też w myślach zaczęłam układać plan, jak go o tym uprzedzić.

Rozmowa była skończona. Dostałam odpowiedni papier. Z głębokim urazem w sercu z racji Baranowskiego wyszłam wreszcie z „urzędu” od amnestii. Biedna Mama ciągle czekała zaniepokojona na ulicy. Trwało to kilka godzin.

Z Brwinowa chciałam jechać zaraz do Bydgoszczy, uprzedzić Baranowskiego. Potem jechać do dzieci. Wujostwo i Mama wyperswadowali mi Bydgoszcz: „przecież mogą Cię obserwować”. Wobec tego nadałam całą informację do Baranowskiego przez kuzynkę, która mieszka pod Bydgoszczą. Niestety kuzynka tę karteczkę z informacją zgubiła... Baranowski nie został uprzedzony, a ja na długie lata zostałam z ciężką zadrą wyrzutów sumienia. Dopiero w 1999 r., z książki Bogdana Chrzanowskiego „Z” – „*Związek Jaszczurczy i Narodowe Siły Zbrojne na Pomorzu 1939–1947*”, dowiedziałam się, że Edmund Baranowski został aresztowany w lecie 1946, czyli prawie rok wcześniej, niż miało miejsce moje trudne ujawnienie, w trakcie którego, po długich wahaniach, wymieniał jego nazwisko. Nie ja więc przyczyniłam się do jego aresztowania. Po tylu latach wielki ciężar spadł mi z serca, jakkolwiek los Edmunda Baranowskiego mnie przygnębił, bo we wrześniu 1946 został skazany na dziesięć lat.

RADOM – MALBORK – WROCŁAW

Pojechałam do dzieci do Radomia. Były tam pod opieką mamy Grabowskiej. Potem z Mamą i dziećmi pojechałam do Wrocławia, gdzie Mama

robiła starania o przydział domu z ogródkiem. Dzieci mnie pytały: „Mamusi, gdzie byłaś, jak ciebie nie było?” Powiedziałam, że im wytłumaczę jak będą starsi. Rodzina Jurka chciała, żebym przeniosła się do Wrocławia i tu znalazła pracę. Ja chciałam zabrać dzieci do Malborka. Na razie jednak musiałam wracać, bo urlop w cukrowni mi się kończył.

Po powrocie do Malborka, myśląc już o sprowadzeniu tutaj dzieci, postarałam się o służbowe przeniesienie z Cukrowni Stare Pole do Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego w Malborku. Przyjmując mnie do nowej pracy dyrektor Malewicz oprowadził mnie po wszystkich działach Zjednoczenia, przedstawiając krótko moją sytuację, że ukrywając się musiałam zmienić nazwisko, a teraz, po amnestii wróciłam do nazwiska prawdziwego. Byłam tym zaskoczona, ale z miłym zdziwieniem stwierdziłam, że spowodowało to wśród nowych koleżanek i kolegów bardzo przyjazną dla mnie atmosferę.

Dzieci przywiozłam do Malborka wczesną jesienią 1947 r. Wituś zaczął chodzić do szkoły, Joasia do przedszkola. Byłam szczęśliwa i dzieci były szczęśliwe, że jesteśmy razem, jakkolwiek u Babci we Wrocławiu było im bardzo dobrze. Ten okres malborski wspominam sobie szczególnie miło. Panowała tam wtedy wśród ludzi jakaś atmosfera ogólnej, wzajemnej życzliwości. Wszyscy sobie wzajemnie chętnie pomagali. Większość ludzi zaczęła tu życie na nowo – wysiedleni ze wschodu, Warszawy, ziemianie wysiedleni z majątków. Ja doznałam bardzo dużo życzliwości i w pracy, i wśród współmieszkańców domu przy ul. Rejtana 26, w szkole i przedszkolu, gdzie uczęszczały moje dzieci na targu, gdzie pani odkładała dla dzieci „dobre maselko”, i w księgarni, gdzie pan wiedział, jakich książek poszukuję. Gdy dzieci chorowały (a nie wprowadzono jeszcze zwolnień na opiekę), matki moich koleżanek ze Zjednoczenia przychodziły do moich dzieci na dyżury.

„ŚWIADECTWO MORALNOŚCI”

Pewno dłużej mieszkalibyśmy w Malborku – w małym mieście, gdzie prawie wszyscy się znali. Chciałam jednak kontynuować rozpoczęte przed wojną studia rolnicze, dlatego postanowiłam zapisać się na Wydział Rolniczy Uniwersytetu Wrocławskiego. Wymagało to dołączenia do podania wielu dokumentów. Między innymi należało przedłożyć tak zwane „świadectwo moralności”. Wydawał je w Urzędzie Powiatowym wydział spraw wewnętrznych.

Nota biograficzna

Ruta Czaplińska, ur. 10 września 1918 r. w Janowicach, k. Kazimierza Dolnego, w rodzinie ziemiańskiej. Córka Tadeusza i Józefy Czaplińskich. W 1937 r. zdała maturę w Toruniu i podjęła studia na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. Jednocześnie ze studiami ukończyła kurs radiotechniki i radiotelegrafii oraz (już w okresie okupacji) kurs hodowli drobiu. Od stycznia 1942 r. żołnierz AK. W latach 1944–1945 prowadziła także majątek rodzinny, który utraciła w wyniku reformy rolnej. W marcu 1945 r., zamieszkała w Łodzi, gdzie rozpoczęła studia w tamtejszym oddziale Szkoły Głównej Handlowej. Jednocześnie włączyła się w nurt działalności niepodległościowej. Członek Komendy Głównej Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, w której pod pseudonimem „Ewa” pełniła funkcję szefa łączności tej organizacji. W 1945 r. otrzymała stopień podporucznika czasów wojny. Aresztowana 5 kwietnia 1946 r. w Łodzi. Po 19-miesięcznym śledztwie 3 listopada 1947 r. skazana przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę 10 lat pozbawienia wolności. Więziona w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, w Więzieniu Karno-Śledczym Warszawa – Mokotów, więzieniach w Fordonie, Inowrocławiu i ponownie w Fordonie. Zwolniona 5 kwietnia 1956 r. po 3653 dniach spędzonych za więziennymi murami. Po odbyciu kary podjęła studia na Wydziale Biologii na Uniwersytecie Łódzkim, które ukończyła na Uniwersytecie Wrocławskim. Pracowała w administracji Instytutu Matematycznego PAN oraz jako starszy redaktor i tłumacz w wydawnictwie Politechniki Wrocławskiej. Wieloletnia współpracowniczka prof. Hugona Steinhausa. W latach 1981–1985 zaangażowana w działalność Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego we Wrocławiu.

Po 1989 r. odznaczona m.in. londyńskim Krzyżem Armii Krajowej, Medalem Wojska Polskiego (dwukrotnie), Krzyżem Narodowego czynu Zbrojnego oraz awansowana do stopnia podporucznika.

Członkini środowiska „Fordonianek” zgrupowanego w Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Związku Młodocianych Więź-

niów Politycznych „Jaworzniacy”, Klubu Inteligencji Katolickiej, Towarzystwa Ziemiańskiego i Związku Inwalidów Wojennych.

Publikowała m.in. na łamach „Nike”, „Więzi”, „Niepodległości i Pamięci”, „W drodze” *Przeciwko złu*²⁹⁷ i *Zawołać po imieniu*²⁹⁸.

²⁹⁷ *Przeciwko złu. Wiersze i piosenki więzienne 1944–1956*, oprac. B. Otwinowska, Warszawa 1995.

²⁹⁸ *Zawołać po imieniu. Księga Kobiet – Więźniów Politycznych 1944–1958*, red. B. Otwinowska, T. Drzał, Warszawa 1999.

Wykaz skrótów

AK	– Armia Krajowa
AL	– Armia Ludowa
ATK	– Akademia Teologii Katolickiej
BCh	– Bataliony Chłopskie
BIP KG AK	– Biuro Informacji i Propagandy KG AK
DSZ	– Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj
gestapo	– Tajna Policja Państwowa (Geheime Staatspolizei)
GL	– Gwardia Ludowa
KBW	– Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego
KC	– Komitet Centralny
Kedyw	– Kierownictwo Dywersji
KG	– Komenda Główna
KGMO	– Komenda Główna Milicji Obywatelskiej
KIK	– Kluby Inteligencji Katolickiej
KKWP	– Kodeks Karny Wojska Polskiego
KOR	– Komitet Obrony Robotników
KPCz	– Komunistyczna Partia Czechosłowacji
KPOPP	– Komitet Porozumiewawczy Organizacji Polski Podziemnej
KPP	– Komunistyczna Partia Polski
KRN	– Krajowa Rada Narodowa
KPRP	– Komunistyczna Partia Robotnicza Polski
KUL	– Katolicki Uniwersytet Lubelski
LWP	– Ludowe Wojsko Polskie
MBP	– Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
MSW	– Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
„NIE”	– „Niepodległość”
NKWD	– Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł)
NMP	– Najświętsza Maria Panna
NOW	– Narodowa Organizacja Wojskowa
NSZ	– Narodowe Siły Zbrojne
NTN	– Najwyższy Trybunał Narodowy
NZW	– Narodowe Zjednoczenie Wojskowe
NZZ	– Narodowy Związek Zbrojny

ONR	– Obóz Narodowo-Radykalny
OUN	– Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów
OWP	– Obóz Wielkiej Polski
OW-Wilki	– Organizacja Wojskowa „Wilki”
PAN	– Polska Akademia Nauk
PAS	– Pogotowie Akcji Specjalnej
PAU	– Polska Akademia Umiejętności
PCK	– Polski Czerwony Krzyż
PIST	– Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej
PKWN	– Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego
POW	– Polska Organizacja Wojskowa
PPR	– Polska Partia Robotnicza
PPS	– Polska Partia Socjalistyczna
PPS–WRN	– Polska Partia Socjalistyczna „Wolność–Równość–Niepodległość”
PRL	– Polska Rzeczpospolita Ludowa
PSL	– Polskie Stronnictwo Ludowe
PSZ	– Polskie Siły Zbrojne (na Zachodzie)
PUBP	– Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
PWST	– Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna
PZPR	– Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
ROAK	– Ruch Oporu Armii Krajowej
RWE	– Radio Wolna Europa
SG	– Sztab Główny
SGGW	– Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
SGH	– Szkoła Główna Handlowa
SN	– Stronnictwo Narodowe
SOW	– Śląski Okręg Wojskowy
SP	– Stronnictwo Pracy
SS	– Die Schutzstaffeln der NSDAP (Sztafety Ochronne NSDAP)
SZP	– Służba Zwycięstwu Polski
UPA	– Ukraińska Powstańcza Armia
UW	– Uniwersytet Warszawski
WiN	– Wolność i Niezawisłość
WP	– Wojsko Polskie
WSO	– Wojskowy Sąd Okręgowy
WSR	– Wojskowy Sąd Rejonowy
WUBP	– Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
ZBoWiD	– Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
ZG ZLP	– Zarząd Główny ZLP
ZLP	– Związek Literatów Polskich
ZSRR	– Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
ZWZ	– Związek Walki Zbrojnej

Indeks nazw geograficznych

- Auschwitz 75, 276
- Babin 41
- Baligród 137
- Bania, góra 26
- Bergen-Belsen 113
- Białystok 314
- Boiska 30
- Bojanowo 185
- Borchów 41
- Brwinów 239, 240, 394, 396, 397
- Brzeście 34, 38
- Bydgoszcz 45, 172, 220, 235, 257, 265, 309, 311, 396, 397
- Bytom 451
- Charków 363
- Chełm 48
- Chicago 228
- Chojny 389
- Cisna 137
- Czerniew 28
- Częstochowa 30, 71, 242, 243, 395
- Davos 236
- Dęblin 28
- Dora 268
- Dublany 252
- Ełk 362
- Fordon 8, 12, 64, 69, 78, 83, 91, 120, 124, 125, 131–135, 138–140, 143, 145, 146, 151, 153–171, 173–175, 182, 184, 185, 187, 188, 192, 197, 217–221, 223, 226, 229, 234, 235, 241, 245, 246, 249, 250, 255, 257, 259, 260, 262, 267–269, 272–274, 277, 278, 284, 285, 288, 289, 292, 296, 297, 309–311, 315, 333, 335–340, 342–345, 349, 351–353, 355, 399
- Gdańsk 160, 253, 321, 386, 387, 390–393
- Gdynia 45, 285, 387
- Gołdap 360
- Grabów 272
- Grodzisk 30, 43
- Gross-Rosen 268
- Grójec 271
- Grudziądz 185, 196, 246, 282, 285
- Haga 120
- Hel 387
- Inowrocław 8, 12, 20, 92, 124, 153, 172, 174, 176, 178, 183–188, 195–199, 201, 205, 206, 208, 209, 217, 218, 224, 228–230, 235, 249–251, 254–257, 259, 263, 264, 268, 271–274, 277, 282, 285, 292, 298–300, 305, 309, 321, 322, 324, 329, 335, 336, 339, 340, 343, 344, 346, 349, 351–353, 360, 399
- Janowice 27, 28, 31, 34, 36, 38–42, 271, 272, 380, 390, 392, 399
- Janowiec 27, 31, 32, 35–38
- Jasna Góra 395

Jaworzno 293, 294, 296, 298
Julin 34, 38, 170, 253
Kalisz 391
Karolin 209, 220

Katowice 74, 336
Katyń 363
Kaukaz 152
Kazimierz Dolny 37, 399
Kielce 98
Klikawa 30
Kociszew 33, 42
Kolonja Janowicka 27, 38
Koluszki 111
Konstancin 248, 276
Kozienice 28
Kraków 26, 47, 85, 121, 137, 252, 336, 378
Kraśnik 48
Kroczew 27, 36, 40, 41, 90
Krzeszowice 70, 88
Krzyżanów 392, 394
Książenice 43, 271, 272

Laski 28
Locarno 120
Londyn 82, 116, 144, 175, 273, 277, 281
Lublin 41, 47, 48, 272, 287
Ludwików 39, 40
Lwów 82, 121, 249, 306

Łagów 33
Łowicz 28, 45, 204
Łódź 43, 44, 45, 46, 49, 50, 52, 53, 55, 58, 93, 94, 96–98, 109, 119, 127, 157, 170, 197, 221, 223, 236, 305, 314, 346, 357, 374–376, 378, 383, 384, 386–388, 391, 393, 395, 396, 399
Łuck 270

Malbork 392–394, 397, 398

Markowice 321, 322, 324
Mazury 283, 284, 286
Meran 236
Miednoje 363
Młochowskie Lasy 271
Mokotów 8, 58, 59, 65, 66, 69, 76, 79, 83, 85, 99, 110, 114, 125, 127, 128, 133, 165, 173, 179, 193, 194, 229, 230, 233, 238, 249, 250, 253, 260, 288, 298, 316, 317, 329, 338, 339, 344, 349–352, 355, 363
Molsdorf 253
Moskwa 82, 302
Mrzezino 91, 384, 386, 389, 392, 393, 395
Mszadla 39, 42
Murnau 93

Nakło n. Notecią 273
Neuengamme 75
Nowopetrowsk 279
Nowy Targ 369

Olsztyn 336
Opypy 31, 42, 43, 271
Oranienburg 276
Orenburg 279
Ostrów Mazowiecka 47
Oświęcim 32, 71, 122, 129, 234, 245, 276, 298

Palmiry 295
Paryż 120, 297
Pcinolas 42
Piaski Luterskie 37, 48
Pilica, rzeka 272
Piotrków Trybunański 293, 388
Podhale 369
Podole 237
Polesie 82, 83, 86
Poznań 20, 98, 221, 301, 302

- Prabuty 185, 255
 Praga 79, 80
 Pratulín 244
 Prusy Wschodnie 394
 Pruszcz 384
 Pruszków 47
 Przyłęk 392
 Pudliszki 237
 Puławy 29, 32, 96, 167, 221

 Rabka 26
 Radom 30, 38–42, 271, 272, 391, 393, 397
 Radzic 222, 273, 274
 Ranachów 42
 Ravensbrück 122
 Reda 386, 387
 Regensburg 113
 Rzeszów 264, 362

 Sadyba 255
 Skierniewice 28
 Słonka, rzeka 26
 Służew 270, 367
 Sochaczew 56
 Sory 27
 Stalinogród zob. Katowice
 Stare Pole 392
 Stróże 307
 Strykowice 30
 Suwałki 256
 Syberia (Sybir) 27, 81, 115
 Sycyna 27, 271, 272
 Szczecin 263, 285

 Śląsk 286

 Tomaszów Lubelski 318
 Toruń 220, 399
 Trójmiasto 387

 Tworki 89

 Ural 98

 Waclawów 27, 37, 41, 380
 Wałowice 30, 96
 Waplewo 394
 Warmia 286
 Warszawa 24, 26–28, 30, 31, 35, 36, 40, 42, 45–50, 52, 53, 55–58, 65, 68, 71, 75, 76, 79, 94, 95, 97, 104, 105, 109, 113, 116, 120, 121, 123, 126, 127, 129, 137, 140, 145, 146, 150, 153, 166, 170, 186, 191, 198, 204, 210, 237, 241, 242, 243, 245, 247, 248, 250, 256, 257, 260, 264, 267, 270, 275–278, 287, 291, 295, 302, 303, 305, 316, 322, 335, 336, 344, 346, 357, 362, 369, 375, 378, 382, 383, 386, 389, 390, 394, 395, 398, 399
 Wawer 295
 Wejherowo 393
 Wielkopolska 295
 Wilno 121
 Wincentów 36, 40, 42
 Wisła, rzeka 27, 37, 38, 41, 140, 153, 155, 172, 202, 234, 271
 Wrocław 14, 64, 128, 138, 172, 186, 196, 210, 221, 222, 244, 252, 257, 268, 270, 278, 279, 280, 281, 302, 304, 306, 308, 321, 362, 368, 394, 397–399
 Wronki 142
 Wysokie Koło 36

 Zakopane 236, 304
 Zbrosławice 218
 Zgierz 388
 Zułów 27
 Zwolen 29, 30, 32, 39, 40–42, 271, 272

 Żuławki 392

Indeks osobowy

- „51” zob. Szymanowski Zygmunt
Abakanowicz Helena 123, 124, 131, 275
Abakanowicz Piotr 123
Abramowicz Roman 348
Adamczewski Kazimierz 348
„Agata” zob. Nachtman Maria
„Agnieszka” N.N. 147
„Aleksander” zob. Lipiński Wacław
„Alina” zob. Sieńko-Liniarska Stanisława
„Alinka” zob. Sieńko-Liniarska Stanisława
Anastazja N.N. 134
Ancyporowiczów rodzina 394
Anders Władysław 71, 82, 113, 143
Andres Maryla 152
„Andrzej” zob. Żuk Henryk
„Apard” zob. Rosiński Zygmunt
Arendt Hannah 17, 18
„August” zob. Muzyczka Ludwik
„Augustyn” zob. Muzyczka Ludwik
Ażajew Wasilij 206, 340

„Baba” zob. Maria Hattowska
„Babcia Butler” zob. Krauze-Butler Wilhelmina
„Babunia Młodsza” zob. Marcinowska Maria
„Babunia Starsza” zob. Sołtan-Marcinowska Józefa
„Babuszka” N.N. 389, 390
Bagiński Wienczyśław 34, 36
Balicki Zygmunt 378
Balzak Honoriusz 142, 297, 335, 343
Banasik Bronisław 43, 93, 95
Bańkowska Danuta 112, 142, 226, 248, 254, 340
Baranowski Edmund 397
„Barański” zob. Żuk Henryk
„Barbara” zob. Kobierzycka-Maciąg Maria Wanda
„Barbara” zob. Żurowska Halina
Barosek Karel 17
Barólewska Irena 312
Bartczak N.N. 288, 382
Barthel de Weydenthal Irena 162, 166, 169, 204
Bartoszewski 393
Bartoszewski Władysław 312
„Baśka” zob. Żurowska Halina
Bayer Witold 68
„Belami” N.N. 111, 286
„Benedykt” zob. Muzyczka Ludwik
„Bez” zob. Szymanowski Zygmunt
„Biała Brew” N.N. 289
Białostocka Barbara 153, 252, 282, 345
„Biały Kapitan” zob. Rybicki Stefan
Bielecki Jan Krzysztof 47
Bielecki Tadeusz 106, 273
Bierut Bolesław 101, 243, 248, 332, 361, 365
Błaszczynski Stefan 33, 36, 40
„Błażej” zob. Morawiec Jan
„Bogucki” zob. Broniewski Zygmunt
Boguwola Jan 142, 265, 340

- Bojanowska 254
 Bolek zob. Knabe Bolesław
 Bonia zob. Czaplińska-Grabowska Bogna
 Borodicz Stanisław 47
 Bortnowska Halina 366
 Boskich rodzina 42
 Boska-Thun Hanna 28
 „Bradł” zob. Kazimierz Leski
 Brandys Kazimierz 210
 Broniewska Stefania zob. Gerlicz-Broniewska Stefania
 Broniewski Władysław 262, 334
 Broniewski Zygmunt 150
 „Bronka” zob. Szymański Bronisław
 Brułłow 279
 „Brzoza” N.N. 32, 34
 Buch Luiza 122, 123
 Bugajski Ryszard 13, 315, 316, 317, 360
 Bujak Mieczysław 369
 Bukowska Irena zob. Chełmicka-Bukowska Irena
 Bukowski Krzysztof 255, 256
 Bürchler Maria vel Marta zob. Tłuchowska Maria
 Burdynów rodzina 38, 39
 Buszkowski 348
 Butler Wilhelmina zob. Krauze-Butler Wilhelmina
 Buzek Jerzy 363

 Cavendish-Bentinck Victor Frederick William 120, 238
 Ceraska-Jędrzejkowska Wanda 46, 67, 68, 71, 72, 94, 95, 99, 106, 109, 347
 Cezanis Maria 152, 338
 Chądzyńska Walentyna 224
 Chełmicka Bożena 256
 Chełmicka-Bukowska Irena 146, 149, 150, 217, 245, 247, 248, 254–257, 269, 321, 322, 324, 339
 Chełmicka Kalina 145, 183, 185, 245, 248, 255, 256, 257
 Chełmicka-Pieślak Róża 256
 „Chickie” zob. Kwiekówna Joanna
 Chimeczak Eugeniusz 318
 Chmielowska Maria 33, 35
 Cholewów rodzina 38
 Christie Agata 135, 343
 Chrzanowski Bogdan 397
 Chrzanowski Wiesław Marian 47
 Chrzyszczewska Jadwiga 185, 218, 274
 „Cień” N.N. 34
 Cieszkowska-Hłasko Zofia 170
 Cieślińska-Skrzypiec Irena 143, 144, 145, 147–151, 227, 255, 269, 280, 283, 321–324, 339
 „Cis” zob. Szymanowski Zygmunt
 Cisek Władysław 362
 Ciszek 35
 Coshio 199
 Courtois Stéphane 17
 „Córeczka” N.N. 289
 Cyceron 361
 Cyrankiewicz Józef 75, 267
 Czacka Róża 28
 Czaplińska Czesława 40
 Czaplińska Danuta 35
 Czaplińska Jadwiga 203, 206, 208, 210
 Czaplińska Janina 27, 36, 159
 Czaplińska Józefa 27, 163, 198, 393, 399
 Czaplińska Ruta 9, 11, 12, 13, 15, 19, 24–26, 46, 51–53, 56, 69, 70, 93, 94, 97, 104, 105, 108, 113, 148, 149, 151, 162, 163, 167, 172, 197, 210, 218, 233, 235, 239, 260, 269, 275, 280, 304, 305, 308, 321, 337, 374–376, 379, 380, 382–384, 386, 389, 394–396, 399
 Czaplińska-Doroszkiewiczowa Wanda 170, 210
 Czaplińska-Grabowska Bogna 26, 31, 42, 52, 61, 91, 110, 126, 154, 156, 159–

- 161, 163, 165–167, 170, 171, 198, 199, 201, 205–209, 219–221, 224, 384, 387, 390, 393, 395, 396
- Czaplińska-Knabe Maria 26, 29, 31, 32, 34, 52, 105, 154, 161, 163, 167, 171, 201, 202, 205, 207–209, 221, 236, 380, 388
- Czaplińska-Tomaszewska Anna (Hanka) 155, 159, 160, 164, 166, 167, 170, 191, 208, 219, 221–224, 235, 253, 271–274, 349
- Czaplińska-Tyrawska-Młodecka Izabela 274, 235, 273
- Czapliński Kazimierz (Kazik) 26, 46, 49, 50, 52, 126, 154, 156–159, 164, 165, 167, 169, 171, 198, 199, 206, 209, 210, 221, 223, 224, 374, 380, 382, 384
- Czapliński Krzysztof 35
- Czapliński Ludwik 392, 394
- Czapliński Marek 159
- Czapliński Stanisław 40
- Czapliński Szymon 26, 36, 95, 159, 198
- Czapliński Tadeusz 27, 399
- Czapliński Wacław 272
- Czapliński Wojciech 26, 220, 380
- Czarnecka Janina 275
- „Czarnecka” zob. Sadowska Barbara
- Czarnkowski Ryszard 348
- „Czarny” zob. Łożański Jan
- Czartoryski Adam 236
- Czartoryski Witold 236
- Czaykowski Andrzej Rudolf 185, 268, 280
- Czechow Antoni 136
- Danilewicz Tadeusz 43, 103
- Daszewska Krystyna 229
- Dąbrowski Krzysztof 375
- Dekutowski Hieronim 118
- Dembowska Janina zob. Landy-Dembowska Janina
- Dembowski Bronisław 277
- Dewicz Adam 276
- Dewicz Janina (Nina) 247, 274–276
- Dmowski Roman 106, 378
- Doboszyńska-Malkiewicz Jadwiga 150
- Doboszyński Adam 150
- Dobrowolska-Pilacińska Barbara 46, 59
- Dobrowolska-Wiśniewska Hanna 46, 59, 79, 86, 91, 109, 110, 158
- Dobrzański Henryk 44
- „Doktor” zob. Franio Zofia
- Dołęgowska Hanna 42
- „Doman” zob. Danilewicz Tadeusz
- „Domarat” zob. Neyman Lech Karol
- Dominguez Rosarimo 21, 23
- Dominik (Dominiak) 53
- Doniemirskich rodzina 394
- „Dora” zob. Majewska-Słowińska Józefa
- Drecka-Madalińska Krystyna 263
- Drozdowski Marian Marek 20
- „Druh” zob. Pilecki Witold
- Drzał Teresa 295, 400
- Dubois Maciej 320
- „Duda” zob. Bańkowska Danuta
- Dudek 265, 339
- Dunin Basia zob. Szpot-Dunin Barbara
- Dunin Helena 67–69, 71, 72, 75–77, 88, 89, 110, 113, 225, 236, 260
- „Dusia” zob. Ceraska-Jędrzejkowska Wanda
- Dydo Stanisław 362
- „Dyzma” zob. Zieliński Tadeusz
- „Dzidka” zob. Landy-Martyniakowa Henryka
- „Dzidzia” zob. Stefania Żelazowska
- Eeman Harold 123
- Ekerkunst Jadwiga 383
- Elżbieta siostra zob. Czacka Róża
- „Elżbieta” zob. Złotnicka-Kurcewiczowa Janina

- Enderle Janina 63, 64, 79–84, 338,
Engels Fryderyk 206, 341
„Ewa” zob. Enderle Janina
„Ewa” zob. Lwow-Eberle Lidia
„Ewa” zob. Czaplińska Ruta
- „F-14” zob. Sosnowska Halina
„F-4” zob. Wędrychowska Maria
„Fala” N.N. 287
Faszczoła Krystyna 30
Faszczołówna Zofia 30, 96
Fischer Ludwig 295
Ford Aleksander 383
„Franek” zob. Niepokólczycki Franciszek
Franio Zofia 112, 118, 129, 142, 226, 240, 246, 254, 328, 335, 340
Fredro Aleksander 378
- Galej Michał 47, 224
Gałczyński Konstanty Ildefons 334
„Garda” zob. Czaykowski Andrzej Rudolf
Garlicki Andrzej 18
Garliński Józef 75
Gaudin Jan 380
Gerlicz-Broniewska Stefania 85, 150, 175, 355
Giraudoux Jean 376
Głazewska Halina 118
Głowiński Michał 16, 22
Golka Jan 65–67, 87, 94, 95, 98, 99, 101, 103, 106, 123, 165, 351
Golka-Opalińska Barbara 101
Gołębiowski Marian 243
Gołubiew Antoni 136, 157, 167, 343
Gomułka Władysław 56, 302
„Gorczyca” zob. Marszewski Włodzimierz
Gorgonowa Margerita 141
Gorzkowski 153
- Goya Francisco 317
„Graba” zob. Marszewski Włodzimierz
Grabicki Alojzy 128, 129, 339
Grabińska Maria 229
Grabowska Konstancja 36, 268, 394, 397
Grabowska Antonina 101, 104, 105, 108, 225, 348
Grabowska Joanna 220, 385, 394, 398
Grabowski Jerzy 95, 380, 391, 398
Grabowski Witold 156, 157, 222, 385, 391, 398
Greiser Arthur 295
Grocholska Anna 68, 70, 78, 89, 93, 236–240, 351
Grocholski Ksawery 68, 236–239
Gronzil Joanna zob. Grzondziel-Smyk Joanna
Grzeszczyk Maria 129, 136, 142, 254, 350
Grzeszczyk-Semenowicz Wiesława 119, 121, 129, 136, 142, 350
Grzondziel-Smyk Joanna 218, 285
Gürtler Maria zob. Tuchowska Maria
„Gwido” zob. Lipiński Wacław
- Hagmajer senior 49
Hagmajer Jerzy 48, 49
„Halina X” zob. Sosnowska Halina
„Halina” zob. Sosnowska Halina
Halszka Dunin zob. Dunin Helena
„Halszka” zob. Czaplińska-Grabowska Bogna
Hanin Ryszarda 247
„Hanka” zob. Szajowska Irena
Harris Clive 308, 309
Hass Jerzy 94, 98, 102, 347
Hattowska Maria 113, 129, 135, 240–244, 251, 267, 318–320, 330, 335
Hemplów rodzina 30
„Helen” zob. Abakanowicz Helena

- „Helena” zob. Żurowska Halina
 „Heniek” zob. Żurowska Halina
 „Henryk” zob. Morawiec Jan
 Heńka złodziejka N.N. 287, 288
 Herbert Zbigniew 18
 Herling-Grudziński Gustaw 18, 364
 Hitler Adolf 80
 Hłasko Henryk 224
 Hłasko Wiktor 163, 224
 Hłasko Zofia zob. Cieszkowska-Hłasko Zofia
 Hłasków rodzina 33, 42
 Hoess Rudolf 276, 295
 „Hrabina” zob. Szpondrowska
 „Hubal” zob. Dobrzański Henryk
 Huk Maria 281
 Humer Adam 13, 15, 18, 57, 64, 102, 242, 243, 244, 310, 318, 319, 320, 329
 Huxley Aldous 203
- „Ibarura” zob. Obiała
 „Icek” zob. Szajowska Irena
 Ilka Lewkowicz zob. Lewkowicz Emilia
 „Irka” zob. Marian Gołębiewski
 „Iwaniuk” zob. Bierut Bolesław
 Iwaszkiewicz Jarosław 208, 263, 343
 „Iwona” zob. Sieńko-Liniarska Stanisława
- „Jacek Białynia” zob. Łabędzki Tadeusz
 „Jacek” zob. Muzyczka Ludwik
 Jagminów rodzina 40
 Jampol Ziuta 137
 Jan Paweł II 19–23
 Jan Sadowski zob. Szymanowski Zygmunt
 „Janina” zob. Oszast Janina Celina
 Janiszowska Jadwiga 8, 245
 Janiszowska Niusia zob. Janiszowska Jadwiga
 „Janka” zob. Czarnecka Janina
- „Janka” zob. Kisiel-Konopacka Janina Sabina
 Jankowska Wanda zob. Czaplińska-Grabowska Bogna
 „Janowski” zob. Bierut Bolesław
 Jasienica Paweł 18, 207
 Jasnorzewska-Pawlikowska Maria zob. Pawlikowska-Jasnorzewska Maria
 Jastrzębski 134, 259
 Jastrzębski Andrzej 259
 Jawłowska Aldona 248
 Jawłowska-Pelc Maria 248, 249
 Jeremicz Walentyna 47, 94, 95, 100, 106, 109, 347
 Jezierska 379
 „Jezierza” zob. Szymanowski Zygmunt
 „Jola” zob. Wędrychowska Maria
 „Jolanta” zob. Dobrowolska-Wiśniewska Hanna
 „Józef” N.N. 386, 387, 389, 390
 „Jula” zob. Oszast Janina Celina
 „Julianna” zob. Sobczyńska-Sieradzka Helena
- Kaczmarek Czesław 336
 Kadyńska Zenobia 46, 109
 Kamiński Marian 380
 Karczewskich rodzina 30
 Kardaszewicz Jan 241, 257, 335
 Kardaszewicz Zofia 241, 335, 343
 „Kasper” zob. Marszałek Ludwik
 Kasproicz Jan 170
 Kasprzycka-Drożdż Zdzisława 138, 162
 Kasznica Andrzej 90
 Kasznica Stanisław 12, 71, 72, 87–90, 101, 116, 123, 193, 259
 „Katka” zob. Kosarewicz Katarzyna
 Kazik zob. Czapliński Kazimierz
 Kedyńska Zenobia
 Kęska Henryka 111
 Kiciński Krzysztof 366

Kincel 65
 „Kinga” zob. Wędrychowska Maria
 Kisiel-Konopacka Janina Sabina 113,
 117, 225, 248, 342
 „Klamra” zob. Lazarowicz Adam
 Klamut Jan 362
 „Klemens” zob. Golka Jan
 Klimaszewski Kazimierz 383
 „Klin” zob. Marszałek Ludwik
 Knabe Barbara 205
 Knabe Bolesław (Bolek) 29, 30, 31, 37,
 95, 155, 156, 160, 202, 224, 380–383,
 388
 Knabe Krystyna 31, 201, 202, 381
 Knabe Małgorzata 160, 199, 201, 202,
 381
 Knabe Maria 46, 376
 Knabe Paweł 155
 Knabe Szymon 199
 Knabe Tadeusz 156, 380, 381
 Knabe Wojciech 164
 Kobierzycka-Maciąg Maria Wanda 195,
 257, 370
 Kolbe Maksymilian 72
 Kolska Maria 153, 172, 185, 196, 252–
 254, 282, 323, 326
 Kołakowski 101, 348
 Kołodziej Emilia 143, 254
 Komarska-Czaplińska Wanda 164, 169,
 201, 208
 Komorowski Bogdan 363
 Komorowski Jerzy 362
 Komorowski Wiktor 362
 Konopacka Janka zob. Kisiel-Konopac-
 ka Janina Sabina
 Kopaniówna Janina 31
 „Korab” zob. Gołębiewski Marian
 Korzeniewski Bogdan 378
 Kosarewicz Katarzyna 149
 „Kossak” zob. Danilewicz Tadeusz
 Kostewicz Tadeusz 86, 184, 337
 Kostka Stefan 35, 37
 Kostka N.N. 37
 Kostrzewski Józef 207
 Kot Ludmiła 143, 145, 149, 151, 227,
 228, 281, 283, 285
 Kotulska Irena 197
 „Kotwicz” zob. Szklarek Jan
 Kowalska Anna 210
 Kozakowa N.N. 195
 Krasieński Janusz 129
 Kraszewska Wanda 138, 328
 Kraszewski Józef 297, 335, 343
 Krauze-Butler Wilhelmina 145, 283
 Kreczmar Jan 209, 378
 Krochmalny Grzegorz zob. Steinhaus
 Hugo
 Kruczek Janusz 382
 Kruk N.N. 382
 Kruk Janina zob. Szczerba-Kruk Janina
 Kruszevska Zula zob. Skarbek-Kru-
 szewska Zofia
 Kruszevski Józef 41
 Kryński 41
 Kryński Wiktor 41
 Krysiak Jerzy 325
 „Kuba” zob. Danilewicz Tadeusz
 Kubisiak Maria 186, 229
 Kuczyński Stanisław 113
 Kularski Antoni 56
 Kunicka Stefania 145, 147, 148, 281,
 283
 Kuraś Józef 143, 369
 Kurczewski Jacek 18
 Kwiekówna Joanna 67, 68, 77, 236
 Labuda Gerard 207
 Lachert Zygmunt 68
 „Lala” zob. Lwow-Eberle Lidia
 „Lala” zob. Prorokowa Maria
 Lamprecht 83
 Landy Teresa 277

- Landy-Dembowska Janina 277
 Landy-Martyniakowa Henryka 218, 268, 277, 278
 Laval Janina 221
 Lazarowicz Adam 362
 „Lech” zob. Neyman Lech Karol
 „Lech” zob. Pilaciński Jerzy
 „Leliwa” zob. Żurowska Halina
 Lenin Włodzimierz 152, 341
 Lermontow Michaił 152
 Leski Kazimierz 84, 86, 87
 „Leski” N.N. 30
 Lewkowicz Emilia 379
 Li N.N. 65, 99
 Lifton Robert 22, 23
 Lipiński Wacław 107, 153
 Lipskich rodzina 30
 „Lis” zob. Szklarek Jan
 „Lis” zob. Szymanowski Zygmunt
 Lisowa Irena 118
 „Ludwik” zob. Marszałek Ludwik
 Ludwikowa zob. Rzeszowska
 „Luna” zob. Sosnowska Halina
 „Lusia” 387, 396
 Lwow-Eberle Lidia 186, 229

 Łabędzki Kazimierz 49, 50
 Łabędzki Tadeusz 12, 49, 55, 57, 64, 94, 95, 102, 105, 244, 347, 382, 387
 „Łabędź” zob. Żurowska Halina
 Łaska Alicja 229
 Łopuszańska Maria 134
 Łożański Jan 121
 „Łukasz” zob. Golka Jan
 „Łupaszka” zob. Szendzielarz Zygmunt

 Machowska Izabela 274
 „Maciej” zob. Rybicki Józef
 Maciejowska Alicja 7, 241, 244
 „Magister” zob. Kularski Antoni
 Magnuszewska Władysława 64–67, 77, 82–86, 140, 148, 231, 287
 „Maharadża” zob. Renke
 Maj Jan 270
 „Maj” zob. Marszałek-Szlachta Emilia
 Majewska-Słowińska Józefa 58, 61, 62, 79, 81
 Majgier Maria 121, 263
 „Majka” zob. Kobierzycka-Maciąg Maria Wanda
 Maksimow M. 206, 346
 Malessa Emilia Marcelina 67, 68, 71, 72, 99, 331, 332, 395
 Malewicz 398
 Malewska Hanna 224
 Malkiewicz Jadwiga zob. Doboszyńska-Malkiewicz Jadwiga
 „Malowanka” 143, 281
 Małynicz Zofia 52, 161, 170, 209, 247, 277, 303, 376, 378, 379, 388, 389, 390
 Mamunia zob. Grzeszczyk Maria
 Mamcia zob. Kincel
 Mania zob. Chmielowska Maria
 „Maniuta” zob. Marynowska Maria
 Marcinowska Maria 28, 29, 34, 36
 Marcinowski Józef 27
 „Marcysia” zob. Malessa Emilia Marcelina
 Marczewski Edward 305, 306
 Margolin Jean-Louis 17
 „Maria” zob. Tomalakowa Irena
 Marie Anna N.N. 285
 „Mariżanka” zob. Kubisiak Maria
 Marks Karol 341
 Marszałek Ludwik 362
 Marszałek-Szlachta Emilia 362
 Marszewski Włodzimierz 48, 93, 123
 Marynowska Maria 114, 115, 119, 120, 133–136, 140, 143, 150, 226, 261, 345
 Maślanko Mieczysław 101, 105
 Mazurkiewicz Jan 365
 Merkel Jacek 366

- Miazio Marta 288
 Michalski Konstanty 21
 Michnik Adam 364
 Miczurin Iwan 346
 „Mieczysław” zob. Morawiec Jan
 Mika zob. Jawłowska-Pelc Maria
 Mikołajczak Edmund 321, 322, 324–326
 Milke Alfred 118
 „Miłasha” zob. Malessa Emilia Marcelina
 Miłosz Czesław 367
 Mirecki Leon 47
 Moczar Mieczysław 383
 Morawiec Jan 12, 44, 55–57, 71, 78, 94, 97, 100, 103–106, 109, 117, 347, 370
 Morawski Jacek 325
 Morzkowska Krystyna 275
 Motykówna Helena 362
 Moysewiczowa Irena 275, 276
 Mrozowa 288, 289
 Mucha N.N. 118
 „Mucha” zob. Tłuchowska Maria
 Murzański Stanisław 19
 Muszyński Henryk 322
 Muzyczka Ludwik 71
 „Myszka” zob. Cieślińska-Skrzypiec Irena

 Nachtman Maria 46, 94, 95, 99, 103, 106, 108–110, 112, 117, 129, 132, 225, 241, 259, 260, 266, 347
 Najder Zdzisław 19
 Narębska Hanna 380
 Nekanda-Trepka Jadwiga 46, 50, 51, 161, 169, 170, 198, 380, 382
 Nekanda-Trepka Janina 42, 203, 204
 Neyman Anna 270
 Neyman Lech Karol 123
 Niepokólczycki Franciszek 137
 Nierychło Roman 46, 109

 Niesiołowski Stefan 64
 Norwid Cyprian Kamil 197, 343
 Nosek 83
 „Nowak” zob. Roskosz Stanisław
 Nowicka Jadwiga 259
 Nowicka Dziusia zob. Nowicka Jadwiga
 Nowosad Zbigniew 75
 „Nula” zob. Stachiewicz Hanna

 o. Krzysztof zob. Andrzej Kasznica
 Obiała 173, 175, 179, 185, 191, 234, 273, 274, 339, 354
 Obiałowa zob. Obiała
 Ochowski Tomasz 7, 21, 24, 267
 „Ogień” zob. Kuraś Józef
 Olszówka Franciszek 362
 „Onufry” zob. Żuk Henryk
 Onyszkiewicz Mirosław 153
 Onyszkiewicz Stefania 153, 180, 214, 252, 282, 354
 Oppenheimów rodzina 271
 Ordonówna Hanka zob. Pietruszyńska-Tyszkiewicz Anna
 „Orest” zob. Onyszkiewicz Mirosław
 Orłowski 31
 „Orzeł” zob. Kuraś Józef
 Orzeszkowa Eliza 142, 297, 335, 343
 Osiecki Zygmunt 33
 Osieckich rodzina 33
 Ossowiecki Stefan 260
 Ostrowska Elżbieta 76
 Osza Janina Celina 137, 162, 224, 251, 252
 „Otto” zob. Olszówka Franciszek
 „Otręba” zob. Sadowska Halina
 Otwinowska Barbara 19, 113, 120, 226, 245, 248, 249, 257, 276, 314, 325, 400
 „Ożóg” zob. Rzepecki Jan

 Paculina Jadwiga 42
 Pacuła Marian 376, 379

Paczkowski Andrzej 17
 Paczuska Marzena 243
 Paderewski Ignacy 378
 Paganini Niccolo 199
 Pakowski 29
 Pałczyzna N.N. 41
 „Pani Doktor” zob. Franio Zofia
 Panne Jean-Louis 17
 Parandowski Jan 220
 „Paweł” zob. Morawiec Jan
 Pawełczyńska Anna 18, 19
 Pawlikowska-Jasnorzewska Maria 334
 Pawłowicz Irena 38, 39
 Pawłowska Urszula 38–40, 169, 204
 Perzyna Leonard 29
 „Pękala” zob. Nowosad Zbigniew
 Piasecki Bolesław 48
 Pieniążek Jan 33
 Pieślak Anna 256
 Pietruszyńska-Tyszkiewicz Anna 121
 Pijanowski Eugeniusz 346
 Pilacińska Barbara zob. Dobrowolska-
 Pilacińska Barbara
 Pilaciński Jerzy 46, 50, 59, 93, 95, 99
 Pilecki Witold 12, 71, 75, 76, 78, 92, 93,
 107, 113, 123, 140, 245, 249, 266
 Piłsudska Aleksandra 28
 Piłsudskich rodzina 27
 Piłsudski Józef 107, 135
 Pintarowa 101, 348
 „Pistolet” zob. Kisiel-Konopacka Janina
 Sabina
 „Piwowarski” zob. Szymanowski Zyg-
 munt
 Plater Cezary 61, 68, 70, 72, 77, 78, 126,
 144, 154, 155, 157, 159, 169, 176, 208,
 220, 224
 Pliskowa Halina 130
 Płachcińska Teresa 140, 338, 339
 Plaza J. 21
 Pogorzelska Urszula 62, 63, 74, 81
 Polatyński Jan 101, 126, 348
 Poniatowski Józef 271
 Poradowski Szymon 224
 „Poraj” zob. Porayski Tadeusz
 Porayski Tadeusz 367
 Pośpieszył Wiktoria 117
 Potocka Maria 70
 Potocki Andrzej 70
 Potockich rodzina 88
 „Prezes” zob. Rzepecki Jan
 Prorokowa Maria 288
 Przedpełski Tomasz 25
 „Przepona” zob. Kasznica Stanisław
 Pszczoła 377, 379
 Puszkין Aleksander 152, 263
 Rademacher 62, 91
 „Radosław” zob. Mazurkiewicz Jan
 Ramocki 42
 Raphael B. 22
 „Remisz” zob. Morawiec Jan
 „Ren” zob. Komorowski Bogdan
 Renke zob. też “Maharadża” 136, 146,
 340
 Rettinger Edward 101, 394
 „Rębacz” zob. Morawiec Jan
 „Robert” zob. Hass Jerzy
 „Robert” zob. Sadowska Barbara
 Robineau André 285
 Rodkiewicz Lech Stefan 84
 „Roja” zob. Szklarek Jan
 Rokossowski Konstanty 361
 „Romek” zob. Pilecki Witold
 Rosiński Zygmunt 121
 Roskosz Stanisław 71
 Rossman Henryk 259
 Roszkowski Krzysztof 96, 97, 156, 160,
 164, 266, 267
 Roszkowski Lechosław 12, 30, 44, 45,
 46, 50, 51, 59, 64, 94–98, 101, 103–107,
 111, 123, 266, 347, 365, 376, 382, 387,
 395

Roszkowski Leszek zob. Roszkowski
 Lechosław
 Roszkowski Mirosław 97
 Roszkowski Wojciech 20
 Rószkowicz-Litwinowiczowa Anna 86
 Różański Józef 53–57, 62, 63, 73, 74,
 90, 93, 95, 99, 101, 102, 332, 346, 379
 Rudecka Bronisława 168
 Rusinek Maria 262
 Russek Mira 62, 74, 338
 Rusznica Józef 270
 Rutkowska Maria 161
 Rutkowski Adam
 Rutkowskich rodzina 27
 Rybicki Józef 70
 Rybicki Stefan 70, 87, 130
 Rychlik Zenon 104, 348
 Rychter Zygmunt 382
 Rymarkiewiczów rodzina 392
 „Rysia” zob. Szelągowska Maria Mag-
 dalena
 „Rysia” zob. Wędrychowska Maria
 „Ryszard” N.N. 33
 Rzepecki Jan 71, 332
 Rzeszowska N.N. 38
 Sabina N.N. 65, 118, 122, 286
 Sadowska Barbara 12, 67, 72, 113–115,
 119, 125, 143, 226, 254, 331, 332–334,
 345
 Sadowska Halina 143, 144, 227
 „Sadowski Jan” zob. Szymanowski Zyg-
 munt
 Sakowicz-Olszewska Regina 143, 245,
 248, 254, 255, 264, 265, 321, 322, 325,
 339
 Salska Joanna 259
 Salska Małgorzata 259
 Salska Wanda 116, 120, 121, 124, 129,
 133–135, 137, 141, 217, 220, 222, 226,
 241, 259–264, 343, 345, 350, 353
 Salski Stanisław 259
 Salski Tadeusz 116, 259
 Schmidt Bernadeta 322
 „Serce” N.N. 33
 Serkowski Ludwik 74
 Seybold 108
 Sieńko-Liniarska Stanisława 113, 118,
 129, 226, 241
 Sieradzka-Sobczyńska Helena 93, 107,
 116, 121, 259, 265–267
 Sieradzki Ignacy 266
 Sieradzki Makary 93, 107, 266, 267, 365
 Sierakowska 394
 Sierakowskich rodzina 394
 „Sierpień” zob. Marszałek Ludwik
 Sikorski Władysław 48
 Skab Genowefa 281
 Skarbek-Kruszewska Zofia 29, 34, 38,
 39, 41, 42, 391
 Skarga Barbara 18
 Skarżyński Tadeusz 321
 Skiba 368
 Skierzyński 37, 42
 Skorupka Izabela 244, 319
 Skulski 379, 380
 „Słodka” zob. Sieńko-Liniarska Stani-
 sława
 Słonimski Antoni 190
 Słowacki Juliusz 378
 Słowik Andrzej 366
 „Słowik” zob. Tomalakowa Irena
 Sobczyński 101, 348
 Sobeska Katarzyna 151
 Sobocińska Maryla 322–324
 Sokołowska Ola 322, 323
 „Soldau” zob. Tomalakowa Irena
 Sołtan-Marcinowska Józefa 28
 Sołtyk Jadwiga 49
 Sołtyk Tadeusz 34, 49
 Sołtyk Witold 34, 49
 Sosnowska Halina 114, 115, 121, 128,
 133–136, 180, 226, 246, 250, 251, 261,

- 262, 328, 345
 „Spas” zob. Szpot-Dunin Barbara
 Sroczyńska Maria 26
 Stachiewicz Hanna 243–245, 248, 249, 318–320
 Staff Leopold 205, 220, 281
 Stalin Józef 17, 178, 336, 341
 „Stanisław Uherski” zob. Zieliński Tadeusz
 „Stanisław” zob. Marszałek Ludwik
 Stanisława (siostra zak.) 391
 Stankiewicz 393
 Stasieczka 136, 151, 340
 „Stefan” zob. Banasik Bronisław
 Steinhaus Hugo 306–308
 Stempowski Jerzy 15
 „Ster” zob. Gołębiewski Marian
 Stolarska Ewa 152
 Strachnowski Piotr 322
 Strenkowska 386, 387
 Strenkowska Irena (córka) 387, 388, 390–393
 Struzikiewicz Lidia 138
 Styś Irena 279
 Sucheni-Grabowska Anna 21
 „Sułkowski” zob. Muzyczka Ludwik
 Svoboda Ludwik 80
 „Swoboda” zob. Gołębiewski Marian
 Sym Igo 52
 Sym Karol Julian zob. Sym Igo
 Szafer Władysław 251
 Szajowska Irena 264, 265
 Szaniawski Jerzy 312
 Szczerba-Kruk Janina 269
 Szczęsna Małynicz Felicja (Nusia) 161, 170
 Szczuka Irena 26
 Szczuka Krystyna 26
 Szczuka Zofia 26
 „Szczur” 338
 Szekspir William 378
 Szelańska Anna 247
 Szelańska Maria Magdalena 140, 141, 180, 185, 214, 245–250, 257, 275, 278, 279, 282, 315, 328, 339, 354
 Szelański Adam 249
 Szendzielarz Zygmunt 186, 363
 Szewczenko Taras 279
 Szklarek Jan vel Lewicki Florian 62, 63
 Szlachta Emilia zob. Marszałek-Szlachta Emilia
 Szmaglewska Seweryna 292, 293, 338
 Szot Wiera 151, 282
 Szpicbródka 287
 Szpilrajn zob. Marczewski Edward
 Szpondrowska 111, 286, 287
 Szpot-Dunin Barbara 269, 280, 322, 362
 Szwańko Krzysztof 7, 14, 361
 Szybalski Bogusław 366
 Szymanowska Zofia 256
 Szymanowski Zygmunt 256
 Szymański Bronisław 62, 74
 Szymański Tadeusz 329
 Szymański Wiesław 19
 Szymborska Kinga 158
 Szypułówna Stanisława 32, 203
 Śliwińska Myra 257
 Śliwiński Stefan 257
 Śliwiński Władysław 367
 Ślusarz Barbara 248
 Śniadek Janusz 366
 Światło Józef 336
 Świda-Ziemia Hanna 18, 366
 Świerczewski Karol 137
 „Tajfun” zob. Morawiec Jan
 Tarnowski Adam 24
 Thun Włodzimierz 28
 „Tinetka” zob. Chądzyńska Walentyna
 Tischner Józef 18
 Tłuchowska Maria 58, 59, 63, 64, 79–87, 91, 122

- Tołstoj Lew 219
 Tomalakowa Irena 138, 178, 187, 233, 325, 328, 335
 „Tomasz” zob. Bierut Bolesław
 „Tomasz” zob. Roszkowski Lechosław
 Tomaszewska Hanka zob. Czaplńska-Tomaszewska Anna
 „Tomek” zob. Pilecki Witold
 Torańska Teresa 366
 Trzeplówna Irena 138
 Trznadel Jacek 19
 Turnau Jan 268
 Tymoczko-Kamińska Irena 143, 145, 227, 228, 278–281
 Tyrawska 40
 Tyrawska Ewa 159

 Urbanowicz Henryk 363

 Wagner 101, 348
 Wagner Jerzy 392
 Wagner Mieczysław 392, 394
 Wajda Andrzej 360
 „Wala” zob. Jeremicz Walentyna
 Wallace Aleksander 252
 „Walter” zob. Świerczewski Karol
 „Wara” zob. Borodzicz Stanisław
 Warzycka-Rudecka Janina 121, 136, 162
 Warzycka-Rudecka Bronisława 162
 Wąsik 32
 „Wąsowski” zob. Kasznica Stanisław
 Weinstein Eugenia 21, 23
 Werth Nicolas 17
 Wędrychowska Maria 112, 118, 120, 226
 Wicha Marian 348
 Wielebicka Joanna 376, 379
 Wierzyński Kazimierz 224
 Wilford 392
 „Wilk” zob. Marszałek Ludwik
 Winogradow Anatolij 170, 199

 Winowska Maria 72
 Wiśniewska Dorota 313
 „Wiśniewska” zob. Dunin Helena
 „Witek Błękitny” zob. Otwinowska Barbara
 „Witold” zob. Pilecki Witold
 „Wojciech” zob. Zawadziński Tadeusz
 Wojciechowski Jerzy 87–89
 „Wojtek” zob. Kołodziej Emilia
 Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
 Wolańska Wacława 121, 136
 Wolińska Helena 15
 Wolska Zofia zob. Faszczówna Zofia
 Woszczerowicz Jacek 378
 Woszczyńska-Kasjan Mieczysława 252
 Woś Maria 7
 Woynicz Irena 270, 271
 „Woynowski” zob. Zawadziński Tadeusz
 „Wrona” N.N. 147
 Wszelaczyńska Maria 253
 „Wujek” zob. Zieliński Tadeusz
 Wyszyński Stefan 277
 Wyszyński Władysław 380

 „X” zob. Sosnowska Halina

 Zabłocki Mateusz 324
 Zaborski Marcin 56, 102, 103
 Zahorska Alina 157
 Zamoyska 236
 „Zapora” zob. Dekutowski Hieronim
 Zaremba 141
 Zawacka Elżbieta 326
 Zawadziński Tadeusz 12, 45, 50, 56, 71, 78, 94–98, 102–106, 108, 117, 123, 347, 348, 370, 381, 382, 386, 388, 389
 Zawieyski Jerzy 168, 170, 278, 302, 303
 „Zbroja” zob. Marszałek Ludwik
 Zelwerowicz Aleksander 378
 „Zielińska” zob. Dunin Helena
 Zieliński Tadeusz 94, 98, 103, 347

Zięba Maciej 19, 20	Żelazowska Stefania 116, 131, 248, 259,
Zimoch Tomasz 242	260, 264
„Ziutka” zob. Majewska-Słowińska Jó-	Żelaźniewicz Halina 268, 280
zefa	Żmichowska Narcyza 278
Złotnicka-Kurcewiczowa Janina 85, 263	Żółtowska Urszula 241
„Zo” zob. Zawacka Elżbieta	Żółtowska-Tomaszewska Urszula 7
„Zula” zob. Magnuszewska Władysława	Żuk Henryk 243, 332, 333
„Zyzio” N.N. 339	„Żuraw” zob. Galej Michał
	Żurowska Halina 153, 253
Żebrowski Leszek 98	Żymierski Michał 83



**Rodzice, Józefa i Tadeusz
Czaplińscy około 1913 r.**



Dom rodzinny w Janowicach



**Ruta i Marysia Czaplínskie,
Janowice – czerwiec 1923 r.**



Ojciec Tadeusz Czaplínski



Józefa Czaplińska z Joanną i Witoldem



**Józefa Czaplińska, Janina Czaplińska, Bogna Grabowska, syn Witold,
Janowice 1943 r.**



Legitymacja uczniowska

Prosimy bardzo popierać nasze tajne koła młodzieży Polskiej, gdyż kasa nasza jest bardzo szczupła, a wydatków moc, ma się rozumieć na najlepsze cele.

Przesyłać ofiary prosimy do naszej skarbniczki, która chwilowo znajduje się w Rabce, willa „Biały Dworek“, Marja Szlenkier.

My, młodzież Polska pragniemy pracować dla kraju, to też bardzo serdecznie prosimy o popieranie instytucyj narodowych jak n. p.: Flotę polską, Ligę powietrzną, Ochronę przeciwigazową i t. p.

Pamiętajmy że od dobrych obywateli zależy dobrobyt kochanej naszej Ojczyzny!

TAJNE KOŁA
młodzieży polskiej.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

The diagram illustrates a polymer chain with a central segment of length d and two side segments of length a . The total length is L . The chain is shown in a coiled state with various segments labeled. The central segment is labeled d , and the side segments are labeled a . The total length is labeled L . The diagram also shows the chain in a coiled state with various segments labeled.

Arctostaphylos

De la part de :

POŚWIADCZENIE.

DEUMNA Brasiliensis Ruta

Medrone = *Sauriaca*

data 10/20/2012 19:18:22

WEST HARRIS A.

Instytut do Związku Harcerstwa Polskiego

data 9th 1992

Chlorocephalus 1977-1980

10729 L.

1000
900
800
700
600
500
400
300
200
100
0

Chenggang

Helicoverpa virescens Gu.

Lib. de. S. L. de. 1933.



1942 r.



**Ruta Czaplińska na ślubie
Izabeli Czaplińskiej-Tyrawskiej,
Janowice 1941 r.**



Okres studiów



Okres studiów, z lewej Emilia Lewkowicz

SZKOŁA GŁÓWNA HANDLOWA
w WARSZAWIE
ODDZIAŁ w ŁODZI

WYKAZ

WYKŁADÓW, SEMINARIÓW
I ĆWICZEŃ

świada *Rutę Czaplińską*

urodzoną w *Janczynie*

inowrocławskiej a' dnia 3 grudnia 1915 r.

pod l. *057*



Rutę Czaplińską




Rutę Czaplińską
Wzrost 160 cm, waga 50 kg, ciemne włosy

Indeks Rutę Czaplińskiej



**Brat Szymon Czapliński,
zginął 11 września 1939 r.**



Ojciec Tadeusz Czapliński, 1941 r.



**Siostra Bogna Grabowska,
z domu Czaplińska**



**Jerzy Grabowski, mąż Bogny,
rozstrzelany 18 marca 1942 r.**



**Brat Wojciech Czapliński
rozstrzelany 18 marca 1942 r.**



Wojciech Czapliński, Janowice 1941 r.



Od lewej: Ruta Czaplińska, Kazimierz Czapliński, Maria Czaplińska (Knabe)



**Maria Marcinowska (babunia
młodsza) i Witold Grabowski,
Janowice 1943 r.**



Maria i Bolesław Knabe



Hanna Czaplińska-Tomaszewska



Bogna Grabowska, 2000 r.



Józefa Czaplińska z wnuczką Anią, ostatnie zdjęcie 1986 r.



Matka Józefa Czaplińska



Brat Kazimierz Czapliński z żoną Wandą, 1950 r.



**Wanda i Kazimierz
Czaplińscy, 2000 r.**



Włodzimierz Marszewski



Lechosław Roszkowski



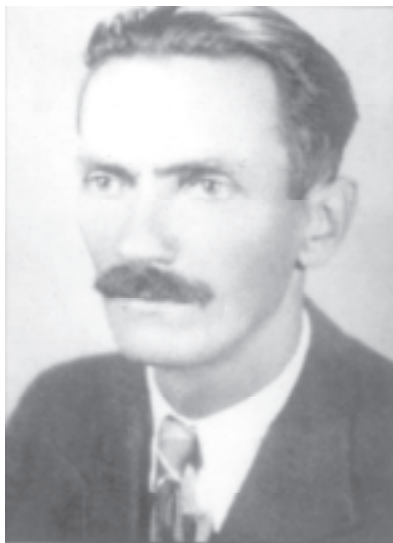
Tadeusz Zawadziński



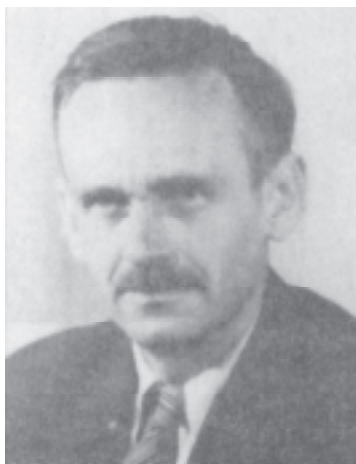
Jerzy Hass



Jan Morawiec



Tadeusz Zieliński



Stanisław Kasznica



**Stanisław Kasznica z córką Zofią,
Świder, 1943 r.**



**Pamiątki wykonane w więzieniu
przez Rutę Czaplińską**





Maria Nachtman „Agata”



Nina Dewicz



Halina Sosnowska, lata dwudzieste



Hanna Dobrowolska, 1945 r.



Barbara Ślusarz



Zofia Małynicz, cioteczna siostra



Zofia Kardaszewicz



Wanda Ceraska-Jędrzejewska, 1955 r.



**Maria Marynowska,
Wielka Brytania, 1945 r.**



Regina Sakowicz-Olszewska



Maria Hattowska



Barbara Otwinowska



Iwona Cieślińska-Skrzypiec



Od lewej: Wacława Wolańska, Janina Konopacka, Irena Bocheńska



**Od lewej: dziennikarka Marzena Paczuska, Maria Hattowska,
Hanna Stachiewicz**

Odpis z Odpisu.

Nr.akt Nr. 1105/47

Nr. 750/47

W Y R O K

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 5 listopada 1947 r.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie

W s k ł a d s i e:

przewodniczący: Mgr. Roman Abramowicz mjr.

sędzią: Kazimierz Janczowski por.

sędzią: Marian Siche por.

w obecności wiceprokuratora Państwowej Prokuratury Wojskowej
Ryszarda Kozma mjr.

obrońców: adm. Grabowski, Pałatyński, Doboszyński, Kotkowski,
Pinterowicz, Roszkowski i Wagner.

Wraz z przy udziale protokolanta Ryszarda Czarkowskiego por.
rozprawiano nadą sprawę:

1. ROZKOSZNIK Leopold s. Władysław i Paulina z Ciesimych, ur. 17 marca 1916 r. w Piotrogradzie Połack, rzyms-kat., o wykształceniu wyższym, obecnie w wojsku niemieckim, bez majątku, rasowo niemieckiego, ostatnio zamieszkałego w Łodzi ul. Górska Nr. 23 m.10, - oskarżonego z art. 86 § 1 i 2 K.K.S.P., art. 8 Dekretu z dnia 16.XI.1945 r. art. 4 § 2 Dekretu z dnia 30.I.1946 r. i art. 117 § 1 i 2 w zw. z art. 16.7 i K.K.S.P.

2. ŻABZIŃSKI Tadeusz s. Ludwik i Zofia z Gubulek, ur. 10 stycznia 1918 r. w Warszawie, Polak, rzyms-kat., kawaler, w wojsku niemieckim, bez majątku, sta-
do na IV-go roku politechniki, rasowo niemieckiego, ostatnio zamieszkałego w Łodzi ul. Skorupki 3, - oskarżonego z art. 86 § 1 i 2 K.K.S.P. i art. 8 Dekr. z dnia 16.XI.1945 r.

3. ŚLICKI Józef s. Józef i Stanisława z Chodkiewiczów, ur. 18 marca 1918 r. w Piern-Reja, Polak, rzyms-kat., studenta politechniki, etnicznie polskiego, w 1937 r. i 1938 r. bez orzeczeń i odznaczek, majątku, kawaler, rasowo niemieckiego, ostatnio zamieszkałego w Warszawie ul. Konopnicka 6/230.-

4. ROZANCA Józef s. Róża i Bronisława z Plechów, ur. 20 marca 1918 r. we wsi Bemuzenice, pow. Łódź, Polak, rzyms-kat., studenta 2-go roku prawa uniwersytetu warszawskiego, kawaler, obywatela w 1937-1939 r. w marynarce wojennej,

Wyrok

11 5

Jako starszy marynars, bez majątku, orderów & odznaczeń, frako-
mo niekaranej, ostatnio zamieszkał w Warszawie ul. Dymasz
Nr. 4 m. 27, - oskarżonej z art. 80 § 1 i 2 K.K. m. art. 3
Dekretu z dnia 10.XI.1940 r. art. 117 § 1 i 2 w zw. z art.
118 § 1 i 2 K.K. m. art. 3 p. 2 i 5 Dekretu z dnia 20.V.1944 r.
art. 27 w zw. z art. 220 § 1 K.K. m. art. 24 K.K. m. zw. z art.
207 § 1 K.K. art. 24 K.K. w zw. z art. 220 § 1 K.K. art. 1 § 2
i 3 Dekretu z dnia 10.XI.1940 r. art. 5 Dekretu z dnia 10.VI.
1940 r. art. 107 K.K. i art. 191 K.K.

6. ~~Stanisław~~ Stanisław m. Balerian

i siostry z Tomaszewic, ur. 30 października 1906 r. w Łarce,
pow. Grójec, Polska, Rayn-kat., o wykształceniu Średnim, Ponatej
go, do 1930 r. kawalerskiego kapitana P.P. oddziałowego (Rayn-
kato) i (Rayn- kato) (Rayn- kato) wog. odwołania, bez ma-
jtku, frakomo niekaranej, ostatnio zamieszkał w Warszawie
ul. Ale 10 m. 1, - oskarżonej z art. 80 § 1 i 2 K.K. m. art.
27 K.K. m. zw. z art. 2 Dekr. z dnia 20.V.1944 r. art.
117 § 1 i 2 w zw. z art. 118 § 1 i 2 K.K. m. art. 191 K.K.

6. ~~Stanisław~~ Stanisław m. Tomaszewic

Jotary z Tomaszewic, ur. 10 września 1918 r. w Tomaszewic
pow. Łódzki, woj. łódzkiego, Polki, Rayn-kat., studentki
i roku 2.0.K. w Łodzi, panny, bez majątku, frakomo niekaranej,
ostatnio zamieszkał w Łodzi, ul. Kilińskiego 80 m. 17, - oskar-
żonej z art. 80 § 1 i 2 K.K. m. art. 5 Dekretu z dnia 10.XI.
1940 r.

7. ~~Stanisław~~ Stanisław m. Stanisław i

Landy z Włocławek, ur. 9 września 1922 r. w Włocławku, pow.
Łódzki, woj. łódzkiego, Polki, Rayn-kat., panny studentki
III-go roku (Rayn- kato) Uniwersytetu Warszawskiego, bez majątku,
frakomo niekaranej, ostatnio zamieszkał w Warszawie "Kasa
Kopa ul. Dąbrowski Nr. 17 m. 6, - oskarżonej z art. 80 § 1 i
2 K.K. m. art.

8. ~~Stanisław~~ Stanisław m. Stanisław i

Landy z Włocławek, ul. 5 stycznia 1924 r. w Włocławku, pow.
Łódzki, woj. łódzkiego, studentki III-go roku Wydziału
lekarzowskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Polki panny, bez majątku,
frakomo niekaranej, ostatnio zamieszkał w Warszawie ul.
Dąbrowska Nr. 14 m. 208, - oskarżonej z art. 80 § 1 i 2 K.K.
m. art.

9. ~~Stanisław~~ Stanisław m. Stanisław i

Apelonii z Odranów, ur. 2 września 1929 r. w Włocławku, Polki,
Rayn-kat., studentki IV-go roku Wydziału Lekarskiego Uniwersyte-
tu Warszawskiego, bez majątku, panny, frakomo niekaranej, oskar-
żonej z art. 80 § 1 i 2 K.K. m. art. 2 Dekr. z dnia 10.XI.1940 r.

Wszelkie przepisy art. 2, 240, 242-247 K.K. m. art.

Wszelkie przepisy art.

5. **Endeavour** 1995

1

Wydział I. w e l n i e t r o c i e n t i e w i

[illegible]

Figure 1

Edmund J. Joseph, Jr., *Marshall University*

	Kontenliste	Kilometer
Buch	Kontenliste	Kilometer

inspektor hodowli drobiu

[illegible]

Figure 1. The effect of the concentration of the solution on the adsorption of the dye. The concentration of the solution was 0.05, 0.1, 0.2, 0.3, 0.4, 0.5, 0.6, 0.7, 0.8, 0.9, 1.0, 1.1, 1.2, 1.3, 1.4, 1.5, 1.6, 1.7, 1.8, 1.9, 2.0, 2.1, 2.2, 2.3, 2.4, 2.5, 2.6, 2.7, 2.8, 2.9, 3.0, 3.1, 3.2, 3.3, 3.4, 3.5, 3.6, 3.7, 3.8, 3.9, 4.0, 4.1, 4.2, 4.3, 4.4, 4.5, 4.6, 4.7, 4.8, 4.9, 5.0, 5.1, 5.2, 5.3, 5.4, 5.5, 5.6, 5.7, 5.8, 5.9, 6.0, 6.1, 6.2, 6.3, 6.4, 6.5, 6.6, 6.7, 6.8, 6.9, 7.0, 7.1, 7.2, 7.3, 7.4, 7.5, 7.6, 7.7, 7.8, 7.9, 8.0, 8.1, 8.2, 8.3, 8.4, 8.5, 8.6, 8.7, 8.8, 8.9, 9.0, 9.1, 9.2, 9.3, 9.4, 9.5, 9.6, 9.7, 9.8, 9.9, 10.0, 10.1, 10.2, 10.3, 10.4, 10.5, 10.6, 10.7, 10.8, 10.9, 11.0, 11.1, 11.2, 11.3, 11.4, 11.5, 11.6, 11.7, 11.8, 11.9, 12.0, 12.1, 12.2, 12.3, 12.4, 12.5, 12.6, 12.7, 12.8, 12.9, 13.0, 13.1, 13.2, 13.3, 13.4, 13.5, 13.6, 13.7, 13.8, 13.9, 14.0, 14.1, 14.2, 14.3, 14.4, 14.5, 14.6, 14.7, 14.8, 14.9, 15.0, 15.1, 15.2, 15.3, 15.4, 15.5, 15.6, 15.7, 15.8, 15.9, 16.0, 16.1, 16.2, 16.3, 16.4, 16.5, 16.6, 16.7, 16.8, 16.9, 17.0, 17.1, 17.2, 17.3, 17.4, 17.5, 17.6, 17.7, 17.8, 17.9, 18.0, 18.1, 18.2, 18.3, 18.4, 18.5, 18.6, 18.7, 18.8, 18.9, 19.0, 19.1, 19.2, 19.3, 19.4, 19.5, 19.6, 19.7, 19.8, 19.9, 20.0, 20.1, 20.2, 20.3, 20.4, 20.5, 20.6, 20.7, 20.8, 20.9, 21.0, 21.1, 21.2, 21.3, 21.4, 21.5, 21.6, 21.7, 21.8, 21.9, 22.0, 22.1, 22.2, 22.3, 22.4, 22.5, 22.6, 22.7, 22.8, 22.9, 23.0, 23.1, 23.2, 23.3, 23.4, 23.5, 23.6, 23.7, 23.8, 23.9, 24.0, 24.1, 24.2, 24.3, 24.4, 24.5, 24.6, 24.7, 24.8, 24.9, 25.0, 25.1, 25.2, 25.3, 25.4, 25.5, 25.6, 25.7, 25.8, 25.9, 26.0, 26.1, 26.2, 26.3, 26.4, 26.5, 26.6, 26.7, 26.8, 26.9, 27.0, 27.1, 27.2, 27.3, 27.4, 27.5, 27.6, 27.7, 27.8, 27.9, 28.0, 28.1, 28.2, 28.3, 28.4, 28.5, 28.6, 28.7, 28.8, 28.9, 29.0, 29.1, 29.2, 29.3, 29.4, 29.5, 29.6, 29.7, 29.8, 29.9, 30.0, 30.1, 30.2, 30.3, 30.4, 30.5, 30.6, 30.7, 30.8, 30.9, 31.0, 31.1, 31.2, 31.3, 31.4, 31.5, 31.6, 31.7, 31.8, 31.9, 32.0, 32.1, 32.2, 32.3, 32.4, 32.5, 32.6, 32.7, 32.8, 32.9, 33.0, 33.1, 33.2, 33.3, 33.4, 33.5, 33.6, 33.7, 33.8, 33.9, 34.0, 34.1, 34.2, 34.3, 34.4, 34.5, 34.6, 34.7, 34.8, 34.9, 35.0, 35.1, 35.2, 35.3, 35.4, 35.5, 35.6, 35.7, 35.8, 35.9, 36.0, 36.1, 36.2, 36.3, 36.4, 36.5, 36.6, 36.7, 36.8, 36.9, 37.0, 37.1, 37.2, 37.3, 37.4, 37.5, 37.6, 37.7, 37.8, 37.9, 38.0, 38.1, 38.2, 38.3, 38.4, 38.5, 38.6, 38.7, 38.8, 38.9, 39.0, 39.1, 39.2, 39.3, 39.4, 39.5, 39.6, 39.7, 39.8, 39.9, 40.0, 40.1, 40.2, 40.3, 40.4, 40.5, 40.6, 40.7, 40.8, 40.9, 41.0, 41.1, 41.2, 41.3, 41.4, 41.5, 41.6, 41.7, 41.8, 41.9, 42.0, 42.1, 42.2, 42.3, 42.4, 42.5, 42.6, 42.7, 42.8, 42.9, 43.0, 43.1, 43.2, 43.3, 43.4, 43.5, 43.6, 43.7, 43.8, 43.9, 44.0, 44.1, 44.2, 44.3, 44.4, 44.5, 44.6, 44.7, 44.8, 44.9, 45.0, 45.1, 45.2, 45.3, 45.4, 45.5, 45.6, 45.7, 45.8, 45.9, 46.0, 46.1, 46.2, 46.3, 46.4, 46.5, 46.6, 46.7, 46.8, 46.9, 47.0, 47.1, 47.2, 47.3, 47.4, 47.5, 47.6, 47.7, 47.8, 47.9, 48.0, 48.1, 48.2, 48.3, 48.4, 48.5, 48.6, 48.7, 48.8, 48.9, 49.0, 49.1, 49.2, 49.3, 49.4, 49.5, 49.6, 49.7, 49.8, 49.9, 50.0, 50.1, 50.2, 50.3, 50.4, 50.5, 50.6, 50.7, 50.8, 50.9, 51.0, 51.1, 51.2, 51.3, 51.4, 51.5, 51.6, 51.7, 51.8, 51.9, 52.0, 52.1, 52.2, 52.3, 52.4, 52.5, 52.6, 52.7, 52.8, 52.9, 53.0, 53.1, 53.2, 53.3, 53.4, 53.5, 53.6, 53.7, 53.8, 53.9, 54.0, 54.1, 54.2, 54.3, 54.4, 54.5, 54.6, 54.7, 54.8, 54.9, 55.0, 55.1, 55.2, 55.3, 55.4, 55.5, 55.6, 55.7, 55.8, 55.9, 56.0, 56.1, 56.2, 56.3, 56.4, 56.5, 56.6, 56.7, 56.8, 56.9, 57.0, 57.1, 57.2, 57.3, 57.4, 57.5, 57.6, 57.7, 57.8, 57.9, 58.0, 58.1, 58.2, 58.3, 58.4, 58.5, 58.6, 58.7, 58.8, 58.9, 59.0, 59.1, 59.2, 59.3, 59.4, 59.5, 59.6, 59.7, 59.8, 59.9, 60.0, 60.1, 60.2, 60.3, 60.4, 60.5, 60.6, 60.7, 60.8, 60.9, 61.0, 61.1, 61.2, 61.3, 61.4, 61.5, 61.6, 61.7, 61.8, 61.9, 62.0, 62.1, 62.2, 62.3, 62.4, 62.5, 62.6, 62.7, 62.8, 62.9, 63.0, 63.1, 63.2, 63.3, 63.4, 63.5, 63.6, 63.7, 63.8, 63.9, 64.0, 64.1, 64.2, 64.3, 64.4, 64.5, 64.6, 64.7, 64.8, 64.9, 65.0, 65.1, 65.2, 65.3, 65.4, 65.5, 65.6, 65.7, 65.8, 65.9, 66.0, 66.1, 66.2, 66.3, 66.4, 66.5, 66.6, 66.7, 66.8, 66.9, 67.0, 67.1, 67.2, 67.3, 67.4, 67.5, 67.6, 67.7, 67.8, 67.9, 68.0, 68.1, 68.2, 68.3, 68.4, 68.5, 68.6, 68.7, 68.8, 68.9, 69.0, 69.1, 69.2, 69.3, 69

[illegible]

Wojciech Czapliński, emm. Wrocław 31.03

Trzebiat ul. Rydygiera nr. 30.

U. S. N. Books Cr. 22

o (dokładny adres, u kogo) chwilowo łodzi u
wyciągu nr. 19

Wieloletnie, programy w zakresie nauki, kształcenia i szkolenia

1. **Przebieg choroby** – w przebiegu choroby obserwujemy następujące zmiany:

101 kmg. postać, wydane poligraficznie o tona-

17.4.66

Standardized *in situ* hybridization for *hsp70* mRNA in the brain of rainbow trout (*Oncorhynchus mykiss*) after 10 days of heat shock at 25°C. The brain was divided into the following regions: olfactory bulb (OB), telencephalon (TEL), diencephalon (DIA), midbrain (MB), hindbrain (HB), and spinal cord (SC). The hybridization signal was quantified as the ratio of the integrated density value (IDV) of the *hsp70* mRNA to the IDV of the *actin* mRNA in each region. The data are presented as the mean $\pm$ SD of three independent experiments, each with three replicates. The significance of the difference between the control and heat shock groups was determined by a two-tailed Student's *t*-test. * indicates $p < 0.05$.

II. 1949r.

bioRxiv preprint doi: <https://doi.org/10.1101/000000>; this version posted January 1, 2016. The copyright holder for this preprint (which was not certified by peer review) is the author/funder, who has granted bioRxiv a license to display the preprint in perpetuity. It is made available under aCC-BY-NC-ND 4.0 International license.

№ 2 арт. 86 КМУ 18 декр. 16.XI.
на базе 10 лет

EWY Wispide 24.12.4.16Wanwanwan T.4.

№. Inowrocław 1 od 18.3.55. wia.

29d (podat. w'g danych w aktach osobowych)

od, postać i wyznacznik, kwadrat : od

koronin, nosi okulary, nosi kred
e, wstawi grube, brzocho : maza szel

ay : cienna, bwi : cienna, bwi :
culada.

Karta informacyjna

 Springer

Wybrane dokumenty otrzymane przez Rutę Czaplińską z Instytutu Pamięi Narodowej w 2002 r.



Na zjeździe rodzinnym w 2000 r.



Z Marią Olechnowicz na wystawie „Straceni na Dolnym Śląsku
w latach 1944–1956” marzec 2002 r.



Lata dziewięćdziesiąte



Rok 2003